

Roman Frister

Miłość niemożliwa

Aschera Levy'ego tęsknota do Niemiec

„Zawsze pamiętaj, że jesteś dumnym obywatelem Prus, któremu przysługują równe prawa. I nigdy nie zapominaj, że jesteś Żydem. Jeśli to uczynisz, zawsze znajdą się tacy, którzy przypomną ci o twoim pochodzeniu“.

Ascher Levy do swego syna Bernharda, 1858 rok

Przedmowa

Klucz do tej niezwyklej opowieści ukryty był w sfatygowanym kufrze podróżnym.

Na pchlim targu w Jaffie handlarz starzyzną rozłożył na chodniku swoje towary. Pośród mosiężnych żyrandoli, zniszczonych butów i znoszonych ubrań czekał na kupca kufer. Pękał w szwach od upchanych wewnątrz papierów. Były tam kartki pokryte gotyckim pismem, dokumenty opatrzone urzędowymi pieczęciami i pożółkłe fotografie, niektóre ponadstuletnie. Dla osoby gotowej posegregować je i ułożyć w całość, stanowiły klucz do fascynującej historii rodziny Levy'ch - oraz do początku burzliwego romansu, który związał niemieckich Żydów z ich ojczyzną.

Przez pięć pokoleń członkowie tej rodziny zachowywali każdy dokument i każdy skrawek papieru. Znalazł się wśród nich kwit od tapicera z 1866 roku za naprawę krzesła z salonu w ich domu, stojącym w niewielkim miasteczku Bad Polzin¹, certyfikat z czasu pierwszej wojny światowej, poświadczający przyznanie Żelaznego Krzyża za odwagę, a także dowód wpłaty ponad sześćdziesięciu tysięcy franków, zdeponowanych tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej w oddziale Schweizerische Bankgesellschaft w Zurychu.

Była sroga zima 1812 roku. Pokonana armia Napoleona wycofywała się z Rosji. Pewien wycieńczony kawalerzysta, straciwszy konia, sprzedał ostatnie zrabowane przedmioty: parę srebrnych świeczników, które ukradł gdzieś po drodze znad Berezyny. Biedny żydowski domokrażca o imieniu Jäckel dał mu za nie worek ziemniaków.

Sto dwadzieścia sześć lat później, jesienią 1938 roku, niemiecka policja zatrzymała sportowy kabriolet, zmierzający w stronę szwajcarskiej granicy. Za kierownicą siedziała

¹ Obecnie: Polczyn Zdrój. (Przypisy nieoznaczone „przyp. aut.“ pochodzą od tłumacza). Aby zachować klimat książki, małe miejscowości na Pomorzu, znajdujące się do zakończenia drugiej wojny światowej w granicach księstwa Prus, a następnie Cesarstwa Niemieckiego, pozostawiono w niemieckim brzmieniu, w przypisach podając ich obecną nazwę.

atrakcyjna kobieta w modnym kapeluszu, jej szyję otulał kołnierz z lisa. Wręczyła policjantowi paszport. Nazywała się Ida Levy.

- Dokąd to? - spytał policjant.

- W góry, na wakacje - odparła rzeczowo, swobodnym tonem.

Dokumenty były w porządku, ale srebrne świeczniki i walizka z rodzinnymi pamiątkami wzbudziły podejrzenia. Po cóż zabierać coś takiego na wakacje?

Idę zatrzymano na przesłuchanie.

Na zawsze pozostanie tajemnicą, jak udało jej się uciec. Wiemy natomiast, że gdy przekroczyła granicę i znalazła się z dala od kłopotów, dowiedziała się, że jej brat, Leo, został zamordowany przez zwolenników nazizmu w swoim mieszkaniu w Bad Polzin podczas haniebnej „nocy kryształowej“, nocy tłuczonego szkła.

Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej walizkę przekazano prawowitym właścicielom, Siegfriedowi i Lisbeth Levym, którzy uciekli przed terrorem hitlerowskiego reżimu do Lugano, malowniczej miejscowości wypoczynkowej w Szwajcarii.

Signore Valdo Riva, poważany prawnik, uporządkował w imieniu Levych ich sprawy finansowe, zanim zostali wydalenii ze szwajcarskiego kantonu Tessyn. Chwilowy azyl znaleźli we Francji Vichy. Gdy kilkadziesiąt lat później pojawiłem się bez uprzedzenia w eleganckim biurze Valdo Rivy w trzystuletniej kamienicy przy Via Pretoria 7, zaskoczenie sędziwego już prawnika było ogromne. Lojalność wobec klientów powodowała, że nie chciał ujawnić jakichkolwiek informacji. Dopiero gdy pokazałem mu papiery, na których widniał jego własnoręczny podpis, włącznie z dokumentami bankowymi rodziny Levych, dał się przekonać i zgodził się mi pomóc.

Nie mniej zaskoczeni moim przybyciem byli właściciele hotelu Windsor w Nicei, gdzie Siegfried i Lisbeth spędzili ostatnie dni przed wyruszeniem w podróż przez ocean, u której kresu czekała na nich bezpieczna przystań - Ameryka.

Kolejnym miejscem, gdzie pukałem do różnych drzwi, była Florencja. W pensjonacie Bandini przy Piazza Santo Spirito obskurne schody zaprowadziły mnie do drzwi, do których w 1943 roku zapukali tajni agenci niemieccy, aby aresztować innego członka rodziny, malarza Rudolfa Levy'ego. Ten wzięty artysta, który rozpoczynał karierę w pracowni Henri Matisse'a, został wyklęty przez rodzinę za poślubienie gojki. Wpadł w szpony swoich prześladowców, a ci odebrali mu życie.

Po tym jak odwiedziłem Połczyn i inne miejsca, gdzie mieszkała rodzina Levych, dalsze poszukiwania zaprowadziły mnie do archiwów w Jerozolimie, Berlinie i Koszalinie. Tak odnalazłem córkę zamordowanego Leo Levy'ego, Hannah Slijper, która obecnie mieszka w Izraelu. Odwiedziłem także w Londynie dom Klause Hinrichsena. Jego żona, Margarethe, w latach trzydziestych znalazła w tym mieście schronienie po ucieczce z nazistowskich Niemiec. W Hanowerze poznałem doktor Ritę Scheller, dyrektor biura Konwentu Parafii Ewangelickich na Pomorzu, która zgromadziła bogaty zbiór dokumentów i książek na temat historii pomorskich Żydów. Rozmawiałem też z różnymi osobami w Europie i Stanach Zjednoczonych, które dostarczyły mi cennych informacji na temat rodziny Levych oraz różnych zdarzeń opisanych w tej książce.

Po śmierci Lisbeth Leyy, która odeszła w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat, kufer z dokumentami, główne źródło informacji, sprzedano handlarzowi. I tak trafił on w końcu na pchli targ w Jaffie.

Historia ta oparta jest wyłącznie na tych dokumentach i faktach, które odkryłem dzięki dalszym poszukiwaniom.

Nie jest to jednak naukowa praca historyczna. Nie mogłem zatrudnić detektywów, aby przeprowadzili śledztwo w sprawie rozmów między członkami rodziny Levych oraz innymi bohaterami książki. Aby więc utrzymać formę powieści reportażowej, pozwoliłem sobie przełożyć zawartość listów i pamiętników na dialogi. Chcąc przekazać stan umysłu głównych

bohaterów oraz atmosferę panującą w ich otoczeniu, sięgnąłem do gazet z tamtego okresu, prac innych pisarzy, a także do fotografii. Niczego nie dodałem. Rzeczywistość okazała się bardziej fascynująca i bardziej koszmarna niż jakikolwiek wytwór wyobraźni.

1. Długa podróż

Główny steward z pierwszej klasy wyszedł na pokład i oznajmił: „Podano herbatę w salonie, mein Herr“. Lloyd, austro-węgierskie towarzystwo żeglugowe, starannie dobierało załogę i słynęło z wyjątkowej dbałości o pasażerów. Steward nie zapomniał więc o podróżnym, stojącym samotnie przy relingu od chwili, gdy SS „Ungaria“ dwie godziny wcześniej wypłynął z Triestu. Pasażer jednak skinął dłonią odmownie i dalej patrzył na morze, głuchy na krzyki mew towarzyszących statkowi.

Podobnie jak wszyscy doświadczeni pracownicy obsługi steward był dumny ze swej umiejętności oceniania ludzi po ich zachowaniu i wyglądzie. Wnikliwie przyjrzał się pasażerowi, a był nim mężczyzna w sile wieku, o szerokich mocnych plecach i wyprostowanej sylwetce. Włosy zaczesane miał do tyłu. Niezbyt smukłymi palcami zdecydowanie trzymał drewnianą listwę relingu. Miał na sobie surdut trzy czwarte, doskonale skrojony, bez wątpienia przez drogiego wiedeńskiego krawca. Fryzjer, odpowiedzialny za przystrzyżenie jego brody i bokobrodów, wyraźnie znał się na swoim fachu. Jednak wprawne oko głównego stewarda z łatwością dostrzegło, że nienagannie odziany podróżny nie jest światowym człowiekiem. Pomyślał, że zapewne jest to zamożny Żyd z prowincji - i nie mylił się.

Pasażer na pokładzie był posiadaczem pruskiego paszportu, wystawionego na nazwisko Ascher Levy. Wydawanie takich dokumentów podróży rozpoczęło się zaledwie rok wcześniej, w 1871 roku, mniej więcej w miesiąc po wspaniałym zwycięstwie Niemiec nad Francją. W paszporcie napisano, że Ascher Levy, przedsiębiorca, mieszkaniec miasta Bad Polzin, jest obywatelem cesarstwa. W walizce zawierającej jego rzeczy osobiste znajdował się bilet pierwszej klasy oraz kilka listów polecających, skierowanych do ważnych osobistości w Egipcie i Palestynie, do której zmierzał. Pod jednym z listów widniał podpis Gersona Bleichrödera, prywatnego bankiera Żelaznego Kanclerza, inny zaś sygnował malarz Moritz Daniel Oppenheim. Kiedy Ascher stał odwrócony plecami do górnego pokładu, nie myślał o bagażu ani o wydarzeniach ostatnich kilku godzin, lecz o długiej wędrówce, która doprowadziła go do tego miejsca.

Dwóch towarzyszy podróży, z którymi od lat planował tę wyprawę, siedziało w salonie znajdującym się pośrodku górnego pokładu. Jego ściany wyłożone były mahoniem, a w powietrzu unosił się zapach przedniej jakości tytoniu. W skórzanych fotelach przy popołudniowej herbacie usadowili się Moritz Gottschalk Lewy², kuzyn Aschera, odnoszący sukcesy przedsiębiorca z Berlina, oraz historyk i uczoney w Piśmie, profesor Heinrich (Zwi Hirsch) Graetz z Żydowskiego Seminarium Teologicznego we Wrocławiu. Samotny pasażer stojący przy relingu nie miał ochoty do nich dołączyć. Odpląnął myślami w przeszłość, niczym fale, które odbijając się od parowca, cofały się, aż ich grzbiety znikwały w morzu.

Przodkowie Aschera Levy'ego wiele lat wcześniej osiedlili się w Wielkim Księstwie Poznańskim, terytorium będącym przedmiotem ciągłych sporów pomiędzy Prusami a Polską. Nie mieli żadnych praw ani nazwiska, zajmowali najniższą pozycję w społeczeństwie, a z powodu różnic kulturowych postrzegano ich jako obcych. Nosili inne ubrania, co innego jedli, inaczej myśleli i nie otrzymali nawet statusu tak zwanych Schutzjuden - Żydów, którzy cieszyli się pewną ochroną władcy z powodu stanu majątkowego lub zawodu, przydatnego z punktu widzenia państwa. Aby nie wywoływać wilka z lasu (pogromy w tamtym czasie nie należały do rzadkości), starali się nie opowiadać po którejkolwiek ze stron. I choć bliższe im były Prusy, nie okazywali tego otwarcie.

² Część rodziny pisała nazwisko „Levy“, część „Lewy“. Plemię biblijne pisane jest (po niemiecku - przyp. tłum.) „Levi“. Używane są wszystkie trzy wersje. Moritz Gottschalk Lewy naprawdę nazywał się Mosche Gottschalk, ale posługiwał się głównie nazwiskiem Moritz Gottschalk, (przyp. aut.).

Woleli zamknąć się we własnym świecie. Nie było to trudne, bo i tak w zasadzie nie dopuszczano ich do uczestnictwa w sprawach państwowych. Rzucano im pod nogi rozmaite kłody - nie mieli prawa kupować ziemi, zatrudniać chrześcijan, a zdobycie pozwolenia na prowadzenie gospody lub pożyczanie pieniędzy wiązało się z licznymi trudnościami. Nie mogli zawierać związków małżeńskich przed ukończeniem dwudziestego czwartego roku życia, a czasem nawet osiedlać się w wioskach. Nikt nie był im życzliwy. Polacy, którzy stanowili większość populacji księstwa, odnosili się do nich z wrogością. Mimo iż Żydzi starali się to ukryć, wszyscy wiedzieli, że cenią kulturę niemiecką niemal w równym stopniu, jak własną. Czytali literaturę niemiecką i z dużym zainteresowaniem śledzili wydarzenia za zachodnią granicą. Mieli świadomość, że Żydzi mieszkający w zachodniej Europie także nie cieszą się zbyt wieloma prawami obywatelskimi, ale z jakiegoś powodu odbierali nienawiść w stosunku do Żydów w Europie Zachodniej jako mniej bolesną niż na Wschodzie.

Berisch urodził się czternastego czerwca 1744 roku. Ożenił się w wieku dwudziestu jeden lat - oczywiście w tajemnicy, aby ominąć oficjalny zakaz. Pod koniec XVIII wieku spakował swój niewielki dobytek i wyemigrował na Pomorze. Pojechała z nim jego żona Gitel, pochodząca z rodziny Horowitzów. Poszli w ślady tych członków rodziny, którzy już wcześniej przenieśli się na zachód. Według drzewa genealogicznego rabin Jerucham, prapradziadek Berischa, osiedlił się w Belgardzie³ w 1650 roku i był jednym z założycieli gminy żydowskiej w tym mieście.

Nic więc dziwnego, że Berisch i Gitel udali się w końcu do Belgardu. Osiedlili się tam i tam przyszło na świat ich jedenaścioro dzieci. Nie mamy żadnych informacji na temat dziesięciorga z nich, bo ówczesni władcy, sporządzając rejestr mieszkańców, nie zaprzęтали sobie głowy prostym ludem. Mimo to nazwisko Aschera Jäckela, urodzonego dwudziestego piątego stycznia 1775 roku w niewielkiej miejscowości Kammin⁴, w powiecie Belgard, pojawia się w rejestrach. Gdy ósmego dnia po narodzinach Ascher został przyjęty do Przymierza Abrahama, mohel, który go obrzezał, przepowiedział mu szczęście i pomyślność. Jednak w dorosłym życiu Jäckel, podobnie jak większość nieposiadających nazwiska Żydów w Europie, klepał biedę. Nie miał dachu nad głową, a nawet własnego łóżka. Zarabiał na życie jako domokrążca. Wędrował od wioski do wioski, sprzedając materiały, bieliznę i przybory kuchenne podejrzliwemu, wrogiemu światu. Przyjmował w milczeniu zniewagi i przekleństwa. Pokornie akceptował swój los. Nie był buntownikiem i nie starał się zmieniać świata. Pokładał nadzieję we wszechmogącym Bogu i czekał na lepsze czasy. Jedynie wieczorami, gdy nakarmił konia i przygotowywał się do snu w przydrożnej gospodzie, pojawiała się uczucie zadowolenia. Liczył zarobione grosze i marzył o dniu, gdy z boską pomocą ożeni się i spłodzi synów. Ale przede wszystkim modlił się, aby Bóg pomógł mu do czegoś przynależeć, dał mu siłę, aby poczuł moralne zobowiązanie wobec ludzi, wśród których żyje, i uwolnił go od piętna bycia obcym.

Wydawało się jednak, że się to nie zdarzy, a przynajmniej nie w najbliższej przyszłości. W Niemczech odnoszono się do Żydów z wrogością, rozpalaną przez „naukowe“ rozprawy filozofów i historyków. Wiele osób było zdania, które popierały także władze, że nie należy ułatwiać życia przedstawicielom wyznania mojżeszowego. Jäckel czuł się uwięziony w labiryncie sztywnych praw i dekretów opartych na uprzedzeniach. Tylko raz w jego życiu pojawiła się nadzieja, że przepowiednia mohela się spełni. Napoleon Bonaparte, cesarz Francuzów, szturmem zajął kraje południowej i środkowej Europy i zaprowadził w nich nowy porządek społeczny. Wydawało się, że nic nie powstrzyma historycznych przemian. Majątki kościelne poddano sekularyzacji, a cesarskie miasta straciły suwerenność. Dwunastego lipca 1806 roku książęta szesnastu państw południowych i zachodnich Niemiec utworzyli Związek Reński, przyjmując edykty Napoleona. Pierwszego sierpnia państwa te

³ Obecnie: Białogard.

⁴ Obecnie: Kamień Pomorski.

odłączyły się od cesarstwa, a pięć dni później Franciszek II zrzekł się tytułu cesarskiego. Kiedy w roku 1808 pruski minister stanu Karl Freiherr vom und zum Stein⁵ ogłosił dekret o samorządzie miast i ograniczeniu barier stanowych, który między innymi przyznawał Żydom pewne prawa obywatelskie, radość Aschera nie znała granic. Kilka lat później, drugiego marca 1812 roku, król Fryderyk Wilhelm III, zagorzały konserwatysta, podpisał edykt emancypacyjny, umożliwiający Żydom przyjmowanie pruskiego obywatelstwa. Należało oczywiście spełnić wiele warunków.

Jednym ze skutków było wprowadzenie dziedzicznych nazwisk. Ascher Jäckel przyjął nazwisko Jakob Levy, od plemienia Lewitów, którzy zgodnie z żydowską tradycją wybrani byli do służby kapłańskiej w Świątyni Jerozolimskiej przed jej zburzeniem. Ascher Jäckel, odtąd Jakob Levy, nie przejmował się tym, że nowe prawa wprowadzono niechętnie, pod naciskiem wroga. Wręcz przeciwnie. W końcu mógł swobodnie odetchnąć i realizować nowe cele. W styczniu 1812 roku miał już ukończone trzydzieści siedem lat i wciąż pozostawał kawalerem. Był więc najwyższy czas, żeby się ożenił. Nie miał wygórowanych oczekiwań. Ascher Jäckel Levy wiedział doskonale, że bogaci i biedni nie żenią się między sobą. Gdy zgłosił się do żydowskiego swata, nie szukał posagu, lecz żony, która będzie go wspierać i urodzi mu synów.

Kiedy więc swat w końcu zaproponował mu małżeństwo z Esther Lob z Arnswalde⁶, zgodził się, zanim zobaczył ją na własne oczy. Uroda nie była jej największą zaletą, nie wносиła także do małżeństwa żadnych bogactw, ale cechował ją za to zdrowy rozsądek. Miała pociągłą twarz i dość mocną budowę, na świat patrzyła ciemnymi, inteligentnymi oczami, a Bóg obdarzył ją dobrym sercem i silnym poczuciem obowiązku. Choć o dziesięć lat młodsza od Jäckela, na tamte czasy była starzejącą się panną, ale kiedy po raz pierwszy spotkali się w domu jej rodziców, wiedział, że dla mężczyzny w jego sytuacji ten sziduch to sukces. Mimo że rodzice Esther, Jehuda i Veigelche, byli jak i on domokrażcami i ledwo wiąźali koniec z końcem, Jehuda Löb był człowiekiem bardzo szanowanym z uwagi na znajomość Tory. Im bardziej Żyd był uczony w Piśmie, tym większym szacunkiem cieszył się wśród członków swojej społeczności.

Esther i Jäckel pobrali się zgodnie z żydowskim prawem. Sprzyjające okoliczności, które pozwoliły młodej parze posmakować wolności i nosić nazwisko Levy, przyczyniły się również do poprawy ich sytuacji materialnej.

Popularne żydowskie przekleństwo mówi: „Obyś żył w ciekawych czasach“, czyli w czasach politycznego wrzenia i trudności. W tym wypadku „interesujące czasy“ były w rzeczywistości błogosławieństwem. Jäckel Jakob Levy i jego młoda żona nie czytali gazet, nie interesowały ich także odległe wojny. Ich życie obracało się wokół codziennej walki o przetrwanie. Czasem jednak niektóre wiadomości docierają do ludzi, którzy zwykle nie zwracają uwagi na to, co się dzieje na świecie. Zimą 1812 roku lotem błyskawicy rozeszła się pogłoska, że Wielka Armia wycofuje się, wcielone do niej pułki pruskie rozpedzono na cztery wiatry, a żołnierze Napoleona sprzedają łupy zagarnięte w Rosji za strzęp ciepłego odzienia i szklaneczkę wódki. Sprytni handlarze dostrzegli okazję, by łatwo się obłowić. Tuż przed Bożym Narodzeniem cesarz pozwolił swym oddziałom zawrócić, a sam czym prędzej udał się do Paryża, aby zapobiec rewolucji pałacowej. Jäckel załadował towary na sanie, do których zaprzęgał dwa konie, kupione od sąsiada na kredyt za dwadzieścia procent od potencjalnego zysku, i wyruszył w długą podróż, prosto w kierunku kolumny pokonanej armii, aby trafiła się okazja przed konkurencją. Wkrótce ich ujrzał - weteranów kampanii, z orderami spod Austerlitz, Jeny i Wagram, wlokących się na odmrożonych nogach w stronę Prus. Broń porzucili na zaśnieżonych polach Rosji. Nieśli ze sobą jedynie łupy z ostatniej kampanii. Wycieńczeni, obdarci, głodni chleba i ludzkiego ciepła, stanowili łatwą zdobycz

⁵ Heinrich Friedrich Karl baron vom und zum Stein.

⁶ Obecnie: Choszczno.

dla bezlitosnej chmary zachłannych handlarzy, czekających w gotowości wzdłuż drogi odwrotu. Łupy przechodziły z rąk do rąk w zasadzie bez targowania. Garść fasoli lub grochu, bandaż na ranę, a nawet kuszący pocałunek kobiety wystarczyły, aby wyłudzić pieniądze, cenne ikony, biżuterię i kosztowności zrabowane z pałaców carskiego imperium.

Levy wytargował pierwszą parę świeczników za worek ziemniaków, ale z każdą kolejną transakcją nabierał doświadczenia i wieczorem owego dnia za worek ziemniaków kupił biżuterię wartą więcej niż wszystko, co widział do tej pory. Wyjeżdżając z Kammin, musiał liczyć każdy grosz, ale po dwóch tygodniach wrócił do domu z pełnymi kieszeniami. Nie stał się przez to rozrzutny. Doskonale znał wartość każdej monety - płaskiej, by można było zacisnąć ją w dłoni, a jednocześnie okrągłej, by kręciła się w dobrym interesie. Zainwestował nieoczekiwany majątek w zakup gospody w Belgardzie. Para spakowała swój dobytek i tam się przeniosła. W tym okresie w Belgardzie mieszkało osiem żydowskich rodzin, nie było więc problemu, by zebrać minjan, czyli co najmniej dziesięciu mężczyzn, na nabożeństwo szabatowe. Jäckel Jakob Levy i jego żona Esther, choć chcieli być tacy jak inni obywatele, nie zapomnieli nigdy o swej żydowskiej religii.

Gospoda stała na północnym skraju Belgardu przy drodze, którą wjeżdżali do miasta podróźni z Köslin⁷, stolicy rejencji⁸. Interes mieścił się w przedniej części domu, gdzie zza lady sprzedawano napitki. Było to dobre miejsce, bo wielu woźniców zatrzymywało się tu, by wychylić coś mocniejszego. Jäckel nie miał koncesji na prowadzenie wyszynku, obowiązywał go więc całkowity zakaz podawania alkoholu. Ale komu to zaszkodzi, jeśli woźnica, chłop czy przejeżdżający kupiec wezmą butelkę czy dwie, żeby napić się gdzie indziej? Jednakże właściciele okolicznych oberży Belgardu zauważyli nielegalny interes i wielu z nich groziło „Levy’emu, temu Żydowi, co pędzi bimber“. Ich groźby zaniepokoiły Esther, która odtąd zawsze dbała, by drzwi, prowadzące do dwóch pokoi znajdujących się w tylnej części domu, były starannie zaryglowane. Z okna sypialni mieli widok na podwórze, otoczone wysokim kamiennym murem. Okiennice były zawsze zamknięte, bo na tyłach domu przechowywano beczki i butelki. Wiele osób kosztowało wyrobów Jäckela, który znał się na swoim fachu. Szybko zyskał rozgłos. Wkrótce chłopci z okolicznych wiosek tłoczyli się w jego sklepie, aby topić smutki w kropelce samogonu. Sam Jäckel tylko raz skosztował alkoholu.

W księgach miasta Belgard widnieje zapis, że ósmego grudnia 1814 roku Jakob Levy otrzymał pozwolenie na osiedlenie się w miasteczku. W rzeczywistości dokument ten jedynie potwierdzał istniejącą sytuację, a mimo to odbiorca wysoko go sobie cenił. Interes kwitł i rozwijał się, a kiedy Jäckel zauważył, że Esther, siedząc w salonie, szyje dziecięce ubranka, nie była to niemiła niespodzianka. Majątek potrzebował dziedziców. Pierwszy syn, który otrzymał po ojcu imię Ascher, przyszedł na świat ósmego cheszwan według kalendarza żydowskiego, czyli dziesiątego października 1815 roku według kalendarza gregoriańskiego.

Kiedy Esther była w piątym miesiącu ciąży, setki mieszkańców miasteczka przybyły na rynek, aby usłyszeć obwieszczenie z ust królewskiego posłańca. W owych czasach był to rzadki widok, rząd posługiwał się tą formą przekazywania wiadomości prostemu ludowi jedynie w wyjątkowych sprawach. Tym razem posłańcowi towarzyszyło dwóch oficerów. Specjalnie na tę okazję pośrodku rynku ustawiono stół. Donośnym głosem mężczyzna odczytał, że komisarz wojenny Simon Kremser ogłasza ustanowienie funduszu wojennego na wyposażenie oddziałów mających wyruszyć do decydującego starcia z Napoleonem Bonaparte. „Vossische Zeitung“ opublikowała już szczegółowy raport na temat powrotu cesarza. W towarzystwie lojalnych stronników uciekł on z Elby, wyspy, na którą został zesłany na żądanie Prus, Anglii, Austrii i Rosji. Dotarł na plażę w Cannes, po czym w

⁷ Obecnie: Koszalin.

⁸ Kreishauptstadt (niem.) - jednostka administracyjna wprowadzona w Prusach w latach 1815-1816 jako pośredni szczebel pomiędzy prowincją a państwem.

triumfalnym marszu wyruszył na Paryż. Tam ponownie przejął władzę i zaatakował Belgię. Gazeta donosiła o zbliżaniu się francuskiego cesarza, a Jäckel po raz pierwszy w życiu zainteresował się tym, co się dzieje poza granicami jego miasteczka.

Na powstrzymanie ataku Francuzów potrzeba było ogromnych sum. Gebhard Leberecht Blücher, znany powszechnie jako „marszałek-naprzód“, po raz kolejny stanął na czele pruskiej armii. Na dźwięk jego imienia wiele serc zaczynało bić szybciej. Jäckel nigdy przedtem nie przekazywał nikomu darowizny, poza niewielkimi sumami na cele dobroczynne dla gminy żydowskiej. Tym razem nie wahał się. Miał szansę dowieść swej miłości do ojczyzny i lojalności wobec tronu. Wyjął sakiewkę, podszedł i położył ją na stole. Jeden z oficerów policzył monety, pochwalił za obywatelską lojalność i uściśnił serdecznie jego dłoń. Jäckel spojrzał zdumiony najpierw na oficera, a następnie na swoją dłoń. Nawet podczas dobijania targu większość Niemców nie chciała mu podać ręki. Na oczach wszystkich zgromadzonych oficer wypisał kwit, przystawił na nim oficjalną pieczęć i wręczył dokument Jäckelowi. Ten przyjął go, jakby to był podarunek od samego króla, po czym spiesznie udał się do domu i powiesił dokument w nogach łóżka, aby był pierwszą rzeczą, którą ujrzy po przebudzeniu. Od tego dnia pęczył z dumy, gdy tylko na niego spojrzał. W jego oczach ów datek był niczym pępowina łącząca go z ojczyzną.

Późnym wieczorem osiemnastego czerwca 1815 roku Jäckel wciąż siedział nad księgami rachunkowymi, gdy nagle pracę przerwało mu głośnie pukanie do drzwi sklepu.

- Zamknijcie! - zawołał do klientów. Pukanie przerodziło się w łomot. Słyszał gwar, wstał więc zniecierpliwiony, aby otworzyć drzwi. Do środka wtarabanił się rozradowany tłum mieszkańców miasteczka.

- Chcemy się napić za Blüchera! - krzyczeli, co sugerowało, że opróżnili już kilka butelek mocniejszego trunku.

- Pospiesz się, Żydzie! - nalegali głośno. - Prędej!

- Przyjdźcie jutro. Już zamknijcie.

Próbował ich wyprosić - lecz bezskutecznie. Klienci już podeszli do półek pełnych napitków.

- Nie słyszałeś? - zawołał jeden z nich. - Napoleon jest skończony!

Butelki bimbrowe przechodziły z rąk do rąk nad ladą, monety z brzękiem wpadały do kasy, a Jäckel słuchał wieści, które właśnie przyniósł konny posłaniec. Wellington i Blücher pokonali Napoleona w rozstrzygającej bitwie. Cud ten wydarzył się nieopodal farmy La Belle Alliance, niedaleko belgijskiego miasteczka Waterloo. O wyniku bitwy zadecydowała pruska armia rekrutów, która przypuściła udany atak na skrzydła Francuzów. Oczy Jäckela napełniły się łzami radości. Nalał sobie szklaneczkę i wychylił do dna. Był to pierwszy i ostatni toast w jego życiu.

Po klęsce Napoleona powrócił dawny porządek. Przywódcy i dyplomaci mocarstw rządzących spotkali się w Wiedniu, aby na nowo podzielić Europę. W ślad za nimi podążyli dziennikarze, dworzanie i zamożni notable, których przyciągało pełne blichtru życie stolicy Austrii. Plany często nabierały ostatecznych kształtów w salonach bogatych dam - włączając w to Żydówki z wyższych sfer - przy stołach zastawionych delikatesami i dźwiękami orkiestry, co dało początek powiedzeniu: „Kongres tańczy, ale nie postępuje naprzód“. Była to pewna przesada, ponieważ wiosną 1815 roku dyplomaci w Wiedniu nakreślili nową mapę Europy. Prusy reprezentowali Karl August baron von Hardenberg i Wilhelm baron von Humboldt, ambasador w Wiedniu. Byli to humaniści, popierający ideę reform społecznych, którzy darzyli Żydów znacznym szacunkiem. Humboldt był stałym gościem salonu literackiego Henriette Herz, Żydówki z Berlina, urządzającej słynne przyjęcia, na których bywali Heine, Börne, madame de Stael i hrabia Mirabeau. Ale kiedy przyszło do rozmów o utworzeniu Związku Niemieckiego, który docelowo miał składać się z trzydziestu dziewięciu

państw członkowskich bez siedziby rządu⁹, konserwatyści mieli decydujące słowo. A gdy kongres przystąpił do sporządzania paragrafu 16 aktu kongresu, znosząc prawa przyznane Żydom na tym obszarze przez Napoleona, nie pomogła interwencja wybitnych osobistości pochodzenia żydowskiego. Nawet Ludwig Börne nie był w stanie nic wskórać. Historia zrobiła krok wstecz i także Prusy wycofały się z postępowych praw, twierdząc, że zostały one nadane w „chwili słabości“. Fryderyk Wilhelm III wspominał o „liberalnej zarazie“, która opanowała jego kraj. Znow ciężka kurtyna autokracji opadła na Prusy. Wszelkie próby sądowego dochodzenia praw obywatelskich były otwarcie odrzucane. Przynajmniej w tym aspekcie Żydzi i prości chrześcijanie cierpieli jednakowo, choć wspólny los nie sprawił, żeby nawiązała się między nimi braterska więź. Niezadowolenie ludzi rosło, a wraz z nim gotowość, by dać upust goryczy i frustracji. Jak to już wcześniej bywało, potrzebny był kozioł ofiarny.

Ascher Levy miał zaledwie cztery lata, gdy na znaczną część Niemiec spadła klęska suszy. To przelało czarę goryczy. Rozeszła się plotka, że brak deszczu spowodowała klątwa rzucona przez Żydów. Wybuchły rozruchy, które historycy określili później mianem zamieszek „Hepp-Hepp“¹⁰, od okrzyków zbuntowanych mas. Drugiego sierpnia 1819 roku rozwścieczony tłum dał w Würzburgu upust tłumionej dotąd złości. Dla Maksymiliana, króla Bawarii, wydarzenia te oznaczały nieuchronną rewolucję, wysłał więc wojsko, aby przywrócić porządek. Na jego decyzję być może wpłynęło to, że w Würzburgu mieszkali bracia Jakob i Salomon Hirsch, prywatni bankierzy króla. Jednak kule żołnierzy nie były w stanie powstrzymać biegu wydarzeń. Zamieszki rozprzestrzeniały się błyskawicznie. Dziesiątego sierpnia wybuchły we Frankfurcie, dotarły do Heidelbergu podczas Prinz-Ludwig-Fest, dwudziestego sierpnia do Hamburga, a dwa dni później ogarnęły Belgard. Esther zdążyła właśnie położyć synka do łóżeczka, gdy jacyś nieznajomi zaczęli łomotać do drzwi sklepu. Jäckel wstał i idąc otworzyć, cicho przeklinał tych, którzy nie pozwalali mu na zasłużony odpoczynek. Czasem spragnieni klienci chcieli kupić alkohol już po zamknięciu sklepu, a on nie śmiał im odmówić. Ale tym razem goście pojawili się z innych powodów. Ledwie przekręcił klucz w zamku, kilku mężczyzn z pochodniami w rękach wpadło do środka. Zanim wykrztusił choć słowo, półki stanęły w płomieniach. Jäckel pobiegł do części mieszkalnej, zabarykadował za sobą drzwi ciężkim drewnianym rygłem, po czym nakazał Esther zabrać dziecko i uciekać. Po chwili zajęły się baryłki z alkoholem i wkrótce nic już nie pozostało z gorzelnii. Dom zbudowano na kamiennych fundamentach, lecz ściany były drewniane. Strażacy nie byli w stanie powstrzymać ognia. Nikt poza nimi nie próbował ugasić pożaru, nikt nie przybył na pomoc, nikogo nie obchodził los Levych. Rodzina spędziła noc w pobliskim lesie. Gdy następnego ranka Jäckel spojrzął na zwęglone szczątki swego domu, zdał sobie sprawę, że zatoczył koło. Skończyły się dla niego dobre czasy. Został z niczym, znalazł się z powrotem w punkcie wyjścia.

Jego żona nie płakała. W głębi duszy zawsze wiedziała, że ich szczęście nie będzie trwało wiecznie, i przewidywała katastrofę. Jäckel także nie opłakiwał utraty dobytku. Bóg daje i Bóg odbiera. Po siedmiu latach tłustych przychodzi siedem lat chudych. Nazwisko Jakob Levy straciło jakiegokolwiek znaczenie. Było jedynie cieniem wielkiej iluzji. Bez pomocy rabina z gminy żydowskiej on, jego żona i synek umarliby z głodu. Rabin znalazł im skromny dach nad głową i pracę w gospodarstwie, gdzie - jak wszędzie w tym regionie - podstawową uprawę stanowiły ziemniaki. Do swej śmierci w 1834 roku Jäckel pracował jako robotnik rolny. Największą troską jego i Esther była przyszłość ich syna. To matka nauczyła Aschera czytać i pisać. Pod jej czujnym okiem uczył się arytmetyki, studiował święte pisma i

⁹ W 1817 r. - 41, potem liczba ta stopniowo spadała, aż do 33 państw w 1866 r.

¹⁰ Od słynnego okrzyku „Hepp, hepp, Jude verreck!“ (Hep, hep, Żydzie, zdechnij!).

dzięki niej Louis Starger, wlasciciel dobrze prosperujacej firmy w Markisch Friedland¹¹, przyjał go na praktyke.

Louis Starger by tylko drobnym kupcem, lecz niezwykle chciwym. Na handlu alkoholem zbudowa interes przynoszacy wymierne zyski. Mógby by pierwotnym bohaterem sztuki Karla Borromausa Sessa, zatytuowanej *Unser Verkehr*, w ktorej wydrwiony zostaje Źyd i jego rosnacy majatek, a bohaterowie sa jak pijawki, wysysajace soki z narodu do ostatniej kropli - to echa antyżydowskich rozruchw. Ale poza ta jedna wada - zada pieniedzy - Starger by religijnym Źydem, a to Jackel cenil najbardziej. Mimo wszystko pragnał, aby syn wychowywa sie w religijnym domu. „Religia i wiara to wszystko, co nam pozostao“, powiedzia synowi w dniu jego wyjazdu. Z tymi sowami w uszach i tobokiem ubran pod pacha Ascher Levy wsiad do dylizansu jadacego z Belgardu do Friedland.

Jednake religia i wiara w adnym razie nie czyniy relacji między mistrzem a uczniem ani odrobine latwiejsza. Mody Ascher mia ciekie ycie: przydzielono mu pokoj na strychu, a jego dzien pracy trwa od porannej modlitwy do zachodu sonca. Na poczatku powierzano mu proste zadania, takie jak latanie pęknie w cieknacych beczkach, czy - rownie wazne - rozdrabnianie tytoniu do fajki jego pana. Ale Starger szybko dostrzeg zdrowy rozsadek i zdolnoci ucznia, i stopniowo zaczał zwiekszac mu zakres obowiazkw. Nim minał rok, przekaza Ascherowi prowadzenie ksiag rachunkowych i pozwoli na stycznoc z klientami. W koncu, gdy wyjedzał w interesach, powierza mu nawet klucze do kasy. Nie oznaczao to, e pensja Aschera proporcjonalnie wzrosa. Ale praktykant, ktory awansowa na pracownika, trzyma jezyk za zebami. Nigdy nie narzeka ani nie poprosil o podwyzske. Zna okrutna zasade podazy i popytu. Dziesiatki podobnych jemu modych meczyzn czekay na szanse odbycia praktyki.

Trudniejsza od pracy bya dla niego samotnoc. Obcy w tym malym miasteczku, nie mia przyjaciol ani znajomych, jego glowna rozrywka stay sie wiec dugie spacery. W Szabat, kiedy interes by zamknity, wybiera sie na przechadzki za miasto. Urzeky go zielone pola, geste lasy i mruzcace rzeki Pomorza. Magia otwartej przestrzeni podbia jego serce i upajaa zmysy. Gdy wedrowa waskimi ciezskami wsrod odurzajacych zapachem zarosli, patrzy na spadajacy lic czy dostrzeg zajaca ukrytego między topolami, czu uniesienie, jakby Bog by na wyciagniecie reki. Wiara jego ojca, Jackela, nigdy nie wybiega poza wiete pisma. Na zawsze utkwia między kartami ksiag, nieruchoma jak proste linijki tekstu.

Ascher by inny. Odkry cudowny zwiazek między sowem drukowanym a dzielem Stworcy. Suchy jezyk przeobraza sie w ksztalty, a sowa wypeniay znaczeniem. Objawienie to byo zbyt silne, by mog je zdusic w sobie. Fala emocji, ktora w nim wzbieraa, potrzebowaa ujscia, dlatego Ascher zaczał pisac dziennik.

By to jego dialog z samym soba, substytut rozmowy z bratnia dusza. Pisa z iscie niemiecka starannocia i ydowska uczuciowocia. Opisywa niemal wszystko, co czu czy zrobi, z niebywaa precyzja; codzienna prace, transakcje z klientami, odnotowywa, ile sprzeda alkoholu. Gdyby potrafi zapisywac muzyke, uwieczniby wierkanie ptakw i szum wiatru w koronach debw, nuta po nucie. Gdy czu potrzebe rozmowy z osoba myslaca podobnie jak on, zamyka sie w swoim pokoju, gdzie, pomimo ogromnego zmeczenia, zapala wieczke i przy migotliwym pomyku pisa listy do swego kuzyna, Moritza Gottschalka, ktory, aby nauczy sie bankowoci, pracowa jako lichwiarz w Labes¹². Ubostwia te ciche wieczory po calym dniu pracy, kiedy mog sie skupic na kontakcie intelektualnym z kuzynem.

Nie mog wtedy wiedziec, e pewnego dnia jako zamozni dorosli meczyzni wyrusza na wspolna wyprawe przez morze do Palestyny. W roku 1834 podroz pierwsza klasa luksusowym parowcem przekraczaa jego najmielsze marzenia. ciany jego pokoju na

¹¹ Obecnie: Miroslawiec.

¹² Obecnie: Lobez.

poddaszu schodziły w dół do ciemniejszego kwadratu okna. Łóżko zajmowało miejsce po przeciwnej stronie pokoju, regał obok zastawiony był książkami. Właśnie skończył czytać Misznę w przekładzie na niemiecki oraz ostatnie dzieło sir Waltera Scotta. Na ścianie nad regałem wisiały portrety króla i Majmonidesa. Pod oknem stał prosty sosnowy stolik.

Leżały na nim starannie poukładane książki do ćwiczeń, przyrządy do ostrzenia gęsiich piór i niebieski kałamarz. Tego wieczoru, dwunastego marca 1834 roku, zapisał to, o czym właśnie rozmyślał:

„Najdroższy Moritzu!

Przechadzałem się dziś po wzgórzach niedaleko Wilkendorf¹³. Niebo było cudowne, jakby posypane gwiazdnym pyłem. Wzdłuż krętej ścieżki lipy i samotny dąb rzucały długie cienie. Stałem nieruchomo i wsłuchiwałem się w szepty przyrody. Mogło to trwać nie dłużej niż minutę, ale równie dobrze godzinę, sam nie wiem. Księżyc wynurzył się z głębi ziemi na firmament i rozświetlił okolicę. Cały drzałem. W chwili tej poczułem, że musi istnieć wszechmocny Stwórca, który stworzył otaczający mnie świat, po prostu musi tak być. Przepelniało mnie uniesienie, ale i lęk. Usłyszałem z oddali stukanie młyńskiego koła i szczekanie psa. Wyrecytowałem psalm. Tego nie można zapomnieć: «Gdy patrzę na Twe niebo, dzieło Twych palców, księżyc i gwiazdy, któreś Ty utwierdził: czym jest człowiek...»¹⁴. Kiedy wróciłem do domu, otworzyłem książkę, ale nie byłem w stanie czytać, zgasilem więc świeczkę. Jednak zanim położyłem się spać, złożyłem przysięgę: zawsze będę prowadził żydowskie życie. Zawsze będę słuchał swojego sumienia. Zawsze będę się starał wypełniać micwy dla Boga i bliźniego“.

Jednak świat codziennych interesów, który uczył go rzeczywistości, nie był odpowiednim miejscem dla tak szlachetnych zasad. Wielu Żydów, poszukujących furtki do społeczeństwa i jego życia kulturalnego, przyjęło chrześcijaństwo. Dla tych, którzy zostali przy judaizmie, jedyną drogą w górę był świat finansów, ale i tak nie mieli szansy na członkostwo w ekskluzywnym klubie „prawdziwych patriotów“. Heinrich Heine miał dobre powody, aby podsumować otwarcie żydowskiego szpitala w Hamburgu następującymi słowami:

„Szpital dla chorych, biednych Żydów
Dla synów człowieczych potrójnie dotkniętych
Trzema przypadłościami –
Nędzą, bólem ciała i żydostwem!
A z nich trzech ostatnia jest najgorsza“.

Poeta niesłusznie jednak żywił nadzieję, że konwersja na chrześcijaństwo stanie się lekiem na wszystkie bolączki bycia Żydem. Nawet ona nie mogła zmienić nastawienia przeciwników integracji Żydów w narodzie pruskim. Nie omieszkał zwrócić na to uwagi dziennikarz z Hamburga, doktor Eduard Mayer:

„Heine jest Żydem, jak Börne i Saphir. Ochrzczony czy nie, nie ma to znaczenia. To nie żydowskiej religii nienawidzimy, ale licznych wstrętnych cech tych Azjatów, które nie znikają z chwilą przyjęcia chrztu: bezwstydnosci i arogancji, które są powszechnymi ich wadami, złych manier i frywolności, impertynencji, która jest jedną z najbardziej dominujących cech ich charakteru... Nie należą do żadnego narodu, żadnego państwa, żadnej społeczności, włóczą się po świecie niczym niebieskie ptaki“.

¹³ Obecnie: Sypniewo.

¹⁴ Księga Psalmów, Psalm 8 (Biblia Tysiąclecia).

Wielu intelektualistów przyłączyło się wkrótce do tej oszczerczej kampanii. Esej pióra profesora Jakoba Friedricha Friesa z Uniwersytetu w Heidelbergu, przekazywany z rąk do rąk, z całą powagą podkreślał, że to Żydzi winni są deprawacji niemieckiego charakteru i że jedynym rozwiązaniem tego „problemu“ jest ich fizyczna anihilacja. Profesor historii Uniwersytetu Berlińskiego Christian Friedrich Rühls za najniebezpieczniejszych uważał tych Żydów, którzy starali się utworzyć most pomiędzy swoją religią a przynależnością do narodu niemieckiego. Proponował wprowadzenie wyraźnej formy identyfikacji, „aby żaden Niemiec nie dał się zwieść mową i zachowaniem swego żydowskiego sąsiada i nie miał trudności z rozpoznaniem wroga“. Czcigodny profesor mówił dalej, że „cudzoziemcy nie powinni cieszyć się tymi samymi prawami co Niemcy, tylko dlatego że stają się chrześcijanami“, i sugerował przywrócenie podatku dla Żydów. Inny zalecał, aby żydowskie kobiety zamykać w domach dla niewiast o wątpliwej reputacji, mężczyzn zaś kastrować i wysyłać do pracy przymusowej w kopalniach bądź sprzedawać jako niewolników do kolonii brytyjskich. „Być może - pisał kolejny - najlepiej byłoby oczyścić nasz kraj całkowicie z tych pasożytów, wypędzić ich, jak faraon z Egiptu, albo eksterminować na miejscu“.

Rząd nie popierał tych agitacji, ale też nie robił nic, aby się im przeciwstawić. Zakłamanie pruskich władz stało się jasne kilka lat później przy okazji sprawy porucznika Burga. Burg był instruktorem na obozie szkoleniowym dla artylerzystów. Przełożony wyznaczył go do awansu na kapitana, ponieważ wywarły na nim wrażenie poświęcenie i niezwykle zdolności podwładnego. Sztab generalny nalegał, aby Burg najpierw przyjął chrześcijaństwo, ale porucznik nie zgodził się. Po niekończących się odwołaniach sprawa wylądowała w końcu na biurku Fryderyka Wilhelma III. W liście do dowódców artylerii pruski król pisał:

„Nie mogę awansować pierwszego porucznika Burga, służącego w obozie szkoleniowym dla kanonierów i saperów, do rangi kapitana armii pruskiej. Muszę mieć pewność, że ktoś z jego wykształceniem i zdolnościami intelektualnymi dostrzeże prawdę i światło wiary chrześcijańskiej. Pomimo to pragnę docenić jego osiągnięcia w przygotowywaniu podręczników szkoleniowych i wynagrodzić jego starania sumą pięćdziesięciu złotych talarów, które załączam z korespondencją“.

Ponieważ oczekiwano od Żydów przejścia na chrześcijaństwo, a mimo to okazywało się, że krok ten w żaden sposób nie poprawiał ich pozycji społecznej, wielu z nich wybierało złoty środek - judaizm reformowany. Na początek zaczęto wydawać modlitewniki po niemiecku zamiast po hebrajsku. Niektórzy Żydzi posunęli się jeszcze dalej i nalegali, aby usunąć z nich wszelkie odniesienia do góry Synaj i wiary w nadejście Mesjasza. Ich zdaniem ani mistyczne odkupienie, ani Ziemia Ojców inna niż niemiecka ojczyzna nie były już potrzebne. Ruch reformowany w Hamburgu wydał następujące memorandum: „Nie oczekujemy nadejścia Mesjasza, który zaprowadzi Izraelitów do Erec Izrael. Nie chcemy tutaj takiego Mesjasza i nie uznajemy żadnej innej ojczyzny poza tą, w której się urodziliśmy i której obywatelami jesteśmy“.

Ascher Levy odrzucił pomysł przejścia na chrześcijaństwo, ale reformowani także go nie przekonywali. W dyskusji ze Stägerem utrzymywał, że należy połączyć stare i nowe, wczoraj i dziś, Torę ojców i rzeczywistość dnia dzisiejszego, ale w żadnym razie nie powinno to oznaczać porzucenia zasad Tory, która podtrzymywała istnienie ludu Izraela przez tysiące lat. Jednak zapytany, jak zamierza to osiągnąć, nie był w stanie podać rozwiązania.

Na początku lat trzydziestych XIX wieku Niemcy były podzielone na wiele małych księstw, a każdy władca starał się zachować suwerenność. Każdy książę elekt i każdy monarcha stanowili prawa dla swych poddanych, a każde najmniejsze państewko dbało wyłącznie o własne interesy. Cła ochronne na wszystkich granicach zaowocowały powsta-

niem niewidzialnych murów i wstrzymały rozwój wspólnej gospodarki. Dopiero w 1834 roku zniesiono częściowo te absurdalne opłaty. Żydzi pierwsi na tym skorzystali. Ponieważ wielu z nich miało krewnych rozsianych po świecie, mogli zbudować rozległą sieć informacyjną, najpierw na terenie Niemiec, a potem całej Europy, i rozpocząć wymianę towarów i usług finansowych na dużą skalę.

Znaki obwieszczające nadejście nowej ery nie dotarły jednak na Pomorze, będące jedną z najbardziej zacofanych prowincji. W innych regionach rodziła się powoli nowa klasa żydowskich bankierów i doradców, którym bogactwo pomagało uzyskać wstęp do śmietanki towarzyskiej, a nawet otrzymywać tytuły szlacheckie, bo w tym czasie zajmowanie się finansami i handlem już nie piętnowało. Nawet rodziny junkierskie i właściciele ziemscy zawierali transakcje finansowe, do tej pory całkowicie niewłaściwe z punktu widzenia ich statusu. Żydom nadal nie było jednak wolno sprawować funkcji publicznych. Nie mogli zostać oficerami wyższych stopni, sędziami ani gubernatorami, ale nie istniało już żadne prawo ani statut zakazujące im bogacenia się. Ludzie salutowali fładze i mundurom, władcom i symbolom ich władzy, ale i tak wszyscy wiedzieli, że pieniądze są ważniejsze niż cokolwiek innego. I tak jak Żydzi nie wypowiadali imienia Boga, nikt nie nazywał pieniędzy po imieniu. Jego Ekscelencja Pieniądz rządził anonimowo, prawdziwa szara eminencja w społeczeństwie będącym w trakcie przemian z feudalizmu w kapitalizm.

Pieniądze zapewniały nieznaną do tej pory poczucie bezpieczeństwa. Ale ci bez grosza przy duszy znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji. Karol Marks, syn ochrzczonego Żyda z Trewiru, nie wydał jeszcze swego *Manifestu komunistycznego*, kiedy dziewiętnastoletni Ascher Levy zrozumiał, że przekonania *zależą* od sytuacji życiowej. Jego wnioski różniły się nieco od wniosków wybitnych przedstawicieli żydowskiego proletariatu. Nie obchodziła go walka klas, ale poprawa własnej sytuacji. To ona mogła mu zapewnić uprzywilejowaną pozycję - naturalnie z pomocą pieniędzy.

Czekała go jeszcze długa droga. Z miesięczną pensją siedmiu talarów musiał bardzo starannie kontrolować wydatki. Nie mógł sobie pozwolić na luksusy. Zadowalał się prostym jedzeniem, oczywiście koszernym. Jego umysł pragnął jednak więcej.

Łaknął wiedzy. Większość pieniędzy przeznaczal na książki, ale nie czytał wszystkiego, co wpadło mu w ręce. Przeciwnie, był bardzo wybredny i starannie dobierał lektury. W wyobraźni wyruszał w podróże, fascynujące wyprawy do dalekich krain, odkrywał nieznaną mu wcześniej sposoby życia i myślenia. Bohaterowie powieści, które czytał, pojawiali się w jego snach, a po przebudzeniu poznawał nowe postaci z następnych książek. Mosze ben Majmon, znany także jako Majmonides, spoglądał na niego z portretu na ścianie. Ascherowi zdawało się czasem, że widzi wesoły błysk w jego oku.

„Najdroższa Matko - pisał w liście do domu - porywają mnie stronice Gemary i cudowna logika naszych mędrców. Ale czytam także poważną literaturę świecką i widzę, że daje ona coś więcej niż zwykłą rozrywkę. Proszę, nie mów o tym Ojcu, ponieważ nie rozumiałby, a tylko się rozgniewał...“.

Strony jego dziennika zapisane są prostym, równym pismem, sztywnym niczym pruscy żołnierze. Uwieczniał w nim ostatnio przeczytane książki - powieści historyczne sir Waltera Scotta.

„Odkryłem - pisze - że autor wpadł w tarapaty finansowe, a dziesięć lat później nawet ogłoszono go bankrutem. Od tamtej chwili pisał coraz więcej i więcej, aby móc wieść życie odpowiednie do swego statusu. Wnoszę z tego, że potrzeba czyni człowieka pomysłowym i twórczym. Może to lekcja dla mnie, abym mógł wyciągnąć z niej wnioski na przyszłość“.

Ojciec Aschera nigdy nie dowiedział się o zamiłowaniu syna do literatury świeckiej. W czwartek, siedemnastego kwietnia 1834 roku, Ascher rozpoczął pracę jak zwykle o szóstej trzydzięci. Stäger stanął w drzwiach, a po chwili spojrzał na niego badawczo.

- Odmówiłeś już poranną modlitwę? - spytał.

Ascher, zastanawiając się, do czego zmierza pracodawca, odparł krótko:

- Oczywiście, proszę pana. Przyszedłem tu prosto po modlitwie. Nigdy o niej nie zapominam.

- Dobrze. Mam dla ciebie smutne wieści.

- Jak coś smutnego może być dobre?

- Jesteś bezczelny, mój chłopcze - ostrzegł go Stärger.

- Proszę mi wybaczyć. Nie miałem zamiaru być nieuprzejmy. Przypuszczam, że ma to coś wspólnego z firmą Hagena z Berlina, bo dziś przypada termin rozliczenia. Słyszałem jednak, że starszy pan Hägen ma kłopoty.

- Nie, tym razem nie ma to nic wspólnego z interesami.

- Czy coś się stało?

- Otrzymałem list z Belgardu. Twój ojciec zmarł wczoraj rano. Niech jego pamięć będzie błogosławiona.

Ascher stał bez ruchu, skamieniały.

- Nie wiem, co było przyczyną - dodał Stärger. - Nie słyszałem, żeby chorował.

- Bóg daje, Bóg odbiera. Niech imię Pana będzie błogosławione - wymamrotał Ascher.

- Przypuszczam, że zechcesz pojechać do domu - rzekł Stärger. - Jestem gotów dać ci wolne. Obowiązuje cię sziwa.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Nie wolno ci pracować podczas żałoby. Zapłacę ci połowę wynagrodzenia za ten tydzień, gdy cię nie będzie.

- Doceniam pańską dobroć, Herr Stärger, ale obawiam się, że nie mogę przyjąć pańskiej szczodrej propozycji. Nie mam żadnych oszczędności, nawet tyle, aby wynająć konia i powóz na tak długą podróż, a dylizans będzie dopiero pod koniec tygodnia - odparł Ascher i spojrzał pytająco na pracodawcę.

Stärger udał, że nie zrozumiał.

- Przykro mi - mruknął i wzruszył ramionami.

- Mnie też.

- Co zatem zamierzasz?

- Dokończę sprawozdanie dla urzędników podatkowych. Jakikolwiek opóźnienie, a dołożą nam karę i odsetki.

- Mądry chłopak - rzekł Stärger z uśmiechem, a zanim zniknął w swym gabinecie, dodał:

- Dopilnuj, by dokumenty dla barona von Blanckenburga były gotowe. Powiedziałem mu, żeby przyszedł na dziewiątą.

Baron von Blanckenburg, członek pruskiej arystokratycznej rodziny, z której wywodziło się wielu oficerów oraz urzędników państwowych wysokiej rangi, był właścicielem kilku okolicznych wiosek. Piękny majątek Wilkendorf również należał do niego. Baron wydawał bale, grał w karty i wyruszał w długie podróże, nie poświęcając ani chwili zarządzaniu należącymi do niego folwarkami. Ale dotarł do kresu drogi. Pieniądze, które wygrał w karty, roztrwonił na nieprzemysłane transakcje na niestabilnych giełdach papierów wartościowych Frankfurtu i Berlina. Nieudane inwestycje zmusiły go do skorzystania z usług lichwiarzy. Kiedy przyszedł termin spłat pożyczek krótkoterminowych, a wierzyciele zaczęli łomotać do wrót zamku, musiał nawet zapożyczyć się pod zastaw rodzinnego majątku, aby uniknąć upokarzającego postępowania prawnego, które splamiłoby honor rodziny. Blanckenburg uzależnił się od żydowskich lichwiarzy. Dla arystokraty jego rangi była to sytuacja nie do zniesienia.

Jeszcze dwa lata wcześniej Louis Stärger spełniał każdą prośbę tego człowieka z wylewną uprzejmością. Najsubtelniejsza aluzja czy sugestia sprawiała, że Stärger pojawiał się w mig w posiadłości barona, kłaniając mu się w pas. Teraz pozostało jedynie: „Dopilnuj, by dokumenty były gotowe. Powiedziałem mu, żeby przyszedł na dziewiątą“, i było oczywiste,

że szlachcic przyjdzie do biura Żyda, jakby byli sobie równi pochodzeniem. Ascher Levy miał właśnie otrzymać lekcję pogładową na temat potęgi pieniądza. I faktycznie, punkt dziewiąta baron pojawił się w biurze. Ascher przyglądał się, jak wysiada ze wspaniałego powozu i nakazuje służącemu, aby zaczekał w odległości jakichś stu metrów. Najwyraźniej nie chciał, aby ktokolwiek dowiedział się o jego kontaktach z Żydem. Stärger także, gdy zobaczył nadchodzącego barona, pospiesznie wycofał się do magazynu. Blanckenburg wszedł, oparł łaskę o kontuar i ze złością w głosie zapytał:

- Gdzie są papiery?

Ascher rozłożył przed nim skrypty dłużne. Blanckenburg przejrzał je i spytał dociekliwie:

- Czy to twoje dzieło?

Ascher spuścił wzrok, zażenowany, aby baron nie poczuł się obrażony litością w jego oczach.

- Tak, panie. To ja przygotowałem dokumenty. Mam nadzieję, że nie zrobiłem błędu.

Ascher podniósł wzrok i ich oczy się spotkały. Baron bez słowa odłożył papiery na kontuar. W powietrzu czuć było silną woń koniaku.

Ascher zebrał się na odwagę i powiedział:

- Nie powinien pan być inwestować tyle w hiszpańskie obligacje.

- A cóż ty wiesz o obligacjach, chłopcze?

- Uczę się, panie.

- Zdaje się, że jesteś chlubą swego nauczyciela - zauważył baron z wyraźną złością i drwiną w głosie.

Obaj wiedzieli, że baron ma właśnie przepisać Stärgerowi kolejną część majątku. Gniew właściciela ziemskiego nasilał się, a Ascher czuł narastające napięcie. Baron nie mógł dłużej się powstrzymać i zapytał:

- Czego dokładnie się nauczyłeś?

- Śledzę interesy mojego pracodawcy. On także miał hiszpańskie obligacje. Ale przewidział upadek giełdy i sprzedał je, jedną po drugiej.

- Sprzedał? Kiedy?

- Mniej więcej rok temu, gdy tylko dowiedział się o śmierci króla Ferdynanda. Herr Stärger wyjaśnił, że zrobił to dlatego, iż Hiszpania ma już ogromne długi związane z wysokimi kosztami utrzymania wielkiej armii w Meksyku i że prawdopodobnie wybuchnie wojna o sukcesję. Wojna z don Carlosem. Królowa Izabela...

- Dość już! Nie przyszedłem tu, by wysłuchiwać od ciebie wykładów na temat historii.

Ascher nic na to nie odpowiedział.

- A to drań! Stärger doskonale wiedział, że zainwestowałem w hiszpańskie obligacje, i słowa nie powiedział. Nie uprzedził mnie.

- To nie była tajemnica, wasza wysokość. W gazetach mnóstwo było o tym.

- Nie ostrzegł mnie, łajdak. Chciał mnie zrujnować, wciągnąć w długi. Chce przejąć cały mój majątek. Żydowska kanalia. Jak miałem przewidzieć efekt takich wydarzeń? Dlaczego nie dostrzegłem, że ma chrapkę na Wilkendorf? Żyd na majątku junkra? Boże miłosierny, dlaczego pozwoliłeś tej żydowskiej zarazie rozprzestrzenić się po naszej ziemi?

- Żydzi, wasza wysokość, są tu od pięciuset lat. Sprowadzili się przed Prusakami, panie. Żyli w tym regionie, gdy był pod rządami Słowian. To książę pomorski Warcisław IV dał im prawo osiedlania się w okolicy Belgardu. A to było w czternastym wieku, panie... A jeśli chodzi o pańskie nieudane transakcje, pozwolę sobie zauważyć, że spryt nie jest grzechem.

- Czy ty na wszystko masz odpowiedź?

- Staram się zrozumieć bieg wydarzeń i wyciągać wnioski. Czy wasza wysokość uważa to za naganne?

- Jesteś przebiegły. Chytry. Jak cała twoja rasa. Ostrzegano mnie przed wami, doradzano, aby unikać jak dzumy. Szkoda, że nie skorzystałem z tej rady.

- Nie jestem nieuczciwy, panie. Nikogo nigdy nie oszukałem - odparł Ascher.
- W tak młodym wieku nie miałeś jeszcze ku temu okazji. - Baron wziął rachunki, rzucił na nie okiem i podpisał. - Teraz jesteś zadowolony?
- Jestem tylko zwykłym pracownikiem - brzmiała odpowiedź Aschera.
- Tak, ten Stärger, ten... Zawsze jęczał, jaki straszny los mają Żydzi. Jacyż to my jesteśmy okrutni dla Żydów. Wydaje mi się, że tym razem nie ma powodu do narzekań. Powiedz mu, że powinien podnieść ci pensję o talara tygodniowo. Jesteś tego wart! - mruknął gniewnie.
Stärger, usłyszawszy trzaśnięcie drzwiami, wrócił do sklepu, przejrzał dokumenty, złożył je i schował do kieszeni.

- O to chodziło! - obwieścił radośnie.

Ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Stärger pojechał do Szczecina i złożył skrypty dłużne w banku jako zabezpieczenie sporej pożyczki. W drodze do domu zatrzymał się w Kammin, aby odwiedzić brata, i zaproponował mu spółkę w nowym interesie. Po kilku miesiącach otworzyli duże przedsiębiorstwo zajmujące się handlem wełną. Księgowość nowego interesu powierzono Ascherowi, teraz prawie dwudziestoletniemu. Owcza wełna była ostatnim krzykiem mody na rynku. Sposób na sukces był prosty. Wełnę kupowano tanio od miejscowych rolników i sprzedawano po wysokich cenach producentom wyrobów włókienniczych. Ale przemysł ciągle był w powijakach i często zdarzały się kryzysy. Banki wspierały tylko duże przedsiębiorstwa, mające znaczne zyski, które zatrudniały tanią siłę roboczą, przede wszystkim kobiety i dzieci. Bracia Stärger handlowali jednak głównie z małymi fabrykami, które często nie były w stanie dotrzymać zobowiązań i w końcu padały ofiarą większych rywali. Każda fabryka, która była zmuszona zakończyć działalność, pogłębiała kryzys. A kiedy doszło do tego, że wpływy z handlu alkoholem nie były już w stanie pokryć strat, bracia musieli ogłosić bankructwo. W miasteczku brakowało pracy, latem 1835 roku Ascher wrócił więc do Belgardu. Przyjechał tam z pustymi kieszeniami i nikłymi szansami na lepszą przyszłość. Piętnastego września jego matka, Esther, zmarła, nie pozostawiając ani grosza.

Jego ojciec, Jäckel, zaczynał jako domokrażca, a teraz syn miał pójść w jego ślady. Załadował towary na prosty wózek. „Dobre! Tanie! Okazja!“, wołał głośno, a chłopcy wybiegali z chat, by kupić to i owo. Praca była ciężka nie tylko dlatego, że chłopcy się targowali, ale dlatego że zimą ciężko było ciągnąć wózek. Niewiele czasu zajęło Ascherowi dojście do wniosku, że to zajęcie, nawet gdy miał dobry dzień i wracał do domu z pustym wózkiem, nie przybliży go ani o krok do celu. Musiał znaleźć bardziej dochodowy sposób, co mu się w końcu udało.

W krótkim okresie między siewem a żniwami pojawiał się w chatach biedoty, wiedząc, że wszystkie pieniądze wydali na ziarno. To było jego pięć minut. Pukał do drzwi chłopów i rozkładał przed nimi towary. Często miał do czynienia z samymi kobietami, bo mężczyźni w poszukiwaniu pracy wyruszyli do ośrodków przemysłowych. „Nie macie pieniędzy? Nie martwcie się. Zostawcie to mnie“, zapewniał je, gdy podziwiałały jego towary i wyciągały po nie ręce. „Weźcie, co wam się podoba. Nie trzeba teraz gotówki. Możecie zapłacić ziarnem po żniwach“.

Aby obliczyć ekwiwalent w zbożu, liczył według cen z poprzedniego roku. Powolny, ale stabilny wzrost cen zapewniał mu pokaźny zysk. Do tego dochodziło siedem procent odsetek ustalonych prawem.

Wkrótce zaczął udoskonalać swoje sposoby. Zamiast wracać do wiosek podczas żniw po należną mu zapłatę, a potem szukać kupca albo wydawać ogromne - w jego mniemaniu - sumy na transport i przechowanie ziarna, na miejscu dobijał kolejnego targu: zimą chłopcy kupowali przybory tkackie i len, a płacili za nie latem. Ale w czasie siewu potrzebowali świeżych nasion. Cóż prostszego niż zaoferować im ich własne ziarno na zasiewy? Ale jak

mieliby za nie zapłacić? Skrawkiem ziemi, na przykład, który można by odsprzedać towarzystwom zaczynającym właśnie budowę linii kolejowych.

Nie trzeba mówić, że nie był to dobry sposób na zyskanie sobie sympatii. Ale po kilku latach takich działań Ascher znalazł się w dość zadowolającej sytuacji finansowej. Kiedy przechadzał się uliczkami Belgardu, nawet starsi obywatele kłaniali mu się pierwsi, uchylając kapelusza i okazując szacunek, co było cudownym i nieznanym mu dotąd doświadczeniem. Dorobił się nawet brzuszka, jak przystało na burżuazję z okazałą sumką w banku. Nie ma się więc co dziwić, że znani swaci z tak dalekich miejscowości, jak Stolp¹⁵, Köslin czy Dramburg¹⁶ przybywali do niego z kuszącymi propozycjami. Miał w pamięci traktat Talmudu o błogosławieństwach¹⁷ - trzy rzeczy decydują o reputacji mężczyzny: wspaniały dom, piękna żona i eleganckie utensylia domowe.

O Fanny Benjamin usłyszał od pochodzącego z Dramburga swata o imieniu Moses. Moses wychwalał cnoty tej dziewiętnastoletniej damy i nie zapomniał wspomnieć o posagu, który młoda żona wniosłaby do małżeństwa. Ustalono, że Ascher spotka się z nią w domu ich wspólnych przyjaciół w Dramburgu i nie podejmie decyzji, dopóki nie zobaczy jej na własne oczy. Jego propozycję przyjęto bez wahania.

Ascher Levy nigdy nie marzył o romantycznej miłości. Dla niego małżeństwo było wstępem do wypełnienia przykazania o rozmnażaniu się, a poza tym długoterminową inwestycją, wymagającą poważnego przemyślenia. Jego stosunek do małżeństwa wynikał z wiary, którą wyznawał: w judaizmie ideał „wiecznej kobiety“ jest nieznanym, a miłość nie jest celem samym w sobie. Znał niemal na pamięć święte pisma i stąd wiedział, że poza Pieśnią nad Pieśniami erotyzm nie ma nic wspólnego z małżeństwem, a pożądanie zawsze przedstawiano w negatywnym świetle. Cóż więcej, dobrze znał traktat z Talmudu mówiący o tym, że prawdziwy mężczyzna potrafi zapanować nad swymi żądzami.

Tydzień później jechał już dylizansem pocztowym. Nie było wtedy prawdziwych dróg, a dylizans zatrzymywał się w każdej miejscowości, aby dostarczyć listy i paczki. Choć wyruszył o świcie, dotarł do Dramburga dopiero wieczorem. Przyjaciele powitali go ciepło. Swat powiadomił ich wcześniej o celu wizyty, zaproponowali mu więc, żeby zatrzymał się u nich.

Ascher chętnie przystał na ich propozycję. Miał dość śmierzących oberży i zajazdów, gdzie klienci upijali się i znęcali nad żydowskimi kupcami. Ataki i kradzieże zdarzały się nader często. Przyjaciele dali mu pokój, a na jego cześć pani domu nagrzała nawet wody do kąpieli. Kiedy już zmył brud podróży i nałożył czyste ubranie, udał się z panem domu do miejscowej synagogi na wieczorne modły. Po powrocie ujrzeni stół zastawiony przysmakami. Ascher usiadł w fotelu i poczuł się jak w domu. Z wyraźną przyjemnością delektował się filiżanką herbaty, którą podała mu gospodyni. Poczęstowała go jego ulubionym ciastem - ciepłym strudlem z jabłkami, i wyjaśniła, że przepis pochodzi z samego Wiednia. „Austriacy znają drogę do serca mężczyzny“, roześmiała się. Ale kulminacją wieczoru było pojawienie się młodej damy w przepięknej wieczorowej sukni - jakby panna Fanny i jej matka zajrzały po drodze do sąsiadów.

Jeśli chodzi o Fanny, to jej piersi nie przypominały „gron winnych“, a szyja wieży z kości słoniowej. Krótko mówiąc, nie wyszła prosto z Pieśni nad Pieśniami króla Salomona. Suknia opinała jej krępałą figurę z rozłożystymi biodrami. Ale gdy dziewczyna spojrzała na Aschera, ujrzał on ciemne oczy, wpatrujące się w niego z zaciekawieniem. Gdy jej wzrok spoczął na jego brzuchu, instynktownie starał się go wciągnąć. Od chwili gdy przestąpiła próg, wiedział, że będzie to pani jego serca. Jej jasne długie włosy opadały na koronkowy kołnierzyk. Zauroczył go sposób, w jaki od czasu do czasu nerwowo je odrzucała.

¹⁵ Obecnie: Słupsk.

¹⁶ Obecnie: Drawsko Pomorskie.

¹⁷ Traktat Berachot.



Fanny Levy z d. Benjamin i Ascher Levy

- A więc to ty jesteś tym mężczyzną - powiedziała cicho. Nie zachowywała się tak, jakby nie miała pojęcia, po co tu przyszła. Spodobała mu się jej szczerłość, lekceważąca konwenanse.

- Tak, to ja jestem tym mężczyzną - odparł, a na jej twarzy pojawił się uśmiech, gdy dodał:

- O ile ty jesteś tą kobietą.

Jednak czekała ich zwyczajowa procedura, związana z tym rytuałem. Z początku kobiety nie włączały się do rozmowy, a mężczyźni omawiali bieżące wydarzenia polityczne. Tu na Pomorzu życie się nie zmieniło, wszystko toczyło się powoli i ospale. W południowych i centralnych państwach niemieckich sytuacja była zgoła przeciwna, pojawiały się jak grzyby po deszczu ruchy liberalne, a emocje rosły. Wielu intelektualistów domagało się nadania konstytucji, aby ukrócić władzę książąt elektów, i uważało ją za potencjalny cudowny lek na wszystkie problemy państwowe i społeczne. Stopniowo rosło znaczenie burżuazji, która uważając się za filar podtrzymujący państwo, stanęła na czele tej kampanii. Izbę badeńską uznano za twierdzę liberalizmu. Lokalna prasa rozpisywała się na ten temat. Wskazując na gazetę, Ascher Levy stwierdził zdecydowanie: „Nie mamy czasu na taki nonsens, i dzięki Bogu“. Dodał, że nie zamierza walczyć o drastyczne zmiany, a jego główną troską jest poprawa własnej sytuacji. Pan domu przytaknął. Obaj mieli swój udział w minionych próbach rewolucyjnych, które rozbudziły tylko nieuzasadnione nadzieje, a ich wpływ okazał się nietrwały.

Sziduch został zatwierdzony, ale dopiero po rozmowie w cztery oczy, którą Ascher Levy odbył z ojcem Fanny. Następnego dnia usiedli razem, bardzo poważni, aby oszacować się wzajemnie i uzgodnić datę przekazania posagu. Herr Benjamin chciał wiedzieć, ile wart jest jego przyszły zięć. Ascher zgromadził przyzwoitą sumę w banku i był właścicielem kilku nieruchomości, które zdobył, pracując jako domokrażca. Przyszły pan młody nie wahał się jasno określić swoich wymagań odnośnie do posagu. Rodzina Benjaminów miała pokryć większość sumy za dom, w którym zamieszkałaby młoda para. Benjamin był świadom, jakie szczęście ma jego rodzina, że znaleźli Aschera Levy'ego. W owym czasie całkowita liczba Żydów na Pomorzu wynosiła około pięciu tysięcy, a swaci dwoili się i troili, aby właściwie dobrać przyszłą młodą parę. Był to nie lada wyczyn, aby wyszukać takiego pana młodego,

jakim był Ascher Levy, mężczyzna w kwiecie wieku, a ponadto zamożny. Gdy tylko dwaj mężczyźni skończyli rozmawiać i uścisnęli sobie dłonie na znak porozumienia, swat pukał już do drzwi, domagając się zapłaty.

Ascher znał tę część kraju. Zwiedził cały ten region, znał każdą miejscinę i najmniejszą wioskę. Kiedy przyszło mu podjąć decyzję, gdzie chciałby się osiedlić, wybrał Bad Polzin, miejscowość uzdrowiskową słynącą ze źródeł leczniczych. Uwielbiał spokój tego miasteczka, otoczonego gęstymi lasami. Krajobraz przypominał mu okolice Friedlandu. Przez wiele lat Polzin praktycznie się nie zmienił, faktycznie od wojny trzydziestoletniej i czasów Wielkich Elektorów. Miasteczko przytulone było do zbocza wzgórza, a w jego centrum wyrastał imponujący zamek, pamiątka po polskich władcach, którzy zbudowali go na fundamentach dawnego klasztoru. Burmistrz, niejaki Herr Schmieden, był kiedyś klientem Aschera. Domy były pięknie ozdobione, a ich mieszkańcy zarabiali na życie, głównie świadcząc usługi okolicznym dużym majątkom, które bez wyjątku specjalizowały się w uprawie ziemniaków. Pozostali mieszkańcy wynajmowali pokoje letnikom. Przyjeżdżały ich setki każdego roku, aby skorzystać z wód leczniczych, za obowiązującą wtedy cenę jednego reichsthalera¹⁸ i dziesięciu groszy. Dom zdrojowy był dumą obywateli Polzin i uważano go za jedną z najnowocześniejszych budowli tego typu. Kiedy pani majorowa von Roschnitzka odkupiła go od swojej siostry w 1837 roku za jedyne trzy i pół tysiąca talarów, ubiła doskonały interes.

Na południe od Polzin znajdowały się urokliwe jeziora polodowcowe, z których największe - Dratzig See¹⁹ - pełne było ryb. Okolice miasteczka zamieszkiwało niewiele osób. Więcej tam było osik i lip niż ludzi. Niezwykle piękno krajobrazu dało początek nazwie „Szwajcaria Pomorza“. Populacja Polzin wynosiła wtedy około tysiąca pięciuset dusz, w tym trzydziestu siedmiu Żydów.



Główna ulica w Bad Polzin, 1935 r.

Mimo że miejscowy nauczyciel, Itzig Hohenstein, nie wywarł dobrego wrażenia na Ascherze Levym jako człowiek o wątpliwej pobożności, Ascher ucieszył się, że była tam żydowska szkoła, co będzie ważne, gdy przyjdą na świat dzieci. Nie zapomniał o przysiędze, którą złożył wiele lat wcześniej. Nigdy nie opuścił porannej i wieczornej modlitwy, i nie złamał zasad koszerności. Ale dystansował się od Żydów z Europy Wschodniej, którzy nie chcieli obciąć pejsów i nosili ciemne kapelusze z szerokim rondem do kompletu z czarnymi chałatami. Dbał o to, by nie odróżniać się od rdzennych mieszkańców Pomorza ani ubiorem, ani zachowaniem. W jego niemczyźnie nie było śladu obcego akcentu. Mówił poprawnym

¹⁸ Reichsthaler (niem.) - talar Rzeszy.

¹⁹ Obecnie: jezioro Drawsko.

językiem niczym klasy wyższe, a dodatkowo opanował lokalny dialekt. Dla prostego ludu mógł być jednym z nich, ale znakomicie potrafiłyby odnaleźć się w salonach bogaczy.

Potrafiłby, ale tego nie robił. Kiedy odkrył, że dwupiętrowy dom przy Brunnenstrasse 14 jest na sprzedaż, zwrócił się z ofertą do członka rodziny von Manteufflów, właściciela nieruchomości. Czekał pełną godzinę na werandzie domu szlachcica, zanim ten w końcu raczył go przyjąć. I nawet gdy Ascher wyraził gotowość zapłaty tysiąca trzystu pięćdziesięciu reichsthalerów, sumy, która nie była mała nawet dla dobrze sytuowanego junkra, i tak nie zaproszono go do salonu. Transakcję zawarli w bocznym pokoju, służącym gospodarzowi za gabinet. Ascher Levy nie czuł się urażony. Znał swoje miejsce w hierarchii społecznej, choć był głęboko przekonany, że stopniowo będzie wspinał się po drabinie, szczebel po szczeblu. Nie spieszył się. Wiedział, że nie jest możliwe przeskoczenie więcej niż jednego szczebla naraz i że musi być ostrożny i cierpliwy. Ascher Levy miał obie te cechy.

Brunnenstrasse uznawano za jeden z najlepszych adresów w Polzin. Do ogrodów uzdrowiska i centrum miasteczka były trzy minuty spacerem. Przyjdzie czas, gdy ulica ta zostanie nazwana Adolf Hitler Strasse. Jednak na początku lat czterdziestych XIX wieku było to nie tylko dobre miejsce do zamieszkania, właściwe dla statusu ekonomicznego Aschera, ale też dogodny punkt na siedzibę firmy, którą Ascher od dawna planował założyć. Kiedyś jego głównym źródłem dochodu był zakup ziarna u chłopów, teraz zaś postanowił korzystać z usług pośredników. Wierzył, że z czasem okaże się to korzystnym krokiem. Nie musiał już uganiać się za klientami. Od tej chwili to oni mieli przyjeżdżać do niego do Polzin. Nie ukończył jeszcze trzydziestki i cieszył się znakomitym zdrowiem. Cierpiał jedynie na nadmiar energii. Ale nie był już skory do dalekich podróży. Osiągnął odpowiedni wiek, aby zostać ojcem rodziny. Fanny także nie obawiała się mówić tego, co myśli. Nie poślubiła go po to, aby nocie spędzać samotnie w zimnym łóżku.



*Dom rodzinny Levych i siedziba ich firmy przy
Brunnenstrasse w Bad Polzin*

Ascher i Fanny urządzili się w trzypokojowym mieszkaniu na piętrze domu. Na ścianach przestronnej sypialni powiesili portrety Majmonidesa i Fryderyka Wilhelma IV, króla Prus od poprzedniego roku. Meble do sypialni, stanowiące część posagu, przywieziono z Dramburga. Pozostałe kupili u miejscowego stolarza. Mieli podobny gust, lubili prostotę i skromność. Jedynym zakupem, jakiego Fanny dokonała w znanym sklepie w Szczecinie, była aksamitna lamówka do zasłon i tkanina na pościel. Podczas ich pierwszych wspólnych nocy Ascher nie wiedział, co podziwiać najpierw - białe poduszki wypełnione gęsim puchem, gładką pościel czy ciało żony.

Dwa pokoje na drugim końcu ciemnego, wąskiego korytarza przekształcono w jadalnię i salon, który służył także za prywatny gabinet Aschera. Na dębowym biurku stała grawerowana srebrna ramka, w której umieścił kwit potwierdzający, że jego ojciec Jäckel przekazał dwadzieścia pięć talarów na fundusz wojenny przeznaczony na walkę z Napoleonem Bonaparte. Ten dokument wraz z portretem króla, wiszącym w sypialni, świadczyły o lojalności Aschera wobec ojczyzny. Umieszczając je w prywatnych apartamentach zamiast w biurze, w którym mógłby zobaczyć je każdy nieznajomy, nadał tej lojalności bardzo osobisty rys. Miłość do ojczyzny i obecna sytuacja stanowiły dwie zupełnie różne sprawy. Ascher nie łudził się. W głębi duszy miał bolesną świadomość, że jego przywiązanie jest jednostronne. Niezależnie od tego, co czuł do Prus, Prusy nie odwzajemniały jego miłości.

Tylko jedną szufladę zamykał na klucz, nawet przed Fanny, aby nie miała pokusy, by ją otworzyć, tak jak Ewa uległa pokusie zjedzenia jabłka z drzewa poznania. Przechowywał tam nacjonalistyczne pamflety i rozprawy „naukowe“, ostrzegające przed „żydowskim niebezpieczeństwem“, wzywające do zemsty na tych, którzy ukrzyżowali Chrystusa, mordercach Syna Bożego, i domagające się ocalenia Prus przed wpływem tych, dla których obca była idea chrześcijaństwa. Choć wiedział, że ta zjadliwa propaganda nie jest wymierzona przeciwko niemu osobiście - w Polzin znany był jako trudny, ale uczciwy człowiek - nie mógł udawać, że ona nie istnieje i nie ma wpływu na otaczających go ludzi.

W Szabat, po porannej modlitwie, Ascher spotykał się z innymi żydowskimi przedsiębiorcami. Nie ze wszystkimi, oczywiście, lecz z trzema lub czterema, zajmującymi podobną pozycję co on. W przyjaznej atmosferze, przy filiżance herbaty lub kawy, poważnie rozprawiali o bieżącej sytuacji. Jego towarzysze popierali liberalizm, który wzniecał w nich nadzieje na równouprawnienie wszystkich obywateli. Ascher jednak popierał króla, ponieważ nie wierzył w rewolucyjne idee. Poza tym zawsze skłaniał się ku lojalności wobec osób reprezentujących władzę. Nigdy nie chciał słyszeć ani słowa przeciwko rodzinie królewskiej, a w ogniu dyskusji, kiedy wyczerpały mu się wszelkie logiczne argumenty, wybuchał z pasją: „A co liberałowie zrobili, żeby pomóc w budowie kolei?“.

Kolej! To słowo w jego uszach brzmiało jak muzyka. Jego kuzyn, Moritz Gottschalk, otworzył niedawno kantor w Berlinie, zarabiając fortunę na giełdzie papierów wartościowych, i ponaglał go: „Przyszłość leży w kolei. Pamiętaj, aby nie spóźnić się na pociąg“. Ci dwaj byli bliskimi przyjaciółmi od dzieciństwa, i choć rzadko mogli się spotykać, często pisywali do siebie. Ascher listy od Moritza także trzymał w szufladzie, ale do niej Fanny miała dostęp. Kuzyn był na bieżąco ze wszystkimi nowinkami - po erze dróg i kanałów, która otworzyła centrum kraju dla transportu, nastąpił błyskawiczny rozwój kolei. Mimo nieudanego początku, kiedy podróż koleją z Berlina do Poczdamu zajmowała około półtorej godziny (dłużej niż powozem konnym), kolej szybko zatriumfowała. Importerzy żelaza, stali i lokomotyw z Anglii bogacili się, inżynierowie za swą pracę otrzymywali wysokie stawki, a właściciele ziemscy, którzy pozwolili na kładzenie torów i budowanie stacji na ich terenie, inkasowali ogromne sumy. Ponadto na rozkaz króla rząd zaczął wypłacać minimalne dywidendy w wysokości trzech i pół procenta za akcje kolei. Ascher nie widział powodu, by

„spóźnić się na pociąg“, i zlecił zakup na swoje nazwisko akcji przedsiębiorstwa kolejowego Fürth-Norymberga. Była to dochodowa inwestycja, która zachęciła go do kolejnych.

Jego bohaterem stał się Friedrich List, nie tylko dlatego, że znalazł przyszłościowe rozwiązanie problemów transportowych i przy okazji zapewnił ogromne źródło dochodów, ale przede wszystkim dlatego, że położył fundamenty pod zjednoczenie Niemiec. Połączenie zysku i świadomości narodowej przekonało Aschera. Do tej pory znany był w Polzin jako „Żyd od zboża“, teraz nazywano go kpiąco „Żydem od kolei“. Miejscowi mądrale mieli zupełną rację. W ciągu zaledwie czterech lat położono ponad tysiąc kilometrów torów, a inwestycje Aschera uczyniły go najbogatszym Żydem, nie tylko w Polzin, ale w całym powiecie belgardzkim. Jego następną inwestycją, znów powodowaną radą kuzyna z Berlina, był zakup akcji linii kolejowej Lipsk-Magdeburg. W ciągu kilku lat dywidendy wzrosły z czterech do dziesięciu procent, a cena akcji potroiła się. Suma na koncie bankowym przerosła jego najśmielsze oczekiwania.

Teraz jednak, kiedy już zebrał spory majątek, Ascher doszedł do wniosku, że nie warto stawiać wszystkiego na jedną kartę. Ciągłe handlował zbożem, a pokaźną część zysków zainwestował w tartak w oddalonej o cztery kilometry od Polzin miejscowości Kollatz²⁰. Popyt na drewno był ogromny, a rozległe lasy regionu zapewniały dostawy surowca na lata, a może i dziesięciolecia. Tartak okazał się mądrą inwestycją, która miała przynieść znaczny zysk.

Wielki szacunek, jakim Ascher darzył Fryderyka Wilhelma IV za jego sposób rządzenia państwem, nie wynikał tylko z tego, że się wzbogacił. Zaledwie w rok po koronacji król zwrócił uwagę na Ziemię Świętą. Wielka Brytania, Austria i Rosja uczyniły to przed nim. Główne mocarstwa Europy podejrzewały, że słabnące imperium Ibrahima Paszy będzie łatwą zdobyczą, i każde na swój sposób spieszyło z wysunięciem roszczeń do części łupu. Król Prus zasugerował wspólny patronat nad świętymi miejscami chrześcijan, ale spotkał się z odmową. Car Rosji i cesarz Austrii nie byli zainteresowani dopuszczeniem kolejnego partnera do podziału imperium osmańskiego. Walka o rozszerzenie istniejących sfer wpływów w upadającym imperium rozgorzała na dobre. Francuzi występowali jako siła chroniąca katolików. Rosja wyrażała swe roszczenia jako spadkobierca Bizancjum i strażnik prawosławia w rejonie Morza Śródziemnego. Brytyjczycy pragnęli zapewnić sobie dostęp lądem do Indii. Austriacy ukrywali chęć przejęcia wpływów za sympatią dla kultury i religii przybyszów z Europy Środkowej, głównie Żydów, którzy osiedlali się w tym regionie. Fryderyk Wilhelm IV nie tracił czasu i przystąpił do działania. Wysłał Ernsta Gustava Schultza jako pełniącego obowiązki konsula z oficjalną misją do Jerozolimy, miasta najbliższego sercu Aschera, ustępującego jedynie miastom Prus.

Moritz informował go na bieżąco o tych ekscytujących wydarzeniach. W tym czasie stał się on współnikiem Gersona Bleichrödera, przedstawiciela słynnego bankiera Rotszylda, w kilku jego pomniejszych przedsięwzięciach. Listy Moritza zawierały żywe opisy berlińskiego życia. Opowiadając o toczących się tam walkach o prestiż i władzę, podkreślał wagę obracania się we właściwych kręgach: „Wierz mi lub nie, ale tu w stolicy jedno zaproszenie na bal od wpływowej damy może zadecydować o przemianie nędzarza w bogacza“. Sam Moritz Gottschalk nie bywał na tych eleganckich salonach. Miał jednak talent literacki, a odmalowany przez niego w listach obraz piramidy społecznej tego wspaniałego miasta był tak żywy, że Ascher czuł, jakby był gościem na tych fascynujących przyjęciach. Cieszył się, że nie musi się wspinać po stopniach tej piramidy: upadek z takiej wysokości mógłby się skończyć katastrofą.

W porównaniu z Berlinem Polzin był spokojną wysepką pośrodku wzburzonego oceanu. Po jeziorze w ogrodach domu zdrojowego pływało dostojnie kilka pięknych łabędzi. Tu na prowincji nie trzeba było tak bardzo rozpychać się łokciami jak w Berlinie, gdzie polityka i

²⁰ Obecnie: Kołacz.

chciwość szły ramię w ramię. Tradycyjny porządek społeczny pozostał niezmienny. Junkrzy nadal byli junkrami, robotnicy nie marzyli o posiadaniu przedstawicieli w parlamencie, a chłopci znali swoje miejsce. To, co Moritz pisał o właściwych koneksjach, miało jednak pewne odniesienie do Polzin. Ascher był biegły w sztuce prawienia komplementów tam, gdzie było to potrzebne, i głosił pogląd, że jeśli brzęk monet we właściwym miejscu we właściwym czasie wyda się temu, z kim ma do czynienia, muzyką dla jego uszu, nie pozostanie on obojętny. Wiedział, że moneta jest płaska, by można ją było zamknąć w dłoni, a okrągła, aby kręciła się, gdy trzeba.

Poranek dziewiętnastego października 1841 roku był chłodny, lecz przyjemny. Powietrze pachniało jesienią. Ascher i Fanny elegancko ubrani wyszli z domu. Ascher miał na sobie ciemny garnitur, kapelusz i kamizelkę w kratę. Złoty łańcuszek zwiisał z kieszonki kamizelki, a jego drugi koniec zniknął w kieszeni spodni. Fanny nałożyła na suknię długi czarny płaszcz, obsyty z przodu czarnym jedwabiem. Szli powoli w stronę ratusza, odpowiadając skinieniem głowy na powitania przechodniów, jak przystało osobom z ich pozycją społeczną. W gabinecie burmistrza czekało na nich kilku rajców miejskich i innych dygnitarzy. Urzędnik miejski siedział przy niewielkim stoliku, przed sobą miał stos dokumentów, kałamarz, gęsie pióra i oficjalną pieczęć miasta Polzin.

- Witam na ceremonii zaprzysiężenia - obwieścił burmistrz; wyciągnął dłoń do Aschera i skinął głową do Fanny. Urzędnik wskazał jej miejsce wśród widzów. Ascher starał się z całych sił ukryć podniecenie. W rzeczywistości ceremonia ta jedynie potwierdzała istniejący stan rzeczy. Już bowiem dawno temu zdobył pozycję w miasteczku. Mimo to rozłożony przed nim imponujący dokument symbolizował przejście z przeszłości w teraźniejszość, coś, o czym marzył jego ojciec, ale czego nigdy nie osiągnął. Jäckel starał się z całych sił zapuścić korzenie w tej ziemi, nie pozwolono mu jednak na to. Ascher przywołał w pamięci dzień, gdy musiał opuścić rodzinny dom, aby zacząć samodzielnie zarabiać na życie. Ojciec towarzyszył mu w drodze do zajazdu, skąd odjeżdżał dyliżans pocztowy, i powiedział do niego: „Owoc ma pestkę i skórkę. Pestka to ty - twoja natura, myśli, wiara. Ale ludzie będą cię osądzać wyłącznie po skórce. To ona nadaje ci wygląd. Nie będzie częścią ciebie i nie masz nad nią kontroli. Jest niczym woal, przezroczysty tylko z jednej strony. Widzisz przez niego, ale ludzie wokół ciebie - nie. Będą patrzeć na ciebie tak, jak sami postrzegają świat. Dla nich zawsze będziesz przeklętym Żydem“. Ascher słyszał te słowa, jakby ojciec w tej chwili szeptał mu je do ucha.

- Proszę tu podpisać - rzekł urzędnik. - Miło mi poinformować pana, że władze miasta przyjęły pański wniosek. Witamy w naszej społeczności.

Była to zwyczajowa formułka, jakby ceremonia nie stanowiła nic wyjątkowego, a jedynie czystą formalność.

Ascher Levy wziął do ręki dokument, w milczeniu przebiegł po nim oczami, po czym odczytał na głos:

„Władze pruskiego miasta Polzin w prowincji Pommern ogłaszają i deklarują, że kupiec Ascher Levy, spełniwszy wymagania stosowne do jego prośby, został przyjęty do grona obywateli tego miasta. Wyżej wymieniony wygłosił dziś następującą przysięgę:

Ja, Ascher Levy, przysięgam wobec Wszchemogącego i Wszchwidzącego Boga oraz Jego Królewskiej Wysokości, Króla Prus, mojego Najlaskawszego Pana, że jako uniżony poddany, lojalny i posłuszny, gotowy służyć swoim zwierzchnikom, będę świadomie wypełniać obowiązki obywatela i pracować ze wszystkich sił dla dobra państwa i społeczności, do której należę, tak mi dopomóż, Boże, w imię Twego Syna, Jezusa Chrystusa.

Przewodniczący Rady Miasta przyznaje wymienionemu Ascherowi Levy'emu wszystkie prawa i przywileje, przysługujące zamieszkałemu tu obywatelowi. Nadanych mu praw obywatelskich, dopóki będzie ich wart, Przewodniczący Rady Miasta będzie bronił z całych sił przed każdym, kto chciałby je zakwestionować.

Przedstawiono i udokumentowano w obecności członków Rady Miasta i przypieczętowano pieczęcią miasta Polzin 19 października 1841 roku.

Przewodniczący Rady Miasta“.

Gdy Ascher przeczytał na głos cały tekst, pokręcił głową.

- Żałuję, ale nie mogę tego podpisać.

Burmistrz Schmieden uniósł brew.

- Herr Levy...?

Ascher odłożył dokument na stół, odwrócił się i wymienił spojrzenia z Fanny, po czym powiedział cicho:

- Chciałbym zasugerować niewielką zmianę w formule przysięgi obywatelskiej.

- Zmianę? - wykrzyknął zdumiony urzędnik.

Na twarzy Schmiedena pojawił się wyraz konsternacji.

- Z całym szacunkiem, mein Herr, ale wydaje mi się, że zaszło godne ubolewania nieporozumienie. Treść sformułowały najwyższe władze Prus i nie wypada panu jej zmieniać.

- Mam nadzieję, że zgodzi się pan, iż przysięga ta została ułożona z myślą o obywatelach chrześcijańskich. Ja jestem wyznania mojżeszowego i nie mogę przysiąc na Boga chrześcijan i jego ukrzyżowanego syna.

- Inni Żydzi podpisali bez żadnych obiekcji - sprzeciwił się urzędnik.

- Być może. Ale nawet gdybym podpisał, czy ważna byłaby moja przysięga? Proszę się zastanowić: czy przysięga byłaby dla mnie obowiązująca? Gdyby pan miał przysiąc na Torę? Czy przysięga byłaby dla pana wiążąca?

- Brzmi to rozsądnie. - Schmieden gestem nakazał urzędnikowi położyć dokument ponownie przed Ascherem. Ascher wykreślił fragment „w imię Twego Syna, Jezusa Chrystusa“ i napisał nad nimi kilka słów po hebrajsku. Urzędnik przyjrzał się zmianie, nie rozumiejąc, co oznacza. Ascher zanurzył pióro w kałamarzu i złożył podpis.

- Ten dowód nadania obywatelstwa zostanie zapisany w archiwach miejskich pod numerem dwieście osiemdziesiątym siódmym - oznajmił urzędnik suchym, monotonnym głosem.

Obecni podeszli do Aschera i jeden po drugim uścisnęli mu dłoń.

- Serdecznie witamy w naszej społeczności.

Ascher uśmiechnął się. Większość gratulujących stanowili jego klienci, winni jego firmie pieniądze.

- Teraz jest pan jednym z nas - ogłosił burmistrz i otoczył Aschera ramieniem.

- Zawsze byłem. Tylko dużo czasu wam zabrało, by to zrozumieć.

Tego wieczoru w domu Levy'ch odbyło się przyjęcie. Zostali zaproszeni wszyscy, Żydzi i nie-Żydzi, ważni klienci, przyjaciele i naturalnie miejscy dygnitarze. Burmistrz i członkowie rady miasta nie pojawili się. Ascher Levy być może stał się jednym z nich, ale jedynie do progu swego domu. Czuł się głęboko upokorzony, ale nic nie powiedział. Po cóż psuć wszystkim przyjemność. Fanny wiele godzin spędziła w kuchni, przygotowując swoje najlepsze potrawy - koszerne, oczywiście. Gdy dostrzegł jej rozczarowanie, objął ją ramieniem i lekko uścisnął. Przyjęła ten pocieszający gest z uśmiechem. Później, gdy Salomon, handlarz bydłem, wypił zbyt wiele i zaczął głośno komentować nieobecność Schmiedena i jego współpracowników, Ascher zganił go, mówiąc:

- Dość już! Pijmy dziś za króla.
- Za króla! - zawtórowali mu goście.
- I za jego misję w Ziemi Świętej - dodał podekscytowany Ascher. - Jeśli Bóg pozwoli, nadejdzie dzień, gdy udam się tam jako dumny obywatel Prus i dumny Żyd, który nie wyrzeka się swojej religii.

Przyjęcie trwało do późnej nocy. Gdy wyszli ostatni goście, Ascher poszedł na piętro do swego pokoju i zapisał w dzienniku: „Kilka chwil szczęścia potrafi wynagrodzić długie lata cierpienia“.

Następnego dnia nad wejściem do domu przy Brunnenstrasse pojawił się szyld, na którym wyraźnymi literami napisano:

*Ascher Levy Bankier, kupiec zbożowy i rolny
Tartak i skład drewna.*

Dobrze prosperujący interes potrzebuje spadkobiercy. Trzynastego czerwca 1845 roku urodził się ich pierwszy syn. Zgodnie z żydowską tradycją Ascher i Fanny postanowili nazwać dziecko na cześć dziadka - rabina Berischa. Jednak aby iść z duchem czasu, chcieli nadać imieniu niemieckie brzmienie, Berisch stał się więc Bernhardem. Rok później Fanny urodziła drugiego syna, Juliusa. Po dwóch latach przysłała na świat ich siostra, Vogel.

Ascher miał już teraz rodzinę, majątek i został wybrany przewodniczącym niewielkiej gminy żydowskiej, skierował więc całą energię w rozwój przedsiębiorstwa. Miało ono dobrą renomę, ponieważ wszelkich zobowiązań dotrzymywano na czas, a słowo właściciela było święte. Oczywiście plotkowano o nim za jego plecami, ale sukces zawsze niesie ze sobą zawiść. Jednak ludzie kłaniali mu się na ulicy, jak przystało poważanemu obywatelowi. Gdy chłopcy wchodził do jego biura, aby zapytać o zaliczkę na poczet najbliższych zniw albo dowiedzieć się o pracę czy pożyczkę, nigdy nie zapominali dokładnie wytrzeć butów na leżącej przed wejściem wycieracze. Stawali następnie przed biurkiem Aschera, miętosząc czapki w dłoniach, i czekali cierpliwie, aż szanowny właściciel lub jeden z jego asystentów znajdzie dla nich czas. Im większa była prośba, tym niżej klient się kłaniał. Im niższe były pokłony, tym większa odraza i nienawiść. Musieli jednak bardzo zważać na słowa. „Szanowny pan“ przemierzał pokój równym krokiem, trzymając ręce w kieszeniach czarnych spodni, a złoty łańcuszek błyszczał przyczepiony do guzików kamizelki, „szanowny pan“ zastanawiał się, czy dać pożyczkę, czy nie, przystać na transakcję czy z niej zrezygnować. Choć miał możliwości ratować, „szanowny pan“ mógł także niszczyć.

Tartak w Kollatz pracował już na dwie zmiany, co było nietypowe dla sennego Pomorza. W 1847 roku Ascher Levy nabył pięćdziesiąt procent udziałów w tartaku Gustav Möller i Następcy. Jego współdziałowcem była rodzina Falkenheimów ze Szczecina, należąca do miejscowej szlachty. Kiedy publicznie ogłoszono zakup, wiele osób kręciło nosem, bo spółka junkra z Żydem była nie do przyjęcia w rejencji koszalińskiej. Wielu ostrzegało Aschera, aby nie rozwijał interesów za szybko. Twierdzili, że niecierpliwość i zbyt ambitne cele niechybnie prowadzą do kłopotów. Ale zamówienia napływały, a pieniądze zasilaly kasę. Produkty z obu tartaków transportowano do centrum królestwa, gdzie rozwijający się przemysł domagał się coraz więcej surowca. Industrializacja bardzo szybko zmieniła istniejący porządek społeczny. Pojawiła się nowa klasa społeczna - proletariąt. Wywarła też znaczny wpływ na tradycyjne rzemiosło.

Rywalizacja większych przedsiębiorstw spowodowała stopniowe wycofanie się z rynku drobnych producentów. Zatrudnianie kobiet i dzieci poważnie zmniejszyło dochody męskiej siły roboczej. Wielu mężczyzn straciło pracę, tym samym zmieniła się tradycyjna struktura rodzinna. Wzrastało niezadowolenie, a z nim zdecydowana odmowa zaakceptowania nieuchronności tych zmian. W Londynie Karol Marks wydał *Manifest komunistyczny*. Ruch

liberalny zyskiwał wpływy, a jego ośrodkiem stał się Frankfurt nad Menem, tak różny od konserwatywnego Berlina.

W połowie kwietnia 1847 roku Ascher udał się w interesach do Belgardu, miasteczka, w którym urodził się trzydzieści dwa lata wcześniej. Dom jego rodziców, spalony przez rozwścieczoną zgrają, został odbudowany. Mieszkająca w nim teraz rodzina żyła z wynajmowania pokoi. Większość mieszkańców stanowili Żydzi, uciekinierzy z Europy Wschodniej, którzy chcieli dotrzeć do Szczecina, skąd mieli nadzieję wyemigrować statkiem do Ameryki. Każdy, kto w ostatniej chwili zrezygnował z tej wielkiej przygody, mógł liczyć na pomoc właścicieli domu. Wiedzieli oni bowiem, jak załatwiać różne sprawy z władzami, które mogły przyjąć lub odrzucić prośbę o zgodę na osiedlenie się w Królestwie Prus. Wielu chciało zostać. Nikt nie mógł przewidzieć, że sto lat później decyzja ta dla ich potomków będzie oznaczała śmierć.

Podczas pobytu Aschera w Belgardzie na zachód od Zatoki Szczecińskiej wybuchły krwawe zamieszki spowodowane głodem. Gdy wieści o tym dotarły do niego, przyjaciele poradzili, aby skrócił pobyt, na wypadek gdyby niepokoje ogarnęły także Polzin. Jednak Ascher nie słuchał tych ostrzeżeń. Nie wyobrażał sobie, aby mieszkańcy miasteczka, których znał wszystkich bez wyjątku, mogli stanowić zagrożenie dla jego rodziny. Bliskość dawnego domu rodziców i świadomość strasznego losu, jaki ich spotkał, także nie miały znaczenia. Ascher nie identyfikował się z demonstrującymi masami. Teraz znajdował się po przeciwnej stronie barykady, chroniła go jego zamożność. Jednakże to poczucie bezpieczeństwa było całkowicie nieuzasadnione. Zamieszki rozprzestrzeniały się, a przemoc narastała, aż w końcu dosięgnęła Polzin. Setki ludzi, także robotnicy, szturmowały uliczki i targ, okradając kupców, a nawet atakując przechodniów. Jentsch, członek rady miasta, czuł, że nadeszła dla niego chwila chwały. Gdy zrozumiał, że na tej sytuacji można zbić kapitał polityczny, stanął na czele buntowników. Burmistrz Schmieden był chory, przykuty do łóżka, a jedyny żandarm Polzin, Johann Preiss, czuł się bezradny wobec zgromadzonego tłumu. Nie wiadomo, jak by się wszystko potoczyło, gdyby nie szybka interwencja naczelnika powiatu von Kleista-Retzowa. Z pomocą naprędce zebranej policji położył kres powstaniu. Niedługo potem sejmik powiatowy przeznaczył kilkadziesiąt tysięcy reichsthalerów na zakup rosyjskiego żyta, aby upiec chleb i rozdać głodującym. Ale metoda kija i marchewki nie mogła rozwiązać podstawowego problemu. W niedzielę drugiego kwietnia 1848 roku nastąpił nowy wybuch przemocy, gorszy od poprzedniego, skierowany tym razem przeciwko mieszkańcom żydowskiego pochodzenia, przede wszystkim zamożnym. Dom Aschera ucierpiał najbardziej, choć ocaliła go straż miejska, która wezwała miejscowych karabinierów. Mimo to Ascher Levy nadal nie chciał dostrzec, że jest to początek końca.

W południowych Niemczech głodujący chłopci powstali przeciwko podatkowi, które musieli płacić właścicielom ziemskim. Nie chcieli ustąpić nawet wtedy, gdy wkroczyła armia. W marcu 1848 roku Fryderyk Wilhelm IV rozkazał kawalerii stłumić demonstracje na ulicach Berlina. Moritz Gottschalk napisał: „Możesz uważać się za szczęściarza, że nie byłeś świadkiem tych wydarzeń. Nawiasem mówiąc, radzę ci pozbyć się czym prędzej wszystkich udziałów w przedsiębiorstwie kolejowym“. Ale nic nie było w stanie podważyć ufności Aschera Levy'ego w królewską sprawiedliwość. Wysłał on kuzynowi długą i szczegółową odpowiedź, w której stwierdzał, że sprzedaż tych akcji w tak strasznym czasie byłaby równoznaczna ze zdradą wobec króla. Ta lojalność miała go słono kosztować i choć zwykle był rozważny w interesach, poniósł wielkie straty.

Choć były to wydarzenia o historycznej wadze, znoszące kraj w nieznanym kierunku, na Ascherze nie zrobiły wrażenia. Nie uznał zebrania Zgromadzenia Narodowego we frankfurckim kościele pod wezwaniem świętego Pawła ani za ważne, ani godne wsparcia, mimo iż pięciu żydowskich członków wzięło udział w tej sesji konstytucyjnej. Pozostał niewzruszony, gdy Eduard Martin von Simson został wybrany na przewodniczącego

parlamentu. Simson, ochrzczony Żyd z Königsbergu²¹ od lat głosił potrzebę zjednoczenia Niemiec pod rządami silnego i mądrego władcy. Dwadzieścia osiem państw niemieckich poparło konstytucję proponowaną przez Simsona. Ascher jednakże pozostał wierny swemu królowi, który w kwietniu 1849 roku odrzucił ze wstrętem propozycję przyjęcia korony imperium, symbolizującej zjednoczone Niemcy bez Austrii, zaoferowanej mu przed delegacją, na której czele stał Simson. Ascher w pełni zgadzał się z Fryderykiem Wilhelmem IV, który napisał:

„Na litość boską, czy oczekuje się, że prawowity król przyjmie takie nakrycie głowy, zrobione z gnoju i szmat? Czy Król Prus, który cieszy się błogosławieństwem z pewnością najszlachetniejszej, jeśli nie najstarszej korony, ma włożyć taki przedmiot? [...] Jeśli tysiącletnia korona narodu niemieckiego, odłożona na czterdzieści dwa lata, ma zostać teraz przekazana raz jeszcze, uczynię to ja i mnie równi. Biada temu, który przejmuje to, do czego nie ma prawa!“.

Koronę, którą król odrzucił w Białej Komnacie pałacu miejskiego w Berlinie, zabrano z powrotem do Frankfurtu koleją. W odpowiedzi na to akcje na giełdzie poleciały na łeb na szyję, a najbardziej ucierpiały akcje przedsiębiorstw kolejowych. Mimo to Ascher Levy był zadowolony - król był górą, a parlament frankfurcki upadł.

Na Brunnenstrasse 14 powoli wprowadzano zmiany. Staroświeckie meble zastąpiono biedermeierem, a lampy gazowe zajęły miejsce świec.

Nowoczesne oświetlenie ułatwiło pracę Ascherowi, który miał już kłopoty ze wzrokiem i musiał nosić okulary. Sąsiedzi zachwycali się okrągłymi stolikami spoczywającymi na szerokich rzeźbionych nóżkach i fotelami obitymi aksamitem w brązowo-złote pasy. Ściany pokryto czystym jedwabiem w jasnym kolorze. Na urodziny Fanny kupiła panu domu ogromną bibliotekę z przeszklonymi drzwiami. W środku starannie ustawiono święte pisma, a między tomami Talmudu znalazło się także kilka dzieł sir Waltera Scotta. W kącie salonu stała szklana gablotka w stylu angielskim, ozdobiona piękną ramą, w której znajdowała się kolekcja tancerek w koronkowych strojach i postaci z niemieckich bajek. Wszystkie figurki wykonane były z najdelikatniejszej, najdroższej porcelany. Stolarze w Kollatz zrobili biureczka dla dzieci, aby były gotowe, gdy będą już potrzebowały odrabiać lekcje.

W tym właśnie przytulnym domowym zaciszu Ascher co wieczór wsuwał się do małżeńskiego łóżka, w pościel z czystej bawełny. Fanny już tam na niego czekała. Uwielbiał opowiadać jej ze wszelkimi szczegółami o interesach. Potem zasypiał głębokim, spokojnym snem człowieka zadowolonego ze swych poczynań. Dlaczegoż by nie? Mężczyźni mierzą własne osiągnięcia, porównując się z innymi. Miał świadomość, że w ośrodkach politycznej wrzawy rozwijały się o niebo błyskotliwsze kariery. Ale w Polzin nie miał rywali. Jego dom był najpiękniejszy w całej okolicy. W małej żydowskiej społeczności uważano go za pierwszego wśród równych. Mimo że zdarzyło mu się kilka niewielkich potknięć, jego majątek ciągle rósł. A przed snem mógł wyciągnąć dłoń i dotknąć ciepłego ciała żony. Jego świat był jasno określony, zamknięty w ochronnym pancerzu statusu, pieniędzy, zdrowia i głębokiej wiary w wolę Stwórcy. Przeszkody, które dawniej wznosiły się niczym niemożliwe do przejścia mury, teraz zniknęły. Przyszłość nie niosła ze sobą żadnych szczególnych zagrożeń. Zapewnił bezpieczny i łatwy start dwóm synom. Mieli zostać jego następcami. Od czasu do czasu rozmyślał nad tym, w jaki sposób podzieli interes - jeden syn zajmie się sprawami finansowymi, drugi zaś będzie odpowiedzialny za handel i przemysł. Bernhard prowadziłby finanse, a Julius wyspecjalizowałby się w prowadzeniu tartaków i handlu zbożem. Jeśli Bóg da, znajdzie dla Vogelchen odpowiedniego męża, który przestrzeże micwot, praw, i zapewni jej szczęśliwe i dostatnie życie. Wszystko to dało się zaplanować i

²¹ Obecnie: Kaliningrad (Królewiec).

postanowić. Nie będzie już żadnych niespodzianek. Rodzina Levych głęboko zapuściła korzenie i żadna siła w świecie nie zdołałaby ich wyrwać.

Miał też osobiste marzenia. Czasem rozmyślał o nich w łóżku przed snem, a świat poza jego domem przestawał istnieć. Pewnego wieczoru, gdy nocna cisza ogarnęła już Polzin, leżał z otwartymi szeroko oczyma i błdził wzrokiem po suficie.

- O czym myślisz? - spytała Fanny.
- O niczym, najdroższa. -Ale...
- Powiedziałem ci już - o niczym.
- Ascherze... - westchnęła.
- Nie masz powodów do zmartwień.
- A jednak się martwię.
- Wszystko jest dobrze, wierz mi.
- Nie. Nie jest dobrze. Czuję przecież, że coś przede mną ukrywasz.
- Może innym razem, Fanny. Idź spać. Późno już.

Ascher wstał i zgasił lampę. Ubóstwiał włączać i wyłączać światło. Lampa gazowa ciągle była nowością, a jemu sprawiała frajdę równą tej, jaką dziecku daje nowa zabawka. Księżyc wisiał nad miasteczkiem, które skąpane było w jego bladym jasnym świetle, wpadającym do domu przez firanki. Fanny milczała. Słyszał jej oddech i wiedział, że nie śpi. Czy może dopuścić ją do sekretów swego serca? Znała go jako człowieka trzeźwo myślącego w każdej sprawie. Jak zareagowałaby, gdyby powiedział jej o obsesji, która go ogarnęła i nie chciała opuścić?

Pragnął wyruszyć na pielgrzymkę do Jerozolimy. Tam wsunąłby między kamienie Ściany Płaczu zwitek papieru z prośbą do Boga o pomoc w wychowaniu synów. Napawałby oczy widokiem Ziemi Świętej i wdychał to samo powietrze, którym oddychali niegdyś prorocy. Pomysł ten nie był nagłym impulsem. Nie pamiętał już, kiedy po raz pierwszy przyszedł mu do głowy. Zapewne w młodości, być może podczas długich spacerów po okolicy Wilkendorf, niedaleko Friedland, które wpłynęły na jego życie? Z upływem lat płynące z głębi serca pragnienie, aby zrealizować ów pomysł, stało się jeszcze silniejsze.

Zmierzchało już, gdy usiadł przy biurku i dał upust swej tęsknocie w długim liście do Moritza. Ku jego zdziwieniu kuzyn nie wyśmiał pomysłu - wręcz przeciwnie. „Zgadzam się, że nie jest to mądre przedsięwzięcie dla osób w naszym wieku. Zaczekajmy, aż nasze włosy przyprószy siwizna, wtedy wyruszemy. Razem. Być może podróż ta okaże się zwieńczeniem naszej przyjaźni“. Podobnie jak w poprzednich listach nalegał też, aby Ascher nie myślał tylko o zyskach, ale i o swojej pozycji w życiu publicznym.

Jego uporczywe prośby padały na podatny grunt, gdyż Ascher rozważał to od pewnego czasu. Jako Żyd na konserwatywnym Pomorzu nie miał najmniejszych szans, aby zostać wybranym do sejmiku powiatowego. Jednak kiedy w radzie miasta Polzin pojawił się wakat, nie tracił czasu i wysunął swoją kandydaturę. Czyż nie liczył się tak samo jak Peter Röhn, kotlarz, który przez dwanaście lat, aż do śmierci, zasiadał w radzie miasta?

Tak sądził. Ale inni uważali inaczej. Burmistrz Schmieden, który przez ostatnie miesiące był przykuty do łóżka, przyjął Aschera w swym domu na przyjacielską pogawędkę.

Cierpliwie wysłuchał deklaracji Aschera, wyrażając uznanie, gdy „Levy, Żyd od zboża“ wyliczał darowizny dla instytucji dobroczynnych miasteczka oraz na specjalny fundusz na rzecz rozbudowy domu zdrojowego. Gdy Ascher Levy dotarł do punktu kulminacyjnego swego sprawozdania, pan domu usiadł w łóżku i pojednawczym tonem dał mu radę:

- Przykro mi, ale to nie jest dobry czas na mianowanie Żyda do rady miejskiej.
- Dlaczego by nie? - spytał Levy gniewnie. - Czyż nie ma Żydów w pruskim parlamencie?
- Polzin to nie Berlin - odparł Schmieden. - A skoro już mowa o parlamencie, powinien pan wiedzieć, że wieści o wystąpieniach Bismarcka dotarły na Pomorze. Pochodzi z tego regionu, nic dziwnego, że jego słowa mają tu znaczenie. Jest jednym z nas.

- A ja nie? - zapytał Levy zaskoczony. - W końcu także urodziłem się i wychowałem na Pomorzu. Ja również składałem przysięgę lojalności wobec króla i ojczyzny, tak jak on.
- Mój panie, jest pan bystrym człowiekiem. Dobrze pan wie, że jest różnica.
- Różnica, która jest nie do przyjęcia.
- Być może. Ale nie zmienia to rzeczywistości.
- Rzeczywistość to nie matematyka, mein Herr. Rzeczywistość to proces ciągłych zmian.
- W takim razie będzie pan musiał poczekać, aż nadejdzie pański czas, a Bismarck zmieni stanowisko.

Ascher Levy wiedział aż za dobrze, do czego odnosi się burmistrz. W zamkniętej na klucz szufladzie w jego domu leżała kopia przemówienia, które Bismarck wygłosił piętnastego lipca 1847 roku w parlamencie pruskim. Ascher znał jego tekst na pamięć:

„Nie jestem wrogiem Żydów, a jeśli oni są moimi wrogami, przebaczam im. Czasami nawet ich kocham. Nie mam nic przeciwko ich dążeniu do wszystkich praw, poza jednym, którym jest sprawowanie urzędów publicznych w chrześcijańskim państwie. [...] W tych częściach kraju, w których obowiązuje edykt z 1812 roku, nie są pozbawieni, o ile mnie pamięć nie myli, żadnych praw, poza możliwością zajmowania urzędów państwowych. Teraz chcą to zmienić i żądają prawa do bycia deputowanymi do parlamentu, generałami, ministrami, a nawet ministrami edukacji. Przyznaję, że jestem pełen uprzedzeń wyssanych z mlekiem matki, i wypieranie się tego byłoby z mojej strony daremne. Ale jeśli sobie wyobrazę, że ja, przedstawiciel jego świętej wysokości króla, miałbym być posłuszny Żydowi, czuję się głęboko zasmucony i upokorzony. Przyjemność i uzasadnione poczucie zaszczytu, jakie czerpię z jak najlepszego wykonywania moich obowiązków wobec państwa, zniknęłyby. To są uczucia, które podzielał z masami ludzi z nizin społecznych i nie wstydę się z nimi równać. [...] Dostrzegam, że w Berlinie i innych większych miastach żydowski element składa się niemal wyłącznie z godnych szacunku ludzi. Widzę także, że na prowincji tacy Żydzi też się zdarzają. [...] Ale znam region zamieszkały przez dużą społeczność żydowską, gdzie chłopci nie są już posiadaczami niczego, co znajduje się na uprawianej przez nich ziemi; od pierzyny po widelec wszystko w domu należy do Żyda, zwierzę w zagrodzie należy do Żyda: [...] zboże na polu i w stodole...“.

Nikt nie twierdził, że Ascher nieuczciwie dorobił się swego majątku, ale jego uczciwość nic nie znaczyła wobec twierdzeń Bismarcka. Pozostawał fakt, że gdy inni tracili, wielu Żydów zyskiwało. Nawet Ascher nie mógł temu zaprzeczyć.

Zarówno Ascher Levy, jak i Otto von Bismarck ujrzeli światło dnia na Pomorzu, w roku 1815, brzemiennym w skutki, gdy rozradowane tłumy krzyczały: „Napoleon jest skończony!“. Podczas gdy narodziny Aschera Levy'ego były skromnym wydarzeniem rodzinnym, przyjście na świat małego Ottona zostało przyjęte radosnym obwieszczeniem. Drące się wniebogłose niemowlę z majątku Schönhausen było potomkiem starej junkierskiej rodziny, od stuleci znanej ze stanowczości. Żyła ona na Pomorzu jeszcze przed rządami Hohenzollernów. Drzewo genealogiczne Levy'ch miało korzenie za granicą, w Oriencie, i nie było ani olśniewające, ani arystokratyczne. Między tymi dwiema rodzinami i dwoma światami zionęła przepaść. Kilka słów junkra wystarczyłoby, aby ziemia usunęła się Żydowi spod stóp. Żaden z nich nie mógł przewidzieć, że pewnego dnia ich drogi się skrzyżują.

Ascher szukał pocieszenia w pracy. Miał zwyczaj wstawać rankiem, czasem jeszcze przed świtem, rzadko kładł się spać przed dziewiątą wieczorem. Wbrew obietnicy, którą dał kiedyś żonie, wciąż często podróżował w interesach. Jego reputacja dobrego kupca sięgała daleko, od Szczecina na zachodzie po Kolberg²² na wschodzie. Nie miał czasu dla dzieci. To Fanny martwiła się różnicami między Berim a Julim. W wieku czterech lat Beri przypominał już

²² Obecnie: Kołobrzeg.

ojca. Poruszał się jak on, przemierzał przestrzeń długimi, energicznymi krokami, wypowiadał się spokojnie i z namysłem, a jeśli coś mu nie odpowiadało, krzywił się tak samo jak ojciec. Kiedy rozpoczął naukę w szkole żydowskiej w miasteczku, błyszczał na matematyce i historii, ale robił postępy także w nauce świętych pism. Nauczyciel bez końca wychwalał zapał swego ucznia, który nie poprzestawał na wyuczeniu się materiału na pamięć, jak to było wtedy w zwyczaju, ale starał się dotrzeć do sedna zagadnienia. „Pani syn nie ma czasu na nonsens“, mawiał. Fanny jednakże obawiała się, że syn zbyt szybko dorośnie. „Nie ma nic gorszego niż dziecko pozbawione dzieciństwa“, twierdziła. Ascher tylko wzruszał ramionami. Jeśli o niego chodziło, był zadowolony.

Juli był zupełnie inny. Choć młodszy od brata, szybko go przerósł. Był smukły i przystojny, ale brak cierpliwości sprawiał, że nie miał zbyt wielu kolegów. Jego stopnie nie do końca zachwycaly rodziców, a surowa dyscyplina szkoły okazała się trudna do zaakceptowania. Wolał marzyć o jeziorze z łabędziami w parku i planować uczniackie psikusy z dziećmiakami sąsiadów. Ascher miał nadzieję, że gdy nadejdzie pora, Juli spoważnieje. Ale on nawet jako nieco starszy młodzieniec nie przejawiał zainteresowania handlem. Pieniądze nie miały dla niego wielkiego znaczenia, nic więc dziwnego, że gdy nadszedł czas podjęcia decyzji, Ascher wyjawiał sekrety prowadzenia firmy jedynie starszemu synowi.

Bezrobocie w wielkich miastach sprawiło, że lata pięćdziesiąte XIX wieku były trudną dekadą. Jednak miasteczko Polzin doświadczyło swoistego rozkwitu. Gdy osiedlał się tam Ascher Levy, liczyło około tysiąca pięciuset mieszkańców. Teraz ich liczba wzrosła do czterech tysięcy dwustu, z czego siedmiuset stanowili Żydzi. Nie brakowało pracy dla nikogo, choć płace były niskie. Same fabryki Aschera zatrudniały ośmiu pracowników umysłowych i ponad stu dwudziestu robotników.

Władze przystąpiły do budowy głównych dróg. Pierwsza była droga do Jastrowa²³, a ponieważ sejmik powiatowy przeznaczył aż czterdzieści trzy talary na budowę jednej mili, inżynierowie spieszyli się z realizacją projektu. Browar rodziny Fuhrmannów także się rozwijał, a kiedy w 1852 roku jego właściciel Karl Fuhrmann postanowił kupić kolejną fabrykę, browar Sering przy Bärwalder Chaussee, było dla niego oczywiste, że zaciągnie u Aschera Levy'ego pożyczkę w wysokości pięciuset reichsthalerów, na okres pięciu lat, na procent o jeden wyższy niż dywidendy, które Ascher Levy otrzymywał z tytułu posiadania udziałów w przedsiębiorstwach kolejowych. Ponieważ na wytwórców odzieży z Polzin niekorzystnie wpłynęła mechanizacja produkcji tekstyliów, oni także postanowili iść z duchem czasu, aby uniknąć poważnego kryzysu. Latem 1852 roku rozpoczęły się prace nad budową nowej przędzalni i filcowni, a piątego lutego 1853 fabryka ruszyła. Pierwsze zamówienie złożyło wojsko, co zapewniło fabryce obiecujący początek.

Mniej więcej w tym czasie przewodniczący sejmiku powiatu Kleist-Retzow postanowił szerzej wykorzystać wody zdrojowe i wybudować szpital, filię szpitala Betania w Berlinie, który miały prowadzić zakonnice. Nieruchomość zakupiono za dwieście reichsthalerów, a w pełni wyposażony szpital miał kosztować w sumie dwadzieścia trzy tysiące talarów. Kiedy szukano dotacji publicznych dla uzyskania tej ogromnej kwoty, rodzina Levych ofiarowała dwieście pięćdziesiąt talarów. Chociaż Ascher otrzymał list z podziękowaniem za hojną darowiznę od samego przewodniczącego sejmiku, nie zaproszono go na uroczystość wmurowania kamienia węgielnego. Nie miał prawa stanąć w jednym rzędzie z dygnitarzami z miasteczka i regionu, aby powitać jego wysokość króla Fryderyka Wilhelma IV, który przybył na ceremonię. Musiał zostać w swym biurze i zadowolić się sprawozdaniem w gazecie, które oczywiście pojawiło się dopiero następnego ranka.

²³ Jastrowie.

„O godzinie pierwszej po południu, dwudziestego sierpnia, Jego Wysokość w drodze do Neustettin²⁴ zatrzymał się w uroczyscie przystrojonym mieście. Bicie dzwonów obwieściło jego przybycie z Belgardu. Gdy król przejechał przez wspaniałą bramę honorową, wzniesioną przy wjeździe do Polzin, salutowali mu karabinierzy, a na rynku, gdzie zmienił konie, przywitali go członkowie zgromadzenia okręgu, przedstawieni przez przewodniczącego rady regionu, oraz przedstawiciele władz miasta, a także ci, którzy przybyli z Schivelbein²⁵, Dramburga i Falkenburga²⁶. Następnie władca pozwolił sobie na kilka minut wytchnienia w domu aptekarza Bücklinga, gdzie specjalnie na tę okazję przygotowano pokój. Później Jego Królewska Mość i towarzysząca mu świta oraz przedstawiciele władz miasta udali się na plac budowy wielkiego szpitala Betania, znajdujący się około pięćset kroków od miasta, gdzie odbyła się uroczysta ceremonia wmurowania kamienia węgielnego. Kaznodzieja Kleedehn przyjął Jego Wysokość na placu budowy wśród śpiewu chórów z Polzin, Schivelbein i Dramburga. Pastor wygłosił krótkie kazanie i pobłogosławił zebranych, po czym Jego Wysokość zamienił z nim kilka przyjaznych słów. Następnie baron von der Reck w imieniu zarządu Betanii podziękował Jego Wysokości za łaskawy udział w pracach, podziękował przewodniczącemu władz, że Jego Wysokość uznał za stosowne zaszczyścić miasto Polzin swą najłaskawszą obecnością, i wyraził nadzieję, że Jego Najłaskawsza Wysokość jeszcze przez wiele lat będzie sprawować nad nim opiekę. Król z przyjemnością odpowiedział: „Dziękuję!“, następnie orszak powrócił do miasta, gdzie Jego Wysokość zechciał skorzystać z odpoczynku przygotowanego dla niego w domu Bücklinga, przy akompaniamencie śpiewu łączonych chórów. Potem pozwolił przedstawić sobie Gaffreya, artystę odpowiedzialnego za skonstruowanie bramy honorowej, a następnie wśród grzmiących okrzyków radości wszystkich zgromadzonych z miasta i okolic około godziny drugiej po południu wyruszył, aby kontynuować podróż do Neustettin. Zadowolony Jego Wysokości z przyjęcia w Polzin, wyrażone tak łaskawymi słowami i gestami, było niezmiernie satysfakcjonujące dla miasta i na zawsze pozostanie w pamięci jego mieszkańców“.

Ascher starannie złożył gazetę i odłożył ją na biurko. Poprzedniego dnia w porze obiadu, gdy uroczystości trwały w najlepsze, a przez otwarte okno usłyszał wiwatujący tłum, zdjął płaszcz z wieszaka, zamierzając udać się do bramy honorowej i przynajmniej zerknąć na króla, którego tak czcił. Ale w ostatniej chwili stłumił ten impuls. Co by ludzie powiedzieli, gdyby zobaczyli, jak miesza się z prostym ludem, podczas gdy o wiele mniej wartościowi niż on wznoszą kieliszki, aby wypić za króla? Podreptał z powrotem do swego pokoju i nie otworzył drzwi nawet wtedy, gdy Fanny przysłała rozweselić go filiżanką herbaty i szklaneczką rumu.

W owych dniach Fanny okazała się nie tylko lojalną żoną, ale prawdziwym wsparciem, w najbardziej dosłownym znaczeniu. Była obdarzona rozsądkiem i zmysłem do interesów, tak więc Ascher chętnie zwracał się do niej o radę, gdy nie był pewny, czy dane przedsięwzięcie warte jest zachodu. Mimo swej powściągliwej natury wyjawiał przed Fanny najskrytsze uczucia, a kiedy wyjeżdżał w interesach, nawet na krótko, pisał do niej listy, w których sprawy firmy przeplatały się z wyrazami czułości. Trafny sziduch przerodził się w bliski związek oparty na wzajemnym zrozumieniu. Właśnie teraz, gdy jej uroda blakła, figura zaokrągliła się po narodzinach trojga dzieci, a błysk w oku stopniowo przygasał, wzbierała w nim namiętność, jakiej nigdy przedtem nie doświadczył. Oboje rozważali, czy nie sprowadzić na świat jeszcze jednego dziecka. Fanny pragnęła mieć dużą rodzinę, Ascher zaś następcę,

²⁴ Obecnie: Szczecinek.

²⁵ Obecnie: Świdwin.

²⁶ Obecnie: Złocieniec.

który zajęłoby miejsce Juliego. Ale Bóg nie pobłogosławił ich kolejnym potomkiem i nawet doktor Jakob Wachslar, ginekolog ze Szczecina, nie potrafił im pomóc.

To Fanny zaproponowała mężowi, aby wziął urlop i przyjął ponawiane zaproszenie od Moritza, który z czasem stał się znaną postacią na giełdzie papierów wartościowych. Na początku lata 1858 roku Ascher postanowił pójść za jej radą i wyruszył do Berlina. Była to jego pierwsza wizyta w stolicy Prus. Moritz przyjął go łącie po królewsku w swym wielkim domu przy Französische Strasse 47. Pałał chęcią pochwalenia się kuzynowi z prowincji swą zamożnością i pozycją z świecie finansów. Co wieczór jedli razem obiad, zwykle z Żydami, którzy osiągnęli niewyobrażalne sukcesy. Ich rozmowy obracały się przeważnie wokół ludzi, którzy zdobyli bogactwo i wpływy i cieszyli się szacunkiem władz oraz koneksjami w wyższych sferach.

Pierwszego wieczoru kuzyn Aschera opisał z ledwie powstrzymaną ekscytacją błyskotliwą karierę Gersona Bleichrödera, uważanego na geniusza finansowego, który awansował na stanowisko osobistego bankiera Ottona von Bismarcka. Zanim został wysłany do Petersburga jako ambasador, Bismarck powierzył mu swe sprawy finansowe, co najwyraźniej nie pozostało tajemnicą. Przeciwnicy polityczni przyszłego Żelaznego Kanclerza dopilnowali, aby nacjonalistycznie nastawione gazety zostały poinformowane o powiązaniach znanego junkra z „wnukiem żydowskiego grabarza”. Plotka głosiła, że znajomość zawiązała się za radą Rotszyldów, którzy również byli zaangażowani w inwestycje Bismarcka.

- Śledzę na bieżąco każdy krok Bleichrödera - wyjaśnił z dumą Moritz Gottschalk. - Mam agentów, którzy za drobnym wynagrodzeniem informują mnie szczegółowo o jego poczynaniach na giełdzie. Kiedy Bleichröder kupuje, ja też kupuję. A gdy sprzedaje, ja czynię to samo. Wierz mi, to przepis na sukces. Odkąd tak robię, nie straciłem ani grosza. Nie chciałbyś przyłączyć się do większości?

Ascher pokręcił głową. Nie, on nie należał do paneuropejskiego świata interesów. Jedyńm powodem przyjazdu do Berlina była chęć omówienia tematu bliższego jego sercu - planowanej podróży do Ziemi Świętej. Ale Moritz ponownie zasugerował odsunięcie jej w czasie. Wyjaśnił, że skomplikowane interesy uniemożliwiają mu dłuższy wyjazd. Widząc rozczarowanie Aschera, pocieszył go, mówiąc:

- Nie myśl jednak, że zarzuciłem ten pomysł. Niezadowolenie, jakie czuł Ascher, nie było skierowane

przeciwko kuzynowi, ale przeciw światu, w którym się obracał, gdzie ludzie byli więźniami swych aspiracji materialnych. Kiedy zaczynał walkę o swoje miejsce na ziemi, podobne rozważania były mu obce. Dopiero teraz stał się ich świadomy, w rozmowie z Moritzem Gottschalkiem, i czuł narastający wstręt do gorączkowego tempa stolicy, gdzie, jak się wydawało, jedyną liczącą się kwestią była chęć zysku, a dla ludzkich uczuć nie było już miejsca. Wobec spraw, które zajmowały ogół społeczeństwa, i tematów rozmów w salonach bogaczy, znaczenie sukcesów Aschera blakło i zdawały się one mniej wartościowe. Polzin okazał się jeszcze bardziej prowincjonalny, a firma, z której założenia i rozwoju bez niczyjej pomocy był tak dumny, nagle wydała się maleńka i nieważna.

Niemalże jękał się, gdy informował Moritza, że zainwestował tysiące talarów w przedsiębiorstwo kolejowe budujące linię ze Stargardu do Köslin, która w ciągu dwóch lat połączy Polzin z głównymi miastami Pomorza. Opowiedział kuzynowi o zamiarze zakupu dużego obszaru lasu, mającego zapewnić źródło surowca dla jego tartaku w Kollatz. Obliczył, że nawet włączając koszt ścinania drzew, inwestycja ta zwróci się w ciągu zaledwie sześciu lat. Na Pomorzu zarówno ziemia, jak i siła robocza wciąż były tanie. Gdyby transakcja ta okazała się udana, planował nabyć także tartak w Gross Linichen²⁷ niedaleko

²⁷ Świerczyna Drawska.

Dramburga. To uczyniłoby go najważniejszym żydowskim przedsiębiorcą w całym regionie Köslin. Ale wyraźnie widział, że jego plany nie budzą zainteresowania kuzyna.

- Może i jesteśmy rodziną z jednej krwi, ale nasze serca biją w innym rytmie - stwierdził Ascher ze smutkiem, gdy wyjeżdżał dziesięć dni później.

Tuż po jego powrocie odbyła się bar miewa Bernharda. Pewnego Szabatu niedługo po swoich trzynastych urodzinach Beri został przyjęty do minjanu społeczności dorosłych i wezwany do czytania Tory. Serce Aschera wypełniło się ojcowską dumą, gdy usłyszał melodyjny głos syna, intonującego wersy płynną hebrajszczyzną. Gdy wyszli z synagogi, objął go i rzekł: „Zawsze pamiętaj, że jesteś dumnym obywatelem Prus, któremu przysługują równe prawa. I nigdy nie zapominaj, że jesteś Żydem. Jeśli to uczynisz, zawsze znajdą się tacy, którzy przypomną ci o twoim pochodzeniu“.

Minęło kolejnych pięć dobrych lat. Pewnego dnia wczesnym rankiem, przed przybyciem pierwszych klientów, Bernhard został wezwany do biura. Grzecznie zapukał do drzwi. Ojciec siedział przy dużym biurku, na którym piętrzyły się papiery.

- Usiądź. - Wskazał na stojące po drugiej stronie biurka krzesło. Bernhard usiadł i czekał, co nastąpi dalej. Nigdy przedtem ojciec nie wzywał go do biura, zastanawiał się więc, jaki ma ku temu powód. Cisza trwała minutę, potem drugą. Ascher Levy bębnił palcami w blat. Bernhard założył ręce i czekał.

- Zapewne domyślasz się, dlaczego cię tu poprosiłem - rzekł Ascher.

- Nie mam pojęcia, papo.

- Musimy poważnie zastanowić się nad twoją przyszłością.

Bernhard uśmiechnął się w duchu. Owo „my“ było jedynie symboliczną formą grzecznościową. Jediną osobą, która rozmyślała o jego przyszłości, był ojciec. Beri pochylił się do przodu i posłusznie odpowiedział:

- Zrobię, jak sobie zyczysz.

- Myślałem o tym od dłuższego czasu - ciągnął Ascher, wciąż bębniąc palcami. - Z początku chciałem wysłać cię do Berlina. Mój kuzyn wspaniałomyślnie zaproponował, że może ci pomóc. Zamieszkałbyś z nim, wyuczył się bankowości. Jednak pewne przemyślenia sprawiły, że zmieniłem zdanie. Moje interesy rozwijają się, rozszerzam działalność...

- I potrzebujesz kogoś, kto byłby twoją prawą ręką. Ascher mruknął z satysfakcją.

- Otóż to. Zgadłeś.

- Czy chciałbyś powierzyć mi jakieś konkretne zadanie, papo?

- Twój brat nie wykazuje żadnego zainteresowania handlem, co bardzo mnie smuci. Ktoś będzie musiał przejąć firmę, kiedy przestanę pracować.

- Przystaniesz pracować? W twoim wieku?

- Planuję z wieloletnim wyprzedzeniem. Zajmie ci trochę opanowanie wszystkich złożonych tajników prowadzenia interesów.

- Potrafię być cierpliwy.

- Zaczynaj więc naukę od podstaw.

- Zrobię wszystko, co każesz.

- Nie będziesz traktowany jak syn właściciela, zaczniesz więc od samego dołu, jak każdy praktykant.

- Nie oczekiwałem niczego innego, papo.

- Chciałbym rozszerzyć działalność na rynek nieruchomości. Wyznaczę pracownika, który poprowadzi tę część interesów, a ty będziesz uczył się od niego. Miej oczy i uszy otwarte. Będziesz miał do czynienia z ważnymi właścicielami ziemskimi. Nie zawieź mnie. Bądź nieugięty, ale uczciwy.

- Masz na myśli, że powinienem po prostu być sobą, prawda?

Ascher uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Tak, to właśnie miałem na myśli.

- Kiedy więc zaczynam?
- Dziś.

Zanim Bernhard mógł jeździć w interesach i zawierać transakcje w imieniu firmy, spędził cały rok na nauce wszelakich aspektów prowadzenia ksiąg rachunkowych. Ascher przykładął wielką wagę do tego, aby syn miał jasny obraz wszystkiego, co dotyczy interesów. Powinien czytać zestawienia bilansowe tak samo biegle jak święte pisma. Dopiero gdy Bernhard spełnił te wymagania w stopniu zadowalającym z punktu widzenia ojca, dostał pozwolenie na wyjazd w interesach. Podróżował po całym regionie, od jezior na południu po wybrzeże Bałtyku, poszukując dobrych lasów, sporządzając umowy na wyręb drzew lub zakup całego lasu.

Umiejętność radzenia sobie w każdej sytuacji, przyjazne usposobienie i uprzejmość szybko uczyniły z Bernharda cenionego partnera w interesach. Ascher z dumą patrzył na postępy syna. Po trzech latach rozważał nawet zmianę nazwy firmy na „Ascher Levy i Syn“, ale porzucił ten pomysł, gdy Fanny wyraziła gwałtowny sprzeciw: „Nie możesz tego uczynić Juliemu, zrobiłbyś dziecku ogromną przykrość“. Tyle że Julius dawno już zostawił dzieciństwo za sobą. W wieku dwudziestu lat, ku rozgoryczeniu Aschera, wciąż nie zarabiał na życie. Fanny także smuciła ta sytuacja, ale nie miała na nią żadnego wpływu.

Ascher nadal korespondował z Gottschalkiem. Pisywali do siebie przynajmniej raz w miesiącu. Jesienią 1869 roku Ascher zaprosił kuzyna na świętowanie radosnego wydarzenia. Dla niezamężnej mimo dwudziestu jeden lat Vogel znaleziono wreszcie właściwego kandydata na męża. Był to wdowiec Hirsch Hirschfeld, bogaty krewny z małego miasteczka Neuwedel²⁸. Ascher i Fanny złożyli hojną ofertę, gdy usiedli do rozmowy ze swatem. Vogel dostała sumę wystarczającą na zakup nowego dużego domu, bo wdowiec miał już czworo dzieci, a para planowała sprowadzić na świat własne. Oprócz tego, zgodnie ze zwyczajem, rodzice podarowali jej ubrania, pościel i bieliznę stołową oraz wszelkie sprzęty potrzebne do wyposażenia domu. Nie była to jedynie oznaka rodzicielskiej szczodrości. W owym czasie posag uznawany był za część spadku po rodzicach i w rezultacie świadczył o statusie finansowym Aschera. Co więcej, Ascher postanowił uczcić tę okazję, ustanawiając specjalny fundusz na rzecz młodzieży z Polzin. Jeszcze zanim panna młoda wyjechała do swojego domu, w ratuszu sporządzony został dokument, ustalający zasady zarządzania fundacją:

1. Stypendium zostanie przyznane pracowitemu studentowi, urodzonemu w Polzin, który specjalizuje się w naukach ścisłych lub handlu. Gdy zgromadzony kapitał osiągnie sumę 1500 reichsthalerów, połowa odsetek zostanie przekazana na pomoc najuboższym.
2. Funduszem zarządza rada miasta. Nie jest wypłacane za to żadne honorarium.
3. Biuro administracyjne mieści się na pierwszym piętrze nowo wybudowanego Ratusza, przy Rynku.
4. Suma przekazana na fundację niniejszym zostaje zdeponowana w miejskim banku oszczędnościowym. Numer konta depozytowego 6184 umieszczony jest w głównym sejfie miejskim, do którego są dwa klucze. Główny klucz do skrytki znajduje się w posiadaniu deponenta.

- Proszę wybaczyć pytanie, Herr Levy, ale czy nie chciałby pan dodać klauzuli zezwalającej panu i pańskim następcom na określenie, kto powinien otrzymać stypendium i pomoc? - spytał burmistrz Schmieden.

- Nie, rada miasta ustanowi specjalną komisję, która podejmie taką decyzję - odparł Ascher i skierował się ku drzwiom.

Burmistrz położył mu dłoń na ramieniu, aby go zatrzymać, i powiedział:

²⁸ Obecnie: Drawno.

- Chwileczkę, Herr Levy, nie puszczę pana tak łatwo. A jeśli owa komisja podejmie decyzję na korzyść młodzieńca, który nie będzie wyznania mojżeszowego? I czy chciałby pan pomagać biednym, którzy leżą w chrześcijańskim szpitalu Betania?

- To pan czyni rozróżnienie między Żydem a nie-Żydem. W moich oczach takiej różnicy nie ma, panie burmistrzu.

- Czyżby dawał nam pan lekcję tolerancji?

- Ależ broń Boże! Jednak prawdę mówiąc, są tacy, którym by się taka lekcja przydała. Oczywiście nie miałem na myśli pana, burmistrzu.

Baldachim ślubny dla Vogel i Hirscha ustawiono w synagodze przy Grosse Muehlenweg. Na uroczystość zaproszono jedynie członków rodziny i najbliższych przyjaciół. Ascher zrezygnował z zapraszania burmistrza i miejscowych dygnitarzy, bo nie zniósłby kolejnego publicznego upokorzenia. Gdy sporządzali z Fanny listę gości, wyznał jej: „Oto ja, równoprawny obywatel. Moje pieniądze nie śmierdzą, a mimo to oni nadal szepczą za moimi plecami, że cuchną czosnkiem. Nasz dom nie jest dość dobry dla właścicieli ziemskich i miejscowej szlachty, a nas nie uważa się za godnych zaszczytu ich obecności. Słyszałem, jak za moimi plecami szepczą, że tarzam się w pieniądzach“.

Na początku listy znalazł się Moritz Gottschalk, który, jak należało, przyjechał pierwszy, zakutany w futro z soboli i obładowany prezentami. Przytył, a skronie przyprószyła mu siwizna. „Od dobrego życia utylłem, a od trosk posiwiałem“, oznajmił, śmiejąc się serdecznie, gdy kuzyni po uroczystości zaszyli się w kącie i podjęli rozmowę przerwana niemal dwanaście lat wcześniej. Gottschalk przywiózł ze stolicy mnóstwo ekscytujących wieści. Wszystko według niego było „cudowne“, „zadziwiające“ lub „inspirujące“. Oczywiście owe fascynujące wydarzenia miały miejsce na balach urządzanych przez Gersona Bleichrödera, jego idola. Moritz z lubością rozpyływał się nad szczegółami wystawnych przyjęć, na których podawano znakomite francuskie wina oraz rozmaite przysmaki, i starannie opisywał orkiestry zatrudniane do zabawiania tańczących gości, którzy oczywiście co do jednego pochodzili z arystokracji i w większości byli ważnymi przedstawicielami władz. Gdyby Ascher nie wiedział, że jego kuzyn nigdy nie przestąpił progu przybytku Bleichrödera, mógłby uwierzyć, że Moritz Gottschalk bywał tam osobiście. W rzeczywistości źródło informacji stanowiły kolumny plotkarskie „Vossische Zeitung“ i berlińskich brukowców, które niestrudzenie rozpisywały się o tym, co wyczyniano w domu najbogatszego człowieka w całej Brandenburgii. Moritz posunął się nawet do tego, że wyciął z gazety zdjęcie, przedstawiające ogromny budynek przy Behrenstrasse, w którym Bleichröder mieszkał i gdzie mieściły się jego biura, i z przejęciem pokazał je Ascherowi, niczym cenny obraz znanego artysty.

- Tu właśnie odbywają się te bale, a tu przyjmuje klientów - wyszeptał, jakby wyjawiał pilnie strzeżony sekret. - Czy wiesz, że nawet nienawidzący Żydów Richard Wagner zlecił mu prowadzenie swoich finansów?

- Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Skąd wiesz? - spytał Ascher.

Tajemniczy uśmiech przemknął przez twarz Moritza.

- Nikt niczego przede mną nie ukrywa. Powiedziałem ci już: bez dobrego źródła informacji nigdy nie będziesz bogaty.

- Nie chcę być bogaty. Jest mi dobrze tak, jak jest.

- Nie umknęło mi, że niczego nie chcesz - rzucił Moritz żartobliwie.

- Bóg mnie nie opuścił - odparł Ascher z całą powagą.

- Teraz, gdy moja mała Vogel znalazła swoje miejsce na ziemi, szczęście się dopełniło.

- Nie chcesz się bogacić, ale z pewnością nie chciałbyś niczego stracić, prawda?

- Dlaczego przez cały czas musimy rozmawiać o pieniądzach? Dziś jest czas radowania się i...

Moritz Gottschalk przerwał mu:

- Może cię zainteresuje, że domy akcyjne Bleichrödera i Oppenheima sprzedają cichcem udziały francuskie i hiszpańskie. Z pewnością pamiętasz, że kupiłem w twoim imieniu francuskie papiery wartościowe za dwa tysiące talarów? Ja już swoje sprzedałem.

- Znam się nieco na zbożu, drewnie i prowincjonalnej bankowości, a bardzo niewiele wiem o polityce. Ale może pamiętasz, że pierwszą lekcję na ten temat pobrałem, gdy miałem dziewiętnaście lat i praktykowałem u Louisa Stärgera. Zdaje mi się, że pisałem ci o tym. Wynik wojny o sukcesję w Hiszpanii oznaczał, że Hiszpania popadła w trudności finansowe. W rezultacie pruski szlachcic, którego sprawami finansowymi zajmował się Louis Stärger, stracił niemal wszystko, co posiadał. Nauczyło mnie to spokojnie podchodzić do strat. Ile stracę, jeśli sprzedam?

- Nic. Nadal możesz sprzedać po rozsądnej cenie, a nawet mieć z tego niewielki zysk. Pamiętam dobrze historię Stärgera i tego junkra. Cóż, w 1834 roku Izabela zyskała przewagę, choć nie na długo. Teraz władzę w Hiszpanii przejęła grupa oficerów i polityków, którzy zwą siebie postępowymi. Ale chcą stworzyć pozory legalności i szukają odpowiedniego kandydata na wolny tron - marionetki, która wykonywałaby ich polecenia. Moim zdaniem, ta farsa niedługo się zacznie, a ceny na rynku spadną.

Moritz Gottschalk miał słuszne przypuszczenia. Niecały rok później wybuchł bunt, a tron zaproponowano księciu Leopoldowi z dynastii Hohenzollern-Sigmaringen. Biorąc pod uwagę zawirowania, jakie towarzyszyły jego bratu Karolowi w walce o koronę rumuńską, Leopoldowi niespieszno było do przyjęcia tej propozycji. Kandydatura księcia, spokrewnionego z dynastią królewską Prus, nie była w smak władzom francuskim. Uznawały ją za bezpośrednie zagrożenie dla francuskich interesów. Z początku niezadowolenie to odbijało się jedynie na stosunkach dyplomatycznych. Ale gdy nadeszła decydująca chwila, cesarz Napoleon III zdjął aksamitne rękawiczki i szóstego lipca 1870 roku wysłał ostrzeżenie do Berlina i Madrytu, że Francja nie będzie tolerować na swej granicy władcy mającego wrogie zamiary. Odpowiedź Bismarcka była równie jednoznaczna - Prusy dały Leopoldowi gorące poparcie. Wymiana posłańców dyplomatycznych między dwoma rządami przypominała szcęk wyciągniętych mieczy. Wrogie odpowiedzi latały tam i z powrotem niczym kule śniegowe, uwalniając w końcu ryczącą lawinę, która pogrzebała pokojowe stosunki. Dziewiętnastego lipca wybuchła wojna.

Ascher Levy siedział w swym biurze, pochylony nad gazetą, której nagłówki obwieszczały wybuch wojny. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Ascher, który nie lubił, gdy przeszkadzano mu z samego rana, rzucił szorstko:

- Wejść.

W progu stał Julius, także z gazetą w dłoni.

- Dwie gazety w jednym domu? - spytał Ascher ze złością. - Co za rozrzutność!

Julius zignorował komentarz ojca.

- Wysłuchaj mnie, zanim się rozgniewasz - poprosił.

- O co chodzi tym razem?

- Postanowiłem zaciągnąć się na ochotnika.

- Czy ty jesteś całkowity *meszuga*²⁹? - Ascher był przerażony.

- To ty zawsze przypominasz o miłości do ojczyzny, tato. To ty zawsze mówisz o miłości do Prus.

- Ale nie oznacza to...

- No cóż, tak właśnie jest. Tym razem nie żartuję - ja, darmozjad i ladaco. Myślałem o tym przez całą noc.

- To nigdy nie owocuje niczym rozsądnym.

- Nie ma to wielkiego znaczenia w tej chwili, ojcze. Ascher położył gazetę na kolanach i spojrzał na syna.

²⁹ Jid. wariat.

Przed nim stał Julius, jakiego nie znał: wyprostowany, pewny siebie i zdecydowany. Powstrzymał się od uwagi na temat jego zuchwałości i kiwnął głową, jakby zgadzał się z nim. Wbrew swojemu zwykłemu tokowi rozumowania odczuwał pewną dumę, a jednocześnie ulgę, że to nie Bernhard stoi przed nim.

- Istnieją inne sposoby służenia ojczyźnie - sprzeciwił się cicho.

- Wybrałem już własny.

- Nie stanę ci na drodze - odparł Ascher. - Ale musisz poprosić matkę o zgodę.

Łzy Fanny były daremne. Dwa dni później Julius wyruszył pociągiem do Belgardu, do najbliższych koszar, gdzie przeprowadzano badania medyczne. Oficerowie stacjonującego tam oddziału byli zdumieni na widok tego młodego mężczyzny, który chciał służyć w pruskiej armii. Wówczas lekarze, rachmistrzowie i kwatermistrzowie wyznania mojżeszowego nie byli już rzadkością, ale Żyd zgłaszający się na ochotnika na front, na dodatek do brygady karabinierów, był dla nich nowością. Około dwunastu tysięcy Żydów w Prusach, Bawarii, Saksonii i Badenii zgłosiło się na ochotnika do wojska, ale wieści o tym nie dotarły jeszcze do Belgardu. Komisja lekarska uznała Juliusa za zdolnego do służby, a miesiąc później starszy szeregowy Julius Levy znalazł się na froncie, nad brzegiem Mozy. Stamtąd napisał pierwszy list do domu, krótko i rzeczowo zawiadamiając, że jest zdrowy, szczęśliwy i dumny.



Julius Levy

Drugiego września 1870 roku o godzinie pierwszej trzydzieści po południu urzędnik dyżurujący w berlińskim biurze telegraficznym odebrał telegram, adresowany do królowej Augusty, o następującej treści:

„Podpisano właśnie kapitulację pod Sedanem z generałem Wimpffenem, który przejął dowodzenie od rannego marszałka MacMahona, a cała armia została wzięta do niewoli. Sam cesarz we własnej osobie poddał się mnie, ponieważ nie on dowodził, i pozostawia wszystko regentowi w Paryżu. Podejmę decyzję o miejscu jego pobytu, gdy tylko porozmawiam z nim podczas spotkania, które niezwłocznie się odbędzie. Co za wynik, z Bożej łaski! Wilhelm“.

„Co za wynik, z Bożej łaski!“, głosił ogromny transparent na Bramie Brandenburskiej tego samego wieczoru. Ostatnie słowa telegramu przekazywano w Prusach z ust do ust, powodując powszechne uniesienie. „Zwycięstwo! Zwycięstwo! Niech żyje król!“, wiwatował

tłum na rynku w Polzin. Zapalono lampy, ludzie wznosili kieliszki i śpiewali pieśni wojskowe. Na chwilę zapomniano o kłótniach i dyskusjach. Niemcy nigdy nie byli tak zjednoczeni, jak w dniach po bitwie pod Sedanem.

Choć ta pierwsza bitwa zadecydowała o wyniku wojny, nie położyło to kresu wrogości. Michael Harvard, brytyjski historyk, pisał wtedy: „Tragiczny łańcuch nieszczęśliwych wydarzeń wciągnął Francję do wojny, nieprzygotowaną militarnie i pozbawioną sojuszników“. Julius Levy wysłał do domu krótką wiadomość: „Moi najdrożsi rodzice, to pierwsza wygrana. Jestem najszczęśliwszym z wszystkich ludzi, że przyczyniłem się do zwycięstwa. Widziałem niepojęte rzeczy. A mimo to jest to cudowne uczucie być obecnym w sercu wydarzeń, to wspaniałe należeć do obywateli Królestwa Pruskiego w tej chwili...“.

Pruska artyleria była zapewne najlepsza na świecie, ale nie można było powiedzieć tego o poczcie. Każdego ranka Fanny czekała niecierpliwie przed domem na przybycie listonosza. Nim zdążył wyjąć z torby korespondencję handlową, wzruszał ramionami przepraszająco i mówił: „Nie, nie ma żadnych wieści“. List od starszego szeregowego Juliusa Levy’ego leżał w jakimś biurze królewskiej poczty wojskowej, gdzieś między Francją a Polzin. Przez wiele tygodni rodzina pozbawiona była wszelkich wiadomości.

Na pozór życie w domu przy Brunnenstrasse toczyło się normalnie, interesy również szły jak zwykle. Wieczorami, gdy rodzina zbierała się w jadalni, proszono Fanny, aby przestała szlochać. Bernhard wolał spuścić wzrok, żeby uniknąć spojrzenia matki. Ascher milczał. Nikt nie śmiał wypowiedzieć tego, co wszystkim chodziło po głowie. Gosposia podawała wieczorny posiłek, który jedli w ciszy.

Pewnego wieczoru, gdy udali się już do sypialni, a Ascher gasił światło, Fanny zebrała się na odwagę i spytała:

- Myślisz, że kiedyś wróci?
 - Gdyby coś mu się stało, dawno byśmy o tym wiedzieli. Złe wieści szybko się rozchodzą.
 - Ale co ci mówi przeczucie?
 - Wolę słuchać głosu logiki, Fanny.
 - Ty i ta twoja logika...
- Ujął jej głowę w dłoń i opiekuńczo przytulił do swej piersi.
- Serce także mi podpowiada, że wszystko jest dobrze.
 - Słyszę to.
 - Widzisz? Tak długo, jak ono bije, nie musisz się martwić.
 - Wiem, a mimo to.... Dlaczego on do nas nie pisze?
 - Znasz Juliego. Nigdy nie był zbyt rodzinny.
 - Mam nadzieję, że masz rację. A jednak...
 - Fanny, jestem zmęczony.
 - Wiem, wybacz. Idź spać. Czeka cię jutro ciężki dzień.

Zawsze stała u jego boku, w radości i smutku, ale teraz nie potrafiła znaleźć w sobie na to siły. Koniec tygodnia był najtrudniejszy, bo wtedy rodzina wspólnie świętowała Szabat. Jedno miejsce przy stole pozostawało puste. Na próżno Fanny próbowała ukryć zaczerwienione oczy. Dłonie jej drżały, gdy zapalała świece i odmawiała błogosławieństwo: „Błogosławiony bądź, Panie, Boże nasz, Królu wszechświata, który uświęciłeś nas swoimi przykazaniami i nakazałeś zapalać świece szabatowe“. Świece stały w tych samych za- bytkowych srebrnych świecznikach, które ojciec Aschera, Jäckel, kupił od francuskiego żołnierza wracającego z Rosji sześćdziesiąt lat wcześniej. Od tamtej pory zdobiły stół w każdy Szabat. Fanny nigdy nie przyszło do głowy, że ktoś mógłby zginąć lub zostać obrabowany z ich powodu. A teraz wszystko było możliwe. Gdy Ascher uniósł białe przykrycie chały, tradycyjnego białego chleba, aby ją podzielić, jego żona myślami była z synem daleko na wojnie.

Koszmar trwał wiele tygodni. Każdego ranka modliła się do Boga i listonosza, aby jej prośby zostały wysłuchane. W końcu na początku lutego 1871 roku nadeszła ta chwila. Listonosz Franz przybiegł do niej, wymachując z dala brązową kopertą. Drżącymi rękami rozdarła ją i natychmiast rozpoznała znajomy charakter pisma. Wyraźnymi, prostymi literami Julius opisywał szczegółowo swe przeżycia.

Niebezpieczeństwo minęło. Jego jednostkę przeniesiono z pola walki do Wersalu, centrum władzy. Starszy szeregowy Levy salutował najważniejszym osobistościom narodu, przybyłym w końcu, aby negocjować warunki kapitulacji. Bismarck i Moltke przejechali przez jego obóz, nawet Gerson Bleichröder i Henckel von Donnersmarck minęli go pędem we wspianym powozie wojskowym. Co też żydowski bankier robił w kwaterze głównej wygranej strony? Julius nie miał pojęcia. Jego ojciec uśmiechnął się, czytając list. Powód obecności Bleichrödera nie był tajemnicą. Sam Bleichröder postarał się, aby jego misja stała się powszechnie znana. Miał obowiązek dopilnować, aby przynajmniej część reparacji wojennych - dwa miliardy franków w złocie - wypłacono z należnym pośpiechem. Londyńska gałąź Rotszyldów zapewniała zabezpieczenie tej transakcji. W końcu Francuzi zgodzili się na wypłacenie około pięciu miliardów franków z złocie w nadziei, że pozwoli im to zatrzymać Strasburg i Alzację. Jednakże w rezultacie musieli nie tylko wziąć na siebie ciężar tej ogromnej spłaty, ale także zaakceptować utratę terytoriów.

Z Wersalu korespondent „Frankfurter Zeitung“ donosił, że odbyły się rozmowy między Bismarckiem a Adolphe'em Thiersem, przyszłym prezydentem Francji. Zgodnie z jego relacją, francuski mąż stanu narzekał na wielkość reparacji. Twierdził, że gdyby spłata tych pieniędzy rozpoczęła się w czasach Chrystusa, tak wielka suma jeszcze nie zostałaby spłacona. Bismarck odparł na to: „Pomyślałem o tym. Dlatego przywiozłem ze sobą bankiera, który zajmował się wypłatami już podczas stwarzania świata“. Bleichröder i pruscy politycy mieli doświadczenie w odzyskiwaniu długów. Drugiego lutego „Kölnische Zeitung“ opublikowała artykuł wychwalający żydowskiego bankiera i ministra finansów. Prasa nie odkryła prywatnej wojny, jaką Bleichröder prowadził ze swymi rywalami. Nie chciał, aby w Wersalu byli obecni inni bankierzy, bo z pewnością zapewniliby sobie część łupów, a także podważyli opinię, że sukces był wyłącznie jego zasługą.

Ludzie byli upojeni zwycięstwem, finansisci i politycy pragnęli pieniędzy. Wojna z Francją doprowadziła do realizacji tego, co wielu mężów stanu starało się osiągnąć przez dziesięciolecia - zjednoczenia niemieckich królestw, księstw i miast hanzeatyckich. Nadrzędna rola rządu Bismarcka i Królestwa Prus była bezsporna. Droga do zjednoczenia cesarstwa - bez Austrii - stanęła otworem, a Bismarck korzystał z możliwości. Proklamowano więc cesarstwo niemieckie, trzeba zaznaczyć, że nie w pałacu Sanssouci, ale na terytorium wroga, teraz podbitym, o godzinę drogi od paryskiego Łuku Triumfalnego. Osiemnastego stycznia 1871 roku książęta i senatorowie, politycy i wojskowi, we wspianych barwnych mundurach, z bogato zdobionymi mieczami, zgromadzili się w okazałej Sali Lustrzanej w Wersalu, jako świadkowie historycznego wydarzenia, aby na własne oczy zobaczyć, jak Wilhelm I zostaje ogłoszony cesarzem i wkłada na głowę koronę, którą jego poprzednik odrzucił z obrzydzeniem. Co za wynik, z Bożej łaski!

„Kreuzzeitung“ była gazetą, której nie czytano w domu Levy'ch w Polzin, nie czytano też żadnej innej nacjonalistycznej prasy. Ale znajomi pilnowali, aby Ascher był na bieżąco z artykułami śledzącymi misję „Geldjude Bismarcka“. Często podrzucali mu brukowce, obwiniające Żydów o wszelakie występki. Ascher upychał je w szufladzie, gdzie od lat trzymał pod kluczem podobne publikacje. Było dla niego jasne, że tym razem antysemityzm służy jako instrument do atakowania polityki kanclerza. Było to bolesne, dojmująco bolesne, bo dla Aschera kanclerz stanowił uosobienie miłości do ojczyzny. Czytanie agresywnych tyrad przeciwko Bismarckowi sprawiało mu wielką przykrość, a pojawiające się w nich określenie „żydowski niewolnik“ należało do bardziej wyważonych.

Fanny spytała go w końcu ze złością:

- A na cóż, u licha, czytasz te bzdury?

- Klienci je przynoszą.

- Czy to oznacza, że musisz je czytać? Wyrzuć je do kosza!

- Kochanie, czy naprawdę uważasz, że w ten sposób uciekniemy przed rzeczywistością?

- To nie jest skierowane przeciwko takim ludziom jak ty - upierała się. - Co ta walka o władzę ma wspólnego z nami? Tylko dlatego, że tacy Żydzi jak Bleichröder ciągną nas ze sobą przez błoto, mamy się teraz zamartwiać? Jesteś lojalny wobec Prus, a twój syn nosi mundur.

- Bleichröder jest równie lojalny jak ja - odparł i gestem dał znać, że to koniec rozmowy.

Listy z Francji przychodziły coraz częściej. Wnosiły promień słońca w codzienne życie Fanny i Aschera. Julius widział morze flag, mundury galowe i paradę zwycięstwa w drodze do Paryża. Był przypadkowo świadkiem ważnych dyskusji i oddychał tym samym powietrzem co książęta i król, teraz koronowany na cesarza. W swych listach opisywał pokazy fajerwerków, nieświadomy tego, jaki bałagan zostawiały wystrzelone rakiety. „Moi drodzy rodzice, jestem najszczęśliwszym z ludzi. Wczoraj odbywałem wartę w pobliżu Sali Lustrzanej i miałem okazję śledzić część wspaniałej ceremonii. To wielka chwila w moim życiu“.

Była to także wielka chwila dla Prus. Niemcy dostały błogosławieństwa zjednoczenia, z pięcioma miliardami franków w złocie, cesarzem i terytoriami Alzacji i Lotaryngii, które także wydarły Francji. Bismarck otrzymał tytuł wielkiego księcia. Bleichröder powrócił do siedziby swojego banku w Berlinie z Żelaznym Krzyżem drugiego stopnia zawieszonym na białej wstążce z czarnym obramowaniem - wielki honor dla architektów zwycięstwa, którego nie zdobyto na polu walki.

Pod koniec marca, gdy śnieg już zaczął topnieć, ktoś zapukał do drzwi domu Levy'ch. W progu stał Julius Levy, żołnierz, odznaczony Żelaznym Krzyżem drugiego stopnia, zawieszonym na białej wstążce z czarnym obramowaniem. Otrzymanie go było zaszczytem, jakiego mogli dostąpić jedynie odważni żołnierze.

Matka nie zwróciła uwagi na medal. Zarzuciła synowi ręce na szyję i rozplakała się. Teraz nie musiała już powstrzymywać łez. Pracownicy wstali i zaczęli bić brawo. Ascher także objął Juliusa i patrząc na Żelazny Krzyż, powiedział:

- Jestem z ciebie dumny, synu.

Przemysł również skorzystał na tej wojnie. Prusy mogły wreszcie spełnić swe marzenie - prześcignąć Anglię w industrializacji. Reparacje wojenne umożliwiły rządowi spłatę wszystkich wewnętrznych długów, pozostawiając przyzwoitą sumę w skarbcu Reichsbanku. Była to era inwestycji i rozwoju przemysłu. Przed zdolnymi i bezwzględными przedsiębiorcami otworzyły się nowe możliwości i nawet Pomorze obudziło się z odrętwienia. Sprytni przemysłowcy zapewnili sobie kontrakty na dostawy dla wojska. W wielu obszarach popyt przewyższył podaż.

Magazyny zbożowe Aschera Levy'ego opustoszały błyskawicznie, a pracownicy jego dwóch tartaków nie mogli nadążyć z realizacją zamówień, mimo że pracowali na kilka zmian. Jego najważniejszymi klientami byli teraz dwaj Żydzi, bracia Georg i Moritz Behrend. Dwa lata wcześniej założyli fabrykę celulozy w Köslin i potrzebowali ogromnych ilości surowca. Moritz okazał się sprytnym i roztroptym przedsiębiorcą, ale jego brat Georg nie dbał o pieniądze firmy, wydając je na ryzykowne inwestycje, a sporą część zysków także na rozrywki i hazard. Czasem Ascher musiał miesiącami czekać na zapłatę za dostarczone drewno, bo na koncie firmy Behrendów w Ritterliche Bank w Szczecinie nie zawsze znajdowały się środki.

Gdy ich długi wobec jego firmy kolejny raz przekroczyły granice rozsądku, Ascher zaczął poważnie rozważać zerwanie kontaktów z fabryką w Köslin. Bernhard namówił go jednak,

by tego nie robił. Rodzina Behrendów miała bowiem udziały w innym przedsiębiorstwie, które również produkowało celulozę i papier. Bracia Behrend szybko stali się wyłącznymi nabywcami drewna i w rezultacie mogli dyktować ceny. Bernhard regularnie podkreślał, że głównym dostawcą Behrendów jest ciągle majątek Varzin³⁰, który od 1867 roku należał do Ottona von Bismarcka. „Jeśli Bismarck im ufa, czemu my mielibyśmy tego nie robić?“, upierał się. Ascher spytał o radę Moritza Gottschalka. Kuzyn zgodził się z Bernhardem, dodając ostatnią gorącą nowinę: „W Berlinie pojawiły się plotki, że to czterysta tysięcy talarów, które otrzymał Bismarck w uznaniu jego sukcesów, pozwoliło mu na zakup Varzin. Jest niemal pewne, że kanclerz kupił majątek za radą króla Wilhelma i że zapłacił za niego pół miliona talarów. Jest tego wart. Należy do niego siedem wiosek i ponad dwadzieścia dwa tysiące akrów lasów“.

Po raz kolejny Bernhard został wysłany na północ, aby kupić wszystko, na czym mógł położyć ręce. Wyślanek Aschera w Szczecinie otrzymał polecenie zakupu pakietu akcji nowo utworzonego przedsiębiorstwa, które rozpoczęło budowę linii kolejowych w Rumunii. Jego założycielem był bankier o nazwisku Charles Strousberg. Konsorcjum Strousberga obiecało akcjonariuszom dywidendę w wysokości siedmiu procent, o trzy procent więcej niż jakiegokolwiek przedsiębiorstwo kolejowe. Poprzednie inwestycje w budowę kolei w Prusach Wschodnich, do których zachęcił go ten sam przedsiębiorca, zwróciły się ze znacznym zyskiem. Im bardziej Ascher umacniał swoją pozycję w interesach i im wyższe były profity, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nie jest to przypadek, ale że ręka boska kieruje jego przeznaczeniem. Stawał się więc coraz bardziej pobożny. Jako główny darczyńca funduszu szkoły żydowskiej obstawał przy zwolnieniu Hohensteina, nauczyciela, który jego zdaniem przykładał zbyt wielką wagę do świeckich przedmiotów, zaniedbując nauczanie religijne. Przychylnie nastawienie rodziców nie pomogło Hohensteinowi. Musiał złożyć rezygnację. W listach do Gottschalka Ascher stale pisał o swojej tęsknocie do Erec Izrael, „duchowej ojczyzny wszystkich Żydów“, i namawiał, aby „przedyskutować tę sprawę z profesorem Graetzem“.

We wrześniu 1871 roku trzech mężczyźni spotkali się w Bad Kissingen. Nieprzypadkowo Moritz Gottschalk wybrał to właśnie miejsce. Dom zdrojowy w Bad Kissingen ze swymi leczniczymi wodami stał się modny i przyciągał sławne osobistości. Członkowie rodziny cesarskiej, Bismarck, a nawet Hans Bleichröder, krnąbrny syn Gersona, widywani byli podczas spacerów po należącym do ośrodka parku. Podczas pierwszego spotkania Heinrich Graetz, profesor Żydowskiego Seminarium Teologicznego we Wrocławiu i jeden z jego czołowych uczonych, zmuszony był przyznać, że nie jest w stanie zebrać koniecznych funduszy na wyprawę do Palestyny. Moritz i Ascher zapewnili go, że wspólnie pokryją koszt jego podróży. Za wszelką cenę pragnęli, aby towarzyszył im w tej ekspedycji, bo obawiali się, że bez niego nie osiągną jej celu, mianowicie poznania, w jaki sposób jiszuw - osadnictwo żydowskie - radzi sobie w Erec Izrael. Potrzeba istnienia jiszuwu była w tym czasie tematem gorących dyskusji w wielu częściach Niemiec. Przedstawiciele ruchu reformowanego uważali, że należy zwiększyć produktywność jiszuwu, ortodoksyjni Żydzi sądzili zaś, że wszelkie zmiany warunków życia w Jerozolimie są bezpośrednim zagrożeniem dla podstaw religii i tradycji. Utrzymywali, że starcie pomiędzy nowym a starym będzie katastrofą dla małego jiszuwu i że Erec Izrael nie jest miejscem dla „wykształconych ludzi z odrobiną żydostwa“, innymi słowy - dla odszczepieńców. Profesor Graetz brał czynny udział w dyskusji, którą prowadziły dwie gazety - „Izraelita“, organ ultraortodoksji, oraz „Orient“, literacki tygodnik akademicki. Jego opinia miała wielką wagę. Znany był zarówno jako historyk, jak i filozof.

Gdy tak szli we trzech przez park zdrojowy, Ascher nieoczekiwanie powiedział:

- Nie śmiecie się ze mnie za to porównanie, ale czuję się jak Mojżesz z Tablicami Prawa.

³⁰ Obecnie: Warcino.

- Nie do końca pana rozumiem, mój drogi przyjacielu - odparł Graetz.
 - Gdzie twoje kamienne tablice? - zażartował Moritz.
 - Nie może pan tego nazwać pustynią - dodał Graetz i wskazał ręką okolicę. - Proszę się rozejrzeć, znajdujemy się w jednym z najpiękniejszych parków w Niemczech.
 - Miałem na myśli... Chciałem powiedzieć prostą rzecz. Nasze uczucia wobec Ziemi Świętej są tak głębokie, tak szczerze, tak namacalne, a mimo to tak abstrakcyjne. Nigdy jej nie widziałem.
 - No cóż, oczywiście, dlatego tu się znaleźliśmy. Nadszedł czas. Jedziemy! - oświadczył Gottschalk stanowczo.
 - Potrzebna jest nam jedynie wola, czas i pieniądze. Dzięki Bogu mamy to wszystko.
 - Przez całe lata pisywaliście do siebie o tym i marzyliście o pielgrzymce do Erec Izrael. Teraz trudno mi uwierzyć, że to już niedługo. Dla ciebie podróż ta może być zwyczajnym zaspokojeniem ciekawości. Dla mnie to konieczność, zwieńczenie dzieła życia.
 - Kiedy zatem ruszamy? - spytał profesor. Moritz zasugerował najbliższy luty. Profesor Graetz przytaknął.
 - Właśnie ukończyłem jedenasty tom mojej *Historii Żydów*. Jestem więc gotów.
 - Każda data mi odpowiada, im prędzej, tym lepiej - odparł Ascher. - Nie będziemy już musieli modlić się „Beszana habaa biruszalajim“ - „W przyszłym roku w Jerozolimie“.
- Mieli tylko kilka miesięcy na przygotowania. Moritz skorzystał ze swoich kontaktów berlińskich, aby otrzymać od osób zajmujących wysokie stanowiska listy polecające do konsulatów europejskich w Jerozolimie. Szczególnie dumny był z dokumentu podpisanego przez Gersona Bleichrödera, adresowanego do Ismaila Paszy, chedywa Egiptu³¹, którego autor zwracał się z prośbą, aby „jego wybitny znajomy otrzymał wszelką możliwą pomoc“. Ku wielkiemu rozczarowaniu Bismarcka Bleichröder wspierał francuskie przedsiębiorstwo, które podjęło się budowy Kanału Sueskiego. Bankier kupił bardzo dużo akcji tego przedsiębiorstwa i konsekwentnie wyrabiał sobie nazwisko na dworze egipskiego wicekróla. Ascher Levy wyposażył się w mapy regionu Morza Śródziemnego i zajął planowaniem trasy wyprawy. Fanny patrzyła na rosnące podniecenie męża z pewną troską. Niepokoiła ją myśl o tej podróży, obawiała się niebezpieczeństw, które czekały go w dzikiej, dalekiej krainie.
- Julius zdjął już mundur i dołączył do firmy. Za radą ojca jeździł z bratem w interesach, brał udział w negocjacjach z klientami i zajmował się księgami rachunkowymi. Bracia starali się nie zmarnować żadnej okazji. Ale ta sfera, gdzie wszystko zależało od kalkulacji zysków i strat, nie była dla Juliusa. Gdy uroczą młodą Żydówką Therese Riess zakochała się w dzielnym żołnierzu, pochlebiło mu to i poprosił ją o rękę. Ascher był zły. Związek rozwinął się za jego plecami, bez pomocy swata, nie było też żadnych ustaleń finansowych między rodzicami młodych.
- Gdzie będziecie mieszkać? - spytał syna, jakby Polzin nie był odpowiednim miejscem.
 - Rodzice Therese mają fabrykę w Gdańsku.
 - Cóż to za fabryka?
 - Garbarnia.
 - Śmierdząca garbarnia - skrzywił się Ascher.
 - Da się znieść - uśmiechnął się szeroko Julius. - Są gotowi zbudować nam dom.
 - Zapisałem w testamencie połowę majątku twojej matce,¹ a po jednej czwartej tobie i Bernhardowi. Możesz wziąć swoją część gotówki i akcji już teraz. Niech Bóg będzie z tobą. Poprowadź interes dalej z Bernhardem.
 - Nie chcesz poznać swojej przyszłej synowej, tato?
 - Tak, oczywiście. Zaproś ją na kolację szabatową - odparł Ascher niechętnie i wrócił do swoich zajęć.

³¹ Mowa o Ismailu Paszy, wicekrólu Egiptu w latach 1863-1879; tytuł chedywa (nadawany wicekrólom Egiptu w latach 1867-1914) otrzymał w 1867 roku.



Therese Levy z d. Riess

Przed końcem roku nasilił korespondencję z Moritzem Gottschalkiem i Heinrichem Graetzem. W styczniu 1872 roku do Polzin przyszła ogromna paczka, zawierająca jedenaście oprawionych w skórę tomów *Historii Żydów*. Dedykacja na pierwszej stronie kończyła się słowami: „Czas wyruszyć“. Ascher zaprosił krewnych i przyjaciół. Nawet Vogel w zaawansowanej ciąży przyjechała z Neuwedel. Julius i Therese Riess przybyli z Gdańska, a Moritz Gottschalk z Berlina.

Ascher usiadł w fotelu, położył na kolanach tom dzieła Graetza i rozpoczął uroczystość błogosławieństwem:

- Błogosławiony jesteś Panie, Królu Wszechświata, który zachowałeś nas przy życiu, ocaliłeś nas i pozwoliłeś nam dożyć tej chwili.

- Amen - odpowiedzieli wszyscy chórem.

- Zaprosiłem was tu, abyśmy wypili za dwa ważne wydarzenia w moim życiu. Dostałem właśnie wielkiego zaszczytu - zostałem członkiem rady miasta. Zamierzam wykonywać swoje obowiązki najlepiej, jak potrafię, i zgodnie z własnym sumieniem, dla dobra interesu publicznego. Ale zanim przyjmę tę funkcję, spełnię swoje wielkie marzenie, niezmiennie od ponad dziesięciu lat. Wkrótce udam się na pielgrzymkę do świętego miasta, Jerozolimy, w towarzystwie mojego kuzyna Moritza Gottschalka i profesora Graetza. Jeśli Bóg pozwoli, zaniemiemy wieść o solidarności naszego ludu żydowskim osadnikom w Palestynie, podkreślając jednocześnie, że nie widzimy konfliktu pomiędzy naszą miłością do ziemi praojców a miłością do ojczyzny. Jednak zanim wzniesiemy kielichy, chciałbym przypomnieć wam treść pewnego dokumentu, który jest dla nas wszystkich niezwykle ważny.

Odczytał na głos:

„Dekret: dotyczący równouprawnienia wyznań religijnych w strukturze obywatelskiej i państwowej. [...] My, Wilhelm, z Bożej łaski król Prus, za zgodą Bundesratu i Reichstagu, wydajemy następujący rozkaz:

Wszelkie pozostałe ograniczenia obywatelskich i państwowych praw wynikające z różnic wierzeń religijnych zostają niniejszym zniesione. Szczególnie prawo do udziału w lokalnych i państwowych zgromadzeniach i do zajmowania stanowisk państwowych będzie niezależne od poglądów religijnych.

Niniejszym potwierdzone naszym własnoręcznym podpisem i pieczęcią parlamentu. Ogłoszono: Schloss Babelsberg, 3 lipca 1869“.

Powiewając w powietrzu kartką, z której czytał, Ascher dodał:

- To nie są puste słowa, ponieważ dotyczą także składu rady miejskiej i gwarantują fundamentalne zmiany.

Obecni odpowiedzieli gromkimi brawami, Ascher zaś skinął głową w podziękowaniu.

- Na zakończenie posłuchajcie, proszę, kilku słów profesora Graetza, pochodzących z przedmowy do jedenastego tomu jego dzieła.

Ponownie odczytał:

„Mam większe szczęście niż moi przodkowie i mogłem zakończyć [*Historię Żydów*] pozytywnym akcentem. Żydowski lud znalazł w końcu nie tylko sprawiedliwość i wolność w cywilizowanych krainach, ale także zyskał pewne uznanie. Otrzymał nawet nieograniczoną możliwość rozwoju swych zdolności, nie jako łaskę, ale zapracowane prawo, po tysiącu ran, które wycierpiał, na skalę, której chyba żaden inny lud na ziemi nie musiał znosić, i w uznaniu dla zaskakujących osiągnięć ważnych dla całego świata, które podobnie niemal nie mają sobie równych“.

2. Marzenia a rzeczywistość

Marzenie Aschera spełniło się. Stał na rufie statku, który wypłynął już na pełne morze. Był dwudziesty lutego 1872 roku. Zimą mrok zapadał bardzo wcześnie. Szara mgła zawisła nad powierzchnią wody, a niebawem wszystko pogrążyło się w ciemnościach. Wiała rześka bryza. Ascher drżał, nie z zimna jednak, lecz z podniecenia. Czuł, jak drewniana konstrukcja statku wibruje pod jego stopami. Wsłuchiwał się w dźwięk kół, rytmicznie młócących morską wodę. SS „Ungaria“ płynął na południe z prędkością ośmiu węzłów na godzinę. Przedstawiciel biura turystycznego w Trieście zapewnił ich uroczyście, że znajdą się w Egipcie najpóźniej w ciągu czterech dni, oczywiście pod warunkiem, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Najpierw mieli zatrzymać się na kilka dni w Aleksandrii, potem wsiąść na niewielki rosyjski przybrzeżny parowiec do Port Saidu, a stamtąd popłynąć już prosto do Jaffy.

Nigdy wcześniej Ascher nie czuł bliskości Boga tak bardzo, jak w owych chwilach, gdy wpatrywał się w horyzont, gdzie morze i niebo łączyły się w czarną kurtynę. Gdzieś za nią leżała Ziemia Święta, źródło jego żydowskiego istnienia i cel jego modlitw. A jednocześnie nigdy przedtem nie był tak dumny z bycia obywatelem największego i najpotężniejszego imperium w Europie, państwa, które dało podwaliny jego ludzkiej egzystencji i któremu poświęcał wszystkie swoje działania i starania. Tego wieczoru, gdy gwar Berlina i spokój Polzin zostały tysiące mil morskich za nim, sprzeczność pomiędzy miłością do cesarstwa a miłością do Palestyny stała się mniej wyrazista, a jej miejsce zajęła idea, że uda się stworzyć solidny most, który je połączy, i że religia i umiłowanie ojczyzny mogą istnieć obok siebie. W jego walizce znajdował się dokument informujący o przyjęciu go do rady miasta, oficjalne potwierdzenie jego równych praw jako obywatela Cesarstwa Niemieckiego.

- Za chwilę zostanie podana kolacja, mein Herr.

Słowa stewarda sprowadziły go na ziemię. Ascher wymamrotał podziękowanie i spokojnie podążył wąską zejściówką do salonu pierwszej klasy. W wypełnionym dymem pomieszczeniu zebrało się jakieś dwadzieścia osób. Podróżni popijali cejlońską herbatę z filiżanek z kruchej porcelany, pogrążeni w ożywionej rozmowie. Profesor Graetz i Moritz Gottschalk, pochłonięci partyjką szachów, nie zwrócili uwagi na przyjście Aschera. Na dywanie pomiędzy stołami kręciły się dzieci pasażerów, budujące zamki z kolorowych drewnianych klocków.

Większość podróżnych stanowili Anglicy i Włosi, którzy mieli zasilić ekipę obsługującą nowo wybudowany Kanał Sueski. Kilka lat wcześniej żydowscy bankierzy w Berlinie próbowali zainteresować klientów tym projektem. Ascher jednak się nie skusił. Jego zdaniem przedsięwzięcie Ferdynanda wicehrabiego de Lesseps było ryzykownym pomysłem. Wolał dalej inwestować w koleje. W 1869 roku, kiedy otwarto kanał, co uświetniła wspaniała ceremonia, wartość akcji skoczyła siedmiokrotnie. Fanny spytała, czy nie żałuje swojej decyzji.

- Absolutnie - odparł Ascher. - Żaden niemiecki obywatel nie powinien pomagać Francuzom we wznoszeniu bastionu w Lewancie. Nie po to posłaliśmy Juliusa na front.

- My...? - zdziwiła się jego żona.

- No dobrze - mruknął. - Poszedł z własnej woli. Ale to nie zmienia faktów. - Następnie odczytał na głos, co w gazecie „Vossische Zeitung“ napisano o ceremonii otwarcia: o piętnastoletnich tancerkach z paryskiej grupy baletowej, które niewątpliwie były śliczne, ale nie potrafiły tańczyć, i o śpiewaczce, która ujęła kairską widownię nie swoim skądinąd miernym głosem, ale obfitym biustem, wylewającym się z dekoltu.

- Obrzydliwe - skomentował, dodając: - Szkoda, że kronprinz³² musiał być obecny na tak żenującym widowisku.

Baletnice baletnicami, ale Kanał Sueski spowodował zmianę układów handlowych i transportowych w tej części świata, a wraz z jego otwarciem wschodnia część basenu Morza Śródziemnego obudziła się na nowo do życia.

Ascher Levy stanął w progu salonu i spojrzął na obecnych. Byli doskonale ubrani, a ich zachowanie równie nienaganne. W rogu sali pianista grał melodie z *Aidy*, podkreślając tym samym związek między pasażerami a kanałem. Docenili aluzję i nagrodzili go brawami. Levy skorzystał z chwili przerwy i przemknął między stolikami.

- Już zaczynaliśmy myśleć, że wolisz towarzystwo mew - zażartował Moritz. Odsunął szachownicę i skinął na kelnera, aby przyniósł filiżankę herbaty.

- O nie, są dla mnie zdecydowanie zbyt głośne.

- Ja także wolę Verdiego - uśmiechnął się Graetz i zaproponował partyjkę skata.

Kelner przyniósł dzbanek herbaty i zabrał szachownicę. Moritz Gottschalk wziął talię kart, potasował i rozdał wprawna ręką. Pianista zasiadł ponownie do fortepianu, a salon wypełniły melodyjne dźwięki kompozycji Franza von Suppe.

- Przywodzi mi na myśl Wiedeń - westchnął Graetz.

- Nie tęsknię za tym miastem - rzekł Ascher oschle. - Chyba nie mógłbym mieszkać w Wiedniu.

- Ja bym mógł - zauważył Moritz.

- Ty, Moritz? - wykrzyknął Ascher zdziwiony. - Myślałem, że świata poza Berlinem nie widzisz.

- Dobrze się tam bawiliśmy, nieprawdaż?

- Zabawa a życie to dwie różne sprawy. Możesz pójść do cyrku, żeby się rozerwać, ale raczej nie chciałbyś w nim zamieszkać.

Profesor Graetz zerknął na nich znad kart.

- Jak może pan w ogóle porównywać te dwa miejsca? - spytał, niemal urażony.

- Oba są równie frywolne.

- Nie przypuszczałem, że ma pan takie purytańskie poglądy, przyjacielu.

- Mój kuzyn uwielbia ład. W jego świecie każdy ma określone miejsce - wtrącił z nutką kpiny w głosie Moritz.

- A co z tobą? Czy nie popierasz ustalonego porządku? Zostałeś rewolucjonistą?

- Nie, ale Wiedeń jest miastem otwartym na świat. Nie czułem się tam nieswojo. W Berlinie za to... Nie wstydzę się przyznać, że czasem we własnym mieście czuję się jak obcy przybysz. Nawet gdybym był tam najbogatszym człowiekiem, za żadne pieniądze nie mógłbym kupić dobrej woli tamtejszych ludzi. Teraz twierdzą, że wzbogaciliśmy się ich kosztem, że mamy zbyt wielką władzę i zarażamy ich „czyste” społeczeństwo. Cokolwiek byśmy zrobili, zawsze będziemy dla nich niższą, szkodliwą rasą. Nawet ci, którzy się nam kłaniają i robią z nami interesy, nienawidzą nas. Nie stanowimy nawet jednego procenta ludności Berlina, ale gdyby sporządzić listę wszystkich przedsiębiorców, bankierów i przemysłowców tego miasta, okazałoby się, że połowa z nich to Żydzi. Wiele osób uważa, że ta sytuacja jest nie do przyjęcia. A ty, Ascherze? Czy nie jesteś najbogatszym człowiekiem w Polzin? I co w związku z tym? Jesteś pewien, że nie przeklinają cię za twoimi plecami? W Wiedniu by się to nie zdarzyło. Ale po cóż się spierać? Jesteś po prostu zakłopotany. Rozumiem to doskonale. Z Polzin do Wiednia... To musiał być szok.

Ascher nic na to nie odpowiedział. Musiał przyznać, że jego agresywny ton wynikał z obronnej postawy. Wiedeń wydał mu się kuszącym, magicznym miejscem i choćby z tego powodu był niebezpieczny. A on jest i zawsze będzie człowiekiem z prowincji. Wspaniały surdut, uszyty na miarę przez modnego wiedeńskiego krawca, w żaden sposób nie zmienił

³² Kronprinz (niem. *Kronprinz*) - następca króla Prus lub cesarza niemieckiego.

jego spojrzenia na świat. Berlin, stolica Cesarstwa Niemieckiego, niezmiennie stanowił centrum tego świata. Nawet jeśli nie czuł się tam u siebie i w duchu musiał przyznać kuzynowi rację, dla niego miasto było symbolem potęgi imperium i wszystkich jego wartości.

W ciągu poprzedniej dekady Berlin zaczął rozrastać się w zapierającym dech w piersiach tempie. Teraz liczył osiemset pięćdziesiąt dwa tysiące mieszkańców, a po zwycięstwie nad Francją większość z nich wierzyła, że żyje w najważniejszym miejscu nowego świata, tam, gdzie tworzy się historia. Ascher nie oceniał zalet miasta po jego wyglądzie zewnętrznym. Czy kochał Fanny mniej tylko dlatego, że jej twarz pokryła się zmarszczkami? Z pewnością było prawdą, że Berlin zbrzydł. Pierścień kwartałów robotniczych otaczał miasto niczym zardzewiała obręcz. A nowobogacy, którzy budowali domy w eleganckich dzielnicach, nie zawsze wyróżniali się dobrym smakiem. Z kominów fabrycznych buchał w niebo dym. Ale czy miasto koniecznie musi przypominać dzieło sztuki? W kabaretach Berlina odnosił sukcesy skecz zatytułowany „Berlin - centrum świata“ [*Berlin, eine Weltstadt*]. Krytycy złośliwie przechrzcili go na „Berlin - centrum pieniądza“ [*Berlin, eine Geldstadt*]. Dla Aschera Levy'ego owa krytyka i kpiny były bezpodstawne. Uważał bliski związek pomiędzy władzą a zamożnością za pożądany. Bez połączenia siły finansowej i solidnych wartości nie mogło być mowy o żadnym postępie. Dlatego też tak gardził Austrią, której armia została pokonana przez Prusy w 1866 roku. Uważał ją za liberalne, tolerancyjne, ale słabe państwo, niepotrafiące stawić oporu wrogowi. Od chwili gdy postawił stopę na zatłoczonym peronie, Wiedeń wydał mu się barokową scenografią dla komediowej operetki. I choć mieszanka etniczna Austriaków, Żydów, Węgrów, Serbów, Chorwatów, Czechów i Polaków mogła być tygłem europejskiej inteligencji, w jego oczach sprowadzała się ledwie do zbitki narodów.

Doktor Leopold Kompert, przyjaciel profesora Heinricha Graetza, zabrał ich na wycieczkę po Wiedniu, „koronkowej dzungli“, jak nazywał swoje miasto. Spędzili poranek w muzeach, spróbowali słynnej kawy z bitą śmietaną w kawiarni przy Kärtnerstrasse i wyposażyli się na planowaną podróż w domu towarowym Jakoba Ruthbergera. Następnie zjedli obiad ze swym gospodarzem, dyskutując przy tym o naturze nowoczesnego judaizmu, który to temat był tak bliski ich sercom. Jego opowiadania *Aus dem Getto* („Z getta“) spotkały się z ostrą krytyką ze strony ortodoksyjnych Żydów. Rozmawiali o prowokacyjnych opowiadaniach Komperta, ale nie pominęli też zasadniczego pytania: religia czy narodowość?

Ascher śledził polemikę różnych odłamów judaizmu od lat. A mimo to nadal wprawiała go w zdumienie ogromna przepaść dzieląca konserwatystów od reformowanych i nieustanna walka pomiędzy nimi. Na niego, jak również na profesora Graetza i Moritza Gottschalka, taki sam wpływ miały dzieła ortodoksyjnego rabina Ezriela Hildesheimera z berlińskiej gminy Adass Jisroel, jak i poglądy przedstawicieli ruchu reformowanego. Na szczęście Ascher potrafił połączyć stare i nowe. „Jak możesz być jednocześnie pruskim patriotą i religijnym Żydem?“, pytali go ciągle znajomi, najczęściej chrześcijanie. Nawet jego własna żona spytała go kiedyś: „Jak udaje ci się pogodzić miłość do Niemiec z miłością do Erec Izrael?“. Sceptykom odpowiadał po prostu: „Widzę, że masz mi to za złe. Ale ta podwójna lojalność nie stanowi tak naprawdę dla mnie żadnego problemu. Pruski nacjonalizm chroni moje ciało, żydowski nacjonalizm jest częścią mej duszy, duchowym kompasem. To wszystko“.

Po tygodniu pobytu w Wiedniu Ascher, Moritz i profesor Graetz udali się pociągiem do Triestu. Kompert odprowadził ich na dworzec. Był już kiedyś w Palestynie i znał tamtejsze zwyczaje. Tuż przed tym, jak zawiadowca stacji dał sygnał lokomotywie parowej do odjazdu, Kompert zawołał: „Nie zapomnijcie o magicznym słowie, które otwiera wszystkie drzwi imperium osmańskiego - bakszysz!“.

Podróżnicy zatrzymali się w Trieście jedynie na dwa dni, żeby rozejrzeć się po ruchliwym porcie. W studiu miejscowego fotografa portrecisty, Signore Bocalino, Ascher Levy sfotografował się w swoim nowym surducie, a fotografię wysłał do bliskich w Polzin. Fanny

z podziwem patrzyła na męża siedzącego na krześle w długim surducie, zapiętym jedynie na górny guzik. Wzdłuż nogawki jego flanelowych spodni biegł czarny aksamitny pasek, w lewej dłoni Ascher trzymał parę rękawiczek z sarniej skóry. Fanny umieściła fotografię w małej szkatułce, gdzie przechowywała rodzinne pamiątki, i nigdy by nie przypuszczała, że to samo zdjęcie sto lat później trafi na pchli targ w Jaffie.



Ascher Levy

Pierwszym miejscem, w którym się zatrzymali, była Aleksandria. Zgodnie z reputacją firmy Lloyds, statek SS „Ungaria“ przybył bez opóźnienia. Na nabrzeżu rozładowano skrzynie. Tragarze uwijali się wokół pasażerów. Ich krzyki po arabsku, włosku i francusku zlewały się w ogłuszającym orientalnym zgiełku. Za portem witała podróżnych zupełnie inna sceneria. Na ulicach miasta wspaniałe powozy mijały się z apatycznymi wielbłędami. Eleganckie damy w najmodniejszych paryskich kreacjach chroniły się przed słońcem pod jasnymi jedwabnymi parasolkami. Obok nich przemykały miejscowe kobiety owinięte w czerń od stóp do głów, z zakwefionymi twarzami. Oszołomiony wrażeniami Ascher schował się w pokoju hotelowym i napisał do Fanny:

„Aleksandria, 29 lutego 1872 roku

Moja droga, ukochana żono,

gdy tylko wysłałem list z Korfu, urzeczywistniły się obawy w nim zawarte. Zarzuciliśmy kotwicę na redzie i natychmiast otoczył nas taki rój łódek i Greków, że dosłownie zdzierano z nas ubrania. Uciekłem na górny pokład i stamtąd obserwowałem ów spektakl. Gdy tak stałem (do jedenastej wieczorem), musiałem się zaziębić, w nocy rozboleła mnie więc głowa i zęby, a morskie fale sprawiły, że przerodziło się to w mdłości. Praktycznie wszyscy pasażerowie na pokładzie, poza doktorem Graetzem i większością Anglików, cierpieli w ten sam sposób

przez kolejne dwa dni. Wczoraj było nieco lepiej, więc udało mi się wdrapać na przedni pokład, a cudowne słońce, takie jak u nas w czerwcu, spowodowało, że w południe mogłem już wypić filiżankę bulionu i zjeść połówkę pomarańczy. O czwartej po południu po raz pierwszy ujrzelśmy Aleksandrię, do której dopłynęliśmy około szóstej, a na ląd zeszedliśmy godzinę później. Nikt, kto sam nie był nigdy świadkiem tej szamotaniny, przepychania się, wrzasku, okrzyków radości, kłótni, tej płątaniny języków, nie może mieć najmniejszego pojęcia, jak to wygląda. Wodą, pieszo, na osłach i powozem w końcu dotarliśmy ze wszystkimi naszymi rzeczami do hotelu Triest, nie obyło się oczywiście bez problemów, mimo rozdawania bakszyszu.

Dziś poszliśmy do konsula, który nie przyjął nas osobiście, ale bardzo serdecznie powitał nas jego sekretarz. Rankiem zajęliśmy się kilkoma sprawami dotyczącymi interesów, a po południu udaliśmy się na przejażdżkę po mieście.

Zobaczyliśmy Kolumnę Pompejusza, Igły Kleopatry, kanał Al-Mahmudijja i kilka ogrodów. Wegetacja jest tu o wiele bardziej zaawansowana niż u nas w lipcu i w sierpniu. Liście na drzewach utraciły już wiosenną świeżość. Kukurydza dojrzeła, a róże kwitły już raz i teraz wypuszczają drugie pąki. Nie mogliśmy znaleźć żadnej koszernej restauracji, ale zaprosił nas na obiad do domu pewien dżentelmen o nazwisku Schalom Aboth. Szczegóły naszej dalszej podróży są nadal niepewne. Chcielibyśmy zobaczyć Kair i piramidy, ale oznaczałoby to poświęcenie ośmiu dni, a mamy i tak niewiele czasu. Dziś po kolacji zabiorą nas do Klubu Niemieckiego, gdzie dowiemy się dokładnych godzin odpływu różnych statków i podejmiemy decyzję, czy udamy się rosyjskim parowcem do Jaffy pojutrze, czy też zwiedzimy Kair...“.

Następnego dnia trzech podróżnicy zjedli obiad u pana Menasce, żydowskiego biznesmena, znanego także jako „egipski Rotszyld“. W dzienniku Aschera znajdziemy taki oto zapisek:

„Oto człowiek, którego poglądy są mi bliskie. Mimo że ma ogromny majątek, nie zapomina o swej wierze. Imponujące bale, które wyprawia, są słynne na całą krainę piramid. Ważni goście pojawiają się w jego wspaniałym domu, zjadają smakołykami z jego kuchni, a wszystko to jest całkowicie koszerne. Nawet Jego Ekscelencja chedyw Ismail specjalnie wybrał się w podróż z Kairu, aby uczestniczyć w jednym z tych balów. Zwyczaje różnią się znacznie od naszych. Gdy znaleźliśmy się w dużym pokoju, pan Menasce zaproponował nam, abyśmy usiedli na perskich dywanach i rozrzuconych poduszkach. Tak zapewne wygląda turecki harem, a może ponosi mnie wyobraźnia? Egzotyczne potrawy (ściśle koszerne) podawali arabscy służący w turbanach, każde danie osobno, na srebrnych półmiskach, a sztuce - wierz mi lub nie - były z czystego złota! Nasz przyjaciel, profesor Graetz, tak to podsumował: «Oto mamy tu europejską Azję i azjatycką Europę». Jakże trafnie to ujął. Oczywiście zwiedziliśmy także synagogi, widzieliśmy też zapasy żywności dla gminy składającej się z pięciu tysięcy dusz. Żydzi europejskiego pochodzenia mniej lub bardziej trzymają się tradycyjnego stylu życia, sefardyjczycy zaś... No cóż, oni naprawdę są częścią Orientu. Na koniec nie mogę powstrzymać się, by nie podkreślić następującego faktu: w mieście, w którym jadał niegdyś Majmonides, nie znajdziesz teraz ani jednej koszernej restauracji...“.

Podczas gdy ciało i dusza Aschera wygrzewały się w aleksandryjskim słońcu, na Pomorzu było tak zimno, że para z ust natychmiast zamieniała się w szron. Ludzie zaklinali się, że nawet w czasach ich przodków nie było nigdy tak srogiej zimy. Kiedy przyszedł list od Aschera, Bernhard właśnie szykował się do wyjazdu w interesach. Próby Fanny, aby go od tego odwieść, spełzły na niczym, i nawet błagania woźnicy, obawiającego się zaśnieżonych dróg, nie docierały do jego uszu. Potężne śnieżyce zablokowały kolej, Bernhard niezrażony

postanowił więc pojechać saniami, zastępując małe konie od dorożki ciężkimi, silnymi zwierzętami, zdolnymi znieść siarczysty mróz.

Podczas nieobecności ojca Bernhard prowadził firmę niczym nowoczesny dowódca na polu bitwy. Nie wydawał rozkazów z bazy w Polzin, ale znajdował się w nieustannym ruchu - była to prawdziwa rewolucja w zarządzaniu interesami. Bernhard miał wielką siłę perswazji i wyznawał pogląd, że rozmawianie z klientami i urzędnikami twarzą w twarz jest lepsze niż jakakolwiek korespondencja, nawet listy pisane przez najbardziej kompetentnych jego pracowników.

Tym razem celem podróży było odległe Glogau³³. Sieć informacyjna stworzona przez ojca była wyjątkowo przydatna. Dzięki niej dowiedział się, że rolnicy z okolic Glogau sprzedają bydło, bo z powodu mrozów cena paszy gwałtownie wzrosła i nie byli w stanie wykarmić zwierząt. Woźnica zaprzągnął konie do saní, owinał się w wełniane koce, naciągnął czapkę na twarz i spojrzał w niebo. Chmury były ołowianoszare. Zasepił się. Bernhard opatulił się w owcze skóry. „Nie ma powodów do zmartwień - powiedział matce i pracownikom, którzy wyszli przed dom, aby go pożegnać. - Wrócę za tydzień - i to na pewno nie z pustymi rękami“.

„Wio!“, zawołał woźnica i popędził konie smagnięciem bata. Fanny stała bez ruchu, aż sanie zniknęły jej z oczu. Dopiero gdy wróciła do domu, poczuła, że przemarzała do szpiku kości.

Zgodnie z danym słowem Bernhard nie wrócił z pustymi rękami. Ale jeszcze zanim spotkał się z pośrednikami, którzy mieli zawieźć go do sprzedających bydło, przedstawiono mu ofertę zgoła innej natury. Do drzwi jego pokoju hotelowego zapukał miejscowy swat z propozycją, którą okazała się Henriette, córka państwa Cohenów. Swat najwyraźniej szedł z duchem czasu, bo zamiast wygłaszać długą przemowę, podał Bernhardowi fotografię potencjalnej panny młodej. Ze zdjęcia spoglądała ładna młoda kobieta o wyraźnie semickich rysach. Czarne włosy miała upięte w koronę, oczy ciemne, promieniała łagodnością i powagą, a rozchylone nozdrza świadczyły o pasji życia. Biegły w swym fachu swat zorientował się, że młoda kobieta podbiła serce Bernharda. Odebrał fotografię i wsunął z powrotem do kieszeni. Bernhard podsunął mu krzesło, a starszy mężczyzna opadł na nie ciężko. Skrupulatnie wymienił wszystkie zalety Henriette - że cieszy się dobrym zdrowiem, pochodzi z zacnej rodziny, a do jej przodków należą rabini znani w Księstwie Poznańskim, a co nie mniej istotne, że jej rodzina jest zamożna. Gdyby nie to, że Bernhard spieszył się do wiosek, uległby pokusie odwiedzenia domu Cohenów jeszcze w tym samym tygodniu. Ale interesy były najważniejsze, uzgodnił więc, że odwiedzi Henriette w najbliższej przyszłości.

Srogie śnieżyce, które sparaliżowały życie na północy regionu, wpłynęły także na działanie poczty. Bernhard i Fanny informowali Aschera o tym, co się dzieje, ale ich listy utykały na poczcie w Polzin. Tak więc trzej mężczyźni opuścili Aleksandrię, nie otrzymawszy żadnych wieści z domu. Nie martwili się tym zbyt, ponieważ bardziej nagłym problemem było to, jak wsiąść na „Olega“, niewielki rosyjski parowiec, kursujący **regularnie** między portami wschodniej części basenu Morza Śródziemnego. Próby profesora, aby wypożyczyć dla nich statek należący do egipskiego dworu królewskiego, nie powiodły się. A teraz kapitan „Olega“ twierdził, że wszystkie kabiny zostały już zarezerwowane przez rosyjskich pielgrzymów prawosławnych, udających się na Wielkanoc do Ziemi Świętej. Rosyjski rząd starał się zwiększyć liczbę pielgrzymów, aby ich obecność w Jerozolimie stała się bardziej widoczna. W tym celu car nabywał tam nieruchomości i zlecał budowę kościołów i klasztorów. Nasi podróżni skorzystali więc z rady doktora Komperta, która okazała się cudownie skuteczna - bakszysz otworzył im drzwi do dwóch najlepszych kabin na statku, tuż obok kajuty kapitana.

³³ Głogów.

Drugiego marca statek podniósł kotwicę. Najpierw zatrzymał się w Port Saidzie, a po dwóch dniach żeglugi po spokojnych wodach dobił do brzegu w Jaffie. Po południu czwartego marca 1872 roku ich wzrok spoczął na wrotach Ziemi Obiecanej. Pierwsze wrażenie było nieco przygnębiające. W Erec Izrael nie było żadnego portu z prawdziwego zdarzenia. Dostępu do Jaffy broniły strome skały i jedynie niewielkie łodzie mogły zacumować do pomostów wychodzących z plaży. Statki wielkości „Olega“ musiały zarzucać kotwice kilkaset metrów od falochronu i dryfować na falach, czekając na małe szalupy z żaglem, które przewoziły pasażerów na brzeg. Te bez trudu przepływały pomiędzy skałami do płytkiej wody, gdzie znajdowały się pomosty. Tam czekali na pasażerów urzędnicy imperium osmańskiego i zaczynała się biurokracja. Sprawdzanie dokumentów podróжных i kontrola celna trwały całe wieki. Kolejny raz bakszysz okazał się magicznym słowem. Kiedy pielgrzymi wciąż kłócili się i targowali z urzędnikami celnymi, Ascher Levy i jego dwaj towarzysze wchodzili już do jedyne go należącego do Żyda hotelu w Jaffie.

Spotkało ich gorzkie rozczarowanie. Ascher wyobrażał sobie Jaffę jako miasto otoczone zielonymi polami, gdzie powietrze wypełnione jest wonią złotych pomarańczy. Dla niego była portem, do którego król Salomon sprowadził z Libanu drewno cedrowe na budowę Świątyni. Było to miasto, gdzie mieszkał niegdyś garbarz Szymon, który przyjął świętego Piotra. To tu na jednym z dachów Piotr miał wizję, która skłoniła go, aby od tej chwili jadł trefne, czyli niekoszerne jedzenie, i prowadził misję wśród Żydów. Jednakże widok z dachu hotelu, jaki napotkały oczy Aschera, w żadnym razie nie przystawał do jego wyobrażenia. Ujrzał brzydkie, brudne, orientalne miasto. Już droga z portu do hotelu odarła go z wszelkich złudzeń. Z trudem przeciskali się wąskimi uliczkami bez chodników, mijając rozpadające się domy i uliczne stragany. Nagabywali ich żebracy wynurzający się z ciemnych zakamarków. Bose dzieci żebrały o jałmużnę, mamrocząc niezrozumiałe słowa. Na centralnym placu znajdował się wielobarwny, hałaśliwy targ. Mężczyźni w długich, obszernych szatach, które z pewnością były kiedyś białe, siedzieli na niskich stołeczkach przed nędznymi kawiarenkami, siorbiąc słodką herbatę i mulistą kawę z maleńkich filiżanek, grając w trik-traka albo wpatrując się apatycznie w niebo. Ryczące osły i muły, odpoczywające nieopodal, najwyraźniej nikomu nie przeszkadzały. Ascher nie mógł sobie wyobrazić, jak mogłoby się tu zmieścić dwieście pięćdziesiąt żydowskich rodzin.

Następnego dnia Ascher, Moritz i profesor Graetz odwiedzili maleńką niemiecką społeczność Tempelgesellschaft³⁴, która osiedliła się w Jaffie dwa lata wcześniej. Potem poznali kilku Francuzów, podobnie jak oni udających się do Jerozolimy. Postanowili podróżować razem, aby obniżyć koszty i podnieść bezpieczeństwo. Okazało się bowiem, że na wzgórzach przy drodze do Jerozolimy czają się bandy Beduinów napadających na podróżnych. Właściciel hotelu zaproponował im usługi swojego arabskiego służącego jako dragomana.

- A kim jest dragoman?

- Bez dragomana nie sposób się poruszać po Erec Izrael - wyjaśnił im właściciel hotelu. - To oficjalne określenie tłumacza w zagranicznych konsulatach. Dragoman mówi biegle po turecku oraz w jednym lub dwóch europejskich językach. Zna zwyczaje kraju, wie, jak poruszać się w labiryncie osmańskich praw i może służyć jako pośrednik w rozmowach z urzędnikami państwowymi, których spotkanie w każdym miasteczku i wiosce. Bez ich pozwolenia nie będziecie w stanie kontynuować podróży. Jedynie dragoman, który zna tych ludzi osobiście, wie, jaka jest bieżąca cena za takie pozwolenia. Zapłata dla dragomana zależy od jego umiejętności w radzeniu sobie z podobnymi sprawami. Mój służący nie jest może tani, ale wart każdego piasra³⁵.

³⁴ Tempelgesellschaft, Społeczność Świątynna (p. słowniczek).

³⁵ Piastr - drobna moneta używana w niektórych krajach Bliskiego Wschodu.

- W porządku. Proszę go wezwać - zgodził się Ascher. Gdy Arab się pojawił, spytał go, jak się nazywa.

- Zwą mnie Gamad.

- Karzeł? - zdziwił się Ascher, który zrozumiał to hebrajskie słowo.

- Tak, to z uwagi na mój wzrost - odparł służący, zachowując kamienną twarz. Gamad miał niemal dwa metry wzrostu, co nawet jak na dzisiejsze standardy jest niemało, a wówczas uznawano taką osobę za olbrzyma.

W marcu 1872 roku Gamad dowiódł swych umiejętności przy przygotowaniach do podróży. Udało mu się nawet zdobyć kucharza znajdującego się na koszernej kuchni. Za jego radą zatrudniono także dwóch kawasów³⁶ - strażników uzbrojonych w broń palną i miecze.

Grupa chciała przebyć sześćdziesięciopięciokilometrowy odcinek między Jaffą a Jerozolimą w dwa dni. Sułtan zlecił zbudowanie drogi łączącej te dwa miasta, gdy dowiedział się, że cesarz Franciszek Józef zamierza uczestniczyć w ceremonii otwarcia Kanału Sueskiego, po czym udać się na pielgrzymkę do Jerozolimy i jej świętych miejsc. Cesarz pojawił się i zniknął, a droga pozostała. Podróżni wyruszyli około dziesiątej rano, a o zachodzie słońca dotarli do Ramii. Zatrzymali się w katolickim klasztorze, gdzie dostali duże, czyste pokoje. Była tam nawet kuchnia, w której kucharz mógł przygotować im posiłek. Dragoman polecił im, aby położyli się wcześniej spać, bo należało wyruszyć następnego dnia o piątej rano. Trudne podejście wzgórzami do Jerozolimy miało zająć dużo czasu, a pokonywanie tej części drogi po zmroku uważano za niebezpieczne. Po spokojnej nocy wyruszyli nieco później niż planowali i dopiero po południu ujrzeni mury Świętego Miasta. Ascher ściągnął wodze i zsiadł z konia. Stał na skraju drogi, pochylił się nisko w kierunku miasta i spoglądał na nie w milczeniu.

- Modlisz się? - spytał Moritz.

- Próbuję, ale nie potrafię znaleźć odpowiednich słów.

Tego wieczoru napisał do Fanny z hotelu:

„Wyjechaliśmy z Ramii o pół godziny później, niż zamierzaliśmy. Stworzyliśmy imponującą karawanę, składającą się z siedemnastu koni, mułów i osłów oraz dziesięciu ludzi, wśród których było kilku Francuzów i jedna osoba z Wirtembergii. Po kilku godzinach dotarliśmy do równiny Szaron, potem droga poprowadziła nas przez wysoko położony płaskowyż aż do wzgórz Judei. O wpół do jedenastej zatrzymaliśmy się i zjedliśmy śniadanie w arabskim namiocie. Składało się z filiżanki czarnej kawy i pieczonego kurczęcia. Po godzinnym odpoczynku przez dwie godziny szliśmy dalej pieszo, cały czas pod górę między wysokimi, nagimi skałami. Co jakiś czas pojawiała się zielona roślinność, wskazująca na wcześniejsze uprawy. Tu i ówdzie natykaliśmy się na nędzne wioski położone w pobliżu gajów oliwnych i nielicznych pól kukurydzy. Szliśmy dalej pod górę, aż dotarliśmy do doliny i zatrzymaliśmy się w Kalanseer, aby się posilić kawą, jajkami i chlebem z owczym masłem. Ruszyliśmy dalej o trzeciej szaleńczym tempem, powodowani pragnieniem ujżenia Jerozolim, i w końcu o wpół do szóstej dotarliśmy do Bramy Jafskiej. Po krótkim odpoczynku mieliśmy jeszcze dość czasu na krótki spacer po najbliższej okolicy. Zatrzymaliśmy się na wzgórzu Syjon, skąd mieliśmy widok na Wieżę Dawida, ale za moją namową przeniesiemy się jutro w inne miejsce. Rankiem pójdę zobaczyć, czy nie czeka na mnie list od moich najdroższych. Bywaj...“.

Ascher nie mówił swoim bliskim wszystkiego. Pewne myśli i wrażenia zachował dla siebie, ukrył je w swoim dzienniku. Pobyt w Jerozolimie był dla niego silnym przeżyciem duchowym. Ale czy właśnie tak przedstawiał sobie stolicę swojej duchowej ojczyzny? Choć owo miasto było dla niego abstrakcyjnym i metafizycznym wyobrażeniem, i jedynie

³⁶ Kawas - policjant turecki; honorowy strażnik dyplomaty w niektórych krajach Bliskiego Wschodu.

historycznym miejscem o znaczeniu religijnym, nie był w stanie zignorować tego, co ujrzał. Czy naprawdę mogło to być miasto wychwalane i obiecane w świętych pismach? Nie mógł się zmusić, aby podzielić się tą myślą z Moritzem i profesorem Graetzem. Jego dwaj towarzysze twardo trzymali się zamierzonego celu podróży - przede wszystkim chcieli doświadczyć codziennego życia i w tym celu często odwiedzali żydowską dzielnicę znajdującą się w obrębie murów miasta, gdzie w ścisłości egzystowała mała społeczność żydowska. Jej członkowie znosili złe traktowanie ze strony ludności muzułmańskiej i urzędników osmańskich. Żyli w ciągłej biedzie, zajmowali się studiowaniem Tory, prowadząc na jej temat niekończące się dysputy. Choć warunki bytowe Żydów osiedlających się poza murami miasta były lepsze, raczej nie można było określić ich mianem zadowolających według standardów europejskich.

Erec Izrael była jedną z najbardziej zacofanych prowincji chylącego się ku upadkowi imperium osmańskiego. W porównaniu z tętniącym życiem Prusami senna Palestyna wydawała się dość przygnębiająca. Choć Ascher wiele słyszał i czytał o życiu w czterech świętych miastach, Jerozolimie, Safedzie, Tyberiadzie i Hebronie, rzeczywistość okazała się inna niż opowieści. Gdy wrzucał pieniądze do puszek w szczecińskiej synagodze, poświęconej pamięci Meira Baala Hanessa, *Wunderrabbi* (rabina-cudotwórcy), które miały następnie zgodnie ze zwyczajem zostać przekazane społeczności żydowskiej w Erec Izrael, albo gdy bezpośrednio przekazywał je dla jiszuwu, czynił to, aby wypełnić ważne przykazanie religijne, micwę. Teraz jednak zaczął się obawiać, że robiąc to, wspierał coś zasadniczo pozbawionego celu.

Okolo dziewięciu tysięcy Żydów, niemal połowa ludności Jerozolimy, nie miało żadnego produktywnego zajęcia. Poza kilkoma osobami zaangażowanymi w jakiś rodzaj pracy i kilkoma tuzinami drobnych kupców reszta spędzała czas na gorliwym studiowaniu świętych pism i poświęcała życie służbie Bogu. Hojni współbracia z diaspory stali się odpowiedzialni za ich utrzymanie - pieniądze płynęły głównie z Anglii, Francji i Prus. Wraz z powstaniem ruchu reformowanego w Hamburgu, Berlinie i Dreźnie próbowano zbierać fundusze na tworzenie nowoczesnych instytucji edukacyjnych, jednak inicjatywa nie powiodła się z powodu gwałtownego sprzeciwu ortodoksji. Kilka lat wcześniej Ascher Levy przekazał pewną sumę na budowę niemieckiego szpitala dla trędowatych i teraz mógł się przekonać na własne oczy, czy taki faktycznie powstał. Stwierdził, że przekazanie darowizny żydowskiej komisji opieki społecznej było stratą pieniędzy. O wiele wcześniej, w 1809 roku, rabini Jerozolimy powołali komisję, która w ich zamyśle miała organizować zbiórkę funduszy i ich dystrybucję, aby położyć kres kampaniom prowadzonym partyzancko przez różne *kolelim* lub gminy. Skomplikowana i drobiazgowo sprecyzowana umowa określała wytyczne dla dystrybucji owych funduszy: kto ile miał otrzymać, w jakiej formie i kiedy. Osoby odpowiedzialne za rozdzielanie tych środków skutecznie zdominowały jiszuw.

W poczuciu ważności swojego zadania członkowie komisji rządili żelazną ręką i biada każdemu, który ośmielił się zbuntować czy im sprzeciwić!

Ludzie ci nie patrzyli życzliwie na niewielką grupkę podróżników z Niemiec. Profesor Graetz, Ascher Levy i Moritz Gottschalk znani byli ze swej przychylności dla postępowych ośrodków edukacyjnych i wspierania osadnictwa wschodnioeuropejskich Żydów w Erec Izrael. Pomagali też nowo przybyłym, którzy dążyli do produktywnego życia, tak samo poważnie, jak wypełniali przykazania religijne. Mimo to pierwszego wieczoru ich pobytu w Jerozolimie zostali zaproszeni na wizytę kurtuazyjną u naczelnego rabina, Awrahama Aszkenaziego, chachama baszi³⁷.

Chacham baszi pełnił wiele funkcji: był oficjalnym przedstawicielem żydowskiej społeczności i cieszył się poparciem kajmakama³⁸, osmańskiego namiestnika Jerozolimy.

³⁷ Chacham baszi - naczelnny rabin imperium osmańskiego.

³⁸ Kajmakam a. kajmakan - namiestnik wezyra; naczelnik powiatu albo podpułkownik turecki.

Pomimo swojego wysokiego statusu naczelny rabin wyszedł, aby powitać gości przy bramie. Ascher Levy był zaskoczony widokiem jego wspaniałej, długiej do kostek, urzędowej szaty, uszytej z połyskującej czarnej tkaniny, obramowanej srebrną nicią, ze złotym koronkowym kołnierzem. Niewielką głowę mędrca wieńczył fez. Ręce złożone na piersi w powitalnym geście wyłaniały się z szerokich, zwisających rękawów.

- *Bruchim habaim!* Witajcie w Jerozolimie, świętym mieście - oznajmił i zaprosił ich, aby weszli do środka. Podano wino, lekkie przekąski i napoje. Gdy ich kosztowali, rabin opowiadał o nędzy społeczności znajdującej się pod jego pieczęcią. Przyczyna ich biedy leżała, jego zdaniem, w skąpstwie Żydów żyjących w diasporze.

- Bogaci i możni europejscy Żydzi muszą być bardziej hojni. Czy zapomnieliście, że wasze darowizny to nie jałmużna?

- Jeśli nie, cóż to zatem jest? - spytał Ascher.

- Słowa Tory nakazują nam powrócić do Erec Izrael. Jeśli Żyd nie jest w stanie wypełnić tej micwy, zobowiązany jest ofiarować pieniądze tym, którzy uczynią to za niego. To jest logiczne, nieprawdaż?

Podróżnicy słyszeli już od różnych mieszkańców Jerozolimy o zwyczajach ortodoksów i ich interesującej logice. Dalszą część pierwszego wieczoru spędzili ze swoim starym znajomym, doktorem Benjaminem Londonem. Wieść o ich przyjeździe już się rozeszła i nieproszeni goście ciągnęli do domu doktora, aby wyrazić swój gniew: „Członkowie komisji stosują podwójne standardy“. „Niestety często bywają o wiele gorsi niż urzędnicy osmańscy“. „Nie ma właściwej kontroli publicznej nad dystrybucją funduszy“. „Utknęli w średniowieczu“.

Doktor starał się ich uspokoić, błagając: „Dajcie, proszę, spokój moim gościom“. Gdy mimo to nie chcieli zostawić Graetza i jego dwóch towarzyszy w spokoju, dodał pojednawczo: „Jak widzicie, tutejsi żydowscy przywódcy nie chcą iść z duchem czasu, ale to nie może być wytłumaczenie ostrych słów i przesadnych reakcji“.

Doktor London przejął ową formę niedopowiedzenia od angielskiej społeczności Jerozolimy, z którą utrzymywał bliskie kontakty. Władze jiszuwu w Erec Izrael nie tylko nie chciały iść z duchem czasu, ale także przedsięwzięły drastyczne środki, aby powstrzymać od tego innych członków społeczności. W ich oczach podjęcie jakiegokolwiek zawodowej aktywności powodowało zejście ze ścieżki prawdy, czyli służby Bogu. Nauka handlu lub obcego języka, na przykład, były surowo zabronione, nie wspominając już o świeckiej edukacji.

Goście opowiadali o swoich gorzkich doświadczeniach: „Każdy, kto się im nie podporządkuje, zostaje całkowicie wykluczony“. „Jeśli ktoś odrzuca poglądy przewodniczącego gminy, zostaje dosłownie bez środków do życia. Ale proszę się na mnie nie powoływać, bo jeśli padnie na mnie choć cień podejrzenia, nawet konsulowie mi nie pomogą“.

Konsulowie w Jerozolimie cieszyli się specjalną pozycją i szczególnymi przywilejami. Rozciągali swą opiekę na społeczności religijne. Chronili tych, którzy przybyli z Europy, przed atakami osmańskiego reżimu. Ascher Levy poznał barona von Altena, niemieckiego konsula, kilka lat wcześniej, gdy dyplomata był na urlopie w ojczyźnie. Spotkał go w domu kuzyna na obiedzie wydanym na cześć rabina Hildesheimera. Ezriel Hildesheimer był założycielem „Jüdische Presse“, jedynej w owym czasie żydowskiej gazety promującej osiedlanie się niemieckich Żydów w Erec Izrael. Ascher nie popierał tej idei, jego zdaniem to Żydzi z Europy Wschodniej, którzy nie uznawali krajów swego pochodzenia za ojczyznę, powinni osiedlać się w Palestynie. Szybko znalazł wspólny język z konsulem. Von Alten korzystał z urlopu, aby dowiedzieć się więcej o organizacjach wspierających jiszuw w Erec Izrael oraz ich działaniach. Ascher, który nie dał złamanego grosza na założenie owej gazety,

zobowiązał się jednak do przekazania hojnej darowizny na rzecz szpitala żydowskiego, który miał powstać w najbliższej przyszłości w pobliżu żydowskich sierocińców w Jerozolimie.

- Kiedy przyjedzie pan do Jerozolimy, przekona się pan na własne oczy, jak wykorzystaliśmy pańskie pieniądze - zapewnił go Alten.

- Jak Bóg da - odparł Ascher.

Troska konsula o Żydów nie wynikała jedynie z jego miłości do ziemi Izraela. Główne mocarstwa walczyły o rozszerzenie stref wpływów w Ziemi Świętej. Ich instytucje, szczególnie konsulaty, miały ogromne znaczenie dla bieżącej politycznej penetracji tureckiej części basenu Morza Śródziemnego. A w tej walce o wpływy i władzę poddani stanowili istotny czynnik. Imperium osmańskie istniało wciąż tylko dlatego, że żadne z wielkich mocarstw nie zamierzało ustąpić pozostałym.

Fakt, że Anglia prześcignęła Prusy w budowie kolei i pierwsza z krajów europejskich postawiła stopę w Palestynie, był cierniem w oku dla Aschera Levy'ego. Delegacje brytyjskich misjonarzy działających w Palestynie wywierały ogromną presję na Biuro Spraw Zagranicznych w Londynie, domagając się ochrony przed ingerencją urzędników osmańskich. Konsulat brytyjski powstał w Jerozolimie w 1839 roku. Aby nie być gorszym, Fryderyk Wilhelm IV, król Prus, powołał własnego konsula w Jerozolimie w 1840 roku, rok po koronacji. Dwudziestego maja 1842 roku zaś objął stanowisko Ernst Gustav Schultz, specjalista do spraw Orientu. Francuzi, którzy bezskutecznie próbowali znaleźć punkt zaczepienia w tym regionie sto trzydzieści lat wcześniej, powrócili w 1843 roku, Amerykanie pojawili się w 1844, Austriacy zaś w 1849 roku. Rosjanie założyli towarzystwo przewozowe w Jaffie, którego głównym zadaniem było szpiegostwo wojskowe, ale oczywiście oficjalnie istniało w celu sprawowania opieki nad tysiącami rosyjskich pielgrzymów prawosławnych. Francuzi i Austriacy zajmowali się ochroną katolików. Brytyjczycy i konsulaty pruskie odpowiadali za protestantów.

Dwa lata przed tym zanim konsul Schultz objął urząd, król Prus i królowa Wiktoria podpisali dokument o otwarciu anglikańskiego episkopatu w Jerozolimie. Ta dwustronna umowa określała, że biskupi będą mianowani wspólnie, a wydatki dzielone. Popierając tę ekspansjonistyczną politykę, pruski konsul bardzo troszczył się o zapewnienie bytu Żydom europejskiego pochodzenia. Schultz jako specjalista w zagadnieniach dotyczących Orientu, biegły w hebrajskim i arabskim, służył praktyczną pomocą szkołom talmudycznym w mieście.

Poprzedni konsul, doktor Georg Rosen, podobnie jak wspomniany uczoney, był jednym z niewielu Prusaków zaprzyjaźnionych z przedstawicielem gminy żydowskiej w Szczecinie. Nawet ożenił się z Żydówką z Pomorza. Z wyraźnej sympatii dla Palestyny wspierał instytucje misyjne i pomagał osiedlić się członkom Tempelgesellschaft. Z początku ulokowali się oni w opuszczonych domach w Jaffie, niezauważeni, ponieważ w tym czasie cała Europa skupiła się na otwarciu Kanału Sueskiego. Doktor Rosen trafnie ocenił tych ludzi - idealnie nadawali się do zapoczątkowania ekspansji kultury niemieckiej w Lewancie. Z upływem lat stali się pionierami osadnictwa niemieckiego w Ziemi Świętej. Dopiero na początku drugiej wojny światowej, gdy Brytyjczycy uznali ich za piątą kolumnę nazistowskiego reżimu, zostali wypędzeni ze swoich osiedli. Mężczyzn internowano do obozów jenieckich, a kobiety i dzieci wymieniono za obywateli brytyjskich, którzy z takich czy innych powodów utknęli w okupowanej Europie.

Następcą Rosena został baron von Alten. Nowy konsul przejął dobrze prowadzony konsulaty pruski (który od 1871 roku stał się konsulatem Rzeszy Niemieckiej) oraz około tysiąca dwustu podopiecznych, z których nie więcej niż dwustu było faktycznie niemieckimi obywatelami. Konsul pełnił też funkcję opiekuna innych mieszkańców. Im więcej protegowanych miała zagraniczna misja, tym większe były jej wpływy, a w tym okresie konsulaty niemiecki i austriacki, z których każdy czuł się równie odpowiedzialny za jiszuw,

rywalizowały o wpływy wśród ludności. Uroczyste nabożeństwo w synagodze Ahawat Cijon (Umiłowanie Syjonu) na cześć pruskiego zwycięstwa nad Francją pokazało von Altenowi siłę jego pozycji w kręgach jerozolimskiej społeczności żydowskiej.

A teraz von Alten i Ascher Levy ściskali sobie dłonie niczym starzy znajomi.

- Przykro mi, że nie udało nam się zbudować szpitala zgodnie z planem - brzmiały pierwsze słowa konsula. - Przekazałem sto talarów pańskiej darowizny na specjalny fundusz poświęcony zakładaniu szkół niemiecko-żydowskich. Mam nadzieję, że nie jest to sprzeczne z pańskim życzeniem?

- Nie, wręcz przeciwnie - odparł Levy. - Dopiero się dowiedziałem o trudnościach, jakie napotyka ci, którzy chcieliby propagować tutaj edukację żydowskiej młodzieży. Każda forma wspierania ich starań wydaje mi się w pełni słuszna.

- Nie jest to łatwe zadanie. Sprzeciw ze strony ortodoksji...

- Jestem świadom tych problemów, Herr baron, ale nie przerażają mnie one. Dziś dowiedziałem się, że młode dziewczęta zmusza się do zawierania małżeństwa w wieku czter-nastu czy piętnastu lat. Jakże to staroświeckie! I to zgodnie z nakazem rabinów ortodoksyjnych lub zarządu synagogi. Tak dalej być nie może.

- Cóż więc zamierza pan z tym zrobić, Herr Levy?

- Powinniśmy połączyć nasze starania. Pan jako konsul niemiecki, a ja jako obywatel Rzeszy.

- Co pan przez to rozumie?

- Zarówno ja, jak i moi towarzysze podróży postanowiliśmy przyczynić się do zmiany warunków życia w tym mieście.

- W tym z pewnością się zgadzamy. Ale powinien pan wiedzieć, Herr Levy, że choć od trzydziestu lat pracuję w Jerozolimie, nie udało nam się dotychczas znaleźć nikogo w społeczności ortodoksyjnej, z kim moglibyśmy nawiązać dialog.

- Ortodoksi na nic się nie przydadzą, jeśli chodzi o realizowanie interesów Rzeszy tu, w Lewancie. Większość z nich pochodzi z krajów muzułmańskich albo z Europy Wschodniej i z nami nic ich nie łączy.

- Jestem tego świadomy. Jakże zatem widzi pan rozwiązanie?

- Nowoczesne nauczanie. Bez edukacji nie ma postępu. Żadne społeczeństwo nie może istnieć bez produktywnej pracy. Nie oddaję czci Bogu mniej niż naczelny rabin Aszkenazi. Ale nie można zamknąć się w wieży z kości słoniowej Tory. Trzeba patrzeć rzeczywistości i życiu prosto w oczy.

- Jerozolimscy rabini uznaliby takie uwagi za czyste bluźnierstwo.

- Dobrze o tym wiem, podobne dyskusje toczą się też w Niemczech, ale czy jest to powód, żeby się poddać?

- Co zatem pan sugeruje?

- Zamierzam ufundować nowoczesny sierociniec. Rabin Hildesheimer z Berlina obiecał nam swoje poparcie.

- Miałem przyjemność go poznać. To ujmujący, mądry człowiek.

- Powinniśmy nalegać, aby młodzi ludzie kształcili się zgodnie z żydowską tradycją. Ale niezależnie od studiowania Tory powinni także uczyć się niemieckiego i hebrajskiego. Zostaną wprowadzeni w europejską kulturę i wyuczeni jakiegoś zawodu, aby nie musieli być zależni od systemu chaluki.

- Poruszył pan sedno problemu - zauważył von Alten.

- Czy możemy liczyć na pańskie poparcie?

- Oczywiście.

- Dziękuję. Wiedziałem, że nas pan nie zawiedzie. Niezwłocznie powiadomię profesora Graetza i Moritza Gottschalka o pańskiej zgodzie.

- Nie sądzę jednak, by moje poparcie usunęło z drogi wszystkie przeszkody.

- Nie mam złudzeń, Herr Baron.
- Minione doświadczenia nie wróżą zbyt dobrze.
- Wiem.

- Mój austriacki kolega już się sparzył. Zapewne pamięta pan sprawę szkoły pani Lämel? Ta kobieta wydała majątek na założenie nowoczesnej szkoły w duchu wiedeńskim. Za swoje starania została wyklęta i wykluczona ze społeczności.

- Wszystko po kolei. Powinniśmy uczyć się na cudzych błędach. Poza tym rabin Hildesheimer to nie Franki.

W latach pięćdziesiątych XVIII wieku Elisa Herzl, z domu Lämel, zamożna austriacka Żydówka, wpadła na rewolucyjny pomysł założenia domu dla biednych dzieci w Jerozolimie, gdzie mogłyby otrzymać świeckie wykształcenie. W tym celu wysłała swego przyjaciela, pisarza Ludwiga Augusta Frankla, do Erec Izrael, z koniecznymi funduszami i szczegółowym planem działania. Jednocześnie austriackie ministerstwo spraw zagranicznych pocztą dyplomatyczną przesłało tajną korespondencję do konsulatu austriackiego w Palestynie, z wyraźnymi wskazówkami, aby zapewniono Herr Franklowi wszelką niezbędną pomoc w wypełnieniu misji. Postrzegano to jako część politycznych starań Austrii o rozszerzenie jej strefy wpływów w imperium osmańskim. Jednak to nie władze osmańskie, ale przedstawiciele społeczności ortodoksyjnej pokrzyżowali mu plany. Franki, niereligijny Żyd, został ogłoszony *persona non grata* i wykluczony ze społeczności. Ponieważ rabini jerozolimscy zagrozili, że nałożą klątwę na każdego, kto wesprze projekt edukacyjny Frau Lämel, jego realizacja stała się niemożliwa.

Ascher Levy, Moritz Gottschalk Lewy i Heinrich Graetz wiedzieli o tej porażce, jeszcze zanim opuścili Berlin. Zgodzili się co do tego, że ich plany nie powiodą się bez wsparcia moralnego i aktywnej pomocy uznanego autorytetu religijnego. Z tego powodu zwrócili się do rabina Ezriela Hildesheimera, szanowanego w kręgach ortodoksów.

Trzeciego wieczoru ich pobytu w Jerozolimie profesor Graetz zaprosił na pogawędkę Jacoba Valero. Valero sprawował pieczę nad biednymi w Jerozolimie i odpowiadał za dystrybucję darowanych funduszy. Mniej więcej pięćdziesiąt tysięcy franków przechodziło co roku przez jego ręce, a kontrola nad tymi finansami uczyniła go wpływową osobistością. Graetz i dwaj kuzyni przedstawili mu w zarysie pomysł sierocińca, dając wyraźne zapewnienie, że w ich planie religijna i tradycyjna edukacja będzie najważniejsza. Jednak urzędnik nie dał się przekonać. Podobnie jak chacham baszi, odrzucił plan bez rozpatrzenia.

- Zamierzacie zrujnować to, co my budowaliśmy przez pokolenia. Ale to się wam nie uda.
- Przekonamy się - odparł Ascher.

Ascher Levy w listach do żony i syna unikał wszelkich wzmianek o tych trudnościach i sporach. Ograniczał się do relacji fascynujących doświadczeń, które ubarwiał opisami wszelkich egzotycznych zjawisk, jakie napotkał na swej drodze. Ale w domu w Polzin prawda szybko zaczęła wychodzić na jaw. Z początku były to tylko zawoalowane wzmianki w prasie żydowskiej w Holandii i Niemczech, po których jednak nastąpiły bardziej szczegółowe artykuły, podające w wątpliwość wartość inicjatywy, którą przedsięwziął Graetz i dwaj kuzyni. Kobieca intuicja podpowiedziała Fanny, że są to oznaki nadchodzącej burzy, co wzbudziło w niej niepokój. Obawiała się, że mąż zostanie wciągnięty w wir polemik publicznych, których tak nie znosił. Ale ona także nie poruszała tego tematu w swych listach, które zawierały głównie opisy codziennych zdarzeń oraz hymny pochwalne na cześć Bernharda i jego oddania pracy.

Po pięciu dniach pobytu w Jerozolimie podróżnicy opuścili barona von Altena i obiecali wrócić, gdy zwiedzą już południe i Galileę. Wsiadli na konie i ruszyli do Hebronu. Na czele ich karawany stanął znów Gamad. Ascher jechał drugi, za nim Moritz i Graetz. Karawanę zamykali mulnicy i dwóch kawasów. Mimo że do tej pory wszystko szło gładko, Gamad nalegał, aby zabrać dwóch strażników, bo zawsze istniało ryzyko ataku rabusiów. Graetz

miał jednak pewne wątpliwości co do zdolności i odwagi owych strażników do obrony grupy, gdyby zaistniała taka potrzeba. Całe ich uzbrojenie sprowadzało się do dwóch strzelb, które pamiętały jeszcze czasy wojen napoleońskich. Jednak podczas wizyty w Grocie Machpela, gdy grupkę otoczyła niezliczona liczba arabskich żebraków, kawasowie udowodnili swoją wartość. Grota zgodnie z przekazem jest miejscem pochówku praojców i pramatek judaizmu - Abrahama, Sary, Rebeki i Jakuba. Wbrew swoim oczekiwaniom Ascher nie poczuł nabożnej czci, jak podczas zwiedzania innych świętych miejsc. W jego dzienniku znajdziemy taki oto lakoniczny zapisek: „Ujrzeliśmy jedynie dziurę w ścianie“. Wieczorem następnego dnia jak zwykle napisał list do Polzin:

„Wtorek, 12 marca

Wielka radość zapanowała dziś w Izraelu i Judzie, gdy wytęskniony list od ciebie nadszedł właśnie pocztą ekspresową z Jeruzalajim. Nie potrafię wyrazić słowami, jaki jestem szczęśliwy, że ty, moja droga Fanny, jesteś w dobrym zdrowiu i dobrze sypiasz. Przez ostatnie dni z niepokojem oczekiwałem wieści z domu i z pewnością martwiłbym się bardzo, gdyby nie fakt, że każda piędź tej ziemi ma setki lat historii, z tysiącami odniesień, które zajmują myśli.

[...] Będziemy musieli skrócić naszą planowaną trasę, bo profesor Graetz i Moritz są wycieńczeni konną podróżą, choć ja swobodnie mógłbym jechać przez dwie lub trzy godziny dziennie dłużej. Tak więc nie udamy się do Damaszku.

Dziś wyruszyliśmy wcześniej pieszo z Hebronu do dębu Abrahama, wsiedliśmy tam na konie (moja klacz zwie się Rosi) o ósmej, i z krótkim postojem przyjechaliśmy tu o pierwszej, gdzie znów rozbiliśmy obóz przy Sadzawkach Salomona. Odpoczywaliśmy niecałą godzinę i zdążyliśmy właśnie wypić kawę, gdy usłyszeliśmy dźwięk dzwoneczków dochodzący z drugiej strony wzgórz, po czym zbliżyła się do nas karawana koni i mułów. Zatrzymała się i zaczęła się rozładowywać, a w końcu jej członkowie rozbili namioty, razem z naszymi było ich dwadzieścia, w tym dwa luksusowe z zatkniętymi flagami angielskimi. Najdroższa, my także mamy dwa namioty z niemieckimi flagami, a jeden z nich wyposażony jest we wszelkie wygody, trzy łóżka z miękkimi poduszkami i siennikami, toaletkę podróżną dla każdego z osobna, sześć krzeseł, a pośrodku stół przykryty obrusem. Sam namiot ma czternaście metrów średnicy, uszyty jest z podwójnego płótna, pomalowanego od wewnątrz. Wyobraź sobie to miasteczko namiotów, a pomiędzy nimi wiszące długie papierowe lampiony. Obok sto, może sto pięćdziesiąt koni i mułów, które pasąc się, wydawały orkiestrę dźwięków [...].“

Podróżnicy spędzili koniec tygodnia z powrotem w Jerozolimie. Odwiedzili wiele religijnych i społecznych instytucji, a każda wizyta umacniała ich w przekonaniu, że „tak dłużej być nie może“. Ascher Levy i jego towarzysze zwyczajnie nie mogli pojąć, dlaczego większość Żydów sefardyjskich, głównie z Afryki Północnej, potrafiła utrzymać się z pracy rąk, podczas gdy Żydzi aszkenazyjscy z Europy Wschodniej uważali każde zajęcie poza studiowaniem świętych pism za niewybaczalny grzech. W obu społecznościach panowała skrajna bieda, ale u aszkenazyjczyków dochodziła do tego degradacja społeczna. Von Alten opowiedział im, jak osiemnaście lat wcześniej konsul brytyjski James Finn podjął próbę włączenia Żydów w budowę dróg oraz zatrudnił w kamieniołomach i zakładach kamieniarskich. Po krótkotrwałym początkowym sukcesie - kilkaset osób przyjęło jego propozycję - wkroczyli rabini i wydali zakaz. Strach przed klątwą skłonił ostatnich żydowskich robotników do wycofania się. Inne próby zwiększenia produktywności jiszuwu, który „odwrócił się od Tory“, spotkały się z podobnym brakiem akceptacji. Ale minione porażki, włączając w to historię Karla Netera, który po swym pobycie w Palestynie w 1868

roku przez cztery lata starał się wyrwać żydowskie społeczności Niemiec i Francji z odrętwienia, nie zraziły naszych trzech podróżników. Zapamiętywali oni każdy najdrobniejszy szczegół, który mógłby okazać się użyteczny w przyszłości.

Purim świętowali w Tyberiadzie, na brzegu jeziora Genezaret. Stamtąd Ascher pisał do Fanny:

„Moja droga, dobra żono!

Nie czuj się, proszę, urażona, że przez ostatnie trzy dni nie dotrymałem obietnicy pisania do ciebie codziennie. W dzień naszego wyjazdu, w minioną środę, padał tak rześisty deszcz, że przemokliśmy do suchej nitki i tak by zostało, gdyby wkrótce po tym nie wyszło słońce. Do wieczora także wszystko w namiocie zmokło, za to wczoraj, gdy pogoda była wspaniała, po przyjeździe bolał mnie żołądek, ale teraz znów czuję się dobrze. Nasza podróż przez ostatnie dni była bardzo interesująca. Tuż za Samarią wjechaliśmy do doliny Dotan, gdzie Józef został sprzedany przez swych braci. Gdy minęliśmy pastwiska, zatrzymaliśmy się na obiad w ruinach w pobliżu wioski i spędziliśmy noc w Dzeninie, który opuściliśmy wczoraj wczesnym rankiem. Potem dotarliśmy do doliny Jezreel, którą przebyliśmy w jeden dzień. Przed nami w oddali wznosiła się góra Hermon, na prawo od gór Gilboa. To tu prorokini Debora uśmierciła Siserę z pomocą Baraka³⁹, Saul i jego synowie stoczyli bitwę z Filistyńczykami, a Dawid śpiewał nieśmiertelne wersy. Tutaj też król Jozafat zginął w walce⁴⁰, a król Jozjasz został ranny w wojnie przeciwko Egipcjanom. Tu Napoleon I z szesnastoma tysiącami ludzi pokonał całą turecką armię, nie wspominając już o krwi, jaką przelali w tym miejscu Saraceni i krzyżowcy. Ziemia zapewne z tego powodu jest taka czerwona i tak żyzna, że mimo całkowitego zaniedbania trawa rośnie tu bujna. Wielka szkoda, że w tym cudownym klimacie taka urodzajna ziemia leży odłogiem. Nieliczne pola obsiane jęczmieniem, pszenicą i prosem są dowodem płodności gleby.

O czwartej znaleźliśmy się u stóp góry Tabor i ponieważ od tej chwili, jak już ci wspominałem, nie czułem się zbyt dobrze, profesor Graetz i Moritz weszli na nią sami i wrócili już przy świetle księżyca. Dziś wyruszyliśmy wczesnie. Jechaliśmy przez lasy, o ile skarłowaciałe dęby zasługują na takie miano, wokół góry Tabor, gdzie otworzyła się przed nami nowa panorama. Gdy tylko wyjechaliśmy z lasu, ujrzelśmy przed sobą piękną dolinę, niczym ze snu, którą na północy zamykały wzgórza Galilei, a nad nimi górował zaśnieżony szczyt Hermonu. W południe zatrzymaliśmy się na krótki postój w głębokiej trawie wśród cierni, które zapewniły mizerne schronienie przed palącym słońcem. Wkrótce wyruszyliśmy znowu, a po godzinie jazdy i godzinie pieszej wędrówki dotarliśmy tutaj. Rozbiliśmy obóz pod ruinami muru, zniszczonego przez ostatnie trzęsienie ziemi. Przed nami rozciąga się jezioro Genezaret, a po prawej stronie mamy widok na kopuły i minarety Tyberiady - w rzeczywistości jest to nędzna dziura. Spędzimy noc w namiotach, ale na posiłek udamy się do miasteczka. Dziś jeszcze mamy zamiar wykąpać się w jeziorze.

Niedziela, 24 marca,

Purim. Byliśmy przygotowani, że wydarzy się coś niezwykłego. W małym miasteczku, które jest zbitką domków przytulonych do siebie w krętych, wijących się uliczkach,

³⁹ „Lecz Jael, żona Chebera, wzięła palik od namiotu, uchwyciła młot w rękę, i zbliżając się cicho do niego, przebiła jego skroń palikiem, tak że ten utkwił w ziemi, [Sisera] spał bowiem głęboko, wyczerpany do ostatka. W ten sposób zginął. Tymczasem nadszedł Barak, ścigając Siserę. Jael wyszła naprzeciw niego: «Wejdz - rzekła do niego - a pokażę ci człowieka, którego szukasz». Wstąpił do niej, a oto Sisera leżał martwy, z palikiem w skroni.» (Księga Sędziów, 4,21-22, Biblia Tysiąclecia).

⁴⁰ Król Jozafat zmarł śmiercią naturalną, patrz 1 Księga Królewska, 22, 51.

brudnych, zaśmieconych, mieszka dwa tysiące Żydów, a cała ludność liczy trzy tysiące. Obecnie gości ono także trzech Europejczyków, którzy zwiedzają synagogi, seminaria, odwiedzają rabinów i przynoszą nowiny. Wczoraj odwiedzili nas przedstawiciele tutejszej arystokracji, zebraliśmy minjan, a ja odczytałem Megilę. Słuchaliśmy trąbek, piszczałek i wystrzałów ze strzelb, i obejrzelśmy spektakl. Gdy posiliśmy się kawą i ciastem, wybraliśmy się w rejs łodzią po jeziorze do gorących źródeł, grobowców i rozmaitych dziwnych miejsc; wróciliśmy około piątej po południu, wycieńczeni ogromnym upałem. Wieczorem specjalnie dla nas odegrano purimspil. Zamierzamy ruszyć z Tyberiady i w dwa dni dotrzeć do Hajfy, gdzie mamy umówiony nocleg w kolonii niemieckiej, założonej przez przybyszów z Wirtembergii. Dwudziestego dziewiątego marca po południu wsiądziemy na statek i opuścimy Palestynę. Adieu, kraino moich cierpień, kraino mych tęsknot, ale adieu także kraino moich nadziei. I tobie też, droga Fanny, moja własna ziemi obiecana, adieu na dziś. Jeszcze trzy tygodnie i mam nadzieję, że wezmę cię w ramiona, zdrową i w dobrym samopoczuciu. Pozdrowienia dla wszystkich przyjaciół i znajomych, twój Ascher“.

Podróż z Hajfy do Triestu, znów przez Aleksandrię, minęła bez kłopotu. Przyjaciele wykorzystali ten czas na omówienie treści memorandum, które zamierzali wydać po powrocie. Postanowili, że Moritz napisze pewnego rodzaju odezwę, która zostanie na początku rozprowadzona wśród zainteresowanych osób, a potem ukaże się w żydowskiej prasie na terenie całej Rzeszy. Uzgodnili także, że spotkają się przed opublikowaniem odezwy w Berlinie, aby ustalić jej ostateczne brzmienie. Gdy dotarli do Triestu, rozdzielili się. Profesor Graetz udał się do Wrocławia, Moritz do Berlina, Ascher zaś postanowił zatrzymać się na tydzień w Wenecji. Po tych krótkich wakacjach przez Austrię i Niemcy wrócił do Poznania. Bardzo chciał poznać narzeczoną syna czy też, ściśle mówiąc, ocenić przyszłych krewnych i ich status. Między Berlinem a Poznaniem podróżowało się koleją ekspresową, która spodobała się Ascherowi z dwóch powodów: po pierwsze podróż była komfortowa, po drugie zaś był to owoc jego inwestycji.

Pod koniec kwietnia Ascher znów ruszył w drogę, tym razem do Berlina, aby spotkać się ze swoimi towarzyszami podróży. Moritz zaprosił profesora do swojego nowego domu przy Lennestrasse 4. Na stole postawił butelkę rakoczego, które profesor wyjątkowo lubił. Graetz podziękował gospodarzowi za miły gest.

- Jestem hojny w małych rzeczach - odparł Moritz z uśmiechem, nalewając wino. Stuknęli się kieliszkami i rozsiedli wygodnie w dużych skórzanych fotelach. Przez chwilę wszyscy milczeli.

W końcu profesor przerwał ciszę:

- Obaj znacie powiedzenie: „trzeba odwiedzić kraj, aby odkryć jego prawdziwe oblicze“. Od tej prawdy nie ma ucieczki.

- Z pewnością - rzekł Moritz. - Mam nadzieję, że będzie to widoczne w memorandum, które przygotowałem.

- Już pan skończył? - zdumiał się Graetz. - Jak się panu udało dokonać tego tak szybko?

- Gdybym nie był gotów, nie zaprosiłbym was. Ale zanim pokażę, co napisałem, muszę wam powiedzieć, że obawiam się, iż ten tekst zniszczy obraz Ziemi Świętej, jaki ma wielu ludzi. Przyjaciele będą płakać, a wrogowie zatriumfują.

- Ukrywanie prawdy bardziej szkodzi niż najgorsza prawda - stwierdził Ascher z przekonaniem. - Naszym obowiązkiem jest zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby zmienić obecną sytuację.

- Jednak uważam, że byłoby lepiej, gdyby ten raport, który napisałem w imieniu nas wszystkich, został po prostu zniszczony. Nie zmartwiłbym się tym. Moglibyśmy po prostu zwrócić się do wpływowych przyjaciół i znajomych. Spotkać się z nimi osobiście, przemówić im do sumienia i spróbować przekonać, żeby ofiarowali pieniądze na założenie świeckiego sierocińca.

- Nie, Moritzu - sprzeciwił się Graetz. - Działanie w tajemnicy, ukradkiem, wcale nam nie pomoże. Nie udałoby się zdobyć Jerycha, nie burząc murów.

- Zatem wydajemy memorandum, niezależnie od tego, co się potem wydarzy?

Ascher podsumował:

- Bez żadnych „ale“ i „jeśli“.

- Czy jest pan pewien, profesorze, że rabin Hildesheimer nadal będzie przychylny naszym planom?

- Rozmawiałem z nim. Popiera inicjatywę opieki społecznej, ale...

- Ma wątpliwości, zgadza się? - przerwał mu Moritz.

- Zgadza się. Ale po co się kłócić, skoro jeszcze nie zdążyliśmy nawet przeczytać tekstu? - zaproponował Graetz i poprosił o memorandum.

Na początku maja memorandum poszło do druku. W połowie miesiąca kilka tuzinów kopii rozesłano do wybranych osób. Autorzy określili cel swojej podróży w przedmowie:

„W marcu tego roku niżej podpisani zwiedzili znaczną część Palestyny. Nie było początkowo naszym zamiarem poznawanie warunków życia naszych współwyznawców, ponieważ zwyczajnie podążaliśmy za potrzebą serca, aby zobaczyć ziemię naszych ojców. Jednak nie mogliśmy uciec przed tym, co ujrzeliśmy. Nie potrafiliśmy zamknąć oczu ani umysłów na materialną i duchową nędzę. Dlatego też zaczęliśmy spotykać się z ludźmi z najróżniejszych kręgów i naradzaliśmy się z nimi, jakie mogą być przyczyny tej sytuacji, a także sugerowaliśmy, że likwidując te czynniki, można by złagodzić owe społeczne bolączki. Chacham baszi, oficjalny naczelny rabin Jerozolimy, jak również konsulowie generalni Niemiec i Austrii oraz wiele innych osób byli nadzwyczaj zgodni w tym, co powiedzieli nam w zaufaniu. Przedstawiamy w niniejszym memorandum nasze obserwacje i doświadczenia, jak również sugestie co do sposobu likwidacji tych problemów“.

Dołączyli dane statystyczne dotyczące społeczności żydowskiej i systemu dystrybucji funduszy oraz jego skutków. Cały rozdział poświęcili opisowi złego stanu zdrowia mieszkańców miasta, a główne przyczyny tej sytuacji przedstawili w nadzwyczaj ostrych słowach.

„Ta słabość, połączona z biedą, jest skutkiem jednego głęboko zakorzonego zła, mianowicie żenienia ze sobą dzieci. Regułą jest, że chłopcy w wieku między trzynaście a piętnaście lat są żenieni z dziewczynkami w wieku od dwunastu do czternastu lat. Sprowadza się to do niczego innego jak tylko do mordowania dzieci. Jeśli bowiem młoda matka i jej potomstwo przetrwają poród, dzieci z takiego związku będą dotknięte dożywotnim fizycznym niedołęstwem i umysłową słabością. To pokolenie od urodzenia jest uzależnione od organizacji dobroczynnych. Nie da się ukryć prawdy: ta przerażająca praktyka ma miejsce jedynie wśród społeczności żydowskiej. [...]

Istnieje jednakże dalsza przyczyna zubożenia, a mianowicie sposób, w jaki darowizny dobroczynne są rozdzielane. Jerozolima ma nie jedną, nie dwie, ale czternaście oddzielnych gmin, które są niezależne, i żadna z nich nie ma związku z pozostałymi.

Każda gmina ma własnego przewodniczącego [...]. Fundusze przekazywane przez dany kraj czy grupę z regionu, z którego pochodzi gmina, są przesyłane do tej osoby z oczywistym przesłaniem, że pieniądze te powinny zostać przekazane jedynie członkom tej konkretnej gminy. Przewodniczący ma prawo zatrzymać dla siebie prowizję [...] od całości przekazanej sumy. Rabini także otrzymują prowizję. Tak więc na przykład pieniądze zebrane przez rosyjskich i galicyjskich chasydów zostaną rozdzielone jedynie pomiędzy członków Chabadu, pomoc z Węgier otrzyma wyłącznie społeczność węgierska, a pozostałe gminy nie dostaną

ani grosza [...] Członkowie kolelu Hod⁴¹ uważani są za zamożnych, ponieważ jest ich nie więcej niż czterdzieści siedem dusz, a pieniądze dla nich zbiera się w całej Holandii i Niemczech. Węgrzy są w podobnie korzystnej sytuacji. W przeciwieństwie do tego suma przeznaczona na jedną osobę, jaka dociera do Żydów pochodzenia hiszpańskiego, jest minimalna, ponieważ jest ich tak wielu. Ich byt opiera się na funduszach zebranych przez Żydów z Turcji, a nawet w tym wypadku część sumy zostaje odjęta dla *chachamim* i członków zarządu. Sytuacja Żydów z Maghrebu, imigrantów z Tunezji i Maroka, jest jeszcze gorsza, ponieważ otrzymują oni bardzo niewiele ze swych ojczyстых krajów - są pariasami społeczności Jerozolimy. [...] Mieszkają w nędznych chałupach - żyje tam w ciasnocie wiele osób, cóż to za żalony widok! Jest zupełnie oczywiste, że gdyby pieniądze płynące do Palestyny z Europy, Ameryki i Azji były równomiernie rozdzielane, niezależnie od pochodzenia poszczególnych grup, każda osoba otrzymałaby o wiele większą ich część, a bieda wśród najbardziej upośledzonych społecznie zostałaby złagodzona.

Istnieje kolejna, zupełnie inna przyczyna, która czyni dystrybucję środków jeszcze bardziej niesprawiedliwą. W krajach cywilizowanych przyjmowanie jałmużny, szczególnie publiczne, uważa się za wstydlive, a ludzie zniżają się do tego jedynie zmuszeni najskrajniejszą potrzebą. W przeciwieństwie do nich żydowska społeczność Palestyny uznaje to za zaszczyt i jest dumna z przyjmowania chaluki. [...] Społeczność żydowska w żadnym razie nie uważa owych datków za jałmużnę, ale za nagrodę, na jaką zasługuje każda osoba żyjąca w Ziemi Świętej, studiująca tam Talmud czy Kabałę. Co więcej, darowizny wcale nie są przeznaczone dla biednych, ale przede wszystkim dla tych, którzy oddają się zgłębianiu Talmudu. Większość mężczyzn, niezależnie od tego, ile pojmuje z Talmudu, uważa się za rabinów lub *chachamim* [...] i uważa, że ma prawo przyjąć dary. [...] To, że wdowy i sieroty także otrzymują cokolwiek, uważane jest za przejaw wspaniałomyślności, bo zmusza to pozostałych członków gminy do rezygnacji z części tego, co tylko im się należy. Dlatego byliśmy zaskoczeni, że kapitaliści i właściciele domów roszczą pretensje do części funduszy i przyjmują jałmużnę. Przez wzgląd na te osoby nie wymienimy żadnych nazwisk. [...] Biorąc pod uwagę zaistniałą sytuację, można przypuścić, że najbardziej bezbronni, wdowy i sieroty, źle wychodzą na rozdziale funduszy.

Skutki tego paradoksalnego poglądu i niesprawiedliwego rozdziału funduszy są rozpaczliwe. Żydowskie sieroty pozwalają, by zabierali je niemieccy i angielscy misjonarze, tylko dlatego, że mogą zaspokoić głód, a ci przyjmują je z otwartymi ramionami. Obecnie w szkole misyjnej w Jerozolimie znajduje się czterdziestu żydowskich chłopców, którzy przygotowują się do chrztu. Nie jesteśmy w stanie ustalić, ile żydowskich dziewcząt uczy się w chrześcijańskich instytucjach edukacyjnych. Zdarza się również, że biedni ojcowie lub matki sprzedają swoje dzieci misjonarzom...

Należy położyć kres ukrywaniu tej okropnej sytuacji, która przyczynia się do demoralizacji i próżniactwa. Ponieważ ogromna większość męskiej części społeczności żyje z datków charytatywnych, nie ma żadnego zawodu i nie ma też pojęcia, co począć z czasem. Większość z nich uważa się za uczonych w Talmudzie, ale w rzeczywistości spędzają niewiele czasu na studiowaniu, raczej snują się po ulicach, nasłuchując wieści. Plotki, przechwałki, obmawianie, obrzucanie się oszczerstwami i inne podłości to skutki takiego nieróbstwa“.

Autorzy przedstawili następnie sugestie co do sposobu poprawy owej ponurej sytuacji:

„Darowizny powinny być przekazywane wyłącznie niżej wymienionym:

1. Osobom całkowicie pozbawionym środków do życia, wdowom, sierotom, starcom i biednym;

⁴¹ Skrót od Holland (Holandia) i Deutschland (Niemcy).

2. Faktycznie czynnie działającym rabinom, nauczycielom Talmudu i uczniom, a na koniec:

3. Rzemieślnikom i osobom pracowitym, które mimo najszczerzych wysiłków nie są w stanie same się wyżywić.

4. Podział na gminy musi się skończyć, przynajmniej jeśli chodzi o dzielenie datków. Każdy, kto potrzebuje pomocy, powinien ją otrzymać, niezależnie od tego, do której gminy należy. [...]

5. Wszyscy mężczyźni poniżej osiemnastego roku życia i dziewczęta poniżej szesnastego roku życia, którzy zawrą małżeństwo, powinni zostać pozbawieni raz na zawsze możliwości otrzymania pomocy. [...] Podobnie tacy, którzy nie posyłają dzieci w określonym wieku do szkoły, powinni być z rozdziału funduszy wyłączeni, a na koniec ci, którzy przekazują dzieci instytucjom misyjnym“.

Jakby tego nie było dosyć, profesor Graetz, Ascher Levy i Moritz Gottschalk wzywali dalej do wyboru w jawnym głosowaniu przywódcy społeczności żydowskiej w Jerozolimie. Każdy kandydat, zanim zostałby zakwalifikowany, musiałby zgodzić się na odstąpienie od swojej części pieniędzy z dobroczynności. W podsumowaniu autorzy podkreślili konieczność stworzenia sierocińców, w których obok nauki Tanachu, hebrajskiego i Talmudu dzieci uczyłyby się także czytać i pisać, poznawałyby arytmetykę i geografię. Dokument ten, opublikowany w roku 5632 według kalendarza żydowskiego, a w maju 1872 roku według kalendarza gregoriańskiego, podpisali: „Doktor Heinrich Graetz, profesor, Breslau; Ascher Levy, kupiec, Polzin, Pommern oraz M. Gottschalk Lewy, kupiec, Berlin“. Dwa miesiące później utworzono oficjalną organizację mającą zająć się budową nowoczesnych sierocińców w Jerozolimie.

Memorandum było przeznaczone jedynie dla wybranego kręgu odbiorców, zostało więc przesłane uczonym oraz potencjalnym darczyńcom z prośbą o pieniądze na wsparcie walki o poprawę istniejących warunków. Ale szybko przedostało się poza ów krąg osób. Ktoś przekazał fragmenty do prasy, przetłumaczono je też na hebrajski i jidysz. Tekst ten wywołał falę ostrej krytyki, niosącą się od miasta do miasta, od kraju do kraju. Europejska społeczność żydowska była rozwścieczona, emocje kipiały, odrodziły się dawne konflikty pomiędzy ortodoksją a ruchem reformowanym. Obie strony wymachiwały memorandum jak sztandarem. Oskarżenia i oszczerstwa odpierano niczym uderzenia miecza w pojedynku - szcęk oręża rozbrzmiewał ze wszystkich stron. Najostrzejsze reakcje pochodziły z Jerozolimy i głównych ośrodków wschodnioeuropejskiego żydostwa. Wiele oskarżeń kierowano nie tylko przeciw trzem autorom publikacji, ale także przeciwko rabinowi Ezrielowi Hildesheimerowi, który początkowo życzliwie przyjął Stowarzyszenie dla Edukacji Sierot Żydowskich w Palestynie.

Choć Hildesheimer prywatnie wciąż popierał ten projekt, postanowił wycofać się z publicznej dyskusji, która uwolniła istną lawinę oburzenia. To postawiło nowo założone stowarzyszenie w trudnej sytuacji. Ortodoksi nałożyli klątwę na autorów memorandum, prasa ich atakowała, a milcząca większość uznała za zdrajców społeczności. Jedyne wsparcie przyszło ze strony żydowskich intelektualistów z Niemiec i Anglii. W tej gorącej atmosferze praktycznie niemożliwe było zebranie koniecznych funduszy. Minęła dekada, zanim można było przystąpić do realizacji planów. Przez osiem długich lat cała trójka stała w ogniu krzyżowym publicznej krytyki, która była całkowicie nowym doświadczeniem dla Aschera i Moritza. Profesor Graetz, który już przedtem ściągnął na siebie gniew kręgów ortodoksyjnych, jakoś radził sobie z sytuacją. Moritz jednak z powodu swojego stosunku do jiszuwu w Erec Izrael stracił wielu długoletnich klientów, nie tylko Żydów, ale i nie-Żydów. Ascher zaszył się w swoim miasteczku na Pomorzu, ale nawet ta senna prowincja nie zapewniła mu azylu przed oszczerstwami. Poza zwykłymi dokumentami handlowymi na jego

biurku rósł stos wycinków z gazet, kopii artykułów i krytykujących go listów od czytelników, zniesławiających broszur i pełnych wściekłości listów.

Nagle dom Levy'ch znalazł się w centrum uwagi. Po każdym nabożeństwie w synagodze członkowie małej gminy Polzin kłócili się z rosnącą pasją o znaczenie działań Aschera. Zachęceni coraz bardziej negatywnymi relacjami prasowymi, żydowscy sąsiedzi Aschera głośno go krytykowali. Oskarżali o zdradę podstawowych zasad, do których stosowały się całe pokolenia. Ale Ascher pozostał niewzruszony. Tak jak nigdy przedtem nie widział sprzeczności między swoją wiarą a lojalnością najpierw wobec Prus, a potem wobec Rzeszy, teraz uważał, że nie istnieje żaden konflikt między jego miłością do Jerozolimy - jego duchowej ojczyzny - a walką o poprawę warunków życia Żydów w Palestynie. Z początku odpowiadał krytykującym go, czasem powściągliwie, czasem z oburzeniem, ale każda jego odpowiedź wywoływała następną reakcję, zrozumiał więc, że w ten sposób będzie się to ciągnęło w nieskończoność. Nigdy nie udało mu się przekonać wrogów. Argumenty lekcewały logikę, a w końcu emocje brały górę. Zarówno stronnicy, jak i przeciwnicy powodowani byli tymi samymi wewnętrznymi pragnieniami i tą samą miłością do Syjonu, tak więc w tej bitwie cel w końcu uświęcał środki.

Pewnego dnia ta burzliwa dyskusja dosłownie dosięgnęła progu jego domu. Była jesień, pora roku, którą Ascher bardzo lubił. Gdy wrócił z długiego spaceru po pobliskim lesie, zastał Bernharda czekającego na niego przed domem. Syn opierał się o framugę i miał stropioną minę, jakby starał się coś ukryć.

- Czy coś się stało?

- Nie, papo, nic - odparł Bernhard i jeszcze bardziej przyłgął do drzwi.

- Wpuścisz mnie?

Bernhard odsunął się niechętnie, a wzrok Aschera spoczął na słowach, które namalowano na drzwiach. „Śmierć nieprzyjacielowi Izraela!“ odczytał na głos, powoli, jak dziecko dopiero uczące się czytać. Bernhard właśnie miał coś powiedzieć, ale uciszył go gniewny gest ojca. Przeczytał napis jeszcze raz, i kolejny, jakby miał kłopot, by go zrozumieć. W końcu powiedział cicho: „Zawołaj Wiktorię, żeby pozbyła się tego ohydztwa“.

Bernhard chciał uczynić, co mu polecono, ale zanim to zrobił, ojciec położył mu dłoń na ramieniu. Stali tak bez ruchu. Minęła cała minuta bez jednego słowa, aż w końcu Ascher opuścił rękę i wszedł do domu. Bernhard słuchał kroków ojca wchodzącego na górę. Fanny właśnie zmieniała pościel. Mażeńskie łóżko, w którym spali od dnia ślubu, było bardzo intymnym terytorium, a pokojówce Wiktorii nie wolno było go dotknąć. Gdy Ascher pojawił się na progu, Fanny spojrzała na niego zaskoczona. Był biały jak kreda.

- Źle się czujesz? - spytała zatroskana.

- Wygląda na to, że wciągnąłem własny dom do wojny domowej - powiedział. - Tak mi przykro.

Fanny odłożyła pościel. Ich oczy się spotkały i po raz pierwszy w życiu Ascher opuścił wzrok przed żoną.

- Może się myliłem - westchnął. - Ktoś na naszych drzwiach wysmarował farbą obelgi.

- Najdroższy, kocham cię za twoje siły i za słabości - rzekła zwyczajnie, i wyciągnęła do niego rękę. Ascher ujął ją i uściśnął. Fanny pogłaskała go po policzku. - Poza tym, czy nie mówiłeś zawsze, że jesteśmy tylko narzędziami w rękach Stwórcy?

Ascher spojrzał na nią, jakby odkrył zupełnie nową cechę żony.

- Jakim ja jestem szczęściarzem, że cię mam - stwierdził ze wzruszeniem w głosie i wyszedł z pokoju.

W firmie wszystko toczyło się bez zmian. W porównaniu z wydarzeniami w Europie dyskusja o budowie sierocińca w Jerozolimie wydawała się mało ważna. Świat parł do przodu jak nigdy przedtem. Niemcy były teraz głównym mocarstwem, kominy rozwijających się zakładów przemysłowych buchały dymem, powstawały nowe linie kolejowe. Pomimo to

Ascher i Moritz dostrzegli na horyzoncie pierwsze chmury. Wbrew zasadzie inwestowania jedynie w niemieckie przedsiębiorstwa, po raz pierwszy w życiu Ascher w końcu podjął decyzję o sprzedaży części akcji kolei niemieckich, aby zainwestować pieniądze w rosyjskie akcje nowej linii kolejowej z Kurska do Charkowa. Transakcja okazała się zyskowna. W ciągu pięciu lat wartość akcji wzrosła o osiem procent, a przez ten czas przynosiły one pokaźne dywidendy w wysokości trzech do czterech procent rocznie. Gdy nawet przedsiębiorstwa niemieckie, takie jak stalownia Laura i kopalnia węgla Hibernia, jedno z przedsięwzięć Bleichrödera, popadły w kłopoty finansowe, nikt nie mógł negować faktu, że Ascher zachował się rozważnie.

Chociaż te międzynarodowe transakcje przynosiły Ascherowi spore dochody, sercem pozostał on przy swojej pomorskiej firmie. Tu trzymał rękę na pulsie wydarzeń. Znał terytorium i potrafił służyć dobrą radą. Tartaki pracowały na okrągło. Bernhard co rusz jeździł na polecenie ojca do właścicieli miejscowych lasów, którzy z powodu trudności finansowych sprzedawali po niskich cenach zalesione tereny. Zwłaszcza ci właściciele ziemscy, którzy dali się ponieść marzeniu o rewolucji przemysłowej. Nadwerzęzyli się finansowo, kupując akcje, i teraz byli zmuszeni dotrzymać zobowiązań. Utrzymanie majątków wymagało dużych wydatków, a nowy, zbyt konsumpcyjny styl życia szlachty także miał swoją cenę. W ciągu dwóch lat rodzina Levych stała się jednymi z największych, a być może największymi dzierżawcami w całym powiecie belgardzkim. Byli niemal samowystarczalni, jeśli chodziło o dostawę surowca do własnych tartaków.

Ascher nie dziwił się wcale, że Bernhard podróżuje coraz częściej do Księstwa Poznańskiego. Już jakiś czas wcześniej syn poinformował rodziców o swoim najbardziej udanym „nabytku” - Henriette Cohen. Zbliżał się koniec okresu narzeczeństwa, nadszedł więc czas, aby przywieźć wybrankę serca do Polzin i rozpocząć nowy rozdział życia. Ascher, który zatrzymał się w Glogau w drodze powrotnej z Wenecji, aby poznać się z rodzicami panny młodej, z radością dał parze swoje błogosławieństwo. Cohenowie pragnęli ustawić ślubny baldachim w swoim domu, wesele odbyło się więc w Glogau. Kilkuset gości zaszczyliło młodą parę swoją obecnością. Profesor Graetz przyjechał aż z Wrocławia. Moritz Gottschalk podjął się w imieniu rodziny zaproszenia Gersona Bleichrödera, ale bankier ograniczył się do przesłania telegramu z gratulacjami. Także burmistrz Polzin przysłał jedynie telegram. Po weselu Henriette spakowała swoje rzeczy. Potem nastąpiło pożegnanie - goście weselni machali, matka zalewała się łzami, bracia dawali dobre rady, siostry wdychały, aż w końcu dał się słyszeć przesywający świst lokomotywy parowej...

W Polzin czekało na nowożeńców piękne mieszkanie. Julius zapłacił czynsz za cały rok z góry: „Zamiast konwencjonalnego prezentu, jeśli nie masz nic przeciwko temu, starszy braciszku“, napisał z Gdańska, z przeprosinami, że choroba nie pozwoliła mu przyjechać do Glogau.

„Wręcz przeciwnie, młodszy braciszku - odpisał mu Bernhard. - A jeżeli Bóg da i w ciągu roku urodzi nam się dziecko, nie zaprotestujemy, jeśli podarujesz mu podobny prezent, ponieważ najprawdopodobniej będzie mieszkało z nami...!”

Przysłowie mówi, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Jednakże musiał wiać silny wiatr, gdy rodził się Bernhard, który sprawił, że jabłko upadło dość daleko. Ascher Levy pielęgnował romantyczne uczucia w swojej oddanej interesom osobie. Choć przyłyły emocje z czasów młodości osłabły przez lata, zawsze miał tendencję do uczuciowości. Chłód i obojętność były jedynie fasadą. Bernhard jednak był stworzony z całkowicie innej materii. Zachowanie w stosunku do rodziny i otoczenia pełne dystansu i opanowania nie było jedynie pancerzem mającym chronić jego wewnętrzną wrażliwość. Z natury był człowiekiem trzeźwo myślącym i introwertycznym. Jego życie uczuciowe pozostawało tajemnicą, nawet Henriette musiała przyznać w swych listach do domu, że „nigdy nie udało się jej rozgryźć tego orzecha“. A i ona nie była szczególnie wylewna. Za gracją i bezpośredniością, które tak ujęły

Bernharda podczas ich pierwszego spotkania, leżały inne ukryte zalety, które pasowały do cech jej męża, i przynajmniej w tym względzie tworzyli idealną parę. Oboje uważali „rozgryzanie orzecha“ bardziej za wyzwanie intelektualne niż kwestię uczuciową. On zajął się interesami i choć słuchał jej rad, w gruncie rzeczy oboje - przeciwnie niż Ascher i Fanny - żyli obok siebie bez głębokiej więzi duchowej.

Mimo to ich trzeźwa codzienność z pewnością nie miała negatywnego wpływu na relacje fizyczne. W krótkim czasie Henriette urodziła trzech chłopców i dwie dziewczynki. Do opieki nad dziećmi zatrudniono guwernantkę z okolicy. Bernhard i Henriette pilnowali, aby nie biegały po całym domu i nie zakłócały ich spokoju. Dla każdego dziecka z osobna ustalono szczegółowy plan dnia. Podczas gdy Ascher Levy przystosował się do pruskiego porządku i dyscypliny, Bernhard już w nich wyrósł. Jego życie było ściśle zaszufadkowane - praca i obowiązki, dobro i zło, dzień i noc. Wszystko miało ustalone miejsce, nie było przyzwolenia dla niczego, co nie pasowało do planu.

Ascher Levy musiał walczyć, aby wspiąć się po drabinie sukcesu, od samego dołu, i zdobył pozycję w społeczeństwie dzięki zawziętości i uporowi. Na początku musiał włożyć wiele wysiłku, aby się utrzymać, potem, by kupić dom, a następnie, by ustalić swoje miejsce w społeczności Polzin. Później nastąpił rozwój firmy i zdobycie miejsca w radzie miejskiej. Nawet po latach od mianowania obwieszczał przybycie na posiedzenia głośnym: „Już jestem!“, jakby chciał podkreślić nie tylko swoją fizyczną obecność, ale inny, wyraźnie o wiele ważniejszy fakt: że przebył długą drogę - przybył, można rzec, z innej planety, charakteryzującej się biedą, wyobcowaniem i upokorzeniem. Sukces natury etycznej był dla niego dodatkowym powodem do dumy. W wieku dziewiętnastu lat poprzysiął sobie prowadzić żydowskie życie i nigdy tej przysięgi nie złamał. Podróż do Erec Izrael jeszcze bardziej umocniła jego przywiązanie do judaizmu. Nie była to już jedynie kwestia duchowej więzi z Ziemią Świętą, ale bardzo konkretna więź z konkretnymi ludźmi w konkretnym położeniu geograficznym. Jednak poza przywiązaniem do Syjonu przyrzeczenie to sprawiło mu problemy przez całe życie. Ciągłe borykał się z moralnymi kwestiami żydowskiego sumienia i ustalonymi z góry zasadami postępowania.

Bernhard nie doświadczał owych trosk. Swoje miejsce w społeczeństwie przyjmował jako rzecz najzupełniej należną. Nie czuł nagłego przypływu satysfakcji, gdy rolnicy i robotnicy w miasteczku unosili przed nim czapki ani gdy witała się z nim pruska szlachta. Było to dla niego tak naturalne jak woda, powietrze i pieniądze. Ascher zawsze do czegoś dążył. Bernhard żył tak, jakby już dotarł do szczytu. Ascher próbował zwalczyć przyciąganie ziemskie. Bernhard kroczył z taką pewnością, że nawet nie był świadomy tego, że nie potrafi latać. Dziedzictwo poprzednich pokoleń ciążyło Ascherowi na barkach. Jego bliskie związki z przeszłością czyniły go człowiekiem mającym korzenie, mimo iż na skutek tego jego wolność została poważnie ograniczona. Skok w świat wielkich interesów był bardzo rzeczywistym skokiem. Gdy Beri i Juli byli jeszcze w szkole podstawowej, Ascher zwykł mawiać: „Moi synowie zrobią następny krok“.

Ale Bernhard nie miał wytrzymałości długodystansowego biegacza. Wolał pozostać tam, gdzie był. W rezultacie oszczędziło mu to problemów i napięć, z którymi musieli się zmierzyć jego współwyznawcy, wspinający się po kolejnych szczeblach drabiny społecznej. Polzin oferował o wiele mniej wyzwań. Sukces znajdował się na wyciągnięcie ręki i gdy już się wiedziało, kim są twoi wrogowie, wystarczała broń konwencjonalna. Wszystko było znajome, jasne i oczywiste. Bernhard uwielbiał swoje rodzinne miasteczko.

Podczas gdy Rzesza przechodziła przez wir rewolucji przemysłowej, w Polzin jakby czas się zatrzymał. Ludzie zwyczajnie się starzeli, a bluszcz wspinał po ścianach domów miejscowych dygnitarzy. Nieznaczne zmiany, które następowały, nie wyrwały prowincjonalnego miasteczka z odrętwienia. W parku oficjalnie otwarto dom zdrojowy. Latem odwiedzało go wielu gości, którzy przywozili ze sobą powiew wielkiego świata. Zimą

Polzin przypominał senną wysepkę otoczoną oceanem śniegu. Wielkie miasta daleko na wschodzie i na zachodzie rozwijały się w oszałamiającym tempie, tak szybko, że często ludzie nie byli w stanie nad tym zapanować. W dżungli wielkiego miasta brały górę nowe prawa, pisane i niepisane. Moritz donosił swojemu kuzynowi: „Każdy, kto ledwie utrzymuje się na powierzchni, stracił. Kto nie odnosi sukcesów, utracił wszelkie prawo do istnienia. Ktokolwiek starzeje się w biedzie, postradał godność. Ponury to świat. Ale w takim właśnie żyjemy“.

W tym świecie najbardziej liczyła się szybkość, przebiegłość, spryt i zdolność do przystosowania się. Bankier Bismarcka, Gerson Bleichröder, otrzymał tytuł szlachecki. Jak powszechnie wiadomo, w takim wypadku *noblesse oblige* - przywileje wiążą się z obowiązkami. Wybitne osobistości socjety były szczęśliwe z zaproszenia do jego rezydencji przy Behrendstrasse. Ale ostentacyjny pokaz zamożności i władzy wpływowych Żydów, takich jak Bleichröder, miał swoje konsekwencje. W Berlinie wrzało - w społeczeństwie i wśród polityków.

Rzesza Niemiecka była mocarstwem o ogromnych wpływach, ale wewnętrzne podziały stawały się coraz głębsze i bardziej bolesne. Emancypacja Żydów zniosła bariery. Aktywni Żydzi ujawnili swoje zdolności, jak ujął to Heinrich Graetz: „nie dzięki dobrej woli gojów, ale na skutek własnych długoletnich cierpień“. W tym samym czasie między katolikami a protestantami trwała zacięta walka o kulturę. Każda ze stron starała się utrzymać przewagę i wpływy. Junkrzy zrzekli się majątków, ale nie swej dumy, i powstali przeciwko plutokracji. Rzemieślników zdziesiątkowała industrializacja. Ci, którzy znaleźli się po zwycięskiej stronie, w końcu zaniepokoił się „czerwonym zagrożeniem“ ze strony socjalizmu. Robotnicy zaś organizowali się przeciwko kapitalistycznemu wyzyskowi, ale nie mieli ochrony przed bezrobociem. Ten pełen zgiełku świat, przepełniony nienawiścią i rozpaczą, domagał się łatwo rozpoznawalnego kozła ofiarnego, którego można by wskazać oskarżycielskim palcem. Nie trzeba było długo szukać, żeby go znaleźć.

Antysemityzm w Niemczech istniał od zawsze. W przeszłości prześladowano Żydów za to, że zdradzili Chrystusa. Ich dłonie były rzekomo splamione krwią Jezusa i kolejne pokolenia musiały cierpieć od nowa za ten grzech z mglistej, odległej przeszłości. Teraz, gdy Żydzi faktycznie uzyskali równe prawa obywatelskie i wywalczyli wstęp do wyższych sfer społeczeństwa dzięki własnym umiejętnościom, niewiele czasu zajęło ich chrześcijańskim współobywatelom, by dostrzec w tym zagrożenie dla narodu, cesarstwa i wartości kultury niemieckiej przez przejście pozycji zarezerwowanych przedtem wyłącznie dla chrześcijan. Potomkowie starych arystokratycznych rodów i członkowie pruskiego - a teraz nowego, niemieckiego - narodu nie mogli pogodzić się z faktem, że Żydzi, którzy zaledwie wczoraj postrzegani byli jako drobni kanciarze, stali się wschodzącymi liderami przemysłu, a nawet politycznymi doradcami jutra. Żyd, który zajmował się pieniędzmi, nieprzerwanie snując intrygi i pociągając za sznurki za sceną, stał się uosobieniem wszystkiego, co burzyło tradycyjny, naturalny porządek społeczny, a jedyne właściwe miejsce dla niego znajdowało się poza społeczeństwem.

Te ataki nie ograniczały się jedynie do Żydów. Każdy, kto miał z nimi jakiegokolwiek powiązania - niezależnie od swojego statusu - uważany był za „zarażonego“. Polityczni przeciwnicy kanclerza przypomnieli jego związki z Rotszyldami i Bleichröderem i natychmiast uznali go za winnego pomocy w „przejęciu Ojczyzny przez Żydów“. Wyrażenie „żydowskie pieniądze“ stało się teraz obelgą - a faktycznie kłówną.

Ale tworząca się grupa przemysłowców zwyczajnie nie była w stanie sobie bez nich poradzić. Ci, którzy nienawidzili Żydów, nie potrafili znaleźć wyjścia z tego błędnego koła, a zależność od nich tylko podsyciała nienawiść. W 1879 roku ukazała się praca Wilhelma Marra zatytułowana *Der Weg zum Siege des Germanentums über das Judentum* („Droga do zwycięstwa cywilizacji germańskiej nad judaizmem“). W niecały rok traktat ten doczekał się

dwunastu wydań. Autor ostrzegał czytelników: „Przyjmujecie obcych do swych parlamentów, awansujecie ich na twórców prawa i sędziów, czynicie dyktatorami finansowej organizacji państwa, przekazaliście im prasę [...]. Geniusz żydowskiej rasy rozchodzi się lotem błyskawicy, aby pokonać was, jakby to było jedyną słuszną rzeczą, i zasłużyliście na to tysiąckrotnie“.

W niespełna rok Marr znalazł też zamożnych sponsorów dla swojej gazety „Deutsche Wache“ (Niemiecki strażnik), w której postulował założenie organizacji o nazwie Liga Antysemitcka (Antijüdische Verein). Warto także zauważyć, że Marr pierwszy użył terminu „antysemityzm“ jako sloganu politycznego.

Wydarzenia te tak rozgniewały Moritza Gottschalka, że napisał do swojego kuzyna z Polzin: „Nie mogą mnie znieść, ale nie są w stanie beze mnie żyć. Interesy kwitną, ale tak samo wrogość. Z każdym tysiącem zysku zyskuję tysiąc nowych wrogów. Chciałbym się wycofać, zaszyć w jakimś cichym kącie i odpocząć. Czy w domu wypoczynkowym w Polzin znalazłoby się dla mnie miejsce?“.

Polzin nie był jednak ani kurortem, ani rajem dla Żydów. Ale Pomorze uniknęło podburzających motłoch agitacji, bo region ten pozostawał w tyle, jeśli chodziło o przemysł, i nie rodziły się tam fortuny ani bankierów, ani przemysłowców wyznania mojżeszowego. Ludność północnej części Prus była konserwatywna. Demokracja społeczna i narodowy liberalizm, postępowe siły napędowe, znalazły tu niewielkie poparcie. Nienawiść do Żydów stała się czymś, z czym dało się żyć. Ascher Levy nie obnosił się ze swą zamożnością, nie jeździł okazałym powozem i nie urządzał wspaniałych balów w stylu Bleichrödera. Nie starał się o tytuł szlachecki, trzymał się z dala od polityki - z wyjątkiem stanowiska w radzie miejskiej - i dawno zarzucił próby nawiązania kontaktów towarzyskich z chrześcijańskimi sąsiadami. Ograniczył kontakty osobiste do minimum i tym sposobem unikał niepotrzebnych przykrości. Jedynie w sprawach dotyczących interesów był nieustępliwy i stanowczy. Uważał spory w tej sferze za naturalny element walki o przetrwanie - wspólny dla Żydów i ich wrogów.

Kiedy Ascher skończył sześćdziesiąt dwa lata, uświadomił sobie, że stopniowo pogarsza mu się wzrok. Zaczęło sprawiać mu trudność czytanie przy lampie gazowej, potem także przy świetle dziennym. Moritz skontaktował go ze znanym berlińskim okulistą. Choć diagnoza była oczywista, specjalista nie potrafił mu pomóc. Ascher cierpiał na jaskrę, na którą nie znano wtedy lekarstwa. Na początku odczuwał pieczenie i wzrost ciśnienia w obu oczach, potem silne bóle głowy, a w końcu nieokreślone bóle w całym ciele. Środki uspokajające i przeciwbólowe nie pomagały. Przestał zajmować się księgami rachunkowymi i coraz trudniej mu było poruszać się bez pomocy. Postępująca utrata wzroku wpłynęła na jego nastrój. Czasem całymi dniami nie opuszczał swojego pokoju. Fanny siedziała u jego boku. Niekiedy prosił ją, by czytała mu święte pisma lub gazety. Ale przeważnie chciał, żeby po prostu przy nim była. Siedzieli razem w milczeniu, a cisza ta bardziej świadczyła o bliskości niż jakakolwiek rozmowa. Oficjalnie Ascher nadal kierował firmą, ale w zaistniałych okolicznościach Bernhard przejął praktyczną stronę jego obowiązków.

W październiku 1877 roku główny dyrektor banku w Szczecinie, który zarządzał większością funduszy firmy, zmarł w tajemniczych okolicznościach. Pojawiła się plotka, że księgi banku nie były w porządku. Ascher nie mógł odbyć tak długiej podróży do Szczecina, a poza tym nie byłby w stanie przeczytać odpisów transakcji, których w jego imieniu dokonał bank. Bernhard musiał pojechać sam. Była to skomplikowana i bardzo delikatna sprawa. Skarga ze strony firmy ujawniłaby zakres interesów, a obie strony chciały tego uniknąć. Ascher ostrzegł syna:

- Musisz być bardzo ostrożny. W tej atmosferze ujawnienie wszystkiego zgubiłoby nas. Junkrzy, którzy zbankrutowali, nazywają nas pijawkami. Wiesz, co mówią.

- Nie martw się, papo. Możesz na mnie polegać. Bernhard doszedł do porozumienia z dyrektorami banku.

Znaleziono wiarygodne zabezpieczenie dla pieniędzy firmy i zachowano informacje dotyczące interesów w tajemnicy.

Osiągnięcia syna dodały Ascherowi otuchy. Od tej chwili jeszcze częściej przesiadywał w swoim pokoju i faktycznie oddał synowi kontrolę.

Według urzędu podatkowego w 1877 roku firma „Ascher Levy, bankier, kupiec zbożowy i rolny, tartak i skład drewna“ była największym i najlepiej prosperującym przedsiębiorstwem w powiecie belgardzkim. To Ascher w dalszym ciągu decydował o inwestycjach, ale Bernhard odpowiadał za wszystkie pozostałe sprawy. Jednak nie zawsze było im łatwo rozdzielić te dwie sfery działalności. Bernhard czuł się tak, jakby siedział na rwącym się do biegu koniu, a ktoś inny trzymał cugle. Czasem trudno mu było uzyskać od ojca jednoznaczną odpowiedź. Ascher stał się nieco ociężały w ruchach i myśleniu, i miał skłonność do odkładania spraw na później.



Bernhard Levy

- Tak się nie da prowadzić firmy - rzekł Bernhard do matki. - Nie mogłabyś z nim porozmawiać?

- Trzeba by kogoś bardziej nieczułego ode mnie.

- Masz mnie na myśli, mamó?

Fanny wzruszyła ramionami.

- Zrozum to jak chcesz, Beri.

- Kiedy przychodzi co do czego, to ja zajmuję się całym interesem, poza transakcjami bankowymi.

- Czy to ci nie wystarcza?

- Nie zrozum mnie źle, proszę. Nie mam zamiaru przejmować firmy, nie przyszłoby mi do głowy, żeby odbierać ojcu jego prawa. Ale firma nie może iść do przodu, jeżeli nie podejmuje się decyzji we właściwym czasie. Jesteśmy właścicielami dobrze prosperującego, dynamicznego przedsiębiorstwa, które potrzebuje szybkiego podejmowania decyzji.

- Skoro tak, co zamierzasz zrobić?
 - Konieczny jest porządek, mam. Pracownicy biura także potrzebują ręki, która ich poprowadzi. Muszą wiedzieć, kto...
 - Kto rządzi?
 - To nie wszystko. Klienci także muszą wiedzieć, z kim robią interesy.
 - Klienci są przyzwyczajeni do robienia interesów z tatą.
 - Starzeją się, jak ojciec. Mają synów, on także ma syna. Jedno pokolenie odchodzi, drugie zajmuje jego miejsce.
 - Cierpliwości, Beri. Twój ojciec jeszcze żyje.
 - Nie rozumiesz mnie.
 - Rozumiem cię bardzo dobrze. Być może nawet lepiej, niż myślisz. Jesteś niecierpliwy, Beri, ale nie mam nic przeciwko temu, żebyś z nim porozmawiał. On to zrozumie.
- Bernhard pokręcił głową.
- Nie zrozumie, rozgniewa się. Ale nie mam wyboru. Tego wieczoru przejrzał bilanse firmy. Siedział nad nimi do północy, analizując długie kolumny „winien“ i „ma“, i podsumował je na kartce. Przedsiębiorstwo było solidne. W tym roku rozliczeniowym przyniosło zysk w wysokości około siedmiu procent po odliczeniu podatku, mieli też około pół miliona marek w banku, zainwestowanych głównie w obligacje i akcje. Nieruchomości należące do firmy Levy’ego były warte w sumie 830 000 reichsmarek, do czego dochodził dochód z wynajmu i dzierżawy. Gdy rodzina siedziała następnego ranka przy śniadaniu, Bernhard wręczył ojcu swoje podsumowanie.
 - Cóż to jest? - spytał Ascher, mrużąc oczy. Bernhard odczytał na głos liczby. Ascher uśmiechnął się.
 - Nie powiedziałeś mi nic, o czym bym już nie wiedział. Zapomniałeś uwzględnić inwestycje, które poczyniłem za pośrednictwem Moritza. Przedstawiciele banku Bleichrödera są za nie odpowiedzialni.
 - Otrzymałem kuszącą ofertę - część lasu niedaleko Köslin. Dąb, trochę sosny, mnóstwo przedniej jakości klonu, twardego jak skała. Wszystko gotowe do wyrębu.
 - A cena?
 - Meczyje. Prawdziwa gratka. Właściciele są w tarapatkach finansowych.
 - Musimy zapłacić gotówką?
 - Oczywiście. Wiesz, jak to dzisiaj jest. Zapłać gotówką, a dostaniesz rabat.
 - Wiem, ale nie sądzę, byśmy mieli aż tyle w płynnych aktywach.
 - Żaden problem, papo. Możemy załatwić pieniądze.
 - To nie jest dobry moment na branie kredytu - odparł ojciec.
 - Nie myślałem o bankach.
 - Co zatem zamierzasz? Mielibyśmy sami wydrukować banknoty?
 - Istnieje o wiele prostszy sposób, papo.
 - Co masz na myśli?
 - Akcje kolei. Cena giełdowa jest stała, ale dywidendy spadają. Wynoszą teraz zaledwie nieco powyżej trzech procent. Moim zdaniem, czas się ich pozbyć.
 - Nie kupiłem ich, żeby spekulować. To długoterminowa inwestycja. Po latach okazała się tego warta.
 - Patrzę w przyszłość, papo. Poza tym sam obracałeś tymi akcjami.
 - Kupiłem akcje rosyjskich przedsiębiorstw kolejowych - powiedział Ascher, nieco urażony.
 - Właśnie. Ale teraz plotka głosi, że między Rosją a Anglią może wybuchnąć wojna. Czytałeś o tym w gazetach.
 - Zapominasz, że nie mogę już czytać gazet.

- Przepraszam. Nie chciałem cię zdenerwować. Ale nawet jeśli nie dojdzie do wojny, same plotki sprawią, że cena akcji spadnie. A przy okazji, co to za akcje, które ma Moritz? Także rosyjskie?

- Nie.

- Co zatem sądzisz?

Prawdopodobnie po raz pierwszy Ascher zobaczył, że syn nie tylko wypełnia jego polecenia, ale przedstawia też własne pomysły. Ale choć sam plan mu się nie spodobał, był zachwycony inną stroną osobowości Bernharda. Przeszedł do ostatniego punktu.

- Sprzedawanie niemieckich akcji w takiej chwili to dowód braku lojalności wobec ojczyzny.

Bernhard uniósł brwi zdziwiony.

- Starasz się wymigać, papo - westchnął. - Od kiedy mieszasz interesy z sentymentami?

- Nigdy nie zapomniałem, że jestem niemieckim poddanym.

- Wiesz, papo, przypominałeś mi o czymś. Gdy byłem w Szczecinie w związku ze skandalem bankowym, rozmawiałem z dyrektorami. Jeden z nich poruszył kwestię oskarżeń przeciwko Żydom. Aby ukryć własne złe uczynki, starali się przyprzeć mnie do muru i dowieść, że nie mam żadnych patriotycznych uczuć. Odpowiedziałem tak: „Drogi panie, może i jestem wyznania mojżeszowego, ale przede wszystkim jestem Niemcem“. Wiesz, co on mi na to?

- Czy to ważne?

- Odparł zjadliwie: „Tu, w Rzeszy, jesteśmy Prusakami, Bawarczykami, Saksończykami, Wirtemberczykami czy kim pan zechce. Wy, Żydzi, zawsze utrzymujecie, że jesteście Niemcami. Dla mnie to najlepszy dowód, że należycie jedynie do narodu żydowskiego...“. Tak brzmiały jego słowa.

- To nie ma nic wspólnego z akcjami.

- Oczywiście, że nie. Ale przecież już rozstrzygnęliśmy sprawę akcji.

- Rozstrzygnęliśmy? Kto rozstrzygnął?

- Ty i ja. W końcu nie wątpisz w logikę tego, co ci przedstawiłem, papo. Najpierw sprzedamy akcje charkowskiej linii kolejowej. Dostaną dobrą cenę. A ja będę szczęśliwy, gdy się pozbędę większości akcji przemysłu tekstylnego. Leżą tylko w banku i nie przynoszą nam żadnych profitów. Im szybciej się ich pozbędziemy, tym lepiej. Stracą na wartości lada chwila. I tak nie jestem pewien, czy znajdziemy na nie nabywcę.

- Ile pieniędzy ci potrzeba?

- Potrzebuję pięćdziesięciu tysięcy teraz i kolejnych pięćdziesięciu pod koniec roku. Dziesięć tysięcy na tartak w Kollatz - pracuje już pełną parą i musimy go rozbudować. Nie zaszkodziłoby też odnowić Gross Linichen, ale to może poczekać do przyszłego roku, kiedy będziemy mieli więcej zamówień. Reszta jest potrzebna na dzierżawę lasów w pobliżu Köslin. Jeśli się nie pospieszymy, bracia Behrend natychmiast skorzystają z okazji. Niczym psy z nosami przy ziemi cały czas węszą w poszukiwaniu zyskownego interesu. Są w tym dobrzy, papo, naprawdę dobrzy. Szczególnie Moritz. Georg jest ryzykantem, grosza niewartym. Dziwię się, że Bleichröder wybrał właśnie jego na współnika do zakupu Fuchsmühle. Mówią, że fabryka ma długi wobec berlińskiej Izby Handlowej i że pochodzące z niej produkty celulozowe są tak pośledniej jakości, że musi je sprzedawać poniżej kosztów produkcji. Jeśli podpiszemy dzierżawę jeszcze w tym miesiącu, będziemy mogli zarobić na produkcji drewnianych belek.

- Dla kolei?

- Ech, papo, myślisz tylko o kolei. Nie, nie dla kolei. Mam nadzieję na kontrakt na dostawę podpór do kopalń węgla. Węgiel jest dziś pożądanym towarem. Drewniane stemple do podpierania sztolń w kopalniach. To będzie strzał w dziesiątkę.

Dyskusja wyczerpała Aschera. Ciśnienie w oczach zaburzało jego zdolność koncentracji.

- Dalej więc, zrób to, co uważasz za słuszne - rzekł i gestem wskazał, że chciałby już skończyć rozmowę.

Bernhard podszedł do ojca i pocałował go w policzek.

- Dziękuję, papo. Wiedziałem, że nie będziemy się spierać.

Tego wieczoru, w sypialni, Ascher ujął dłoń Fanny. Musnął ją palcami, jakby dotykał jej po raz pierwszy, i westchnął:

- Gdy synowie dorastają, ojcowie się starzeją.

Fanny spojrzała na niego ze zdumieniem.

Handel drewnem przez stulecia odbywał się w ten sam sposób. Znajdował się głównie w rękach pruskich rodzin junkierskich. Z reguły drwale pochodzili z okolic Poznania. Polscy chłopcy stanowili dobrą i tanią siłę roboczą. Nie mówili po niemiecku, nie mieli praw obywatelskich i ogólnie rzecz biorąc nie posiadali żadnych środków, żeby się zorganizować. Nie mogli też mieć nadziei na wsparcie niemieckich związków zawodowych, które nie dbały ani o nich, ani o warunki ich pracy. Podejście junkrów zakładało wykorzystywanie ich do ostatek. Owa tania siła robocza, w połączeniu z bujnymi lasami Prus Wschodnich i Pomorza, stanowiły tak wielkie źródło dochodu dla junkrów, że nigdy nie poświęcali uwagi zarządzaniu lasami.

W połowie XIX wieku, gdy w Europie Środkowej industrializacja nabrała tempa, wzrósł gwałtownie popyt na drewno. Najwięcej potrzebowały go kopalnie węgla i stalownie, ale zależała od niego także budowa linii kolejowych, mostów i wież wiertniczych. W latach sześćdziesiątych XIX wieku popyt osiągnął szczyt. Polscy robotnicy, jak zawsze fachowi i tani, pracowali przy wyrębie, ale w końcu pojawiły się zastoje w dostawach. Brakowało tartaków, które wykonałyby zamówienia. Surowiec zaczął się gromadzić, a klienci musieli czekać całymi tygodniami, czasem nawet miesiącami, na realizację zlecenia. Bernhard szybko zdał sobie sprawę, że kto opanuje ten zastój, będzie w stanie zdominować rynek. Gdyby tartaki kupowały mniej drewna, cena surowca spadłaby. Gdyby tartaki zalegały z dostawami, cena ciętego drewna by wzrosła.

Czas naglił, bo na horyzoncie czekały kuszące kontrakty z wielką korporacją przemysłową Hibernia. Moritz Gottschalk, wówczas przedstawiciel Bleichrödera, pośredniczył w zawarciu tej umowy. Kopalnie Hiberni gwałtownie potrzebowały stempli i kupowały wszystko, co się dało. Firma Levy'ego w każdej chwili spodziewała się kontraktu.

Bernhard był jeszcze bardziej zaskoczony, gdy Moritz powiadomił go, że przyjeżdża do Polzin omówić sprawę. Gdy tylko wysiadł z pociągu, oznajmił:

- Przywożę złe wieści, niestety. Nie będzie kontraktu z Hibernia.

- Możemy opuścić cenę - rzekł Bernhard pospiesznie.

- To nie jest kwestia ceny - wyjaśnił Moritz. - Sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana. Tu chodzi o politykę.

- Co ma jedno z drugim wspólnego? Moritz zmarszczył czoło.

- Bismarck wygłosił w tym tygodniu mowę w parlamencie, wzywając do ustanowienia nowego podatku dla przemysłu drzewnego.

- Czytałem tekst tej mowy. Stwierdził w parlamencie, że jedynie idioci będą dalej ścinać drzewa, nie myśląc o ich przeznaczeniu. A biorąc pod uwagę sytuację, lasy wkrótce zamienią się w pustynię. On tylko dba o własne interesy, ale moim zdaniem taka postawa jest najzupełniej słuszna. Obaj jedziemy na tym samym wózku.

- Ty i Bismarck? To chyba lekka przesada, co?

- Nie walczę z nim o urząd kanclerza. Po prostu obaj handlujemy drewnem.

- W tym właśnie tkwi problem.

- Nie rozumiem.

- Zaraz zrozumiesz. Rodzina Bismarcków posiada ogromne połacie lasów na Pomorzu. I niezliczoną liczbę tartaków. Nasz szanowny kanclerz może pragnąć władzy, ale również łącznie pieniędzy. Jeśli zostanie wprowadzone cło, cena drewna wzrośnie, a tartaki będą musiały ponieść dodatkowe koszty. Bismarck jednak jako osoba dobrze sytuowana, którego tartaki zdominowały produkcję, jest w stanie zaniżyć ceny bez zbytnich strat.

- Już się w to zaangażowałem, mój drogi wuju, i przystąpiłem do rywalizacji - rzekł Bernhard z pewnością siebie.

Weszli do biura. Pracownicy wstali i ukłonili się. Moritz otworzył drzwi do pokoju Aschera.

- A gdzie twój ojciec? - spytał.

- Nie czuje się najlepiej.

- Może on także powinien tego posłuchać - zasugerował Moritz.

- Co jeszcze jest do usłyszenia?

- Jeszcze nie skończyłem, Beri. Pojawiła się kolejna przeszkoda.

- Zbyt pesymistycznie na wszystko patrzysz.

- Nie powiedziałem ci o głównej sprawie. Bismarck rywalizuje z nami o kontrakt z Hibernia.

- I co z tego? W takim razie będziemy rywalami - wybuchnął Bernhard. - Walczmy jak przyzwoici ludzie interesu. Dlaczegoż by nie? Mamy do tego pełne prawo. A może nie?

- Nie mamy - odparł Moritz.

Bernhard spojrział na niego zdumiony. Potem cicho, spokojnie powiedział, akcentując każde słowo:

- Chcesz powiedzieć, że Hibernia odrzuci naszą propozycję, nawet jeśli będzie bardziej korzystna?

- Wiesz, kto zasiada w zarządzie Hiberni?

- Owszem, Bleichröder. Czy też teraz Herr Bleichröder.

- Nadal nic nie rozumiesz?

- Otto von Bismarck i Gerson Bleichröder przeciwko Ascherowi i Bernhardowi Leyym... Obawiam się, że masz rację. Nie mamy zbyt wielkiej szansy.

- Nie macie zbyt wielkiej szansy? Nie macie żadnych szans.

- O czym tak rozprawiacie? Nikt mi nie powiedział, że już przyjechałeś. - Ascher Levy zszedł po schodach. Bernhard wstał, aby podsunąć ojcu krzesło. Kuzyni objęli się i ucałowali serdecznie. - Jak ci minęła podróż?

- Doskonale. Teraz, kiedy mamy już bezpośrednie połączenie z Berlina do Belgardu, to prawdziwa przyjemność. Inaczej niż podróż konno z Jerozolimy do Tyberiady - zażartował Moritz.

Ascher ciężko opadł na krzesło. Moritz powtórzył swoją relację. Ascher zasępił się. Bernhard pospieszył, by dodać mu otuchy:

- Nie ma się czym martwić, ojcze. Mamy mnóstwo kontraktów. Hibernia? No cóż, to prawda, Hibernia byłaby klejnotem w koronie. Ale kopalnie w Liege i dwie firmy z Afryki Północnej dosłownie błagają o dostawy od nas. Koszty transportu będą wysokie, oczywiście, ale i tak powinniśmy mieć z tego przyzwoity zysk. Absolutnie nie ma powodów do zmartwień.

- Juli walczył z Francuzami, a ty chcesz z nimi robić interesy? Nie, ród Levych nie będzie miał nic do czynienia z żabojadami.

- Znowu mieszasz interesy z polityką, ojcze.

- Nie, nie z polityką, ale z własnym sumieniem. Istnieją pewne granice.

- W porządku, nie będę nalegał - wycofał się prędko Bernhard, ale dodał kpiąco:

- Nie sądzę jednak, by panowie Bismarck i Bleichröder okazali taką samą powściągliwość, jak ty.

Ostatecznie to nie firma Levych, ale tartaki w Varzin podpisały kontrakt z Hibernia. Nie była to wielka strata, bo wciąż mieli mnóstwo innych zamówień, nawet z Anglii i Walii. Wkrótce dwa tartaki nie mogły nadażyć z realizacją zleceń. Bernhard zainwestował sto pięćdziesiąt tysięcy marek w spółkę z tartakiem w okolicy Köslin, bardzo blisko lasów, które ostatnio wydzierzawili.

Od czasu wielkiego zwycięstwa Niemiec nad Francją Bismarck planował nacjonalizację kolei. To, że prawo własności do nich podzielone było pomiędzy poszczególne kraje Cesarstwa Niemieckiego i prywatne firmy, było mu cierniem w oku, ponieważ nie wszystkie przedsiębiorstwa funkcjonowały wydajnie, tym samym hamując inwestycje w rozwój linii. Pod jego presją parlament przegłosował powołanie odrębnego ministerstwa. Obowiązkiem tego utworzonego w 1871 roku Ministerstwa Kolei Rzeszy (Reichseisenbahnamt) była z początku standaryzacja kosztów transportu i koordynacja rozkładów jazdy, po których miała nastąpić nacjonalizacja kolei. Bismarck chciał stworzyć sieć kolei państwowej kontrolowanej z Berlina, która w czasach pokoju mogłaby przynieść Rzeszy korzyści ekonomiczne, a w czasie wojny zapewnić szybki transport wojsk. Doświadczenia roku 1866 i 1871 uświadomiły jemu i sztabowi generalnemu wagę kolei w planowaniu strategicznym.

Ku rozczarowaniu Bismarcka sprawy postępowały jednak ospale, z powodu zarówno sprzecznych interesów ekonomicznych, jak i rywalizacji politycznych. A mimo to najmniejszy szept o nacjonalizacji wystarczył, aby przyspieszyć cały proces. Na giełdzie zaczęto spekulować. Nacjonalizację linii kolejowych można było osiągnąć jedynie przez zakupienie akcji z prywatnych rąk, a ci, którzy sprzedali je we właściwym czasie, znacznie na tym zyskali. Za radą Moritza Gottschalka, który dzięki związkom z firmą Bleichrödera miał przewagę nad innymi spekulantami, w ciągu kilku miesięcy Bernhard kupił i sprzedał ogromną liczbę akcji linii kolejowej Berlin-Szczecin oraz Rechte-Oderufer⁴². Te dwie transakcje przyniosły zysk netto w wysokości dwudziestu tysięcy marek w niecały rok. Teraz, gdy Ascher przekonał się o zdolnościach syna, całą swą uwagę poświęcił sprawie sierocińca. Choć wydał na to już ponad dziesięć tysięcy marek, a Moritz uroczyście przysiągł na każdy tysiąc, który da Ascher, dać tyle samo od siebie, nie zbliżyli się nawet do potrzebnej sumy.

Na początku lipca 1882 roku Ascher udał się do Berlina na konsultację do słynnego okulisty. Skorzystał z tej sposobności, aby przyspieszyć budowę sierocińca. Podczas podróży pociągiem przypomniał sobie, jak dziesięć lat temu w drodze do Erec Izrael zatrzymał się na tydzień w Wiedniu. Pewnego wieczoru w towarzystwie doktora Komperta udali się do czegoś pomiędzy piwiarnią a kabaretem, gdzie ku wielkiemu zachwytowi publiczności artyści wyśpiewywali refren, który brzmiał: „Jest tylko jeden matecznik rabusiów, on Berlin się zwie...“. Był wściekły - jak ci bezduszni, pozbawieni zasad moralnych Austriacy mogli być tak nietaktowni, by naśmiewać się ze stolicy Prus, z jej koszarami i dzielnicami nędzy? Berlin w latach siedemdziesiątych bardzo się zmienił i przynajmniej pozornie stał się kosmopolityczną stolicą. Pierwszy tramwaj produkcji firmy Siemens i Halske ruszył po przedmieściach Lichterfelde. Powstało wiele kawiarni w paryskim stylu, w których zbierali się intelektualiści. Ogromna siedziba rządu emanowała siłą, a luksusowe prywatne rezydencje wyrastały niczym grzyby po deszczu. Dom Moritza Gottschalka także był nowy i umeblowany zgodnie z najnowszą modą.

Razem ze swymi darowiznami kuzyni zebrali do tej pory na sierociniec trzydzieści tysięcy, a potrzebowali niemal dwa razy tyle. Zaproponowano im odpowiedni dom do wynajęcia w Jerozolimie. Ale perspektywy rysowały się dość ponuro. Potrzebowali pieniędzy na renowację, umeblowanie i pensje dla nauczycieli, którzy przynajmniej w części mieliby przyjechać z Niemiec. Moritz zasugerował zjednanie do sprawy dwóch czołowych żydowskich bankierów, Gersona Bleichrödera i Abrahama Oppenheima. Między tymi

⁴² Mowa o Rechte-Oderufer Eisenbahngesellschaft (Towarzystwo Kolei Prawego Brzegu Odry).

milionerami trwała zacięta walka o to, kto okaże się większym dobroczyńcą. Nie dla nich były dyskretnie dawane, jak nakazuje żydowska tradycja, datki charytatywne. Darczyńcy pragnęli należnego rozgłosu w prasie, aby ludzie dowiedzieli się o ich szczodrości. Oppenheim wspierał tworzenie muzeów i teatrów. Bleichröder pomagał w budowie szpitali, przekazał hojną darowiznę na synagogę w Ostendzie i ofiarował pieniądze pastrowi zbierającemu na budowę kościoła protestanckiego w Berlinie. Podarował w sumie setki tysięcy marek. Czy ci dwaj patroni gotowi byłiby wysupłać dwadzieścia tysięcy na żydowski sierociniec w Świętym Mieście?

Abraham Oppenheim odmówił, ponieważ był już zaangażowany w podobne przedsięwzięcie. Ambitny projekt profesora Graetza i dwóch kuzynów wywołał poza tym sprzeciw religijnych fanatyków, którzy postanowili stworzyć własny sierociniec - ściśle ortodoksyjną instytucję bez żadnego świeckiego nauczania. Nad konkurencyjnym projektem objęli patronat potencjalni darczyńcy, tacy jak Moses Joshua Judah Leib Diskin, który przekonał Oppenheima do wsparcia projektu i dlatego nie mógł spełnić prośby kuzynów. Wszelkie nadzieje spoczywały teraz w Bleichröderze.

Publiczna dyskusja nad edukacją w Palestynie i fakt, że Moritz Gottschalk był jednym z inicjatorów i inwestorów postępowego sierocińca, spowodowały, że jego nazwisko stało się znane poza finansowym światem Bleichrödera. Ale pomimo pozycji społecznej i zamożności Gottschalk nadal był nikim w porównaniu z bogatym i wpływowym magnatem. Profesor Graetz i parlamentarzysta Ludwig Bamberger byli stałymi gośćmi w domu Moritza, był on także dumny ze znajomości z rabinem Ezrielem Hildesheimerem. Bleichröder natomiast gościł u kanclerza. Cesarz przyjmował go na swym dworze. Korespondował z Disraelim z Londynu i królem Belgii Leopoldem II. Szampan lał się w jego domu dla ambasadorów i książąt, polityków i generałów. Wielu daremnie próbowało wyprosić choć jedno zaproszenie na wystawne przyjęcia, jakie Bleichröder wydawał przynajmniej raz w miesiącu. Jego dom pozostawał zamknięty dla oficerów i przedstawicieli niższych warstw arystokracji. Trzeba było nie lada zabiegów, aby zgodził się przyjąć kuzynów na prywatną rozmowę - krótkie i rzeczowe spotkanie, jak uprzedził wcześniej jego sekretarz.

Służący w liberii zaprowadził ich do biura banku, inny zaś wskazał miejsce przy stole. Za nim znajdowało się kryształowe lustro, które sprawiało, że skąpo umeblowany hol wydawał się jeszcze większy. Promienie światła wpadały przez szklany sufit niczym w ogromnej oranżerii. Ze ściany spoglądał na nich z portretu oprawionego w bogato zdobioną złotą ramę dyrektor firmy. Brązowe i szare marmurowe kwadraty tworzyły na podłodze proste linie. Czekali w milczeniu przy herbacie, podanej w filiżankach z cieniutkiej porcelany przez trzeciego pracownika. W końcu w drzwiach pojawił się młody lokaj i oznajmił głośno:

- Baron von Bleichröder!

Gerson Bleichröder uwielbiał ceremonialność. Podeszedł do nich miarowym krokiem. Na jego nosie spoczywały binokle z grubymi szklami. Nieco rzadkie bokobrody dziwnie kontrastowały z gładko wygoloną brodą. Wyciągnął dłoń z sygnetem do Moritza i powiedział z uśmiechem:

- Witam serdecznie! Wiele słyszałem o pańskiej walce z wiatrakami.

Moritz wstał i ukłonił się nisko.

- Mein Herr, chciałbym przedstawić panu Herr Aschera Levy'ego z Polzin.

Bleichröder skinął głową.

- Miło mi pana poznać. Proszę, panowie, usiądźcie. Zdaje mi się, że o panu także słyszałem. Czy pańska firma prowadzi interesy z braćmi Behreńd?

- Owszem, mein Herr.

Bankier wymamrotał pod nosem kilka niewyraźnych słów. Służący, który stał za nim, natychmiast wyciągnął rękę, aby podsunąć mu tapicerowane krzesło. Bleichröder opadł na nie ciężko, siadając dokładnie pod portretem, na którym wydawał się bardziej energiczny i

mniej błady niż w rzeczywistości. Plotka krążąca po Berlinie głosiła, że obraz ten, dzieło znanego artysty Franza von Lenbacha, kosztował go trzydzieści tysięcy marek, podczas gdy Bismarckowi Lenbach policzył jedynie pięć tysięcy. Lenbach rzekomo stwierdził, że o wiele większą przyjemność sprawiło mu malowanie kanclerza Niemiec niż żydowskiego bankiera.

Ascher był przygotowany na chłodną i pełną dystansu rozmowę. Ale Bleichröder porzucił wszelką etykietę i nagle zadziwił Aschera ciepłem i bezpośredniością. Ku jego zdumieniu gospodarz, który zazwyczaj odnosił się z pewną rezerwą do spraw żydowskich, był wyjątkowo dobrze poinformowany. Wiedział o dyskusji na temat sytuacji w Jerozolimie, jaką wywołała ich publikacja, oraz motywach tych, którzy byli za i przeciw.

- Hojnie wspieram Alliance Israelite i nie czynię z tego tajemnicy - rzekł. - Uwaga, którą na sobie skupiam w związku z zaangażowaniem w sprawy Rzeszy, w zupełności mi wystarczy. Nie chcę dać się wplątać w kłótnie, które wywołaliście. Zapewnić satyrykom kolejny materiał do karykatur? Nie, dziękuję... Nie dam się wciągnąć w dyskusję, która prowadzi donikąd. Ale jeśli dobrze rozumiem, nie są panowie zainteresowani moim nazwiskiem, lecz pieniędzmi, prawda?

- Pańskie nazwisko liczy się bardziej niż pieniądze - zauważył Moritz uprzejmie.

- Jedynie, gdy daję poręczenie dla pożyczki - uśmiechnął się bankier. - Ale po cóż tracimy czas na słowa. Bardzo cenię pracę profesora Graetza, oczywiście także i wasze starania. Ile panom potrzeba?

- Dwadzieścia tysięcy - odparł Moritz.

- Otrzymacie je, ale pod jednym warunkiem - sprawa musi pozostać tajemnicą. Dziś dokonam odpowiedniej płatności. Pieniądze zostaną przekazane na konto w banku Rotszyldów we Frankfurcie, a potem do organizacji dobroczynnej, którą założyliście. Nie chcę, żeby ktokolwiek rozpoznał ofiarodawcę. Darowizna będzie anonimowa.

- Dziękuję z całego serca, Herr Baron - rzekł Ascher ze wzruszeniem.

Bleichröder skinął głową i wstał. Mężczyźni wymienili uścisk dłoni. Promyk słońca odbijał się w źrenicach Bleichrödera. Bankier wyjął okulary z ciemnymi szklami z kieszeni surduta i nałożył je zamiast binokli. Ascher zebrał się na odwagę i powiedział:

- Zdaje się, że cierpimy na to samo.

- Co? Pan także? - spytał Bleichröder zdziwiony i dał znak służącemu, aby zostawił ich samych.

Okazało się, że bankier od kilku lat choruje na jaskrę. Lekarze nie ukrywali przed nim, że czeka go kiedyś całkowita utrata wzroku.

- Widzicie, panowie, że są pewne rzeczy, których nie da się kupić - stwierdził bez goryczy i spytał Aschera:

- Konsultował się pan z jakimiś lekarzami w Berlinie?

- Badał mnie doktor Evers.

- Znam go. To doskonały lekarz. Kiedyś interesowały mnie jedynie dwie sprawy - pieniądze i polityka. Teraz pojawił się trzeci temat - medycyna. Znam najlepszych lekarzy z Prus i Wiednia. Zdradzić panu sekret, Herr Levy? Nawet oni nie potrafią mi pomóc.

- Przykro mi.

- Proszę się nade mną nie litować. Niech pan zadba o siebie. Wyłącznie o siebie. Czasem zadaję sobie pytanie, co jest lepsze - być zdrowym i biednym, czy bogatym i chorym. Ale skoro już musimy zachorować, chyba lepiej, jeśli stać nas na dobrych lekarzy, prawda? - Bleichröder poklepał go po ramieniu jak starego przyjaciela. - Czym się pan zajmuje, Herr Levy, poza handlem drewnem?

- W tej chwili sierocińcem. Mój syn przejął interes i jestem bardzo zadowolony ze sposobu, w jaki go prowadzi. Poza tym jedyną przyjemnością, jaka mi pozostała, jest kupowanie i sprzedawanie akcji przedsiębiorstw kolejowych.

- Wierzę, że koleje mają przyszłość - rzekł Bleichröder. - Szczególnie teraz, gdy zostaną upaństwowione. Rząd wypuści akcje kolei i każdy, kto wierzy w przyszłość Prus, powinien zaufać temu przedsięwzięciu. To nie jest rada od bankiera. W końcu nie jest pan moim klientem. Proszę to potraktować jak uwagę od lojalnego obywatela Prus. Jako bankier powiedziałbym panu, że nie ma absolutnie żadnego powodu, aby ograniczać się do krajowego rynku. Finanse i handel są międzynarodowe, a i w Oriencie nie chodzi jedynie o dobroczynność. Baron Hirsch przekazał miliony dla wschodnioeuropejskich Żydów. Jak pan myśli, w jaki sposób je zarobił? Powiem panu: na kolei, którą zbudował i którą zarządza w Oriencie. Orient nadal jest żyzną glebą dla sprytnych inwestorów. Dowiedziałem się, że baron Hirsch obecnie planuje budowę linii kolejowej z Wiednia do imperium osmańskiego, aż do Bagdadu. Niech mi pan wierzy, Herr Levy, to przedsięwzięcie, któremu bank Bleichrödera nie będzie się przypatrywał z boku. Intuicja nigdy mnie dotąd nie zawiodła. I ta satysfakcja. Satysfakcja! W końcu nie jest to jedynie kwestia zysków, ale i uczestnictwa w politycznej intrydze na ogromną skalę. Człowiek czuje, że ma na coś wpływ. Zna pan to uczucie? Nie? Nie wie pan, co pan traci. Siedzę na bieżąco, co się dzieje, i smuci mnie, gdy widzę, jak Anglia przejmuje Egipt. Najpierw Disraeli objął kierownictwo nad Kanałem. Teraz Gladstone i Francuzi wysyłają wojska do Aleksandrii. Austriacy wzięli na cel Półwysep Bałkański. Lwy walczą o łupy. A gdzie my jesteśmy? Gdzie są Niemcy? Kolej poprowadzi nas prosto do imperium osmańskiego. Najpierw tory kolejowe, potem niemieckie majątki, na koniec wpływy polityczne. Nie możemy sobie pozwolić, by stracić taką okazję. Co pan o tym myśli, Herr Levy?

Ascher był nieco zaskoczony entuzjastycznym wybuchem Bleichrödera.

- W pełni się z panem zgadzam, mein Herr - odparł. - Jeśli to pana interesuje, proszę się z nami skontaktować. Zarezerwujemy dla pana miejsce w tym pociągu.

- Dziękuję. Ale nie jestem pewien, czy powinienem skorzystać z pańskiej szczodrej oferty.

- Dlaczegoż by nie? - spytał Bleichröder zaskoczony. - O wiele więksi niż pan mają przyjemność robić interesy z moim bankiem.

- Otóż to, Herr Baron. Jesteśmy niewielką firmą, za małą na wielki, szeroki świat. Czułbym się jak pasażer na gapę w ostatnim wagonie, jak ślepiec, którego wysadzą na jakiejś stacji, gdzieś daleko.

- To kwestia zasad. - Bleichröder jeszcze raz poklepał go po ramieniu. - Ale proszę o tym pomyśleć - woli pan stać na czele stada lisów, czy być najślabszym wśród lwów?

Rozmowa dobiegła końca.

Bleichröder nie zrealizował swoich planów w Oriencie. Natomiast dziwnym zbiegiem okoliczności wnuk Aschera Levy'ego miał się czynnie zaangażować w budowę Kolei Hidzaskiej z Damaszku do Mekki⁴³. Gdy rozmowa ta miała miejsce, ów wnuk miał niecałe sześć lat.

„Anonimowa“ darowizna z Frankfurtu umożliwiła otwarcie sierocińca. Rok później przyjęto pierwszych dwunastu uczniów, z czego Ascher był bardzo zadowolony.

- Czuję, że moje życie zyskało w końcu jakiś cel - rzekł do syna.

- Ja również nie marnuję życia - brzmiała jego odpowiedź.

⁴³ Kolej Hidzaska nie połączyła Damaszku z Mekką, ostatnią stacją była otwarta w 1908 r. Medyna.

3. Miejsce pod słońcem

Dwa razy w tygodniu miasteczko ożywało, gdy kupcy i przekupki na targu wykładali na straganach warzywa, owoce i mięso. Mały brukowany rynek otaczały piętrowe kamienice. W największej z nich mieścił się hotel Preußischer Hof. Zatrzymywali się tam głównie ci, którzy nie przyjechali do wód leczniczych, a więc nie ciągnęli do domu zdrojowego ani żadnego innego miejsca, które wyrosły jak grzyby po deszczu, by przyjmować gości uzdrowiska. Po północnej stronie rynku stał ratusz. W kierunku hotelu zwrócone były domy mieszczaństwa. Miejscowi dygnitarze i zamożni mieszkańcy miasteczka wcześniej osiedlili się przy Promenadzie Bismarcka i innych ulicach w pobliżu parku zdrojowego. Strone dachy domów wokół rynku pokryte były ceglana dachówką, zgodnie z pruskimi przepisami budowlanymi, a w skrzyńkach na parapetach kwitły niemal wyłącznie czerwone i różowe pelargonie.

Dawno temu pośrodku rynku zbudowano studnię, ale teraz już każdy dom miał bieżącą wodę. Krany studni były przerdzawiałe i zmatowiałe, a całość przypominała żeliwny pomnik. W innych prowincjonalnych miasteczkach Pomorza mieszkańcy finansowali budowę imponujących posągów. Królowie, księżęta i rycerze z dumnie uniesionymi głowami siedzieli majestatycznie na rumakach z kamienia lub brązu. Ale radzie miasta Polzin nie było jak dotąd spieszo, by poświęcać fundusze z miejskiej kasy na podobne projekty. To właśnie Ascher Levy zaproponował postawienie w miejsce nieprzydatnej studni pomnika z brązu dla upamiętnienia trzynastej rocznicy wizyty Fryderyka Wilhelma IV. „Jestem gotów pokryć połowę kosztów“, poinformował na zebraniu pozostałych członków rady miasta. Jego hojną ofertę odrzucono. W imieniu całego zgromadzenia Herr Bauch, nowy burmistrz, odpowiedział, że powinni zadowolić się pomnikiem postawionym w 1872 roku pamięci synów miasta, którzy zginęli w wojnie z Francją. Posąg króla musiałby być wspaniały, jak przystało na wielkiego władcę, a szczupłe fundusze miasta nie pozwalały na tego rodzaju wydatki. Ascherowi ta odpowiedź wystarczyła. Bernhard był jednak przekonany, że prawdziwą przyczyną odrzucenia propozycji był fakt, że pochodziła od obywatela pochodzenia żydowskiego.

Wszystko pozostało więc jak dawniej, z jednym wyjątkiem - na rynku otwarto piwiarnię, która wkrótce stała się ulubionym miejscem spotkań robotników. Tu mieszkańcy Polzin przy kuflu piwa z pianką dyskutowali o bieżących wydarzeniach. Członkowie rodziny Levych trzymali się z dala od tego przybytku. Podczas gdy miejscowi kupcy, pracownicy i przedsiębiorcy wymykali się z domów na godzinkę, aby w knajpie topić razem smutki w alkoholu, Bernhard nigdy nie szukał ich towarzystwa, gdy coś go trapiło. Wręcz przeciwnie. Ten nieustępliwy, milczący człowiek zamykał się we własnej skorupie na „godzinę wstrzymania się od głosu“, jak zwykła mawiać Henriette z właściwym dla niej ironicznym poczuciem humoru.

W październiku 1888 roku Ascher Levy świętował siedemdziesiąte trzecie urodziny. Ostatecznie oficjalnie wycofał się z prowadzenia firmy, gdy skończył siedemdziesiąt lat. Teraz zwracano się do niego jedynie ze skomplikowanymi problemami finansowymi. Wzrok pogorszył mu się jeszcze bardziej i zgodnie z tym, co przewidział Bleichröder, żaden lekarz, nawet najlepszy, nie potrafił mu pomóc. Nękały go też inne choroby. Mimo to w końcu pogodził się z nową sytuacją i znów zaczął interesować się tym, co działo się wokół niego. W tartaku w Kollatz zbudowano dla niego drabinkę z trzema szczeblami, mającą mu pomóc w dosiadananiu konia. Prośby Fanny, aby podróżował powozem, puszczał mimo uszu. „Zapomniałaś już, że przejechałem konno z Jerozolimy do Tyberiady i nic mi się nie stało?“, odpowiadał. „A poza tym świat o wiele lepiej wygląda z końskiego grzbietu“.

W jego urodziny krajobraz zabarwiony był odcieniami pomarańczy, czerwieni i brązu. Deszcze się jeszcze nie zaczęły, powietrze było przejrzyste i suche. Ascher pochylił się do przodu i zamyślił nad zniwem swego życia. Gdy tylko wyszli goście, syn poinformował go o kilku nowych, potencjalnie dochodowych interesach. Wnuki dorastały, rozwijały się i pilnie uczyły. Ponadto sytuacja polityczna przyczyniała się do poczucia stabilności i siły. Rzesza stała się znaczącą potęgą. Polityczne centrum przeniosło się z peryferiów Europy do jej środka. Dalekowzroczny kanclerz Otto von Bismarck wmanewrował Wielką Brytanię, Francję, Austrię, a nawet Rosję w sytuację, w której trudno im było zjednoczyć się przeciwko nowym Niemcom. Do mapy ojczyzny dołączono teraz zamorskie kolonie. Obywatele Rzeszy przyswoili takie nazwy, jak: Togo, Kamerun i Afryka Wschodnia. Bycie częścią tej nowej rzeczywistości przynosiło satysfakcję. Ascher Levy skrupulatnie zachowywał każdy wycinek z gazety mówiący o zjednoczeniu Rzeszy. Jednak kiedy proponowano mu artykuły z „Reichsglocke“ lub „Kreuzzeitung“, dwóch nacjonalistycznych i antysemitycznych gazet prorokujących upadek Niemiec z winy przymierza plutokratów, polityków i Żydów, zwyczajnie odmawiał skinieniem dłoni. „Obawiam się, że mam już za słaby wzrok, a żona nie ma teraz czasu mi czytać“.

Jego dzień przebiegał według ustalonego porządku. W dni powszednie, zazwyczaj rankiem, odbywał konną przejażdżkę. Za namową Fanny zgodził się na towarzystwo pracownika, który w milczeniu jechał obok. Po powrocie jadł z żoną śniadanie: trzy gotowane jajka, chleb obsmażany w tłuszczu roślinnym z koszernym pasztetem z gęsiich wątróbek i popijał to kawą. Bernhard przysiadł się do stołu i dziwił zdrowemu apetytowi ojca. On ograniczał się do filiżanki herbaty i suchego tostu z dżemem truskawkowym domowej roboty.

Posiłki te były czasem relaksu i często ciągnęły się aż do południa. Rozmowa przy stole przeważnie dotyczyła spraw rodzinnych, a w tej spokojnej atmosferze ojciec i syn bardzo rzadko poruszali kwestie polityczne. Gdy Bernhard w końcu przechodził do spraw firmy, Ascher wypijał wtedy szklankę wody mineralnej z mlekiem, aby, jak twierdził, lepiej je strawić. Kilkakrotnie przemierzał pokój, po czym siadał w fotelu i czekał, aż Fanny przyniesie z gabinetu plik gazet i przeczyta mu najważniejsze wiadomości. Zawsze starał się być na bieżąco i prenumerował nie tylko „Zeitung für Polzin und Kreis Belgard“ (Gazetę Polzin i Powiatu Belgardzkiego), ale także najważniejsze gazety berlińskie i frankfurckie. Gdy tylko Fanny próbowała pominąć coś, co mogłoby go zdenerwować, natychmiast poznawał to po zmianie w jej głosie.

Popołudniami zwykle ucinał sobie drzemkę na sofie, a punktualnie o wpół do piątej, na pół godziny przed zamknięciem biura, schodził na parter, aby zamienić słowo z pracownikami: „Żeby nie zapomnieli, kto założył firmę“. Gdy wchodził, wszyscy zrywali się i witali go chórem, niczym oficera wysokiej rangi, który przyszedł na przegląd wojsk. Doskonale wiedzieli, że to Bernhard jest teraz dyrektorem firmy i że tylko jego podpis się liczy. To on prowadził negocjacje z klientami i przyjmował ważnych gości, i już od kilku lat miał ostatnie słowo we wszystkich kwestiach finansowych. Ale Bernhard nigdy nie dał Ascherowi odczuć, że został wyłączony z interesu; darzył ojca wielkim szacunkiem i cenił jego doświadczenie i rady, nawet jeśli nie zawsze się z nim zgadzał.

W niedzielne wieczory Bernhard pojawiał się w salonie rodziców. Wielokrotnie już sugerował im, aby porzucili swoją staroświecką i niewłaściwą - jego zdaniem - siedzibę i przenieśli się do nowoczesnego i przestronnego mieszkania na parterze domu, który zajmował z Henriette i pięciorgiem ich dzieci. Ale Ascher i Fanny nie chcieli o tym słyszeć.

- Dobry wieczór - przywitał ich. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Fanny rozsiadła się wygodnie na sofie w rogu pokoju i dziergała koronkę. Ascher pochylał się nad księgą w czarnej oprawie. W lewej dłoni trzymał szkło powiększające. Na okrągłym stoliku stała lampa gazowa, która dawała niebieskawe światło.

- Dobry wieczór, Beri - odparł Ascher. - Wiesz, co jest ciekawe w modlitwie na Rosz Chodesz⁴⁴? Dziwne, że prosimy Boga, aby sprawił, żeby nowy miesiąc przyniósł nam dobro i błogosławieństwo, radość i zadowolenie, wybawienie i pocieszenie, wsparcie i pożywienie, życie i pokój. Wszystkie te prośby odnoszą się do rzeczy pozytywnych, tylko dwie do negatywnych. Spójrz, co tu jest napisane. Ascher poprawił okulary z grubymi szklami i przeczytał na głos: „Życie bez grzechu i wstydu“. Tak tu stoi. Wiesz dlaczego?

Fanny wstała, podeszła i pocałowała syna w policzek, rozjaśniła światło lampy i wróciła do swojego kącika.

- Cóż, Beri, znasz odpowiedź? - nalegał Ascher. Bernhard skinął głową. Podobnie jak ojciec uwielbiał interpretować znaczenie wersów.

- Synu?

- Myślę, że ten tekst próbuje jasno rozgraniczyć dobro i zło. W ten sposób wartości zyskują konkretną formę.

- Zgadza się. Masz całkowitą rację. Ale twoje wyjaśnienie jest zbyt proste.

- Po co je komplikować, jeśli można ująć prosto, papo.

- Długo i intensywnie zastanawiałem się nad tekstem tej modlitwy - rozwijał myśl Ascher.

- Moim zdaniem, chodzi w niej o więcej niż o prostą kwestię rozróżnienia między dobrem a złem. Sądzę, że ma uwypuklić inną sprawę: można żyć bez pokoju i obfitego pożywienia, ale ktoś, kto chce być wolnym obywatelem w swoim kraju, nie może żyć w grzechu i wstydzie. Czytałem tę modlitwę wielokrotnie i rozmyślałem o minionych czasach, o moim ojcu i dziadku, niech pamięć ich będzie błogosławiona. Jakże im było ciężko! Musieli żyć we wrogim otoczeniu, które ich nie akceptowało. Niełatwo było być Żydem, bez grzechu i wstydu, upokorzenia i poddania. Jakże godni podziwu byli ci ludzie, jak bardzo żałośni by się wydawali. Jaką ogromną siłę skrywały zgarbione plecy rabina Berischa, jaki żar miał on w sercu... - Ascher westchnął.

- Szkoda, że nie może nas tu teraz zobaczyć, równych wśród równych.

- Rozczulasz się, papo.

- Nie wstydzę się tego. To dla mnie jedna z tych modlitw, które dają nam pokrzepienie.

Bernhard uśmiechnął się.

- Ech, te emocje. Nie lekceważę ich, skądże, ale...

- Żadnych „ale“, mój synu.

- Nie wszystko jest czarne lub białe, istnieją również rozmaite odcienie szarości, prawda?

- Nigdy nie byłem skłonny do kompromisów.

- Ja też nie - pospieszył podkreślić Bernhard. - Ale istnieje różnica między kompromisem a elastycznością.

- Te określenia przydatne w handlu, Beri, nie mają zastosowania w sferze ducha. Prawdę mówiąc, nie jest mi przykro, że czasem czułem się winny, ponieważ to właśnie zbliżyło mnie do moralności. Czy bez tego poczucia niedoskonałości szukałbym większej doskonałości? Powoli człowiek zdaje sobie sprawę, że musi poświęcić na to całe życie. Tymczasem nauczyłem się interesować nawet tymi sprawami, które nie przynoszą korzyści natychmiast. Zrozumiałem, że to jedyny sposób, aby odkryć to, co ukryte i z czego można mieć profity dopiero później.

- Przyjmuję twoje słowa niczym objawienie na górze Synaj. - Bernhard usiadł w fotelu naprzeciwko ojca i wyciągnął nogi, kładąc je na obitym ciemnym aksamitem podnóżku.

Fanny odłożyła koronkę na sofę i wstała.

- Może przejdziecie już od tych rozważań filozoficznych do bardziej przyziemnych spraw - powiedziała. - Nie macie nic przeciwko temu, żeby przyniosła wam herbatę i Strudel z jabłkami? - Zanim któryś z nich zdążył odpowiedzieć, zniknęła w kuchni. Strudel z jabłkami z ciasta francuskiego był ulubionym przysmakiem całej rodziny.

⁴⁴ Hebr. „początek miesiąca“, święto nowiu księżyca.

- Twoja matka jest mądrą kobietą - rzekł Ascher.
- A ja jestem mądrym dzieckiem, że wybrałem właściwych rodziców - zażartował Bernhard, dodając: - I właściwych współników do interesów.
- Co masz na myśli? - spytał podejrzliwie Ascher.
- Czy nazwisko von Blanckenburg coś ci mówi?
- Oczywiście. To rodzina junkierska z okolic Stargardu. Z tego, co wiem, najstarszy z rodu, Karl Julius, zmarł kilka lat temu. Przeniósł się wcześniej do Erfurtu, jeśli mnie pamięć nie myli. Gdy byłem młody, pracowałem dla żydowskiego kupca, który prowadził interesy z Blanckenburgami. Dla ciebie to już prehistoria.
- Tak, to było w latach trzydziestych, kiedy pracowałeś dla Stärgera.
- Nie pamiętam, żebym ci o tym opowiadał...
- Nie ty mi opowiadałeś, papo. Herr von Blanckenburg to zrobił. To znaczy jego syn, Eugen. Rodzina mieszka teraz w Dreźnie, ale on spędza większość czasu w Prusach Wschodnich.
- Nie rozumiem...
- Zaraz zrozumiesz, papo. Eugen studiował chemię w Heidelbergu. Obecnie mieszka w Königsbergu, gdzie ma fabrykę produkującą czerwoną fosfor i inne chemikalia. Poznaliśmy się przypadkiem w banku w Szczecinie. Potem pisywaliśmy do siebie. Teraz chcielibyśmy zrealizować pewien pomysł. Chcemy wejść w spółkę.
- Blanckenburgowie i my?
- Nie, my i Blanckenburgowie.
- W spółkę?
- Tak, czy coś w tym złego?
- Tylko pytam. - Ascher nie odrywał wzroku od syna. Bernhard wyciągnął plik papierów z kieszeni, przyjrzał im się dokładnie, po czym powiedział:
- Chyba znalazłem sposób, żeby nasze tartaki zaczęły przynosić większe dochody. Pamiętasz lasy topolowe i brzoźowe, które kupiliśmy dwa lata temu?
- Oczywiście, że pamiętam. Moim zdaniem, to była nietrafna inwestycja. Zapłaciliśmy wysoką cenę, a drewno nie nadaje się na podkłady kolejowe. Ani dla kopalń...
- To prawda, papo. Ale to drewno doskonale nadaje się do produkcji zapalek.
- Zapalek? - wykrztusił Ascher. - Co my, u licha, mamy wspólnego z zapalnikami?
- Blanckenburg produkuje fosfor i inne materiały wybuchowe. My możemy produkować ogromne ilości zapalek. Dwa i dwa równa się cztery, nieprawdaż?
- Twoja znajomość matematyki jest imponująca, Beri. Ale co to ma wspólnego z produkcją zapalek?
- Plan działania jest bardzo prosty. Rząd ma monopol i ustala cenę zapalek zgodnie z zasadą „koszt plus zysk“. Nasz przyjaciel Bismarck wyegzekwował od parlamentu stałą taryfę celną na drewno. Jednakże chemikalia nie podlegają kontroli cen. Przypuśćmy, że założymy spółkę akcyjną zajmującą się produkcją zapalek, niezarejestrowaną na nasze nazwisko. Będzie ona otrzymywać chemikalia od Herr Blanckenburga z Prus Wschodnich i płacić nieco więcej niż zwykłą cenę rynkową. Nie będzie to ani nieuczciwość, ani przestępstwo. Ale pozwoli na sztuczne podniesienie kosztów produkcji. W rezultacie będziemy mogli sobie pozwolić na ustalenie wyższej ceny dla konsumenta, trzymając się zasady „koszt plus zysk“. Właściwy kontrakt z rządem postawi nas w jednym szeregu z królewskim monopolem. Słuchasz mnie, papo?
- Cały zamieniłem się w słuch.
- Brzmi zachęcająco, prawda? Dowiadywałem się, jakie wyposażenie będzie nam potrzebne. Szwedzi mają wspaniałe maszyny do produkcji zapalek. Wysoce intratna inwestycja.
- Ale co daje nam gwarancję na kontrakt z królewskim monopolem?

- Blanckenburgowie mają koneksje w Berlinie. Ascher nie wydawał się tym usatysfakcjonowany.

- Mielibyśmy ogromne straty drewna przy produkcji zapalek. A Iwią część zysków zabierałby wspólnik.

- I nad tym się zastanawiałem, ojczu. Masz absolutną rację co do wiórów drewnianych. Mielibyśmy około pięćdziesięciu procent strat. Ale nie sprzedawalibyśmy wiórów za bezcen producentom celulozy. Bracia Behrend musieliby znaleźć sobie innych dostawców. Używalibyśmy odpadków do podgrzewania kotłów, tak więc uzyskalibyśmy wydajny opał dla tartaków. Rozmawiałem o tym z Kutschke, inżynierem z Kollatz. Uważa, że to doskonały pomysł.

- Jak tak dalej pójdzie, stworzysz perpetuum mobile. Bernhard roześmiał się, ale zaraz spoważniał.

- Oczywiście umowa musiałaby być tajna, aby zagwarantować naszą część zysków. Ale prawdę mówiąc, papo, spoglądam dalej w przyszłość. Dlaczego nie mielibyśmy uniezależnić się od Blanckenburgów? Z czasem zdobylibyśmy doświadczenie, które pozwoliłoby nam założyć konkurencyjną firmę. Nie w Prusach Wschodnich, ale tu, niedaleko tartaków. Zmniejszyłoby to koszty transportu i pozwoliło nam na kontrolowanie wszystkich obszarów produkcji. Moglibyśmy wtedy powiedzieć Blanckenburgowi: „Ogromnie nam przykro, ale...”.

- Nie podoba mi się to, Beri. Zapomniałeś już, co ci mówiłem o grzechu i wstydzie?

- Ojczu. - Bernhard wstał i ciągnął lekko podniesionym głosem: - To nie znaczy, że okantuję mojego wspólnika. Nie oszukuję i nie trzymam asa w rękawie. Wszystko będzie zgodne z prawem, niech wygra najlepszy. Nie ma to nic wspólnego z grzechem i wstydem.

Drzwi się otworzyły i weszła Fanny z tacą.

- Mam nadzieję, że już skończyliście - powiedziała i zaczęła kroić strudel.

Mężczyźni zamilkli. Ascher wpatrywał się w swoją filiżankę. Po chwili podniósł wzrok, czoło miał zmarszczone, gdy patrzył na syna. Dziwne, jak się życie układa, rozmyślał. Przed nim siedział Beri, najstarszy, ukochany syn, który mimo to był dla niego tajemnicą. Jego krew, ale ulepiony z zupełnie innej gliny. Poczuł nagle pragnienie, aby ująć dłoń Bernharda w swoją i przywrócić bliskość między nimi. Powstrzymał się jednak. Fanny, o tak, Fanny zrozumiałaby impuls, ale Beri? Nie był już dzieckiem. Naprzeciwko niego siedział dojrzały, czterdziestotrzyletni mężczyzna z równo przystrzyżonymi blond włosami i brodą. Większość członków rodziny Levych miała blond włosy i niebieskie oczy, wbrew antysemitom etnografom, którzy zupełnie inaczej określali żydowskie cechy. Od dnia narodzin Beriego Ascher kochał go z całego serca, a mimo to nigdy nie zwolnił uścisku, którym go trzymał, i nigdy nie ustąpił mu jako dziecku. Nigdy otwarcie nie okazał mu miłości, nie przytulił go ani w żaden inny sposób nie dał ujścia swoim uczuciom. Kiedy ujawnił się charakter jego drugiego syna, Juliusa, stało się dla Aschera jasne, że to Bernhard pójdzie w jego ślady. A teraz nie mógł pogodzić propozycji Bernharda z własnym poglądem na życie. Być może nie było to oszustwo, być może w taki właśnie sposób robiło się teraz interesy, a mimo to - nie, po prostu nie pochwałał takiego postępowania. Mruknął coś do siebie pod nosem. Fanny spytała go z troską:

- Mówiłeś coś? Dobrze się czujesz?

- Tak, najdroższa. Wszystko w porządku.

Szesnastego sierpnia 1889 roku Bernhard podpisał kontrakt z Eugenem von Blanckenburgiem w kancelarii Renglera, notariusza ze Szczecina, który występował w imieniu głównych właścicieli ziemskich. Jego wspólnik dotrzymał wszystkich zobowiązań i po dwóch miesiącach Nowe Pruskie Przedsiębiorstwo Drzewne (Neue Preußische Holzgesellschaft) otrzymało wszelkie niezbędne certyfikaty od królewskiego monopolu. Mogli rozpocząć produkcję. Szwedzkie maszyny przywieziono na początku grudnia i od razu

zamontowano w tartaku w Köslin. „Zapalimy świece na choince zapalkami własnej produkcji“, oświadczył wesoło von Blanckenburg. Bernhard przytaknął i nie zapomniał postać wspólnikowi drzewka ściętego w jednym ze swoich lasów.

Wspólnicy docierali się powoli, ale reszta interesów rodzinnych toczyła się zwykłym rytmem. Finanse firmy miały solidne podstawy i podczas gdy inne przedsiębiorstwa popadały w tarapaty, rodzina Levych uniknęła wstrząsów. „Jesteśmy jak Arka Noego, która nie obawiała się potopu“, powiedział pewnego dnia Bernhard, na co Ascher odpowiedział w typowy dla siebie sposób: „To nie mądrość Noego ocaliła ludzi i zwierzęta, ale wola Boga“.

Im słabszy wzrok miał Ascher, tym chętniej wycofywał się do własnego świata, choć nie zerwał wszystkich związków ze światem zewnętrznym.

Przed wszystkim tam, gdzie chodziło o Erec Izrael, był niezachwiany. Teraz, gdy nie udzielał się czynnie w firmie, spędzał co roku przynajmniej miesiąc w Bad Kissingen, gdzie spotykał się z Heinrichem Graetzem i Moritzem Gottschalkiem. Czasem dołączał do nich także Gerson Bleichröder. On, który tak dbał o swoją reputację i pozycję społeczną, otworzył się właśnie przed Ascherem. Inwalidztwo zbliżyło ich, a między wielkim bankierem a prowincjonalnym kupcem wytworzyła się pewna więź, choć trudno byłoby ją nazwać prawdziwą przyjaźnią.

Bleichröder skarżył się Ascherowi na los wdowca (jego żona Emma zmarła w 1881 roku) i opowiadał o rozczarowaniu, jakiego przysporzyły mu dzieci. Jego starania, aby młodszy syn, Hans, otrzymał stopień oficerski, w końcu zostały uwieńczone powodzeniem. Dzięki temu, że przyjaciel szepnął słówko na dworze królewskim, starszy syn został oficerem kawalerii. Ale zwolniono go dyscyplinarnie z powodu związków z kobietami wątpliwej reputacji. Else, jego ukochana i jedyna córka, poślubiła najpierw barona Bernharda von Uechtritza, ale mimo posagu w wysokości dwóch i pół miliona marek małżeństwo szybko skończyło się rozwodem. Dwa lata później Else ponownie wyszła za mąż, tym razem biorąc ślub w berlińskim kościele pod wezwaniem Trójcy Świętej. Dla Bleichrödera, Żyda ceniącego tradycję, był to poważny cios.

Ale Ascher bardziej niż smutkami bankiera martwił się faktem, że projekt jerozolimskiego sierocińca wciąż wisiał na włosku. Dwaj nauczyciele wysłani z Niemiec do Palestyny zostali obłożeni klątwą przez przywódców społeczności ortodoksyjnej i musieli wrócić do domu. Znalezienie kogoś na ich miejsce okazało się praktycznie niemożliwe. Zarówno ortodoksi, jak i zwolennicy postępowego myślenia okopali się na swych pozycjach i wydawało się, że nie ma wyjścia z tego bolesnego sporu. Nadzieje trzech autorów memorandum, które miało wpłynąć na zmianę sposobu dystrybucji datków charytatywnych, zostały pogrzebane. Co prawda sieć szkół założonych w Ziemi Świętej w ostatnich latach przez Alliance Israelite dawała promyk nadziei, ale pojawił się drobny problem. Ponieważ lekcje odbywały się po francusku i dominowała tam kultura francuska, owe placówki objął patronatem konsulat francuski. Ascher Levy pragnął stworzyć szkołę, która nauczałaby po niemiecku i koncentrowała się na pruskiej kulturze. Oficjalna polityka Francji w krajach muzułmańskich była jawnie antysemitka, a ekspansja wpływów francuskich złościła Aschera tak samo jak nieprzejednanie jego przeciwników.

Tak zwana kwestia żydowska zajmowała także Europę i Rzeszę. Wprowadzenie w poprzedniej dekadzie równouprawnienia Żydów spowodowało usunięcie barier. Mimo że tylko nielicznym jednostkom z wyższych sfer społeczności żydowskiej udało się zrobić karierę w gospodarce i kulturze, w bankowości i finansach, w prasie i kręgach akademickich, to właśnie one szczególnie przyciągały uwagę ogółu. W czasie kryzysu ekonomicznego, który nastąpił po powstaniu Rzeszy, to właśnie żydowskich bankierów postawiło pod pręgierzem rozwścieczone społeczeństwo. Co więcej, antysemita wzięli na cel nie tylko zamożnych Żydów, lecz atakowali także żydowskich socjalistów, którzy popierali przyznanie praw robotnikom.

W Bad Kissingen na promenadzie Heinrich Graetz, Żyd, i Heinrich von Treitschke, antysemita, mijając się, uprzejmie uchylali cylindra. Ale na arenie politycznej obyczajem były nieco inne. Bismarck znalazł się w ogniu krytyki, ponieważ wiele osób łączyło politykę kanclerza z awansem społecznym pewnych kręgów żydowskich. Społeczne wstrząsy towarzyszące powstaniu Rzeszy, a także jej postępujące uprzemysłowienie, doprowadziły do zawiązania się niebezpiecznego przymierza pomiędzy siłami konserwatywnymi a rozgoryczonymi przegranymi. Na początku lat osiemdziesiątych wybuchły zamieszki na tle antysemitycznym w Neustettin, zaledwie kilka kilometrów od posiadłości rodziny Bismarcków. Niektórzy twierdzili, że ta bliskość geograficzna nie była zbiegiem okoliczności. Lokalną synagogę strawił ogień. Pojawiła się plotka, że Żydzi sami ją podpalili, aby wyłudzić okazałe odszkodowanie. Gdyby nie interwencja Bismarcka, w całej Rzeszy mogłyby pojawić się podobne akty przemocy. Bismarck uważał te zajścia za atak sił ciemności na to, co w jego oczach stanowiło najświętszą wartość - własność i mienie. Reakcją rządu na wydarzenia w Neustettin był zakaz zgromadzeń i przemówień antysemitycznych na Pomorzu i w Prusach Zachodnich.

Gdy motłoch, siejąc zniszczenie, szedł przez wsie uzbrojony w noże, widły i kije, w miastach szanowane osobistości nadawały antysemitycznym agitacjom polityczne zabarwienie. Jedną z nich był stały bywalec Bad Kissingen - profesor Heinrich von Treitschke, początkowo narodowy liberał, ale później niezależny członek Reichstagu i jeden z czołowych historyków Uniwersytetu Berlińskiego. To on jest autorem powiedzenia: „Żydzi są naszym nieszczęściem“. Jego działalność dziennikarska spowodowała, że antysemityzm zaakceptowali intelektualiści, podobnie jak dzieła Richarda Wagnera, który aż do śmierci w 1883 roku domagał się, aby „społeczeństwo niemieckie zostało oczyszczone z żydowskiej zarazy“. Gdy w roku 1887 hotelarz Konrad Hilton zabronił żydowskiemu bankierowi o nazwisku Josef Seligmann wstępu do swojego hotelu Grand Union w Saratodze w Stanach Zjednoczonych, Niemcy, którzy mieli podobne zapatrywania, cieszyli się: „Widzicie? Nie jesteśmy odosobnieni...“.

Jednak w porównaniu z pogromami w Europie Wschodniej niemiecka odmiana antysemityzmu wydawała się nieszkodliwa. Tysiące uchodźców opuszczały carskie imperium i okupowane przez Rosjan terytoria w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia na Zachodzie. W 1884 roku w Rosji pojawiły się jak grzyby po deszczu grupy Chowewej Cijon. Ruch ten głosił, że lud Izraela rozproszony w diasporze powinien powrócić do swej biblijnej ojczyzny i tam się osiedlić. Chowewej Cijon działał głównie w Rosji, ale rozszerzał się także na Europę Środkową i Zachodnią, Stany Zjednoczone i Australię. Jego członkowie zajmowali się nie tylko konsolidacją istniejących osad, ale i zakładaniem nowych w Erec Izrael. Walczyli o podniesienie prestiżu tego narodu i odrodzenie języka hebrajskiego.

Uchodźcy z carskiej Rosji, przez Żydów niemieckich pogardliwie nazywani *Ostjuden* (wschodnimi Żydami), napawali strachem żydowską burżuazję Rzeszy. Zarówno dobrze sytuowanym, jak i tym, którzy aspirowali do tej pozycji, przeszkadzała ta wyróżniająca się dziwnym wyglądem biedota. Wiedzieli bowiem, że jeśli społeczeństwo niemieckie nie zaakceptuje uchodźców, może się to odbić także na nich. W końcu dla antysemitów wszyscy Żydzi są tacy sami. A było bardzo prawdopodobne, że ci wyraźnie obco wyglądający przybysze z Europy Wschodniej wzbudzą typowe uprzedzenia. Niepokój o imigrantów zachęcił Heinricha Graetza i jego dwóch przyjaciół, Moritza Gottschalka i Aschera Levy'ego, do poparcia ruchu Chowewej Cijon. Ich zdaniem, starania jego przedstawicieli przynosiły korzyści na dwóch istotnych płaszczyznach. Z jednej strony w Rzeszy nie zaostrzyłyby się problemy tej niepożądanego grupy ludzi, z drugiej zaś owi imigranci zasililiby produktywny element żydowskiej społeczności Ziemi Świętej.

Jednak po kilku miesiącach profesor Graetz zdystansował się od programu Chowewej Cijon. Ascher i Moritz natychmiast poszli za jego przykładem. W końcu Ascher wycofał

swoje poparcie dla ruchu, ponieważ idea narodowego odrodzenia była sprzeczna z jego poglądami. Żydowski nacjonalizm mógł zniszczyć most, który zbudował między judaizmem a narodowością pruską. Jego judaizm wykluczał ideę nacjonalizmu i w efekcie oszczędzał mu dylematu podwójnej lojalności i towarzyszącego temu natarczywego pytania: „Ascherze Levy, synu Jäckela, kim tak naprawdę jesteś? Niemcem najpierw, a potem Żydem? A może przede wszystkim Żydem, a dopiero potem Niemcem?“. To, niech Bóg broni, nieuchronnie doprowadziłoby do konieczności dokonania jasnego i całkowitego rozdziału między tymi dwiema sprawami. „Musimy mocno trzymać się tego, w co naprawdę wierzymy - pisał Ascher do profesora Graetza. - Po prostu nie możemy wspierać żadnego samobójczego działania. Moje sumienie jest czyste, a to podstawa. Te nowe ruchy są dobre dla tych, którzy uciekają przed terrorem rządów wschodnioeuropejskich, ale stoją one w całkowitej sprzeczności z ideami przewodnimi niemieckiego żydostwa. W naszej ojczyźnie nie jest nam potrzebne narodowe rozwiązanie, ale całkowite równouprawnienie“.

Wycofanie przez Aschera Levy'ego poparcia dla Chowewej Cijon w żadnym razie nie zmieniało rzeczywistości, a widma nacjonalistycznego syjonizmu - z konkretnym celem utworzenia państwa żydowskiego - nie można już było oddalić. W Berlinie niedługo po tym powstało Towarzystwo Młody Izrael (Jung Israel-Verein), na którego czele stanął nie aktywista z Rosji, ale niemiecki żydowski student Heinrich Loewe. Lecz prawdziwym policzkiem dla Aschera okazało się zdarzenie z pewnego szarego zimowego dnia pod koniec stycznia 1896 roku, mniej niż rok przed jego śmiercią. Za namową Fanny prawie już nie opuszczał ciepłego domu. Lekarze ostrzegali, że najłżejsze wychłodzenie może poważnie zagrozić jego wątlemu zdrowiu. „Nie zapominaj, że masz osiemdziesiąt jeden lat“, nieustannie przypominał mu Bernhard. Gdy mróz ściał strumyki i jezioro w Polzin, a chłód przeszywał człowieka do szpiku kości, rodzina nie musiała już błagać Aschera, aby został w domu. Wolał wygodnie usadowić się w fotelu, okryć nogi wełnianym pledem i drzeć. Tym razem jednak głośna kłótnia wyrwała go ze snu. Rozpoznał głosy żony i syna. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Bernhard. Policzki płonęły mu z emocji i srogiego zimna.

- Błagałam go, żeby ci nie przeszkadzał - tłumaczyła się Fanny.
- Po prostu nie mogłem czekać, papo. Przyjechałem najszybciej, jak mogłem...
- Co nagle, to po diable - rzekł ojciec. - Coś się stało?
- Czy nazwisko Teodor Herzl coś ci mówi, ojczu?
- Oczywiście. To ten szalony dziennikarz z Wiednia. Kompert pisał mi o nim. W Wiedniu unikają go jak zarazy.
- I słusznie. Ten człowiek przyniesie nam zgubę.
- Co zrobił tym razem?
- Zrobił to łagodne określenie. On... Ale dlaczego mam ci o tym opowiadać? Dostaliśmy list ekspresem od Moritza. Sam go przeczytaj. - Bernhard podał ojcu dużą kopertę.
- Gdzie moja lupa?

Fanny podała mu ją. Bernhard chciał coś jeszcze dodać, ale Ascher powstrzymał go zniecierpliwionym gestem. Pogrążył się w lekturze listu. Kuzyn informował go o pracy, której autorem był Teodor Herzl, zatytułowanej: *Państwo żydowskie. Próba nowoczesnego rozwiązania kwestii żydowskiej*. Moritz Gottschalk pisał:

„Ten człowiek pisał już w przeszłości jakieś marne wypociny, ale to, co teraz z całą powagą sugeruje, zdaje mi się bardziej przerażające niż którekolwiek z jego poprzednich dzieł. Ku mej rozpaczy nie jest to nic pokrzepiającego. Jego sugestia utworzenia państwa żydowskiego spadła niczym grom z jasnego nieba. Zapewne zbagatelizujesz ten pomysł wzruszeniem ramion - znam ten twój gest. Ale sprawa jest zbyt poważna, żeby ją tak zostawić. Herzl stworzył plan przesiedlenia naszych współwyznawców do Erec Izrael i w

tym celu skontaktował się z różnymi osobistościami w całej Europie. Zdaje się, że nie rozumie, jakie to szalone, i nie dostrzega nieuchronnych konsekwencji. Państwo żydowskie! Wyobrażasz sobie, jak Wiedeń i Berlin na to zareagują? To dolewanie oliwy do ognia antysemitom i wrogom równouprawnienia. Sto lat ciągłych starań może przepaść za jednym zamachem!

Zbadaliśmy sprawę i musimy przyznać, że Herr Herzl stworzył szczegółowe opracowanie na ten temat, które złożył w kilku głównych wydawnictwach. Na szczęście dla nas wszystkie odrzuciły je z obrzydzeniem, a jak długo nie znajdzie wydawcy wśród naszych wrogów, nie ma szans na propagowanie swej doktryny zbawienia. Skłoniło go to do wydania jedynie streszczeń swoich pereł mądrości, a «Jewish Chronicle» w Londynie zgodziła się z niezgłębionych przyczyn służyć za jego trybunę. Ale kto zagwarantuje, że po tej przystawce nie nastąpi główne danie? Jak zawsze uznałem za stosowne przekazać ci niezwłocznie przekład tego artykułu, żebyś mógł sam zapoznać się ze sprawą i odpowiedzieć na niego, jeżeli zechcesz. Dowiedziałem się, że «Allgemeine Zeitung» publikuje listy czytelników. Jednak wielu naszych przyjaciół jest zdania, że najlepiej przemilczeć całą sprawę. Co o tym sądzisz?...“.

Ascher odłożył list. Na jego twarzy malowało się poważne zaniepokojenie, ale nic nie mówił. Bernhard nie mógł się już dłużej powstrzymać i wybuchnął:

- Rozumiesz coś z tego, papo?

- To początek *danse macabre*. - Ascher westchnął. - Teodor Herzl... Kompert mówił mi, że jada wieprzowinę, podróżuje w Szabat, a nawet ubiera choinkę w Boże Narodzenie. I ten człowiek proponuje założenie państwa żydowskiego!

- Głupi pomysł.

- Sam pomysł nie jest tu w ogóle istotny. Może nawet nie jest taki głupi. W końcu czy nie popieramy imigracji Żydów wschodnioeuropejskich do Palestyny? Ale teraz będą nam mówić, że naszą ojczyzną jest Palestyna. Wagner powstanie z grobu i skomponuje operę o Żydach z Rzeszy, którzy w końcu znaleźli swoje miejsce.

Moritz Gottschalk miał nadzieję, że propozycję Herzla da się po prostu zatuszować. Obywatele niemieccy wyznania mojżeszowego, ich organizacje i gazety użyły wszelkich wpływów, aby usunąć z programu narodowy syjonizm, ale ich wysiłki spełzły na niczym. Propozycja Teodora Herzla z kuli śnieżnej przeistaczała się w lawinę, której nic już nie było w stanie powstrzymać. Dwudziestego dziewiątego sierpnia 1897 roku, pięknego letniego dnia, w Bazylei w Szwajcarii zebrał się pierwszy Kongres Syjonistyczny. Dwustu ośmiu delegatów z szesnastu państw wypełniło salę miejskiego kasyna, aby poprzeć „głupi pomysł“ i wcielić go w życie. Kiedy cesarz Wilhelm II odwiedził Ziemię Świętą w listopadzie 1898 roku, przyjął twórców i rzeczników narodowego syjonizmu na rozmowę w swoim obozie położonym tuż za murami miejskimi Jerozolimy. Jeszcze przed wizytą obiecał przedstawić ruch syjonistyczny w korzystnym świetle sułtanowi tureckiemu Abdulowi Hamidowi II i wzbudził nadzieję na protektorat Rzeszy Niemieckiej. Jednak pod wpływem ministra spraw zagranicznych Bernharda von Bülowa, który sprzymierzył się z żydowskimi bankierami, intelektualistami i dziennikarzami w gwałtownej krytyce idei państwa żydowskiego, przestał popierać propozycję. Mimo to historia ruszyła już obranym kursem. Pół wieku później Zgromadzenie Generalne Organizacji Narodów Zjednoczonych przegłosowało założenie Państwa Izrael. Herzl otrzymał nieoficjalny tytuł „Wizjonera Państwa“, a dziś jego imię zna każde żydowskie dziecko. Ascher Levy uniknął ciężaru tych doświadczeń. Zmarł trzeciego marca 1897 roku, w środę, około siódmej wieczorem.

Fanny właśnie przyrządzała kolację. Pracownicy już wyszli. Bernhard zamknął biuro na dole i także poszedł do domu. Wieczorna cisza ogarnęła dom przy Brunnenstrasse. Ascher przysnął w fotelu. Gdy zegar ścienny wybił godzinę, Fanny weszła do pokoju z tacą.

- Zrobiłam ci pieczeń z kiszoną kapustą, jak prosiłeś - powiedziała i postawiła talerze na stole. Ascher nie odpowiedział. Podeszła do niego, żeby go obudzić. Ostatnio zasypiał niemal w tej samej chwili, gdy siadał, by odpocząć. Ale tym razem, gdy żona dotknęła go delikatnie, jego ręka opadła bezwładnie. Przebiegł ją dreszcz obawy. Dotknęła jego czoła, uklękła przy nim i musnęła wargami jego dłoń. Była zimna. Fanny natychmiast zrozumiała, co się stało. Przez chwilę miała w głowie całkowitą pustkę. Wreszcie wstała i cichutko powiedziała do siebie:

- Zawsze wiedziałam, że kiedyś to nastąpi.

Doktor Willi Stutz był jedynym lekarzem w Polzin. Ten korpulentny pięćdziesięcioletni stary kawaler pracował przez wiele lat jako lekarz okrętowy i dopiero osiągnąwszy ten wiek, postanowił osiąść w jednym miejscu. Jego rodzina miała niewielki majątek niedaleko Polzin, co prawdopodobnie spowodowało, że wybrał to senne pomorskie miasteczko. Polzin huczało od plotek i opowieści o nim, głównie o licznych kobietach, które rzekomo uwiódł i porzucił w różnych częściach świata. Ale w rzeczywistości nikt nic nie wiedział o jego przeszłości. On sam nigdy nie komentował plotek, nie potwierdzał ani ich nie dementował, ale bardzo go bawiły. Był z natury przyjemnym człowiekiem, szybko zaprzyjaźniał się z ludźmi, a praca lekarza zapewniała mu godziwe życie.

Tego wieczoru doktor Stutz siedział jak zwykle w piwiarni przy rynku. Gdy wezwano go do Levych, powiedział służącemu, który po niego przyjechał:

- Po cóż ten pośpiech? Znam staruszka Levy'ego. Jest jak maszyna, która czasem zgrzyta, ale nigdy do końca się nie psuje.

Ale gdy przyjechał do domu przy Brunnenstrasse, natychmiast zrozumiał, że tym razem sprawy mają się inaczej.

- Bardzo mi przykro, Frau Levy. Żadna medycyna świata mu już nie pomoże.

Fanny, Bernhard i Henriette stali jak skamieniały. Panującą ciszę zakłócało jedynie tykanie zegara. W końcu Bernhard przerwał milczenie i w typowy dla siebie poważny i rzeczowy sposób spytał:

- Zna pan przyczynę śmierci, doktorze?

- To proste - odparł doktor Stutz. - Dobry Pan wezwał go do siebie.

Emocje, które ścisnęły gardło Fanny, dopiero teraz znalazły ujście. Zaniósł się głośnym szlochem. Henriette starała się ją pocieszyć. Doktor Stutz zamknął torbę, wziął kapelusz i zwrócił się do Bernharda:

- Ponieważ w niczym nie mogę pomóc, pójdę już. Proszę przyjść do mojego gabinetu jutro, wystawię akt zgonu. Opłata wynosi dwie marki i pięćdziesiąt fenigów.

Po *szlwa* wszyscy członkowie rodziny zbrali się na otwarcie testamentu. Dalecy kuzyni, którzy nigdy nie utrzymywali bliskiego kontaktu ze zmarłym, i ciotki, o których obecności Fanny kompletnie zapomniała, stawili się bez wyjątku. Naturalnie Julius także się pojawił. Ostatni raz widział rodziców pięć lat wcześniej, kiedy urządził dla nich uroczystość w Gdańsku z okazji złotych godów. Teraz przyjechał pociągiem przez Kolberg ze swoją osiemnastoletnią córką i dwoma dorosłymi synami, dwudziestojednoletnim Rudolfem i o rok młodszym Paulem.

Bernhard zajął miejsce u szczytu stołu. Po jego prawej stronie usiadła Fanny. Po drugiej stronie mężczyzna, którego żaden z gości nigdy przedtem nie widział.

- Mój ojciec spisał testament i polecił mi odczytać go, gdy przyjdzie czas - powiedział Bernhard i położył przed sobą dużą zapieczętowaną kopertę. - Chciałbym zauważyć, że zbraliśmy się tu siódmego dnia miesiąca Adar, w dniu, gdy nasz nauczyciel Mojżesz urodził się i zmarł. Data ta nadaje naszemu zgromadzeniu wagę, która znacznie przekracza zwykłe odczytanie testamentu. Poprosiłem o obecność notariusza Stolpe ze Szczecina, ponieważ zajmował się on sprawami rodzinnymi przez wiele lat. Jego obecność nadaje temu rodzinnemu spotkaniu charakter oficjalny.

Siwowłosy notariusz przytaknął, a Bernhard zerwał pieczęć. Suchym, monotonnym głosem odczytał testament ojca:

„Nigdy nie wolno nam zapomnieć, skąd pochodzimy i w którą stronę powinniśmy patrzeć. Nasze życie to zaledwie jedno ogniwo w wiecznym łańcuchu judaizmu i nawet gdy się kończy, istniejemy nadal, jakby nic się nam nie przydarzyło. W tym właśnie tkwi tajemnica judaizmu, być może nawet tajemnica całej ludzkości. Z tej właśnie przyczyny nie chcę, by moi najbliżsi opłakiwali moją śmierć. Mam nadzieję, że stawię się przed Sądem Najwyższym i przedłożę raport z moich uczynków, lecz moja dusza jest czysta od wielu grzechów, tak powszechnych w naszym społeczeństwie. Dlatego ważne jest dla mnie, by po mojej śmierci firma była prowadzona zgodnie z tą samą polityką, co od dnia jej założenia, i aby mój następca zawsze stawiał uczciwość przed zyskiem, tak jak zysk należy stawiać przed wydatkami“.

Ascher pozostawił firmę wraz z różnymi inwestycjami finansowymi oraz nieruchomościami Bernhardowi. Fanny odziedziczyła dom przy Brunnenstrasse. Bernhard został zobowiązany do zapewnienia słusznej kwoty z dochodów firmy dla Fanny aż do dnia jej śmierci. Stowarzyszenie Edukacji Sierot Żydowskich w Palestynie otrzymało dziesięć tysięcy marek, ale pod warunkiem, że pieniądze te zostaną wykorzystane jedynie do celów edukacyjnych, a nie do innych przedsięwzięć syjonistycznych. Drugiemu synowi, Juliusowi, pozostawił sumę siedemdziesięciu pięciu tysięcy marek, która miała zostać wypłacona w równych częściach w ciągu trzech lat. Ascher dalej określił, skąd miały pochodzić te pieniądze. „Zanim firma zostanie przekazana mojemu starszemu synowi Bernhardowi, spółka z baronem Eugenem von Blanckenburgiem powinna zostać rozwiązana i musi zostać zagwarantowany sprawiedliwy, zgodny z prawem i równy podział własności fabryki zapalek“. Każde z pięciorga wnucząt, dzieci Bernharda i Henriette, otrzymało pięć tysięcy marek. Tysiąc marek Ascher przekazał na rzecz miejskiego funduszu stypendialnego, a mniejsze sumy dalekim krewnym.

Goście odjeżdżali wieczorem. Bernhard odprowadził ich na dworzec. Zaledwie kilka lat wcześniej Polzin został połączony linią kolejową z innymi miastami Pomorza. Każdy, kto udawał się do Szczecina, Gdańska czy Berlina, wciąż musiał liczyć się z przesiadką, ale połączenie z ogólnokrajową siecią ułatwiło życie mieszkańcom miasteczka i sprawiło Ascherowi wielką radość.

Do końca życia miał obsesję na punkcie kolei, nawet gdy przestał już w nie inwestować. Gdy Fanny przeglądała papiery po jego śmierci, znalazła stary plik akcji przedsiębiorstwa Strousberga.

Strousberg, ochrzczony Żyd z Prus Wschodnich, zbił majątek na kolejach i tylko jedno z jego większych przedsięwzięć okazało się całkowitą klapą. W latach sześćdziesiątych założył firmę i wyemitował akcje, aby uzyskać koncesję na budowę nowych linii kolejowych w Rumunii. Strousberg wniósł kapitał. W zamian rząd rumuński zobowiązał się do regularnych wypłat dywidendy w wysokości siedmiu procent. Techniczne i biurokratyczne przeszkody spowodowały niekończące się opóźnienia w uruchomieniu linii, tak więc cena akcji spadła do połowy ich początkowej wartości. Akcjonariusze, w większości drobni inwestorzy ze Śląska, Berlina i Monachium, poczuli się oszukani. Gdy Rumuni w końcu ogłosili, że nie są w stanie dotrzymać gwarancji wypłaty dywidendy, wartość akcji spadła na łeb, na szyję.

Ascher Levy także zakupił te akcje za radą Gersona Bleichrödera. „To nie jest inwestycja, to miewa“, zachęcał go bankier. Rumuńscy Żydzi cierpieli z powodu dyskryminacyjnej polityki rządu. Bleichröder chciał wierzyć, że w zamian za pomoc w uruchomieniu linii politycy złagodzą swoje antysemityczne nastawienie. Nadzieje te szybko legły w gruzach. Rumuni odmówili wypłat należnych akcjonariuszom. Nawet gdy w maju 1878 roku Niemcy

zerwały umowę handlową, aby wyrzucić nacisk na władze - niemieccy Żydzi mieszkający w Rumunii także cierpieli z powodu dyskryminacji - Rumuni nie ustąpili. W dniu śmierci Aschera Levy'ego akcje Strousberga nie były warte nawet tyle co papier, na którym je wydrukowano. Stracił jakieś pięć tysięcy marek. Nikomu słowem o tym nie wspomniał. Nawet Bernhard nic nie wiedział.

Gdy Fanny znalazła świadectwa udziałowe, na jej ustach zagościł tkliwy uśmiech. Tak bardzo było to do niego niepodobne, pomyślała, żeby upychać te bezwartościowe akcje na dnie szuflady, jakby starał się ukryć swoją porażkę. Podarła je na strzępy i wyrzuciła do śmieci.

Bernhard i Julius stali na peronie. Pociąg jadący na wschód miał opóźnienie. Do dnia odczytania testamentu Aschera kontakt między braćmi sprowadzał się do sporadycznej wymiany listów. Spotykali się co kilka lat podczas uroczystości rodzinnych i nawet wtedy nie mieli zbyt wielu wspólnych tematów. Śmierć ojca zbliżyła ich do siebie.

Julius objął Bernharda ramieniem i westchnął:

- Ogarnęło mnie przedziwne uczucie, gdy stałem dziś przy jego grobie. Jakby jakiś rozdział został zamknięty, skończyła się pewna epoka, a my przenieśliśmy się z jednego świata do innego.

- Ród Levy'ch nigdy się nie zmieni - odparł Bernhard.

- Wiem. A mimo to... Stare dobre czasy zawsze należą do przeszłości.

- Czekają nas jeszcze dobre dni.

- Wiesz, czego ci zazdrościsz? Bernhard rzucił bratu badawcze spojrzenie.

- Zazdrościsz ci pewności siebie, Beri, twojego spokoju. Ja ciągle się martwię. Zawsze mi się zdaje, że jutro chowa dla mnie w zanadrzu niemiłe niespodzianki. Martwię się o przyszłość moich dzieci i interesów. Skąd bierzesz taką absolutną pewność, że wszystko, co robisz, jest słuszne i dobre, właściwe i sprawiedliwe, i...

- Oskarżony jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy, czyż nie?

Julius zmienił temat.

- Zaopiekujesz się mamą, dobrze?

- Masz co do tego wątpliwości?

- Nie, nie. Po prostu chciałem ci o tym wspomnieć.

- Nie strzép języka - poradził mu Bernhard. Juliusa uderzył nieco wyniosły ton brata, ale przemilczał to.

Bernhard wodził wzrokiem po peronie. Przy żelaznym słupie stała jego córka Ida z jego bratankiem Paulem, którego krępa sylwetka zapowiadała przyszłą tuszę. Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem. Ida wystrzeliła do góry, była smukła i pełna wdzięku. Niedawno skończyła czternaście lat, ale już emanowała kobiecym czarem. Julius podążył wzrokiem za spojrzeniem brata.

- Paul za rok kończy inżynierię - rzucił niezobowiązująco.

- Ida uczy się w szkole z internatem w Berlinie. Jeszcze jest bardzo młodziotka - dodał równie swobodnie i spytał:

- W czym Paul zamierza się specjalizować?

- W konstrukcji torów kolejowych.

- Spodobałoby się to naszemu ojcu, niech jego pamięć będzie błogosławiona.

- Wiedział o tym. Prawdę mówiąc, było to jego wyraźne życzenie. Gdy opuszczałem dom rodzinny, przekazał mi mój udział w firmie w gotówce. Kiedy Paul skończył szkołę średnią, ojciec obiecał, że zostawi mi pokazną sumę, jeśli Paul obierze ten zawód.

Bernhard nic nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że ojciec maczał palce we wszystkich rodzinnych poczynaniach. Ale był zaskoczony, że ojciec miał tajemnice, o

których nie wiedział. Poczul się lekko urażony. Miał zamiar coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

Podbiegł do nich jego bratanek Rudolf, postawił na peronie walizki i próbował złapać oddech.

- Odjechalibyśmy bez ciebie, gdyby nie to, że pociąg ma opóźnienie.

- Bardzo przepraszam. Julius zwrócił się do brata:

- Zawsze się spóźnia i jest niecierpliwy. Całkiem jak reszta Levyh.

- Sądzę, że odpowiadają za to dwa czynniki - odparł Bernhard znacząco. - Moim zdaniem, na ukształtowanie osoby ma wpływ i natura, i wychowanie.

Rudolf splótł dłonie za plecami i powoli udał się w stronę niewielkiego budynku dworca. Stał przed rozkładem jazdy pociągów i zaczął wodzić palcem po kolumnach cyfr. W przeciwieństwie do Paula był wysoki i szczupły, i niezwykle przystojny.

- Ile ma lat?

- Dwadzieścia jeden.

- Słyszałem, że interesuje się malarstwem.

- Interesuje? - uśmiechnął się szeroko Julius. - Kolory, pejzaże i kształty to wszystko, co widzi. Chciałem, aby studiował na uniwersytecie, tak jak Paul, ale równie dobrze mógłbym mówić do ściany. Przerwał naukę w liceum, nie podszedł nawet do egzaminów końcowych. Może i wydaje się delikatny i kruchy, ale to uparty chłopak, który zawsze potrafi postawić na swoim. Tymczasem udało się nam osiągnąć kompromis. Uczy się u stolarza artystycznego. To rzemiosło wymaga inwencji twórczej, a poza tym będzie potrafił zarobić na życie.

- Wszystko zależy od rodziców, Juli.

- Cóż, uważamy, że dziecko ma prawo wybrać własną dro-

- Nawet jeśli jest kręta?

- To pojęcie względne, Beri. W końcu liczy się cel, a nie sposób dotarcia do niego.

- Mam nadzieję, że dopilnujesz, aby pożenili się z Żydówkami, zgodnie z rodzinną tradycją.

Julius nic nie odpowiedział. Rudolf ciągle stał przed rozkładem, odwrócony plecami do ojca. Julius powiedział cicho:

- Małżeństwo go nie interesuje, Beri.

- Tak, tak, rozumiem... Ech, ci artyści. Cygańskie życie. Ale jeszcze zmieni zdanie. To przychodzi z wiekiem.

- Nie rozumiesz, Beri. - Twarz Juliusa zachmurzyła się. - On... Jakby to powiedzieć... Nie pociągają go kobiety.

- Nie martw się. Niektórzy młodzi późno się rozwijają.

- Obawiam się, że w tym wypadku to nie ma zastosowania.

Dopiero teraz Bernhard zrozumiał, co brat daje mu do zrozumienia.

- Chyba nie chcesz powiedzieć...

Julius kiwnął głową.

- Owszem, Beri. Są rzeczy, nad którymi nawet najbardziej surowi rodzice nie mają kontroli. Natura jest silniejsza od nas.

- Pociąg nadjeżdża - zawołał Paul i sięgnął po walizki. Nim minęła minuta, pociąg wjechał na stację. Nie było czasu na dalszą rozmowę. Bracia uścisnęli sobie dłonie.

- Od dziś już z pewnością będziemy w kontakcie - obiecał Bernhard.

- Z pewnością - odparł Julius, wsiadając do wagonu drugiej klasy. Rodzina Levyh nigdy nie podróżowała pierwszą klasą. Paul znalazł pusty przedział. Zawiadowca stacji dał znak czerwoną chorągiewką. Konduktor zagwizdał i pociąg ruszył. Paul zdjął kapelusz i pomachał nim. Ida odmachnęła mu dłonią w białej rękawiczce. Nagle kapelusz wymknął się Paulowi z ręki, upadł i potoczył po peronie. Zaniepokojony wyraz twarzy Paula sprawił, że Ida wybuchnęła dziecinnym śmiechem, który zlał się ze świstem lokomotywy. Dworzec wypełnił

gęsty dym. Tylne światła ostatniego wagonu przypominały dwoje czerwonych oczu, które po chwili zniknęły w czarnej chmurze.

- Chodźmy do domu - rzekł Bernhard i wziął córkę za rękę. Naczelnik stacji schylił się, by podnieść kapelusz i pomachał nim do nich. Ale Bernhard nie zwrócił na niego uwagi i zamaszystym krokiem opuścił dworzec. Naczelnik zawołał za nimi pocieszająco:

- Nic nie szkodzi, panno Ido! Jeszcze się spotkacie!

Ida była najmłodsza z pięciorga dzieci, a Bernhard wciąż traktował ją jak małą dziewczynkę. Rok po jej narodzinach okazało się, że Henriette nie może mieć więcej dzieci. Bernhard wysłał ją do najlepszych ginekologów w Szczecinie i Berlinie. Przeszła kuracje w kilku uzdrowiskach, ale wszystko na nic.

Lina była najstarszą córką. Po niej urodziło się trzech chłopców - Ernst, Siegfried i Leo. Imię Ernst oznaczało „poważny“, Siegfried „zwycięstwo“, Leo zaś - „lew“. Bernhard zarówno interesy, jak i życie rodzinne planował nadzwyczaj skrupulatnie. Uważał się za szczęściarza, mając taką żonę jak Henriette, która twierdziła, że życie jest zdecydowanie zbyt ważne, by pozostawiać rzeczy przypadkowi. Oboje planowali przyszłość swoich dzieci już wtedy, gdy bawiły się jeszcze lalkami i ołowianymi żołnierzami. Ich pragnienia i upodobania zwyczajnie nie były brane pod uwagę.



Henriette Levy z d. Cohen

Ernst został wysłany do Berlina na studia prawnicze na uniwersytecie. Bernhard miał nadzieję, że syn będzie pierwszym przedstawicielem rodu Levych, który podejmie pracę w pruskiej instytucji. Może zostanie tajnym radcą w ministerstwie, a może nawet sędzią, bo skorzysta z możliwości, jakie otworzyły się przed Żydami w nowej Rzeszy, bez przechodzenia na chrześcijaństwo. Bernhard marzył o połączeniu materialnego statusu rodziny z publicznym uznaniem. Ale jako osoba rozważna i racjonalnie myśląca zadbał także o drogę odwrotu. „Nawet jeśli z jakiegoś powodu nie osiągnie właściwej pozycji, będzie mógł zarobić na życie jako prawnik“, powiedział do Henriette.

Siegfried urodził się dziesiątego czerwca 1875 roku. Wyrósł na młodzieńca, który potrafi cieszyć się życiem. Ale ojciec widział w nim swego następcę. Także przeznaczaniem Leo,

poważniejszego od Siegfrieda i skłonnego podjąć jakieś studia, było dołączenie do interesu. Chłopcy przygotowywali się do tej roli od najwcześniejszych lat. Gdy inne dzieci czytały bajki, oni siadywali naprzeciw ojca na wąskich niewygodnych krzesłach i wysłuchiwali jego opowieści o magicznym świecie interesów.

Siegfried nie przepadał za tymi „pouczającymi wieczorkami“ i odpływał w świat marzeń. Leo przeciwnie, chłonał każde słowo ojca niczym gąbka. Określenia z dziedziny finansów stały się częścią jego dziecięcego słownika, a oprócz tabliczki mnożenia poznawał także księgowość. Zanim dorósł, był w stanie odróżnić nie tylko święte od świeckiego, ale także zysk od straty.

Czasami Henriette dystansowała się od metod męża, choć zasadniczo ona także ceniła surowe wychowanie. Mawiała: „Okradasz ich z dzieciństwa“. Wtedy Bernhard zbijał ją z pantafelku, zgadzając się z nią: „Masz rację, masz całkowitą rację“, jednocześnie promieniał z zachwytem, ponieważ Leo był taki sam jak on i przeznaczone mu było pójść w ślady ojca.

Kiedy Leo musiał się po raz pierwszy ogolić, Bernhard uznał, że syn jest wystarczająco dorosły, by mógł dołączyć do rodzinnej firmy. Siegfried za to nie miał jeszcze pojęcia o interesach w wieku dwudziestu czterech lat. Dlatego też Bernhard postanowił w kwietniu 1899 roku wysłać go do Anglii, aby kontynuował naukę w firmie Linck-Moeller & Co., której siedziba mieściła się przy Leadenhall Street 144 w Londynie. Firma Linek Moeller specjalizowała się w handlu drewnem, a strukturą bardzo przypominała firmę Levych z Polzin. Ich związki sięgały jeszcze czasów, gdy Ascher Levy odmówił robienia interesów z Francją. Wtedy rodzina Levych zwróciła się ku Anglii. Linek Moeller nie miała nic przeciwko przyjęciu Siegfrieda na pewien czas, aby mógł on poszerzyć horyzonty jako handlowiec. Jednak Bernhard najwyraźniej nie polegał jedynie na angielskich partnerach i codziennie pisał do Siegfrieda szczegółowe listy z radami i instrukcjami. Posunął się nawet do tego, że zasugerował Siegfriedowi, by kupił sobie calową miarkę. Chciał, aby Siegfried wybadał rynek, ponieważ przeczytał w jednej z gazet, że w Anglii brakuje drewna na stemple do kopalń, które ich rodzinna firma mogłaby dostarczać w nieograniczonych ilościach. „Pamiętaj tylko, żeby sprawdzić, jakie byłoby cło na taki towar“. Ponadto Bernhard starał się wbić synowi do głowy, że jest niemieckim poddanym i ani na chwilę nie powinien zapominać, że będzie postrzegany jako reprezentant tego kraju. „Anglicy będą osądzać nas wszystkich po twoim zachowaniu“. Oczywiście należało także, aby jego rozmówany w przyjemnościach syn przestrzegał żydowskiego stylu życia. Miał modlić się w synagodze, czerpać siłę ze swej religii, unikać niekoszernego jedzenia i przestrzegać Szabatu. „Wiem, że to niełatwe, gdy żyjesz wśród gojów, ale ten, kto odwraca się od Tory i tradycji, gubi samego siebie i kieruje się w stronę przepaści“.

Ale gdy Siegfried skończył dwadzieścia cztery lata, wiedział dokładnie, dokąd zmierza. Stolica Anglii zafascynowała młodego człowieka z pomorskiej prowincji. Prędko znalazł drogę z ponurych biur przy Leadenhall Street do gwarnych miejsc Londynu, co naturalnie odbiło się na jego pracy. Dyrektorzy firmy nie poskarżyli się Bernhardowi. Gdy sześć miesięcy później, w październiku 1899 roku przyszedł czas, aby Siegfried wrócił do Polzin, z Linek Moeller wysłano krótki list z referencjami: „Mr Siegfried Levy został zatrudniony w naszej firmie w końcu kwietnia 1899 roku i teraz odchodzi od nas, aby wrócić do domu.“

Jego głównym zadaniem było prowadzenie korespondencji i wywiązał się z niego zadawalająco.

Nie były to entuzjastyczne referencje i Bernhard aż za dobrze wiedział, co oznacza te kilka zdań.

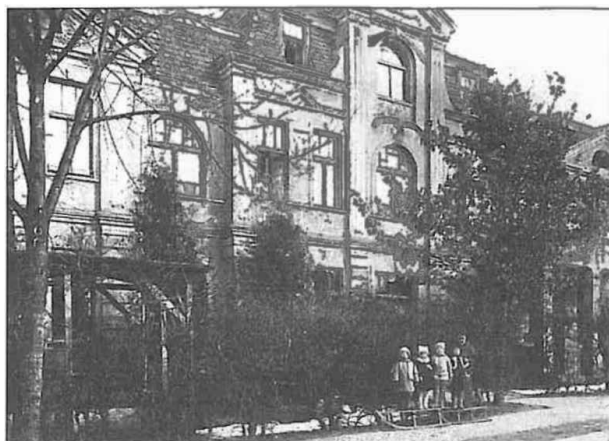
- Wygląda na to, że nie najlepiej się spisałeś - stwierdził oschle, gdy przeczytał list.
- Ale też nie przyniosłem ci wstydu - wybuchnął Siegfried. - Przestrzegałem Szabatu, jadałem koszernie, zachowywałem się tak, jak na obywatela Rzeszy przystało, nawet kupiłem linijkę calową.

- I jesteś jak zwykle zuchwały.
- Jestem z natury konsekwentny, papo. Czy to w twoich oczach nie jest nic warte?
- Zapewne zechcesz odpocząć dzień lub dwa.
- Nie, papo. Jestem gotów wrócić do pracy, kiedy tylko każesz.
- Dobrze. Najpierw idź przywitać się z matką. Potem przyjdź do biura. Leo powie ci, co trzeba zrobić.

- Jak sobie życzysz, papo - powiedział Siegfried w nagłym przypiływie posłuszeństwa. Zabrał swoje rzeczy i wyszedł z gabinetu. Badawcze spojrzenie Bernharda odprowadziło go do drzwi. Siegfried czuł je niczym bolesne ukłucie w plecy.

Poza tym chłodnym przyjęciem czekała na niego w Polzin także miła niespodzianka. Podczas jego nieobecności ojciec kupił część dużego budynku przy Promenadzie Bismarcka. Mieściło się tam wcześniej sanatorium i został on zaprojektowany zgodnie z tym przeznaczeniem. Na każdym piętrze od długich korytarzy odchodziły pokoje, każdy z nich miał więc osobne wejście. Bernhard zatrudnił hydraulików i malarzy, którzy zajęli się przebudową pokoi na mieszkanie dla rodziny. Siedziba firmy pozostała w starym domu przy Brunnenstrasse, którego piętro także przekształcono w biura, ponieważ przedsiębiorstwo zatrudniało już trzynastu pracowników i praktykantów. Na najwyższym piętrze urządzono skromne mieszkanie dla głównego księgowego i jego żony.

Nowe mieszkanie rodzina Levych umeblowała skromnie, nie chcieli obnosić się z bogactwem. Najważniejszą ozdobę stanowiły dwa srebrne świeczniki, pamiątka po wojnach napoleońskich, kiedy to nabył je Jäckel. Levy nie interesowali się zbyt sztuką i w mieszkaniu nie było żadnych obrazów. Tu i ówdzie wisiały oprawione gobeliny, które Fanny wyszywała haftem krzyżykowym z gotowych wzorów. W salonie nad komodą, w której szufladach trzymano sztućce, serwetki i obrusy, wisiały dwa kwasoryty - portrety Majmonidesa i Wilhelma II.



Dom rodzinny Levych przy Promenadzie Bismarcka w Bad Polzin, 1930 r.

Gospodarstwo domowe na co dzień prowadzili równie oszczędnie. Bernhard skrupulatnie zapisywał wszelkie wydatki. Kiedy znajomi Henriette szeptali, czy nawet otwarcie napomykali o skąpstwie Bernharda, Henriette chłodno odpowiadała, że nie ma zamiaru rozrzucać pieniędzy po Polzin. Bernhard wydawał pieniądze na inne rzeczy. Ponieważ nie wyjeżdżał już tak często w interesach, założył linię telefoniczną, drugą w Polzin. Pierwszą miał burmistrz. Jakość połączenia czasem pozostawiała wiele do życzenia. Co jakiś czas zdarzało się także, że trzeba było kręcić korbką przez kilka minut, zanim zgłosił się operator. Mimo to owo czarne pudełko znamionowało ogromny skok do przodu. Kontakt telefoniczny

z bankiem w Szczecinie i fabryką zapalek był bardzo ważny. Fabryka nie została jeszcze zamknięta, jak życzył sobie tego Ascher. Bernhard zdawał sobie sprawę, że w pewnym momencie będzie musiał wypełnić tę klauzulę testamentu, a matka przypominała mu o tym od czasu do czasu. Ale jak długo nie wywierała na niego nadmiernego nacisku, odsuwał w czasie poczynienie jakichkolwiek kroków. Interes przynosił mu wymierne profity, nie chciał więc z nich rezygnować. Oczywiście firma była w dobrej kondycji, nawet bez fabryki zapalek.

Handel zbożem przynosił pokaźne zyski, a tartaki działały bez strat. Ale prawdziwą pasją Bernharda były operacje finansowe. W przeciwieństwie do ojca nie kupował akcji przedsiębiorstw kolejowych ani przemysłowych. Zwyczajnie brakowało mu cierpliwości, aby czekać całymi latami na zyski z inwestycji. Zamiast tego skorzystał z propozycji banku i wziął kredyt na niewielki procent, zarezerwowany dla uprzywilejowanych klientów, takich jak on, i obracał tymi środkami - pożyczając je innym kupcom, którzy musieli mieć płynne aktywa, i czerpał zysk z różnicy w wysokości odsetek. Były to delikatne operacje, które wymagały nie tylko ogromnej dyskrecji, ale i wyważenia wszelkiego rodzaju ryzyka. Bernhard znał się na swym fachu i wszystko szło gładko.

Z mieszkanką humoru i szacunku pracownicy nazywali go „maestro pomnażania“. Czytał zestawienia bilansowe, tak jak inni pochłaniali powieści detektywistyczne. Nie zrażały go najbardziej skomplikowane kalkulacje. Nawet w noc sylwestrową siedział w swoim gabinecie, studiując kolumny cyfr. Siegfried wszedł do pokoju i rzekł zdumiony:

- Jutro zaczyna się dwudziesty wiek, ojcze, a ty tu, niemal po ciemku, jakby to był zwykły wieczór.

Bernhard nawet nie podniósł wzroku. Wzruszył lekko ramionami i odparł:

- Dziękuję. Mam kalendarz.

Dwudziesty wiek zapowiadał się obiecująco. W Polzin uczczono jego nadejście świętem piwa w piwiarni przy rynku. Orkiestra dęta spisała się na medal, wino i mocne trunki ożywiły atmosferę, a o północy wzniesiono kieliszki za cesarza, który obiecał Rzeszy świetlaną przyszłość, „miejsce pod słońcem“, jak brzmiał górnołotny slogan. Dziesięć lat wcześniej zwolnił Bismarcka ze stanowiska kanclerza i ogłosił „osobisty reżim“. Stary kanclerz, który był nieocenionym wsparciem dla poprzedników Wilhelma, osiadł w swym majątku Friedrichsruh w lasach Saksonii. Rozgoryczony i odcięty od wydarzeń politycznych zmarł tam w 1898 roku. Bleichröder zmarł pięć lat przed nim. Pokolenie Aschera i Moritza Gottschalka odeszło.

Na pozór Niemcy wydawały się silniejsze niż kiedykolwiek. Wilhelm II pragnął uczynić Rzeszę wielką potęgą i zlecił ministrowi do spraw marynarki Rzeszy Alfredowi von Tirpitzowi stworzenie potężnych sił morskich. Program budowy floty został wcielony w życie. Stocznie Hamburga i Szczecina pracowały pełną parą, a ludzie krzepili się poczuciem militarnej przewagi. Tłumy wiwatowały, gdy cesarz ogłosił publicznie: „To żołnierz i armia, a nie większości parlamentarne i ich decyzje są twórcami zjednoczenia Rzeszy Niemieckiej“.

Polityce niemieckich zbrojeń przyglądano się z wielkim niepokojem. Bez Bismarcka, który zonglował polityką, tak aby zapewnić równowagę sił w Europie, cesarz nie mógł stłumić obaw brytyjskiej Admiralicji. Admirał John Arbuthnot, lord Fisher of Kilverstone, ukuł słynne powiedzenie: „Musimy skopenhagować niemiecką flotę“, co było odniesieniem do zniszczenia przez Nelsona w 1801 roku duńskiej floty atakiem z zaskoczenia. Wielka Brytania nie zamierzała tolerować innej europejskiej potęgi morskiej. Ale Niemcy nie bali się Anglików. „Francuskie niebezpieczeństwo“ także zdawało się już należeć do przeszłości. Carska Rosja wkrótce miała ponieść ostateczną klęskę w wojnie z Japonią, a potem z największym trudem pokonywać problemy wewnętrzne. Austria stanęła w obliczu nowego kryzysu na Bałkanach, tym razem w Serbii. Rzesza czuła się bezpieczna i stąd brały się przesadzone fantazje o własnej potędze: „Deutschland, Deutschland, über alles“.

Nikt nie dostrzegał złowieszczych zwiastunów nadchodzącej grozy dwudziestego wieku. Stłumienie powstania bokserów przez siły europejskie odbyło się z nieznanym dotąd okrucieństwem. W Afryce Południowej, gdzie rozpetęła się wojna burska, powstał pierwszy na świecie obóz koncentracyjny. Wywołany przez niemiecką politykę morską dynamiczny wyścig zbrojeń objął całą Europę, co w rezultacie doprowadziło do wybuchu pierwszej wojny światowej. Oznaki niepokoju społecznych były widoczne także w Rzeszy. Stało się jasne, że naród nie jest w żadnym razie tak zjednoczony, jak się na pozór wydawało. Poszczególne grupy społeczne oddalały się od siebie - cesarz wciąż polegał na tradycyjnej arystokracji, a rosnąca klasa przemysłowa ciągnęła w przeciwnym kierunku.

Groźba konfliktu nadal ukryta była pod sukcesami. Naród niemiecki dopiero co się zjednoczył. Czuł się niezwyciężony i mógł pochwalić się wspaniałymi osiągnięciami gospodarczymi. Na wystawie światowej w Paryżu odwiedzające ją tłumy oglądały ze zdumieniem gigantyczne maszyny wyprodukowane przez Siemens, Mannesmana i Kruppa. Mniej więcej w tym samym czasie niemiecki Żyd o nazwisku Tietz stworzył w Berlinie duży dom towarowy, tworząc zupełnie nowe standardy handlu detalicznego. Albert Ballin, inny niemiecki Żyd i czołowy hamburski armator, stał się powiernikiem i tajnym radcą cesarza. Plotka głosiła, że Ballin miał zostać mianowany ministrem, ale w ostatniej chwili cesarz zmienił zdanie - jego wysokość zwyczajnie nie mógł się pogodzić z myślą, że w jego gabinecie znalazłby się przedstawiciel wyznania mojżeszowego.

Ballin najpierw próbował szczęścia w produkcji barwników dla zakładów włókienniczych i w przemyśle węglowym, ale bez powodzenia. Prawdopodobnie pozostałby nieznanym i nie miałby żadnych wpływów, gdyby nie pewien prosty pomysł, jakim było założenie biura podróży dla dziesiątków tysięcy żydowskich uchodźców uciekających przed pogromami w Europie Wschodniej do Ameryki. Ci zubożali ludzie z Rosji, Rumunii, Litwy i Polski przynieśli mu ogromny majątek i powszechne uznanie. Jego statki czekały na uchodźców w portach Hamburga i Szczecina, aby przewieźć ich przez ocean. Część tego strumienia uciekinierów podróżowała przez Pomorze i jak to się zdarzało wcześniej, niektórzy postanowili pozostać w Europie.

Bernhard Levy przypatrywał się temu z niesmakiem. Kiedy jeden z takich nieszczęśników zapukał do jego drzwi w poszukiwaniu pracy, z miejsca go odprawił. Poleciał pisemnie swym pracownikom, aby w żadnym wypadku nie przyjmowali uchodźców z Europy Wschodniej ani osób niebędących obywatelami Rzeszy. Nie wspierał datkami organizacji dobroczynnych, które się nimi zajmowały, nie popierał też apelu liberalnych Żydów o germanizację uchodźców. Podobnie jak ojciec, on także uważał wschodnioeuropejskich Żydów za obcy i kłopotliwy element. Podejrzał, że podsycą istniejący już antysemityzm, popierając syjonistyczny ruch Teodora Herzla. Na koniec gruntownie zrujnują „przyjemność, jaką czerpał ze swej miłości do ojczyzny“.

- Nie czuję żadnej wspólnoty z uchodźcami z Polski czy z Rosji - powiedział pewnego razu do Leo. - Nie mówią naszym językiem, nie myślą tak jak my. W krajach, z których pochodzą, nigdy nie byli obywatelami mającymi prawa i obowiązki, jak my tutaj. Dlatego nigdy nie zrozumieją naszego bliskiego związku z Rzeszą i naszej lojalności wobec cesarza.

Wyraźnie wyłożył swojemu synowi Siegfriedowi powody, dla których w żadnym wypadku nie należy dawać pieniędzy na wsparcie dla uchodźców, którzy nie chcą wyjechać do Ameryki:

- Mamy własne problemy. Musimy przede wszystkim poświęcić się tym, którzy urodzili się w Niemczech, oddychają niemieckim powietrzem i wyrosli w kulturze bliskiej naszym sercom. Oni także są w potrzebie. Nie, nie w znaczeniu materialnym. Mam na myśli ludzi w twoim wieku, naszych synów, którzy walczą o swoje miejsce w społeczeństwie i skłonni są porzucić judaizm, aby je znaleźć. Pod tym względem idę ścieżką, którą stąpał mój ojciec, a twój dziadek. Jestem gotów hojnie wspierać ich edukację.

- Czasem mam poczucie, papo, że jesteś zbyt szczodry ze swymi darowiznami.

Bernhard nic nie odpowiedział. Podszedł do regału z książkami, wyjął tom Talmudu i spytał:

- Czytałeś to kiedykolwiek? Siegfried milczał.

- Oczywiście, że nie. Po co ja pytam. Miłość do Ziemi Świętej zaszczerpił we mnie mój ojciec. Ale zdaje się, że jestem ostatnim ogniwem w tym łańcuchu. Nie interesuje cię to, co naprawdę ważne. Leo także odciął się od naszego duchowego dziedzictwa.

Bernhard przekartkował księgę, znalazł fragment, którego szukał, i zagłębił się w nim. Następnie zamknął tom, jednym palcem zaznaczając miejsce między kartkami, i zaczął recytować:

- Dziesięć jest rzeczy mocnych na świecie: skała - ale żelazo może ją przeciąć; żelazo - ale ogień może je stopić; woda - ale chmury mogą ją wchłonać; chmury - ale wiatr może je rozgonić; wiatr - ale ciało mu się opiera; ciało - ale strach może je złamać; strach - ale wino może go przegnać; wino - ale sen może wyprzeć jego działanie; lecz śmierć jest najmocniejsza z nich wszystkich, a mimo to jest napisane: Dobroczynność oddala śmierć.

Kiedy skończył, spojrzał na syna. Lekki uśmiech błąkał się po ustach Siegfrieda.

- Bardzo imponujące - rzekł i dodał pospiesznie: - Ale nieco staroświeckie.

Bernhard wyduł wargi. Siegfried był jego synem, ale znów jabłko upadło daleko od jabłoni. Czasem zadawał sobie pytanie, gdzie popełnił błąd. Ale z prostego powodu nie potrafił znaleźć na nie odpowiedzi - był przekonany, że nigdy nie popełnił żadnego błędu. Nikt z jego otoczenia nigdy nie ośmielił się mu sprzeciwić. Jedynie zachowanie Siegfrieda czasem sprawiało, że zamyślał się nad tym. Lecz wkrótce wracał do spraw bieżących, co było o wiele łatwiejsze niż borykanie się z pytaniami, które mogły podważyć jego obraz samego siebie.

Powściągliwy, spokojny i praktyczny Leo sprawiał mu mniej kłopotów. Odziedziczył wiele cech ojca, szczególnie ambicję i determinację, ale także upór. Jego nieustępliwość objawiła się po raz pierwszy, gdy Bernhard wybrał dla niego studia prawnicze, tak jak dla Ernsta, albo ekonomiczne. Gdy ojciec wezwał go do siebie, aby poważnie porozmawiać na ten temat, Leo gwałtownie zaprotestował:

- Przykro mi, papo. Ani prawo, ani ekonomia zwyczajnie mnie nie interesują.

- Czasy się zmieniły, Leo. Teraz nie da się prowadzić firmy działającej w wielu obszarach bez specjalistycznego wykształcenia.

- Nie interesuje mnie bycie kupcem, handel drewnem ani prowadzenie tartaków.

- Chcesz, żeby firma upadła, kiedy umrę?

-Daj spokój, ojciec... Jesteś wciąż młody. Życie przed tobą. A poza tym mam dwóch braci i dwie siostry.

Bernhard nie spodziewał się sprzeciwu. Miał właśnie wykorzystać swój cały autorytet, aby narzucić swoją wolę synowi, gdy do rozmowy włączyła się Henriette.

- Jesteś zupełnie jak Sigi. Prawo i ekonomia ci nie odpowiadają. Co zatem cię interesuje?

- Chemia - odparł Leo.

- Chemia? - zdumiał się Bernhard. - To dla mnie coś nowego.

- Ale nie dla mnie, papo. Nigdy cię nie obchodziły moje zainteresowania, nigdy mnie nie słuchałeś. Od zawsze interesowała mnie chemia. Problem w tym, że to nigdy nie było dla ciebie ważne.

- Nie bądź impertynencki wobec ojca.

- Nie jestem impertynencki, mamu. Nauczyłaś mnie, żeby zawsze mówić prawdę. A to absolutna prawda.

- A co zamierzasz robić jako chemik? Zatrudnić się w jakimś przedsiębiorstwie?

- A co w tym strasznego? Miałbym laboratorium i zajmował się prowadzeniem eksperymentów.

- Naukowiec w rodzinie Levych - zakpił Bernhard i spojrzał na żonę.

Ale Henriette miała poważną minę.

- Wiesz, Leo, my lubimy wszystko dokładnie sprawdzić. Mam nadzieję, że twój ojciec się ze mną zgodzi. Może studia chemiczne nie są takim złym pomysłem. Być może uda nam się znaleźć kompromis między interesami rodziny a twoimi.

- Do czego zmierzasz? - spytał Bernhard ostrożnie, jakby obawiał się pułapki.

- Zaraz się przekonasz. Przypuścimy, że sfinansujemy studia Leo... Chwileczkę, nie unoś się, Beri... Pozwolimy mu, żeby wyuczył się takiego zawodu, jaki mu odpowiada. Ale uznamy to za umowę handlową. Dokonamy inwestycji, która i nam przyniesie zyski.

- Nie do końca rozumiem, mam - pospiesznie wtrącił Leo.

- Cierpliwości. Proponuję, żebyśmy pozwolili ci studiować chemię. W zamian za to, Leo, musisz wrócić do Polzin i podjąć pracę w firmie. Czy to nie jest sprawiedliwe?

- Firma nie potrzebuje chemika, ale handlowca - sprzeciwił się Bernhard. - Nie zbudujemy tu laboratorium, aby odkryć kamień filozoficzny.

- Jest inne rozwiązanie - rzekł Leo. - Mógłbym zająć się innymi kamieniami. Na wzgórzach w Gramenz⁴⁵ są pokłady wapienia. Teren ten nie nadaje się pod uprawy czy zalesianie, poza tym należy do państwa. Moglibyśmy wydzierżawić go po korzystnej cenie. To idealne miejsce na zakłady wapiennicze. A czy zbuduję fabrykę, czy będę robił coś innego w naszej firmie, jest z pewnością nieistotne.

Bernhard zerknął najpierw na syna, a następnie na żonę.

- Czy wy uknuście ten spisek za moimi plecami? - spytał, bardziej zaskoczony niż rozgniewany.

Leo uśmiechnął się szeroko.

- To dobre rozwiązanie, nie uważasz, papo? Bernhard milczał przez chwilę, po czym podszedł do Leo, objął go i mruknął:

- Niech cię Bóg błogosławi. Mam nadzieję, że to dobry układ.

W środku lata Leo opuścił Polzin. Przyjął go na uniwersytet w Heidelbergu i szybko został jednym z wyróżniających się studentów. Gdy po ukończeniu studiów wrócił do domu, przywiózł nie tylko tytuł doktora, ale i niespodziankę o imieniu Else Frensdorf.

Else, pochodząca z szanowanej starej religijnej rodziny żydowskiej z Hanoweru, spędzała wakacje u krewnych w Szczecinie. Leo także często bywał w tym mieście. Podczas jednej z tych wizyt poznał Else w domu Louisa i Anny Lewych. Louis był bratankiem Moritza Gottschalka, a jego dom przy Friedriech-Karl-Strasse, szerokiej, ocienionej drzewami alei, był miejscem spotkań wszystkich członków rodziny rozproszonej po całych Prusach. Louis zarabiał na życie, sprzedając ubrania robocze, szyte na zlecenie przez szwaczki. Jego żona Anna, drobna, energiczna i reżolutna kobieta, była nauczycielką. Poza tym była też szanowaną pieśniarką, miała w repertuarze świeckie piosenki. W wolnym czasie poświęcała się również dobroczynności. Bernhard znał ich styl życia, a kiedy odkrył, że Anna ma związek z tym sziduchem, serdecznie powitał przyszłą synową. Dokupił kolejne pokoje w domu przy Promenadzie Bismarcka, gdzie mieszkała rodzina, i podarował je młodej parze jako prezent ślubny.

Rodzina Levych zajmowała teraz całe piętro, łącznie tuzin pokoi. Aż do lat trzydziestych, gdy historia tej rodziny na ziemi niemieckiej miała dobiec końca, piętro budynku było domem wszystkich Levych w Polzin. Przez lata zachodziły tam zmiany, burzono ściany i stawiano nowe, dobudowywano balkony i toalety, aby sprostać wymaganiom powiększającej się rodziny. Ale pokoje kupione dla Leo i Else stały puste przez długi czas, bo Leo poślubił Else dopiero w 1913 roku, gdy skończył trzydzieści lat.

Pięć lat wcześniej Ernst ożenił się z Käthe Levy, córką jego stryja Juliusa. Młoda para udała się na miesiąc miodowy do Paryża. Była to ekstrawagancja nie do pomyślenia w poprzednim pokoleniu. Brat Käthe, Rudolf, służył im za przewodnika. Przeniósł się do

⁴⁵ Obecnie: Grzmiące (koło Polczyna Zdroju).

Francji jeszcze w 1903 roku i starał się osiągnąć sukces jako malarz. Gdy się z nim pożegnali, nie wrócili do Polzin, ale osiedlili się w Berlinie. Tam Ernst ukończył nauki i zatrudnił się w kancelarii jako młodszy współpracownik, a jego ambitnym celem było objęcie urzędu sędziego.



Ida Levy, Gdańsk 1902 r.

Niedługo po tym Lina wyszła za Karla Wilhelma Hamburgera. Wtedy przyszła kolej na najmłodszą córkę. Ida uczyła się w Berlinie w żydowskiej szkole z internatem dla dziewcząt z dobrych domów. Hołdowała stylowi życia stolicy, ku dezaprobowaniu rodziców. Ida ubóstwiała ogromne niczym koła dorożki kapelusze ozdobione kwiatami, modne ubrania i błyskotki. Gdy znalazła się poza zasięgiem wzroku rodziny i nauczycieli, robiła mocny makijaż i używała perfum. Przyjaciele pisali do Polzin, że widywano ją w nocnym klubie w paryskim stylu, znanym jako miejsce spotkań pisarzy, poetów, malarzy i innych „szemranych“ typów. „Ta podejrzana spelunka znajduje się pod stałą obserwacją policji i z pewnością nie jest to odpowiednie miejsce dla młodej kobiety z dobrego domu“, donosili. Bernhard i Henriette zaczęli się niepokoić. Nic dziwnego, że postanowili, iż najwyższy czas wydać Idę za mąż.

Nieprzypadkowo wybór padł na Paula. Od tamtego wydarzenia na peronie w Polzin, w dniu odczytania testamentu Aschera, kuzyni pisywali do siebie. Gdy Ida dorastała, korespondencja przypominała coraz bardziej dialog między mężem a żoną. Bernhard pojechał więc do Gdańska na spotkanie z bratem, aby uzyskać jego zgodę na sziduch.

Paul skończył inżynierię i wróżyła mu wspaniałą karierę. Rzesza Niemiecka nadal miała oko na Orient i próbowała uszczknąć pokaźny kawałek osłabionego imperium osmańskiego. Większe przedsiębiorstwa i koncerty były zainteresowane rozbudową linii kolejowych, aby muzułmańscy pielgrzymi mogli podróżować z Damaszku do Mekki i Medyny. Paul wkrótce miał wyruszyć do Syrii z grupą inżynierów i konstruktorów.

Julius się wahał.

- To życiowa szansa dla młodego inżyniera. Chciałbym, żeby z niej skorzystał.

- Małżeństwo z Idą także jest życiową szansą - odparł Bernhard. Bracia uśmiechnęli się do siebie.

Julius mimo to miał wątpliwości.

- Obawiam się, że życie na Pustyni Syryjskiej i Półwyspie Arabskim w roli żony inżyniera nie spodoba się Idzie. Słyszałem, że to kobieta, która - jak by to powiedzieć - docenia wygodę i uroki życia.

- Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że członkowie rodziny Levych są twardzi i odporni.

- Nawet córki Levych?

- Będzie posłuszna, a czas zrobi swoje. My też nie poślubiliśmy naszych żon z romantycznych pobudek.

- Mów za siebie, Beri.

- Prawda, zapomniałem. Mimo to...

- Nie martwią cię więzy krwi? - spytał Julius. - Najpierw moja córka Käthe wychodzi za twój syna Ernsta, a teraz Ida z jednym z moich synów?

- Jak długo nie mieszamy mleka z mięsem, nie widzę żadnego problemu. Halacha dopuszcza zawieranie małżeństw między kuzynami drugiego stopnia. A skoro już poruszyliśmy ten temat, Henriette mówiła mi, że nawet królowie i księżęta nie stronią od małżeństw między krewnymi. Praktycznie wszystkie rody królewskie w Europie są ze sobą spokrewnione.

- Przekonałeś mnie - roześmiał się Julius. - Paul z Idą powinni wieść królewskie życie.



Käthe, Rudolf i Paul Levy, Gdańsk 1882 r.

Bracia przypieczętowali sziduch uściskiem dłoni. Po kolacji usiedli, aby omówić szczegóły finansowe. Dopiero następnego ranka Julius spytał o zdanie syna. Paul uznał propozycję za rozkaz, któremu nie ośmielił się sprzeciwić.

W tym samym roku, 1908, Ida zaprosiła do domu na koniec tygodnia Lisbeth Naphtali, przyjaciółkę z internatu. Lisbeth, która pochodziła z Schweidnitz⁴⁶ z Dolnego Śląska, była o

⁴⁶ Obecnie: Świdnica.

sześć lat młodsza od Siegfrieda i bardzo dojrzała jak na swój wiek. Nie była szczególnie ładna, ale miała cechy, które Bernhard uważał za pożądane u żony. Widział w niej kobietę mającą praktyczne podejście do życia, której przyziemne nastawienie zrównoważyłoby nieodpowiedzialną naturę Siegfrieda, i bez wahania dał młodej parze swoje błogosławieństwo. Ceremonia odbyła się dziewiątego czerwca 1908 roku, a nowożeńcy postanowili zamieszkać w Szczecinie.

Teraz, gdy wszystkie dzieci już się ustatkowały, Bernhard poświęcił całą uwagę rozbudowie firmy. Uczył Leo „ministrem spraw zagranicznych“. Aby uzyskać kwalifikacje do prowadzenia firmy, syn musiał przejść ciężką szkołę. Nieustannie podróżował w interesach, od miasteczka do miasteczka, od wioski do wioski, od lasu do lasu. „Ja też tak zaczynałem. Wierz mi, to najlepszy sposób“, przekonywał go Bernhard. Leo wykonywał swoje obowiązki ku zadowoleniu ojca. Ale wyraźnie zrobił się hardy. Nigdy otwarcie nie mówił, co myśli, nie narzekał, nawet do Else. Ona doskonale rozumiała męża, wiedziała, jak trudne jest dla niego negocjowanie umów. On chciał jedynie odkrywać tajemnice chemii, każda komórka jego ciała pragnęła poświęcić się pracy naukowej. Uwięziony w firmie ojca zamknął się w sobie i coraz mniej wychodził do świata. Stracił umiejętność nawiązywania kontaktów z otaczającymi go ludźmi. Później oddalił się także od własnych dzieci. Choć ten proces postępował na oczach Else, nie widziała sposobu, aby cokolwiek zmienić. Była bardzo bystrą i dbającą o rodzinę kobietą, robiła więc wszystko, co w jej mocy, aby wczuć się w sytuację męża, zamiast rzucać mu wyzwania. Leo bardzo ją za to cenił. Oboje dbali, aby ich związek pozostawał w stanie równowagi. Wiedli razem spokojne życie bez zbędnych uniesień, w którym wszystko było zaplanowane do ostatniego szczegółu i nieco pozbawione polotu, ale za to obywatelstwo się bez kryzysów małżeńskich i wstrząsów.

Na początku dwudziestego wieku Polzin liczył sześć tysięcy mieszkańców, wśród których było czterdzieści rodzin żydowskich. Trzymały się one jednak na dystans od rodziny Levyh, aby mieszkańcy miasteczka nie utożsamiali ich z „wyzyskiwaczami“. Niewiele to obchodziło Bernharda i jego synów. W każdym razie ich majątność i pozycja społeczna stworzyły przepaść między nimi a innymi Żydami z miasteczka. Spotykali się jedynie w Szabat i święta, szczególnie w sederowy wieczór w Pesach, gdy Bernhard zapraszał żydowskich dygnitarzy z Polzin.

Tymczasem Leo i Siegfried także zostali współwłaścicielami firmy. Gdy Siegfried poślubił Lisbeth, Bernhard przepisał mu jedną trzecią wartości przedsiębiorstwa. Na drugi dzień po weselu, ku jego zdziwieniu, Siegfried przyszedł do niego z propozycją zrobienia interesu. Chciał dołączyć posag żony do majątku firmy, tym samym zwiększając swój udział do pięćdziesięciu procent. Bernhard przystał na to i tym samym najmłodszy syn stał się jego równorzędnym partnerem. Gdy pięć lat później Leo założył rodzinę, Bernhard podobnie przekazał mu jedną trzecią firmy, zachowując dla siebie szesnaście i siedem dziesiątych procent udziałów. Każda z dziewcząt otrzymała posag w gotówce. Gdy rozdzielił już środki według własnego życzenia, zajął się działalnością publiczną. Najpierw wybrano go do rady miejskiej, w której zajął stanowisko zmarłego ojca. Ponadto wspierał żydowskie organizacje dobroczynne, pod warunkiem że nie popierały syjonizmu.

Niemieccy Żydzi byli wciąż podzieleni, niezdolni do stworzenia jednolitego frontu nawet przeciwko wspólnemu wrogowi, jakim był antysemityzm. Syjoniści przedstawili rozwiązanie - stworzenie państwa Izrael. Ale członkowie Centralnej Organizacji Niemieckich Obywateli Wyznania Żydowskiego (Centralverein deutscher Staatsbürger jüdischer Glaubens) wybierali drogę asymilacji, integracji z życiem publicznym i przystosowanie do niemieckiej kultury przy jednoczesnym przestrzeganiu podstawowych zasad żydowskiej religii. Te przeciwne obozy w artykułach publikowanych w „Die Allgemeine Zeitung“ i „Die Jüdische Rundschau“ atakowały się tak zajadle, że czasem nawet antysemita wykorzystywali zamieszczane w żydowskich gazetach artykuły, aby poprzeć własną sprawę. Antyżydowska

polemika stała się pożytecznym narzędziem w politycznej intrydze. Politycy centrum i partii prawicowych głośno narzekali na rzekome przejęcie przez Żydów różnych gałęzi przemysłu i zawodów i walczyli przeciwko tej niebezpiecznej ekspansji. Zwolennicy antysyjonistycznego obozu żydowskiego zareagowali gwałtownie na groźbę zepchnięcia ich znowu na boczny tor. Nie było to jedynie zagrożenie dla ich materialnego bytu czy praw obywatelskich. Jakakolwiek przeszkoda w działalności Żydów w urzędach państwowych jako prawników czy lekarzy groziła zniszczeniem fundamentów, na których opierało się ich życie. Wiele osób jednak to dotknęło. Gdy Ernst opuścił kancelarię, w której był współnikiem, aby założyć własną, chciał świadczyć również usługi notarialne. Jednakże pruski minister sprawiedliwości wystąpił o ograniczenie liczby notariuszy wyznania mojżeszowego. Gdy wieść o tym dotarła do Polzin, Bernhard tak pisał do swego syna:

„Mój drogi Ernście,

słyszałem o walce żydowskich prawników z departamentem sprawiedliwości. Działania ministra sprawiedliwości nie można zwyczajnie zignorować, ponieważ jest to dla nas sprawa najwyższej wagi. Przez pięćdziesiąt lat walczyliśmy o otwarcie bram żydowskiego getta, a teraz, gdy stoją otworem i chcemy wyjść, nie mogą nam powiedzieć: «Bardzo nam przykro, ale wszystkie miejsca są zajete». Niedawno zrezygnowano z zatrudnienia żydowskiej nauczycielki, podając jako powód to, że chrześcijańscy rodzice nie życzyliby sobie, aby uczyła ich dzieci. Znam ją osobiście i wiem, że jest lepszą i bardziej lojalną obywatelką niemiecką niż wielu chrześcijańskich Niemców. Tu, w Polzin, także od czasu do czasu można odczuć, że zajmujemy zbyt wiele ważnych stanowisk w porównaniu z tym, jaki stanowimy odsetek ludności. To absolutnie naganne podejście i musimy z nim walczyć z całym sił. Nie mamy żadnych dodatkowych praw z powodu naszej religii, ale nie możemy pozwolić na żadne naruszenie tych, które nam przysługują. My nie prowadzimy rejestru arystokratów, którzy zdobyli wysokie pozycje w armii, nie ma więc żadnego powodu, aby w taki sposób ustalać procent niemieckich Żydów w zawodzie prawnika. Obowiązków obywatelskich, miłości do ojczyzny i lojalności wobec Korony nie da się zmierzyć w procentach. Jak długo nasze sumienia jako poddanych tego państwa są czyste, musimy mieć równe prawa i obowiązki. Mam nadzieję, że nigdy nie odstąpisz od tych zasad i będziesz postępował zgodnie z nimi, z pomocą boską.

Serdeczne pozdrowienia dla Käthe,

Twój papa“.



Ernst Levy, Berlin 1931 r.

Bernhard nie był naiwny i miał świadomość, że nawet największa elokwencja jest mizernym substytutem pozytywnego działania. Poglądy skłoniły go do wsparcia partii narodowo-liberalnej okazałymi darowiznami pieniężnymi. Narodowi liberałowie reprezentowali wykształconych właścicieli nieruchomości i starali się połączyć starą majątną klasę junkrów z bogaczącymi się właścicielami fabryk. Bernhard nie znosił socjaldemokratów, choć w polityce wewnętrznej byli zwolennikami tolerancyjnej linii w stosunku do wszystkich religii, nawet Żydów. Jednak ich cele były sprzeczne ze wszystkimi zasadami, które wyznawał. Był zamożny, wierzył w historyczną misję Niemiec i nienawidził wszystkiego, co miało skłonność do zbaczania w lewo. Jego darowizny dla partii narodowo-liberalnej nie pozostały tajemnicą i nastawiły mieszkańców miasteczka przeciwko niemu. Mieszkańcy Pomorza byli konserwatystami od niepamiętnych czasów, a ich głosy rozdzielały się równo między partię centralną a partię niemieckich konserwatystów. Ta ostatnia chciała zakończyć imigrację do Rzeszy, ograniczyć liczbę Żydów w urzędach państwowych, zabronić im awansu w armii, a nawet zlikwidować żydowskie gazety. Siegfried nie krył dezaprobaty.

- Dziadek nigdy nie angażował się w politykę. Wiedział, że trzeba się trzymać od niej z daleka, ponieważ nie służy to interesom - twierdził.

Był wczesny ranek, ludzie nie przyszli jeszcze do pracy, ale Bernhard już dyskutował ze swymi synami. Mimo że biura otwierano o ósmej, rodzina zaczynała pracę o siódmej, a czasem nawet wcześniej. Dziś omawiali ważną umowę, która nie doszła do skutku, ponieważ naczelnik Urzędu Pocztowo-Telegraficznego nie pozwolił ich firmie złożyć oferty na dostawę słupów telegraficznych. Poprzedniego dnia Siegfried udał się do Köslin, aby porozmawiać z osobą, która podjęła tę decyzję, i zapytać o przyczyny.

- Z początku myślałem, że nie zezwala nam na złożenie oferty, ponieważ jesteśmy żydowskim przedsiębiorstwem - relacjonował. - Zaprosiłem go do restauracji i rozmawialiśmy sobie otwarcie. Odniosłem wrażenie, że przyczyną było twoje wsparcie dla narodowych liberałów. Ten człowiek pochodzi z junkierskiej rodziny i jest zagorzałym konserwatystą.

Bernhard oparł łokcie na stole, ujął głowę w dłonie i zamyślił się.

- Mówisz, że zaprosiłeś go na obiad?

- Tak, dobry posiłek pomaga w rozwiązywaniu problemów.

- Jadłeś z nim?

- Oczywiście - odparł Siegfried i natychmiast pożałował, że nie trzymał języka za zębami. Ojciec zastawił na niego pułapkę, a teraz było za późno, żeby się wycofać.

Spokojnym, ale ostrym jak brzytwa głosem Bernhard powiedział:

- Czyli jadłeś trefne.

- Nie miałem wyjścia, papo.

- Jadłeś trefne, a mimo to masz czelność robić mi wyrzuty.

- Wiesz, że z reguły bardzo się staram przestrzegać kaszrutu.

- To nieprawda, Sigi. Jeszcze w Londynie łamałeś prawa żywnościowe. Mr Moeller powiadomił mnie o tym i pytał, jak ma się zachować. Do dziś żałuję, że nic z tym nie zrobiłem.

- Ten posiłek miał pomóc w interesach. Twoje postępowanie za to nie pomaga.

- Lepiej kogoś urazić, niż złamać święte przykazania judaizmu.

- Twoje poglądy są wyjątkowo staroświeckie, papo. A może...

- Tak? - spytał Bernhard, a w jego głosie słychać było ostrzegawczy ton.

- Może świat interesów nie jest już dla ciebie - powiedział Siegfried, kończąc zdanie. Zrobił taką aluzję, bo udział Bernharda w firmie był już minimalny.

Leo milczał do tej pory. Teraz ruszył ojcu na ratunek.

- Uważaj, co mówisz - rzekł. - Nie zaszкодziłoby ci pomyśleć, zanim otworzysz usta.

Siegfried starał się go uspokoić. Ale Leo nie zamierzał odpuścić. Dla niego także żydowska tradycja była ważniejsza niż jakakolwiek transakcja. Miał zamiar nigdy jej nie zdradzić.

- Nieuczciwość wobec Boga równa się nieuczciwości wobec rodziny - stwierdził sucho.

- Oskarżasz mnie o nieuczciwość? - spytał rozwścieczony Siegfried.

- Jesteś dość bystry, żeby sam wyciągnąć wnioski - odparł Leo - a teraz wybac mi, proszę, ale mam umówione spotkanie.

- Ja również mam spotkanie. - Teraz Siegfried zaczął się spieszyć. - Do widzenia, papo. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Nie chciałem cię zdenerwować.

Bracia opuścili biuro, a odgłos ich kroków powoli ucichł. Bernhard wstał i podszedł do okna. Na niebie zbierały się szare chmury, na ulicy nie było żywego ducha.

Nie wspomniano już ani słowem o porannym incydencie. Zarówno Bernhard, jak i jego dwaj synowie zachowywali się tak, jakby nic się nie stało. Aby utrzymać spokój w domu, Bernhard i Siegfried unikali walki o pozycję i otwartego konfliktu. Wtedy wydarzyło się w małżeństwie Siegfrieda coś, przez co jego ojciec zapomniał o wszelkich urazach.

Po około roku małżeństwa Lisbeth oświadczyła Siegfriedowi:

- Chyba jestem w ciąży.

Henriette, która natychmiast się o tym dowiedziała, poradziła synowej, aby wybrała się na wizytę do doktora Stutza. Lekarz dokładnie ją zbadał, ale zasugerował, żeby udała się na dalsze badania ginekologiczne do Szczecina.

- Czy coś się dzieje, doktorze? - zaniepokoiła się Lisbeth.

- Nie, ale sama pani rozumie, doświadczenie medyczne zdobywałem, lecząc marynarzy, a żaden z nich nigdy nie był w ciąży. Pani potrzebny jest specjalista.

Siegfried i Lisbeth nie tracili czasu. Siegfried umówił się ze swoim radcą prawnym, doktorem Marcuse, a dla Lisbeth zamówiono wizytę u ginekologa. Lekarz starannie ją zbadał, po czym oświadczył, że powinna zacząć przygotowywać kołyskę i pieluszki, ponieważ jest już w trzecim miesiącu ciąży. Lisbeth była wniebowzięta. Pobiegła, aby przekazać mężowi radosną nowinę. W pośpiechu potknęła się na schodach i upadła. Przechodnie pomogli jej wstać. Ale przeszywający ból zmusił ją, by usiadła. Wezwano doktora, który zaprowadził ją do gabinetu. Nie zdążył jej nawet zbadać, gdy na leżance pojawiła się krew.

- Obawiam się, że straciła pani dziecko - powiedział cicho i polecił pielęgniarce, aby zawieziono ją do szpitala.

Po tym zdarzeniu Lisbeth konsultowała się u wielu specjalistów. Lekarze badali ją i kręcili głowami. Zażywała kąpieli leczniczych, zanosila do nieba błagalne modły, pytała o radę kobiety w podobnej sytuacji, ale wszystko na próżno. Trzydziestego pierwszego lipca 1914 roku, po kolejnej wizycie u specjalisty w Berlinie, w końcu zmuszona była zaakceptować gorzką prawdę. Wszelkie dalsze próby były daremne. Nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Siegfried odebrał ją z gabinetu. Pojechali tramwajem na dworzec, chcąc zdążyć na ostatni pociąg z Berlina do Polzin, z jedną przesiadką w Köslin.



Lisbeth Levy z d. Naphtali i Siegfried Levy

Wszystkie miejsca w drugiej klasie były zarezerwowane, musieli więc podróżować pierwszą klasą. Siedzenia były miękkie, obite tkaniną w brązowo-czarne pasy. Lisbeth i Siegfried usiedli przy oknie bez słowa. Pociąg ruszył ze stacji i mijał niekończące się łąny ziemi. Siegfried obserwował przemykające słupy telegraficzne. Lisbeth otworzyła książkę, ale litery skakały jej przed oczami. Po chwili odłożyła ją na kolana. Cisza wprawiała ją w przygnębienie.

- O czym myślisz?
- Ja? Och, o niczym. Oglądam krajobrazy.
- To była nasza ostatnia nadzieja, prawda?
- Przestałem się już tym martwić, Lisbeth. Wszystko w rękach Boga.
- Mówisz jak twój ojciec - oburzyła się. - Lekarze nie potrafią mi pomóc, modlitwy też nie.
- To nie ma żadnego znaczenia.
- Wiesz, że to nieprawda.
- Dlaczego miałbym kłamać?

- Żeby mnie pocieszyć. Ale nie jesteś w stanie ukryć, jaki to dla ciebie cios. Po cóż żyć, jeśli nie można sprowadzić na świat dzieci?

- Istnieją inne sposoby, żeby nadać naszemu życiu sens.

- Wiesz, o czym myślałam? -Nie.

- Właśnie zdałam sobie sprawę, że Ernst i Leo mają tylko córki. Ród Levych nie ma męskich potomków. Wyobraź sobie, co to oznacza! Nasza linia zmierza w ślepią uliczkę. Zajmujesz się rozwijaniem firmy i doglądaniem transakcji, jakby to były najważniejsze rzeczy na świecie. Ale kiedy przyjdzie nasza pora, by odejść, nie będzie komu zgasić światła w biurach.

- Wszystko w swoim czasie.

- Musimy pomyśleć o tym teraz, Siegfriedzie, w tej chwili. Nie można żyć, nie patrząc w przyszłość. Nie da się iść dalej, nie planując. Nie wiem, jak powiemy o tym wszystkim Bernhardowi i Henriette. To będzie ogromny cios dla twojego ojca.

- O tak - westchnął Siegfried. - Spodziewa się, że damy mu wnuka, następcę.

- Widzisz, nie możemy zlekceważyć tej sprawy. Ród Levych bez męskiego potomka to jak wyrwany z korzeniami dąb. To wyrok śmierci.

Konduktor w ciemnym uniformie wszedł do przedziału i poprosił ich o bilety. Zasalutował im w wojskowym stylu i wyszedł, zasuważąc za sobą drzwi. Przedział wypełnił stukot kół. Lisbeth i Siegfried znowu zamilkli. Pociąg pędził dalej przez równinę.

Bernhard i Henriette czekali na nich na maleńkim peronie w Polzin. Lisbeth przygotowała się na rozmowę z teściem, wiedząc, że jej słowa pogrzebią wszelką nadzieję. Ale Bernhard nie pozwolił jej mówić. Nie zdążyli nawet wyjść z wagonu, gdy wykrzyknął do nich poruszony:

- Słyszeliście najnowsze wieści? Kaiser kazał Rosji wstrzymać mobilizację. Jeśli car się nie zgodzi, będzie wojna.

Mniej więcej miesiąc później, dwudziestego ósmego czerwca, serbscy nacjonaści dokonali zamachu na życie Franciszka Ferdynanda, następcy austriackiego tronu. Austro-Węgry postanowiły wykorzystać sytuację, aby dokonać aneksji Serbii, tak jak uczyniły to z Bośnią i Hercegowiną pięć lat wcześniej. Szóstego lipca Wilhelm II zapewnił Franciszka Józefa, cesarza Austro-Węgier, że w razie rosyjskiej interwencji może liczyć na jego lojalne wsparcie. Dwudziestego lipca Austriacy postawili Serbii ultimatum. Dwa dni później Serbia je odrzuciła, a dwudziestego dziewiątego lipca ostrzelano Belgrad. Trzydziestego lipca zarówno Rosja, jak i Austria wydały rozkaz o powszechnej mobilizacji. Następnego dnia w niezwykle ostro sformułowanym liście do Petersburga Wilhelm II nakazywał carowi Mikołajowi II natychmiastowe przerwanie mobilizacji. Wypadki następowały szybko jeden za drugim i żaden z europejskich polityków nie był w stanie powstrzymać lawiny. Wiele lat wcześniej Bismarck stwierdził, że jakiegokolwiek niemądre działanie na Bałkanach doprowadzi do kolejnej wojny. To straszliwe proroctwo miało się wkrótce wypełnić.

4. Wąski chwiejny most

Szabat pierwszego sierpnia 1914 roku był słonecznym letnim dniem. Rankiem córeczki Leo i Else pod czujnym okiem niani karmiły łabędzie pływające po jeziorze w parku domu zdrojowego. Około południa zatelefonował Ernst, aby donieść, że cały Berlin ogarnęło poruszenie. „Tłumy ludzi zebrały się w pałacu. Wygląda na to, że nie da się już uniknąć wojny“, powiedział, wyraźnie wstrząśnięty.

Rodzina zasiadła razem do obiadu. Henriette przyrządziła kapuśniak, pieczeń, pyzy z sosem i puree ziemniaczane. Na stole znalazł się także ulubiony przysmak Lisbeth, kalafior z bułką tartą. Gdy podawano kompot, wybiła pierwsza. Wszyscy spojrzeli na zegar, ponieważ w tym momencie dobiegł końca czas określony przez niemieckie ultimatum. Czy car powstrzymał powszechną mobilizację?

W owym czasie ogromną popularnością cieszyła się książka *The Great Illusion* (Wielkie złudzenie) Normana Angella⁴⁷. Niemiecki przekład stał na półce u Leo. Autor starał się dowieść, że wobec równowagi sił głównych mocarstw powszechna wojna nie przyniesie korzyści nikomu w Europie, że zarówno wygrani, jak i przegrani poniosą jednakowe straty. Książkę przetłumaczono na piętnaście języków i szybko stała się swego rodzaju „Biblią optymistów“. Ale światowe mocarstwa najwyraźniej nie były przekonane do tej teorii. Mikołaj II zareagował na niemieckie ultimatum obraźliwym milczeniem. Wczesnym popołudniem niemiecki ambasador w Petersburgu otrzymał zaszyfrowany telegram, instruujący go, aby z wybicciem piątej ogłosił wypowiedzenie wojny. Dwie godziny później wiadomość została przekazana rosyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych Siergiejowi D. Sazonowowi.

- Nienawidzę Słowian - stwierdził otwarcie cesarz w Berlinie. - Wiem, że nienawiść do sąsiada jest grzechem, ale nie potrafię wyzbyć się tego uczucia. - Mimo deklarowanej niechęci do Słowian cesarz wydał także rozkaz otwarcia frontu zachodniego. Zgodnie z planem najpierw miał zająć Luksemburg i Belgię. O piątej szef sztabu generalnego Helmut von Moltke poinformował naczelne dowództwo, że otrzymał rozkaz powszechnej mobilizacji. Ścisłe tajne plany wojenne wyjęto z ukrycia. Istotnym elementem miała być ukończona już sieć kolejowa. Gdy nadszedł czas, ponad dziesięć tysięcy pociągów wykorzystano do transportu wojsk na pola walki.

Gdy skończył się Szabat, Bernhard i jego synowie udali się do synagogi, aby odmówić specjalną modlitwę o wsparcie dla cesarza. Polzin nie miał własnego rabina. Modlitwy prowadziła zawsze osoba najlepiej znająca rytuał. Dawniej był to Ascher Levy, teraz to zadanie przypadło Bernhardowi. Prawie wszyscy mężczyźni ze społeczności żydowskiej Polzin chodzili do synagogi, poza kilkoma uchodźcami z Europy Wschodniej, którzy osiedlili się w pobliżu miasteczka, ale nie zostali jeszcze przyjęci do społeczności.

Na początek Bernhard przypomniał znaczenie święta Tisza be-Aw przypadającego tego dnia.

- Po wyjściu z Egiptu lud żydowski w tym dniu spotkało sześć tragicznych zdarzeń. Nasi praojcowie nie mogli wejść do Erec Izrael, ponieważ zwiadowcy zgrzeszyli. Świątynia w Jerozolimie została dwukrotnie zburzona. Betar, ostatnia twierdza powstania Bar Kochby, upadła. Miasto zostało zniszczone przez Tytusa, syna Wespazjana. Ponadto data ta przywołuje wygnanie Żydów z Hiszpanii. - Bernhard przerwał i spojrzął na modlących się, po czym uniósł palec wskazujący w geście upomnienia. - Ale teraz nie rozpamiętujemy już przeszłości. My, Żydzi Cesarstwa Niemieckiego, mamy wreszcie niezwykły kraj, z

⁴⁷ Norman Angell (1872-1967) - publicysta brytyjski, przekonywał o braku korzyści z wojny (*The Great Illusion*); zwolennik Ligi Narodów, później rewizji traktatu wersalskiego; 1933 Pokojowa Nagroda Nobla.

którego nikt nas nie wypędza. W tej pamiętnej godzinie nasz dom i ojczyzna są bliskie naszym sercom, a teraz, ażeby to podkreślić, chciałbym odmówić następującą modlitwę.

Bernhard włożył okulary i zaczął czytać donośnym głosem tekst, który słowo w słowo znał na pamięć:

„Modlitwa za naszego króla, nasz lud i nasz kraj. Ojczy nasz! Królu nasz! Prosimy Cię, abyś walczył z naszymi bezbożnymi wrogami i pokarał ich za ich arogancję. Zniszcz ich, jeśli wystąpią przeciwko nam, podbij naszych przeciwników, niech ogarnie ich bojaźń i drzenie. Osłab ich siłę, pokrzyżuj plany, aby oni i ich wojska skazane były na porażkę. Wielu jest nam przeciwnych, ale my wyjdziemy z tego jako zwycięzcy, ponieważ Ty, o Boże, jesteś naszą tarczą i naszym wybawicielem i nie pozwolisz, aby miecz wroga przeszył naszą ziemię. Czym jest bowiem dla Ciebie siła armii? Możesz sprawić, że zniknie w mgnieniu oka. Pragniemy jedynie pokoju i dobrej woli, walczymy tylko o to, by dalej żyć. Niech stanie się Twoja wola, o Panie, bo wszystko, co czynisz, jest dobre i tylko w Tobie pokładamy nadzieję. Boże niebios i prawdy, Ty odwrócisz od nas wszelką krzywdę i każdy nieprzyjaciel da nam pokój, jak długo Ty, o Boże, jesteś z nami.

O Panie, daj nam schronienie i opiekę, ocal i wzmocnij naszego cesarza i króla Wilhelma II, daj mu siłę i szacunek, spraw, aby powiodły się jego plany, aby podbił swych wrogów i wrócił ze swoją armią do naszej ziemi ukoronowany zwycięstwem, w pokoju i radości, sławie i chwale, amen“.

Zebrani wierni głośno powtórzyli ostatnie słowo. Po nabożeństwie wyszli na ulicę, pogrążeni w ożywionej rozmowie. Wszyscy byli w doskonałym nastroju.

Tego wieczoru Julius zatelefonował z Gdańska:

- Halo, Beri? - krzyknął do słuchawki. - Powtórzy się Sedan! Co? Rudi i Paul już zostali powołani. A co z twoimi chłopcami?

- Zostaną powołani pod koniec tygodnia - odparł Bernhard.

- Cieszą się? - Julius starał się przekrzyknąć trzaski w słuchawce.

- Jak wszyscy, w końcu są poddanymi cesarza.

- Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

- Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, Julius. Trzy miesiące. Najdalej za pół roku nasi wrogowie zostaną pokonani i będą błagać o pokój.

- Na kolanach, Beri, na kolanach.

Rozległ się trzask. Połączenie zostało przerwane. Bernhard spojrział zaskoczony na słuchawkę i odwiesił ją na miejsce. Siegfried i Lisbeth wrócili do swojego mieszkania.

- Widzisz, Lisbeth? Nagle wszystkie osobiste problemy tracą znaczenie.

Pokręciła głową.

- Nie widzę żadnego związku. Czy będę mogła mieć dzieci, jeśli rzucimy Rosjan na kolana, przemaszerujemy przez Paryż w defiladzie zwycięstwa albo przyłączymy kolonie brytyjskie w Afryce do Rzeszy? Skutek będzie tylko taki, że zostaną tu sama - w końcu i ty będziesz musiał pójść na front.

Ale w przeciwieństwie do pozostałych członków rodziny Siegfried nie marzył o chlubnych zwycięstwach. Nie palił się do służby wojskowej i prawdopodobnej śmierci za ojczyznę, wołał przyjemności życia cywila od zaszczytów i medali za odwagę. Był więc zachwycony, gdy komisja poborowa uznała go za niezdolnego do służby. Rentgen wykazał wyraźny cień na jednym płucu, co uchroniło go od powołania do wojska. Tak więc dwaj synowie Bernharda poszli różnymi drogami - Siegfried wrócił do domu, aby poprowadzić rodzinną firmę, podczas gdy Leo, który miał zostać powołany miesiąc później, natychmiast udał się do miejscowego krawca, aby uszył mu mundur na miarę.

Większość młodych mężczyzn w Prusach marzyła o mundurze, najchętniej oficerskim. Jednak poza nielicznymi wyjątkami ta ranga była wciąż nieosiągalna dla przedstawicieli wyznania mojżeszowego. Nawet kariera w sądownictwie czy urzędach państwowych przypominała spacer po linie na wysokości. Tylko najsilniejsi, najbardziej utalentowani i najbardziej zdeterminowani osiągnęli sukces. Poza tym oficerowie tworzyli zamknięty klub, a Żydzi mieli taką szansę, żeby się do niego dostać, jak wielbłąd, by przejść przez ucho igielne. Niewiele się zmieniło od wojny z Austrią w 1866 i z Francją w 1870 roku. Mimo to wielu Żydów wierzyło, że sytuacja w wojsku musi się poprawić. W końcu zapuścili korzenie w cesarstwie, przyswoili kulturę niemiecką, a nawet wspierali ją, i zasadniczo się zasymilowali. Dzień po wybuchu wojny organizacje, związki i stowarzyszenia żydowskie Cesarstwa Niemieckiego wydały ulotki i apele, ogłaszając z żarliwym patriotyzmem: „Wszyscy stoimy za cesarzem!”.

We wtorek czwartego sierpnia przedstawiciele wszystkich wyznań i delegaci parlamentu zebrali się w pałacu cesarza w Berlinie, aby zadeklarować swoje całkowite poparcie we wszelkich kwestiach politycznych. Wilhelm II, który pojawił się przed delegacją w galowym mundurze, był głęboko poruszony. Na głowie miał stalowy hełm ozdobiony złotym orłem ze skrzydłami rozpostartymi do lotu - niemal słychać było ich łopot. Oparł się na wiekowym mieczu i oświadczył z charakterystycznym patosem:

- Partie nie mają teraz dla mnie znaczenia. Odtąd wszyscy jesteście dla mnie Niemcami, a na dowód tego, by pokazać, że wszyscy jesteście zdecydowani stać ramię w ramię, trwać przy mnie w dobrych i złych chwilach, godzić się na cierpienie, a nawet śmierć, niezależnie od swej rangi czy religii, rozkazuję przedstawicielom partii wystąpić, podać sobie dłonie i złożyć przysięgę.

Na pierwszej stronie gazety „Belgard-Polziner Kreisblatt“ znalazł się poniższy patetyczny wiersz, opiewający to uroczyste przyrzeczenie:

„Bądź pozdrowiony, nasz Cesarzu! Tyś przemówił:
Odtąd wszyscy jesteście dla mnie Niemcami!
Nauczyłeś nas, abyśmy stanęli przed Bogiem
I modlili się w pokorze.
Bądź pozdrowiony, nasz Cesarzu!
Niech załopoczą flagi!
Niech zabrzmi
Wiwat. Zaśpiewajmy.
Bądź pozdrowiony, nasz Cesarzu!
W tej wojnie
Przez bój do triumfu!”.

Nawet jeśli cesarz uważał, że „wszyscy są dla niego Niemcami“, drobne różnice społeczne pozostały. Zarówno powołani, jak i ochotnicy z Polzin zostali umieszczeni w tych samych koszarach. Stamtąd wymaszerowali, aby przejść ulicami miasteczka. Gapie machali kapeluszami i obsypywali ich kwiatami. Mieszkańcy miasteczka stworzyli gwardię honorową składającą się z dziesięciu mężczyzn, która maszerowała obok i śpiewała pieśni bitewne. Wszystkich przepelniała radość i entuzjazm. Żydom rozkazano jednak maszerować z tyłu. Leo zaprotestował, ale na próżno. „To nie jest żaden afront - odparł szorstko sierżant sztabu - w końcu ktoś musi być z tyłu. Dlaczego więc nie wy!?”.



Leo Levy, 1915 r.

Jednym z delegatów, którzy zebrali się przed cesarzem we wtorek czwartego sierpnia, był profesor uniwersytecki Max Rothmann. Jego osiemnastoletni syn, który zaciągnął się na ochotnika, zginął na froncie trzy miesiące później. Rothmann, prawdziwy patriota, zwrócił się z prośbą, aby jego najmłodszego syna przyjęto do szkoły kadetów. Było to zgodne z tradycją rodzinną, ponieważ dziadek służył już cesarzowi w trzech wojnach, za co otrzymał liczne odznaczenia. Ale armia niemiecka nie chciała żydowskich kadetów. Pisemny apel do ministra wojny odrzucono, a prośba o osobiste spotkanie zaowocowała następującą bezosobową odpowiedzią, napisaną przez urzędnika niższego szczebla: „Ponieważ Ministerstwo Wojny zobowiązane jest podtrzymać wcześniejszą decyzję, osobista rozmowa byłaby bezcelowa, uprasza się zatem Szanownego Pana o zarzucenie dalszych starań w tej kwestii...”.

Dwa dni wcześniej szef sztabu generalnego, von Moltke, także dał negatywną odpowiedź na prośbę Rothmanna:

„Drogi Profesorze,

dziękuję Panu za list i zwracam załączone do niego dokumenty. Żałuję, że nie mogę Panu pomóc, ponieważ decyzja zależy wyłącznie od Ministerstwa Wojny. Niech los zrządzi, żebyśmy wyszli z tej wojny, w której wszyscy członkowie narodu poświęcają swoje życie ramię w ramię, przekonani, że wszyscy jesteśmy Niemcami. Proszę przyjąć moje kondolencje, ale i gratulacje z powodu bohaterskiej śmierci Pańskiego syna, który przypieczętował swoją lojalność do Ojczyzny krwią swego serca.

Łączę wyrazy szacunku,
Moltke, Generaloberst“.

Oczywiście rodzina Levych nic nie wiedziała o sprawie Rothmanna. Korespondencję między szanowanym profesorem a ministerstwem i armią opublikowano dopiero po zakończeniu wojny, kiedy już było wiadomo, że niemal sto tysięcy niemieckich Żydów nosiło mundur, a siedemdziesiąt osiem procent żydowskich żołnierzy walczyło na froncie.

Na początku wojny, latem 1914 roku, koszary w Schneidemühl⁴⁸ wciąż zdobyły radosne transparenty. Uczniowie miejscowych szkół wysyłali do żołnierzy euforyczne listy, a ich matki piekły ciasta z czekoladowymi napisami: „Dla dzielnych żołnierzy“. Podstawowe szkolenie miało trwać miesiąc, ale skrócono je do dwóch tygodni. „Musimy się spieszyć na front, inaczej przegapicie zwycięstwo. Francja wkrótce padnie, a rosyjski niedźwiedź podda się w ciągu sześciu miesięcy“, przechwalał się dowódca obozu podczas ostatniego apelu.

Jeszcze raz przeszli ulicami miasteczka, tym razem w pełnym rynsztunku. „Bóg jest z nami“, głosiły napisy na ich mundurach. „Niech żyje cesarz!“, krzyknęła histerycznie jakaś kobieta i rzuciła się na szeroką pierś młodego porucznika, prowadzącego oddziały na dworzec kolejowy. Wojskowy pociąg czekał na peronie. Ktoś napisał na nim kredą: „Paryżu, przybywamy!“.

W wieczór przed wybuchem wojny Rudolf Levy opuścił swoje atelier przy Montmartrze i udał się z Paryża do Gdańska, aby się zaciągnąć. Został przydzielony do jednostki bojowej i służył jako kierowca w 117. Dywizji Piechoty na froncie zachodnim. Stamtąd latem 1915 roku pisał do Gdańska:

„Drogi Ojcze,

przesyłam Ci życzenia urodzinowe, które mam nadzieję dotrą na czas... Zapewne wiesz, że od trzydziestego czerwca jestem tu, niedaleko Lens, w małej wiosce, z której po ostrzale właściwie nic nie pozostało... Jesteśmy na nocnej służbie, jako że za dnia drogi są pod obserwacją wroga. Siedzę w pojeździe dowódcy jednostki, porucznika, i jestem dość ważny, ponieważ mam dobry zmysł orientacji i potrafię znajdować drogę. Okazałem się doskonałym kierowcą, mam wojskowe prawo jazdy i czasem jeżdżę z prędkością nawet osiemdziesięciu kilometrów na godzinę - nie wolno przy tym palić papierosów... Człowiek przyzwyczajony do świstu kul i trudno wyobrazić sobie jakiegokolwiek miejsce, które nie zostało jeszcze doszczętnie zniszczone. Codziennie Francuzi (teraz prawdopodobnie Anglicy) strzelają ze wzgórza Lorette⁴⁹ w stronę Souchez, Angres i Lievin. Poruszanie się po tych drogach jest oczywiście niezwykle trudne z powodu gruzów i lejów po bombach, ale jak dotąd nic mi się nie stało...“.

Cztery miesiące później, gdy walki wokół Artois się skończyły, napisał do swojej siostry Käthe z nutką autoironii:

„Bardzo ci dziękuję za gratulacje za Żelazny Krzyż, który zdobi od dwóch tygodni pierś tego bohatera“.

Pod koniec wojny napisał do swojego brata Ernsta do Berlina:

„Nadal zajmuję zaszczytną pozycję w Gen-Kdo XIV RF Kampfgruppe Queant. Walki o Buleivart wciąż trwają, jak pewnie czytałeś. Ile to jeszcze potrwa? To wszystko jest takie męczące, czasem naprawdę tracę już nadzieję. Nawet silna wiara nie pomaga. A ja mam tyle zajęć: transport amunicji, przewóz wojsk itd.“

Teraz życie rodziny Levych w Polzin toczyło się zupełnie innym rytmem. Czasu nie odmierzano już w godzinach, dniach czy tygodniach, ale według listów z frontu. „To było, zanim przyszły wieści od Leo“, czy: „To się wydarzyło między wiadomością od Rudolfa a

⁴⁸ Obecnie: Piła.

⁴⁹ Mowa o miejscowości Notre Dame de Lorette.

listem od Leo“. Inaczej niż w 1871 roku, poczta działała bez zarzutu i utrzymano nieprzerwaną komunikację między frontem a tymi, którzy pozostali w domu. Gazety do Polzin także dostarczano na czas.

Bernhard starał się codziennie chodzić do synagogi. Wracając do domu po porannej modlitwie, odbierał pocztę i egzemplarz „Vossische Zeitung“, a lokalną gazetę przynosił mu listonosz o dziewiętej. Podczas śniadania odczytywał na głos raporty naczelnego dowództwa i najważniejsze wiadomości z frontu. Stało się to zwyczajem, niemalże rytuałem rodzinnym, który dawał wszystkim poczucie, że dzięki temu są bliżej najważniejszych wydarzeń. Początkowo optymizm okazywał się uzasadniony. Na wschodzie generał von Hindenburg powstrzymał „rosyjski walec parowy“. Na zachodzie półtora miliona niemieckich żołnierzy wkroczyło na obce ziemie. Każdy z nich wyposażony był w sprzęt ważący około trzydziestu kilogramów: karabin i amunicję, dodatkową parę butów, saperkę, plecak z apteczką pierwszej pomocy, żelazne racje i zapieczętowaną manierkę z gorzałką. Natychmiast wydano polecenie, aby manierki pozostawały solidnie zamknięte - otwierać je wolno było jedynie na rozkaz oficera. Codziennie dokonywano inspekcji pieczęci. Za szeregami piechoty, zbliżającymi się niczym ludzki mur, toczyły się ciężkie działa, które miały odegrać decydującą rolę podczas bitwy - działa projektowane przez lata w ścisłej tajemnicy w fabrykach austriackiej Skody i niemieckiego Kruppa: 305-milimetrowe haubice o ogromnym zasięgu. Te olbrzymie działa mogły wystrzelić dziewięćsetkilogramowy pocisk na odległość czterestu kilometrów, a do obsługi każdego z nich potrzeba było aż dwustu żołnierzy.

Upojeni demonstracją swej potęgi militarnej Niemcy wiwatowali, gdy neutralna Belgia została zajęta. Nikt nie chciał słuchać o znęcaniu się nad tamtejszą ludnością cywilną. Fortyfikacje Liege padły w ciągu dziesięciu dni. Te obiekty obronne zaplanował pod koniec poprzedniego wieku słynny architekt Henri Brialmont. Miesiąc po rozpoczęciu wojny niemiecka dywizja wkroczyła do małego francuskiego miasteczka Sedan.

Rudolf pisał do swego wuja Bernharda:

„Czuję, jakbym krok w krok podążał śladami mojego ojca. On był tutaj, w tym właśnie miejscu, drugiego września 1871 roku, dokładnie czterdzieści trzy lata temu. Moje serce przepełnia bezgraniczna radość. Francuzi ostrzeliwują nas dzień i noc, ale przywykłem już do huków i śpię dobrze. Dopiero gdy hałas milknie i nagle nastaje cisza, zrywam się na równe nogi i zastanawiam, co się stało. Co za życie! Jestem kierowcą w jednostce patrolowej. Moje obowiązki nie dość, że są ważne, to jeszcze niezwykle ciekawe, aż szkoda, że nie wolno mi wyjawiać żadnych szczegółów. Tutejsze drogi są w bardzo złym stanie, pełno w nich dziur po pociskach i lejów po bombach, ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, wkrótce będziemy świętować drugi Wersal, a przynajmniej tak nam obiecują.

Kochający Rudi“.

Ale nie wszystko poszło dobrze. Atak powoli się zatrzymał. Armia się okopała. Wojna manewrowa zmieniła się w ciężką i męczącą wojnę pozycyjną. Setki tysięcy żołnierzy, wystawionych na ciągły ostrzał artyleryjski, tkwiło miesiącami w okopach za zasiekami z drutu kolczastego, wśród pól minowych. Miesiące ciągnęły się w nieskończoność, a obie strony czekały na odpowiedni moment, aby rozpocząć ofensywę. W lutym 1916 roku wydano rozkaz: Verdun. Niemiecki atak rozpoczął się dwudziestego pierwszego lipca, a zakończył w grudniu. Około miliona żołnierzy - Niemców, Francuzów i Anglików - przypłaciło życiem tę bezprecedensową kampanię, która miała na celu jeszcze raz wprawić w ruch słabnący atak. Ale nawet ta gigantyczna liczba ofiar nie zmieniła strategii i trwał militarny pat.

Impas i niezliczona liczba zabitych na froncie przygnębiały Leo, ale go nie zniechęcały. Jego jednostka stacjonowała w małym miasteczku w północno-wschodniej Francji. Dowódcy

powierzyli mu zadanie aprowizacji brygady bawarskich rezerwistów, które zajmowało mu cały czas i uwagę. Wieczorem szarego jesiennego dnia, gdy głosy na zewnątrz umilkły, a magazyn opustoszał, usiadł przy stoliku, aby skreślić kilka słów do swojej córeczki, Hannah. Gdy opuszczał Polzin, Else włożyła mu do wypchanego plecaka tabliczkę orzechowej czekolady Lindta. „Żebyś miał coś słodkiego, nawet z dala od domu“, powiedziała i cmoknęła go w policzek. Jako student Leo, ku ucieście wszystkich, pisywał listy do domu w formie wierszyków. Później zarzucił rymy na rzecz prozy interesów. Ale właśnie tutaj, w ponurym obozie rezerwistów niedaleko frontu, naszło go natchnienie. Ukośnym, kanciastym charakterem pisma napisał:

„Tę pyszną czekoladę
Od mamusi dostałem,
Gdy przed dwoma laty
Na wojnę wyruszałem.
Z listu wynika bezsprzecznie,
Ze Hannah grzecznym jest dzieckiem,
A grzeczne dzieci wiedzą, że
Tabliczka czekolady należy im się.
Na koniec zaś dostanie mamusia
Świątecznego jontef-całusa.
W Nowym Roku wszystkim wam życzę
Spokoju ducha, dobroci i słodyczy“.

Leo raz jeszcze przeczytał wierszyk, twórczość prosto z serca, i roześmiał się z jego naiwności. Zawinął czekoladę - teraz od ciągłego noszenia w kiepskim stanie - w papier i przewiązał cienkim sznureczkiem. Właśnie skończył, gdy kapitan Tuch, oficer odpowiedzialny za aprowizację, wszedł do magazynu.

- Dobry wieczór! - powitał Leo w bardzo niewojskowym stylu. Leo skoczył na równe nogi, aby zaszalutować, ale oficer gestem nakazał mu, by usiadł. - Późno już. Darujmy sobie te formalności. - Nie był to zwykły sposób rozpoczynania rozmowy przez oficera.

Leo pospiesznie zgarnął paczuszkę ze stołu. Oficer uśmiechnął się, widząc jego zażenowanie. Usiadł naprzeciwko niego i położył na stoliku przed sobą teczkę pełną najróżniejszych dokumentów. Potem odchrząknął i powiedział:

- Nazywa się pan doktor Leo Levy, prawda? - Leo skinął głową, zastanawiając się, co może się kryć za tym pytaniem, bo przecież oficer dobrze znał jego nazwisko. Kapitan Tuch przejrzał papiery i spytał:

- Jaka jest pańska przynależność religijna, doktorze Levy?

- Jestem wyznania mojżeszowego.

- Czyli jest pan Żydem?

Leo pokrył zmieszanie uśmiechem.

- To nie to samo, kapitanie - odparł. - Nawet jeśli fakty w oczywisty sposób zależą od aktualnego sposobu patrzenia na świat, ja uważam się za Niemca wyznania mojżeszowego.

Kapitan zanotował jego odpowiedź.

- Rozumiem - rzekł, wodząc ołówkiem po literach. - Ile ma pan lat, doktorze Levy?

- We wrześniu skończę trzydzieści trzy.

- To dobry wiek dla mężczyzny.

- Wszystko jest względne - mruknął Leo, który nadal nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi.

- Tak, tak, oczywiście... Jaka jest pańska pozycja w armii?

- Przecież wie pan doskonale, że odpowiadam za aprowizację dywizji. Czy wolno mi spytać o cel tych dziwnych pytań?

- Rozkazy, dobry człowieku. Rozkazy sztabu.

Leo rzucił kapitanowi zdziwione spojrzenie. Ten zaś nie potrafił ukryć swego zażenowania.

- Chcę, aby pan wiedział, doktorze Levy, że cała ta sprawa nie jest moim pomysłem. Jestem tylko żołnierzem, który wykonuje rozkazy - należycie i dokładnie, co jest obowiązkiem nas wszystkich.

- Czy jestem winny jakiegoś wykroczenia, kapitanie?

- Wielkie nieba, skądże! Jest pan jednym z najlepszych żołnierzy w dywizji. Nie omieszkam umieścić tego w kwestionariuszu. - Tuch poskładał papiery. Ale zanim wstał, jeszcze raz podkreślił:

- Proszę mi wierzyć, ta cała sprawa jest dla mnie dość obrzydliwa. Tylko gryziپیوری, które nie zbliżyły się na tysiąc kilometrów do pola bitwy, mogły wymyślić coś takiego...

- Nie rozumiem.

- Pozwoli pan, że wyjaśnię. Ministerstwo Wojny wydało rozkaz sporządzenia spisu żydowskich żołnierzy.

- Czy w jakiś sposób różnimy się od innych noszących mundur?

- Już panu mówiłem - ja tylko wykonuję rozkazy. Pozostawię to pańskiej interpretacji, doktorze. Dobrej nocy.

Wyjaśnienie było dość proste i Leo nie miał kłopotu, aby na nie wpaść. Ludność cywilna była niezadowolona z przebiegu wojny. Krytyka - choć nieco zawoalowana - wymierzona została w naczelne dowództwo. Nikt nie ośmielał się otwarcie krytykować cesarza i wpływowych generałów, ale po cichu szeptano oskarżenie: „Porażka!“. Ministerstwo Wojny i naczelne dowództwo rozpaczliwie potrzebowały kozła ofiarnego, którego można by oskarżyć, aby odwrócić uwagę opinii publicznej od tego, co się naprawdę działo.

Nie wiadomo, który urzędnik czy oficer sztabu generalnego wpadł na pomysł, aby wyciągnąć odwiecznego stracha na wróble - antysemityzm. Ogół opinii publicznej bombardowano danymi statystycznymi, które miały udowodnić, że przedstawiciele wyznania mojżeszowego nie dają z siebie wszystkiego w tej wojnie, w porównaniu z innymi poddanymi Rzeszy. Rozkaz sporządzenia spisu wydano w październiku 1916 roku. Dokumenty z tamtego okresu, zachowane w archiwach, noszą podpis generała-majora Ernsta von Wrisberga, dyrektora wydziału w Ministerstwie Wojny w Berlinie. Jednak jest mało prawdopodobne, aby była to inicjatywa jednego urzędnika, niezależnie od tego, jak wysokiej rangi. Gdy rozkaz wyszedł na jaw, wzbudając oburzenie części opinii publicznej i lokalnych działaczy z kręgów żydowskich, Wrisberg pospieszył uciszyć emocje następującą przemową podczas sesji Reichstagu:

„Środki te przedsięwzięto wyłącznie w celu zgromadzenia pisemnych dowodów, abyśmy mogli zbadać skargi pojawiające się w armii przeciwko Żydom. (...) Spis ma dostarczyć informacji jedynie Ministerstwu Wojny. Dokumenty te umożliwią nam zbadanie skarg dotyczących prób uniknięcia służby wojskowej przez Żydów...“.

Od sierpnia 1916 roku wszystkie decyzje należące do kompetencji rządu oddano w ręce wojska i faktycznie to ono rządziło. W styczniu 1917 roku kanclerz Theobald von Bethmann Hollweg podjął ostatni wysiłek, aby zachować „ludzki charakter wojny“, odmawiając dania wolnej ręki flocie okrętów podwodnych. Członkowie parlamentu nie poparli jego stanowiska. Reichstag zagroził wycofaniem poparcia, jeśli nie ulegnie żądaniom armii.

Wniosek o nieograniczone działanie okrętów podwodnych miał na celu złamanie blokady morskiej nałożonej przez państwa sąsiadujące z Rzeszą, która ograniczała niemiecką gospodarkę i coraz bardziej zacieśniała uścisk. Dziedziny przemysłu istotne z punktu

widzenia wojny były sparaliżowane, co powodowało zastoje w dostawach najważniejszych produktów, takich jak: chleb, cukier, mięso, olej, bawełna czy paliwo.

Gazeta „Belgard-Polziner Kreisblatt“ ukazywała się dwa razy w tygodniu, w środy i soboty. Bernhard sięgał po nią z zainteresowaniem, ponieważ zamieszczano w niej oficjalne ceny żywności. Każdy, kto się do nich nie zastosował, był surowo karany. Na początku 1915 roku tona ziemniaków kosztowała jeszcze pięćdziesiąt pięć marek, do marca cena wzrosła jednak do dziewięćdziesięciu. Kilogram mąki żytniej skoczył z trzydziestu sześciu fenigów w styczniu 1915 roku do sześćdziesięciu dwóch fenigów w grudniu. Ceny wszystkich innych towarów także odpowiednio wzrosły. W sierpniu 1916 roku gazeta wydrukowała wiadomość z regionalnego parlamentu:

„Można bezpiecznie założyć, że równowartość miliarda marek w złocie nadal znajduje się w rękach prywatnych osób. Te pieniądze winny natychmiast zostać przekazane Reichsbankowi!“.

Kiedy Bernhard odebrał tego ranka gazetę z poczty w Polzin, zdziwił się na widok zakreślonej na czerwono powyższej informacji. Wydało mu się oczywiste, że to nie przypadek. Ktoś próbował go oskarżyć, tylko kto? Prosty pracownik poczty, zawistny o jego bogactwo, czy wysoko postawiona osoba pragnąca zwrócić uwagę na swoje poglądy? Miał czyste sumienie. Nigdy nie posiadał żadnych złotych monet ani sztab złota. Nigdy nie złamał prawa. Zawsze sprzedawał towary po urzędowych cenach, nawet jeśli oznaczało to straty. Dostarczał urzędowi skarbowemu drobiazgowo dokładnych informacji na temat majątku i aktywów firmy, a księgi rachunkowe także poddawano surowej inspekcji. Ale Bernhard nie był głupcem. Zdawał sobie sprawę, że prawda nie ma żadnego znaczenia i że nie zdoła przekonać ludzi o swojej uczciwości. Jednakże w tej chwili najbardziej martwił się, jak ukryć gazetę przed Henriette. W końcu złożył ją i schował na dnie szuflady, tej samej, której używał do tego jego ojciec. Podobnie jak on, Bernhard także zamykał ją na klucz.

Dwa lata po wybuchu wielkiej wojny dla wielu stało się jasne, że genialna taktyka sztabu generalnego nie obejmowała organizacji zaopatrzenia i aprowizacji na dłuższą metę. Mogło to wynikać z ich przekonania, że konflikt militarny nie potrwa długo. Możliwe też, że byli tak zafascynowani swym wyszukaniem planem ataku, że zwyczajnie zapomnieli o potrzebach ludności cywilnej. Teraz generałowie nalegali, aby pozwolono im w pełni wcielić w życie wolność działania daną im przez Reichstag. Oznaczało to wykorzystanie maksymalnych możliwości okrętów podwodnych w celu zdobycia dostępu do niezbędnych zasobów.

Jesienią 1916 roku liderzy niemieckiej gospodarki dostrzegli druzgocącą prawdę: przemysłowa potęga, która podczas wystawy światowej zadziwiła zwiedzających magicznymi maszynami i gigantycznymi działami, szesnaście lat później bombardującymi Paryż, stała w obliczu całkowitego paraliżu. Znany przemysłowiec Walther Rathenau, prezes zakładów AEG, został poproszony o sporządzenie planu przestawienia całej produkcji cesarstwa na tryb wojenny. Bernhard, choć nie podzielał poglądów tego człowieka, który popierał całkowitą asymilację i uważał konwersję na chrześcijaństwo za rozwiązanie „kwestii żydowskiej“, przyjął z radością te nowiny. Teraz umiejętności zamożnych Żydów stały się pożądane, a ich udział w wojnie dorównał udziałowi żołnierzy wyznania mojżeszowego. Ale nawet wielcy przedsiębiorcy nie mieli magicznej różdżki, gdy ich ręce były puste. W całych wielkich i samowładnych Niemczech, gdzie sławni inżynierowie produkowali lokomotywy, silniki Diesla i zaawansowane technologicznie urządzenia elektryczne, gdzie wydobywano najlepszy węgiel w Europie, produkowano doskonałą stal i zmobilizowano potężną armię złożoną z czterech milionów żołnierzy, nie został bochenek chleba ani worek ziemniaków dla ludności cywilnej - mimo że ogromne obszary Ukrainy, spichlerza Europy, znajdowały się teraz w rękach niemieckich. Genialne umysły, które wymyśliły silniki tłokowe, jednolite rury, sterowce i paliwo syntetyczne oraz opatentowały dziesiątki innych zdumiewających wynalazków, teraz musiały znaleźć sposób na racjonowanie żywności. Wojna okrętów

podwodnych nie przyniosła żadnej ulgi narodowi niemieckiemu, ale wprowadziła do gry kolejnego wroga, bo niemieckie torpedy skłoniły Stany Zjednoczone do przystąpienia do wojny.

Niemcy przewidywali zupełnie inny wynik kampanii, która zakończyła się bitwą nad Marną. Rozgoryczenie ludności cywilnej wzrastało z dnia na dzień. Mimo to było prawdopodobne, że statystyki Ernsta von Wrisberga uspokoją i udobruchają wzburzoną opinię publiczną. Ale nawet ta broń okazała się rozczarowaniem dla jej twórcy. Choć starannie wybrana grupa statystyków miesiącami zagłębiała się w kolumnach liczb, rezultaty spisu nigdy nie zostały opublikowane, ponieważ nie potwierdziły intencji Ministerstwa Wojny. Kiedy von Wrisberg w końcu przeszedł na emeryturę, wydał drukiem swoje wspomnienia, które zawierały także szczegóły spisu.

Niezależni historycy spierali się później o dokładność owych danych. Nie ma wątpliwości, że w czasie sporządzania spisu wielu Żydów przeniesiono z jednostek bojowych, a tym samym zabrano z frontu, aby statystyki osiągnęły swój cel. Jednakże okazało się, że jesienią 1916 roku około 63 000 żołnierzy wyznania mojżeszowego służyło w armii Rzeszy: tylko 5000 na tyłach, 28 000 na froncie, a 30 000 w siłach okupacyjnych. Procentowo liczby te odpowiadały liczbie chrześcijan w mundurach.

Leo wysłał tabliczkę czekolady córeczce, ale nie ujawnił swojego nastroju w liście do rodziny. Spis był dla niego gorzką pigułką, pozbawiającą go wiary, że przynajmniej na polu bitwy nie ma dyskryminacji. Rudolf, który nosił Żelazny Krzyż z dumą, wolał przemilczeć to przykre doświadczenie. Jednak oczywiście nie pozostało ono tajemnicą. Gminy żydowskie, ortodoksja i reformowani oraz ich organizacje zaprotestowały. Siegfried Levy, który udał się do Berlina w interesach, był poruszony tym, co przeczytał we „Frankfurter Zeitung“ z dwudziestego czwartego listopada, którą kupił na dworcu:

„Stowarzyszenie przeciwko antysemityzmowi zorganizowało wczoraj doroczne zebranie generalne. Przewodniczący doktor Gothein podkreślił, że mimo wielkich nadziei niestety nie udało się utrzymać rozejmu pomiędzy wyznaniem religijnymi. Oświadczył, że stowarzyszenie po wojnie nie pozostanie bezczynne, ale będzie musiało kontynuować swą walkę. Podczas wykładu na temat roli Żydów w wojnie podał do wiadomości, iż poczyniono pewne postępy. Ponad tysiąc pięciuset żydowskich żołnierzy awansowało do stopnia oficerskiego, połowa z nich w Prusach, a większość z pozostałych w Bawarii. Mimo to liczba ta jest nieznaczną w porównaniu z liczbą Żydów, którzy mieli do tego prawo. To, jak Żydzi spisali się na wojnie, najlepiej pokazuje fakt, że ponad osiemdziesięciu otrzymało Żelazny Krzyż Pierwszej Klasy, ponad osiem tysięcy Żelazny Krzyż Drugiej Klasy, a niektórzy order Pour le Merite. To godne ubolewania, że Ministerstwo Wojny, pod naciskiem agitacji antysemickiej, wydało zarządzenie, które z łatwością może być błędnie interpretowane, sporządzenia statystyki na temat Żydów. Formularz do tej statystyki jest przykładem, jak nie należy tego robić. Celem było stawienie czoła nieuzasadnionym atakom na dowództwo wojskowe, ale nie wzięto pod uwagę, że zarządzenie to dotknie Żydów i ich towarzyszy na froncie, którzy bronią sprawiedliwości. Osądzając Żydów w tej wojnie, nie wolno zapomnieć o zasługach licznych chemików, inżynierów i finansistów pochodzenia żydowskiego“.

Tak, jak uczynił to Bernhard, Siegfried złożył gazetę, ale schował ją głęboko do kieszeni zimowego palta. Przedział w pociągu był nieogrzewany. Z początku zmarzły mu palce stóp, po czym chłód stopniowo przeniknął całe ciało. W walizce, którą położył na półce nad siedzeniem, miał kanapki z paszтетem z gęsich wątróbek i termos gorącej herbaty. Siegfried uważnie przyjrzał się współpasażerom - zmęczonym ludziom, skulonym i milczącym. Jedzenie bułeczek ociekających gęsim smalcem przed ich znużonymi oczami świadczyłoby o braku wrażliwości. Siegfried postanowił obyć się bez kanapek z gęsią wątróbką i gorącą herbaty, a zamiast tego zaczął rozcierać dłonie, by je rozgrzać.

W domu w Polzin nic się zmieniło, a spiżarnia pękała w szwach. Brak żywności i innych niezbędnych rzeczy nie dotknął rodziny Levych. Należące do nich folwarki dostarczały najlepszego mięsa i świeżych warzyw. Henriette dbała o to, by krewni ze Szczecina, Berlina i Gdańska regularnie otrzymywali paczki z jedzeniem, ponieważ w miastach racjonowano żywność. Z początku wysyłała także swym synom na front różnorakie przysmaki, ale Leo i Ernst poprosili ją, by przestała. Ich towarzysze nie mogli uwierzyć własnym oczom. Każdy, kto w czasach niedoborów żywności miał jej wiele, łatwo stawał się niepopularny. Od tej chwili Bernhard zlecił pakowanie produktów przysyłanych z gospodarstw w duże drewniane skrzynie z napisem „narzędzia rolnicze“. Kiedy rodzina zasiadała do stołu, w obawie przed nieproszonymi gośćmi zamykano drzwi na klucz.

Wojna nie wpłynęła też negatywnie na interesy. Siegfried jeździł do Berlina przynajmniej raz w miesiącu, by negocjować z urzędnikami państwowymi dostawy drewna. Aby nadażyć z realizacją zamówień, tartaki pracowały przez całą dobę. Poza tym rodzina inwestowała coraz więcej w ziemię rolną. Na skutek powszechnej mobilizacji pomorscy rolnicy mieli trudności z uprawianiem pól. W wioskach brakowało młodych mężczyzn - wszyscy byli w mundurach, na froncie. A ponieważ większość gospodarstw i tak była zadłużona, ich sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Niektórzy właściciele ziemscy sprzedawali leżące odłogiem pola tym, którzy zaoferowali najwięcej. A gdy ceny spadały, Bernhard obiema rękami chwycił szansę. Czasem wystarczyła niewielka suma w gotówce, aby przejąć długi gospodarstwa. Jego majątek ziemski nieustannie się powiększał. W modlitwach dziękował Stwórcy, że wynagrodził jego rodzinę za jej niezłomną lojalność wobec wiary i ojczyzny.

Zima minęła. Ale wiosna nie przyniosła poprawy ogólnej sytuacji ekonomicznej. W maju 1917 roku Bernhard i Henriette udali się do Bad Kissingen na wypoczynek, jakby wojny w ogóle nie było.

Siegfried kupił akcje ich dawnego wspólnika, firmy Gustav Möller & Następcy, z siedzibą w Köslin i w Szczecinie. Był to pomysł Lisbeth. Od dawna chciała się przenieść do dużego miasta. W jej oczach Polzin był zapadłą dziurą, szarą i pozbawioną stylu. Nie znosiła prowincjonalnego charakteru miasteczka. Nic jej nie łączyło z tamtejszymi Żydami, a drzwi domów szlachty pozostawały dla niej zamknięte. Dwukrotnie otrzymała zaproszenie do domu Hermanna-Konrada Grafa von Kleist. Ale wstęp do posiadłości arystokracji w Gross Dubberow⁵⁰ zapewniły jej interesy firmy, a nie pozycja społeczna. Poza tym ciążyło jej poczucie, że rodzina lituje się nad nią, ponieważ jest bezpłodna. Czy był to wyimaginowany problem, czy też nie, nie chciała już mieć tak bliskiego kontaktu z teściową i szwagierką. Bernhard był jedyną osobą, którą darzyła życzliwością i szacunkiem. Rozumiał jej wewnętrzne rozterki i wpływ poronienia na stan ducha.

- Jestem taka nieszczęśliwa - wyznała kiedyś w chwili słabości, opierając Bernhardowi głowę na ramieniu niczym mała dziewczynka.

- Minęły już prawie dwa lata - odparł, delikatnie głaszcząc ją po głowie. - Postaraj się zrozumieć, że czas leczy wszystkie rany.

- Po prostu nie jest ojciec w stanie pojąć, jak bardzo cierpię. Co to za kobieta, która nie może być matką? W końcu został ojciec wychowany w żydowskiej tradycji. W oczach ojca z pewnością jestem kimś gorszego gatunku. Wie ojciec, że każdy ortodoksyjny rabin mógłby zmusić mnie do rozwodu, gdyby Sigi tego chciał.

- Nie mów głupstw, Lisbeth. Siegfried nigdy by cię nie zostawił. Rozwód w naszej rodzinie jest rzeczą nie do pomyślenia i zawsze tak będzie. A poza tym wartości człowieka nie ocenia się po tym, czy może począć dziecko i je urodzić. Czasem czujemy wszechogarniający smutek, innym razem bezmierną radość. Nie ma powodu, aby nasz stan umysłu zależał od funkcjonowania narządów.

⁵⁰ Obecnie: Dobrowo.

- Mimo wszystko nie mogę znaleźć spokoju. Nie podoba mi się sposób, w jaki ludzie na mnie patrzą. Nie mogę znieść, gdy udają, że są mili, a w rzeczywistości myślą co innego.

- To twoje subiektywne wrażenie, całkowicie nieuzasadnione.

- W niczym mi to nie pomaga. Jestem emocjonalną istotą.

- Może na swój sposób masz rację. W końcu dla każdego z nas szczęście jest czym innym. Ale jest coś, co często mi pomaga.

- Co takiego?

- Musisz się postarać zbudować most pomiędzy swoimi oczekiwaniami a tym, co możliwe. Siegfried ująłby to prosto - nie zmienisz tego, kim jesteś, a co więcej, nawet nie powinnaś próbować. - Bernhard roześmiał się, ale natychmiast znów spoważniał. - Nie, Lisi, nie śmieję się z ciebie. Rozumiem twój problem i wszystko, co się z nim wiąże. Pragnienie, by mieć więcej, jest ważnym bodźcem dla rozwoju ludzkości, Ale w życiu osobistym warto co jakiś czas się zatrzymać i zastanowić, dostosować nasze pragnienia do istniejących środków i możliwości. Jakież niepotrzebny ból sobie sprawiamy, kiedy próbujemy osiągnąć coś, czego osiągnąć się nie da! Musimy pozwolić, aby zdrowy rozsądek wziął górę. Modlitwa także pomaga. Właśnie tak, Lisi, modlitwa. Ona może wypełnić przepaść pomiędzy tym, za czym tęsknimy, a tym, co dostajemy.

- Nie pociesza mnie to. Chciałabym móc uwierzyć w Stwórcę, tak jak ojciec. Często czuję w sercu chłód, jakby było puste, jakby nie należało do mnie.

Siegfrieda ucieszył pomysł przeniesienia się do Szczecina. Podczas jednej z podróży służbowych wynajął tam przestronne mieszkanie, a nawet posunął się dalej i kupił meble do czterech pokoi. Ale nieoczekiwany rozwój wydarzeń zmusił małżonków do odłożenia przeprowadzki. Latem 1917 roku szwagierka Lisbeth, Ida, wróciła nagle z Damaszku. Przywiozła ze sobą wspaniałą córkę i zapewniła wszystkich, że Paul także wkrótce się pojawi. Kontrakt Paula z przedsiębiorstwem budującym Kolej Hidzaską w imperium osmańskim wygasł, a on nie zamierzał go przedłużyć, przynajmniej według słów Idy. Ale gdy bez żadnego wyraźnego powodu Paul nie pojawił się, w końcu przyznała, że jej małżeństwo skończyło się. Gdy żyli w odległym Damaszku, a kontakt z rodziną ograniczał się do sporadycznych listów, niedopasowanie małżonków nie było widoczne. Teraz, gdy Ida szukała ucieczki w Polzin, prawda wyszła na jaw. Ich małżeństwo od początku nie było szczęśliwe. Od dzieciństwa Ida marzyła o szerokim świecie, oferującym jedynie cudowne niespodzianki i ekscytujące pokusy. Nie znalazła tego, będąc żoną Paula. Jego świat kręcił się wokół Damaszku, Pustyni Syryjskiej i Półwyspu Arabskiego oraz wyzwań, jakie stawiał mu jego zawód. Nie mieli wspólnych zainteresowań. Ida była przekonana, że rozwód jest konieczny, i pragnęła rozpocząć nowe życie. Nikt nie wiedział, co o tym wszystkim myśli Paul.

Jedyną osobą w Polzin, która okazała zyczliwość Idzie, była Lisbeth. Aż za dobrze rozumiała tęsknotę Idy za innym życiem. Na szczęście dla niej - w przeciwieństwie do Idy - wyszła za mąż za człowieka, który podzielał jej poglądy. Ale Ida nie odwzajemniała serdeczności, jaką okazali jej brat i bratowa. Odreagowując rozpad małżeństwa, ostentacyjnie pławała się w luksusie. Kufry, które przywiozła ze sobą, pełne były drogich ubrań. Codziennie pojawiała się w nowej sukience, za każdym razem bardziej eleganckiej niż poprzednia, a za sobą zostawiała silną woń francuskich perfum. Nosiła jaskrawe kapelusze przystrojone jedwabnymi kwiatami i czarne nakrycia głowy z szerokimi rondami, które zakrywały jej piękną twarz. Jej ekstrawagancki wygląd stał się tematem plotek w Polzin, Henriette wkrótce poczuła się więc zobowiązana poruszyć temat.

- Czy to aby nie lekka przesada, skoro toczy się wojna?

- Ależ mam - odparła Ida, szczerze zaskoczona - czy naprawdę mama uważa, że powinnam wyglądać mniej kobieco tylko dlatego, że mężczyźni zabijają się nawzajem?

- Jak możesz mówić coś takiego! Ernst i Leo walczą na froncie.

- To nie ja posłałam ich na tę wojnę.

Henriette rozgniewała się.

- Dla ciebie to nic nie znaczy - powiedziała. - Byliście z dala od domu. Twój mąż nie wrócił, żeby służyć ojczyźnie, a ty nie przeszłaś przez piekło zamartwiania się, czy wróci, czy nie. A może i tak by cię to nie poruszyło? - dodała gorzko.

- Przyszłość pokaże, kto lepiej służył ojczyźnie. Zapomniała mama? Gdy wyjeżdżaliśmy do Syrii, mama mówiła, że to najbardziej patriotyczny obowiązek, jaki moglibyśmy spełnić. To mama i Paul przekonaliście mnie, żebym z nim pojechała. Może mama zapomniała, ale ja pamiętam każde słowo.

Rzeczywiście, jego decyzja o wyjeździe do Syrii nie była spowodowana jedynie zawodowym wyzwaniem i szansą na rozwój kariery. W swym młodzieńczym idealizmie Paul Levy uważał to za obowiązek wobec narodu. Kiedy przedstawił się Meissnerowi, starszemu inżynierowi, który przyjechał do Berlina, aby rekrutować nowych pracowników, ten wyjaśnił Paulowi polityczne znaczenie projektu. „Pasza Meissner“, jak nazywano go w Turcji, nadzorował już budowę linii kolejowych w europejskiej części imperium osmańskiego, a od 1900 roku był uważany za jednego z głównych inżynierów budujących Kolej Hidżaską. Połączenie Damaszku z Mekką, najświętszym miastem islamu, miało ułatwić podróż tysiącom muzułmańskich pielgrzymów, którym do tej pory zajmowała nawet czterdzieści dni.

Cesarz uważał, że jest to niepowtarzalna szansa dla niemieckich inwestorów i inżynierów, a jednocześnie potężny instrument służący rozszerzaniu wpływów Cesarstwa Niemieckiego na Bliskim Wschodzie.

Pomysł budowy linii kolejowej łączącej Europę z Azją nie był nowy. Już w 1837 roku sir Francis R. Chesney sądził, że jest to skuteczna strategia, aby zapewnić Brytyjczykom panowanie w Indiach. Mniej więcej dwadzieścia lat później Brytyjczycy uzyskali wymaganą koncesję. Ale wkrótce budowa Kanału Sueskiego i połączenie morskie stały się dla nich ważniejsze niż droga lądowa do wybrzeża Morza Czerwonego, dlatego w 1888 roku banki niemieckie przejęły cenną koncesję. Zdaniem Wilhelma II kolej była właściwym środkiem transportu służącym dystrybucji niemieckich towarów na Bliski Wschód, po tym zaś miała rozprzestrzenić się niemiecka kultura, a w końcu polityczna władza i wpływy. Politycy i wojskowi naciskali na stworzenie niemieckiej placówki na Bliskim Wschodzie jako przyczółka, który w odpowiednim czasie mógłby posłużyć przeciwko ekspansjonistycznym dążeniom Brytyjczyków. Pierwszy odcinek kolei został ukończony w 1893 roku i od tej chwili można było podróżować pociągiem bezpośrednio z Berlina do Bagdadu. Kolej Hidżaską stanowiła po prostu przedłużenie tej trasy. Wtedy sułtan Abdul Hamid wydał dekret, że od pierwszego maja 1900 roku zostaną wstrzymane fundusze potrzebne na budowę. Zwrócono się do dziesięciu niemieckich inżynierów, aby przejęli projekt. Niektórzy, na przykład królewsko-pruski pułkownik Auler lub generał piechoty Colmar Freiherr von der Goltz, otrzymali wysokie stopnie w armii osmańskiej, a nawet tytuły paszy.

Do dyspozycji Paula i Idy oddano piękne mieszkanie w pobliżu stacji kolejowej Kadesz-Isz-Szarif, z której odjeżdżały pociągi na południe. Jeszcze przed ich przyjazdem do Damaszku powstał odcinek kolei o długości kilkuset kilometrów. Cesarstwo Niemieckie angażowało się nie tylko w budowę linii, ale także dostarczało pociągi. Dwadzieścia dziewięć lokomotyw zmontował Krauss w Monachium i Hohenzollern w Dusseldorfie. Nawet wagony przywożono z Niemiec. Jeden z nich został nawet specjalnie wyposażony, aby mógł służyć jako meczet.

Projekt napotykał liczne komplikacje. Pociągi musiały zatrzymywać się co dwadzieścia pięć kilometrów, aby zaczerpnąć wody ze studni specjalnie wywierconych wzdłuż linii kolejowej. Dostawy dla kolei i pracowników budowy wiązały się z problemami, z którymi żaden inny projekt nie musiał się borykać. Pracę inżynierów utrudniały ograniczenia natury

religijnej - niemuzułmańskim inżynierom nie wolno było przekroczyć na południu granicy Madain Salih - zbliżanie się do świętych miejsc groziło im śmiercią. Brakowało robotników, przydzielono więc do pracy na budowie około pięć tysięcy żołnierzy z piątego korpusu. Podział władzy między cywilnym zarządem a naczelnym dowództwem doprowadził do licznych nieporozumień i wstrzymywał prace. Jednak kolej szybko dowiodła swojej przydatności. Latem 1908 roku, kiedy wybuchł bunt na Półwyspie Arabskim, turecki głównodowodzący pierwszy wykorzystał Kolej Hidżaską. Przewieziono nią dwadzieścia osiem pułków do Maan, skąd dalej pieszo przeszły do portu Akaba nad Morzem Czerwonym. Stamtąd przewieziono je statkiem do Hodeidy. Prowadzono wtedy mozolne negocjacje z Anglikami na temat zakupu linii kolejowej łączącej Hajfę z Damaszkiem. W końcu odcinek ten kupiło niemieckie konsorcjum za sumę 925 000 marek, dzięki czemu cesarstwo mogło teraz korzystać z portu w Palestynie, aby importować surowce.

Paul Levy nie angażował się w polityczne decyzje i intrygi. Jego zadaniem było dopilnowanie, aby kolej sprawnie funkcjonowała.

Czasem stacjonował z dala od Damaszku, Ida musiała więc spędzać dłuższy czas w samotności, ze służącymi, którzy nie mówili po niemiecku, i sąsiadami unikającymi kontaktu z cudzoziemcami. Paul mógł ją odwiedzać trzy razy w tygodniu. Wizyty te były krótkie, bo pociągi jeździły bardzo powoli. Jednakże nie zawsze korzystał z tej możliwości. Prędko zyskał sobie opinię eksperta od budowy tej trasy i był odpowiedzialny za niewielką grupę ludzi, która wybudowała pięćset dwadzieścia dwa kilometry torów w ciągu zaledwie czterech lat, między 1904 a 1907 rokiem. W jednym z listów do swego ojca Juliusa, mieszkającego w Gdańsku, Paul porównał tę przygodę z podróżą Aschera Levy'ego do Palestyny, z tą różnicą, że na pustyni nie było jeszcze śladu cywilizacji. Obszary, na których pracowali, były całkowicie pustkowiem. Poza inżynierem do grupy należało jeszcze dwóch oficerów z korpusu saperów, lekarz, dziesięciu żołnierzy odpowiedzialnych za transport i dwudziestu jeźdźców, którzy mieli za zadanie ochronę grupy przed napadami Beduinów. Prowiant wiozły muły, a wodę w kozich skórkach wielbłądy. Tymczasem Ida musiała żyć w obcym otoczeniu, które było niepokojące i nieprzyjemne, i marzyła jedynie o jak najrychlejszym powrocie do wyrafinowanego świata europejskiej kultury.

Jednak życie w małym prowincjonalnym Polzin, jej rodzinnym miasteczku, najwyraźniej nie spełniło jej oczekiwań. Oddaliła się od rodziny i zaszyła w swym pokoju, gdzie zaczytywała się w książkach, które przysyłali jej przyjaciele i krewni ze Szczecina. Okazywała zainteresowanie tylko wtedy, gdy przychodziły listy od Leo, Ernsta i Rudolfa. Bernhard odczytywał je na głos zawsze podczas wieczornego posiłku, kiedy przy stole zbierała się cała rodzina. Stało się to swoistym rodzinnym rytuałem.

Listy te były dość błahe, głównie z powodu wojskowej cenzury. Synowie nie pisali o tym, co działo się na froncie, i unikali politycznych komentarzy. Wszelkie istotne wiadomości nadchodziły nie z frontu, ale od polityków. Kampania utknęła w martwym punkcie, a wojna w okopach była wykańczającym nerwowo koszmarem. W miarę jak rosło rozczarowanie sytuacją militarną, nasilały się dyskusje na forum politycznym, które docierały aż do Polzin. Piwiarnia przy rynku stała się klubem dyskusyjnym, gdzie alkohol i wiadomości z Berlina tworzyły mieszankę wybuchową.

Bernhard zabronił prowadzenia jakichkolwiek dyskusji politycznych w firmie, tartakach i majątkach. „Płacę wam za pracę. Jeśli chcecie plotkować, idźcie do Reichstagu“, rzucał gniewnie, gdy przyłapał kogoś na łamaniu zakazu. Nawet z Siegfriedem nie chciał rozmawiać o tym, o czym pisano w gazetach. „Politycy zniszczą wszystko, co cenne“, kipiał ze złości. Przy każdej okazji powtarzał, że to socjaldemokraci są odpowiedzialni za wszelkie katastrofy. Siegfried znał poglądy ojca i nawet nie próbował się mu sprzeciwić. Ich rozmowy dotyczyły głównie wspólnych przedsięwzięć w interesach.

Tylko czasem, w samotności, Bernhard pozwalał sobie na stawienie czoła faktom. Były to trudne chwile. Ciężko mu było podważać własne poglądy, które tak gwałtownie głosił wobec otoczenia. Nie dał poznać Henriette, że czasem czuje się jak zdrajca. W końcu fundament całego jego życia spoczywał na tym, co uważał za święte zasady. Zachowywał więc wewnętrzny zamęt dla siebie, mimo że nie mógł całkowicie zlekceważyć nieprzyjemnej rzeczywistości.

Latem 1917 roku kanclerz Rzeszy Bethmann Hollweg został usunięty z urzędu przez wojskowych i Reichstag, ponieważ sprzeciwił się formule pokoju „żadnych aneksji, żadnych kontrybucji“, do której przychyliła się większość parlamentu. Po raz pierwszy centrolewicowa większość Reichstagu zgodziła się na taką koalicję i wzbudziła sensację, proponując negocjacje pokojowe. Wszyscy dawno zdali sobie sprawę, że pierwotne cele wojny stały się już nieaktualne. Koalicja wyprzedziła Hindenburga i Ludendorffa jedynie o rok, lecz w owym czasie taka propozycja wywołała ogromne poruszenie. Ale nawet nowy kanclerz Georg Michaelis twardo popierał zasadę, że kiedy „fakty“ nie przystają już do rzeczywistości, sytuacja musi ulec zmianie. Tymczasem wybuch krwawej wojny domowej w Rosji mógł jeszcze uczynić militarne zwycięstwo możliwym.

Następny rok rozpoczął się falą strajków. Rozgoryczeni i pozbawieni złudzeń robotnicy domagali się chleba i pokoju. Marzenia o zwycięstwie odeszły w niepamięć, a nadzieje na hojne reparacje wojenne - trzykrotność tych, które zapłacili Francuzi z końcem poprzedniej wojny - okazały się złudne.

Na początku marca 1918 roku narzucono Rosji traktat pokojowy w Brześciu. Jednak sytuacja była tak niestabilna, że niemieckie wojsko pozostało związane na wschodzie. Walki trwały także na froncie zachodnim, i to jeszcze ostrzejsze niż dotąd. Wiosną 1918 roku niemieckie naczelne dowództwo podjęło próbę wznowienia wojny pozycyjnej i rozpoczęło wielką ofensywę. Żołnierze pięciokrotnie otrzymali rozkaz opuszczenia okopów. Pięć razy musieli się wycofać. W połowie lipca państwa koalicji rozpoczęły wielką kontrofensywę. Obóz rezerwistów jednostki Leo został całkowicie zniszczony. Gdy ten poszedł obejrzeć budynki, które ucierpiały od ognia artylerii, patrzył przerażony, jak sanitariusze znoszą trupy i rannych z pola bitwy. Czuł, jak wzbiera w nim gniew wobec Francuzów, Brytyjczyków i Amerykanów.

- Powinniśmy mimo to rozpocząć kontrofensywę - wybuchnął do kapitana Tucha, który przyszedł przyjrzeć się stratom i zniszczeniom. Stali tam, wśród betonowych płyt, które runęły podczas bombardowania, otoczeni lejami po bombach, patrząc, jak noszowi zabierają ofiary.

- Co daje panu taką pewność, Herr Doktor? - spytał Tuch. - Nie poruszył pana ten straszny widok?

- Wierzę w Stwórcę i sprawiedliwość historii.

- A nie sądzi pan, że wróg także wierzy w Stwórcę i sprawiedliwość historii? A może pana Bóg jest inny niż nasz?

Leo rzucił mu zdziwione spojrzenie.

- Nie bardzo rozumiem - powiedział. - Nie jest pan przekonany co do słuszności naszej wojny?

- Nie istnieją słuszne ani niesłuszne wojny, Herr Doktor. Są tylko wojny wygrane i takie, które kończą się przegraną. Zwycięzca zawsze ma rację, a przegrany nie.

- To nie do końca moralny pogląd, kapitanie.

- Moralność? Na wojnie? - roześmiał się Tuch. - Szuka pan wody na pustyni?

- Nigdy nie widziałem pana tak przygnębionego.

- Proszę się rozejrzeć dookoła siebie, Herr Doktor. Czy to, co pan widzi, podnosi pana na duchu?

- To część rzeczywistości.

- I zwiastun katastrofy.
- Wygląda na to, że się pan poddaje.
- Nie tylko ja tak uważam.
- Nie, my i zwycięstwo to jedno.

Kapitan Tuch spojrział na niego zdumiony. Potem zniżył głos.

- Widziałem kopię tajnego dokumentu. Raport naczelnego dowództwa. Niech pan zgadnie, co zawiera?

Leo nic nie odpowiedział.

- Z dokumentu wynika - rzekł Tuch - że wygranie tej wojny jest już niemożliwe.

Czternastego sierpnia 1918 roku, cztery lata i czternaście dni od wybuchu wojny, naczelne dowództwo zebrało się w Spa, aby omówić sytuację. To małe belgijskie miasteczko, oddalone około dwadzieścia kilometrów od Liege, pierwsze poddało się niemieckiej armii, co wzbudziło wówczas nadzieję na imponujące i szybkie zwycięstwo. Teraz generałowie nie mieli już złudzeń. Po zwycięskiej kontrofensywie sprzymierzonych na zachodzie wkrótce nastąpił upadek frontu południowego i południowo-wschodniego. Ale minęło niemal sześć tygodni, zanim generalny kwatermistrz Ludendorff zebrał siły i poinformował przywódców politycznych, że wojna jest przegrana i że jedynym wyjściem jest zaproponowanie wrogom zawieszenia broni. Wojskowi zrezygnowali z wszelkiej odpowiedzialności, pozostawiając parlamentowi decyzję o rozpoczęciu negocjacji pokojowych. Reformistyczna większość w Reichstagu - socjaldemokraci, postępowi liberałowie i centryści - pozostający na marginesie w cesarstwie, mieli teraz za zadanie uniknąć wielkiego kryzysu. Ale sprawy obrały własny bieg. Trzeciego listopada wybuchła rewolucja. Dziewiątego listopada kanclerz książę Maks Badeński przekazał władzę Friedrichowi Ebertowi, liderowi socjaldemokratów. Tego samego dnia cesarz Wilhelm II abdykował i udał się na wygnanie do Niderlandów. Jedenastego listopada Niemcy zostali zmuszeni zaakceptować zawieszenie broni na warunkach podyktowanych przez wroga, a zanim stopniał śnieg, proklamowano Republikę Weimarską.

Dowódcy zawiedli na polu bitwy. Ale winą za porażkę obarczano polityków, i to cywil, należący do centrolewicy Matthias Erzberger, w towarzystwie dwóch oficerów z naczelnego dowództwa, był zmuszony udać się niełatwą drogą do wagonu znajdującego się niedaleko bazy ententy, w pobliżu Compiègne. Marszałek Foch, który ich przyjął, nie okazał tradycyjnej francuskiej uprzejmości.

- Nie będzie żadnych negocjacji - oświadczył. - Niemcy przegrali wojnę i zapłacą za to. - Siedemdziesiąt dwie godziny później Erzberger złożył podpis.

Cena, ostatecznie ustalona w traktacie wersalskim z 1920 roku⁵¹, była wysoka. Niemcy straciły Alzację i Lotaryngię na rzecz Francji, a Wielkopolska, Pomorze Gdańskie oraz część Górnego Śląska przypadły Polsce. Gdańsk został ogłoszony wolnym miastem, a Okręg Kłajpedy włączony do Litwy⁵². Dania otrzymała północną część Szlezewiku. Przemysłowy region, powiaty Eupen i Malmedy, przypadł Belgii. Zagłębie Saary z bogatymi złożami węgla na piętnaście lat znalazło się pod administracją Ligi Narodów i zostało zajęte przez Francuzów. Wysoko uprzemysłowione Zagłębie Ruhry było najbardziej dotknięte⁵³.

⁵¹ Traktat wersalski został podpisany 28 VI 1919 przez zwycięskie państwa ententy i pokonane Niemcy, natomiast wszedł w życie 10 I 1920.

⁵² Na mocy art. 99 traktatu wersalskiego obwód został przekazany pod administrację Ligi Narodów (mandat francuski). Zamieszkały był w zdecydowanej większości przez Niemców lub zgermanizowanych Litwinów. Ponieważ Litwini nie posiadali żadnych większych portów morskich, zdecydowali się na zajęcie Kłajpedy. 10 I 1923 r. zainspirowali tam rzekome powstanie antyniemieckie, po czym wojska litewskie wkroczyły do miasta i okręgu w celu „udzielenia pomocy rodakom”. Mocarstwa zachodnie zgodziły się 15 II 1923 r. odstąpić okręg Litwie, pod licznymi warunkami (m.in. ochrona i samorząd dla ludności niemieckiej).

⁵³ Francuzi zajęli Zagłębie Ruhry w styczniu 1923 r., aby wyegzekwować spłatę reparacji wojennych.

Wszystkie kolonie przejęli zwycięzcy⁵⁴. Naczelne dowództwo zostało rozwiązane, armia zredukowana do stu tysięcy żołnierzy, a jej uzbrojenie ściśle ograniczone. Wprowadzono całkowity zakaz wyposażania armii w czołgi, samoloty bojowe, okręty podwodne. Zakazano również używania gazów bojowych. Ponadto w 1921 roku ustalono ostatecznie sumę reparacji na sto trzydzieści dwa miliardy marek w złocie, której to, zakładając nawet najszczerze chęci, Niemcy nie byłoby w stanie spłacić.

Mimo że warunki traktatu nie były jeszcze sprecyzowane, gdy podpisywano rozejm, sen Niemiec o wielkiej potędze prysnął, a wojskowi nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności. Opinia publiczna miała poczucie, że armia walczyła, ale politycy zdradzili społeczeństwo i sprzedali kraj. Fakt, że wśród nich byli Żydzi, nie mógł poprawić sytuacji.

Dla Bernharda wiadomość o druzgocącym końcu wojny była poważnym ciosem. Bóg nie wysłuchał jego modlitwy, którą wypowiedział w dniu wybuchu wojny. Cesarz uciekł, kraj padł. Filary jego filozofii życiowej legły w gruzach. Jakby tego nie było dość, tłumy w Monachium i Berlinie powiewały czerwonymi sztandarami, wykrzykując rewolucyjne slogany. Bernhard nie popierał liberałów i nienawidził socjaldemokratów, a sama myśl o komunistach przerażała go.

- Może lepiej byłoby wyjąć pieniądze z banku i schować w domowym sejfie - zasugerował Siegfriedowi.

- Już to zrobiłem przed dwoma tygodniami - odparł syn, puszczając do ojca oko. - Wyciągnąłem mniej więcej połowę depozytu w gotówce i wszystkie obligacje. Nie chciałem zamykać kont, ponieważ z pewnością wzbudziłoby to podejrzenia.

Bernhard skinął głową i powstrzymał się od komentarza. W każdej innej sytuacji złałby syna za działanie bez porozumienia z nim. Tym razem jednak wołał przemilczeć, ponieważ był pewien, że pieniądze są bezpieczne, a on nie musi się już o nic troszczyć.

Henriette zaczęła się martwić o męża, ponieważ Bernhard coraz bardziej zamykał się w sobie. Udanie się Wilhelma II na wygnanie do Niderlandów było dla niego niemal osobistą zniewagą. Pewnego dnia zaskoczył swoją żonę, mówiąc:

- Nasz czas, moja droga, dobiegł końca. Henriette spojrzała na niego.

- Musimy przystosować się do nowych czasów, Beri - powiedziała.

- O nie. Wydaje mi się, że nie uda się nam przejść przez ten most. Nie należę do tego nowego świata.

- Ernst i Leo wkrótce wrócą do domu i wszystko będzie dobrze.

Bernhard westchnął.

- Czasem się zastanawiam, do jakiej rzeczywistości wrócą. Do Niemiec Karla Liebknechta i Róży Luksemburg? Spartakusowcy przyczepili nam etykietkę, której ludzie tak łatwo nie zapomną. A teraz jeszcze ta republika, demokracja, druzgocąca porażka... Nie mam pojęcia, czy jeszcze bardziej możemy się pogрузzyć, ale jednego jestem pewien - my, Żydzi, będziemy musieli za to zapłacić.

- Przesadzasz. Wszystko będzie jak dawniej. Zawsze lubiłeś cytować Koheleta. Pamiętasz? „Pokolenie przychodzi i pokolenie odchodzi, a ziemia trwa po wszystkie czasy”⁵⁵.

Bernhardowi przemknął przez usta uśmiech.

- Wiesz, co najbardziej w tobie kocham?

- Nigdy mi nie mówiłeś.

- Twoją zdolność przystosowywania się do rzeczywistości... Może dlatego nasze małżeństwo jest takie udane. Żyliśmy pod jednym dachem przez tyle lat, a czasem nawet czuliśmy się naprawdę sobie bliscy ... Czy to nie jest sukces?

⁵⁴ Kolonie zostały rozdzielone pomiędzy zwycięskie państwa i przekazane pod zarządek Ligi Narodów, podzielone na mandaty A, B i C.

⁵⁵ Księga Koheleta 1,4 (Biblia Tysiąclecia).

Henriette odłożyła robótkę. Przysunęła się do męża i ujęła jego dłoń. Była szorstka i chłodna.

- Za bardzo się martwisz, Beri - powiedziała. - Zaparzyć ci herbaty?

- Zawsze próbujesz rozwiązać problemy świata filiżanką herbaty i kawałkiem jabłkowego strudla.

- Właśnie mi powiedziałeś, że jak dotąd nie najgorzej sobie radzę.

Ernst został zwolniony ze służby pod koniec listopada i wrócił do Berlina. On także wzdragał się na myśl o tych, którzy popierali republikę, o ludziach takich jak Philipp Scheidemann i Konstantin Fehrenbach. Mimo to był pewny, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby objął urząd sędziego.

Tak pisał do ojca do Polzin:

„Powróciłem teraz do zawodu prawnika. Pracy nie brakuje, nie muszę się więc martwić o to, czy zdołam zarobić na życie, a przyszłość moich dwóch dziewczynek wydaje się bezpieczna. A mimo to, podobnie jak tobie, trudno mi zaakceptować fakt, że tron cesarza jest pusty i od tej chwili będzie jedynie eksponatem muzealnym. Może nadejdzie dzień, kiedy wróci na swoje prawowite miejsce, ponieważ Niemcami zwyczajnie nie mogą rządzić ministrowie, którzy kłócą się o to, jakie powinny być te «nowe Niemcy», jak je nazywają, i jaką drogę powinni obrać. W mieście widać niepokoje, co dzień jakieś demonstracje za lub przeciwko czemuś, czasem zdaje mi się, że jacyś szaleńcy uciekli z klatek naszego zoo, czy też znalazłem się w zakładzie dla obłąkanych. W dniu abdykacji cesarza przelało się tu mnóstwo krwi, ale jeszcze tego samego dnia lał się szampan na przyjęciu na cześć Ernsta Lubitscha. Pokazywał swój film «Carmen» z Polą Negri. Mówią, że Negri jest gwiazdą jutra. Inni twierdzą, że prawdziwą gwiazdą jutra jest Róża Luksemburg. Ale czasem zadaję sobie w duchu pytanie: czy będzie jakieś jutro? Wielu naszych przyjaciół przewiduje, że będziemy mieli tu państwo komunistyczne. Pocięszam się myślą, że naród niemiecki w końcu znajdzie w sobie siłę i dość zdrowego rozsądku, aby zwalczyć ten kryzys. Jeśli nie, może przyjdzie mi żałować, że nie zginąłem na tej wojnie...“.

W połowie stycznia 1919 roku w komunistycznym powstaniu spartakusowców w Berlinie nastąpił niespodziewany zwrot. Gustav Noske, socjaldemokrata, który jako członek Rady Robotniczej przejął resort wojskowy, doprowadził powstanie do krwawego końca, aby powstrzymać rewolucję. „Ktoś musi być wywiadowcą! - ogłosił. - Nie uchylam się od swoich obowiązków!“.

Noske propagował prostą materialistyczną formę socjalizmu bez ideologicznej otoczki. W młodości marzył o zawodzie leśniczego, ale rodziców nie było stać na opłaty za naukę, zajął się więc wyplataniem koszyków. „Karl Liebknecht pragnął zostać niemieckim Leninem“, powiedział, unosząc kieliszek, gdy dowiedział się o makabrycznym zabójstwie przywódcy Związku Spartakusa. Nie dostrzegając niebezpieczeństwa zbliżającego się z prawej strony.

Walka o władzę między przeciwnymi obozami nasilała się, a starcia na ulicach Berlina były w owym czasie na porządku dziennym. Róża Luksemburg i Karl Liebknecht zostali zamordowani w okrutny sposób. W walkach w stolicy wszystkie chwytły były dozwolone. Dziesiątki tysięcy żołnierzy po powrocie do domu zasilili szeregi bezrobotnych, a inwalidzi wojenni wyszli żebrac na ulice. Wszyscy ci, którzy nie pasowali do demokratycznego porządku społecznego i jego instytucji, zaczęli organizować korpusy ochotnicze⁵⁶. W tym czasie wybuchła w mieście epidemia grypy. W szpitalach publicznych brakowało łóżek dla chorych, a niewiele osób mogło sobie pozwolić na prywatną opiekę medyczną. Mimo takiej sytuacji zamożni oraz ci, którzy zyskali na ciemnych interesach podczas wojny, prowadzili wystawne życie. W tym chaosie rodziła się republika. Z powodu niepokoju politycy unikali

⁵⁶ Niem. Freikorps.

Berlina i wycofali się do Weimaru, aby tam z dala od codziennych starć opracować konstytucję.

Wielu przeciwników nowego państwa drwiło z faktu, że narodziny republiki nawet nie odbyły się w jej stolicy.

Leo, wychowany w duchu pruskiego ładu, nie miał za grosz zrozumienia dla tego zgiefku. Otrzymał dokumenty potwierdzające zwolnienie ze służby około trzech miesięcy przed proklamowaniem republiki. Jego pożegnanie z jednostką było krótkie. Kapitan Tuch uściskał mu serdecznie dłoń i powiedział: „Spędziliśmy razem cztery lata. To krótki epizod wobec całej historii, ale w kontekście ludzkiego życia to czyste marnotrawstwo“. Leo nic na to nie odpowiedział. Był innego zdania. Spakował więc swoje rzeczy, włączając w to medal z koroną, najwyższe odznaczenie w służbie wojskowej, oraz list polecający od generała piechoty Fasbendera.

Przyjechał do Polzin w wigilię Bożego Narodzenia. Rodzina przygotowała na jego cześć wspaniałe przyjęcie. Henriette przyrządziła wszystkie ulubione potrawy, a drzwi domu przystrojono papierowymi kwiatami w jaskrawych kolorach i zawieszono transparent z wypisanymi ozdobnym pismem słowami: „Witaj w domu!“. Hannah, wówczas czteroipółletnia, i o rok od niej młodsza Eva miały wyrecytować ojcu wierszyki. Tylko Siegfried został w biurze, aby przygotować roczne zestawienie bilansowe, ponieważ chciał zaimponować bratu i natychmiast pokazać, jak sprawnie funkcjonowała firma podczas jego nieobecności.

Bernhard z dwoma pracownikami pojechał na dworzec, aby odebrać syna i przywieźć go do domu. Gdy naczelnik stacji rozpoznał Bernharda, uniósł dłoń do czerwonej czapki i zasalutował. Mimo popołudniowych godzin zmierzchało już. Śnieg stopniał i zmienił się w mokrą breję. Dzień był nieprzyjemny, deszczowy. Cała trójka usiadła w nieogrzewanej poczekalni. Na zewnątrz czekał woźnica, żując tytoń. Naczelnik stacji przeprosił:

- Pociąg jest opóźniony o godzinę i trzydzieści jeden minut. Przykro mi, obawiam się, że nawet kolej nie jest już taka jak dawniej.

- Mój syn ma czteroletnie opóźnienie, ale się nie skarżę - odparł Bernhard. Nie było jasne, czy jest cyniczny, czy po prostu szczerzy.

Leo w końcu wysiadł z wagonu trzeciej klasy. W lewej ręce trzymał zniszczoną walizkę, na ramieniu wypchany chlebak. Ojciec i syn uścisnęli się krótko.

- Nie wyglądasz, jakbyś właśnie wrócił z wojny - brzmiały pierwsze słowa Bernharda. Dopiero potem spytał syna, jak się czuje.

- Fizycznie jestem w dobrej formie - odparł Leo bez dalszych wyjaśnień.

W drodze do domu, w dorożce, Bernhard położył dłoń na ramieniu syna, jakby chciał go objąć, ale w ostatniej chwili się zawahał.

- Przygotowaliśmy dla ciebie królewskie powitanie, ze strudlem jabłkowym i wierszykami - powiedział. - Mama nie może się doczekać, żeby cię zobaczyć.

Leo milczał. Dorożka jechała znajomymi ulicami, ale on nawet na nie nie spojrział. Siedział wyprostowany jak struna, w nienagannej wojskowej pozie, bez słowa. Dopiero gdy podjechali pod dom, przerwał milczenie i cicho rzekł:

- Mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zły, ale jestem okrutnie zmęczony. Marzę tylko o tym, żeby położyć się spać.

Wojna wycisnęła swoje piętno, ale przynajmniej rodzina Levych przetrwała bez strat materialnych. Leo przespał niemal dwa dni. Po tym odpoczynku bracia usiedli w starym biurze przy Brunnenstrasse, aby ocenić sytuację.

- Ojciec jest niesamowity - stwierdził Siegfried, rozkładając na stole zestawienia mówiące o transakcjach firmy na rynku zbożowym. Ich aktywa wynosiły około trzech milionów marek, co było kolosalną sumą jak na prowincjonalną firmę. Zostały one bezpiecznie

zainwestowane w obligacje i nieruchomości, a jedynie niewielki procent wpłacono do starego banku w Szczecinie. Faktycznie rodzina Levych była bogata niczym Krezus! Mimo to prowadzili skromne życie, charakterystyczne dla mieszkańców małego prowincjonalnego miasteczka. Nie kupiono żadnych nowych mebli, kobiety ubierały się prosto, a dzieci nie otrzymywały nadmiernie wysokiego kieszonkowego. Dom prowadzono bardzo oszczędnie. Sugestię Siegfrieda, aby kupić samochód, Bernhard uznał za „kompletnie szaloną“.

Pomysł ten w rzeczywistości pochodził od kuzyna Siegfrieda, Rudolfa. Rudolf powrócił do farb i sztalug, teraz w Akademii Sztuk Pięknych w Monachium, ale wojenne doświadczenie z samochodami zostawiło ślad. Listy do krewnych z Polzin zaowocowały tym, że zaraził swoją pasją Siegfrieda. Ale Bernhard nie chciał mieć nic wspólnego z tym „diabelskim wynalazkiem“. Nie miał nic przeciwko samochodom jako takim, ponieważ mimo wieku i konserwatywnego światopoglądu zawsze pozostał otwarty na praktyczne sugestie. Jego zdecydowana odmowa była spowodowana raczej niechęcią wobec Rudolfa. W czasie wojny doszły go słuchy, że Rudolf zadaje się z podejrzanymi typami. Teraz odkrył, że jego bratanek poznał chrześcijankę i młodzi zamierzają się pobrać. Nie znał większego grzechu niż zdrada wobec religii i pochodzenia. Judaizm stanowił podstawę jego życiowej filozofii. Podobnie jak Jäckelowi i Ascherowi, udało mu się stworzyć pomost między żydowską wiarą a niemiecką narodowością. Miał świadomość, że jest to wąski i chwiejny most, i obawiał się wszelkich wstrząsów, które mogłyby spowodować runięcie tej delikatnej konstrukcji.

W społeczeństwach europejskich wartości religijne przez wiele pokoleń stanowiły fundament moralny, lecz zaczął on stopniowo kruszeć w wyniku rewolucji francuskiej. Już pod koniec dziewiętnastego wieku współczesny człowiek w coraz mniejszym stopniu definiował swoją tożsamość ze względu na religię. Sprawy świeckie wiodły prym. Bernhard nie mógł się przyzwyczaić do nowej orientacji wartości uniwersalnych. Ostrzeżenie jego ojca, Aschera Levy'ego, komentującego Teodora Herzla, wciąż dźwięczało mu w uszach: „To początek *danse macabre*.”

Danse macabre dawno się rozpoczął i nic nie mogło go zatrzymać. Bernhard protestował przeciwko temu z całych sił: „Człowiek, który polega tylko na sobie i nie odwołuje się do wiary w Boga, jest stworzeniem, któremu grozi utrata moralnego fundamentu. Ponieważ nie mamy prawa istnieć bez podstaw moralnych, tego typu postępek jest równoznaczny z samobójstwem“, pisał do Ernsta do Berlina. Ale nie wiedział o tym, że Ernst przekroczył już granicę. Gdy Bernhard go odwiedził, ku swemu przerażeniu odkrył, że syn i synowa nie przestrzegają już zasad koszerności. Podczas pobytu u nich jadł więc tylko jajka na twardo. Wahał się, czy zganić ich, czy przemilczeć całą sprawę. Obawiał się jednak, że nie ma siły na tego typu kłótnie, i w końcu zrezygnował z umoralniającego kazania. „Niewątpliwie przemilczenie problemu było przejawem słabości z mojej strony i poważnym błędem“, napisał do Henriette. Wiedział dobrze, że wielkie zmiany zaczynają się od małych kroków, a dla niego ten pierwszy krok nieuchronnie prowadził w stronę przepaści.

Tymczasem Siegfried i Lisbeth przeprowadzili się do pięciopokojowego mieszkania wynajętego na drugim piętrze kamienicy przy Friedrich-Karl-Strasse, w cichej dzielnicy mieszkalnej Szczecina. Ten dom także zarzucił tradycyjny żydowski styl życia. Gdy Siegfried i Lisbeth wyjeżdżali od rodziny z Polzin, Bernhard wręczył synowej portret Majmonidesa: „Powieś to w salonie - nakazał jej i dodał: - Jeśli zastanawiasz się, skąd pochodzimy, spójrz na niego, żebyś nie zapomniała, gdzie nasze miejsce“. Siegfried pocałował ojca w policzek i wziął stary obraz. Lisbeth owinęła go w brązowy papier, i tak przeleżał aż do dnia, w którym musieli uciekać z Niemiec.

Wiosną 1920 roku wyjechała także Ida, najpierw do Berlina, a stamtąd do Kolonii. Wielki dom opustoszał. Bernhardowi zrobiło się ciężko na sercu.

- Pieniądze nie zastąpią rodziny - powiedział ze smutkiem do żony.

Henriette starała się go pocieszyć.

- W końcu mamy jeszcze Leo.

Pewnego wieczoru, gdy jak zwykle siedzieli w salonie, a Henriette robiła na drutach, Bernhard, zagłębiony dotąd w lekturze, rzucił nieoczekiwanie:

- Nasze dzieci i wnuki są rozproszone jak lud żydowski po zburzeniu Świątyni. Gdy my odejdziemy, rodzina Levych przestanie istnieć.

Kilka dni później, dziewiętnastego maja 1920 roku, Henriette obudziła się wczesnym rankiem. Miała dziwne przeczucie. Z początku pomyślała, że przyśnił jej się koszmar, jeden z tych snów, które trwają zaledwie kilka sekund, i choć nie pamięta się ich treści, ciążą jeszcze przez wiele godzin po przebudzeniu. Promienie słońca wpadały przez okno. Usłyszała kroki mleczarza na schodach przed domem. To oznaczało, że jest wpół do siódmej. Podniosła głowę, wsłuchując się w codzienne odgłosy poranka. Nagle zrozumiała, dlaczego tak dziwnie się czuje - nie słyszała ciężkiego oddechu męża.

Od dnia ich ślubu, pierwszego września 1874 roku, dzielili to ogromne łóżce, które stało w ich sypialni niczym zakotwiczony w niej starodawny drewniany okręt. Na nim wydała na świat pięcioro dzieci, a także - z powodu jego szerokości - mogła zachować pewną prywatną przestrzeń. Kiedyś zażartowała z tego, mówiąc, że przypomina jej owe majestatyczne meble ze szlacheckich domów, gdzie mąż i żona siedzą po przeciwnych końcach stołu i mogą porozumiewać się jedynie przez służących.

Usiadła, wsparła się na łokciu i nachyliła do męża. Bernhard był odwrócony do niej plecami. Delikatnie dotknęła jego nocnej koszuli, ale jeszcze zanim przyłożyła dłoń do jego czoła, wiedziała, że jest zimne. Lekarz mógł jedynie wypisać akt zgonu. Przyczyna śmierci - „naturalna“.

W południe zabrano ciało. Henriette wpatrywała się w nie suchymi oczami. Ból i rozpacz tłumiała w sobie. Ku jej wielkiemu zdumieniu nagle zdała sobie sprawę, że potężne, zwaliste ciało Bernharda jakby skurczyło się. Zastanawiała się, czy stało się tak dlatego, że dusza opuściła swą skorupę.

Wszelkie oznaki szacunku i luksusu, które Bernhard Levy odrzucał za swego życia, zostały wyeksponowane podczas pochówku. Cała socjeta Polzin pojawiła się na pogrzebie, który przełożono na następny dzień, aby mogli dojechać członkowie rodziny spoza miasteczka. Lokalna gazeta poświęciła temu wydarzeniu całą stronę. Burmistrz przyszedł w oficjalnym stroju i wygłosił mowę pochwalną nad grobem długoletniego członka rady miasta. Szedł w kondukcje tuż za rodziną, za nim współnicy, dyrektor banku w Szczecinie i przedstawiciele robotników z rodzinnych tartaków, fabryk i majątków. Przysłano wieńce pogrzebowe z czarnymi wstęgami - od organizacji charytatywnych, które Bernhard wspierał przez wiele lat, od lokalnych władz kolei, bo firma Levych była jednym z jej najlepszych klientów, od kancelarii prawnej Doktor Heinrich Marcuse i Wspólnicy, która przez lata reprezentowała interesy firmy, od Stowarzyszenia na rzecz Edukacji Sierot Żydowskich w Palestynie, które Bernhard przestał wspierać, ale które najwyraźniej chciało o sobie przypomnieć, spodziewając się zapisu w testamencie, od ochotniczej straży pożarnej, której przed dwoma laty podarował drabinę do wozu strażackiego, i od przyjaciół, a także wrogów pragnących pojednania. Trzy zakurzone automobile przyjechały ze Szczecina, przywożąc rabina Mosesa Vermusa i delegację wraz z kantorem Garbarskim, który odśpiewał modlitwy miękkim, aksamitnym głosem. Przyjechała też Anna Lewy, w której domu Siegfried i Lisbeth się poznali. Przy bramie małego żydowskiego cmentarza stali szoferzy w uniformach i woźnice wzdłuż długiego sznura samochodów i powozów, którymi przyjechali żałobnicy. W ten sposób pogrzeb pokazał prawdziwe znaczenie i wpływy rodziny Levych, choć Bernhard nigdy nie starał się być w centrum zainteresowania, wolał raczej pozostać w cieniu.

Po pogrzebie Leo zarządził zamknięcie biura przez okres *sziva*. Przerwano pracę i członkowie rodziny zebrali się w domu Levych na tydzień oficjalnej żałoby. Leo zaczął czy-

tać z traktatu Sanhedryn⁵⁷ na temat pogrzebu i żałoby, aż poproszono go, by przestał, i zasugerowano zmianę tematu.

Gdy skończył się okres *sziva*, rodzinny notariusz ponownie przyjechał ze Szczecina. Najpierw spotkał się z Henriette i spędził z nią dość dużo czasu. Następnie udał się do biura Leo i Siegfrieda. Położył przed nimi zapieczętowaną kopertę i powiedział:

- Przywiozłem testament waszego ojca. Spisał go na osiem dni przed śmiercią i poprosił, aby otworzyć go w waszej obecności po *sziva*. Proponuję, żebyśmy spotkali się dziś po południu w mieszkaniu starszej Frau Levy.

Tym razem Henriette nie upiekła swojego słynnego jabłkowego strudla. Gospościa przygotowała herbatę i kanapki. Doktor Marcuse odchrząknął i wszyscy zamilkli.

- Panie i panowie, chciałbym prosić o uwagę - rzekł z ponurą miną. Otworzył kopertę i wyjął z niej kilka kartek, pokrytych drobnym pismem. Następnie powoli odczytał ich treść, podkreślając nazwiska, liczby i warunki:

„Moja ostatnia wola!

1. Mojej drogiej żonie Henriette, z którą byłem szczęśliwie żonaty od pierwszego września 1874 roku, poza wyposażeniem domu zapisuję spadek w wysokości 400 000 marek, wypłaconych w ciągu trzech miesięcy od mojej śmierci, która to suma w przeważającej części ma pochodzić z hipotek i długów gruntowych na moje nazwisko oraz papierów wartościowych na berlińskiej giełdzie. Do końca życia będzie miała zapewnione prawo swobodnego dysponowania tym kapitałem i odsetkami, jednakże chciałbym, aby skorzystała z rad i pomocy naszego syna, Leo, a w razie jego niedyspozycji z porady naszego syna Siegfrieda. Ponadto moja żona zachowa prawo do mieszkania w tych samych pomieszczeniach, które obecnie zajmujemy. Po śmierci mojej żony kapitał ten winien zostać rozdzielony po równo pomiędzy pięcioro moich dzieci.

2. Ustanawiam spadkobiercami pięcioro moich dzieci: Linę, Ernsta, Siegfrieda, Leo i Idę, z zastrzeżeniem, że sumy przekazane jako posag, pożyczki i pomoc nie będą dodane, ale odjęte od spadku.

3. Suma 50 000 marek w gotówce powinna, wedle uznania większości spośród moich pięciu synów i zięciów, zostać rozdzielona w kwotach, które uznają za właściwe, pomiędzy organizacje żydowskie ogólne i dobroczynne, i wypłacona w ciągu sześciu miesięcy bądź przekazana biednym.

4. Dalsze 10 000 marek ma zostać, podobnie wedle uznania większości moich synów i zięciów, rozdzielone między te żydowskie stowarzyszenia etc., które dotychczas otrzymały ode mnie roczny datek“.

Po tym następowała seria skomplikowanych instrukcji, dotyczących głównie ustanowienia funduszu dla jego wnuczek. Jednakże pieniądze miały być wypłacone jedynie pod warunkiem, iż dziewczęta pozostaną Żydówkami, poślubią Żydów i obiecują wychować dzieci na Żydów. Spadek przewidziany dla Rudolfa Levy'ego także stał się przedmiotem ograniczeń wuja:

„8. Mojemu bratankowi Rudolfowi Levy'emu, obecnie zamieszkałemu w Monachium, zapisuję spadek w wysokości 5000 marek, pod warunkiem iż jego żona przejdzie na judaizm. Pięć procent owego kapitału będzie wypłacane co pół roku od chwili wypełnienia tego warunku, a gdy ukończy on sześćdziesiąt lat, reszta zostanie wypłacona w gotówce.

9. Biorąc pod uwagę obecną sytuację ekonomiczną i polityczną z jednej strony i wynikającą z tego kondycję interesów firmy, niemożliwe jest sporządzenie wiążących ustaleń w obecnej chwili na wypadek niezgodności pomiędzy moimi dziećmi. Jednakże moim

⁵⁷ Jeden z traktatów Miszny.

zyczeniem jako ojca jest, aby moi synowie Siegfried i Leo kontynuowali działalność firmy założonej przez jego zmarłego ojca i zarządzanej przeze mnie w ten sam sposób, i żeby zachowali ją w tym samym starym stylu... Ażeby moje życzenie mogło zostać spełnione, pozostała trójka dzieci powinna w najwyższym stopniu iść im na rękę.

Gdyby jednak wbrew mojemu życzeniu okazało się, że osiągnięcie wzajemnego porozumienia co do przejęcia firmy jest niemożliwe, nalegam, aby firma została z konieczności zlikwidowana, bez zgody Siegfrieda i Leo, w ciągu czterech lat, począwszy od pierwszego września po mojej śmierci. Po oszacowaniu wartości fabryk, maszyn i ziemi, na której się znajdują, Siegfried i Leo mają mieć zapewnione prawo pierwokupu.

Gdyby Siegfried i Leo nie byli w stanie dojść do porozumienia w jakiegokolwiek sprawie w kwestii prowadzenia firmy, zadecyduje głos większości moich synów i zięciów, skutkiem czego jeden z synów zostanie dyrektorem firmy“.

Testament kończył pamiętny ustęp:

„Wraz z moją żoną zawsze żyliśmy zgodnie z zasadami żydowskich nauk i nie zapominaliśmy o tych, którzy byli w potrzebie. Moje dzieci zostały wychowane w ten sam sposób. Najwyraźniej Boże błogosławieństwo spłynęło na nasze dzieci i ich potomków, jak również na nas, moje interesy i przedsięwzięcia. Namawiam moje dzieci, aby żyły według tych samych zasad i przekazały tę naukę własnym dzieciom. Jeśli któryś z moich potomków porzuci judaizm z jakichkolwiek egoistycznych pobudek, powinien na zawsze zostać wykluczony ze społeczności rodzinnej. Chciałbym, aby błogosławieństwo niebios, które mam nadzieję nadal będzie opromieniać moją rodzinę, odwróciło się od tego zdegenerowanego potomka. Żądam, aby moje dzieci i ich potomkowie, zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, po ukończeniu szesnastego roku życia zostali o tym poinformowani i przypomniano im o tym co pewien czas“.

Prawnik skończył i odłożył kartki na stół.

- Czy wszystkie warunki są jasne i zrozumiałe? - spytał.

W pokoju zapanowała absolutna cisza. Tylko Henriette, która podczas całego tygodnia żałoby nie uroniła ani jednej łzy, teraz zanosła się nieutulonym płaczem.

5. Początek końca

- Bardzo mi miło powitać naszego gościa - powiedział Curt von Bleichröder, wyciągając dłoń do Siegfrieda Levy'ego.

- Nasi dziadkowie byli dobrymi współnikami. Obaj byli zaiste dalekowzroczni, mimo iż ledwie widzieli.

Młody bankier zaśmiał się sucho. Podobne zabawy słowne były jego specjalnością. Siegfried nic nie odpowiedział. Jedynym powodem, dla którego znalazł się tutaj, było to, że ktoś w jego położeniu nie mógł odrzucić zaproszenia od jednego z najważniejszych bankierów, nawet jeśli nie znosił Bleichrödera. Choć Siegfried miał bardzo liberalne poglądy, nie akceptował tego, że Curt, podobnie jak pozostali potomkowie Bleichrödera, porzucił judaizm dla protestantyzmu. W tej sprawie miał dokładnie takie same przekonania, jak jego zmarły ojciec. Kiedy ten ostatni dowiedział się, że wszyscy synowie Bleichrödera przeszli na chrześcijaństwo, poprzysiął, iż jego stopa nigdy nie postanie w domu przy Behrenstrasse. Siegfrieda zaś rozsierdziła teraz wiadomość, że bankier przyłączył się do Stahlhelmu⁵⁸. W końcu po długich wahaniach zgodził się przyjąć zaproszenie. Postanowił nawet zastosować się do zasad towarzyskich i nie okazywać niechęci. Bleichröder, który niczego nie podejrzewał, poprowadził Siegfrieda do siedzących w drugim końcu dużego pokoju nieznanym. Gdy podeszli, jeden z mężczyzn, mniej więcej pięćdziesięcioletni, wstał, przyglądając się im uważnie przez binokle w złotych oprawkach. Drugi nie ruszył się z miejsca.

- Poznajcie się, panowie - rzekł gospodarz - Herr Otto Spangler, tajny radca w Ministerstwie Finansów, oraz Paul Schwabach junior, prezes naszego banku.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Siegfried rad nierad usiadł. Czuł się wyjątkowo niezręcznie. Bez wątpienia jego matka także nie byłaby zadowolona z tego spotkania. Ale Henriette zmarła w 1922 roku, mniej więcej dwa lata po mężu. Z powodu olbrzymich reparacji wojennych, które Niemcy musiały wypłacić zwycięzcom, w kraju panowała atmosfera kryzysu i porażki, dlatego jej pogrzeb był skromny i cichy. Niecały miesiąc później nadeszło niespodziewane zaproszenie z Berlina. W zasadzie to Leo powinien wziąć udział w tym spotkaniu jako dyrektor firmy, ale odmówił kontaktu z bankierem, „którego zachowanie byłoby policzkiem dla naszego ojca, niech pamięć jego będzie błogosławiona“. Siegfried przekonywał brata z właściwym sobie pragmatyzmem: „W końcu nie mamy nic do stracenia, a może nawet moglibyśmy coś zyskać“, ale bez powodzenia. Postanowił więc sam udać się do Berlina. Leo był wściekły. Siegfried próbował go udobruchać żartem: „Nie słyszałem, żeby konwersja na chrześcijaństwo była zaraźliwa“.

A jednak obawy Bernharda były całkowicie uzasadnione, bo przestrzeganie tradycyjnych zasad nie było łatwe. Bernhard przewidział to i próbował narzucić swoją wolę, wykorzystując do tego testament. Leo podzielał niepokoje ojca. Od kiedy stał się głową rodu Levy'ch w Polzin, nalegał, aby zamienić dom w twierdzę i zignorować wszelkie zewnętrzne wpływy. Z około tuzina żydowskich rodzin, które pozostały w miasteczku, jedynie dwie lub trzy prowadziły kosztowną kuchnię. Teraz problemem stało się nawet zebranie minjanu na modlitwę szabatową. Ale w domu Levy'ch wciąż przestrzegano zasad dotyczących pożywienia, jak za czasów Bernharda i Aschera. Jednak ci członkowie rodziny, którzy

⁵⁸ W styczniu 1942 roku Curt von Bleichröder odwołał się przeciwko deportacji do obozu koncentracyjnego, ponieważ był „pół-Zydem“, powołując się ponadto na swoje zasługi dla nazistów jako członka Stahlhelm (prawicowej paramilitarnej organizacji kombatantów). Adolf Eichmann, Obersturmbannführer SS odpowiedzialny za deportacje, który zajmował się jego sprawą, zgodził się na wysłanie go w zamian do „Getta Starców“. Curt von Bleichröder, wiedząc, że oznacza to Theresienstadt, uciekł do Szwajcarii. Jego siostra, baronowa von Campe, została deportowana do getta w Rydze, gdzie zmarła (przyp. aut.).

wyprowadzali się z Polzin, oddalali się także od swoich korzeni. Leo, który często jeździł do Berlina w interesach, zauważył, tak jak przedtem Bernhard, że w domu jego brata Ernsta nikt nie rozdziela już mleka i mięsa, a brat ze swoją rodziną jeździ tramwajem w Szabat i święta. Jego siostry, Lina i Ida, nie zapalały już świec w piątkowy wieczór. Ida rozwiodła się z Paulem, choć trzeba przyznać, że zaczekała z tym do śmierci rodziców, aby ich nie ranić. A kiedy jego kuzyn Rudolf poślubił gojkę, cała rodzina z Polzin w ramach protestu odmówiła uczestnictwa w ceremonii ślubnej. Siegfried jako jedyny złożył Rudolfowi gratulacje przez telefon. Choć Siegfried nigdy nie porzucił judaizmu, on także nie przestrzegał micwot. Kiedy przyjeżdżał z wizytą do Polzin, dopasowywał się do tamtejszego stylu życia, głównie po to, by nie denerwować Leo. Ale w swoim domu w Szczecinie on i Lisbeth prowadzili w zasadzie niereligijne życie.

Siegfried różnił się od innych członków rodziny zarówno charakterem, jak i wyglądem. Był optymistą, który cenił sobie drobne przyjemności w życiu i lubił wesołe towarzystwo. Kupił drugie mieszkanie przy Badenallee 25 w berlińskiej dzielnicy Charlottenburg i wkrótce odkrył uroki stolicy. Leo wyrzucał mu to w przyjaznej formie: „Gdyby mój brat poświęcał się z takim samym zapalem studiowaniu Talmudu co zgłębianiu menu restauracji, już dawno zostałby uczonym“. Ale święte pisma nie odgrywały żadnej roli w domu Siegfrieda. Lisbeth zaczytywała się w romansach, Siegfried zaś wolał raporty giełdowe, które wydawały mu się bardziej zajmujące. Nadzwyczaj szybko odkrył tajniki skomplikowanych transakcji finansowych i wiele osób powierzało mu pieniądze, aby podwoił lub potroił dla nich zyski. Złośliwi rozsiewali później plotki, że wymienił ten kapitał na funty szterlingi, po czym zdeponował w angielskim banku na początku inflacji, żeby wyciągnąć je, gdy marka sięgnęła dna. Mówiono, że w ten sposób wymościł sobie gniazdko kosztem tych, którzy powierzyli mu pieniądze. Choć Siegfried i Lisbeth stanowczo odpierali te zarzuty, wiele osób zastanawiało się, jakim cudem zbił on taką fortunę.



Od lewej (w górnym rzędzie): brat i matka Lisbeth, Lisbeth, Siegfried, Rudolf i Käthe. Od lewej (w dolnym rzędzie): ojciec Lisbeth Naphtali, jej brat Oskar i Ernst Levy, Gdańsk 1902 r.

Kiedy do Polzin przyszło zaproszenie od młodego Bleichrödera, Siegfried miał nadzieję na korzystną inwestycję. Ale to, co usłyszał, gdy usiadł naprzeciw bankiera, przekroczyło jego najśmielsze oczekiwania.

- Sugeruję, abyśmy od razu przeszli do interesów - zaproponował Curt von Bleichröder. Tajny radca przytaknął.

- Zamieniam się w słuch - oświadczył Siegfried i rozpostarł ramiona, jakby chciał objąć cały świat.

- Ile tartaków pan obecnie posiada? - spytał Spangler. Siegfried począł wymieniać:

- Jesteśmy właścicielami tartaków w Kollatz i Gross Linichen oraz Gustav Möller & Następcy w Köslin. Poza tym mamy udziały w kilku innych przedsiębiorstwach, włączając w to tartaki w Neuhof⁵⁹. Także folwark Neu Buslar⁶⁰ oraz zakłady wapiennicze w Gramenz. Zakłady dzierżawimy od dawna i mamy większość udziałów we wszystkich spółkach.

- Tak też myślałem. Na Levych można polegać - zauważył z zadowoleniem Bleichröder.

- To nie tajemnica. Inwestowaliśmy nasz majątek tak wszechstronnie, jak to tylko było możliwe. - Siegfried spojrział na bankiera i dodał:

- To rodzinna tradycja Levych.

- A mimo to wydaje się, że nie jesteście w stanie realizować na bieżąco planu dostaw.

- To prawda, zamówienia są niemałe. Fabryki pracują na trzy zmiany, a i tak ledwie nadążamy. Obecnie specjalizujemy się w produkcji słupów telefonicznych i telegraficznych. Wydawać by się mogło, że wszyscy nagle zapalali przemożną chęcią rozmawiania przez telefon i wysyłania telegramów.

- Panowie, przejdźmy do sedna. - Tajny radca Spangler zniżył głos. - Orientuje się pan, dokąd idą te dostawy?

- Oczywiście. Wagony z towarem jadą prosto do Francji. Nasz rząd daje pieniądze, Francja otrzymuje towary. Przypuszczam, że to część tej niebotycznej sumy, jaką musimy wypłacić żabojadom.

Bleichröder uniósł palec w ostrzegawczym geście.

- Muszę panów ostrzec, że rozmowa ta jest ściśle poufna.

- To oczywiste - potwierdził tajny radca. - Herr von Bleichröder zapewnił mnie, że członkom rodziny Levych można w pełni zaufać.

- Nasza rodzina dowodzi swojej lojalności wobec ojczyzny już od ponad czterech pokoleń.

- A nie ma nic lepszego niż połączenie służby ojczyźnie z interesem, który może przynieść pokaźne zyski. W końcu tylko ci, którzy mają środki do życia, płacą podatki. - Bleichröder roześmiał się ironicznie.

Tajny radca Spangler puścił ostatnią uwagę mimo uszu i kontynuował:

- To sprawa najwyższej wagi, ale także wyjątkowo delikatna. Jeśli nie wypełnimy zobowiązań, Francuzi grożą nam politycznymi sankcjami. Zależy nam na uniknięciu bezpośredniej konfrontacji. Krótko mówiąc, chcielibyśmy podwoić pańską produkcję. Zobowiązujemy się dokonać niezbędnych zmian w kontraktach.

- Podwoić produkcję? Właśnie starałem się panom wyjaśnić, że osiągnęliśmy maksimum.

- Dlaczego zatem nie zmodernizujecie zakładów? Dlaczego nie kupicie kolejnego tartaku, może nawet dwóch?

- To nie najlepszy czas na naruszanie rezerw finansowych i inwestowanie. Z pewnością zgodzi się pan ze mną, w końcu pracuje pan w Ministerstwie Finansów. Inflacja rośnie w zastraszającym tempie. Rok temu kurs dolara amerykańskiego wynosił sto sześćdziesiąt marek. Teraz dolar stoi siedem tysięcy i nie zdziwiłbym się wcale, gdyby przed końcem roku wzrósł do siedemdziesięciu tysięcy.

- Im wyższa inflacja, tym większy pański zysk.

⁵⁹ Obecnie: Nowy Dwór.

⁶⁰ Obecnie: Buślary.

- Słucham? - zdumiał się Siegfried.
 - Oczywiście nie myślę, że pan sam to sfinansuje - wyjaśnił tajny radca. - Rząd gotów jest dać panu bardzo korzystnie oprocentowany kredyt.
 - A nasz bank zagwarantuje spłatę długu - natychmiast dodał Bleichröder.
 - Po prostu nie może pan odrzucić takiej oferty. Otrzyma pan każdą sumę konieczną do zwiększenia produkcji. Po pięciu latach spłaci pan nominalną wartość kredytu, na dodatek w gotówce, której wartość wtedy będzie w zasadzie symboliczna. Każdy, kto się na tym zna, wie, że inflacja to raj dla sprytnych ludzi interesu.
 - Nie jest mi obcy los, który spotkał Adama i Ewę - rzekł Siegfried chłodno.
 - Widać zjadł pan owoc z niewłaściwego drzewa - odparł Bleichröder. - Ale w końcu to pan jest znawcą drzew, o ile się nie mylę?
 - Owszem, to moja specjalność.
 - Cóż więc, sugeruję, abyśmy przeszli do mojego gabinetu, żeby ustalić szczegóły i podpisać umowę.
- Mężczyźni wstali. Bleichröder zatrzymał się na moment obok Siegfrieda, chwycił go za ramię i szepnął:
- Hm, żeby uniknąć w przyszłości nieporozumień - wie pan, że opłaty bankowe będą musiały odpowiadać faktycznej wartości tartaków, włączając w to maszyny, które pan kupi.
 - Nigdy przedtem się z tym nie spotkałem.
 - Sama idea kredytu jest dla pana nowa, czyż nie?
 - Zgadza się.
 - Mam wrażenie, że te warunki nie zniechęciły pana.
 - To prawda. Pozwoli pan jednak, że skonsultuję się z moim bratem w Polzin. Jesteśmy równorzędnymi współnikami. W żadnym razie nie podjąłbym tak ważnej decyzji, nie zasięgnąwszy jego opinii.
 - Nie mamy wiele czasu.
 - Dam panu odpowiedź jutro.
 - Doskonale, Herr Levy. Życzę panu wszelkich sukcesów. To dla mnie przyjemność robić interesy z człowiekiem, który zna się na swoim fachu.

Umowy z firmą Levych z Polzin oraz dziesiątki podobnych kontraktów z innymi tartakami w całych Niemczech rzeczywiście doprowadziły do poprawy stosunków z rządem francuskim. Niemcy ugiwały się pod ciężarem spłat reparacji. Rząd apelował o umorzenie części ogromnego długu. Jednak Francuzi uważali, że Niemcy celowo opóźniają dostawy, aby uzyskać moratorium. Setki tysięcy słupów telefonicznych, które miały zostać dostarczone Francji w 1922 roku, nie dojechały w terminie i była to przysłowiowa kropla, która przepełniła czarę. Francuzi zagrozili zastosowaniem środków odwetowych.

Gdy doszły do tego przestoje w dostawach węgla, premier Francji Raymond Poincaré rozkazał wojsku zająć zagłębie Ruhry. Niemieccy robotnicy odpowiedzieli strajkiem generalnym. W zakładach Kruppa w Essen żołnierze zastrzelili trzynastu robotników. Miejscowa ludność zareagowała serią aktów sabotażu. Ale te działania nie mogły zmienić faktów - centrum przemysłowe Niemiec zostało stracone, a upadek był nieunikniony.

Siegfried wrócił do Polzin z przelewem na sumę umożliwiającą rozwój interesu drzewnego na dużą skalę. Bracia od razu kupili kolejny tartak w pobliżu Köslin. Kiedy tajny radca Spangler przekazał Siegfriedowi kredyt w wysokości stu milionów pięciuset tysięcy marek, suma ta równała się dwustu sześćdziesięciu tysiącom dolarów. Dwudziestego listopada 1922 roku kredyt został zamknięty – spłacony gotówką, jak zapisał księgowy. Z pomocą banku Bleichrödera zwrócono państwu całą sumę, wraz z urzędowymi odsetkami. W tym czasie dług wraz z odsetkami odpowiadał zaledwie siedemdziesięciu dolarom i osiemdziesięciu pięciu centom!

Czy było to planowane działanie? W wydanej w latach pięćdziesiątych książce *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy* William L. Shirer przedstawił pogląd, że wartość niemieckiej waluty została celowo obniżona, z początku aby państwo mogło poradzić sobie z ogromnym długiem w wysokości stu miliardów marek, zaciągniętym na potrzeby działań wojennych, później zaś aby zmniejszyć reparaacje wojenne.

Inflacja pędziła w górę niewyobrażalnie. Pod koniec 1923 roku dolar był wart dwadzieścia pięć milionów marek. Później kurs gwałtownie wzrósł, osiągając absurdalną wysokość. Inflacja zubożyła wielu drobnych inwestorów i zrujnowała klasę średnią. Większe przedsiębiorstwa i bankierzy spłacali długi niepowiązane z zagraniczną walutą w bezwartościowych banknotach. Państwowe drukarnie pracowały przez całą dobę, aby nadażyć z realizacją zleceń, a kiedy wyczerpały się państwowe zapasy papieru, skonfiskowano papier przeznaczony na druk książek w wydawnictwie Ullstein.

Spadkowi wartości waluty towarzyszył upadek tradycyjnych wartości i norm w społeczeństwie przywykłym do ładu. Niezachwiana wiara w umiejętność rządzenia demokratycznie wybranych polityków szybko znikła. Matthias Erzberger, który podpisywał akt kapitulacji, Hugo Haase, przywódca niezależnych socjalistów, i w końcu minister spraw zagranicznych Walther Rathenau padli ofiarą zabójców powiązanych z prawicą. Rathenau, który wcześniej pełnił funkcję ministra odbudowy, próbował spełnić żądania zwycięskich mocarstw w kwestii wypłat reparacji wojennych do granic wykonalności, ale został uznany za osobiście winnego politycznego i ekonomicznego chaosu. Przeciwnicy szydzili z jego żydowskiego pochodzenia, a nawet opisali jako jednego z „Mędrców Syjonu“. Fakt, że w latach 1914-1915 Rathenau rozwinął Wydział Surowców Wojennych (Kriegsrohstoffabteilung) w Ministerstwie Wojny, dla nikogo nie miał już znaczenia. W berlińskich piwiarniach przeciwnicy Rathenaua mówili o nim *gottverdammte Judensau* („przeklęta żydowska świnia“)⁶¹ i podżegali do zamordowania go.

Dwudziestego czwartego czerwca 1922 roku oczekiwania te stały się tragiczną rzeczywistością. Gdy Rathenau jechał ze swego domu w Grunewald⁶² do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, dwóch młodych mężczyzn wrzuciło granat do jego samochodu. To, że właśnie Rathenau - człowiek, który mówił o sobie, że jest „Niemcem żydowskiego pochodzenia“, i głosił, że „naród niemiecki jest z nim, Niemcy są jego ojczyzną, a jego wiarą jest religia żydowska, która wznosi się ponad wszystkimi innymi religiami“ - zginął z rąk powodowanych antysemityzmem zabójców, było prawdziwą ironią losu. Chociaż rodzina Levych z Polzin w żadnym razie nie popierała Rathenaua, dzień, w którym został zamordowany, stał się dla nich dniem żałoby, ponieważ siostra ministra spraw zagranicznych była żoną syna Moritza Gottschalka, który pracował jako inżynier elektryk w zakładach AEG. Na pogrzebie rodzinę reprezentował Ernst.

Na początku lat dwudziestych XX wieku wiele osób znów starało się przypisać porażki władz rzekomym żydowskim intrygom. W owym czasie w Niemczech roilo się od politycznych piniaczy, a jeden z nich, Adolf Hitler, właczał do głów swych zwolenników, że ratunkiem dla Niemiec będzie pozbycie się „żydowskiej zarazy“. Antysemityzm znów zyskiwał poparcie, docierając do najbardziej odległych części kraju. Na pozór fakty zdawały się potwierdzać to, co głosiła skrajna prawica: Róża Luksemburg i Karl Liebknecht, wraz z pierwszym ambasadorem Rosji Sowieckiej Adolfem Joffe oraz polskim rewolucjonistą

⁶¹ *Auch Rathenau der Walther erreicht kein hohes Alter, knallt ab den Walther Rathenau, die gottverdammte Judensau.*

(I Walther Rathenau nie dożyje sędziwego wieku, zastrzelcie Rathenaua, tę przeklętą żydowską świnie).

⁶² Bogata dzielnica Berlina.

Herszelem Grynszpanem, podjęli próbę wzniesienia rewolucji w Niemczech. Wszyscy byli Żydami. W głównych niemieckich bankach Żydzi zajmowali najwyższe stanowiska, szczególnie w Deutsche Bank i Dresdner Bank. Najważniejsze domy towarowe, takie jak: Wertheim, Tietz, Schocken i Izrael, również należały do Żydów. Żydzi - Morse i Ullstein, stali na czele wydawnictw i prasy. Max Reinhardt, Bruno Walter i Oskar Strau odnosili sukcesy na scenie, Albert Einstein zaś, Fritz Haber i Otto Meyerhof byli znanymi naukowcami. Demagodzy nowej prawicy posługiwali się tymi znanymi nazwiskami, aby udowodnić żydowską supremację.

W Polzin życie toczyło się zwyczajnym rytmem. Pioruny zbliżającej się burzy grzmiały jeszcze w oddali. Główną troską Leo był szybki rozwój zakładów wapienniczych w Gramenz, które były mu najbliższe z powodu zamiłowania do chemii. Włączał się również czynnie w inne działania firmy. Każdy, kto robił z nim interesy, zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z człowiekiem prawym, sumiennym i bez zarzutu, ale także nieustępliwym. Szanowano go za jego bezpośredniość, ale obawiano się jego surowości. Miał wielu znajomych, ale przyjaciół można było policzyć na palcach jednej ręki. Siegfried zakpił z niego kiedyś, mówiąc, że zmienia bliźnich we wrogów i przeciwników. Leo odparł na to także żartem: „Boże, chroń mnie od przyjaciół, z wrogami sobie sam poradzę“. Jednak Leo miał wyraźne problemy z rozróżnieniem przyjaciół i wrogów, i w wirze wydarzeń nie dostrzegł oznak zbliżającego się końca. Jego zdaniem wyznawcy ideologii rasistowskiej nie stanowili zagrożenia, w przeciwieństwie do tych Żydów, którzy popierali odrodzenie narodowe w Palestynie.

Od 1918 roku Palestyna znajdowała się pod rządami armii brytyjskiej, w 1922 roku z ramienia Ligi Narodów Wielka Brytania zaczęła sprawować nad nią mandat, a syjoniści mieli nadzieję, że główne założenia deklaracji Balfoura otrzymają moc prawną. W owym czasie Londyn obiecywał:

„Rząd Jego Królewskiej Mości odnosi się przychylnie do ustanowienia w Palestynie siedziby narodowej (*national home*) dla narodu żydowskiego i dołoży wszelkich starań, aby ułatwić osiągnięcie tego celu. Jest przy tym całkowicie zrozumiałe, że nie nastąpi nic, co mogłoby naruszyć obywatelskie i religijne prawa społeczności nieżydowskich istniejących w Palestynie lub prawa i status polityczny, z których Żydzi korzystają w jakimkolwiek innym kraju“⁶³.

Leo nie był tym zachwycony.

- Nie da się zrobić omletu, nie rozbijając jajka - mruknął. - Niemcy są i będą ojczyzną niemieckich Żydów. Moim zdaniem wszystko inne szkodzi naszym prawom i podważa naszą lojalność.

- Naprawdę kropka w kropkę przypominasz ojca - zażartował Siegfried. - Powtarzasz jego poglądy niczym zdarta płyta.

- Czy aż taką hańbą jest powtarzanie czegoś, co jest nie tylko prawdziwe i na miejscu, ale także dokładnie odzwierciedla własne poglądy danej osoby?

- Nie moje, drogi bracie.

- No cóż, dlaczego więc nie wyemigrujesz, żeby osuszać bagna i złapać malarię?

Siegfried wybuchnął śmiechem.

- Doskonale wiesz dlaczego. Ubóstwiam wygodę i dobre jedzenie i nie czuję najmniejszej potrzeby, żeby pogrążyć się w malarycznej gorączce. Poza tym giełda jest dla mnie bardziej święta niż święte miejsca Palestyny.

⁶³ L. Stein, *The Balfour Declaration*, Jerusalem-London 1983, s. V (*facsimile*). Dawny polski przekład w: *Dokumenty polityki sjonistycznej od programu bazylejskiego do enuncjacji MacDonalda i Weizmatina 1897-1931*, Kraków 1931, s. 7 (Za: *Izrael*, A. Chojnowski, J. Tomaszewski, Warszawa 2001).

- Przynajmniej masz jedną pozytywną cechę - stwierdził kpiąco Leo.
- Mianowicie jaką?
- Szczerłość!
- Ale tylko w chwilach słabości i jedynie, gdy jesteśmy sami. A mówiąc poważnie, naprawdę wierzysz, że można zatrzymać bieg historii? Że możemy nagiąć to, co nieuniknione, do naszych osobistych pragnień?
- Nie do końca rozumiem, co masz na myśli.
- Och, naprawdę, Leo! Doskonale rozumiesz. Wszystkie narody pragną niezależności. Dlaczego sprzeciwiasz się temu jedynie w wypadku syjonizmu?
- Ponieważ wszystkie inne narody opierają swoją suwerenność na tradycji przodków, syjoniści zaś ignorują korzenie judaizmu. Zastępca przywódcy tego ruchu ożenił się z gojką. A jeśli sądzisz, że mieszane małżeństwo jest zgodne z żydowską tradycją, to po prostu nie ma sensu dalej ciągnąć tej dyskusji. Rozmawiaj sobie z Rudolfem. On cię zrozumie.
- No i po co się złościysz, Leo? Nie miałem zamiaru pozyskiwać cię dla sprawy syjonistów. Podważałem jedynie logikę twojego gwałtownego sprzeciwu. Za każdym razem, gdy jestem w Berlinie, dostaję gęziej skórki. Jesteśmy bogaci, inteligentni, oświeceni i popieramy zjednoczenie Niemiec - a mimo to musimy się przypochlebiać Niemcom i błagać ich, aby tolerowali naszą obecność. Czy to nie jest absurdalne?
- Za dużo czasu spędzasz w Berlinie. To wszystko.
- Sytuacja w Berlinie nie różni się od tej w Szczecinie. Nie możesz stawić czoła tym sprawom jak dorosły człowiek? Siedzisz w swoim pokoju i zatykasz uszy na tyrady rasistowskich fanatyków. Przekonujesz samego siebie, że to, czego nie słyszysz, nie istnieje.
- Nie jestem ostatnim naiwnym, Sigi. Ale do czego koniec końców sprowadza się ideologia rasistowska? Ekstremiści i obłąkańcy upierają się, że biologia liczy się bardziej niż cokolwiek innego. Marksisci próbowali zrobić to samo z gospodarką. I gdzie są dziś? Rewolucja pożarła ich dzieci. A co się działo w przeszłości? Czy nie było niekończących się prób ograniczania naszych praw obywatelskich? A jednak jesteśmy tutaj. Ty tu jesteś. Ja tu jestem. I Niemcy są tutaj. Obawiasz się, jak potoczy się historia?
- Siegfried uniósł dłoń, jakby oddalając zarzut.
- Strzelasz do bezbronного człowieka. Nie chcę się kłócić na temat ideologii. Proponuję zawieszenie broni.
- Dobrze - ustąpił Leo - ale żadnego pokoju wersalskiego.
- Żadnego pokoju wersalskiego - zgodził się Siegfried. - Chodźmy na kawę do Zella.
- Cafe Zell była miejscem spotkań socjety Polzin. Karl Zell miał najsmaczniejsze ciasta w miasteczku, najlepsze piwo w okolicy i zawsze serdecznie witał stałych klientów. Kawiarnia mieściła się nad sztucznym jeziorem w parku zdrojowym. Latem przyjemnie było usiąść w ogródku. Gdy bracia się pojawili, podszedł do nich Herr Finkelstein. Ostatnio otworzył pensjonat z koszerłą kuchnią i teraz starał się być miły dla wszystkich.
- Słyszeliście ostatnie wieści? - spytał, wyraźnie podekscytowany. - Nie? Młody bankier z Darmstadt został mianowany komisarzem walutowym Niemiec i prezesem Reichsbanku. Ogłosił, że kurs marki spadł do czterech dolarów dwudziestu centów.
- Widzisz? - triumfował Leo. - Wszystko wraca do normy. Nowy przybysz z Darmstadt miał czterdzieści sześć lat i w owym czasie uważano go za geniusza finansowego. Nazywał się Horace Greeley Hjalmar Schacht. Dwadzieścia lat później psycholog, który badał go podczas procesu zbrodniarzy wojennych (Schacht pracował dla nazistów do 1944 roku), stwierdził, że ma on iloraz inteligencji 143, o wiele wyższy niż inni oskarżeni. Wrócił jednak do roku 1923. Nowo mianowanemu komisarzowi walutowemu przydzielono biuro, które wcześniej służyło jako schowek na środki czystości. W tym maleńkim pomieszczeniu przeprowadził bolesną operację finansową - zakręcił kurek z korzystnymi kredytami państwowymi niezwiązanymi z obcą walutą i wstrzymał prasy drukarskie, które wypluwały

banknoty z dwunastoma zerami. Tym sposobem podciął gałąź, na której siedzieli spekulanci, i spowodował bankructwo niezliczonych firm, włącznie z konglomeratami, które znacznie rozrosły się w wyniku inflacji. Efektem było masowe bezrobocie. Tak więc mimo że Niemcy uniknęły inflacji w listopadzie 1923 roku, bankructwo i bezrobocie dały podstawę do powstania o wiele bardziej niebezpiecznego rodzaju obłędu.

Proklamacja republiki nastąpiła dziewiątego listopada. Burmistrz Polzin namawiał mieszkańców miasteczka, aby wywiesili na swoich domach flagi państwowe. Uczyniło to niewielu. W konserwatywnym sercu Pomorza demokratyczny twór, jakim była Republika Weimarska, nie był uważany za szczytowe osiągnięcie niemieckiego ducha. „To nie nasze święto“, brzmiała odpowiedź Leo na pytanie jednego z jego pracowników, czy powinien wywiesić flagę przed siedzibą firmy. Tego demokratycznego święta nie uznawała także skrajna prawica w Monachium, ale dziewiątego listopada wywieszono za to wiele flag ze swastyką. Setki demonstrantów przemaszzerowały ulicami. Poprzedniego wieczoru w piwiarni Hitler wezwał do „rewolucji narodowej“ i przy pomocy prawicy podjął próbę dokonania puczu. Wojsko i bawarska policja, zmobilizowane przeciwko bojówkarzom, nie dopuściły do przewrotu. Ale choć Hitler przegrał tę rundę, następnego ranka wezwał swoich zwolenników do „marszu na Feldherrnhalle“. Zgromadzeni wkrótce przemieścili się w stronę Odeonsplatz w centrum miasta. Gapie zebrani wzdłuż trasy przemarszu obserwowali wydarzenia. Między nimi zwracała uwagę postać Rudolfa Levy’ego. On także przystanął, gdy pojawił się pochód. Ten łysiejący czy też, ujmując to łagodniej, o dość wysokim czole, czterdziestosiedmioletni mężczyzna w okularach nieobecny wzrokiem patrzył na maszerujących. Miał na sobie jasny garnitur, żółtą muszkę, a na głowie kapelusz z szerokim rondem, świadczący o tym, że tego ranka wrócił ze słonecznej Riwiery Francuskiej. Tam przeniósł na płótno barwy zatoki Sanary, niedaleko Tulonu - błękitne chmury, turkusowe morze, drzewa w kolorze łagodnej zieleni, bujne łąki i kwiaty we wszystkich odcieniach tęczy...

Nagle zadrzał. Zabrzmiały marszowe pieśni szturmowców, ale Rudolf nie był w pełni świadomy tego, co się wokół niego dzieje. Monachium pociągało go w magiczny sposób, ustępując w tym jedynie Paryżowi, jego ulubionemu miastu. To tu, nad brzegiem Izary, rozpoczął się dla niego wiek dwudziesty, od bolesnej porażki na Akademii Sztuk Pięknych. Namalował i przedstawił portret i rysunek - akt - w „nieakademickim stylu“. Było to dwadzieścia trzy lata wcześniej, a w jego pamięci jakby zdarzyło się wczoraj. Jakiś czas później zapukał nieśmiało do drzwi profesora Heinricha von Zügela z pytaniem, czy przyjmie go do grona swych uczniów. Zügel przypominał bardziej leśniczego niż artystę i w owym czasie zasłynął jako malarz zwierząt. Zaprosił go do swego atelier. Z każdego płótna wзираł ogromny osioł. Rudolfowi wydawało się, że osły strzygą uszami i śmieją się z niego. Zanim Zügel przyjął go jako swojego ucznia, Rudolf już wiedział, że znalazł się w niewłaściwym miejscu. I oczywiście niebawem Zügel skrytykował jego prace - pierwsza krowa, jaką naszkicował Rudolf, była za mała, a pejzaż w tle „zbyt duży“... Nie dało się ukryć, że Rudolfa pasjonowały pejzaże, nie krowy.

Tymczasem maszerujący przeszli i zniknęli za rogiem. Śpiew stopniowo ucichł, a gapie rozeszli się. Rudolf wyjął z kieszonki kamizelki złoty zegarek z dewizką, żeby sprawdzić, która godzina. Zamierzał pojechać tego wieczoru pociągiem pospiesznym do Berlina, ponieważ następnego dnia miał umówione spotkanie z Alfredem Flechtheimem, właścicielem galerii. Znajomość z Flechtheimem sięgała jeszcze czasów przedwojennych. Właściciel galerii z Dusseldorfu polubił go, wystawił jego prace i jeszcze zanim sprzedał pierwszy obraz, wypłacił mu sporą sumę w ramach zaliczki. Taka hojność nie była bezpodstawna. Flechtheim, doświadczony handlarz dziełami sztuki i kolekcjoner, wierzył w talent Rudolfa i uważał, że wspierając go, robi dobrą inwestycję. Przez lata ich zawodowa relacja umocniła się i teraz Flechtheim wypłacał mu miesięczną pensję. Jeśli ta skromna suma nie wystarczała

Rudolfowi, znajdował inne zajęcie. W tej chwili miał w aktówce powieść Stendhala *Czerwone i czarne*, którego przekład zleciło mu duże berlińskie wydawnictwo.

Na początku lat dwudziestych Berlin pełen był dadaistów, kubistów i futurystów. Wielu z tych, którzy przeszli do historii, oraz tych, którzy popadali w niepamięć, spotykało się w berlińskich kawiarniach. Stałym bywalcem Romanisches Cafe był Johannes Bader, przedstawiciel dadaistów, który miał specjalne zaświadczenie lekarskie, zwalniające go z odpowiedzialności za jego czyny. George Grosz, którego obrazy krytkowały materializm i militarizm stulecia, gościł w Monopolu. Käthe Kollwitz, znana ze swych prac, których tematem była nędza i wojna, Wassily Kandinsky oraz Paul Klee - późniejsi profesorowie w Bauhausie - oraz grupa młodych artystów, rzeźbiarzy i poetów, którzy się do nich przyłączali, nadawali miastu szczególny styl. Rudolf bez trudu znalazł miejsce w tym elitarnym kręgu, choć nie był ani buntownikiem, ani nie rozpychał się łokciami, nie szafował słowami ani też nawet nie tworzył modnych rewolucyjnych obrazów, popularnych w tym czasie. Artystyczna bohema była jego naturalnym środowiskiem. W 1921 roku wystawiał swoje prace obok dzieł Hansa Purrmanna, Maxa Pechsteina i innych z Secesji Berlińskiej.



Siegfried Levy (siedzi po lewej) w atelier Rudolfa



Portret Siegfrieda namalowany w 1927 r. przez Rudolfa

Mniej więcej rok wcześniej listonosz przyniósł mu list polecony ze Szczecina. Doktor Marcuse przysłał mu odpis testamentu wuja Bernharda i dodał kilka zdań od siebie. Rudolf przeczytał list i testament, roześmiał się i wyrzucił oba do kosza. Znowu rodzina martwiła się o zbawienie jego żydowskiej duszy. Czy jeszcze nie zrozumieli, że dla niego Cezanne i Matisse są ważniejsi od Szulchan Aruch, a kolory znaczą więcej niż jakakolwiek modlitwa? Dla niego Świątynia i tak nie została zburzona, ponieważ nie liczyło się to, że zbudowano ją z libańskich cedrów, ale że przetrwały opowieści, zrodzone z potęgi wyobraźni.

Rudolf uśmiechnął się szeroko na myśl o restrykcyjnym zapisie w testamencie Bernharda. Uparty wuj nawet zza grobu próbował wpłynąć na jego życie. Uciekł przed krytycznym spojrzeniem Bernharda i Henriette, ale najwyraźniej ślubu z Genią nie udało się ukryć. Eugenie Schindler, córka zamożnych chłopów z Geislitz w Górnej Hesji, przyjechała do Monachium jako siedemnastolatka, aby studiować fotografię. W 1919 roku poznała Rudolfa, starszego od niej o dwadzieścia lat. Urzekł ją czarem i intelektem. Ich związek był solą w oku dla obu rodzin. Rodzice Geni stanowczo sprzeciwiali się temu, by ich córka spotykała się z Żydem. W Polzin zaś związek ten był postrzegany jako zdrada wszystkich wartości i norm od pokoleń uważanych w tej rodzinie za święte. Eugenie była więc uważana za ladacnicę, która uwiodła naiwnego mężczyznę, marzyciela oderwanego od rzeczywistości. Ani w Geislitz, ani w Polzin nie rozumiano natury związku tych dwojga. Kiedy tego samego roku w listopadzie postanowili się pobrać, Eugenie miała dwadzieścia cztery lata. Ta młoda kobieta była chuda, miała wąskie ramiona, sterczące obojczyki, a wielkie oczy patrzyły badawczo - daleko jej było do czarujących dziewcząt z klubów i kawiarni Paryża, Berlina i Monachium. Ale połączył ich nie pociąg fizyczny, lecz głęboka intelektualna więź. Gdy siedzieli w swej ulubionej kawiarni, popijając kawę z koniakiem, przyjaciele i znajomi Rudolfa przyglądali się Geni z nieskrywaną ciekawością i zastanawiali, co ta krucha młodziutka istota widzi w podstarzałym artyście, który pierwszą własną wystawę miał dopiero w 1922 roku. Rudolf i Genia byli całkowicie nieświadomi tych spojrzeń, na ogół pochłonięci rozmową o Bogu i świecie. Jeśli już dyskutowali o sprawach materialnych, przeważnie dotyczyło to ryzyka związanego z życiem twórcy w makabrycznym świecie. Tylko ci, którzy byli naprawdę bliscy Rudolfowi, wiedzieli, że najważniejszym meblem w ich domu był stół, przy którym siadywali i rozmawiali, a nie małżeńskie łóżko. Ich ślub w grudniu 1919 roku był bardzo skromny. Tak jak się spodziewali, obie rodziny zbojkotowały to wydarzenie. Jedyne Paul przysłał bratu telegram z gratulacjami, a Siegfried zadzwonił, aby życzyć młodej parze „mazał tow“.

W towarzystwie kilkorga przyjaciół, z Roda Roda Rosenfeldem, Alfredem Flechtheimem i Oskarem Kokoschka na czele, Rudolf i Genia z urzędu stanu cywilnego udali się prosto do kasyna Kleist, aby udowodnić, że los wciąż się do nich uśmiecha. W ciągu godziny Rudolf przegrał w ruletkę wszystkie pieniądze, które miał przy sobie. Kiedy opuszczali zanurzoną w półmroku salę gier, Rudolf objął drobne ramiona Geni i roześmiał się. „Naprawdę nie mogliśmy wybrać kasyna o lepszej nazwie“. W końcu czy to nie Kleist wysłał swojego bohatera Michaela Kohlhaasa w poszukiwaniu sprawiedliwości, a następnie zrujnował go i zamordował? A co zrobił Kleist samemu sobie, kiedy jego Henriette leżała trawiona chorobą...?

Rzeczywiście, wszyscy bohaterowie Heinricha von Kleista pozwalali swoim bliźnim wpływać na siebie tak, że popełniali najbardziej ohydne czyny. On sam odebrał sobie życie na brzegu berlińskiego jeziora Wannsee, dokładnie w tym samym miejscu, w którym sto trzydzieści lat później, dwudziestego stycznia 1942 roku, Heydrich miał nadać bieg „ostatecznemu rozwiązaniu kwestii żydowskiej“. Czy tę niewinną wizytę w kasynie w wieczór po ich ślubie powinni odebrać jako znak i ostrzeżenie? W żadnym razie. Przegrana nic dla nich nie znaczyła. Pojechali taksówką do domu, po raz pierwszy jako małżeństwo.



Eugenie (Genia) Levy z d. Schindler, Monachium 1919 r.

- Jesteśmy zapewne pierwszą parą na świecie, która nie spieszy się, żeby wskoczyć do małżeńskiego łóżka - roześmiał się Rudolf.

Genia uściśnęła jego dłoń ze zrozumieniem i odparła:

- To prawdziwe wyzwolenie.

Rudolf odkrył „prawdziwe wyzwolenie“ jeszcze w 1897 roku, kiedy po raz pierwszy przyjechał do Monachium. Później, w Paryżu, rozkoszował się tym w nadmiarze. Wysłał do ojca do Gdańska i do wuja do Polzin zdawkowe pocztówki z południa Francji, gdzie podążał śladami Cezanne’a, aby uchwycić piękno Sanary i Cassis i uwiecznić je na płótnie. I choć plotki na temat jego stylu życia dotarły aż na Pomorze, nie wierzono w nie. „Nasz Rudolf? Nie, to niemożliwe. Nie może być“. Jedyne stali bywalcy Cafe du Dome przy bulwarze Montparnasse znali prawdę. Rudolf łamał wszelkie konwencje, nie tylko gdy chodziło o

religię. Poszukując niestrudzenie ekscytujących przygód, odkrył także miłość między mężczyznami.

Café du Dorne była małą, zadymioną kawiarnią naprzeciwko imponującego kościoła katolickiego. Znajdowała się pod całkowitą dominacją zwinnego kelnera Andre. Artyści darzyli go prawdziwą czcią, nie tylko ze względu na jego umiejętności kelnerskie. W potrzebie Andre służył im za bankiera. Zawsze gotów był użyczyć „do końca tygodnia“ kilka franków komuś, komu zabrakło gotówki. Niektóre tygodnie przedłużały się w nieskończoność.

Stoliki ustawione były wzdłuż ścian. Pomieszczenie dzieliło niskie przepierzenie. Jedna część gościła amerykańską bohemę, drugą zajmowali Niemcy i Austriacy. Nikt nigdy nawet nie próbował przekroczyć linii demarkacyjnej. Francuzi trzymali się na zewnątrz, na tarasie. Rudolf szybko stał się niekoronowanym królem niemieckojęzycznej grupy. Ci, których nie urzekły jego obrazy, podziwiali biegłość, z jaką recytował Wergiliusza, płynną łaciną, oczywiście. Ale poza jego przyjaciółmi artystami, takimi jak Hans Purrmann i Jules Pascin, Rudolfowi zawsze towarzyszył jakiś młodzieniec, który wpatrywał się w niego z uwielbieniem, gotów spełnić każde jego życzenie. Jednym z nich był Peter Weigel.



Jules Pascin: Walter Bondy maluje Rudolfa Levy'ego, Paryż 1908 r.

Weigel, którego rodzinnym miastem był Düsseldorf, trafił w końcu do Paryża. Ich związek zaczął się w chwili, gdy spojrzeli na siebie. W niedzielę wypili razem pernod, a w poniedziałek Peter wprowadził się do atelier Rudolfa Levy'ego przy placu de Clichy na Montmartrze. Malarz i jego wielbiciel byli nierozłączni do dnia, w którym Gertruda Stein i jej brat Leo, kolekcjoner i mecenas sztuki, pojawili się w Café du Dorne.

- Co pan sądzi o Picassie? - spytała Gertruda Stein, obejrzawszy kilka akwarel Rudolfa.

- Picasso? Słyszałem o nim. Ale nigdy nie widziałem ani jego, ani żadnej z jego prac.

- W takim razie koniecznie musi pan go poznać - nalegał Leo Stein. - Jest czarujący. Wróżę mu wielką karierę.

- Będzie musiał odnieść sukces, a wie pan dlaczego? Kupiłam dwa obrazy jego pędzla. Rodzina Steinów nie należy do tych, które wyrzucają pieniądze w błoto - zażartowała Gertruda.

- Proszę przyjść dziś do Lapin Agile - namawiał Leo Stein. - Nie zna pan? To jeden z najwspanialszych kabaretów w Paryżu. Jak pan mógł go przeoczyć? Cała klika Picassa ciągle tam przesiaduje.

Rudolf wahał się. Hans Purrmann, który siedział przy stoliku obok i przysłuchiwał się rozmowie, odpowiedział za niego:

- Oczywiście, że przyjdziemy. Wszyscy.

Tego wieczoru niemieccy artyści oraz ich francuscy koledzy świetnie się razem bawili. Picasso, Hiszpan o ciemnej karnacji, niewielkiej postury, z natury niecierpliwy, pojawił się ubrany w robotniczy strój w towarzystwie Fernandy Olivier, swojej ostatniej zdobyczy, oraz całego korowodu przyjaciół i wielbicieli. Rudolf przyprowadził ze sobą Petera Weigela. Ale kiedy wyruszał w stronę domu o drugiej nad ranem, kompletnie pijany, pięknego Petera nie było już u jego boku. Rudolf uznał, że puste atelier jest przygnębiające i po kilku dniach wrócił do ulubionego miejsca spotkań przy bulwarze Montparnasse. Tam dowiedział się, że ktoś z „kliki Picassa“ przejął Weigela i wynajął mu pokój w budynku, który niegdyś był ogromną pralnią, a teraz podzielono go na wiele jednopokojowych mieszkań, które wynajmowano najchętniej artystom. Sam Picasso kiedyś zajmował ów pokój. Wspólni znajomi powiedzieli, że Peter polubił narkotyki. Palił haszysz, a nawet wstrzykiwał sobie kokainę.

- Miej, proszę, na niego oko - poprosił Rudolf rzeźbiarza Manolo. Ale uwaga przyjaciela na nic się nie zdała.

Pewnego dnia, gdy Rudolf jak zwykle pił kawę w Cafe du Dorne, poproszono go do telefonu. Usłyszał w słuchawce poruszony głos Manola:

- Powiesił się. Tak mi przykro.

Pogrzeb młodego samobójcy przerodził się w istny pochód artystycznej społeczności Paryża. Za trumną, z opuszczoną głową, szedł Rudolf Levy, ramię w ramię z Pissarro. Pere Fred, właściciel Lapin Agile, ubrany w białą marynarkę, i Picasso szli w drugim rzędzie, za nimi Purrmann i Manolo, Pascin, Derain, Wilhelm Unie (który właśnie kupił obraz Picassa z okresu błękitnego, *Błękitny pokój*) i wielu, wielu innych. Oczywiście ciągnął się za konduktem sznur modelek, Murzynek i prostytutek. Nic dziwnego, że w swych wspomnieniach Purrmann napisał: „Trudno było zachować powagę“. Picasso zasugerował, by zamiast rozejść się przy cmentarnej bramie, wrócić do salonu Gertrudy Stein na kieliszek calvadosu i najnowsze ploteczki. Amerykanka Gertruda Stein miała wtedy około trzydziestu lat. Całe dzieciństwo spędziła w Wiedniu i była urzeczona europejską kulturą. Osiedła w Paryżu w 1903 roku i odtąd prowadziła dom otwarty dla młodych artystów. Zarówno ona, jak i jej brat Leo mieli żyłkę do interesów. Gertruda kupowała prace Picassa, Georges'a Braque'a i Matisse'a, na długo zanim odkrył ich profesjonalny rynek sztuki.

Rudolf Levy poznał Matisse'a w 1905 roku podczas trzeciego Salonu Jesiennego w Paryżu, na którym namalowana przez tego ostatniego *Kobieta w kapeluszu* wzbudziła poruszenie wśród krytyków. Nie mogli strawić bujnych barw portretów i pejzaży Matisse'a, a któryś nawet przyrównał jego prace do bomb anarchistów. Inny pogardliwie nazwał artystę i jego następców „les fauves“ - dzikimi bestiami - tym samym niechętnie nadając przedstawicielom nowego ruchu nazwę „fowistów“. Krytycy nie zostawili na malarzu suchej nitki, ale Gertruda i Leo kupili *Kobietę w kapeluszu*. Tym samym wykazali się nosem do inwestycji, bo kilka lat później muzea Europy i Ameryki zaczęły walczyć o jego prace.

To właśnie Gertruda Stein nakłaniała Matisse'a, aby założył pracownię dla studentów, by „wyrobić nowy styl“. Ale Matisse wahał się. „Nie chcę wychować pokolenia naśladowców“, oświadczył. Ostatecznie jednak dał się przekonać i w 1908 roku otworzył pracownię przy rue de Sevres. Rudolf wkrótce dołączył do grona jego uczniów. W szczytowym okresie Matisse miał aż osiemdziesięciu uczniów i wkrótce przeniósł pracownię do byłego klasztoru Sacre Coeur przy Boulevard des Invalides. Jednego dnia malowali, drugiego wybierali się na wycieczki do paryskich muzeów. Matisse nie lubił prowadzić wykładów, bo studenci go nie rozumieli, i szybko stracił cierpliwość. Wolał przebywać na południu Hiszpanii niż udzielać

lekcji. Za jego rekomendacją studenci wybrali Rudolfa, aby poprowadził pracownię. Ale Rudolfowi brakowało zdolności, zapewne też nie miał wiedzy ani doświadczenia Matisse'a, więc atelier zamknięto w 1912 roku. Choć Rudolf pracował z Matisse'em zaledwie przez chwilę, pozostał pod wpływem jego stylu do końca życia. „Zrozumiałem - pisał do jednego ze swych młodych przyjaciół - że kolor nie jest jedynie dodatkiem do przedstawienia przedmiotu. Kolor żyje i istnieje sam w sobie i może wpływać na patrzącego własną mocą“. Jakiś czas później Picasso próbował skierować uwagę Rudolfa w stronę malarstwa abstrakcyjnego, które uważano za naturalną kontynuację fowizmu. Ale Rudolf był sceptyczny. „Wzdragam się na widok malarstwa abstrakcyjnego. Chłód, jaki promieniuje z niego na otoczenie, sprawia, że boję się utraty wszelkich ludzkich uczuć“.



*Rudolf Levy obok Henri Matisse'a w jego atelier, Paryż
1909 r.*

W 1911 i 1912 roku kilka prac Rudolfa wystawiono w Muzeum Stedelijk w Amsterdamie. Kilka lat później jeden z pejzaży pokazano w Armory Show w Nowym Jorku. Jego brat Paul, który wciąż mieszkał w Damaszku i budował linię kolejową do Mekki, przysyłał mu co miesiąc skromną sumę, ale po raz pierwszy w życiu Rudolfa jego dochody wystarczały mu na normalne życie. Nie musiał już zastanawiać się dwa razy nad wydaniem każdego grosza. Swą pozycję finansową ugruntował ostatecznie, kiedy szesnaście jego obrazów, wraz z pracami innych bywalców Cafe du Dome, wystawiono w galerii Flechtheima w Düsseldorfie. Wystawa miała pojawić się w Berlinie i innych miastach Niemiec, ale wybuch wojny pokrzyżował te plany. Wojna położyła także kres spotkaniom niemieckich artystów w Cafe du Dome. Większość z nich spakowała walizki i wróciła do domu, aby zaciągnąć się do wojska. To samo uczynił Rudolf. Poczucie patriotycznego obowiązku pokonało w nim wszelkie inne uczucia, jakby nigdy nie miał kosmopolitycznego podejścia do życia. Kiedy pojawił się przed komisją lekarską w Gdańsku, orzeczono, że jest zdolny do służby w jednostce bojowej.

- Dobry Boże - westchnął, gdy stanął na chodniku w Monachium dziewiątego listopada 1923 roku. - Czy to są te Niemcy, za które gotów byłem oddać życie?

Zerknął znów na zegarek i zdał sobie sprawę, że jeśli się nie pośpieszy, spóźni się na pociąg do Berlina. Później dowiedział się, że Ludendorff i Hitler zostali aresztowani, a Hess i Göring wzięli nogi na za pas i uciekli do Austrii, ale nie przywiązywał do tego wagi. Nie interesowała go polityka. Genia mieszkała teraz w pięknym apartamencie przy Küstriner Strasse, w berlińskiej dzielnicy Charlottenburg, gdzie Rudolf urządził dla niej pracownię. Do czasu gdy Hitler doszedł do władzy, Rudolf mieszkał w stolicy Niemiec, poza dwuletnią przerwą, kiedy pojechał za swym przyjacielem Herbertem Schlüterem do Paryża. Schlütera, pisarza i intelektualistę, poznał na początku lat dwudziestych w Paryżu. Rudolf i Herbert

mieli te same skłonności seksualne, a ich przyjaźń, poza krótkim okresem separacji, przetrwała dwadzieścia jeden lat, aż do aresztowania Rudolfa we Florencji.

Rudolf wkrótce stał się główną postacią zabaw berlińskich artystów. W nocnych klubach cyganerii czuł się jak u siebie w domu. Był też mile widzianym gościem w domach bogatych mecenasów sztuki. Od 1928 roku zasiadał nawet w zarządzie i jury Secesji Berlińskiej, obok Charlotte Behrend, George'a Grosza, Maxa Pechsteina, Hansa Purrmanna i innych. Jedne drzwi jednak pozostawały przed nim zamknięte. Przy Promenadzie Bismarcka w Polzin stał się *persona non grata*. Leo, nieusatysfakcjonowany samym wykluczeniem Rudolfa, zabronił nawet wymawiania imienia zbuntowanego członka rodziny. Siegfried i Lisbeth, którzy krążyli między Szczecinem a Berlinem, lekceważyli te zakazy. Przeciwnie, regularnie spotykali się z Rudolfem i Genią. Siegfried, zafascynowany fotografią, lubił odwiedzać Genię w jej pracowni i przyglądać się, jak wywołuje klisze i przygotowuje odbitki, głównie fotografie obrazów do książek o sztuce i katalogów wystaw.

Siegfried i Leo prowadzili rodzinną firmę z wielką rozważą. Codziennie rozmawiali przez telefon i żaden nie podjął decyzji dotyczącej interesów bez konsultacji z drugim. Nigdy nie było między nimi naprawdę poważnej różnicy zdań. Obaj intensywnie szukali lukratywnych kontraktów, a roczne zestawienia bilansowe dowodziły, że wszystko było w najlepszym porządku.

Leo i Siegfried nie mieli trudności z wypłaceniem Ernstowi, Idzie i Linie należnej im części wartości firmy zgodnie z testamentem. Leo wypełnił wszystkie warunki testamentu co do joty. Jak zawsze firmę prowadzono zgodnie z konserwatywnymi i sztywnymi wytycznymi. Mimo to każdy rok handlowy kończył się zyskiem, przekraczającym potrzeby rodziny. Siegfried inwestował nadwyżkę w akcje i obligacje, dbając o dużą dywersyfikację - odrobina przemysłu ciężkiego, trochę bankowości i towarzystw ubezpieczeniowych plus nieco obcej waluty - to była jego recepta na sukces.

Podczas swoich pobytów w Polzin Siegfried unikał jak ognia dwóch tematów: etyki i polityki, ponieważ każdy z nich prowadził do konfliktu. Siegfried czuł się zagrożony wywrotowym nastawieniem skrajnej prawicy i z niepokojem obserwował wzrost aktywności tych kręgów. Dla Leo Adolf Hitler był jedynie „kretynem z wąsikami“, jak go nazywał, i zjawiskiem, które wkrótce przeminie. Ale gdy „kretyn“ wygłosił agresywną mowę w Szczecinie, Siegfried poruszył ten temat.

- Nikt, kto czytał *Mein Kampf*, nie może przejść obok tego obojętnie.

- Nie powinieneś czytać takich śmieci - oświadczył Leo gorąco. - Ta cała ideologia rasistowska to tylko kiepski żart i niedługo wszyscy o niej zapomną. Nigdy nie przeczytam *Mein Kampf* ani nie będę trzymał takich książek w domu.

- Kiedyś mówiłeś dokładnie to samo o *Państwie żydowskim* Herzla - sprzeciwił się Siegfried.

- Jak możesz wymieniać te dwie książki jednym tchem? - spytała Lisbeth, która przysłuchiwała się rozmowie.

- Nie porównuję ich, w żadnym wypadku - odparł Siegfried. - Ale są one niczym dwa końce tego samego kija. Nigdy się nie spotkają, a mimo to, przynajmniej zgodnie z filozofią Leo, nie da się ich rozdzielić.

- Nigdy tak o tym nie myślałem - rzekł Leo z namysłem.

- Jednak każdy kij da się przełamać.

Wkrótce zapomnieli o tej dziwnej rozmowie. Gdy się żegnali, Siegfried czule uściskał dłoń brata.

Siegfried poza rodzinną firmą miał też własne przedsięwzięcia. Jeden z pokojów w swoim mieszkaniu przekształcił w biuro. Lisbeth, która uwielbiała rozrywki, przyjmowała gości. Siegfried i Lisbeth byli tak samo wybredni w doborze znajomych jak Leo i Else, ale nie

odsiewali ich w tym samym stopniu co ich krewni z Polzin, pozwalając niektórym prześlizgiwać się przez społeczne sito.

W przeciwieństwie do Leo Siegfried i Lisbeth nie tylko potrafili zarabiać pieniądze, ale też lubili je wydawać. Kochali podróże i często wyjeżdżali za granicę. Podróżowali po Szwecji i Hiszpanii, spędzili wakacje we Włoszech, a nawet zwiedzili Laponię na dalekiej północy Finlandii. Siegfried nie rozstawał się z swoją małą leiką, a Lisbeth układała sceny uwiecznione na kliszach w licznych albumach, które trzymali w salonie. Na wielu fotografiach widać ją w strojach pochodzących ze znanych berlińskich i paryskich domów mody. Leo nie pochwalał ich stylu życia, ale powstrzymywał się od bezpośrednich uwag. Kiedy jego córka Eva skończyła czternaście lat i podjęto decyzję, żeby wysłać ją do szkoły średniej do Szczecina, stanowczo sprzeciwił się pomysłowi, aby zamieszkała u jego brata.

„Nie chcę, żeby przesiąknęła tą świecką atmosferą i jadła to, co przyrządza Lisbeth. Może to i smaczne, ale z pewnością nie jest kosztowne. Nie chcę też, żeby wąchała francuskie perfumy mojej bratowej. Znajdziemy jej miejsce u innych członków rodziny, którzy prowadzą prawdziwie żydowski dom. W końcu mamy takich krewnych“. Siegfried nie czuł się urażony.

Kiedy Eva skończyła drugi rok nauki, nauczycielem jej klasy został nazista. Polecił uczniom napisać esej na temat ich drzewa genealogicznego. Mieli też szczegółowo opisać cechy dominujące w swojej rodzinie, takie jak kolor oczu i włosów, oraz wymienić kraj pochodzenia przodków. Jego intencje były aż nazbyt oczywiste. Kiedy Eva przyjechała do Polzin na koniec tygodnia, opowiedziała ojcu o swych zmartwieniach.

- I co ja mam napisać, papo? - spytała.

- Nie martw się, kochanie - pocieszał ją. - Żydzi mieszkają w tym regionie od wieków. Możesz zacytować dokumenty historyczne, żeby to udowodnić. Może poszukasz w archiwum miejskim?

Eva posłuchała rady ojca. Znalazła dokument z datą dwunastego stycznia 1325 roku. Nadawał on szczególne prawa Żydowi Jordanowi oraz jego potomkom w dowód wdzięczności za lojalną służbę dla miasta. Jordan i jego następcy zostali zwolnieni z dodatkowych podatków. Pozostał im jedynie obowiązek opłacania czterdziestu talarów rocznie, taki sam jak w przypadku innych obywateli miasta Szczecin. Pierwszy dokument ze wzmianką o rodzinie Levych pochodził z początku XIX wieku, kiedy w Szczecinie powstała oficjalnie uznana gmina żydowska. Członek rodziny Levych przekazał hojny datek na budowę pierwszej synagogi i wykupił w niej za sumę stu talarów dożywotnie miejsce siedzące podczas nabożeństw. Kiedy synagogę okradziono w 1848 roku, przewodniczący gminy Louis Levy ufundował nagrodę za pojmanie włamywacza. Czternastego czerwca na drzwiach synagogi pojawiło się ogłoszenie: „Skradzione świeczniki zostały zwrócone. Złodzieje zostali ujęci po dwóch dniach i przekazani w ręce stróżów prawa. Złotnik Bernau, który dopomógł w ich schwytaniu, otrzymał wyznaczoną nagrodę“.

Eva włożyła tyle wysiłku w swój esej, jakby walczyła nie z jednym narodowosocjalistycznym nauczycielem, ale próbowała pokonać całą ideologię rasistowską. Gdy oddała pracę, nauczyciel nie potrafił ukryć gniewu. Nazwiska jej przodków pojawiały się również w spisach obywateli miasta Hanower sprzed trzystu lat, a według opisu Ewy wszyscy członkowie rodziny mieli niebieskie oczy i blond włosy oraz byli silni i wysocy - nie mogli mieć już bardziej „aryjskiego“ wyglądu.

Lecz nawet „aryjskie“ cechy rasowe nie pomogły rodzinie Levych, bo ideologia nazistowska coraz bardziej się umacniała. W końcu Eva musiała opuścić szkołę. Ojciec zaczął martwić się o jej przyszłość. Choć początkowo był przeciwny ideałom syjonizmu, po raz pierwszy w życiu przyszło mu do głowy, aby wysłać ją i jej starszą siostrę do żydowskiej „narodowej siedziby“ w Palestynie, przynajmniej dopóki emocje nie opadną. Podobnie jak jego żydowscy sąsiedzi w Polzin, doktor Leo Levy wyznawał pogląd, że w końcu zwycięży

zdrowy rozsądek i że ludzie tacy jak Adolf Hitler pozostaną marginalnymi postaciami w historii. Ale nie mógł już dłużej przyrywać oczu na to, co działo się wokół niego.

Pomorze zawsze było niezachwianie konserwatywne, dominował tam pruski nacjonalizm, a lewica nigdy nie znalazła poparcia. W wyborach do Reichstagu, piątego marca 1933 roku, mniej więcej dwa miesiące po tym, jak Hitler został mianowany kanclerzem Rzeszy, mimo zastosowania terrorystycznych metod i blokowania innych partii na masową skalę, NSDAP nie uzyskała większości. Na Pomorzu jednak otrzymała 56,3 procent wszystkich ważnych głosów.

Mniej więcej dwa tygodnie później Hitler poradził sobie z Reichstagem dzięki nadzwyczajnym pełnomocnictwom. Parlament rozwiązał się, zawieszając konstytucyjne uprawnienia legislacyjne i przekazując ustawodawstwo rządowi. „Kretyn z wąsikami“ stał się wszechmocnym dyktatorem. Jego poplecznicy szybko przejęli instytucje państwowe i publiczne i **wypowiedzieli wojnę „wrogom reżimu“**, przede wszystkim socjalistom i Żydom.

Do tego czasu nienawiść do Żydów była nawracającym zjawiskiem, ale nigdy nie została zinstytucjonalizowana przez państwo. Cztery lata wcześniej Marcin Luter domagał się, aby Niemcy pozbyli się Żydów. Nawoływał do konfiskaty ich pieniędzy i biżuterii, zniszczenia domów, spędzenia do stajni jak Cyganów i podpalenia domów modlitwy, ponieważ „bez wytchnienia narzekają na nas do Boga“. Filozof Fryderyk Wilhelm Nietzsche sformułował pojęcie „rasy panów“ i utrzymywał, że nadchodzące stulecie zadecyduje o losie europejskich Żydów. Żydzi albo ustanowią się władcami Europy, albo zostaną jej niewolnikami, jak ich przodkowie, którzy służyli jako niewolnicy w Egipcie.

Ale wszystkie oszczerstwa, prześladowania i krwawe pogromy miały zblaknąć i stracić znaczenie w porównaniu z tym, co europejscy Żydzi wycierpieli później wskutek wysoce zorganizowanych metod, wcielonych w życie przez prawo w okresie Trzeciej Rzeszy. Członkowie rodu Levych słyszeli grzmoty zwiastujące burzę, nie rozumieli jednak, że przepowiadają one nadchodzący koniec.

W 1933 roku rodzina zebrała się w Bad Polzin w święto Pesach w tradycyjny wieczór sederowy. Ernst przyjechał z żoną i córkami. Siegfried i Lisbeth zaś byli nieobecni, pragnęli spędzić święta jak najdalej od ojczyzny, która ich nie chciała. Gdy Leo zasiadał do stołu w Polzin, Siegfried i jego żona byli w drodze na południe Francji. Napisali do domu piętnastego kwietnia. Dwa tygodnie wcześniej Rudolf rozstał się z Genią. Opuścił Rzeszę pierwszego kwietnia, tym razem na dobre. Spotkał się z Siegfriedem i Lisbeth w Nicei. Towarzyszyła im także jego bratanica, Sanna, córka Paula i Idy. Spędzili razem kilka radosnych dni. Przyjemne słońce Riwiery Francuskiej pomogło im zapomnieć o tym, co się dzieje w kraju. Po tych krótkich wakacjach Siegfried udał się w interesach do Szwajcarii. Sanna pojechała do Rzymu, a Rudolf do Rapallo, aby spotkać się tam z Oskarem Kokoschka. Jego przyszłość była niepewna. Tęsknił za Genią i Herbertem, którzy zostali w Berlinie, i nie miał pojęcia, gdzie rzuci go los. Jedno tylko było absolutnie pewne: poprzysiągł sobie, że nigdy nie wróci do Niemiec, dopóki naziści będą u władzy. Minął zaledwie miesiąc od jego wyjazdu, a jego nazwisko już zostało wykreślone z listy członków zarządu Secesji Berlińskiej. W prasie niemieckiej pojawił się następujący tekst:

„Secesja Berlińska dołączyła do wielu organizacji kulturalnych, które przeszły radykalną zmianę w ramach narodowosocjalistycznego programu odnowy. Drzemiące w niej niemieckie siły, tłamszone latami przez element żydowski, teraz znów wzięły górę. Żydzi zostali wykluczeni z organizacji, a na zebraniu generalnym drugiego maja Secesja Berlińska została założona od nowa“.

Na zebraniu założycielskim tej stworzonej od nowa organizacji nowy przewodniczący Emil von Hauth nakreślił jej przyszłość w następujących słowach:

„Zamierzamy zbudować Secesję na całkowicie nowych fundamentach. Pragniemy być oddziałem uderzeniowym niemieckiej sztuki, nie rezygnując ze wspaniałej tradycji Secesji Berlińskiej. My, artyści, jesteśmy zobowiązani do tego, by dostrzec konsekwencje nowego ideału państwa wobec przyszłości i skierować się w tę stronę. Secesja podejmuje się zebrać siły twórcze wszystkich niemieckich ziem i ludów oraz wyrazić ich różnorodność i różnorodność. Założenie Secesji było pierwotnie wypowiedzeniem wojny reakcyjnemu, skamieniałemu, akademickiemu, imitatorskiemu podejściu do sztuki w ówczesnych Niemczech. Secesja Berlińska niniejszym przyjmuje odpowiedzialność i bierze udział, przez poważną pracę swych członków, w tym, co niemiecka sztuka reprezentować będzie w przyszłości“.

Siedząc u szczytu stołu podczas świątecznego posiłku, Leo czuł się jak kapitan sterujący rodzinnym statkiem przez spokojne wody - których spokój, jego zdaniem, na zawsze ustaliły poprzednie pokolenia.

Następnego ranka nieznaną osobą wrzuciła zgniłe jajko do pokoju w suterenie domu przy Promenadzie Bismarcka, który zajmował Viktor, nauczyciel religii w miejscowej szkole. Bernhard przekazał pokój w swoim domu nauczycielowi, który przybył do Polzin z Europy Wschodniej i podjął się nauczania religii żydowskiej. Leo nie znośił tego *Ostjude*, ale z szacunku dla ojca nie zerwał układu. Wyplacał także nauczycielowi pensję, aby mógł bez trudu sprostać codziennym wydatkom i poświęcić się w pełni nauczaniu.

W południe Viktor przyszedł do mieszkania Levych i szepnął coś Leo do ucha. Leo przeprosił członków rodziny wziął płaszcz, przypiął order do kłapy i poszedł do parku domu zdrojowego. Na drzwiach Cafe Zell wywieszono informację: „Żydzi wchodzą na własne ryzyko“.

Leo przeczytał te słowa kilka razy, po czym energicznym ruchem otworzył drzwi i wszedł po trzech schodkach do głównej sali. Siedziało tam kilku znudzonych gości, którzy z ciekawością spojrzeli na niego znad kufli. Prawdopodobnie mieli nadzieję, że w końcu wydarzy się coś interesującego. Zell, właściciel, zajęty był sprzątaniami lady i udawał, że nie widzi klienta. Leo podszedł do niego i przywitał się.

- Dzień dobry, doktorze Levy - odparł Karl Zell i odłożył ścierkę. - Ciasto się już skończyło. Może podać panu piwo?

- Nie, dziękuję. W Pesach i mąka, i piwo są zakazane.

- Ależ oczywiście. To może bimber?

- Słucham? - Leo nie miał pojęcia, o czym mówi właściciel.

Zell wyjaśnił ze śmiechem:

- Miałem na myśli małą wódeczkę.

- Och nie, przyjacielu. Nie przyszedłem tu, żeby się napić.

- Jeśli chcesz się pan pomodlić, toś się pan znalazł w niewłaściwym miejscu - wtrącił jeden z gości ordynarnie i pociągnął pokaźny łyk z kufła. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Leo nic nie odpowiedział, ale też nie wydawał się zbyt zmartwiony.

Właściciel wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nie odpowiada za gości, i spytał:

- Czego zatem pan sobie życzy, doktorze?

- Chciałbym się dowiedzieć, jakież to ryzyko podejmuję, wchodząc tu - rzekł Leo, wskazując na wiszącą na drzwiach kartkę.

- Ach, to? - powiedział Zell niedbale. - To nic nie znaczy, doktorze Levy. Jedna z miejscowych grup szturmowych przyszła tu wczoraj i kazała mi powiesić to na drzwiach.

- Należy pan do szturmowców?

- Nie. Ale kim ja jestem, żeby z nimi walczyć?

- Rozumiem. W pełni pana rozumiem - odparł Leo z nieoczekiwaną pasją. - Ale jeśli kiedykolwiek będzie pan potrzebował kredytu na specjalnych warunkach, niech się pan zwróci do kogoś innego.

- I tak zrobię, doktorze - odpowiedział wzburzony właściciel i dodał: - A poza tym, kto to wie, jak długo jeszcze będzie pan miał jakiegokolwiek pieniądze.

Goście mruknęli potakująco znad kufli.

Leo nic więcej nie powiedział i odwróciwszy się na pięcie, wyszedł z sali równym krokiem. Czuł na plecach spojrzenia obecnych, ale nikt nie wstał, nikt nie powiedział ani słowa. Zszedł trzy stopnie w dół w kierunku drzwi. W pierwszym odruchu chciał nimi trzasnąć, ale przemyślał to i zamknął je cicho i ostrożnie. Był z siebie bardzo zadowolony.

Tego wieczoru opowiedział Ernstowi, co się stało. Starszy brat zawsze reagował dość opieszale i tym razem także minęło kilka sekund, zanim cokolwiek powiedział.

- Leo, czy ty naprawdę myślisz, że pokonałeś NSDAP? - A po kolejnej minucie przerwy dodał: - Czy wiesz, że minister sprawiedliwości Rzeszy odwołał mojego zięcia ze stanowiska?

Zięć Ernsta był prawnikiem i w ostatnich dniach istnienia Republiki Weimarskiej został sędzią. Wszyscy wróżyli mu szybką karierę. Teraz jednak, po zaledwie czterech miesiącach na stanowisku, został zwolniony. Siódmego kwietnia 1933 roku uchwalono „Ustawę o odnowieniu stanu urzędniczego“, co spowodowało usunięcie wszystkich Żydów z urzędów państwowych.

Jednakże to nie ten cios skłonił Ernsta do zrobienia bilansu. Dziesiątego maja, kiedy wracał z biura do domu, wyczuł na ulicach Berlina dziwną atmosferę. Tysiące studentów zebrały się na bulwarze Unter den Linden i dziedzińcu uniwersyteckim, aby rozpocząć przemarsz z pochodniami. Mając w pamięci wcześniejsze doświadczenia, Ernst przyspieszył kroku, żeby jak najszybciej opuścić tę okolicę. Następnego ranka dowiedział się, że rozjuszony tłum spalił na ogromnym stosie dwadzieścia tysięcy książek. Oprócz dzieł Thomasa i Heinricha Mannów oraz Stefana i Arnolda Zweigów rozwścieczeni studenci wrzucili w płomień także książki Alberta Einsteina i Marcela Prousta, Ericha Marii Remarque'a i Emila Zoli, Jacka Londona, Arthura Schnitzlera, Liona Feuchtwangera i H.G. Wellsa. Takiego widoku nie było od palenia Talmudu przed katedrą Notre Dame w Paryżu trzeciego marca 1241 roku. Teraz Związek Studentów Niemieckich wypowiedział wojnę wszystkim dziełom, które rzekomo charakteryzowało „skażenie niemieckiej myśli“, a w rezultacie każdemu drukowanemu słowu, które nie współbrzmiało z ideologią narodowosocjalistyczną. Ten czyn był dla Ernsta bardziej odrażający niż jakikolwiek antysemicki akt przemocy. Wezwał do siebie starszą córkę Theę i jej męża. „Obawiam się, że nie ma dla nas przyszłości w tym kraju“, powiedział.

Ernst, który nigdy nie podejmował ważnych decyzji, nie rozważywszy wszystkiego starannie, jeszcze tego samego miesiąca kazał im spakować walizki. Kupił dla nich bilety w pierwszej klasie na liniowcu „Champollion“, który płynął z Marsylii do Hajfy. Sześćdziesiąt lat po wizycie Aschera Levy'ego w Ziemi Świętej jeden z jego potomków znów był w drodze, lecz tym razem nie jako rzecznik biednych i pozbawionych środków do życia, ale uchodźca. „Nie bójcie się - pocieszał ich Ernst - niedługo i ja do was dołączę“. I rzeczywiście, we wrześniu 1933 roku Ernst i Käthe oddali swoje mieszkanie i przenieśli się do żydowskiego pensjonatu niedaleko Schlüter Strasse. Teraz pozostało już tylko przesłać pieniądze z Berlina do Erec Izrael.

Kiedy Hitler został mianowany kanclerzem Rzeszy, w Niemczech żyło około pół miliona Żydów, których majątek wynosił razem około dwunastu miliardów marek. Suma ta

interesowała zarówno Rzeszę, jak i syjonistów. Dziewiątego kwietnia Arthur Ruppin, jeden z ojców-założycieli Tel Awiwu, zapisał w swym dzienniku:

„Gdyby niemiecki rząd zezwolił Żydom zabrać ich pieniądze, czy też ich część, kilka tysięcy z nich mogłoby założyć gospodarstwa rolne w Palestynie“.

Był to punkt wyjścia złożonej i odważnej akcji transferowej na dużą skalę, znanej jako umowa Haawara⁶⁴.

Pomysł zrodził się, kiedy Gad Machnes i Sam Cohen spotkali się w skromnym mieszkaniu w Tel Awiwie. Byli głównymi udziałowcami w spółce Hanotea, zajmującej się uprawą cytrusów, i właścicielami gajów pomarańczowych oraz ziemi w pobliżu Netanii. Po tym spotkaniu Sam Cohen udał się do Berlina. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu został natychmiast przyjęty w Ministerstwie Handlu i Przemysłu Rzeszy przez wyższego urzędnika Hansa Hartensteina, któremu przedstawił swoje plany i argumenty:

„Gospodarka Rzeszy cierpi z powodu światowego bojkotu żydowskiego. Niemiecki eksport gwałtownie spada. Poza tym rząd Rzeszy jest zainteresowany emigracją Żydów niemieckich. Stowarzyszenie Hanotea jest gotowe przekazać żydowski majątek do Palestyny na następujących zasadach: za kwotę w reichsmarkach, którą niemieccy Żydzi wpłacą na konto spółki w Berlinie, zakupimy niemieckie towary, aby sprzedać je w Erec Izrael i innych krajach Bliskiego Wschodu. Następnie dochód z tej transakcji wypłacimy tym emigrantom, którzy opuścili Rzeszę i osiedlili się w Palestynie. Obie strony na tym skorzystają. Nazistowskie Niemcy przełamują bojkot i zwiększą eksport. Potencjalni emigranci zyskają zachętę do wyjazdu, co jest zgodne z waszą polityką. A faktyczni emigranci otrzymają do swej dyspozycji środki, dzięki którym będą mogli ułożyć sobie życie w nowej ojczyźnie“.

Dwudziestego piątego maja Sam Cohen wyszedł z siedziby Ministerstwa Handlu i Przemysłu z czarną aktówką z foczey skóry pod pachą, w której znajdowało się potwierdzenie pierwszej transakcji na sumę trzech milionów marek. PALTREU⁶⁵, który miał koordynować sprawę w Niemczech, otworzył biuro przy Meinekestrasse w Berlinie. Otrzymał też pozwolenie na otwarcie specjalnych kont w banku A.E. Wasserman w Berlinie oraz M. M. Warburg w Hamburgu.

Hartenstein dostrzegł korzyści płynące z umowy Haawara i udało mu się przekonać do nich partię, władze państwa i rozmaite organy bezpieczeństwa. Pomysł ten spotkał się także z aprobatą gabinetu Führera. Dyrektorzy Głównego Banku Rzeszy za priorytet uznali aspekty ekonomiczne. Choć umowa Haawara nie przyniosła skarbowi państwa żadnej waluty zagranicznej, zapewniła lepszą sprzedaż niemieckich produktów, które z wielu powodów - łącznie ze światowym żydowskim bojkotem niemieckich towarów - nie znajdowały nabywców za granicą. Długotrwałe dyskusje podsumowano w następującym oświadczeniu Ministerstwa Handlu i Przemysłu:

„W celu wsparcia emigracji niemieckich Żydów do Palestyny uzgodnione sumy mogą być deponowane bez nadmiernych żądań na rezerwie walutowej w Banku Rzeszy; jednocześnie pozwoli to zwiększyć niemiecki eksport do Palestyny. W tym celu sporządzono umowę z właściwymi organizacjami żydowskimi.

Emigranci, którym emigracyjne centrum doradcze zatwierdziło kwoty przekraczające minimalną sumę 1000 funtów palestyńskich, którą wolno wwieźć do Palestyny, jako konieczne do ułożenia nowego życia w Palestynie, mogą, zgodnie z tym raportem, otrzymać pozwolenie na zdeponowanie sumy przekraczającej 15 000 reichsmarek na Koncie Specjalnym I w Reichsbanku, płatne na rzecz Banku Tempelgesellschaft⁶⁶, która zostanie następnie przekazana żydowskiemu trustowi w Palestynie.

⁶⁴ Hebr. przewóz, przekazanie.

⁶⁵ Palaestina Treuhandstelle, Trust Palestyński.

⁶⁶ Bank Tempelgesellschaft - Bank Społeczności Świątynnej.

Kontem Specjalnym I, na którym,- wraz z wymienionym poniżej Kontem Specjalnym II, przede wszystkim ma zostać zarezerwowana kwota trzech milionów reichsmarek, zarządzać będzie Bank Tempelgesellschaft jako rachunkiem powierniczym dla wyżej wymienionego trustu żydowskiego. Emigranci otrzymają ekwiwalent wpłaconej przez nich sumy w funtach palestyńskich, zgodnie z kwotami uzyskanymi ze sprzedaży niemieckich towarów w Palestynie, wypłacony przez trust palestyński w kolejności i proporcjonalnie do wpłat dokonanych na Konto Specjalne I [...].

Konto Specjalne II dla Banku Tempelgesellschaft zostało założone w Reichsbanku. Departamenty kontroli waluty mogą przyjmować na to konto wpłaty do kwoty 15 000 reichsmarek na osobę (również płatne na rzecz niemieckiego trustu żydowskiego w Palestynie) od niemieckich obywateli żydowskiej rasy, którzy w chwili obecnej nie zamierzają emigrować, lecz pragną nabyć nieruchomość w Palestynie.

Jeśli kredyt w funtach palestyńskich ze zdeponowanych wpłat pochodzących ze sprzedaży towarów w Palestynie otrzyma osoba, która nie zrezygnowała jeszcze ze swego mieszkania w kraju, kwota ta musi zostać poddana kontroli walutowej Reichsbanku. Jednakże Reichsbank gotów jest zapewnić tej osobie możliwość wykorzystania kredytu przez sześć miesięcy i wydłużyć ten okres na wniosek poparty odpowiednim dokumentem z Biura Palestyńskiego w Berlinie. Jeśli osoba zamieszkała w kraju chciałaby wykorzystać kredyt na zakup ziemi w Palestynie lub inne inwestycje, musi zwrócić się o pozwolenie do agencji kontroli waluty i przedstawić dokument wystawiony przez Niemiecki Konsulat Generalny w Jerozolimie, potwierdzający zamiar dokonania inwestycji. Pozwolenie na wykorzystanie kredytów do innych celów niż inwestycja w Palestynie nie będzie wydawane...“.

Ponieważ umowa Haawara uzyskała teraz podstawę prawną i przypuszczano, że wyjściowa kwota trzech milionów marek bardzo szybko się wyczerpie, naziści obawiali się, że kontrakt z prywatną spółką Hanotea nie będzie wystarczająco opłacalny z punktu widzenia interesów Rzeszy. Hartenstein zażądał, aby umowa Haawara została przekazana światowym organizacjom reprezentującym Żydów. Niemieccy przemysłowcy uważali, że tym sposobem przełamią bojkot, który znalazł nowe poparcie, szczególnie w Anglii i Stanach Zjednoczonych. To postawiło żydowskie organizacje światowe przed dylematem: czy należy podtrzymać bojkot, czy może lepiej byłoby poprzeć tę umowę i tym samym ocalić dziesiątki tysięcy Żydów? Był to główny problem omawiany podczas Kongresu Syjonistycznego w Lucernie w 1935 roku. Delegaci kongresu znaczną większością głosów postanowili poddać umowę Haawara pod nadzór Światowej Organizacji Syjonistycznej. To doprowadziło do niewiarygodnej sytuacji - żydowski establishment bezpośrednio negocjował z nazistami.

Umowa Haawara funkcjonowała nieprzerwanie do wybuchu drugiej wojny światowej. Naziści byli w zasadzie gotowi kontynuować transakcje po pierwszym września 1939 roku, bo Palestyna, terytorium znajdujące się pod mandatem brytyjskim, nie było zaangażowane w wojnę. Ale rząd brytyjski był innego zdania i zakazał jakichkolwiek kontaktów między jiszuwem w Erec Izrael a nazistowskimi Niemcami. W efekcie na kontach dwóch żydowskich banków, Wassermana i Warburga, pozostała suma ponad osiemdziesięciu milionów marek. Z niewyjaśnionych powodów naziści nie skonfiskowali tych pieniędzy i zwrócono je po wojnie pierwotnym właścicielom.

Kilkadziesiąt tysięcy Żydów z Niemiec skorzystało z usług PALTREU, powstawały więc szybko nadwyżki funduszy. Na początku lat trzydziestych w Palestynie mieszkało jedynie dwieście tysięcy Żydów, a sytuacja ekonomiczna maleńkiego jiszuwu była kiepska. Nie było więc możliwości sprzedania tam towarów o wartości kilku milionów marek. Dlatego syjoniści zostali zobligowani do znalezienia dodatkowych rynków zbytu w innych państwach Bliskiego Wschodu, co było trudną i skomplikowaną sprawą, szczególnie w obliczu presji niemieckiego konsulatu generalnego w Jerozolimie. Od początku sprzeciwiał się on umowie i

z powodu głośnych protestów Arabów wysuwał obiekcje wobec wszelkich działań związanych z imigracją kolejnych Żydów. Mimo to prezes Banku Rzeszy, Hjalmar Schacht, stanowczo odrzucił ten sprzeciw. Nawet po tym, jak w 1937 roku Schacht i Hartenstein zostali zwolnieni z zarządu banku, naziści trzymali się umowy Haawara. Jednak przez lata tak zwana marka Haawara straciła na wartości. Ponieważ niemieccy producenci zaangażowani w umowę nie otrzymywali premii, zwykle wypłacanej zagranicznym nabywcom ich produktów w obcej walucie, PALTREU był zmuszony użyć części zdeponowanych funduszy, aby wyrównać różnicę. Początkowo kurs wymiany jednego funta palestyńskiego wynosił dwanaście i pół marki Rzeszy, w roku 1939 było to już czterdzieści marek.

Ernst podpisał kontrakt w ramach umowy Haawara na pięćdziesiąt tysięcy marek z minimalną stratą trzech procent.

- Czyś ty jest już kompletny *meszuga*? - zareagował gwałtownie Siegfried, kiedy się o tym dowiedział.

Leo napisał do Ernsta pełen wyrzutu, ostrzegawczy list: „Zawsze byłeś nieodpowiedzialny, ale nigdy nie sądziłem, że posuniesz się tak daleko. Może i jesteś dobrym prawnikiem, ale nie masz pojęcia o pieniądzach czy interesach. Dlaczego nie poradziłeś się mnie, zanim podpisałeś te bzdury?”.

W końcu, wobec usilnych prośb braci, Ernst rozwiązał kontrakt. Kilka miesięcy później dowiedział się od przyjaciół z Palestyny, że Thea poważnie zachorowała. Ale kiedy przyjechał do Tel Awiwu, okazało się to nieprawdą. Thea wcale nie była chora.

- Wracam do Berlina - zapewnił ją - chcę porozmawiać z Siegfriedem i Leo. Gdy tylko to zrobię, wrócę i osiadę tu na dobre.

Ernstowi nie dane było wrócić do Niemiec. Podczas pobytu w Tel Awiwie zachorował i po kilku dniach zmarł, w wieku zaledwie pięćdziesięciu siedmiu lat.

Leo krył smutek w sobie. Lecz kiedy Else zapaliła świeczkę ku pamięci jego brata trzydzieści dni po jego śmierci, westchnął i powiedział:

- Sama widzisz, że emigracja nie jest rozwiązaniem.

- Óóó... Jak możesz tak mówić? - ostrzegła go Else, kładąc palec na ustach.

Podczas gdy Ernst wyprowadził się ze swego mieszkania już we wrześniu 1933 roku i przeprowadził do pensjonatu, Leo wciąż emanował pewnością siebie. Ignorował starania nowego reżimu, który chciał przejąć część rodzinnego majątku. Jakiś czas wcześniej dyrektor zakładów wapienniczych w Gramenz, Herr Filbrandt, poinformował go o niespodziewanej wizycie przewodniczącego lokalnego związku rolników, który przybył do Köslin specjalnie po to, by zażądać przekazania firmy nieżydowskiemu zarządcy. Filbrandt odesłał go do dyrektora firmy do Polzin i więcej o nim nie usłyszał. Ale optymizm Leo był krótkotrwały. W swej naiwności wierzył, że najgorsze kłopoty ma już za sobą. Mimo że na ratuszu powiewała flaga ze swastyką, właściciel apteki przy rynku ogłosił, że „nie sprzeda tym żydowskim świniom nic oprócz trucizny“, Brunnenstrasse została z pompą przemianowana na Adolf Hitler Strasse, a przy wejściu do parku domu zdrojowego zawieszono tabliczkę z napisem: „Zakaz wprowadzania psów i Żydów“ - nowy reżim nadal nie miał wielkiego wpływu na codzienne życie. Chłopi sprzedawali zboże firmie Levych i kupowali nawet produkowany w zakładach w Gramenz. Właściciele ziemscy, którzy potrzebowali kredytu, wciąż przychodzili do siedziby firmy, choć trzeba przyznać, że starali się utrzymywać swe wizyty w tajemnicy i domagali się bardziej korzystnych warunków spłaty i niższych odsetek. Każda transakcja wprowadzana była do firmowych ksiąg rachunkowych z drobiazgową dokładnością, a Leo wierzył, że nic się nie stanie, jak długo wszystkie strony przestrzegają ustalonego porządku.

Od czasu incydentu w Cafe Zell, gdy wychodził z domu, zawsze przypinał swój order. Ponadto starał się o oficjalny dokument potwierdzający, że walczył na froncie, bo żołnierzy z

pierwszej linii frontu traktowano lepiej niż „zwykłych Żydów“. Na początku listopada Przedstawicielstwo Żydów Niemieckich w Rzeszy wystosowało oświadczenie o poparciu polityki zagranicznej Hitlera. Siegfried śmiał się z tego głośno, ale nie Leo. Uważnie przeczytał każde słowo:

„Wraz z całym narodem niemieckim, jako obywatele państwa, my, Żydzi, także mamy obowiązek oddać głos popierający politykę zewnętrzną rządu Rzeszy. Ma ona zapewnić Niemcom równe miejsce wśród narodów, pojednanie narodów oraz pokój na świecie. Mimo tego wszystkiego, czego doświadczyliśmy, wyborem niemieckich Żydów może być jedynie «Tak».”

Żydowska prasa uznała to za wyraz lojalności wobec ojczyzny, niezależnie od tego, jaki rząd byłby u władzy. Trzeciego listopada na pierwszej stronie „Jüdische Rundschau“, gazety, która publikowała oficjalne oświadczenia przedstawicielstwa, można było przeczytać:

„Pragnieniem każdego niemieckiego Żyda powinno być wyjaśnienie pozycji Żydów w państwie, aby w momencie podejmowania decyzji, w czasach napięć, nie było wątpliwości co do tego, że żydowscy obywatele tego kraju mogą egzekwować prawa obywatelskie“.

Jednakże pobożne życzenia i rzeczywistość to były dwie różne sprawy. Niedługo po tym dom Levych otrzymał pierwszy cios. Był wilgotny i mglisty dzień, typowy dla tej pory roku. Wzgórza wokół Polzin tworzyły swoistą nieckę, która zatrzymywała chmury i mgłę. W biurach praca wrzała jak zwykle. Około piątej po południu czarny mercedes zatrzymał się przed domem przy Adolf-Hitler-Strasse 14. Kierowca w mundurze oddziałów szturmowych otworzył tylne drzwi.

- To tu - powiedział i wskazał siedzibę firmy.

Leo właśnie studiował szacunkowe ceny, które otrzymał rano z zakładów w Gramenz, kiedy przerażony pracownik bez pukania wprowadził gościa do gabinetu.

- Co to ma znaczyć? Przecież poleciłem... - rzekł Leo gniewnie. Ale kiedy podniósł wzrok i zobaczył mundur, zamilkł.

- Pan jest Leo Levy? - spytał tęgi mężczyzna w oliwkowo-zielonym płaszczu od Lodena.

- Doktor Leo Levy - odparł, podkreślając tytuł. Nieproszony gość odsunął krzesło i usiadł, jakby chciał zademonstrować swoją władzę.

Jego towarzysz najpierw położył kapelusz na biurku, następnie przedstawił gościa:

- Ma pan zaszczyt rozmawiać z Herr Blödornem, przewodniczącym narodowosocjalistycznego Powiatowego Związku Chłopów.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł Levy, wyciągając dłoń. Tamten nie zareagował.

- Wątpię, żeby to była dla pana przyjemność, Levy - zaczął Blödorn. - Przyszedłem pomówić o interesach.

- Zawsze z przyjemnością służyliśmy naszym klientom, zgodnie z tradycją naszej firmy, która nawiasem mówiąc istnieje od 1841 roku.

- No cóż, najwyższy czas, żebyś się pan stąd zwinął - wybuchnął towarzysz, który jeszcze nie zdążył się przedstawić.

Blödorn uciszył go skinieniem dłoni i zapytał:

- Czytał pan nową ustawę, Levy?

- Co dzień uchwalane są nowe ustawy. Do której szanowny pan się odnosi?

- Do ustawy Rzeszy o folwarkach dziedzicznych.

- Nie, jeszcze nie miałem czasu się tym zająć.

- Rozumiem, że jest pan zbyt zajęty robieniem pieniędzy, prawda?

- Płacimy podatki od każdego zarobionego grosza, miły panie. Nie mamy nic do ukrycia.
- Od tej chwili będzie pan płacił jedną markę od każdego zarobionego grosza - roześmiał się Blödorn drwiąco, rozpinając guziki płaszcza i prostując nogi. - Ciepło tu - zauważył. - Nie brak wam drewna do ogrzewania, co?

- Mamy tartaki. Nadmiar...

- Wiem - uciął Blödorn. - Przede wszystkim niech pan przeczyta ustawę - powiedział i rzucił w jego kierunku cienką broszurkę. Leo chwycił ją, przeczytał w milczeniu i zbladł. Rozporządzenie wydane przez Ministerstwo Wyżywienia i Rolnictwa Rzeszy klasyfikowało folwarki do stu dwudziestu pięciu hektarów zajmujące się produkcją rolną i leśnictwem jako majątek dziedziczny. Właściciel folwarku dziedzicznego musiał posiadać obywatelstwo Rzeszy Niemieckiej i mieć „niemieckie lub równorzędne pochodzenie rasowe“.

Aryjskie drzewo genealogiczne musiało sięgać aż pierwszego stycznia 1800 roku. Odtąd takie majątki były absolutnie nie na sprzedaż i nie mogły być dzierżawione. Długi, jakie zaciągnęły, były nie do wyegzekwowania.

- Skończył pan?

Leo skinął głową.

- Tak - rzekł cicho.

- I zrozumiał pan, co to oznacza?

-Tak.

- Oznacza to, Levy, że musi pan zrzec się prawa własności do majątku Neu Buslar. Biegły z urzędu wyceni jego wartość i wypłacimy panu urzędową rekompensatę. W końcu wszyscy musimy przestrzegać prawa i nie wolno nam obrabowywać obywateli Rzeszy. Jest pan nadal obywatelem państwa niemieckiego, prawda?

- O ile mi wiadomo, to tak.

-I jeszcze jedno muszę wam, Leyym, przypomnieć - oświadczył Blödorn. - Od dziś wszystkie kredyty, które wzięli chłopci, nic nie znaczą. Nie może pan wyegzekwować spłaty ich długów.

- Ta ustawa nie stanowi, że działa wstecz - zauważył Leo.

- Jest pan prawnikiem czy właścicielem nieruchomości? - spytał cynicznie Blödorn.

Jego towarzysz roześmiał się złośliwie.

- Oczywiście nic z tego nie ma zastosowania, jeśli może pan udowodnić, że należy do aryjskiej rasy.

Leo po prostu zignorował tę uwagę. Blödorn ciągnął dalej:

- Daję panu trzy dni na sporządzenie szczegółowej listy wszystkich zastawów hipotecznych, majątków ziemskich i gruntów rolnych, jakie pan posiada. A jeśli chodzi o chłopów, którzy są panu winni pieniądze, będzie pan musiał sam z nimi jakoś walczyć. Radzę być umiarkowanym i pobłażliwym.

Dwaj mężczyźni wyszli z gabinetu. Leo podszedł do okna i patrzył, jak samochód znika za rogiem. Wtedy opadł ciężko na krzesło i znów wziął do ręki broszurkę. Tekst pełen był uściśleń i nie zawsze był zrozumiały. W końcu Leo poszedł do domu.

Kiedy w domu zapadła cisza i Else powiedziała mu już „dobranoc“, wykręcił numer do mieszkającego w Szczecinie Heinricha Marcuse’a, żeby spytać go o radę. Stary prawnik musiał przyznać, że czuje się równie bezradny. „Jestem Żydem, tak samo jak i pan, mój dobry przyjacielu. Przy każdym zetknięciu z nazistami zawsze będę na straconej pozycji. Oni mają władzę, prawo jest więc po ich stronie. Ale nie wszystko stracone. Radzę panu zwrócić się do Zubkego, prawnika z Köslin. Zubke jest stuprocentowym Aryjczykiem i sprytnym adwokatem, i nie brzydzi się przyjmować żydowskich pieniędzy. Za dobrą opłatą z pewnością będzie gotów się za panem wstawić“.

Chłopi byli zachwyceni nową ustawą. Co więcej, władze dopilnowały podniesienia cen produktów rolnych, chłopci uprawiający własną ziemię zyskali tym samym większy szacunek.

Nazistowska ideologia „Blut und Boden“ („Krew i ziemia“) odnosiła sukcesy. Propaganda głosiła, że chłopci są „żywą krwią narodu niemieckiego“, naziści zyskiwali więc we wsiach coraz większą popularność. W swych pamiętnikach Albert Speer wspomina podróż samochodem z Hitlerem: „We wszystkich wsiach chłopci rzucali na ziemię narzędzia, kobiety machały, był to triumfalny przejazd. Gdy samochód mknął drogą, Hitler odwrócił się do mnie i zawołał: «Tylko jeden Niemiec został do tej pory uhonorowany w ten sposób - Luter! Gdy przejeżdżał, ludzie ciągnęli z daleka, aby go powitać. Tak jak mnie dziś!».”

Tak naprawdę 1525 rok był jedynym momentem w historii, kiedy niemieccy chłopci powstali przeciwko książętom i obciążeniom, jakie na nich nałożono. W owym czasie Marcin Luter zalecał brutalnie potraktować te „wściekle psy“, jak określił biednych buntowników... Odniesienia historyczne, do których teraz sięgano, były przesadnie twórcze. Tam, gdzie chodziło o żydowskiego przedsiębiorcę i niemieckiego chłopca, równanie było dość proste - chłop nie musiał spłacać swych długów, a Żyd miał siedzieć cicho. Leo zrozumiał, że firma nie przetrwa w tych warunkach - zagrożona była płynność finansowa i jej istnienie. Nowe prawo wkrótce wpłynęło też na codzienne życie. Ludzie nie witali już Leo pierwsi, nikt nie zagadywał do niego na ulicy ani nie uchylał kapelusza. W krótkim liście burmistrz poinformował go, że nie jest już jednym z miejskich dygnitarzy. Rodzinę otoczyła atmosfera społecznego wykluczenia.

Prawnik Zubke zażądał horrendalnego honorarium, ale wart był tych pieniędzy. Miał ogromne doświadczenie w borykaniu się z przedstawicielami reżimu. W tym czasie rząd jeszcze starał się nadać polityce wykluczenia pozory legalności, dlatego skrywał ją pod płaszczykiem ministerialnych dekretów. Sprytni prawnicy, Aryjczycy, tacy jak Zubke, pilotowali klientów przez paragrafy, poszukiwali luk prawnych i często osiągnęli przynajmniej częściowe sukcesy.

Kiedy więc naziści postanowili zarekwirować zakłady wapiennicze w Gramenz, Leo i Siegfriedowi wydało się oczywiste, że należy znów zwrócić się do kancelarii adwokackiej w Köslin. Siegfried, który wrócił właśnie z kolejnej podróży zagranicznej, uważał, że jest to jedynie kwestia pieniędzy. Jednak dla Leo oznaczało to o wiele więcej. Zakłady w Gramenz były dla niego źródłem inspiracji. Zbudował je i całymi miesiącami trzymał się, by znaleźć najbardziej efektywny sposób przerabiania wapienia w nawóz. Jego serce krzychało, żeby zapobiec wymuszonej sprzedaży. Czuł, że utrata zakładów w Gramenz przypieczętuje los rodzinnej firmy - likwidacja najnowszego projektu podcięłaby rodzinny interes, którego korzenie sięgały aż połowy XIX wieku. ‘

Była niedziela, czwartego lutego 1934 roku. Po mszy prawnik Zubke wyruszył swoim małym oplem do Grünwalde⁶⁷. Ostatni rozdział historii zakładów wapienniczych rozegrał się w domu przewodniczącego narodowosocjalistycznego Powiatowego Związku Chłopów, Klix. Zubke ściągnął posiłki. Do Grünwalde towarzyszyli mu Leo Levy i Filbrandt, zarządca zakładów, plus jeszcze jeden prawnik o nazwisku Bayer, z Neustettin. Klix przyjął ich miło. Jego żona podała kawę i ciasto, a Klix wyjął z kredensu kirsza domowej roboty. Niezorientowana osoba postronna mogłaby wywnioskować, że jest to niedzielne spotkanie starych przyjaciół. W rzeczywistości była to walka, w której wszystkie chwytaki były dozwolone. Następnego dnia Leo wysłał Siegfriedowi podsumowanie kursu, jaki obrała rozmowa.

„Na początek Klix wytoczył ciężkie działa, zwracając się do Zubkego i wyrażając swoje zdziwienie, że ten zgodził się nas reprezentować. Następnie zwrócił się do mnie, mówiąc, że w zasadzie dawno mógłby kazać mnie aresztować za aspołeczne zachowanie. W odpowiedzi na moje pytanie, czym przejawia się moje aspołeczne zachowanie, zaczął od tego - tak samo jak w rozmowie telefonicznej z Filbrandtem przed kilkoma dniami - że zmniejszyliśmy płace

⁶⁷ Obecnie: Role.

o trzydzieści procent, ale wcale nie obniżyliśmy ceny wapna. Od razu pokazałem mu księgi płać, aby udowodnić, że obniżyliśmy pensje wypłacane w latach 1931-1932 o około piętnaście procent do poziomu z 1927 roku, w ścisłym związku zarządzeniem wyjątkowym z 31 grudnia, i jednocześnie obniżyliśmy cenę wapna do 110 reichsmarek. Ale Klix nie wydawał się zainteresowany żadną z tych spraw. Mimo że sam kupił wapno po niższej cenie, utrzymywał, że policzyliśmy mu według starych stawek.

Następnie zaczął się rozwódzić nad redukcją godzin, co sprostowałem, przypominając mu, że zastosowaliśmy się do zaleceń nowego rządu, który wielokrotnie wzywał do skrócenia dnia pracy, aby zapobiec zwolnieniom z powodu zwiększającej się liczby robotników. Byliśmy zobligowani do ograniczenia godzin pracy z powodu zmniejszenia się liczby zamówień - w wyniku bojkotu - aby utrzymać się przynajmniej do świąt Bożego Narodzenia bez konieczności zamknięcia firmy.

W czasie rozmowy Klix wspomniał - zapewne po to, żeby nas przestraszyć - że młody Dennig został przewencyjnie zatrzymany w Juchow⁶⁸ za społeczne zachowanie. Przez pierwsze pół godziny miała miejsce gorąca wymiana zdań, bo ciągle go poprawiałem, kiedy mówił coś niezgodnego z prawdą.

Klix następnie zaczął czytać na głos list od spółdzielni rolnej do Blödorna, przewodniczącego miejscowych chłopów, o którym już powiedział Filbrandtowi w grudniu. W liście było napisane, że zakłady wapiennicze powinny przejść w inne ręce, aby chłopom mogli dostać wapno z zakładów w Gramenz, którego tak rozpaczliwie potrzebują. Potem odczytał fragmenty listu od inżyniera Moritza-Kalkberge, w którym Kalkberge przytaczał liczby wyraźnie różniące się od tych, o których mówił, gdy rozmawiał ze mną w Gramenz. Z listu Moritza-Kalkberge - potencjalnego kupca podstawionego przez władze - jednoznacznie wynika, że zamierza on trzymać stronę Klixa, aby wymusić na nas jak najniższą cenę. Mimo iż dwudziestego drugiego grudnia w obecności mojej i Filbrandta Moritz-Kalkberge wycenił wartość zakładów na 75 000 reichsmarek, w liście do Klixa wymienił kwotę 40 000-50 000 reichsmarek.

Następnie zaczęliśmy omawiać kontrakt z rządem, weryfikując ilość sprzedanego wapienia od 1928 roku i dochody uzyskane w tym okresie (częściowo konsultując to z Herr Frickiem przez telefon). Powiedziałem im także, jaki zysk przyniosły zakłady w Gramenz, 10 000 marek rocznie przez ostatnie dwa lata. W poprzedzającym je roku była strata około 4000 reichsmarek w związku z procedurami bezpieczeństwa etc. W latach wcześniejszych było to 10 000-22 000. Od 1930 roku obroty spadły mniej więcej o połowę w porównaniu z poprzednimi latami, w wyniku trudności w rolnictwie, oczywiście zyski także odpowiednio spadły. [...]

Później wróciliśmy do biura, gdzie po raz kolejny wywiązała się dyskusja na tematy polityczne. Klix uzasadniał bojkotowanie Żydów tym, że światowa społeczność żydowska bojkotuje niemieckie towary, co podobno jasno wynika z ostatnich danych na temat eksportu. Powiedziałem, że w żadnym wypadku nie jesteśmy zobligowani trzymać się umowy, bo jest wiele stałych, obowiązujących od lat kontraktów, a poza tym sytuacja ekonomiczna prawdopodobnie się poprawi. Klix utrzymywał, że ma tak wielki wpływ na chłopów z majątków, że gdyby tylko zakazał wszystkim kupowania od nas, nikt nie ośmieliłby się tego zrobić. Dotąd powstrzymał się od wydania bezpośrednich poleceń tylko z szacunku dla naszych pracowników. Ale jeśli ustalimy zbyt wysoką cenę, uniemożliwiając tym samym przejście dzierżawy, wyda zakaz kupowania od nas i wtedy będziemy zmuszeni wkrótce zamknąć zakłady lub będziemy działać bez zysku.

Zubke i ja wielokrotnie odwoływaliśmy się do rozmaitych rozporządzeń ministerialnych, na przykład do tego, które wydał minister Frick przed kilkoma dniami. Klix odpowiedział na to, że nie zamierza zrobić nic niezgodnego z prawem, ale że zgodnie z zasadą «Blut und

⁶⁸ Obecnie: Juchowo.

Boden», zatwierdzoną przez nowe władze państwowe, ma prawo, jako przewodniczący chłopów, zabronić im kupowania od niaryjskich firm.

Na koniec Klix nalegał, abyśmy przedstawili dokładną sumę, ja zaś spytałem, kiedy można spodziewać się zapłaty. Klix natychmiast odpowiedział, że cała kwota może zostać od razu wypłacona gotówką. Udaliśmy się z Zubkem do drugiego pokoju, gdzie doszliśmy do wniosku, że jeśli pieniądze mają być wypłacone gotówką, ostateczna cena wynosi 90 000 reichsmarek za zakłady, natomiast zapasy gotowego wapienia, hałdy nieprzetworzonego, węgiel oraz inne materiały używane w zakładach zostaną rozliczone według ich bieżącej wartości. Należałoby ustalić datę przekazania zakładów na pierwszy marca...“.

Pod koniec miesiąca obcy robotnicy pojawili się w Gramenz i zdjęli szyld z nazwiskiem rodziny, zawieszony przed wieloma laty. Widniał na nim napis: „Dominium cesarskie Gramenz - Zakłady Wapiennicze Aschera Levy'ego“. Dwa dni wcześniej podpisano umowy. Zakłady przekazano nowym właścicielom za sumę siedemdziesięciu pięciu tysięcy reichsmarek. I podobnie jak w wypadku Neu Buslar, bracia Levy byli zadowoleni z warunków transakcji z punktu widzenia interesów. Jednak o bólu, jaki odczuwał Leo, świadczy pewien szczegół. Polecił on załadować szyld na ciężarówkę i przywieźć do tartaku w Kollatz. Tam pocięto go na szczapy, a gdy piła cięła drewno, Leo czuł się tak, jakby rozcinała jego własne ciało. Było dla niego jasne, że wszystkie pozostałe firmy należące do rodzinnego interesu podzielą wkrótce los Gramenz. Administracja kolei już poinformowała go, że bocznice łączące tartak w Kollatz z państwową siecią kolei zostaną zamknięte i zdemontowane. Zamknięcie tego odcinka torów oznaczało, że transport do i z tartaku przestał być możliwy, co sprawiło, że produkcja stanęła.

- Co zamierzasz zrobić ze swoją częścią pieniędzy ze sprzedaży? - spytał Siegfried, gdy w końcu tygodnia przyjechał z Lisbeth z wizytą do Polzin.

- Na razie wpłaciłem je na konto - odparł Leo.

- Jak możesz być tak naiwny? - rzekł jego brat ze złością. - Najpierw odebrali nam Gramenz, a następnym krokiem będzie zabranie nam kont.

-Jak zwykle przesadzasz... A co ty zamierzasz zrobić z pieniędzmi?

Siegfried zniżył głos:

- A może spróbujesz przenieść pieniądze za granicę, gdzie będą bezpieczne?

- Tak jak Ernst? Każdy przelew zagraniczny pociąga za sobą teraz ogromne podatki. Nie jestem taki *meszuga*, żeby wyrzucać jedną trzecią pieniędzy w błoto.

- Są inne sposoby.

- Co masz na myśli? - spytał Leo z nutą podejrzliwości w głosie. - Mam nadzieję, że nie robisz nic, co byłoby sprzeczne z obecnymi przepisami?

- Zapomnij o tym, nic nie mówiłem. - Siegfried wzruszył ramionami i zamilkł. Bracia nigdy więcej nie poruszyli tego tematu.

Na pozór nic się nie zmieniło. Biuro otwierano i zamykano o zwykłej porze. Leo i Siegfried prowadzili długie rozmowy przez telefon i doradzali sobie nawzajem w każdej sprawie, lecz coraz mniej ważnych szczegółów wymagało konsultacji. Siegfried coraz częściej wyjeżdżał za granicę, nie mówiąc bratu o celu tych podróży. Interes nie cierpiał z powodu jego nieobecności. Z wielu rozmaitych przedsiębiorstw pozostały jedynie tartaki, ale nawet one nie pracowały w pełni wydajnie. Administracja kolei uznała, że nie jest zdolna do zapewnienia ciężarówek do transportu drewna. Leo był zły z powodu tej decyzji, ponieważ była ona nie tylko sprzeczna z interesem publicznym, ale i bezprawna. Nie istniało żadne rozporządzenie, które dawałoby prawo dyrektorowi kolei zabronić Żydowi transportu produktów z jego tartaku do klientów. Leo wysłał list protestacyjny do Köslin, na który nigdy nie otrzymał odpowiedzi.

Ponieważ prace przy Kolei Hidzaskiej dobiegły końca, jego kuzyn Paul został urzędnikiem kolejowym w Szczecinie i przez lata dosłużył się stanowiska zastępcy głównego inżyniera. Z braku alternatywy Leo zwrócił się do niego o pomoc. „Czy przypadkiem nie zapomniałeś, że jestem Żydem?“, spytał Paul, kiedy rozmawiali przez telefon. „Moje dni w Kolejach Rzeszy są policzone i na pewno nie ma tu nikogo, kogo interesowałaby moja opinia“.

Paul Levy miał kontynuować pracę w Kolejach Rzeszy jeszcze przez rok. Ci z jego żydowskich współpracowników, którzy nie służyli w armii podczas pierwszej wojny światowej, a więc nie byli zakwalifikowani jako „żołnierze z pierwszej linii frontu“, zostali zwolnieni bez odprawy pieniężnej w 1934 roku. Paula chroniła, przynajmniej na razie, służba w wojsku. Wrócił z rosyjskiego frontu z raną wojenną i dwukrotnie odznaczony Żelaznym Krzyżem. Administracja Kolei Rzeszy w Szczecinie sprzeciwiła się jego wcześniejszemu zwolnieniu, ponieważ nie mogli znaleźć na jego miejsce inżyniera z tak wszechstronnym doświadczeniem technicznym. Kiedy Paul przeczytał artykuł na pierwszej stronie „Völkischer Beobachter“ z drugiego października 1935 roku, naciskający na natychmiastowe zwolnienie wszystkich Żydów, którzy nadal byli zatrudnieni w Kolejach Rzeszy, zrozumiał, że nadeszła i jego godzina.

„Ustawy norymberskie odniosły już w Kolejach Rzeszy skutki praktyczne, zapewniwszy dyrektorowi generalnemu SA-Oberführerowi Kleinmannowi możliwość zlekceważenia wszelkiej opozycji i natychmiastowego przesłania telegrafem rozkazu usunięcia wszystkich Żydów nadal zajmujących wysokie stanowiska w Kolejach Rzeszy.

Teraz, w roku 1935, ponad dwa lata po zmianie zarządu, dowiadujemy się, że wciąż ponad trzydziestu Żydów zajmuje wysokie stanowiska w Niemieckich Kolejach Rzeszy. Pytamy więc, dlaczego poczyniono kroki dopiero w wyniku nacisku władz państwa, a nie indywidualnej inicjatywy?“.

Pewnego dnia wezwano go do dyrektora Kolei Rzeszy w Szczecinie. Gdy wszedł do jego gabinetu, zauważył rozłożoną na biurku gazetę. Rozmowa była krótka. Dyrektor wyraźnie czuł się nieswojo w tej sytuacji, ale Paul wiedział, że nic na świecie nie zmieni celu spotkania.

- Pańskie zatrudnienie kończy się z dniem dzisiejszym, punkt czwarta - oznajmił dyrektor i poprosił, aby Paul wprowadził swojego następcę w obowiązki. Następnie dodał: - Państwo wzięło pod uwagę pańską służbę w armii. Nie odeślemy pana do domu z pustymi rękami. Paragraf czwarty ustawy z piętnastego listopada mówi, że „urzędnicy, którzy walczyli na froncie dla Rzeszy Niemieckiej lub jej sprzymierzeńców, mają prawo otrzymywać pełną pensję, jako składkę na fundusz emerytalny, aż do wieku emerytalnego“. Zobaczymy, jaka będzie sytuacja, kiedy osiągnie pan odpowiedni wiek.⁶⁹

W Bad Polzin wiadomość o zwolnieniu Paula nikogo nie zdziwiła. Ograniczenia krępowały coraz ściślej, a ciosy spadały tak często, że uważano je za niemal normalne. Kontrola nad transportem drewna dawno spadła z listy priorytetów. Ponieważ firma musiała oddać swoje nieruchomości, szczególnie ogromne połacie lasów, stali się zakładnikami w rękach dystrybutorów surowca. Od czasu do czasu oferowano drewno na sprzedaż albo ogłaszano publiczny przetarg na wyrąb lasu, jak to było w zwyczaju w tej branży.

Leo nie zamierzał zrezygnować z prawa do udziału w tym procesie. Nieskazitelnie ubrany, z Żelaznym Krzyżem dumnie przypiętym do kłapy, jeździł do miasteczek i wsi, aby sprawdzić drewno okiem eksperta. Mimo iż czasem jego oferta była najkorzystniejsza, nigdy nie otrzymał zamówienia. Coraz więcej osób wołało unikać robienia interesów z Żydami.

⁶⁹ W 1941 r. Paul Levy został deportowany do obozu koncentracyjnego w Piaskach niedaleko Lublina, w 1943 r. przewieziony do Majdanka, gdzie zginął (przyp. aut.).

„Wasi współwyznawcy bojkotują niemieckie towary - zarzucali mu. - Teraz nasza kolej, żeby zbojkotować żydowskie interesy w naszym kraju“. Na próżno starał się wyjaśnić, że on, doktor Leo Levy, jest obywatelem niemieckim, tak samo jak oni. Byli głusi na jego słowa.

Straty firmy były ogromne. Ale o wiele bardziej bolało Leo coraz wyraźniejsze ograniczenie jego praw i widoczna zmiana w zachowaniu otaczających go ludzi. Czuł się zraniony i oburzony. Najgorsza zaś była bezradność wobec tych wszystkich machinacji.

Pracownicy firmy w Bad Polzin i starsi robotnicy w fabrykach zawsze traktowali Leo z szacunkiem. Większość z nich pochodziła z okolicy, znali więc firmę Aschera Levy'ego jeszcze ze swego dzieciństwa. Fakt, że „rodzina Levy'ych była tu jeszcze przed naszym urodzeniem“, znacznie podnosił prestiż firmy. Zatrudnienie w firmie Aschera Levy'ego w Polzin postrzegano jako coś szczególnego. Pracownicy firmy cieszyli się zarówno szacunkiem ludzi, jak i korzystnym kredytem w sklepach, bo nikt nie wątpił, że są godni zaufania. Levy stawiali swoim pracownikom wysokie wymagania, mimo że Ascher, a po nim Bernhard i Leo, nie byli wobec nich przesadnie hojni: płace w firmie porównywalne były z tymi w innych przedsiębiorstwach. Ludzie nie uważali jednak tego za skąpstwo, lecz szanowali jako roztropność w prowadzeniu interesów. Mieszkańcy Pomorza uważali rozrzutność za naganną cechę.

Leo zawsze utrzymywał pewien dystans w stosunku do pracowników, nie z powodu arogancji, ale ponieważ był przekonany, że każdy powinien znać swoje miejsce. Od czasu do czasu jednak wdawał się z nimi w pogawędkę o codziennych sprawach i wydarzeniach ze świata. Łączyła ich wspólna tęsknota za czasami cesarza i Republiki Weimarskiej. Krótko mówiąc, istniało pewne zrozumienie między pracodawcą a pracownikami.

Jednak nawet ta więź zaczęła się rozpadać. Życie polityczne nie toleruje próżni. W ciągu ostatnich lat miejsce Niemieckiej Narodowej Partii Ludowej zajęła NSDAP. A kiedy rząd zaczął podkopywać ekonomiczne podstawy firmy, tym samym stawiając jej istnienie pod znakiem zapytania, nawet najbardziej lojalni i długoletni pracownicy zdali sobie sprawę, że nie byłoby dobrym posunięciem wiązanie własnej przyszłości z przyszłością Levy'ych.

Leo uważany był za osobę nieelastyczną. Tylko najbliżsi wiedzieli, że ten twardy, opanowany człowiek jest niezwykle wrażliwy na zmiany atmosfery. Przeważnie zachowywał się tak, jakby nie zauważał szeptów za plecami i tego, że przechodnie na jego widok odwracają wzrok, ale kiedy Siegfried przyjechał następnym razem do Polzin na Szabat, Leo wybuchnął:

- Wygląda na to, że nie możemy już nawet polegać na naszych pracownikach. Nie ma wątpliwości, że niektórzy z nich są donosicielami.

- Dziwisz się, Leo? Chcą tylko ocalić skórę. Dobrze wiedzą, z kim się należy liczyć. Nie wiesz, kto ostatni opuszcza tonący statek? Kapitan, Leo, zupełnie sam.

- Mimo to jestem zaskoczony. Czy naprawdę nie dostrzegają, że Hitler to zjawisko, które przemienie? Za sto lat nikt nawet nie będzie pamiętał jego imienia.

- Nie martw się - rzekł Siegfried kpiąco - za sto lat wszyscy zmienią zdanie i będzie jak dawniej.

Leo nie był skory do żartów.

- Czy ty nigdy nie możesz do niczego podejść poważnie? - spytał.

- Wręcz przeciwnie, mój drogi braciszku. To wisielczy humor. Znasz opowieść o Żydzie, który przychodzi do rabina i narzeka na swoją beznadziejną sytuację? Idzie raz, drugi, trzeci, i ciągle zawodzi. Rabin jednak za każdym razem odsyła go z powrotem. W końcu pewnego dnia Żyd przychodzi do rabina i ryczy ze śmiechu. Wtedy rabin zdaje sobie sprawę, że jest już naprawdę źle... Tak to jest. Zobaczmy, co Herr Hitler ma w rękawie dla Żydów, aby się upewnić, że będzie o nim wzmianka w podręcznikach historii.

Tak zwane ustawy norymberskie uchwalono piętnastego września 1935 roku - „Ustawę o ochronie krwi niemieckiej i honoru niemieckiego“ i „Ustawę o obywatelstwie Rzeszy“. Po raz pierwszy w historii nowożytnej wartość człowieka określono na podstawie krwi krążącej w jego żyłach i żyłach jego przodków. Ustawy te stanowiły kwintesencję rasistowskiej ideologii narodowosocjalistycznej. „Ustawa o obywatelstwie Rzeszy“ pozbawiała Żydów praw obywatelskich. „Ustawa o ochronie krwi niemieckiej i honoru niemieckiego“ zabraniała małżeństw i stosunków pozamałżeńskich między Żydami a „obywatelami Rzeszy“, czyli „Aryjczykami“. Treść tych ustaw ogłoszono przez radio i przedrukowano w całej prasie.

Leo wysłuchał specjalnego komunikatu radiowego. Słowa, odbierające mu to, co było dla niego najdroższe, wyryły się głęboko w jego sercu. Spiker teatralnie obwieścił: „Jedynie obywatel Rzeszy, posiadający pełne prawa polityczne, może oddawać głos w kwestiach politycznych i zajmować stanowiska publiczne... Żyd nie może być obywatelem Rzeszy“. Leo wyłączył radio, podszedł do biblioteczki i zdjął z półki książkę oprawioną w ciemną skórę. Był to jedenasty tom *Historii Żydów*. Na stronie tytułowej, pożółkłej przez lata, widniała dedykacja, którą jej autor, profesor Heinrich Graetz, napisał dla jego ojca. Leo odczytał na głos fragment przedmowy: „Mam większe szczęście niż moi przodkowie i mogłem zakończyć [*Historię Żydów*] pozytywnym akcentem. Żydowski lud znalazł w końcu nie tylko sprawiedliwość i wolność w cywilizowanych krainach, ale także zyskał pewne uznanie...“.



Else Levy z d. Frensdorf i Leo Levy, 1926 r.

Else widziała, że mąż zaszył się w swoim pokoju, i słyszała głos spikera. Poszła za Leo zaniepokojona, ale zamarała w progu. Leo uniósł książkę nad głowę i cisnął nią z całej siły o podłogę. Dopiero wtedy Else otrząsnęła się i rzuciła mu się zrozpaczona w ramiona.

- Leo, och, Leo... - wyjąkała. - Co teraz z nami będzie?

W ciągu dwóch lat od przejścia władzy przez Hitlera około dwudziestu pięciu tysięcy Żydów znalazło prostą odpowiedź na to pytanie. Opuścili ojczyznę, w której ich obecność stała się niepożądana. Wyjechały także trzy córki Leo. Eva była w Holandii na kursie Hachszara, przygotowującym do emigracji do Erec Izrael. Hannah na Litwie poszła do szkoły ORT⁷⁰, aby nauczyć się uprawy roli. Tam przekonały ją ideały syjonizmu i w końcu ona także postanowiła wyemigrować do Erec Izrael. Grete znalazła posadę nauczycielki w

⁷⁰ Obszczestwo Rasprostranienija Truda Sredi Jewriejew (p. słowniczek).

Londynie i było dla wszystkich oczywiste, że nie zamierza wracać. Po śmierci Ernsta Leo udał się z krótką wizytą do Palestyny, aby odwiedzić swoją bratanicę, Theę. Przyjrzał się „narodowej siedzibie“ krytycznym okiem. Nie ciągnęło go do tego kraju, który wydał mu się tak zacofany w porównaniu z Niemcami, oddalony o lata świetlne od centrum kulturalnego i na wskroś orientalny. Wielu jego znajomych zamieszkało już w Tel Awiwie lub w jednej z osad rolniczych. Słuchał opowieści o ich doświadczeniach, rozumiał w pełni ich pobudki, ale sam nie skłaniał się ku emigracji - ani do Palestyny, ani nigdzie indziej. Oznaczałoby to porzucenie wszystkich ideałów, które kierowały nim od dzieciństwa. Zawiódłby ojca i dziadka, zdradził swoją filozofię życiową i chyba po raz pierwszy w życiu postąpiłby wbrew sobie.

- Dla mnie emigracja równałaby się moralnemu samobójstwu - powiedział do Else. - Powinniśmy zostać tutaj. Nikt nie ucieknie przed swym przeznaczeniem, nieważnie, dokąd pojedzie.

6. Ostatni obraz

Pociąg ekspresowy relacji Berlin-Zurych przez Norymbergę i Ulm miał dwudziestominutowe opóźnienie.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale ta cała sprawa jakoś mnie niepokoi - rzekła Lisbeth, nie patrząc na męża. Zagłębiony w lekturze działu sportowego porannej gazety Siegfried nic nie odpowiedział. Siedział wygodnie rozparty na miękkim siedzeniu. Zawsze wybierali drugą klasę jako kompromis pomiędzy trzecią, z twardymi drewnianymi ławami i towarzystwem pasażerów cuchnących piwem i tytoniem, a pierwszą, którą uważali za stosowną wyłącznie dla snobów i rozrzutników. A poza tym, ponieważ bardzo niewiele osób kupowało najdroższe bilety, bez wątpienia ściągnęliby tym na siebie uwagę. Był sierpień 1936 roku i w owym czasie należało już starannie rozważać każdy drobiazg i jego potencjalne następstwa - szczególnie dlatego, że misja Siegfrieda i Lisbeth wiązała się z pewnym ryzykiem.

Lisbeth stanęła przy otwartym oknie i uważnie obserwowała dworcowy rozgardiasz. Perony były pełne. Tragarze w identycznych uniformach biegali w tę i z powrotem, a niekończące się strumienie ludzi ciągnęły do podziemnych przejść. Grupa chłopców w towarzystwie dorosłego mężczyzny ustawiła się rzędem wzdłuż pociągu i śpiewała patriotyczną pieśń. Na ścianach głównego budynku wywieszono flagi i transparenty.

Kilka dni wcześniej zapalono znicz olimpijski na nowym stadionie w Berlinie. Zgiełk na dworcu był związany z igrzyskami. Olimpiada stanowiła istotne narzędzie propagandy dla nazistowskiego reżimu, oferując szansę zademonstrowania światu „osiągnięć” Trzeciej Rzeszy i jej „umiłowanie wolności”. Dzięki dyskretnym rozkazom dopilnowano, aby wszystkie tabliczki z napisem „Żydzi niemile widziani” czy „Zakaz wejścia dla Żydów i psów” zniknęły niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przedtem znajdowały się przy wejściach do parków miejskich, kin, teatrów i pływalni, a nawet przy wjeździe do niektórych miasteczek. Prasa złagodziła swe antysemickie wypowiedzi, a artykuły na temat wyższości nordyckiej rasy miały przeleżeć w szufladach redaktorów do chwili zgaszenia olimpijskiego znicza. Ze względu na przybyszów z zagranicy Niemcy zadbały o wizerunek spokojnego i zadowolonego z siebie kraju, którego ludność skupiała się wokół egzaltowanej postaci Adolfa Hitlera.

Minęło właśnie pięć miesięcy, od kiedy Wehrmacht wkroczył do zdemilitaryzowanej Nadrenii. Trzy miesiące później Benito Mussolini, przysły sprzymierzeniec Hitlera, ostatecznie zajął Abisynię. Nazistowskie poparcie dla generała Franco, który rozpoczął wojnę domową w Hiszpanii, było tajemnicą poliszynela. Obowiązywały wciąż ustawy rasowe i rozkaz konfiskaty mienia. Ale zagraniczni goście, zwłaszcza Brytyjczycy i Amerykanie, byli pod wrażeniem tego pozornie spokojnego kraju, w którym rządziło prawo i panował porządek. A może po prostu wygodnie było im widzieć tylko to, co chcieli zobaczyć?

- To także dla nas najlepsze chwile - rzekł Siegfried.

- Cieszymy się nimi.

Lisbeth przypomniała sobie słowa męża, gdy dwóch policjantów w hełmach podeszło równym krokiem do spóźnionego pociągu. Zatrzymali się przy otwartych drzwiach ich wagonu. Jeden z mundurowych zerknął na białą tabliczkę przyklepioną obok drzwi i głośno powiedział do kolegi:

- Niektórym to dobrze, co? Do Zurychu sobie jadą... - Oparł dłoń o tabliczkę.

Lodowaty dreszcz przebiegł Lisbeth po plecach. Przed wejściem do pociągu Siegfried wsunął grubą białą kopertę między ścianę wagonu a tabliczkę i zabezpieczył ją plastrem. Lisbeth kupiła go dwa dni wcześniej w aptece niedaleko domu.

Aptekarz spytał ją: „Mamy szeroki i wąski plaster. Który pani woli?”. Była tak poruszona, że nie mogła zebrać myśli. W panice pomyślała, że aptekarz dokładnie wie, do czego ma

posłużyć przylepiec. A teraz, kiedy wydawało się, że policjanci nie zamierzają się nigdzie ruszyć, nie była już w stanie zapanować nad sobą. Pochyliła się do męża i zabrała mu z rąk gazetę. Tym razem widać było popłoch na jej twarzy.

- Co się stało? - spytał.

- Policja - szepnęła. - Dwóch policjantów tuż obok... Wiesz, obok... - Wskazała na drzwi.

- Uspokój się, Lies - rzekł do niej łagodnie i wstał z ociąganiem. - Zobaczmy, co się tam dzieje.

Policjanci spojrzeli w górę, gdy okrągła twarz Siegfrieda wychyliła się z okna.

Jak cała rodzina Levych, Siegfried nie miał semickich rysów. Jego blond włosy i niebieskie oczy wyprowadziłyby w pole nawet najbardziej doświadczonego eksperta w badaniu przynależności rasowej. Przed laty Leo opowiadał mu o zabawnym incydencie, jaki przydarzył mu się w czasach studenckich w Heidelbergu. Jeden z profesorów wygłaszał wykład na temat różnic w fizjonomii ludów europejskich. Kiedy ktoś zapytał go, jak wygląda Aryjczyk, ten bez wahania wskazał na Leo i odparł: „Tak, jak ten student“. Cała sala ryknęła śmiechem, bo wszyscy koledzy wiedzieli, że Leo jest Żydem.

Policjanci uśmiechnęli się do Siegfrieda, a ten odwzajemnił uśmiech.

- Na wakacje? - spytał ten, który opierał się o tabliczkę.

- Jeszcze nawet nie ruszyliśmy - zażartował Siegfried.

- Obawiam się, że ten pociąg nie zdobędzie żadnego medalu.

- Nigdy nie wolno tracić nadziei - odparł policjant. Tryskał humorem. - Zdobędziemy dość medali na stadionie.

Z drugiego końca peronu dobiegł gwizd. Przenikliwy głos nakazał zamknąć wszystkie drzwi.

- I sam pan widzi. Wszystko dobre, co się dobrze kończy - roześmiał się policjant i pożegnał Siegfrieda, wysuwając energicznie rękę do przodu.

Pociąg ruszył ociężale, jakby nie chciał opuszczać stalowo-szklanej konstrukcji dworca. Minęli płataninę torów i wkrótce zostawili za sobą centrum miasta. Pociąg nabrał prędkości.

Siegfried zamknął okno i wrócił do swojej gazety. Lisbeth spojrzała na niego. Wyjęła z torebki srebrną puderniczkę zdobioną masą perłową. Choć byli sami w przedziale, nie zamienili ze sobą ani słowa. Lisbeth pudrowała twarz, Siegfried ponownie zagłębił się w lekturze. Nagle wybuchnął śmiechem. Lisbeth spojrzała na niego znad lusterka.

- Doskonale cię rozumiem. To zupełnie normalne po takich przeżyciach.

- Nie, moja droga, to nie ma nic wspólnego z tą sytuacją. Właśnie przeczytałem, że czarnoskóry sportowiec zdobył cztery złote medale. - Siegfried krztusił się ze śmiechu. - Wyobraź sobie, czarny biedak z Alabamy. Przedstawiciel niższej rasy cóż to za cios dla rasy nordyckiej... Niewiarygodne... Nie do pomyślenia. Ileż bym dał, żeby zobaczyć minę Hitlera.

- Dałabym o wiele więcej, żeby nigdy już go nie oglądać.

Pociąg przyjechał do Zurychu następnego dnia wczesnym rankiem. Kontrola paszportowa na granicy przebiegła gładko, a gdy stanęli w końcu na szwajcarskiej ziemi, Lisbeth przestała się denerwować.

Na peronie panował gwar. Siegfried wyjął kopertę zza tabliczki informującej o stacji docelowej i nikt tego nie zauważył. Następnego ranka, mniej więcej godzinę po otwarciu instytucji finansowych, stanął przy kasie w swoim banku. Szeroki uśmiech, którym powitał go pracownik banku, sugerował, że Siegfried nie był tu po raz pierwszy.

- Ile tym razem? - spytał.

Siegfried przesunął w jego stronę plik papierów wartościowych i gotówki.

- Sześćdziesiąt tysięcy - odparł.

- Zdeponować na pańskim koncie, jak zwykle?

- Tak, jak zwykle.

Pracownik sporządził potwierdzenie i wręczył kopię Siegfriedowi.

- Życzę przyjemnego pobytu.
- Kiedy ma się pieniądze w kieszeni, każdy pobyt jest przyjemny - zażartował Siegfried. - Do zobaczenia następnym razem.
- Do widzenia panu. - Pracownik ułożył dokumenty w szufladzie i skinął przyjaźnie głową Siegfriedowi.

Od czasu wprowadzenia w życie ustaw norymberskich i zaostrzenia represji wobec żydowskich przedsiębiorstw Siegfried i Lisbeth przemycali pieniądze za granicę. Siegfried był najzamożniejszym z braci Levych. Poza dochodem z rodzinnej firmy w Bad Polzin i Szczecinie zgromadził pokaźny majątek z transakcji finansowych, głównie kupna i sprzedaży akcji na giełdzie. Kiedy urzędnicy państwowi w Szczecinie zaczęli interesować się jego poczynaniami, przeprowadził się w końcu do Berlina, z nadzieją że w dużym mieście zachowa anonimowość. Zamieszkali z Lisbeth w przestronnym mieszkaniu w atrakcyjnej dzielnicy Charlottenburg, bardzo blisko stadionu olimpijskiego, skąd Siegfried dalej prowadził interesy. Sprytni pośrednicy prędko znaleźli drogę do jego nowego mieszkania i zaferowali pomoc w bezpiecznym przesyłaniu pieniędzy za granicę. Przedstawili setki pomysłów, skomplikowanych i przebiegłych planów, ale te najprostsze okazały się zdecydowanie najbardziej skuteczne.

Znajomi Siegfrieda skorzystali z genialnego planu. Zamieścili ogłoszenie w rubryce „drobne“, w „Völkischer Beobachter“ o następującej treści:

„Przedsiębiorca z zagranicznymi koneksjami poszukuje sekretarki z dobrą znajomością języków obcych, aby towarzyszyła mu w podróżach służbowych po Europie i Ameryce. Poważne oferty należy składać wyłącznie na adres berlińskiego biura gazety, nr skr. 2336“.

Tysiące młodych Niemek marzyły o podróżach po szerokim świecie, nic dziwnego więc, że dział ogłoszeń „Völkischer Beobachter“ został zalany listami adresowanymi na skrytkę nr 2336. Trzy tygodnie później ogłoszeniodawca zawiadomił redakcję, że musi niespodziewanie wyjechać w interesach do Szwajcarii, i poprosił, aby odpowiedzi na ogłoszenie, które nadeszły do tej pory, przekazano tam. Stos zgłoszeń zapakowano w wielką paczkę i wysłano do Bazylei. Niemieckim celnikom nie przyszło do głowy, by sprawdzić paczkę, której nadawcą był „Völkischer Beobachter“, dotarła więc do adresata nienaruszona. Tylko nieliczne grono wtajemniczonych wiedziało, że większość listów przesyłanych na nr 2336 pochodziła w rzeczywistości od osoby, która zamieściła ogłoszenie, i że w każdej z kopert znajdowały się po dwa banknoty pięćdziesięciodolarowe. W sumie niemal sto tysięcy dolarów opuściło kraj tym sposobem, gdy sam ogłoszeniodawca odwrócił się plecami do niegościnniej ojczyzny.

Siegfried wiedział o tym podstępie, ale wolał działać na własną rękę, nie chciał nikogo wtajemniczać ani angażować. Często krążył między Berlinem a Zurychem. Jego paszport, wystawiony przez komendanta policji w Szczecinie, był ważny do 1941 roku i nie miał jeszcze dużej pieczęci „J“, która wkrótce miała się pojawić w paszportach wszystkich żydowskich podróżnych. Za każdym razem, gdy wyjeżdżał do Szwajcarii, zabierał ze sobą plik papierów wartościowych i wtykał go za znajdującą się na wagonie tabliczkę z nazwą miejscowości docelowej. Nawet gdyby naziści znaleźli pakunek, nie groziłoby mu niebezpieczeństwo. Wszystkie papiery były wystawione na okaziciela.

Kiedy Siegfried i Lisbeth wrócili ze Szwajcarii po zakończeniu igrzysk olimpijskich, spędzili kilka tygodni z rodziną w Bad Polzin. W ciągu zaledwie jednego roku wiele się tam zmieniło. Max Kröning, burmistrz miasteczka i od 1927 roku dyrektor domu zdrojowego, szybko zorientował się, skąd wieje wiatr. Władze miasteczka podarowały nawet Führerowi piękny dom zdrojowy. Leo bardzo dobrze znał burmistrza. Kiedy Kröning dziesięć lat

wcześniej zgłosił swoją kandydaturę na burmistrza Polzin, był mieszkańcem Schloppe⁷¹. Napisał wtedy list do Leo z prośbą o poparcie. Leo, który nigdy nie wyrzucił żadnego skrawka papieru, nawet zupełnie nieważnego, zachował ten list.

„Drogi doktorze Levy“, zatytułował list z piętnastego grudnia 1926 roku Kröning, dalek wychwalał swoje zalety i wyrażał nadzieję, że Leo poprze jego kandydaturę. Teraz jednak nie znalazł ani chwili dla „drogiego doktora Levy’ego“ na krótką pogawędkę. Przed nową siedzibą urzędu miasta, mieszczącą się obecnie w dawnym pensjonacie Herr Finkelsteina, wisiała tabliczka: „Żydzi niepożądani“.

Raz w tygodniu członkowie SA - „brunatne koszule“ - spotykali się w piwiarni hotelu Preussischer Hof przy rynku. Dla Leo wejście tam bez narażenia się na kłopoty nie było ani trochę prostsze niż do Cafe Zell. Ostatnie wydarzenia pokazały bez wątpienia, jaką rolę odgrywały pieniądze, gdy chodziło o pozycję w społeczeństwie. Reżim pozbawił rodzinę Levych większości majątku, czuli się więc teraz jak nadzy w dżungli. Gdy Leo szedł ulicami Polzin, traktowano go jak powietrze. Żelazny Krzyż w klapie płaszcza dawno przestał otwierać przed nim drzwi. Nowe prawa rasowe rzekomo czyniły wyjątki dla tych, którzy służyli na froncie, ale nie miało to najmniejszego znaczenia w interesach. Jego córka, Eva, dobrowolnie opuściła szkołę średnią w Szczecinie, choć mogłaby kontynuować naukę, ponieważ jej ojciec służył na froncie, mimo że inni żydowscy uczniowie musieli przenieść się do instytucji założonych przez gminy żydowskie.

Tylko jedna Żydówka uczęszczała wciąż do szkoły podstawowej w Polzin, bo była córką „uprzywilejowanej“ osoby. Jej ojciec, Georg Zander, nie tylko był kombatanem, ale poza tym ożenił się ze stuprocentową Aryjką. Zgodnie z ustawami norymberskimi dziewczynka była zatem *mischling* (mieszanego pochodzenia rasowego) i dlatego nie usunięto jej ze szkoły. Wiele lat później, kiedy te czarne dni miała już za sobą, wspominała:

„[...] te dwa lata spędzone wśród niemieckich dzieci wryły mi się w pamięć jako niekończący się koszmar. Dziewczynki, z którymi dorastałam, dręczyły mnie i kopały, wyśmiewały i nie dopuszczały, bym brała czynny udział w lekcjach. Błagałam ojca, aby zabrał mnie z tego piekła, ale on nalegał, żebym się nie poddawała. «Masz prawo do niemieckiego wykształcenia, nie można z tego rezygnować z powodu kilku niedyscyplinowanych uczennic», odpowiadał na moje kolejne prośby“.

Z cierpienia wybawił dziewczynkę sam minister edukacji Rzeszy. W rozporządzeniu wydanym na Wielkanoc 1936 roku naciskał na utworzenie szkół dla żydowskich dzieci. Oświadczył:

„Jednym z głównych warunków osiągnięcia wszystkich celów edukacyjnych jest harmonia rasowa pomiędzy nauczycielami a uczniami. Dzieci żydowskiego pochodzenia zakłócają jednorodność społeczności klasy i stanowią poważną przeszkodę w realizacji zamierzeń narodowosocjalistycznej edukacji młodzieży w szkołach na terenie całego kraju.

Badania reprezentatywne przeprowadzone na moje polecenie w różnych częściach Prus wykazały, że do szkół państwowych wciąż uczęszcza niemała liczba żydowskich dziewcząt i chłopców. [...] Powoduje to znaczne ograniczenia w rozwoju narodowosocjalistycznego systemu szkolnictwa. [...]

Założenie publicznych i prywatnych żydowskich szkół w niektórych miejscach mogło zaowocować pewnym stopniem separacji dla tych żydowskich dzieci, które należą do wyznania mojżeszowego. Jednakże rozróżnienie pod względem religijnym jest niewystarczające z punktu widzenia narodowosocjalistycznego systemu szkolnictwa. Stworzenie narodowosocjalistycznych społeczności klasowych jako podwalin edukacji

⁷¹ Obecnie: Człopa.

młodzieży można osiągnąć jedynie poprzez wyraźne rozróżnienie związane z rasową tożsamością dzieci. Poczynając od roku szkolnego zaczynającego się w 1936 roku, zalecam więc wprowadzenie całkowitego rasowego podziału dzieci szkolnych w całej Rzeszy⁶⁶.

W czerwcu 1937 roku rozporządzenie objęło także dzieci o mieszanym pochodzeniu, takie jak córka Zandera. Dyrektywa ministra edukacji Rzeszy została natychmiast gorliwie wprowadzona w życie przez Urząd ds. Rasowo-Politycznych NSDAP⁷², a szkoły w Bad Polzin stały się w końcu *judenrein* („wolne od Żydów“).

Georg Zander i Leo Levy w tym okresie bardzo się do siebie zbliżyli. Drastyczny spadek aktywności w interesach oznaczał, że obaj mieli mnóstwo czasu. Prowadzili długie rozmowy o tym, co się dzieje w Niemczech, i korzystali z pięknej pogody, chodząc na niedzielne spacerki z całą rodziną - mężczyźni ubrani w jasne koszule i zielone bryczesy, a kobiety w piękne kwieciste sukienki.

Tak było i tym razem. Jak zwykle Else przygotowała kosz piknikowy z kanapkami i różnymi deserami. Kiedy Lisbeth mieszkała jeszcze w Polzin, wkładała do jednego ciastka pestkę wiśni lub śliwki. „Temu, kto ją znajdzie, spełni się życzenie, które pomyśli“, żartowano. Else kontynuowała rodzinną tradycję. Celem ich niedzielnego wyjścia był otoczony parkiem dom zdrojowy, przypominał on bawarskie baśniowe zamki, zdobiły go barokowe i gotyckie wieżyczki. W połowie ubiegłego wieku młody Bismarck przywoził tu swoje kochanki, aby tańczyć z nimi i pić szampana w wielkiej sali, której ściany wyłożone były kryształowymi lustrami. Od tego czasu wiele wody przepłynęło rzekami Pomorza i miejsce to nieco spowszedniało, a mimo to ciągle otaczała je aura romantyczności. Lina Levy marzyła, aby odbyło się tam jej wesele. Marzenie się spełniło, gdy wychodziła za prawnika Karla Hamburgera. To był wspaniały ślub. Teraz jednak ktoś zagroził ścieżkę prowadzącą do uzdrowiska drutem kolczastym. Na podjeździe umieszczono niewielki znak z napisem „Zakaz wjazdu“, informujący także, że złamanie zakazu będzie surowo karane. Pod nim znajdowały się imponujące insygnia SS. Napotkany turysta wyjaśnił im, że Führer przekazał budynek SS, a ci przekształcili go w dom dla samotnych matek, pod warunkiem że kobiety zaszły w ciążę z „rasowo czystymi Aryjczykami“⁷³. Rozczarowani wrócili do domu. Wieczorem w domu Levy'ch zadzwonił telefon. „To do ciebie, Siegfriedzie. Dzwoni doktor Boling z Berlina“.

Prawnik Boling zajmował się różnymi sprawami Siegfrieda. Był członkiem NSDAP i nawet zajmował jakieś stanowisko w Izbie Sądowej. Od czasu do czasu angażował się w rozmaite transakcje, które, choć nie były całkowicie legalne, zapewniały przyzwoite zyski. Tego wieczoru także chciał przedstawić kuszącą propozycję. Siegfried wolał nie wiedzieć o szczegółach. Ściany mają uszy, a linie telefoniczne tym bardziej. Uzgodnili, że spotkają się w kawiarni na placu Poczdamskim w centrum Berlina.

- Jutro wieczorem o siódmej - rzekł Siegfried do słuchawki.

- Zgoda, punkt siódma - potwierdził prawnik.

Kiedy Siegfried pojawił się w wybranym miejscu, był zaskoczony obecnością trzeciej osoby.

- Chciałbym przedstawić panu Herr Kriegera - powiedział Boling, wskazując na nieznanego. - Herr Krieger specjalnie przyjechał z Hamburga.

- Miło mi pana poznać. Nazywam się Levy. - Siegfried wyciągnął rękę, a Herr Krieger uściskał ją serdecznie.

Dopiero wtedy Siegfried dostrzegł okrągły znaczek partyjny w jego klapie. Boling zauważył jego wzrok i zapewnił go:

⁷² Niem. Rassenpolitisches Amt der NSDAP.

⁷³ A także członkami SS.

- Proszę się nie niepokoić. Możemy otwarcie rozmawiać przy Herr Kriegerze. Znam}’ się od wielu lat.

- Cóż, skoro pan tak mówi...

- Czego sobie panowie życzą do picia? Sugerowałbym herbatę, nie podają tu dobrej kawy - rzekł Boling i nie czekając na odpowiedź, złożył zamówienie u kelnera. - Herr Krieger i jego żona Martha mają przeuroczą posiadłość w Szwajcarii. Proszę mi przypomnieć, gdzie się ona znajduje?

- W Bisone, kanton Ticino. Tessin⁷⁴, jeśli wolą panowie niemiecką nazwę. Cudowna okolica. Wspaniały klimat. Spokojni sąsiedzi, głównie Włosi...

- Oczywiście - przerwał mu prawnik. - Ale Herr Levy nie zamierza przeprowadzić się do Bisone. Rozmawiamy tu o inwestycji. Ściśle mówiąc, o pewnej wymianie.

- Wymianie? Cóż, w zasadzie nie miałbym nic przeciwko temu... W końcu mam do pana wielkie zaufanie.

Siegfried spojrział z namysłem na gościa z Hamburga. Sposób, w jaki mówił, wzbudzał ciekawość, ale i podejrzenia. Ale Boling położył już na stoliku wyciąg ze szwajcarskiego rejestru gruntów.

- Herr Krieger jest gotów pozbyć się nieruchomości - wyjaśnił. - Wydaje mi się to wspaniałą szansą dla panów.

Siegfried przyjrzał się zapisowi w rejestrze.

- Dokumenty są w porządku. Przejrzałem je z kolegą po fachu z Lugano, doktorem Valdo Riva. Działka jest dość korzystnie położona. Może nie najlepiej, ale w końcu w tych czasach nie możemy być zbyt wybredni, prawda?

- Ile? - spytał Siegfried i napił się gorącej herbaty.

- Dwieście tysięcy marek.

- Jak ma być dokonana zapłata?

- Gotówką.

- Czy istnieje oficjalna wycena?

- Tak - pospieszył z odpowiedzią Boling. - Nieruchomość jest warta mniej więcej dziewięćdziesiąt tysięcy. Wycena z tego miesiąca. Jest pan zainteresowany? - Boling podsunął mu dokument.

Siegfried rzucił na niego okiem.

- Zapewne zdają sobie panowie sprawę, że cena jest nieco wygórowana?

- Herr Krieger i jego żona są otwarci na propozycje, prawda? - Boling rzucił przybyszowi z Hamburga pytające spojrzenie.

- Będę musiał naradzić się z żoną. Nieruchomość podarowali nam jej rodzice. W prezencie ślubnym, sam pan rozumie, Herr Levy...

- Rozumiem.

Boling uśmiechnął się szeroko.

- Nie znajdzie pan lepszego sposobu na przekazanie pieniędzy do Szwajcarii, Herr Levy.

Teraz Siegfried się roześmiał. Boling ciągnął dalej: -Jestem gotów zrobić wszystko, co będzie konieczne. Riva zajmie się przepisaniem nieruchomości na pańskie nazwisko. Zna go pan, prawda?

- Kiedyś mieliśmy ze sobą do czynienia w sprawach zawodowych.

- Dobrze. Wpłacę kaucję za obie strony. Opłata zostanie równo rozłożona pomiędzy panów. Po pięć tysięcy reichsmarek. Widzi pan, że w tych okolicznościach nie jest to w żadnym razie wygórowana kwota. Herr Levy wręczy mi sumę, za którą zakupi nieruchomość, a ja przekażę ją Herr i Frau Kriegerom, gdy otrzymam wiadomość ze Szwajcarii, że nieruchomość została przepisana na pańskie nazwisko. Co pan na to, Herr Levy?

- Ja mówię: sto czterdzieści tysięcy marek.

⁷⁴ Pol. Tessyn.

- Państwo Kriegerowie podejmują ogromne ryzyko...

- Ja również.

- Ech, ta pokręcona żydowska logika - zagrział Krieger. - Jesteście upartą rasą. Zaczynam rozumieć, dlaczego tak was nienawidzą... Ta dyskusja naprawdę nie jest w moim guście. Nigdy nie nauczyłem się targować. Ale moja żona i ja przystaniemy na kompromis w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy, pod warunkiem że zapłaci pan gotówką i to od razu. To ostatnie słowo. Sto pięćdziesiąt tysięcy.

- Zgoda - wymknęło się bezwiednie Siegfriedowi. - Umowa stoi.

- Chciałbym, aby przyniósł pan pieniądze do mojego biura jutro wieczorem, kiedy wyjdzie już mój sekretarz. Około wpół do ósmej. Pamiętaj pan adres?

- Oczywiście.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Siegfried zapłacił rachunek i zostawił kelnerowi dwadzieścia fenigów napiwku. Krieger i Boling wyszli pierwsi. Siegfried poszedł do szatni po kapelusz i dopiero przy drzwiach zauważył tabliczkę z napisem: „Żydom wstęp wzbroniony“.

Pod koniec 1936 roku Siegfriedowi i Lisbeth udało się przekazać łącznie trzysta tysięcy marek do Szwajcarii - wliczając transakcję z Kriegerem - w gotówce lub papierach wartościowych. W 1937 roku wyruszyli w podróż do Stanów Zjednoczonych i przemycili około stu tysięcy dolarów w bagażu. W marcu 1938 roku udali się do Ambasady Brytyjskiej w Berlinie, aby złożyć wniosek o wizę wjazdową do Palestyny.

- Na jaki okres? - spytał pracownik działu konsularnego-

- Na dwa tygodnie - odparła Lisbeth.

- Dobrze - odpowiedział urzędnik i dodał: - Muszę poinformować państwa, że przeprowadzamy bardzo surowe kontrole w wypadku wyjazdów do Palestyny. Musimy być czujni z uwagi na nielegalną imigrację.

- Proszę się nie niepokoić - roześmiała się Lisbeth. - Nie mamy najmniejszego zamiaru osiedlać się w Azji. Proszę zobaczyć, mamy potwierdzenie zakupu waluty na ten turystyczny wyjazd. - Urzędnik skinął głową, wbił wizy do paszportów obojga, pod pieczęciami wpisał numery 72905 i 72906, po czym złożył swój podpis.

„Vulcania“ zarzuciła kotwicę w Hajfie siódmego kwietnia 1938 roku. Oprócz małżeństwa Levych na pokładzie znajdował się jakiś tuzin rodzin imigrantów z Niemiec. Na nabrzeżu czekali na nich tragarze i ciekawscy gapie. „*Jekes idą*⁷⁵!“ krzyknął Hanoch, właściciel sklepiku, i pospieszył, aby wyłożyć specjały z kuchni na ladę. Kupcy, agenci nieruchomości i spekulanci nieruchomościami rozpychali się wzdłuż trapu i zachwalali swe usługi w dialekcie, który nowo przybyli ledwie mogli zrozumieć. Wrażenie, jakie wywierali nienagannie ubrani niemieccy imigranci, szczególnie ci, którzy mieli na głowach korkowe hełmy, stanowiło tu ucieleśnienie europejskiej głupoty. Syjonistyczni pionierzy, którzy uprawiali ziemię, przywieźli ze sobą własny bagaż intelektualny, ale ku wielkiemu zdumieniu celników ci nowi przybysze ciągnęli ze sobą kolekcje rzadkich motyli, książki kucharskie autorstwa Escoffiera⁷⁶, opasłe encyklopedie, kontrabasy w olbrzymich futerałach i okrągłe pudła na kapelusze dam.

Większość z nich nie wiedziała niemal nic na temat kraju, do którego przybyli. Choć prasa syjonistyczna i Biuro Palestyńskie w Berlinie dostarczały zgłaszającym się najświeższych informacji, większość przybyłych była przekonana, że w Palestynie spotkają osobników znanych jako *Ostjuden*, którzy zamieszkują kibuce lub prowincjonalne miasteczka zbudowane na wzór wschodnioeuropejski. Inni wybrali tę podróż jako mniejsze zło -

⁷⁵ *Jeke* (jid.) - „Żyd niemiecki“ lub „Niemiec“.

⁷⁶ George Auguste Escoffier (1846?-1935) - francuski mistrz sztuki kulinarnej.

zamierzali zostać tu jedynie do chwili, gdy nienawiść zelżeje, a hitlerowski reżim runie niczym domek z kart i będzie można wrócić do domu.

Inżynier Joseph Loewy wdrapywał się na dach swego domu, aby spędzać tam długie godziny z okiem przyklejonym do ogromnego teleskopu. Jego sąsiedzi z Bulwaru Panorama na górze Karmel zaczęli coś podejrzewać. „Co ten handlarz ziemią tak węszy?“, pytali jeden drugiego. Joseph Loewy już dwukrotnie poniósł fiasko w spekulacji gruntami, a porażki te nie poprawiły jego reputacji. Ale on nie zwracał uwagi na komentarze i przez lunetę obserwował zatłoczony port i tłumy nowych przybyszów z Niemiec. Następnie skierował obiektyw na północny kraniec zatoki Hajfy w stronę Akki, a nawet dalej na północ. Podsumował wszystko w myślach i doszedł do wniosku, że dwa plus dwa bez wątpienia wyniosłoby więcej niż cztery.

W marcu 1934 roku pewien bogaty Arab z Bejrutu, o nazwisku Alfred Tuani, chcąc poszerzyć horyzonty, wybrał się na wycieczkę na Lazurowe Wybrzeże. Jednak w Monte Carlo uległ urokowi gry w ruletkę. Wkrótce wyczerpały mu się fundusze. Sytuacja zmusiła go do sprzedaży gruntów położonych między Akką a Rosz Hanikra. Inżynier Joseph Loewy miał oko na tę okolicę. Jego pomysł był prosty - kupić ziemię, osiedlić tam imigrantów z Niemiec i tym samym spełnić patriotyczny uczynek, wiążący się na dodatek z pokaźnym zyskiem. Dział rozwoju Agencji Żydowskiej w Jerozolimie uważał pomysł Loewy'ego za całkowicie nierealistyczny. „Który z tych lekarzy, profesorów czy dyrektorów firm zechce zająć się uprawą roli i to w rejonie, gdzie nie ma Żydów?“, pytali. Ale Loewy znany był ze swego uporu. Piętnastego maja w kancelarii notariusza Jeana Gadalięgo podpisano umowę sprzedaży. Majątek rodziny Tuanich przepisano na towarzystwo holdingowe założone przez Josepha Loewy'ego, agronoma doktora Seliga Eugena Soskina i pięciu innych dżentelmenów, którzy pragnęli zachować anonimowość. Nabywcy zapłacili cztery tysiące funtów palestyńskich jako pierwszą ratę z sumy trzydziestu czterech tysięcy funtów palestyńskich, stanowiącej całkowity koszt gruntów. Tego samego dnia w siedzibie zakonu karmelitów założono nowe przedsiębiorstwo, pod nazwą Klein-Naharija-Holding-GmbH.

Zartowano, że „Naharija na zawsze pozostanie niemiecka“. Kilkaset niemieckich rodzin, które przybyły do Palestyny, przyjęło ofertę Josepha Loewy'ego i kupiło działki w Nahariji i okolicy. Kilka lat później krążyła opowieść o dziecku nowych imigrantów, które wypatrzyło dziwnie ubraną postać w czarnym chałacie. Dziecko rzekomo przybiegło do domu, krzycząc: „Tatusiu, tatusiu, przyszedł do nas Żyd z Palestyny!“ . Aż do powstania państwa Izrael Naharija faktycznie była bardzo dziwnym miejscem, swoistą enklawą, która zachowała niemiecki język, niemieckie zwyczaje i niemieckie poczucie ładu. Wieści o tej niemieckiej osadzie w Lewancie dotarły aż do Bagdadu. W maju 1948 roku irackie samoloty zrzuciły ulotki nad Nahariją, informujące po niemiecku: „Zerwijcie z syjonistami, a nic wam się nie stanie...“ .

W kwietniu 1938 roku Lisbeth i Siegfried zeszli po trapie „Vulcanii“ otoczeni przez roje arabskich chłopców, rozdających kusząco brzmiące ulotki. Zachęcały: „Naharija - nowe osiedle na północy, gdzie kwitną drzewa owocowe i gdzie bez trudu założysz firmę rolniczą, która przyniesie ci pokaźny zysk“. Klein-Naharija-Holding-GmbH sporządził następującą ofertę: 5000 metrów kwadratowych za 885 funtów palestyńskich, 7000 metrów za 1240 funtów i 9000 metrów za 1640 funtów. Budowa skromnego domu kosztowała dodatkowe 600 funtów. Naharija nie widniała na żadnej oficjalnej mapie, ponieważ instytucje zajmujące się osadnictwem, kontrolowane przez Narodowy Fundusz Żydowski, nie uznawały zakupu arabskiej ziemi przez „prywatną inicjatywę“ ani nie wierzyły, że osady dla klasy średniej oparte na gospodarce rolnej mają jakiegokolwiek szanse powodzenia.

Siegfried przejrzał broszurę, którą wcisnął mu w dłoń jakiś bosy arabski chłopiec, po czym wyrzucił ją. Nawet przez myśl mu nie przeszło, aby pozostać w tym zacofanym kraju.

Przyjechał tu z żoną, by spotkać się z członkami rodziny, zwiedzić Galileę i Jerozolimę, a wszystko w szaleńczym tempie, aby zdążyć na luksusowy liniowiec „Roma“, odpływający z portu w Hajfie do Neapolu.

Najczarniejsze przypuszczenia Agencji Żydowskiej i Narodowego Funduszu Żydowskiego wkrótce miały się sprawdzić. Tylko dwadzieścia pięć procent „kapitalistycznych“ imigrantów z Niemiec było gotowych zamieszkać w osadach rolniczych. Większość wolała prywatne zakwaterowanie lub najlepiej osiedlenie się na ziemi zakupionej z własnych funduszy.

Dwudziestu pięciu mężczyzn i trzy kobiety, wszyscy lekarze, plus dziesięciu prawników podjęło wyzwanie i osiedliło się w Ramot Haszawim na równinie Szaron. Ich działki były zbyt małe, aby mogli się wyżywić z produktów rolnych z własnych upraw. Ale podobne drobnostki nie zniechęcały lekarzy-rolników. Założyli oni spółdzielnię rolniczą i sprowadzili z Ameryki eksperta od hodowli kur, aby im doradził.

Do Ramot Haszawim ciągnęli ze wszystkich stron ciekawscy, aby gapić się na „Jekes od kur“, którzy za dnia pracowali przy kłatkach dla drobiu, a wieczorami czytali Heinego lub słuchali muzyki poważnej. Mieszkańcy równiny Szaron śmiali się z nich, a Ramot Haszawim nazywano drwiąco „Kukuryku“. Ale ci pogardliwi sąsiedzi nie zdawali sobie sprawy, że niemieccy lekarze, wspierając się zagraniczną wiedzą fachową, stworzyli w Palestynie fundamenty nowoczesnej hodowli kur.

Wielka fala imigracji z Europy Środkowej zmieniła w znacznym stopniu miasteczka i wioski Palestyny. Imigranci przywieźli ze sobą „rewolucyjne“ idee - przykuwające wzrok wystawy sklepowe, inną kulturę życia i jedzenia, nowy styl architektoniczny, oparty głównie na pomysłach Bauhausu, oraz nowoczesne metody lecznicze i badawcze.

Siegfried i Lisbeth nie zdołali odbyć planowanej wycieczki po Palestynie. Był to okres poważnych niepokojów w kraju. Starcia między jiszuwem a ludnością arabską przerodziły się w przemoc. Na pierwszej stronie niemieckojęzycznej gazety znalazł się opis krwawych masakr.

- Nie jestem pomyłona, żeby zwiedzać pola bitwy - rzekła Lisbeth z oburzeniem.

Palestyna lat trzydziestych w ogóle do niej nie przemawiała. Jak ludzie mogą tak żyć?, zastanawiała się w duchu, rozmyślając o swych brataniach, córkach Ernsta i Leo. Był to kraj zacofany, kuśtykał o całe wieki w tyle za Europą. Brud miasteczek i arabskich wiosek brzydził ją, a arogancja bogaczy wywoływała na jej ustach jedynie kpiący uśmiech. W najmniejszym stopniu nie potrafiła utożsamić się z jiszuwem. Ideały syjonistyczne i pionierskie nie należały do jej świata. Jej wrażenia były jedynie wizualne, nie emocjonalne, więc pomimo wspaniałego słońca wszystko zdawało się jej czarno-białe.

Po dwóch tygodniach małżonkowie zgodnie z planem pożegnali się z rodziną i ruszyli w drogę powrotną do domu . w Berlinie. Początkowo planowali zostać na jakiś czas we Włoszech. Lisbeth bardzo chciała zatrzymać się w hotelu Positano, gdzie kiedyś mieszkała, z którego rozciągał się cudowny widok na zatokę Salerno. Ale rozwój wydarzeń politycznych zmusił ich do skrócenia podróży.

Dotarli jednak do Amalfi, gdzie spotkali się z Rudolfem, który przyjechał specjalnie z Ischii, na której mieszkał od kilku miesięcy. Siegfried i Rudolf ostatni raz widzieli się pięć lat wcześniej. Rudolf ciągle się przeniósł w poszukiwaniu skąpanych w słońcu krajobrazów i przyjaciół o podobnych zapatrywaniach jak on. Tak naprawdę pragnął zostać w Calla Ratiada, małej wiosce na Majorce, gdzie odnalazł prawdziwy spokój ducha. Znalazło tu azyl wielu niemieckich artystów, którzy uciekli przed nazistowskim terrorem. Po wybuchu wojny domowej w Hiszpanii w 1936 roku policja oddała wnioski o przedłużenie pozwolenia na pobyt na wyspie i społeczność artystów rozproszyła się we wszystkich kierunkach. Zanim jeszcze Rudolf opuścił wyspę, oficjalnie rozstał się z żoną. Genia poprosiła go, by spotkali się w Marsylii, a on przystał na jej propozycję. Na zawsze pozostali przyjaciółmi, ale nie było

żadnego powodu, aby oficjalnie utrzymywać związek. Poza tym reżim nie był przychylnie nastawiony do małżeństw aryjskich kobiet z Żydami. Genia nie poprosiła wprost o rozwiązanie małżeństwa, ale Rudolf zrozumiał i zgodził się na rozwód. Wrócił na Majorkę z poczuciem, że postąpił właściwie. Jednak nie wspominał o tym nikomu. Jediną osobą, do której napisał, był Herbert Schlüter: „Nikt nie wie lepiej od ciebie, że moje małżeństwo od samego początku było zupełnie irracjonalne“.

Rozmowa z Lisbeth i Siegfriedem zeszła na ostatnie wydarzenia. Siedzieli w małej włoskiej tawernie, jednej z tych maleńkich restauracji, gdzie makaron zawsze smakuje przepysznie. Wchodziło się do niej przez dach, ponieważ zbudowano ją na zboczu. Rozmawiali o anszlusie. Za ledwie miesiąc wcześniej Austria zrezygnowała ze swojej suwerenności. Po wielu intrygach, którym towarzyszyły naciski i akty przemocy, kraj ten przyłączono do Trzeciej Rzeszy. Kanclerz Austrii Kurt Schuschnigg został umieszczony w areszcie domowym w surowych i upokarzających warunkach. W sumie 800 000 szylingów wymuszono od wiedeńskiej gminy żydowskiej, gdy podczas przeszukiwania jej siedziby naziści odkryli kwity świadczące o tym, że przekazała ona taką samą sumę na wsparcie dla Schuschnigga. Adolf Eichmann ogłosił, że zamierza otworzyć w Wiedniu placówkę Centralnego Urzędu ds. Emigracji Żydowskiej. Wszystko to nie wróżyło najlepiej.

- Czuję, że musimy odwlec nasz powrót do Niemiec - powiedział Siegfried.
- Rudolf skinął głową.
- Myślę, że to bardzo mądre posunięcie.
- A co z tobą? - spytała Lisbeth. - Wrócisz na Ischię?
- Pewnie tak - odparł Rudolf.
- Zostaniemy w Szwajcarii na lato - rzekł Siegfried i zwrócił się do żony: - Co o tym sądzisz?
- Wiesz przecież, że uwielbiam dobrą czekoladę - roześmiała się w odpowiedzi.
- Będziemy w końcu mieli szansę przyjrzeć się temu, co kupiliśmy od Herr Kriegera.
- O wiele bardziej wolałabym wystawy sklepowe w Zurychu czy hotele w Lugano. Cóż tam jest do zobaczenia? To tylko skrawek ziemi.
- To prawda, może i jest to jedynie skrawek ziemi, ale szwajcarski i należy do nas.
- Dobrze, pójdziemy więc na kompromis. Pojedziemy do Bisone i obejrzymy ziemię, ale zatrzymamy się w Lugano.
- W porządku, Lies. W końcu kompromis w małżeństwie jest najważniejszy. Ustalone zatem. Bisone i Lugano.
- Miałam na myśli Lugano i Bisone.

Oboje wybuchnęli śmiechem, jakby właśnie poradzili sobie z jedynym problemem na świecie. Rudolf spojrział na nich sceptycznie i także się roześmiał. Kelner przyjrzał się gościom zaskoczony. „Ci Niemcy panoszą się na całym świecie“, mruknął do szefa kuchni, który wychylił się przez okienko, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Pensjonat w Lugano przy Via Braganzone 4 mieścił się w willi z lat dwudziestych, zbudowanej w stylu śródziemnomorskim. Było to spokojne miejsce, z dala od głównej ulicy, wijącej się pod górę. Para zajęła dwa pokoje na pierwszym piętrze. Z okien roztaczał się widok na jezioro i małą miejscowość wypoczynkową. Z sypialni było wyjście na niewielki balkon. Od początku Lisbeth czuła się tu dobrze. Wieczorem, kiedy zamknęła okiennice, poczuła się bezpiecznie, jakby wszystkie troski i zagrożenia nie miały dostępu do tych ścian. Uwielbiała wyciągnąć się na obitej aksamitem sofie i czytać przy świetle nocnej lampki. Co wieczór Siegfried nie mógł oderwać się od radia. Rankiem odwiedzał kawiarenki przed pensjonatem, gdzie nawiązywał znajomości z innymi uchodźcami, którzy znaleźli chwilową przystań w Szwajcarii. Siadywali razem przy campari z wodą sodową, godzinami dyskutując na ten sam temat: kiedy wreszcie będą mogli wrócić do domu?

Wiadomości z Niemiec były dalekie od pocieszających. Przynajmniej raz w tygodniu Siegfried telefonował do brata do Bad Polzin. Co dwa tygodnie dzwonił do swego prawnika do Berlina.

- Chcę przestrzegać wszystkich przepisów, żeby nie natknąć się na problemy po powrocie do Niemiec - wyjaśnił Herr Bolingowi.

- Kiedy zamierza pan wrócić? - spytał prawnik.

- Gdy wszystko się uspokoi - odparł Siegfried.

- Nie rozumiem, co pan mówi - rzekł Boling i rozłączył się. W Berlinie wszyscy wiedzieli, że gestapo podsłuchuje międzynarodowe rozmowy telefoniczne.



Pensjonat w Lugano, dom Lisbeth i Siegfrieda na wygnaniu

W lecie jeszcze więcej żydowskich uchodźców napłynęło do Szwajcarii z Austrii. Zaledwie dwa tygodnie po anszlusie rząd szwajcarski nakazał straży granicznej wzmocnić kontrolę paszportową. Neutralna Szwajcaria była bardzo zadowolona z uchodźców, którzy deponowali pieniądze i sztabki złota w szwajcarskich bankach, ale nie chciała stać się azylem dla mniej zamożnych ofiar prześladowań. Oficjalne powody były proste - fala imigracji doprowadziłaby do bezrobocia, a bezrobotni staliby się obciążeniem dla budżetu państwa. Jednak wzmocniona kontrola paszportowa nie rozwiązała problemu. Wszyscy obywatele Austrii otrzymali paszporty Trzeciej Rzeszy, a właściciele takich dokumentów mogli swobodnie wjeżdżać do Szwajcarii bez wizy. Straż graniczna miała kłopot z odróżnieniem mile widzianych turystów od niepożądanych uchodźców. Urzędnicy szwajcarscy założyli - zasadniczo słusznie - że większość przyjezdnych Żydów to uchodźcy, a nie-Żydzi są turystami. Jak jednak mieli odróżnić Żydów od gojów? Pytanie to dręczyło Heinricha Rothmunda, komendanta szwajcarskiej policji, który zarządzał także wydziałem do spraw

cudzoziemców. W nadziei na znalezienie rozwiązania zwrócił się do konsula niemieckiego w Bernie.

W archiwach Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeszy znajduje się list od ambasadora Niemiec w Bernie, z datą dwudziesty czwarty czerwca 1938 roku. Do swych przełożonych z Wilhelmstrasse pisał bez ogródek: „Rozmawiałem z Rothmundem. Powiedział, że Szwajcarów Żydzi obchodzą tyle samo, co Niemców, i poprosił o bezpośredni kontakt z naszą policją w Wiedniu“. Dwa miesiące później ambasador Szwajcarii w Londynie ogłosił, że Szwajcaria protestuje przeciwko „zażydzeniu“ państwa i stanowczo domaga się, aby naziści zablokowali drogi ucieczki dla żydowskich obywateli Rzeszy. Oświadczenie to przekazał Berlinowi niemiecki dyplomata wyższego szczebla w Londynie, Theodor Kordt. Niedługo potem Kappeler, szwajcarski charge d'affaires w Berlinie, wpadł na oryginalny pomysł - może niemieckie władze byłyby tak uprzejme i zaczęły w jakiś sposób oznaczać należące do Żydów paszporty, tak aby na przejściach granicznych z łatwością identyfikować ich posiadaczy?

Przebieg tej rozmowy trzymano w ścisłej tajemnicy. Pod koniec września Rothmund udał się do Berlina. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych oraz w siedzibie gestapo przyjęto go niezwykle serdecznie. Dwudziestego dziewiątego września podpisano tajną umowę, stanowiącą, że od piątego października 1938 roku paszporty należące do obywateli pochodzenia żydowskiego będą stemplowane literą „J“, mającą nie więcej niż dwa centymetry wysokości. Od tego dnia władze Szwajcarii zezwalałyby na wjazd jedynie tym właścicielom paszportów oznakowanych literą J, którzy otrzymają od odpowiednich władz szwajcarskich pozwolenie na pobyt lub zezwolenie na przejazd przez Szwajcarię w drodze do innego celu.

Oczywiście Leo Levy nie miał pojęcia, co zostało w tajemnicy zaplanowane. Kiedy pod koniec sierpnia występował o wydanie nowego paszportu, umowa nie weszła jeszcze w życie. Wystawiono mu paszport bez problemu. Eva, wtedy młodzianka dziewczyna, ukończyła szkolenie w Holandii i przygotowywała się właśnie do wyjazdu do Palestyny. Ojciec postanowił towarzyszyć jej aż do Triestu. Nie była to miła podróż dla żadnego z nich.

- Prawdę mówiąc, papo, emigracja do Palestyny jakoś kłóci się z moją filozofią życiową - powiedziała, gdy Else pomagała jej w pakowaniu walizek.

- Aby mieć filozofię życiową, musisz najpierw zobaczyć kawałek świata - oświadczył Leo z ojcowską powagą.

Zdawał sobie sprawę, że to wymijająca odpowiedź. Emigracja do kraju syjonizmu była jedynym wyjściem, jakie pozostało, namacalnym faktem, który tylko głupiec mógłby chcieć podważyć. A Leo nie był głupcem, nawet jeśli nie potrafił zebrać w sobie siłę, aby sam pójść za tym wnioskiem. On, jako kapitan, pozostanie na tonącym statku. To prawda, nie będzie już na mostku, tylko w jednym z ciemnych luków ładowni. Ale przynajmniej będzie miał poczucie, że spełnił swój obowiązek. Dla dziewcząt, oczywiście, była to inna sprawa. W Trzeciej Rzeszy nie czekała ich żadna przyszłość. Co gorsza, nie miały tu nawet terażniejszości. Te wszystkie niepokoje stanowiły podstawę do emigracji. Kiedy wraz z Evą udał się do sekretariatu szczecińskiego oddziału Biura Palestyńskiego przy Prinz-Albert-Strasse 6, aby sprawdzić, czy wydano już pozwolenie na wjazd, rzucił mu się w oczy stos egzemplarzy „Jüdischer Rundschau“, trybuny Organizacji Syjonistycznej w Niemczech, leżący w poczekalni. Nagłówki obwieszczają: „Kolumbia zamyka drzwi przed imigrantami“, „Kuba wprowadza wizy“, „Paragwaj rozważa zaostrenie przepisów imigracyjnych“, „Brazylia zezwoli jedynie na połączenie rodzin“... Choć trudno mu było zaakceptować tę prawdę, coraz więcej zdesperowanych ludzi próbowało uciec z pułapki, a im byli liczniejsi, tym mniej drzwi pozostawało dla nich otwartych.

- Powinien pan wysłać córkę do Chin - szepnął do niego stary znajomy. On też przyjechał z Polzin do Szczecina. Skontaktował się z biurem podróży, które wynajęło duży statek pasażerski, mający właśnie odpłynąć do Szanghaju, bo konstytucja Szanghaju nie zabraniała imigracji uchodźcom z całego świata. - Jeżeli woli pan Szanghaj, z chęcią dam panu adres - zaoferował. Ale sama myśl, że Eva wyjechałaby na drugi koniec świata do miasta grzechu, znanego mu jedynie z powieści Pearl Buck, była dla Leo nie do zaakceptowania. W tych okolicznościach Tel Awiw wydawał się mniejszym złem.

Piętnastego września 1938 roku Eva i Leo wsiedli do ekspresu relacji Berlin-Triest. Tego samego dnia brytyjski premier Neville Chamberlain wyruszył w swą brzemienną w skutki podróż. Chamberlain udał się do posiadłości Berghof w Berchtesgaden, aby spotkać się tam z Adolfem Hitlerem i uspokoić go. Anszlus Austrii jedynie zaostrzył apetyt nazistów, którzy teraz skierowali wzrok na Sudety.

Dwa dni wcześniej odbyło się specjalne posiedzenie francuskiego rządu. Francja zobowiązała się wesprzeć Czechosłowację na wypadek, gdyby jakiś kraj zagroził jej suwerenności i niepodległości. Teraz jednak rząd nie był jednomyślny - czy Francja powinna stosować się do umowy nawet wtedy, gdyby oznaczałoby to wojnę z Rzeszą? Gorączkowa debata trwała przez cały dzień. Wieczorem znaleziono rozwiązanie - zwrócić się do Chamberlaina, poproszą go, aby spotkał się z Hitlerem i zaspokoił jego apetyt jakąś ugodą, którą zaakceptowałyby zachodnioeuropejska opinia publiczna. Przedstawiciele francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych dwie godziny biegali po stolicy, zanim udało im się w końcu odnaleźć ambasadora Wielkiej Brytanii sir Erica Phippsa, który był w operetce. Tej samej nocy wysłano telegram do Londynu.

Na wiecu w Norymberdze, w obecności tysięcy zwolenników, Göring groził: „Wiemy, że to niedopuszczalne, aby takie niewielkie plemię, które pojawiło się nie wiadomo skąd, nieustannie nękało i dręczyło cywilizowany naród... Wiemy jednak, że nie chodzi o tych śmiechu wartych nieszczęśników. Za tym wszystkim stoi Moskwa, odwieczna żydowsko-bolszewicka wykrzywiona gęba“. W tym czasie Chamberlain jechał do Berchtesgaden, do Hitlera, aby go udobruchać. Następnie miał udać się do Bad Godesberg, a ostatecznie pod koniec września na niesławną konferencję do Monachium. Niemiecka aneksja Kraju Sudetów była ceną za pokój w Europie. Nikt nie spytał: „Na jak długo?“.

Zanim zdążył wyschnąć atrament na umowie z Monachium, Eva wyruszyła do Palestyny. Leo stał na nabrzeżu portu w Trieście, machając, aż odpływający statek zniknął mu z oczu. Wrócił do hotelu, spakował walizki i zamówił taksówkę na dworzec. Pociąg do Lugano jechał przez Wenecję, Vicencę, Weronę i Bergamo.

- Zostanę tylko dzień lub dwa - oznajmił po przybyciu do Lugano.

- Skąd ten pośpiech, Leo? - spytała zaskoczona Lisbeth. - Nie chciałbyś trochę odpocząć? Jest mnóstwo wolnych pokoi, a biorąc pod uwagę to, co się dzieje w Niemczech, naprawdę mógłbyś zrobić sobie wakacje.

- Prawdę mówiąc, czy w ogóle mamy po co wracać? - dodał Siegfried. - Zadzwoń do Else... to piękny dom.

- Mój dom jest w Polzin.

- Wiem, że kochasz swoje cztery ściany. Ale oprócz nich nic już tam nie pozostało.

- To nie cztery ściany mają dla mnie wartość, lecz zasady.

- Kim ty jesteś, twoim zdaniem? Galileuszem?

- Nie, Leo Leyym.

- I co z tego wynika? Czyż nie jest tak, że niezależnie od tego, gdzie będziesz mieszkał, wciąż będziesz Leo Levym?

- To właśnie jest kłopot z tobą, Sigi. Nigdy mnie nie zrozumiesz. Wiesz dlaczego? Dlatego że nigdy nie kierowałeś się żadnymi zasadami. Człowiek bez zasad to człowiek pozbawiony korzeni.

- Obaj mamy doświadczenie w tej dziedzinie. Obaj wiemy aż za dobrze, co się dzieje z drzewem. Niezależnie od tego, jak głęboko zapuści korzenie, zostaje ścięte i przerobione na belki, słupy i wióry.

- Ale człowiek to nie drzewo.

- Otóż to. Człowiek nie stoi jak słup w jednym miejscu, gdy ziemia się pali.

Leo opuścił głowę.

- Może masz rację - rzekł. - Teraz, kiedy i Eva wyjechała z Niemiec, nic nie wydaje się już takie proste jak dawniej. A mimo to... Nie, Siegfriedzie, nie potrafię tak nagle zanegować całego życia.

- Masz zupełną rację. Nigdy nie zrozumie cię do końca. Rzeczywistość się zmienia, reżim się zmienia, otoczenie się zmienia - i tylko ty Leo Levy, synu Bernharda Levy'ego, wnuku Aschera Levy'ego, prawnuku Jäckela, tylko ty musisz stać niczym skała wśród morskiej piany, tylko tobie nie wolno złamać zasad, nawet jeśli dawno już usunął ci się grunt pod nogami.

- Nie zamierzam się z tobą kłócić, Sigi. Wiesz, jak wyglądają sprzeczki między braćmi? To jak przeciąganie liny. Każdy ciągnie z całych sił w swoją stronę. Ale jeśli ja nagle puszczę, ty się przewrócisz... To z Miszny... Założę się, że nigdy jej nie czytałeś.

Siegfried się roześmiał.

- Jesteś niepoprawny.

- Dokładnie to samo myślę o tobie.

- Choć raz zgadzacie się w jakiejś kwestii - odetchnęła z ulgą Lisbeth i wszyscy się roześmiali.

Trzy dni później Leo poprosił brata, aby odprowadził go na dworzec. Pojechali otwartą dorożką bulwarem wzdłuż brzegu jeziora. Był koniec lata. Szczyty górskie, wznoszące się nad jeziorem, tonęły w rzadkiej mgle. Biały parowiec wycieczkowy sunął po wodzie z kilkoma turystami stojącymi na pokładzie.

- Spójrz, Leo, jak tu pięknie. Cisza i spokój!

Leo kiwnął głową i spytał, jak daleko jeszcze do dworca.

- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zdążę jeszcze na nocny pociąg z Zurychu do Berlina - rzekł Leo, gdy dotarli na miejsce. Następnie dodał niezobowiązująco:

- A ty, Siegfriedzie?

- Ja? Co masz na myśli?

- Och, przestań, przecież doskonale wiesz, o czym mówię! Siegfried westchnął i położył dłoń na ramieniu brata.

- Nie, Leo, nie ma na to wielkich nadziei. Ale możesz odwiedzać nas, kiedy zechcesz, tu, w Szwajcarii. Ten kraj mi odpowiada. To kraj szczęśliwy. Żadnej wojny od stuleci. Zdaje się, że nic nigdy nim nie wstrząśnie, a poza lawinami w Alpach nawet naturalne kataklizmy tu się nie zdarzają. Wiele razy, gdy Europa była w potrzebie, stanowił bezpieczną przystań. To tu ukryli się kalwini przed prześladowaniami ze strony katolików. I to tutaj... Tak, w tej chwili jest to odpowiednie miejsce do zamieszkania. Wiesz, co najbardziej mi się tu podoba? - Siegfried uśmiechnął się od ucha do ucha jak uczeń. - Kobiety nie mają w Szwajcarii prawa głosu!

Leo przemilczał tę uwagę. Nie podzielał poczucia humoru brata.

Siegfried zabrał dłoń z jego ramienia, wyciągnął z kieszeni portfel i ze szczerą troską spytał:

- Czy wystarczy ci...

- Nie, nie trzeba, dziękuję. Nie brakuje mi pieniędzy.

- Rozumiem, ale weź chociaż na podróż...

- Wiesz, jaki jestem zapobiegliwy. Pomyślałem o wszystkim.

- W takim razie chciałbym cię poprosić o przysługę. Ida napisała do nas, że wybiera się do Włoch.

- Rozumiem, że nie będzie jej potrzebny bilet powrotny.

- Ida nie potrzebuje biletu. Jedzie samochodem. Czasem zadaję sobie pytanie, w jakim my świecie żyjemy. Z jednej strony anszlus, gwałt na Sudetach, restrykcje przeciwko Żydom, ustawy norymberskie, konfiskata prywatnej własności - to, z czym wy macie do czynienia. A z drugiej strony stoimy tu, otoczeni przepięknym krajobrazem, Ida jedzie w stronę słońca swoim sportowym samochodem, jak gdyby nigdy nic.

- Widzisz, nie wszystko jest takie ponure, jak to przedstawiasz. O co chcesz ją poprosić?

- Żeby przywiozła nam rodzinne albumy Lisbeth. Zostawiliśmy je w Polzin. Stoją na dolnej półce...

- Wiem. W dawnej biblioteczce ojca.

- Tak. I jeszcze jedno. Jeśli nie jest to dla ciebie problem, Leo, chciałbym zachować na pamiątkę srebrne świeczniki pradziadka Jäckela.

- Ale powiedziałaś, że twój dom jest tu, w Szwajcarii... Dobrze, już dobrze, nie kłóćmy się znowu. Będę pamiętał, żeby przesłać ci albumy i świeczniki. Ale ostrzegam cię, Siegfriedzie, na starość robisz się sentymentalny.

- Takiego cię lubię, Leo. Mniej zasad, a więcej poczucia humoru.

Bracia objęli się.

- Uściskaj od nas Else... Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

- Nie bój się. Dopóki życie trwa, jest nadzieja. Nadzieja znika dopiero wraz ze śmiercią. To z Talmudu Jeruzolimskiego. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia, Leo.

W drodze do domu Leo zatrzymał się w Berlinie, gdzie mieszkała jego najmłodsza córka, Ruth. Ustalił, że spotka się tam z żoną i odwiedzi pośrednika, który miał znaleźć kupca na tartaki w Kollatz. Wrócił do Bad Polzin siódmego listopada. Gdy wyjeżdżał z Lugano, świeciło słońce, ale w Polzin było chłodno, wszystko było szare i smutne. Przygnębiała go różnica pomiędzy tymi dwoma światami. Wielki transparent z napisem „Siła z radości“ wisiał teraz na dworcu nad nazwą stacji. W ostatnich latach w całych Niemczech powstało wiele sanatoriów, które oferowały robotnikom z zagłębia Ruhry i innych ośrodków przemysłowych krótkie wakacje. Ich obecność zmieniła atmosferę w miasteczku. Polzin stało się pospolite i ordynarne. Czasem mieszkańcy czuli się obco we własnym mieście.

W wieczór po swoim przyjeździe Leo zapalił lampkę i usiadł przy biurku, aby napisać list do pozostałych córek. Choć Grete była teraz w Anglii, a Hannah i Eva w Palestynie, miał zwyczaj adresować listy do wszystkich trzech, jakby wciąż mieszkały razem. Osobną kopię wysłał do Londynu.

„Droga Hannah, Evo i Gretel!

Wróciliśmy dziś z Berlina, ja przez Szczecin o szóstej, a Mama teraz o ósmej. Była to wyjątkowa podróż, bo wczoraj podpisaliśmy umowę sprzedaży Kollatz - ostatniej z naszych firm. Kupcem jest Herr Micheli z Baumbarten z Prus Wschodnich, starszy już jegomość (mniej więcej czterdziestosiedmioletni) i na moje oko bardzo pasuje do zakładów w Kollatz. Teraz musimy poczekać na wydanie rozmaitych niezbędnych pozwoleń, co zapewne zajmie około dwóch miesięcy, i dopiero wtedy będziemy mogli przekazać firmę. Mimo że nie uczyni to ze mnie całkowitego emeryta, ten czas już się zbliża, a pytania, jakie w związku z tym muszę sobie zadać, spędzają mi sen z powiek.

Twoją kartkę z trzeciego, kochana Gretel, dostaliśmy już w Berlinie. Dziś Mama rozmawiała osobiście z Frau Epstein, która przekazała jej pulower. Frau E. nie miała pojęcia, że jesteś naszą córką. Gdyby tak było, zrobiłaby dla Ciebie o wiele więcej. Naprawdę nie

rozumiem, dlaczego, na Boga, nie mówisz ludziom, kim jesteś. Z pewnością wszystkie już zdałyście sobie sprawę, że słuszne i konieczne jest korzystanie ze znajomości, które zawdzięczacie rodzicom!...

Zaskoczyła nas wzmianka o «małżeństwie z Anglikiem» w Twojej kartce. Wiesz przecież, że w tych sprawach trzymamy się odwiecznych żydowskich zasad, mówiących, że małżeństwo i rodzina tworzą podstawę całej naszej egzystencji i stanowią instytucję zbyt świętą, aby można lekceważąco z nią eksperymentować - niezależnie od praktycznych, politycznych czynników, jakkolwiek istotne by się wydawały...“.

Następnego ranka Leo jak zwykle poszedł do firmy. W holu ujrzał trzech pracowników zagłębionych w lekturze gazety.

- Nie macie nic lepszego do roboty? - upomniał ich. Leo nie znosił bezczynności.
- Od tygodnia nie pojawił się ani jeden klient - odparł Franz, asystent księgowego.
- To nie powód, żeby czytać gazetę w czasie pracy - huknął na nich gniewnie. Pracownik złożył „Pommerschen Nachrichten“ i przeprosił.

Fakt, że Franz, jedyny Aryjczyk wśród pracowników firmy, przeprosił go, uspokoił Leo. Wszyscy obecni zobaczyli, kto tu rządzi. Leo poszedł do swego gabinetu, zamknął drzwi, usiadł przy biurku i właśnie miał zamiar przejrzeć korespondencję, gdy rzucił mu się w oczy egzemplarz tej samej gazety, leżący na wierzchu. Ktoś musiał go tam celowo położyć. Wielki nagłówek głosił:

„Niemiecki dyplomata zamordowany w Paryżu. Sekretarz ambasady Ernst vom Rath zastrzelony przez Żyda“.

Ernst vom Rath nie był ani narodowym socjalistą, ani antysemitą - wręcz przeciwnie. Jakiś czas wcześniej gestapo uczepliło się go, podejrzewając, że nie popiera nowego reżimu. Zastrzelono go przez pomyłkę. Młody Żyd o nazwisku Herszel Grynszpan zamierzał zastrzelić niemieckiego ambasadora we Francji, aby zwrócić uwagę na deportację tysięcy Żydów polskiego pochodzenia, którzy od lat mieszkali w Niemczech, a część nawet tam się urodziła. Rodzice i rodzeństwo Grynszpana znaleźli się wśród tych, którzy zostali wydalen i zatrzymani na polsko-niemieckiej granicy⁷⁷. Siedemnastoletni student omyłkowo zastrzelił niewłaściwą osobę. Naturalnie nie powstrzymało to lawiny oburzenia, jaka przetoczyła się przez Niemcy. Niemiecka prasa natychmiast zaatakowała swoich Żydów. Nie tylko „Pommerschen Nachrichten“ domagały się zbiorowego odwetu.

Leo otworzył gazetę, wygładził ją dłonią, zamyślił się na chwilę, po czym wstał i zawołał:
- Franz!
- Tak, proszę pana? - Pracownik spojrział na niego, nie wstając z krzesła.
- Czy to ty położyłeś tę gazetę w moim gabinecie?
- Już przeprosiłem za czytanie gazety. Teraz przepraszam, że wszedłem do gabinetu bez pozwolenia. Zrobiłem to, ponieważ pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć, co się dzieje. W końcu nie co dzień jeden z moich rodaków zostaje zamordowany przez Żyda.

Leo ledwie pohamował wybuch wściekłości. Z trudem zachowując spokój, oświadczył Franzowi:

- Możesz odebrać pensję z końcem miesiąca. Do tego czasu nie chcę cię tu widzieć.
- Z pewnością jeszcze się zobaczymy - wycodził pracownik przez zaciśnięte zęby i wyszedł z budynku, trzaskając drzwiami.

Dzień później, dziewiątego listopada, tuż przed północą, Franz stał przed ciężarówką Opel-Blitz, zaparkowaną na wewnętrznym dziedzińcu ośrodka Lebensbornu⁷⁸ w dawnym

⁷⁷ Rząd polski odmówił przyjęcia deportowanych Żydów.

⁷⁸ Lebensborn (niem. „źródło życia“) – organizacja powołana na mocy rozkazu Himmlera w 1936 r., oficjalnie towarzystwo opiekuńczo-charytatywne, w rzeczywistości w ośrodkach położniczo-wychowawczych realizowano założenia „hodowli nordyckiej rasy nadludzi“.

domu zdrojowym. Na rozkaz zebrało się tu ponad dwudziestu masywnie zbudowanych mężczyzn. Wszyscy mieli na sobie brunatne koszule oddziałów szturmowych, a na ramionach szerokie opaski ze swastyką. Bardzo niewiele osób wiedziało, że Franz wstąpił do partii. Trzymał to w tajemnicy, ponieważ jego głęboko wierząca matka nienawidziła Hitlera, od kiedy zaatakował on Kościół. Dodatkowym powodem mógł być fakt, że mąż zostawił ją dla młodszej o dwadzieścia lat działaczki Niemieckiego Frontu Pracy. Franz w tajemnicy był lojalnym i oddanym sługą NSDAP przez ostatnie cztery lata. Otrzymał rozkaz regularnego dostarczania informacji na temat tego, co się dzieje w firmie Aschera Levy'ego, i wypełniał zadanie ku zadowoleniu swych zwierzchników. Podsluchiwał rozmowy między Leo a Siegfriedem i przekazywał ich treść. Od czasu do czasu informował też gestapo w Köslin o poczynaniach Żydów z Polzin. Stojąc przy ciężarówce w Luisenbad, zastanawiał się, po co się tu zebrałi. Wkrótce miał się dowiedzieć. Zanim wsiadł do samochodu, przewodniczący miejscowego oddziału NSDAP podszedł do niego i oznajmił donośnym głosem:

- Dziś będziecie mieli okazję się zemścić.

Była chłodna noc. Niebo było przejrzyste i rozgwieżdżone. Leo zamknął biuro o ósmej i poszedł do domu. Else przyrządziła lekką kolację, kurczaka i jarzynkę.

- Musisz uważać na to, co jesz - uśmiechnęła się. - Nie chcę, żeby mój mąż miał brzuszek.

Po kolacji poszli do sypialni.

- Jestem zmęczony - rzekł Leo i zgasił światło. Zasnął. Miał przedziwny sen. Wspinał się po zboczach, sapał i pocił się, ale im większy był jego wysiłek, tym bardziej szczyt się oddalał. Tuż pod szczytem pasło się stado bydła. Dźwięk dzwoneczków na szyjach brzmiał jak huk broni maszynowej, coraz to wzmagając się, a potem cichnąc. Przez cały czas się wspinał. Nagle poczuł dotyk czyjejś dłoni... Zerwał się na równe nogi. Nie zdążył się jeszcze wybudzić ze snu, gdy usłyszał, jak żona mówi:

- Leo, Leo, chyba telefon dzwoni.

Niepokój w głosie Else otrzeźwił go. Telefon dzwonił nieprzerwanie w pokoju obok.

- Chwileczkę - mruknął, idąc po ciemku do salonu. Lewą ręką podtrzymywał spodnie od pizamy, prawą macał wkoło, aby na nic nie wpaść. Telefon ciągle dzwonił.

- Halo? - rzekł cicho. - Kto mówi?

- Zander.

- Zander? Na litość boską, wie pan, która godzina?

- Kwadrans po czwartej. Bardzo mi przykro, ale to nie może czekać.

Leo był już całkowicie przytomny.

- Co się stało? Zander zniżył głos.

- Zgraje nazistów opanowały miasto.

- Nie rozumiem. Tu jest spokojnie.

- Wyciągają Żydów z domów, plądrują sklepy i wybijają szyby.

- Proszę zaczekać, pójdę zobaczyć. - Leo podszedł do okna, odsunął zasłonę i spojrzał w dół. Na ulicy nie było żywej duszy. - Nic nie widzę. Jest pan pewien, że się to panu nie przyśniło?

- Obawiam się, że nie. To wszystko prawda. W tej chwili są w domu naprzeciwno. Nie słyszy pan krzyków?

- Czemu nie zadzwoni pan na policję? - spytał Leo. - Banda chuliganów nie może ot tak, szwendać się po mieście i siać zniszczenia.

- Niestety chyba nie ma sensu wzywać policji. To wszystko wygląda mi na pogrom, a ci, którzy biorą w nim udział, są pod ochroną policji. Herr Abramson zadzwonił do mnie przed godziną. Synagoga w Szczecinie płonie. Okazuje się, że podpalili też budynki naszego klubu żeglarskiego i tenisowego.

- Boże miłosierny - wymamrotał Leo. - Nie wiem, co powiedzieć.

- Lepiej niech pan nic nie mówi, Herr Levy. Proszę tylko zabarykadować drzwi. I zacząć się modlić.

- Dziękuję - wyjąkał Leo i odłożył słuchawkę. Stał jak wryty w miejscu, nie mogąc zebrać myśli. Miał pustkę w głowie. Czuł się, jakby ziemia nagle usunęła mu się spod stóp. Spojrzał w dół. Dopiero wtedy zauważył, że stoi boso na wypolerowanej posadzce.

- Kto dzwonił? - zawołała Else z sypialni.

- Zander. Zaraz ci wszystko opowiem. - W tym momencie usłyszał hałas na ulicy. Podjechał samochód. Mężczyźni głośno rozmawiali. Chciał jeszcze raz podejść do okna, ale jego ciało ogarnęła dziwna ociężałość. Nie był w stanie się podnieść. Siedział dalej w fotelu, gdy usłyszał stukot butów na klatce schodowej, a chwilę potem łomotanie do drzwi.

Gdy Else je otworzyła, ujrzała trzech mężczyzn. Poznała Franza. Dwóch pozostałych nie знаła. Byli to młodzi mężczyźni, mniej więcej dwudziestokilkuletni. Byli podekscytowani, niezwykle pewni siebie.

- Z drogi! - wrzasnął jeden z intruzów. Else chciała spytać Franza, co się dzieje, ale Franz, którego znała jako uczynnego i skromnego pracownika, gwałtownie odepchnął ją na bok. Nieproszeni goście przyparli ją do ściany, gdy wdarli się do mieszkania.

- Obiecałem, że wrócę przed końcem miesiąca, staruszk. Teraz wiesz, że my, narodowi socjaliści, zawsze dotrzemy obietnic - rzekł Franz drwiąco i kopnął fotel, na którym siedział Leo.

Leo nie zareagował. Patrzył na napastnika zdezorientowany, nie mając pojęcia, co się dzieje. Franz zwrócił się do swych towarzyszy.

- Kto na ochotnika?

- Ja - odpowiedział jeden z intruzów i wyciągnął pistolet.

Dopiero teraz Leo zerwał się z fotela. W ułamku sekundy opamiętał się. Zobaczył pistolet wymierzony w swoją głowę.

- To wbrew prawu... Nie wolno wam tego zrobić! - krzyknął.

Nigdy się nie dowiemy, co jeszcze chciał powiedzieć. Napastnik dwa razy pociągnął za spust. Leo ukrył twarz w dłoniach, jakby chciał uciec przed nieuniknionym, po czym upadł na podłogę. Else rzuciła się w kierunku męża. Wiedziała, że przestał oddychać już na zawsze.

- Dobra robota - wyszczerzył się morderca i schował pistolet do kabury.

- Rozejrzyjmy się - zaproponował chłodno Franz. - Levy zbierali pieniądze przez ostatnie sto lat. Najwyższy czas, żeby wróciły do prawowitych właścicieli.

Else, pochylona w opiekuńczym geście nad ciałem męża, patrzyła bezradnie, jak mężczyźni wysypują zawartość szafek i szuflad i grzebią w ich rzeczach. Kiedy nareszcie opuścili dom, podczołgała się do telefonu i wykręciła numer Georga Zandera. Nikt nie odbierał. W tej samej chwili Herr Zander, szanowany przez chłopów i właścicieli małych gospodarstw rolnych całego regionu handlarz paszą, był prowadzony do punktu zbiórki w miasteczku. Jego prawa obywatelskie, przyznane mu przez ojczyznę, jak również desperackie protesty żony (która urodziła się w tej okolicy i bez trudu mogła wylegitymować się aryjskim pochodzeniem do trzeciego pokolenia wstecz, jak określały prawa nazistowskie), były daremne. Kiedy splądrowali już jego mieszkanie, barbarzyńcy z SA wrzucili go na ciężarówkę jak worek ziemniaków. Dołączył do jakichś dwudziestu innych Żydów, których podobnie jak jego wyciągnięto z domów, pobito i rzucono na podłogę szarego opla. Do południa wszyscy mężczyźni żydowskiego pochodzenia byli przetrzymywani na miejscowym posterunku policji. Pod wieczór znów załadowano ich na ciężarówkę i wywieziono w nieznanym kierunku.

W południe Else zadzwoniła do prawnika Zubkego.

- Obawiam się, że nie jestem w stanie pani pomóc - poinformował ją. - Nie wrócę życia umarłemu. A jeśli chodzi o straty materialne, sugeruję, by zwróciła się pani do swojego towarzystwa ubezpieczeniowego.

Następnej nocy komendant policji w Polzin nakazał czterem Żydom udać się do domu Levych pod osłoną ciemności i „pogrzebać ciało najszybciej, jak to możliwe, bez zbędnych ceregieli“. Kiedy pojawili się w domu przy Adolf-Hitler-Strasse, Else oświadczyła im: „Przyszlście na próżno. Pochowaliśmy go tuż po tragedii“. Nikt nie pomyślał, by sprawdzić, czy mówi prawdę. Policja w Polzin miała pełne ręce roboty z przewożeniem aresztowanych do Köslin, skąd - jak im powiedziano - mieli być zabrani do obozu koncentracyjnego w Oranienburgu.

Else skłamała. Ciało jej męża, przykryte prześcieradłem, leżało na sofie w salonie. Powiadomiła Ruth, która wciąż czekała w Berlinie na niezbędne dokumenty emigracyjne. Kilka godzin później córka przyjechała do Polzin. Mimo że miała wtedy zaledwie siedemnaście lat, to ona zorganizowała pogrzeb. Dwóch chrześcijańskich grabarzy przygotowało grób.

- To takie smutne, że nie ma komu odmówić kadisz - załkała Else. Teraz, gdy stała przy grobie, nie była już w stanie powstrzymać łez.

Grabarz, który znał żydowski obrządek, wzruszył ramionami.

- Nie znam waszego kadisz, ale nie mam nic przeciwko temu, żeby pomodlić się za zbawienie jego duszy.

Nie był zbyt przyjazny, ale był porządnym człowiekiem. - Niech spoczywa w pokoju - rzekł i uklęknął na świeżo wykopanej ziemi.

Nie było nikogo oprócz Else i Ruth. Ale jeszcze przed pogrzebem matka z córką usiadły i napisały listy do pozostałych córek rodziny Levych, którym udało się opuścić Niemcy.

„Kochane wszystkie trzy,

mam nadzieję, że dostałyście już nasz telegram [pisała Ruth]. Wasz przekazała nam telefonicznie Gerda. Napiszę jego treść na wszelki wypadek, jeśli nasz do was nie dotarł: «Tata nie żyje, jestem zdrowa i spokojna. W domu z Ruth. Jeszcze nie wiem, co zrobię. Złożę wniosek o zaświadczenie także dla Ruth. Mama».

Widzicie więc, że z Mamusią wszystko w porządku. Udaje jej się zasnąć i jest zdrowa. Przyjechałam tu w czwartek wieczorem. Tatusia zabrali o jedenastej. Ludzie z Kollatz przyjechali koźmi w piątek wieczorem i wtedy zabraliśmy Tatusia do starego domu. Wczoraj włożyli Tatusia do właściwej trumny (wcześniej był w innej) i mamy nadzieję, że jutro go pochowamy. Mamusia jest tam w tej chwili i, jak sądzę, też do Was pisze... Na razie pozostaje nam tylko czekać... Pogrzeb Tatusia nie będzie taki, jak sobie wyobrażacie, ale nic się na to nie poradzi. Nie będzie nikogo spoza rodziny, co najwyżej jeden lub dwóch dżentelmenów ze Szczecina... Nie wiem, co Wam powiedzieć. Ściskam Was mocno, szalom - Ruth“.

Lisbeth i Siegfried siedzieli w kawiarni na rynku w Lugano przy popołudniowej kawie. Poprzedniego wieczoru Siegfried zadzwonił do Polzin. Tragedia, jaka się tam wydarzyła, przytłoczyła ich. Lisbeth popijała kawę z mlekiem. Nagle, niemal od niechcienia, rzuciła:

- Teraz, kiedy nie ma już z nami Leo, jesteś ostatnim Levym w męskiej linii.

- Masz rację - przytaknął Siegfried. - Czemu jednak to mówisz?

- A tak... Bez powodu.

- Lisbeth, znamy się już dość długo, żebyś wiedział, że nigdy nic nie mówisz „bez powodu“.

- Zastanawiałam się, co by było, gdybyś ożenił się z inną kobietą... To znaczy taką, która mogłaby ci dać dzieci. Dobrze wiesz, co mam na myśli.

- Owszem, gdybym się ożenił z inną kobietą, miałbym już dwunastu synów, wystarczyłoby na założenie drużyny piłkarskiej i rezerwowego bramkarza.

- Nie możesz tego zbywać żartem. Wiem, jakie to ważne.
- Dla kogo?
- Dla rodziny. Dla ciągłości rodu.
- Sądziłem, że uporaliśmy się z tym dawno temu.
- Ale teraz wszystko się zmieniło. Czasem dawne sprawy się wznawia, nawet jeśli na aktach zebrał się kurz.
- Przekroczyłem już sześćdziesiątkę. Co chcesz, żebym zrobił? Rozwiódł się z tobą i ożenił z młodszą kobietą, która da mi syna? A może powinienem sprawić sobie syna z nieprawego łoża? Włoska pokojówka z naszego pensjonatu jest nie najgorsza. Milutka brunetka. Co ty na to?
- Bądź poważny.
- Gdyby było właściwe rozwiązanie, można by o tym rozmawiać. Ale jest, jak jest... Po co rozdrapywać stare rany?
- Ha! Tu cię mam! - Lisbeth uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Nawet ty odwołujesz się do rozwiązań i starych ran. Nawet ty masz poczucie, że rodzina za chwilę wymrze. Ze wszystkie wysiłki, inwestowane przez pokolenia, będą daremne. Ze nie będzie nikogo, kto to pociągnie.
- Chwileczkę, uspokój się. Fakt, że Leo został zamordowany, niczego nie zmienia... Na nic nie wpływa, ani pozytywnie, ani negatywnie. W końcu trudno przypuszczać, że Else znowu zaszłaby w ciążę i urodziła syna. Jeśli wierzysz w to, co mówi Tanach, to owszem, przytrafiło się to Sarze. Ale w dzisiejszych czasach takie rzeczy się nie zdarzają. Jeśli o nas chodzi, musimy się martwić chwilą obecną, być może też jutrem, ale z pewnością nie losem przyszłych pokoleń. A poza tym, przyznaj, czy kiedykolwiek narzekałem na ciebie?
- Wiem, Siegfriedzie. Ale czasem tak mi smutno... Inne kobiety mogą zaszyć się w ciemnym kącie i szlochać. Łzy przynoszą ulgę. Ale wypłakiwanie oczu nie jest w moim stylu. Mnie pomaga rozmowa. Nie złość się na mnie, proszę.
- Do głowy by mi nie przyszło, żeby się na ciebie złościć. - Położył dłoń na jej dłoni i pogłaskał ją delikatnie.
- Biedny Leo. Często droczyłam się z nim, że jest taki przywiązany do konwenansów, z tą jego dbałością o wypełnianie litery prawa i ślepą wiarą w zasady sprawiedliwości... Nigdy nie czułam się mu naprawdę bliska, a właśnie teraz, kiedy już nie żyje, tęsknię za nim, jakby odszedł ktoś bardzo mi drogi. Może moglibyśmy przynajmniej przekonać Else i Ruth, żeby do nas przyjechały?
- Pamiętasz? Kiedy dzwoniłem do nich wczoraj wieczorem, Else powiedziała mi, że sprzedała firmę i jedzie do Tel Awiwu z Ruth. Po tej tragedii potraktowali ją jak należy w Biurze Palestyńskim w Szczecinie. Niedługo wystawią im zaświadczenia.
- Trzeba było śmierci Leo, żeby zrobiły pierwszy krok. To wysoka cena...
- Kancelaria prawnika Valda Rivy mieściła się po przeciwnej stronie rynku na drugim piętrze starej kamienicy z renesansową fasadą. Pomieszczenia w niej były przestronne, a sufity zdobiły drewniane rzeźbienia. Lisbeth i Siegfried poszli się z nim zobaczyć jeszcze tego samego dnia. Przyjął ich w swym gabinecie, umeblowanym antykami. Panował tam półmrok. Riva siedział za ogromnym, bogato rzeźbionym biurkiem. Przyjął ich jak zwykle serdecznie. Jednak tym razem cel wizyty nie był związany ze sprawami finansowymi. Levy zjawili się, ponieważ niepokoił ich dalszy pobyt w Szwajcarii. Po wprowadzeniu obowiązkowej identyfikacji paszportów należących do niemieckich Żydów poprzednie nieoznaczone paszporty straciły ważność. Siegfried i Lisbeth mogli teraz udać się do Berlina, aby oznaczono im paszporty, bądź złożyć wniosek o pozwolenie na czasowy pobyt w Szwajcarii. Podróż do Niemiec wiązała się jednak z niebezpieczeństwem, było też bardzo prawdopodobne, że nie otrzymają pozwolenia na ponowny wjazd do Szwajcarii.
- Signore Riva - rzekł Siegfried - musimy dostać to pozwolenie na pobyt, cena nie gra roli.

Prawnik skinął głową współczująco.

- Przyniósł pan pokwitowanie z banku? - spytał płynnym niemieckim.

Tu, w kantonie Tessyn, oficjalnym językiem urzędowym był włoski. Valdo Riva, młody, energiczny prawnik, miał wielu niemieckich klientów, ponieważ mówił biegle po niemiecku. Siegfried wręczył mu list od dyrektora Schweizerische Bankgesellschaft w Zurychu, potwierdzający, że na koncie Levy'ego znajduje się sześćdziesiąt tysięcy franków. Signore Riva zerknął na dokument, uśmiechnął się z zadowoleniem i obiecał zająć się sprawą. W szczegółowym i rzeczowym liście zwracał się z prośbą do Departamentu Prawnego (Justizabteilung) i Komendy Policji w Bernie, aby zezwolono Herr Levy'emu i jego żonie na pobyt w Lugano. „Oprócz aktywów płynnych, poświadczonych w załączonym pokwitowaniu bankowym, małżeństwo Levy'ych posiada nieruchomość w Bisone, wycenioną na czterdzieści sześć tysięcy franków szwajcarskich. Państwo Levy są bezdietni. Posiadają także inne nieruchomości w Niemczech, a zatem są finansowo zabezpieczeni i nie potrzebują szukać posady w Szwajcarii. Nie istnieje żadne niebezpieczeństwo, że staną się obciążeniem dla opieki społecznej...“.

Dwa tygodnie później Siegfried musiał stawić się w oddziale dla cudzoziemców posterunku policji w Bellinzonie, stolicy kantonu. Poważnie wyglądający oficer podał mu żółtą książeczkę, rodzaj paszportu wydawanego obcokrajowcom czasowo przebywającym w Szwajcarii. „Pański wniosek został przyjęty - oświadczył. - Otrzymał pan pozwolenie na pobyt w naszym kantonie do pierwszego września 1939 roku. Jak pan widzi, Szwajcaria ciągle jest uosobieniem gościnności“.

W nocy z trzydziestego pierwszego sierpnia na pierwszy września 1939 roku - w piątek - Lisbeth spakowała walizki. Zamówili taksówkę na siódmą rano. Ekspres do Genui przez Mediolan odjeżdżał o ósmej. Stamtąd mieli udać się następnego dnia do Nicei, gdzie za radą przyjaciół zarezerwowali pokój w hotelu Windsor.

Dzień przed ich wydaleniem ze Szwajcarii był dniem wielkiego napięcia w całej Europie. Po Austrii i Czechosłowacji Polska stała się kolejnym kąskiem w menu Trzeciej Rzeszy, mimo że miała sojuszników militarnych w Wielkiej Brytanii i Francji. Atak na Polskę spowodowałby zdecydowaną - czyli militarną - reakcję ze strony dwóch sojuszników. Oznaczało to wybuch kolejnej wojny światowej. Cały świat chciał zobaczyć rachunek wystawiony Hitlerowi za jego zachłanność. Mężowie stanu w końcu zdali sobie sprawę, że nawet oddanie Polski nie zapewni trwałego pokoju w Europie.

Tej nocy, gdy Lisbeth pakowała walizki, niemieckie naczelne dowództwo otworzyło tajne dokumenty operacji znanej jako „Fali Weiss“. Po sfingowanym napadzie na niemiecką radiostację w Gliwicach, rzekomo dającym im dobry powód do ataku, niemieckie samoloty wyruszyły o świcie, aby zbombardować polskie miasta, mosty i lotniska. Oddziały czołgów i zmotoryzowanej piechoty przekroczyły granicę, a wyposażony w ciężką artylerię pancernik *Schleswig-Holstein* wysadził skład amunicji na Westerplatte. Atak był tak zajadły, że klęska polskiej armii była tylko kwestią czasu.

Siegfried i Lisbeth właśnie wychodzili z pensjonatu w Lugano, gdy zadzwonił telefon. To był Rudolf. Wieści o ataku na wschodzie wyrwały go z łóżka.

- Słyszeliście już? - krzyknął do słuchawki. - Co zamierzacie zrobić? Co u licha stanie się z naszą rodziną?

- Wyjeżdżamy ze Szwajcarii - odpowiedział Siegfried i spytał Rudolfa, skąd dzwoni.

Rudolf był na wyspie Procida, ale zaproponował, że spotka się z nimi, gdzie zechcą. Siegfried zasugerował francuską miejscowość wypoczynkową Bordighera na Riwierze di Ponente. Umówili się w kawiarence przy plaży.

- Co za ironia losu - rzekł Rudolf, gdy siedzieli już razem przy stoliku. - Trzy pokolenia Levych walczyły przeciwko Francuzom. A teraz wy szukacie schronienia przed Niemcami we Francji.

- Zawsze brzydziła mnie wojna - stwierdziła Lisbeth. - A co z tobą, Rudi? Dokąd ciebie zanieśie?

- Nie martw się. Żyję jak motyl. Fruwam z kwiatka na kwiatek. A o ile mi wiadomo, nikt nigdy nie wycelował dział w motyle.

- To nie jest odpowiedź.

- Na razie zostanę we Włoszech - odparł Rudolf, tym razem poważnie. - Może wrócę na Ischię albo pojedę do przyjaciół do Rzymu. Zawsze miałem słabość do tego miasta.

- Słyszałem, że Mussolini także ma ochotę na wojnę. Może...

- Nie życzę nikomu nic złego. Nie mam wrogów. Jak długo istnieje przyroda i wschodzi słońce, cieszę się życiem, niezależnie od tego, gdzie będę.

- Zazdroszczę ci - westchnęła Lisbeth. - Gdybym była taka jak ty...

- Co za szczęście, że Wszchemogący nie ulepił nas wszystkich z tej samej gliny. Byłoby tak nudno. Czerpię największą satysfakcję z tych różnic. Wyobraź sobie, co by było, gdyby świat wokół ciebie był czarno-biały, bez odcieni pomiędzy nimi, bez żadnych barw!

- Jesteś poetą, Rudolfie. My jesteśmy z krwi i kości. Ty nazywałeś siebie motylem - motylem, który fruwa z kwiatka na kwiatek. My, chcąc nie chcąc, miotamy się z miejsca na miejsce i nawet nie dostrzegamy kwiatów po drodze. Jesteś szczęściarzem.

Nadszedł czas pożegnania.

- Kiedy się znowu zobaczymy? - Kuzyni uścisnęli sobie dłonie.

- Bóg jeden wie.

Lisbeth stanęła na palcach, ucałowała Rudolfa w policzek i szepnęła mu do ucha:

- Uważaj na sieci, mój mały motylku.

W rzeczywistości Rudolf nie był tak beztroski, jak udawał, mimo że nie miał pojęcia, jaki koszmar czeka ludzkość. Przypominał kogoś, kogo złapał deszcz podczas spaceru, kto stara się uciec przed kroplami, nie martwiąc się tak naprawdę złą pogodą. Z Bordighery wrócił na krótko do hotelu Savoir na wyspie Procida, gdzie spędził ostatnie letnie miesiące przed wybuchem wojny. Z jego pokoju był, jak sam powiedział: „widok na całą zatokę, Capri, Wezuwiusza, przylądek Misenum, Torregavete, Ischię i całą resztę, wszystko to można było ogarnąć wzrokiem“. Wkrótce ruszył dalej, najpierw na Ischię, następnie do Rzymu, po czym udał się z powrotem na północ do Genui. Nie podróżował już w poszukiwaniu zapierających dech w piersiach krajobrazów, lecz bezpiecznego schronienia. Włosi nie przedłużyli mu pozwolenia na pobyt. Dwudziestego piątego listopada stanął wobec przymusu deportacji. Nie miał doświadczenia w radzeniu sobie z urzędami, poza tym nie miał pieniędzy. Coraz bardziej zdesperowany, zdecydował się na emigrację, ale lista krajów, przyjmujących jeszcze uchodźców, z dnia na dzień stawała się coraz krótsza.

Wszystkie nadzieje pokładał teraz w Eriku Charellu, dyrektorze teatru i choreografii, z którym się przyjaźnił. Charell uciekł do Nowego Jorku tuż po dojściu Hitlera do władzy, Rudolf gościł u niego w październiku 1936 roku. Ruszyli razem w podróż po całych Stanach Zjednoczonych i odwiedzili nawet hollywoodzką „fabrykę snów“. Teraz Rudolf zwrócił się do Charella o pomoc. Erik odpisał mu, że nie ma żadnych szans na zorganizowanie emigracji do USA, ale kilka dni później przyszedł telegram: „Staram się o pozwolenie na wjazd do Chile. Stop. Muszę zapłacić jeszcze trzysta dolarów kaucji. Stop. Możesz zdobyć pieniądze na statek Genua-Chile z pomocą Geni lub znajomych. Stop. Zadzwoń. Stop. Erik“. Rudolf był jednak zbyt dumny, żeby zwrócić się o pomoc do Geni, a inni znajomi nie odpowiedzieli. Nie był w stanie zebrać potrzebnej sumy.

Jego próby zdobycia wizy do Ekwadoru okazały się równie nieskuteczne. Powrót do Niemiec równałby się samobójstwu. Kontakty z członkami rodziny z powodu burzy

szalejącej w Europie Środkowej urwały się. Jego brat Paul, który przeprowadził się ze Szczecina do Berlina, gdy został zwolniony z pracy w Kolejach Rzeszy, przysyłał mu drobne sumy pieniędzy, choć z powodu istniejących ograniczeń walutowych były one naprawdę niewielkie. Czasem było to dziesięć, innym razem dwadzieścia marek. Genia przesyłała mu słowa otuchy, ale związała się już z innym mężczyzną, co nie było tajemnicą w kręgach artystycznych. Rozstali się jednak tak dawno, że dla Rudolfa nie miało to już znaczenia. Herbert Schlüter dawno zajął jej miejsce. Ten kościsty mężczyzna o ostrych rysach i spokojnym usposobieniu przebywał teraz we Florencji, która miała być następnym celem Rudolfa.

W grudniu 1940 roku przybył nad brzegi Arno i rozgościł się w przestronnym pokoju na piątym piętrze ciemnego, ponurego domu przy Piazza Santo Spirito. Wynajął go od pulchnej, serdecznej Włoszki, która rządziła domem żelazną ręką. Podobało mu się to miejsce, mimo że pokój był surowo umeblowany. Stało w nim tylko podwójne łóżko, dębowa szafa i biurko z dwoma krzesłami. Jednak ta właśnie pustka była mu na rękę, ponieważ zostało dość miejsca na rozstawienie sztalug. Z okna miał widok na Piazza Santo Spirito, które malował w przepięknych barwach.

Pensjonat Bandini mieścił się na ostatnim piętrze starego pałacu Guadagni, który pamiętał lepsze czasy. „Luksusowa stajnia“, pomyślał z początku Rudolf, taszcząc walizki po szerokich schodach odrapanej klatki schodowej. Mimo to miejsce, które polecił mu Herbert, dokładnie odpowiadało jego potrzebom. Pod dachem signory Bandini mieszkało kilku niemieckich intelektualistów i artystów, którzy z rozmaitych przyczyn wybrali życie poza granicami Trzeciej Rzeszy. Mimo osi Berlin-Rzym reżim w ogóle się nimi nie interesował. Włoska policja nie nękała ich, nie sprawdzała ważności zezwoleń na pobyt. Tak jakby nad tym pięknym miastem czuwali następcy Medyceuszy, niegdysiejszych hojnych mecenasów sztuki, a nie faszyści. Może dlatego mieszkańcy, siedząc w salonie, rzadko rozprawiali o polityce, a najbardziej zajmowały ich sztuki piękne.

Towarzyszili Rudolfowi wówczas dwaj starzy przyjaciele, Heine Battke i Kurt Craemer. Ten ostatni wspominał później:

„Jego przeprowadzka do Florencji z pewnością nie była zgodna z prawem i tylko współczucie i pobłażliwość urzędnika w biurze Departamentu ds. Cudzoziemców sprawiły, że nie odesłano Rudolfa z powrotem do Rzymu. Kiedy spotkaliśmy przypadkiem Karliego Sohn-Rethela, stopniowo powróciła normalna atmosfera. Pracowaliśmy całymi dniami, a wieczorem spotykaliśmy się przy kominku - zima tego roku była bardzo sroga. Rudolfowi Levy'emu mieszkanie to zapewniło w końcu pewne bezpieczeństwo, po raz pierwszy od lat. Czuł się w naszym towarzystwie bezpiecznie i łatwiej mu było radzić sobie z zewnętrznymi wydarzeniami i problemami, szczególnie finansowymi, gdy miał pod ręką zaufanych przyjaciół.

Nasze pokoje, które przez długi czas wyglądały jak tymczasowe kwatery, stopniowo przybrały wygląd pracowni. Ja nie pracowałem przez ponad rok, a Rudolf bez mała dwa. Od dawna żaden z nas nie był w sytuacji, aby mógł swobodnie przemieszczać się między pokojami domu i przyglądać się dyskretnie, co tworzą inni... Na mnie i młodszych ludzi, którzy pojawiali się i opuszczali dom, i którzy brali udział w tym kontakcie i interakcji, zdyscyplinowany sposób realizacji planu dnia przez Rudolfa i jego regularna, płynna twórczość wywarły duży wpływ. Co dzień poświęcał on pewien czas na rysowanie z pamięci. Plik papierów, które zapisywał każdego dnia, leżący po lewej stronie jego pedantycznie uporządkowanego biurka, wyraźnie rósł. Rudolf miał zwyczaj zapełniania stron swym pięknym, równym charakterem pisma i naklejania na nie kolorowych znaczków, najchętniej z egzotycznych krajów, aby wyglądały jak listy. Mówił, że potrzebował tego rodzaju przedstawienia dla swojego manuskryptu, aby nie stracić bezpośredniości pisania w typowej

dla listów formie. Faktycznie sam aspekt wizualny każdej ze stron wywierał natychmiastowe wrażenie. Wychodząc, chował gdzieś rękopis i tylko moja matka wiedziała gdzie. Kiedy przyjaciele szukali tych zapisków po jego śmierci, wysłaliśmy do Florencji szkic tego miejsca ze szczegółowymi instrukcjami, ale niestety niczego nie odnaleziono...“.

Tymczasem w tej atmosferze pozornej spokoju Rudolf nie wypuszczał pędzla z dłoni. W zasadzie co dwa tygodnie zdejmował ze sztalug ukończony obraz. Niektóre sprzedawał, co częściowo likwidowało kłopoty finansowe. Inne zatrzymywał i ozdabiał nimi pokój, zostawił sobie na przykład portret Schlütera i krajobraz z narcyzami.

Jak za starych dobrych czasów w Cafe du Dome niemieccy artyści stworzyli regularne miejsce spotkań. W Cafe Giubbe Rosse przy Piazza della Repubblica Rudolf wykazywał się mistrzostwem w szachach, i nie tylko. Matka Battkego zaprosiła go, by spędził lato w Vallombrosie. Tęsknił jednak za przyjaciółmi i już po miesiącu wrócił do swego pokoju w pensjonacie Bandini. Tylko tam czuł się spokojnie i bezpiecznie, mimo że wieści z Niemiec był złowrogie. W lutym 1943 roku Rudolf powiadomił swego brata Paula, przebywającego w Berlinie, że ma chore nerki i zamierza przez pewien czas pozostać we Florencji. List wrócił do niego w zamkniętej kopercie z krótką adnotacją: „Adresat przy Nestor Strasse 54 nieznanym. Żyd“.

We Florencji Rudolf spotkał się znowu z Hansem Purrmannem, towarzyszem z czasów cyganerii Paryża i Berlina. Purrmann przyjechał do Florencji w 1935 roku, aby objąć stanowisko dyrektora Villa Romana, prywatnej fundacji, która wystawiała prace niemieckich artystów i która od 1939 roku była blisko powiązana z niemieckim reżimem. Drogi Purrmanna i Levy'ego często krzyżowały się i rozchodziły, a ich przyjaźń także przeżywała wzloty i upadki. Purrmann nie cieszył się zbyt dużą popularnością wśród społeczności emigracyjnej w pałacu Guadagni, a kiedy otworzył wystawę własnych prac, nie otrzymał ani słowa zachęty od tych uchodźców. Rudolf także nie zwracał sobie głowy wystawą. Przez cały czas, kiedy obaj mieszkali we Florencji, między 1940 a 1943 rokiem, Purrmann ani razu nie zaszczylił swą obecnością pensjonatu Bandini, a Rudolf nie postawił stopy w Villa Romana, co nie oznacza, że się nie spotkali. Unikali się jedynie publicznie, choć nie dlatego, że inni artyści stronili od Purrmanna. W przeciwieństwie do Rudolfa, który lekcewał niebezpieczeństwo, ponieważ po prostu nie zdawał sobie z niego sprawy, Purrmann aż za dobrze wiedział, że Florencja pełna jest informatorów gestapo, zagrażających im obu. Dbał więc o to, by nigdy nie widziano ich razem. W końcu Purrmann reprezentował instytucję działającą pod egidą Rzeszy, a Rudolf Levy był Żydem.

Także Leo Stein przeprowadził się z Paryża do Florencji. Zamieszkał w starej luksusowej willi w dzielnicy Settignano, skąd miał widok na Arno. Raz w tygodniu Hans i Rudolf siadywali razem na balkonie, popijali wino i cieszyli się widokiem. Cała Florencja leżała u ich stóp.

- Widok na piękną okolicę wystarczy, by wszystkie obawy i smutki zniknęły - rzekł Rudolf.

- Neron podpalił Rzym, kiedy miasto było u szczytu świetności - odparł Purrmann.

Przez chwilę wydawało się, że los się uśmiechnął do Rudolfa. Dziesiątego lipca 1943 roku siły alianckie wylądowały w południowych Włoszech. Dwa tygodnie później faszystowskie naczelnictwo przebudziło się z odrętwienia i wystąpiło przeciwko Duce. Włochy miały dosyć wojny i Hitlera, partnera w Osi. Benito Mussolini został wezwany na spotkanie z królem i aresztowany. Ciężarówką zakamuflowaną jako ambulans przewieziono Duce najpierw na brudny posterunek policji w Rzymie, następnie na wyspę Ponza, a ostatecznie do Gran Sasso w górach Abruzzi, gdzie został uwięziony. Premierem mianowano marszałka Badoglio. Rozradowany tłum wypełnił ulice Florencji, wykrzykując: „Hitler kaput! Viva Italia!“. W salonie pensjonatu Bandini stukano się kieliszkami, świętując te wydarzenia.

Ale na początku września sytuacja się odwróciła. Trzeciego września Badoglio podpisał zawieszenie broni z aliantami, które ogłoszono pięć dni później. Hitler w odpowiedzi wysłał Wehrmacht do Włoch. Dziewiątego września, dzień po wkroczeniu nazistów do Florencji, Purrmann zadzwonił do Friedricha Kriegbauma, dyrektora Instytutu Historycznego Sztuki Niemieckiej, którego biura mieściły się w tym samym budynku co pensjonat Bandini. Purrmann wrzasnął do słuchawki: „Niech pan natychmiast znajdzie Levy’ego i każe mu zniknąć!“. Kriegbaum zrobił to, o co go poproszono, ale Rudolf prosto z mostu odmówił skorzystania z tej rady. Zachował się jak uparty chłopiec, odpowiadając: „Mam czyste sumienie. Nie ma żadnego powodu, żebym się musiał ukrywać“. Kriegbaum wrócił do pustej siedziby Instytutu, spakował swoje rzeczy, wezwał samochód i pojechał najkrótszą drogą na dworzec. Wiedział, że nie wszystkie jego działania spodobały się nowemu władcy północnych Włoch.

Trzy dni później, wieczorem szóstego września, Mario Carito, oficer wyższych struktur włoskiej policji bezpieczeństwa, któremu udało się już zaznaczyć swą obecność w tym mieście, zaparkował samochód obok budynku niemieckiego konsulatu przy Via del Bardi 20. Bramę domu zdobyły swastyki. Carito stał w strugach deszczu. Spojrzał na okna. Świeciły się w nich światła. Przeskakując kałuże, wszedł na chodnik i nacisnął dzwonek. Sekretarka konsula rozpoznała go od razu.

- Co też sprowadza pana tak późno?

Carito minął ją bez słowa i poszedł prosto do gabinetu konsula. Doktor Gerhard Wolf pełnił wcześniej funkcję przedstawiciela Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie i w Watykanie i był dyplomatą pełnej krwi. Służył już swojemu rządowi w konsulacie we Florencji od dwóch lat i dzięki swej pozycji był w doskonałych stosunkach z miejscową policją bezpieczeństwa.

- Dobry wieczór, Herr Kommandeur. Czy coś się stało..? Przemókł pan do suchej nitki. Może zdejmie pan płaszcz?

- Dziękuję, ale spieszę się. - Carito usiadł. Krople spływały po jego mundurze. - Muszę omówić z panem ważną, ściśle tajną operację.

- Nawet papier toaletowy, który nam dostarczają, ma teraz pieczęć „ściśle tajne“ - zażartował Wolf.

Carito puścił dowcipną uwagę mimo uszu i kontynuował:

- Dziś wieczorem przybędzie tutaj specjalny oddział, aby spędzić Żydów. Chcemy pozbyć się tych pasożytów z miasta całkowicie, i to jak najprędzej.

- Pasożytów? W takim razie wygląda mi to na sprawę raczej dla Ministerstwa Zdrowia - odparł Wolf, nadal trzymając się żartobliwego tonu. Zapisał coś w leżącym przed nim na biurku notesie.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - ostro odpowiedział oficer.

- Nie chciałem pana zdenerwować, komendancie. Taki już jestem. Konsulat oczywiście wykona wszelkie rozkazy, jakie otrzymamy. W czym mogę panu pomóc?

- Potrzebna nam lista Żydów, którzy posiadają paszport Rzeszy. Także tych, którzy nie są zarejestrowani w konsulacie i mają nieważne pozwolenia na pobyt.

Doktor Wolf spoważniał.

- Nie mogę niczego obiecać... Chcę powiedzieć, że nie mamy dokładnych danych co do osób przebywających tu nielegalnie.

- Wierzę w pana umiejętności i lojalność. - Carito teraz celowo wywierał nacisk. - Potrzebuję nazwisk i adresów. Wszelkich informacji, jakie może pan zdobyć.

- Zrobię, co w mojej mocy - poddał się Wolf. - Moja sekretarka zbierze informacje do jutra, mniej więcej do południa. Kiedy zacznie się ta operacja?

- Dziewiątego listopada.

Konsul wstał i wyciągnął rękę, aby się pożegnać. Carito jednak odpowiedział faszystowskim pozdrowieniem.

- Dziękuję. Wiedziałem, że mnie pan nie zawiedzie - rzucił szorstko i wyszedł.

Doktor Wolf zaczekał, aż usłyszy warkot silnika samochodu. Podeszedł do biurka i wybrał florencki numer.

- Halo? - szepnął do słuchawki. - Signora Combarti? Dobrze, że panią zastałem. Proszę niezwłocznie powiadomić Rudolfa Levy'ego, że musi natychmiast wyjechać z miasta... Nie, nie mogę podać pani żadnych szczegółów, ale to sprawa życia i śmierci...

Signora Combarti, właścicielka ekskluzywnej galerii sztuki, pełniła od jakiegoś czasu funkcję posłańca między konsulem a kilkoma artystami mieszkającymi we Florencji. Ostrzeżenie dotarło do Rudolfa we właściwym czasie, ale i tym razem je zlekceważył. Usilne prośby Heinza Battkego, aby wyjechał i ukrył się w domu jego matki w Vallombrosie, puszczał mimo uszu. Rudolf był co najwyżej skłonny przekazać Battkemu dwadzieścia parę ze swoich najnowszych obrazów. Rankiem dziesiątego listopada mógł twierdzić, że miał niewiarygodne szczęście, ponieważ jego nazwisko nie znalazło się na liście przygotowanej przez konsula i pierwszego wieczoru aresztowań policja przeoczyła go. Następnego dnia spokojnie siedział, popijając kawę z sąsiadami. Chwilę później wrócił do sztalug i zabrał się do ukończenia *Autoportretu w okularach*.

Gestapo coraz intensywniej poszukiwało Żydów, którzy zeszli do podziemia. Nie było tygodnia, żeby kogoś nie znaleźli i nie deportowali następnie do obozu przejściowego Carpi w pobliżu Modeny. Nikt stamtąd nie wrócił i nikt też nie wiedział, co się stało z zatrzymanymi. Pierwszy raz Rudolf zaczął poważnie martwić się o swoje bezpieczeństwo. Na początku grudnia zwierzył się swojemu przyjacielowi Schlüterowi, który wrócił do Berlina.

„[...] Do tej chwili zawsze byłem optymistycznie nastawiony, ale teraz powoli zaczynam dostrzegać straszne rzeczy, które się zbliżają. Czy będę starcem, zanim znów będzie można wsiąść do ekspresu do Paryża czy dokądkolwiek... Naprawdę żyję jak więzień. A mimo to muszę być wdzięczny, że nic gorszego mi się nie przydarzyło. Moje obrazy nadal dość dobrze się sprzedają, mimo że dostosowałem ceny do bieżących okoliczności. Zająłem też twój dawny pokój u pani Lodoli i czasem zostaję tam na noc. Wiesz, jakie życie stało się drogie. Wieczory są okrutnie długie i monotonne, a zaciemnienie jest dla mnie jednym z najbardziej przerażających aspektów wojny. Odbiera całą radość...“.

Dopiero teraz Rudolf uległ namowom innego przyjaciela, Maxa Krella, i zgodził się spędzać noce w jego mieszkaniu. Jednak żadna siła na świecie nie była w stanie zatrzymać go w czterech ścianach przez cały czas. Wychodził o świcie i spacerował po mieście. Około południa szukał towarzystwa innych artystów, którzy wciąż spotykali się w kawiarniach, mimo iż było powszechnie wiadomo, że publiczne miejsca spotkań są pod stałą obserwacją włoskich i niemieckich tajnych agentów. Po południu wracał do swojej pracowni w pensjonacie Bandini i malował. Skupiał się teraz wyłącznie na martwych naturach - malował kolejny obraz - kwiaty w złotym wazonie. Uwielbiał złoty kolor, barwę słońca.

Nigdy się nie dowiemy, jak znaleźli go bandyci. Mniej więcej tydzień przed Bożym Narodzeniem 1943 roku signora Bandini poinformowała go, że Corsini, handlarz dziełami sztuki, przyjdzie o jedenastej, aby kupić kolejny obraz, a być może nawet dwa. Rudolf wrócił więc z mieszkania Krella przy Piazza Santo Spirito i wszedł na ciemną klatkę schodową pałacu Guadagni. Gdy dotarł na piąte piętro, ujrzał dwóch mężczyzn stojących przy wejściu do pensjonatu. Poprosił, aby go przepuścili, ale zagrodzili mu drogę. Nie zdążyli nic powiedzieć, gdy zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Jeden z mężczyzn wyciągnął z kieszeni jakąś odznakę, podsunął Rudolfowi pod nos i rzekł zimno:

- Gestapo. Koniec zabawy w chowanego. Nawet nie próbuj...
- Nie zamierzam uciekać - odparł chłodno Rudolf. Jeden z policjantów zadzwonił do drzwi. Signora Bandini otworzyła i krzyknęła coś po włosku. Rozkazali jej się odsunąć. Weszli z Rudolfem do jego pokoju, aby go przeszukać. Przeżrana i całkowicie zdezorientowana zaproponowała wszystkim trzem kawę. „Niezły pomysł“, rzekł jeden z gestapowców. Signora Bandini poszła do kuchni, ale gdy wróciła z filiżankami na tacy, pokój Rudolfa był już pusty. Kroki na schodach dźwięczały jej w uszach jeszcze długo po tym, jak „łowcy motyli“ zniknęli ze zdobyczą w sieci.

Po tym jak Lisbeth i Siegfried pożegnali się z Rudolfem we wrześniu 1939 roku, pokój numer 35 w hotelu Windsor przy nie Valpizzo w Nicei stał się ich chwilowym domem. Hotel mieścił się w pięciopiętrowym szarym budynku, którego wygląd odzwierciedlał brak polotu architekta, ale Lisbeth cieszyła się jego komfortem, a przede wszystkim widokiem. Z okna mogła patrzeć na niewielki ogród z kilkoma drzewami i trzema wysokimi palmami. Spodobało się jej także położenie hotelu, z dala od portowego zgiełku, ale w pobliżu morza.

Mieszkało w nim poza małżeństwem Levych jeszcze kilku niemieckich uchodźców, Żydów i nie-Żydów. Wieczorami siadywali razem w barze, znajdującym się tuż obok wejścia. Popijali koniak, grali w karty i prześcigali się w przewidywaniu przyszłości. Ogólnie rzecz biorąc, między ich oczekiwaniami a rzeczywistością zionęła przepaść. Wojna na wschodzie się skończyła, Polska poddała się po walkach, które od początku były beznadziejne, ale mimo to trwały przez siedemnaście dni. Kraj został podzielony między Związek Radziecki a nazistowskie Niemcy. Na zachodzie nie padł ani jeden strzał, ale w powietrzu wisiało oczekiwanie, pełne napięcia, niepokoju i głębokiej nieufności.

Choć Lisbeth i Siegfried byli teraz uchodźcami, którzy nie mogli wrócić do swego domu w Niemczech, we Francji uważano ich za poddanych wrogiego kraju, którego armia zagrażała istnieniu Trzeciej Republiki. Sama obecność pieczęci ze swastyką wywoływała wrogie reakcje.

Dziewiątego listopada w rodzinie Levych wielokrotnie następowały jakieś koszmarnie wydarzenia. W 1923 roku dziewiąty listopada zastał Rudolfa Levy'ego w Monachium, był świadkiem pierwszej próby przejęcia władzy przez Hitlera. W nocy z dziewiątego na dziesiąty listopada Leo Levy został zastrzelony we własnym domu, co zakończyło historię rodu Levych na niemieckiej ziemi. Dokładnie rok później, dziewiątego listopada 1939 roku, dwóch francuskich policjantów zapukało do drzwi pokoju numer 35 w hotelu Windsor i nakazało Siegfriedowi wziąć ciepły płaszcz i udać się z nimi.

- Co zrobiłem? Dokąd mnie zabieracie? - spytał Siegfried.

- Do obozu dla internowanych Fort Carre - odparł jeden z policjantów i dodał z sarkazmem:

- Pani, madame, może zostać w łóżku. My, Francuzi, uważamy, że łóżko jest najwłaściwszym miejscem dla płci pięknej.

Lisbeth była przerażona. Ledwie zamknęły się drzwi za jej mężem, zbiegła na dół do gabinetu właściciela hotelu. Monsieur Alfred Cafiero, hotelarz w każdym calu, wiedział, jak służyć swoim gościom.

- Proszę się nie martwić, madame - zapewnił ją. - Znam lekarza, który wystawi cudowne zaświadczenie. Z pewnością zwróci ono pani mężowi wolność. W tych okolicznościach możemy twierdzić, że ma trąd lub dżumę, a nawet że jest w dziewiątym miesiącu ciąży. Doktor Delair znajdzie właściwe rozwiązanie każdego problemu. W różny sposób zbiera fundusz, żeby przenieść praktykę do Casablanki. Od lat marzą mu się te wspaniałe białe domy Afryki Północnej - i zawsze brakuje mu ostatnich kilku tysięcy franków.

Gabinet doktora Delaira znajdował się w odległości mniej niż trzydziestu kroków od hotelu. Lekarz nie był w najmniejszym stopniu zaskoczony prośbą Lisbeth. Kiedy monsieur

Cafiero skinął do niego głową, usiadł przy biurku z mnóstwem szuflad i zaczął pisać wyraźnym charakterem pisma:

„Ja, niżej podpisany, dr Delair, uprzednio ordynator oddziału szpitala Chardon-Lagache w Paryżu, główny lekarz brytyjskiego szpitala Hartford, kardiolog i specjalista, stwierdzam, że zbadałem Siegfrieda Levy'ego (...) Na podstawie badania elektrokardiografem ustaliłem, że cierpi on na chroniczny nieżyt oskrzeli z elementami miażdżycy w opłucnej, wskazującymi wyraźnie na osłabienie mięśnia sercowego i prawdopodobieństwo zawału serca, co stanowi wskazanie do natychmiastowej hospitalizacji“.

- To powinno ich przekonać - roześmiał się i złożył poniżej swój podpis. - Znam porucznika Dupuy'ego z Fort Carre. Ma szacunek dla tytułów medycznych i chorób serca. Jego ojciec zmarł niedawno na zawał. To dobry człowiek... Chodźmy teraz do prefektury, żeby potwierdzić mój podpis. Moglibyśmy to zrobić u notariusza, ale dowiedziałem się, że pieczęć policyjna na zaświadczeniach medycznych więcej znaczy. Nie jest to święte przymierze, ale co możemy zrobić w tych okolicznościach? Ale zanim pójdziemy, może...

Lisbeth otworzyła portmonetkę.

- Ile, *monsieur le docteur*?

Cafiero położył dłoń na portmonetce.

- Nie teraz. Znam cennik, madame. Po prostu dodamy sumę do tygodniowego rachunku za hotel. Zawsze tak robimy.

- Dziwne... ale jak panowie sobie życzą.

- Musi pani zrozumieć, madame, że każdy chce dostać swój kawałek tortu.

- Najwyraźniej to właśnie sprawia, że świat się kręci. - Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń do lekarza. Doktor Delair uściśnął ją serdecznie.

Siegfried Levy przywykł do uroków wygodnego życia, nic dziwnego więc, że życie w obozie dla internowanych nie przypadło mu do gustu. Więźniowie spali w opuszczonych koszarach, na drewnianych pryzkach ustawionych na trzech poziomach, bez poduszek. Jedzenie było bez smaku, a co gorsza, podawano je w zardzewiałych miskach. Jesienny chłód i cienki, szorstki koc były równie nieprzyjemne. Dzięki łapówkom przez jednego ze strażników mógł kontaktować się z Lisbeth. Z niepokojem śledził jej starania o uwolnienie go. W końcu nadszedł ten dzień, osiemnasty grudnia. Porucznik Dupuy osobiście odprowadził go do bramy. Na zewnątrz czekała taksówka.

Nicea była już przystrojona na nadchodzące święta. W hotelowym holu ustawiono choinkę. W pokoju Lisbeth zapaliła świeczki chanukowe, bo w tym roku początek tego ośmiodniowego święta zbiegł się z Bożym Narodzeniem. Pomimo wojny niemal we wszystkich hotelach urządzono bale sylwestrowe, jakby mówiąc: „Jedzcie, pijcie i radujcie się, bo jutro umrzemy!“. Wszystkie urzędy były zamknięte aż do święta Trzech Króli, do szóstego stycznia. Gdy tylko znów je otwarto, Siegfried zaczął starać się o zezwolenie na pobyt. Niestrudzenie chodził od jednego urzędu do drugiego, ponieważ rozpaczliwie potrzebowali tego pozwolenia. Bez niego czekało go ponowne aresztowanie. Teraz wizy turystyczne okazały się kompletnie bezwartościowe. Francję zalała fala nielegalnych imigrantów i uchodźców politycznych. Siegfried i Lisbeth twierdzili, że są turystami, ale w obecnej sytuacji uważano ich za szpiegów lub sabotażystów. Stos zezwoleń, dowodów tożsamości i dokumentów wymaganych do przedstawienia władzom rósł z dnia na dzień i musieli coraz głębiej sięgać do kieszeni, żeby dostać kolejny skrawek papieru z pieczętką zezwalającą na pobyt. Na dodatek trzech stałych mieszkańców hotelu musiało poświadczyć lojalność Levy'ch wobec Francji. Dowódca obozu dla internowanych La Mila, odpowiedzialny za „kwestie żydowskie“ na południu Francji, rozkazał Siegfriedowi stawić się na badanie medyczne na komisariacie policji w Aix-en-Provence. Rozkaz wycofano

dopiero wtedy, gdy doktor Peaudeleu, lekarz urzędowy i patolog w Sądzie Najwyższym, był tak uprzejmy, że potwierdził diagnozę doktora Delaira. Lisbeth i Siegfried w końcu w drugiej połowie stycznia 1941 roku otrzymali pozwolenie na pobyt we Francji na okres jednego roku. „Mam wrażenie - rzekł Siegfried do żony, kiedy wrócił do hotelu z pożądanym zezwoleniem - że w tych wariackich czasach taki świstek papieru jest wart o wiele więcej niż ludzkie życie“.

Ale naprawdę złe czasy miały dopiero nadejść. Latem 1940 roku plaże Riwiery nie zapełniły się turystami, wspaniałe hotele w Cannes stały przygnębiająco puste i tylko uchodźcy z Niemiec ratowali monsieur Cafiero przed bankructwem. W maju zaczęło się poruszenie na północy. Niemieckie naczelne dowództwo rozpoczęło ofensywę na zachodzie, mając do dyspozycji sto czterdzieści trzy znakomicie wyszkolone i uzbrojone oddziały, tym samym naruszając neutralność Belgii, Luksemburga i Niderlandów. Francuskie pozycje obronne padały jak domki z kart. W ciągu sześciu tygodni armia „żabojadów“ została pokonana. Jedno dramatyczne wydarzenie następowało po drugim - dziesiątego czerwca Włochy przystąpiły do wojny przeciwko Francji. Dwunastego czerwca rząd francuski uciekł z Paryża do Tours, a kilka dni później z Tours do Bordeaux. Czternastego czerwca premier Reynaud podał się do dymisji, a po nim sędziwy marszałek Petain. Następnego dnia Niemcy saperzy, posługując się świdrami pneumatycznymi, rozbili mury otaczające muzeum w Compiègne i wyciągnęli starą salonkę, w której w 1918 roku podpisano zawieszenie broni. Tego dnia były cesarz niemiecki z wygnania z holenderskiej miejscowości Doorn wysłał Hitlerowi telegram z życzeniami:

„Głęboko poruszony rozprzestrzenieniem się wojsk w całej Francji, gratuluję Panu i całemu niemieckiemu Wehrmachtowi wspaniałego zwycięstwa, będącego darem od Boga, parafrazując słowa cesarza Wilhelma: «Cóż za odmiana, z Bożej łaski!...»“.

Niemiecki dyktator umieścił telegram w archiwum, mimo że jego zdaniem nie była to zasługa Opatrzności, ale jego własnych umiejętności jako głównodowodzącego. W każdym razie francuscy delegaci zawieszenie broni podpisali na tej samej polanie i w tym samym wagonie, co w roku 1918. Ale zaszczytne miejsce, należące niegdyś do marszałka Focha, zajął Adolf Hitler. Role się odwróciły.

Zagraniczna prasa opisywała te wydarzenia z najdrobniejszymi szczegółami. Siegfried kupił gazetę w kiosku obok hotelu i godzinę później wciąż był pochłonięty lekturą. Aromat świeżej kawy wypełniał jadalnię. Śliczna kelnerka przemykała między stolikami, a szef kelnerów obserwował wszystko sokolim wzrokiem, upewniając się, że klienci obsługiwani są stosownie do swego statusu. Goście rozmawiali cicho, salę wypełniało niezrozumiałe mruczenie, przerywane od czasu do czasu brzękiem łyżeczki lub widelczyka o porcelanę. Krótko mówiąc, był to gwar typowy dla hotelu dla wyższej klasy średniej, położonego w znakomitej okolicy, do której reszta świata, z jej prześladowaniami, bitwami i politycznymi manewrami, wydawało się, nie ma dostępu. Jednak ten pozorny spokój był złudny - wiadomości wskazywały na nadchodzące złe czasy.

Osiemdziesięcioletni Philippe Petain został mianowany szefem rządu „niezależnej“ Francji, który powołano w porozumieniu z nazistami podczas negocjacji warunków kapitulacji. Dziewiątego lipca zebrał się parlament w Vichy, aby omówić przyszłość Francji, jakby faktycznie miał możliwość wywierania jakichkolwiek wpływów. Jedynym powodem, dla którego Hitler zgodził się na istnienie „niezależnej“ Francji, była chęć zapobieżenia powstaniu rządu na wychodźstwie w Londynie lub Ameryce Północnej. Ale każdy, kto miał choć odrobinę zdrowego rozsądku, wiedział, że gdyby sytuacja miała się zmienić - gdyby

Hitler mógł (lub był zmuszony) wyrzec się współpracy z Petainem - Wehrmacht wkroczyłby do południowo-wschodniej Francji i zakończył farsę, jaką była „niezależna“ Francja.

Francja Vichy przypominała raczej rozpadającą się łódeczkę rzucaną w różne strony po wzburzonym morzu, stanowiącą łatwą zdobycz dla piratów. Zagraniczne konsulaty przyjęły w tym scenariuszu rolę łodzi ratunkowych. Kolejne tysiące nieszczęsnych pasażerów - uciekinierów z okupowanych przez nazistów terytoriów oraz tych, których pozbawiła ojczyzna Hiszpania generała Franco - próbowały wdrapać się na owe łodzie, aby nie utonąć. Cwaniacy, którzy mieli kontakty w zagranicznych przedstawicielstwach i miejscowych urzędach bezpieczeństwa, żądali ogromnych sum w walucie za swe usługi, płatnych oczywiście od ręki. Kurs dolara na czarnym rynku wzrósł do sześćdziesięciu franków. Każdy, kto chciał ocalić skórę, musiał zapłacić okup. Kto nie miał gotówki, nie był wart zachodu.

Prawo dżungli i ciągle zmieniające się przepisy prowadziły do całkowicie absurdalnych sytuacji. Uchodźcy, którzy byli w stanie udowodnić, że zamierzają wyjechać z południowej Francji, otrzymywali pozwolenie na pobyt. To stworzyło nowy rodzaj przemysłu usługowego. Wnioski o wizy do odległych krajów przewyższały popyt na chleb i mięso. Pieczęć w paszporcie z konsulatów Paragwaju, Kuby, Syjamu i innych egzotycznych państw była koniecznym warunkiem do uzyskania od policji pozwolenia na pobyt. Potrzeba było jednak czegoś więcej niż samej pieczętki, aby wyruszyć z Nicei czy Marsylii w podróż za ocean. Przed wyjazdem uchodźca musiał otrzymać dziesiątki różnych dziwnych zaświadczeń potwierdzających, że nie cierpi na żadne zakaźne choroby, nie zamierza wstąpić do wojska, nie ma długów, jest w pełni władz umysłowych i na domiar wszystkiego po opuszczeniu Francji w żadnym wypadku nie będzie podważać statusu tego kraju i jego dobrej opinii na świecie. Jednak w okupowanej, zastraszonej Europie zdobycie choćby aktu urodzenia było niemal równie trudne, jak niegdyś przejście przez Morze Czerwone. Uzyskanie wszystkich niezbędnych dokumentów było syzyfową pracą.

Cafe Roma i Aux Brûleurs des Loups w Marsylii stały się najważniejszymi ośrodkami handlu dokumentami. Siegfried chodził tam raz na dwa tygodnie, aby być na bieżąco z rozwojem wydarzeń i zdobywać nieoficjalne informacje, niepublikowane w cenzurowanych gazetach. Kelnerzy stali się spekulantami, a barmani sprzedawali rozcieńczone drinki wraz z ostatnimi wiadomościami na temat transportu. Klienci omawiali ostatnie plotki z głęboką i rozpaczliwą powagą. Co jakiś czas pojawiała się pogłoska o miejscach dostępnych jeszcze na statkach pasażerskich odpływających do Tangeru lub na wyspy Fidżi na Pacyfiku. Z taką samą regularnością „oficjalne wiadomości“ na temat okupacji „w przyszłym tygodniu“ lub „w przyszłym miesiącu“ przez Wehrmacht wywoływały przerażenie w sercach stałych bywalców kawiarni. Zniechęceni i zubożali ludzie godzinami przesiadywali w Quai des Beiges w nadziei, że uda im się zakraść na jedną z wypływających łodzi rybackich i dzięki temu dostaną się do Afryki Północnej.

W paszportach Levych nie pozostała już ani jedna pusta strona. Siegfried otrzymał wizy wjazdowe do Hiszpanii, Portugalii i - jako ostateczność - do Bangkoku. Niecierpliwie oczekiwał odpowiedzi od Francisa Maclarena Witheya, zastępcy konsula Stanów Zjednoczonych w Nicei. Mniej więcej miesiąc wcześniej stwierdził on, że Siegfried ma „spórą szansę“ na otrzymanie pozwolenia na wjazd do Stanów Zjednoczonych. Ale tryby biurokracji kręciły się powoli, a pożądane zezwolenie nie nadchodziło. Miejscowa policja groziła, że pozwolenie Siegfrieda na pobyt straci ważność, bo nie zarejestrował się do emigracji. Ponownie udał się więc do Marsylii i za pięćset dolarów otrzymał zaświadczenie od dużej firmy przewozowej, potwierdzające wydanie dwóch biletów do Hawany. Dzięki temu mógł uniknąć deportacji do Niemiec przez kolejne dwa miesiące.

- Hawana? A gdzie to u licha jest? - spytał monsieur Cafiero, kiedy zobaczył zaświadczenie.

- Jeśli o mnie chodzi, przyjacielu - odparł Siegfried - jest to przystanek między Marsylią a Nowym Jorkiem. Ale atlas raczej nie potwierdzi mojego toku rozumowania.

Cafiero roześmiał się.

- Atlas? A co może dziś powiedzieć jakikolwiek atlas? Nieważne, jak szybko by się zmieniały, i tak nie nadążą za teraźniejszością. Najdziwniejszą mapą, jaką kiedykolwiek widziałem, była mapa Francji sprzed roku. Kiedy na nią spojrzałem, nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać...

Dwa miesiące później Siegfried musiał kupić kolejne potwierdzenie podróży przez ocean. Po nowe zaświadczenie trzeba było występować co kilka miesięcy, ponieważ konsulowie, świadomi łatwego zysku, skracali okres ważności takich dokumentów. Dwudziestego pierwszego września 1940 roku wydano pierwszy dekret zobowiązujący Żydów do zarejestrowania się. Urzędnicy reżimu Vichy wykazywali pobłażliwość wobec Francuzów wyznania mojżeszowego, ale nie wobec Żydów, którzy nie urodzili się we Francji i nie mieli francuskiego obywatelstwa. Tych ostatnich prześladowano niemiłosiernie. Lisbeth i Siegfried byli świadomi, że pętla na ich szyjach zaciska się coraz mocniej. Choć nie chcieli tego widzieć ani słyszeć, listy docierające do nich z Berlina opisywały los, jaki spotyka Żyda, który wpada w ręce nazistów. Już w lutym 1940 roku szczecińskich Żydów załadowano do wagonów i deportowano. Buldożery zrównały z ziemią budynek synagogi. Rachunek wystawiono Zrzeszeniu Żydów Rzeszy w Niemczech*. Stare zwoje Tory, w wyszywanych aksamitnych sukienkach, ozdobione cennymi srebrnymi koronami, zabrało gestapo „w bezpieczne miejsce“, do Hamburga. W Bad Polzin nie został już ani jeden Żyd. Firmę Aschera Levy'ego zamknięto, a te oddziały przedsiębiorstwa, które nie zostały zagarnięte przed Nocą Kryształową, przejęła nowa instytucja nazistowska - Allgemeine Treuhandstelle (ALTREU).

Przedstawiciele Guaranty Trust Co. w Nowym Jorku robili wszystko, aby przyspieszyć procedury w urzędach imigracyjnych. Wiosną Siegfried zlecił przekazanie do tej instytucji finansowej kapitału, znajdującego się wciąż na kontach szwajcarskich banków. Jeszcze zanim konsul Withey zdążył powiadomić go, że jego wniosek został rozpatrzony pozytywnie, do hotelu Windsor dostarczono telegram od nowojorskiego prawnika Siegfrieda: „Wiza nr 18163, w ramach przydziału niemieckiego, wysłana do Nicei w tym tygodniu. Stop. Zarezerwowana kajuta w drugiej klasie na «Excaliburze». Stop. Odpływa z Lizbony 23 sierpnia. Stop. Konsul USA ma zapewnić preferencyjne traktowanie. Stop. Witamy w Stanach...“.

Ale ich radość była krótkotrwała. „Excalibur“ podniósł kotwicę bez Levych na pokładzie. Amerykańskim urzędnikom imigracyjnym ponad pół roku zajęło uporanie się z dokumentami Levy'ego. I nawet kiedy Siegfried siedemnastego stycznia został wezwany do konsulatu, a zastępca konsula wbił zaświadczenie o imigracji do paszportu jego i żony, nie był to jeszcze koniec przeszkód. Tymczasem wprowadzono nowe prawa i nikt nie mógł opuścić Francji bez pozwolenia na wyjazd.

Urzędnik z kwaśną miną przejrzał wniosek Siegfrieda o wydanie pozwolenia i oddał mu go, mówiąc:

- Żałuję, monsieur, ale musi mi pan dać zaświadczenie od pańskiego przedstawiciela w Aix-en-Provence.

- Przedstawiciela? Kto jest moim przedstawicielem w Aix-en-Provence?

- Mówię o ambasadzie Trzeciej Rzeszy, monsieur. Nie możemy już wydawać wiz wyjazdowych uchodźcom pochodzenia niemieckiego bez pozwolenia ambasady.

- Czego u licha pan ode mnie chce? - spytał Siegfried, coraz bardziej wzburzony. - Czy nie cieszy pana perspektywa, że się pan pozbędzie kogoś takiego jak ja, przedstawiciela niższej rasy?

- Monsieur - odparł zdenerwowany urzędnik - nie mam czasu się z panem wyklócać. Widzi pan, że czekają tu setki ludzi. Proszę wrócić, gdy dostanie pan pozwolenie. *Au revoir*.

Przewyciężenie tej ostatniej przeszkody na drodze do bezpiecznego schronienia było naprawdę niełatwe. Niemiecka ambasada w Aix-en-Provence była najwyraźniej niezainteresowana kolejnymi dwoma uchodźcami. Ich ciekawość wzbudził jednak majątek tej pary. Siegfried na próżno starał się wyjaśnić, że nie ma już w Niemczech żadnych nieruchomości i że wszystko zostało bądź sprzedane, bądź skonfiskowane. Musiał wielokrotnie stawiać się tam w celu złożenia długich wyjaśnień, aż w końcu osiągnięto kompromis. Lisbeth i Siegfried otrzymali pozwolenie w zamian za nieruchomość w Bisone.

Siegfried nie chciał zostać we Francji ani dzień dłużej, niż to było konieczne. Kto wiedział, jakie dalsze ograniczenia mogli wprowadzić? Poza tym wizy wyjazdowe były ważne tylko do dwudziestego piątego marca. Opuścili więc właściciela hotelu, monsieur Cafiero, i innych znajomych, którzy tam mieszkali, i trzynastego marca przekroczyli hiszpańską granicę w drodze do Portugalii. Dotarli do Lizbony czwartego kwietnia i na początku maja w końcu wsiedli na statek pasażerski „Nafar“. Ostatni raz spojrzeli na znikające szybko wybrzeże Europy.

- To dziwne - rzekł Siegfried i odwrócił się do Lisbeth, która stała za nim na pokładzie, opierając się o reling. - Nigdy bym nie pomyślał, że mógłbym opuścić Europę bez cienia żalu. Zawsze sądziłem, że poza Europą nie ma życia. A tu okazuje się, że jest wręcz odwrotnie.

Epilog. Żywi i martwi

„Nafar“ zarzucił kotwicę w Nowym Jorku w drugiej połowie maja 1941 roku. Przyjaciele czekający na Lisbeth i Siegfrieda zawieźli ich prosto do mieszkania, które wynajęli dla nich w Forest Hills.

Wojna w Europie i jej okropności pozostały daleko za nimi. Kiedy przeczytali w gazetach, że Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, wszystko wydawało się bardzo odległe, nawet dla nich. Niewiele czasu zabrało im zapomnienie o starym kontynencie, choć nie udało im się zapuścić korzeni w nowej ojczyźnie. Siegfried nie znalazł żadnego zajęcia, ale pieniądze, które przesał z Niemiec do Szwajcarii, zapewniły im spokojne, dostatnie życie. Gdy Siegfried zmarł w 1955 roku, nic już nie trzymało Lisbeth w USA. Większość bratanic męża mieszkała w Izraelu, a ona rozpaczliwie tęskniła za rodziną. Dożyła sędziwego wieku, zmarła mając dziewięćdziesiąt dwa lata w mieszkaniu w Tel Awiwie. Wykonawców testamentu nie interesowały dokumenty, listy i fotografie przechowywane w kufrze podróżnym w jednej z szaf. Tak trafiły one na pchli targ w Jaffie.

Siegfried miał dwóch braci - Ernsta Levy'ego, prawnika, który zmarł nagle w 1934 roku podczas pobytu w Palestynie, oraz Leo, który został zamordowany w Bad Polzin podczas zamieszek Nocy Kryształowej. Wdowa po nim, Else, kazała wyryć na jego grobie następujące słowa: „Tu spoczywa Leo Levy, który zmarł uczciwą śmiercią, ponieważ prowadził uczciwe życie“.

Wyemigrowała do Erec Izrael tuż po tym, jak zamordowano jej męża, i zmarła tam w 1943 roku. Także Käthe, wdowa po Ernście Levym, mieszkała w Izraelu do swej śmierci. Obaj kuzyni Siegfrieda, inżynier Paul Levy, specjalizujący się w budowie kolei, oraz artysta Rudolf Levy, padli ofiarą nazistów. Paul zginął w obozie koncentracyjnym. Rudolfa widziano po raz ostatni, gdy wywożono go do obozu Carpi niedaleko Modeny.



Zaświadczenie o nadaniu obywatelstwa amerykańskiego, należące do Siegfrieda Levy'ego

Ponieważ Bóg nie pobłogosławił potomków Bernharda i Juliusa Levy'ego synami, był to koniec rodu Levych. Firma Aschera Levy'ego w Polzin już nie istnieje. Spadkobierczynie nie były zainteresowane wznowieniem działalności rodzinnego interesu. Żaden z potomków rodziny Levych nie chciał wrócić do Niemiec, by się tam osiedlić. Jedynym członkiem rodu Levych, którego imię może pozostać w pamięci ogółu, jest prawdopodobnie Rudolf Levy, który wzbogacił kulturę niemiecką swymi obrazami. Dwa z nich podarował Gołdzie Meir kanclerz Niemiec Willi Brandt, kiedy przyjechał z wizytą państwową do Izraela. Genia i jej drugi mąż Heinrich Koppold, nie szczędząc pieniędzy i starań, przetrząsnęli całą Europę w poszukiwaniu prac Rudolfa, żeby je skatalogować. Genia zaczęła realizować to przedsięwzięcie, gdy Międzynarodowy Czerwony Krzyż poinformował ją, że nazwisko jej pierwszego męża nie figuruje wśród nazwisk ocalałych z Holokaustu. Poświęciła temu projektowi całe życie. Zmarła w Monachium w 1953 roku. Warto ponadto wspomnieć, że galeria we Florencji pierwsza po wojnie wystawiła obrazy Rudolfa. Frau Susanne Thesing z Monachium poświęciła artyście pracę naukową i w 1990 roku wydała solidnie udokumentowaną monografię na jego temat.

Córka Bernharda, Lina, i jej mąż Karl Hamburger stracili życie w Theresienstadt. Ich jedyny syn, Alfred, zdołał uciec. Dziś mieszka w Nowym Jorku, jest na emeryturze. Ida, druga córka, wyszła powtórnie za mąż po rozwodzie z Paulem Levym. Jej drugi mąż, Otto Feldman, Żyd z Czechosłowacji, handlował dziełami sztuki. Dzielili czas między Bad Polzin, Berlin i Paryż. Ida miała córkę z pierwszego małżeństwa, Susanne, znaną jako Sanna. Pod koniec lata 1938 roku matka z córką pojechały na wakacje na południe Europy i to ocaliło im życie. Ida zmarła w Stanach Zjednoczonych w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat. Sanna wyszła za Niemca nieżydowskiego pochodzenia i prowadzi księgarnię w Los Angeles.

Leo Levy miał cztery córki - Hannah, Evę, Grete (Margarethe) i Ruth. Wszystkim czterem udało się uciec z nazistowskich Niemiec w samą porę. Hannah i Eva do dziś żyją w Izraelu, ze swoimi rodzinami. Hannah Slijper, wdowa po Holendrze, mieszka w małym domku otoczonym cudownym ogrodem pełnym kwiatów w Ramat Haszaron, niedaleko Tel Awiwu. Była niezwykle pomocna przy rekonstrukcji historii rodziny Levych. Spędziła całe życie na wdrażaniu ideałów Hachszary. Aż do śmierci męża prowadziła małe gospodarstwo rolne w moszawie Bejt Jicchak.

Grete Levy opuściła Niemcy na rok przed nocą pogromów i pojechała do szkoły z internatem w Londynie. W Anglii wyszła za mąż za historyka sztuki Klause E. Hinrichsena, nieżydowskiego pochodzenia, który wyjechał z Niemiec w 1939 roku. Mieszkają w ślicznym małym domku w Highgate, w północnym Londynie. On pracował w przemyśle farmaceutycznym. Margarethe założyła sklep z zabawkami, specjalizujący się w drewnianych i edukacyjnych zabawkach, który stał się bardzo znany poza granicami Highgate. Jej dwoje dzieci wyrosło na Brytyjczyków z krwi i kości.

Kiedy zamordowano jej ojca, Ruth miała zaledwie siedemnaście lat. Ponieważ w świetle prawa nadal była niepełnoletnia, jej imię dopisano do wizy matki. Obie przyjechały do Tel Awiwu w 1939 roku. Ruth wyszła za mąż w 1953 roku za berlińczyka i oboje wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych, gdzie osiedlili się na Zachodnim Wybrzeżu. Tragicznym zbiegiem okoliczności ich jedyny syn zginął w wypadku samochodowym tego samego dnia, który miał tak brzemienne skutki dla rodziny Levych - dziewiątego listopada.

Ernst Levy także miał cztery córki - Theę, Marianne, Brigitte i Gabriele. Wszystkie zdołały wyjechać z Niemiec przed wybuchem drugiej wojny światowej i wyemigrowały do Palestyny. Wyszły tam za mąż i założyły rodziny, po czym wydały na świat synów i córki. Warto podkreślić, że niemal wszystkie kobiety z rodziny Levych przeżyły, ponieważ w porę

wyemigrowały do Palestyny, gdzie wzięły czynny udział w syjonistycznej rozbudowie kraju. Tym samym poświęciły się właśnie temu, czego poprzednie pokolenia Levych nie darzyły aprobatą. Dziś Gabriele Bradmann mieszka z mężem w Giwatajim. Thea Löwenthal wyszła za mąż za bankowca, a nieżyjący już mąż Brigitty, Wolfsohn, był adwokatem i notariuszem. Marianne Lewin jako jedyna powróciła do religijnego życia i przestrzega micwot. Będzie czekać na nadejście Mesjasza do końca swoich dni.

Słowniczek

Adar - jeden z miesięcy kalendarza żydowskiego.

Agencja Żydowska - z hebr.: Sochnut; międzynarodowa, niepaństwowa instytucja z siedzibą główną w Jerozolimie, organ wykonawczy Światowej Organizacji Syjonistycznej; celem Agencji Żydowskiej jest pomoc Żydom na całym świecie, gdy zamierzają emigrować do Izraela, oraz promocja rozwoju kraju.

Alliance Israelite - pełna nazwa to Alliance Israelite Universelle; pierwsza współczesna międzynarodowa organizacja żydowska, założona w 1860 r., z siedzibą główną w Paryżu; na utworzenie Alliance Israelite wpłynęły trendy ideologiczne i wydarzenia polityczne drugiej połowy XIX w.; jej cele i działania miały szeroki zakres: reprezentowanie interesów politycznych na szczeblu dyplomatycznym, udzielanie pomocy nowym imigrantom w Palestynie, a przede wszystkim edukacja oraz szkolenie zawodowe.

Aszkenazyjczycy - nazwa pochodząca od hebr. Aszkenazim, nieznanego ludu biblijnego*, używana w hebrajskiej literaturze na określenie niemieckich Żydów; rodziny żydowskie, które uciekały z Niemiec, począwszy od XII w., do krajów Europy Południowej lub Orientu, dodawały przydomek „Aszkenazi“ do imion, aby podkreślić swoje pochodzenie; we współczesnym języku aszkenazyjczykami nazywa się Żydów Zachodu; zob. przeciwieństwo: sefardyjczycy (hebr. Sfaradim).

Bakszysz - pers. 1. jałmużna, podarek, 2. łapówka.

Baldachim weselny (chupa) - młoda para składa przysięgę pod baldachimem; panna młoda otrzymuje obrączkę jako symbol jedności, a pan młody stąpa na szklanę, upamiętniając tym zburzenie Świątyni.

Bar Kochby powstanie - kiedy rzymski cesarz Hadrian zlecił zbudowanie na miejscu Jerozolimy nowego miasta oraz świątyni Jupitera, wybuchło powstanie żydowskie o zaskakującej sile, któremu przewodził Szymon Bar Kochba.

Bar micwa - hebr. „Syn przykazań Bożych“; w wieku trzynastu lat chłopiec zostaje wyniesiony do tej rangi; po raz pierwszy wzywa się go do czytania ze zwoju Tory wraz z innymi mężczyznami w synagodze.

Baszana habaa biruszalajim - hebr. „Następnego roku w Jerozolimie“; tradycyjne błogosławieństwo, symbolizujące żydowską tęsknotę za Jerozolimą od czasów zburzenia Świątyni.

Biuro palestyńskie - oddziały związane ze Światową Organizacją Syjonistyczną, oferujące na miejscu poradę i pomoc dla osób pragnących wyemigrować.

Bruchim habaim - hebr. dosł. „Niech będą błogosławieni ci, którzy przychodzą“.

Chabad (ruch) - popularny ruch chasydzki, kładący nacisk na stały kontakt z Bogiem, intensywne emocje i duchową koncentrację podczas modlitwy.

Chacham - hebr. (l.mn. chachamim) mędrzec (mędrca).⁷⁹

Chaluka - hebr. „rozdzielenie“; tradycyjne wsparcie finansowe dla żydowskich mieszkańców Palestyny od ich współwyznawców w diasporze; od XVIII w. chaluka, w szerszym znaczeniu, oznacza zorganizowaną formę zbierania i rozdziału datków finansowych oraz instytucje będące za to odpowiedzialne; system chaluki został zniesiony wraz z powstaniem państwa Izrael w 1948 r.

Chala - pleciony, zwykle słodkawy biały chleb, nad którym recytowane jest błogosławieństwo na początku posiłku w Szabat i święta; po błogosławieństwie zostaje rozdzielony pomiędzy obecnych.

⁷⁹ *Chacham* - uczony w prawie Żyd; tytuł rabina u Żydów sefardyjskich albo duchownego Karaimów; mędrzec; rabini z egzegezy prawa biblijnego z I i II w. n.e., których interpretacje zawarte są w Misznie i innych pismach im współczesnych.

Chanuka - ośmiodniowe święto świateł upamiętniające ponowne poświęcenie Świątyni po powstaniu machabejskim przeciwko Antiochowi IV Epifanesowi (w 165 r. p.n.e.); święto postbiblijne.

Chasydyzm - rozmaite ruchy religijno-mistyczne w obrębie judaizmu, które zaczęły powstawać, począwszy od XII w.; w XVIII w. chasydzi rozprzestrzenili się głównie w Europie Wschodniej, dzisiaj natomiast są reprezentowani na całym świecie przez ruch Chabad-Lubawicz; chasydzi podkreślają znaczenie emocjonalności w religii i objawienia w przyrodzie jako przeciwstawienia wierze w prawo; odrzucają wszelkie nowoczesne wynalazki i prowadzą bardzo uduchowione życie, całkowicie poświęcając się służbie Bogu i studiowaniu religijnych pism; patrz także: Chabad.

Chowewej Cijon - hebr. „Miłośnicy Syjonu“; nazwa przyjęta przez połączone grupy w Rosji, Rumunii, Europie Wschodniej i USA, uważane za prekursorów politycznego syjonizmu; promowały one powrót żydowskiej ludności rozproszonej w diasporze (do Erec Izrael).

Dragoman - tur. „tłumacz“; tłumacz na Bliskim Wschodzie, głównie z języka arabskiego, tureckiego i perskiego.

Dzielnica żydowska - w obrębie murów Starego Miasta (zobacz: mury miejskie) Jerozolimy znajdują się odrębne dzielnice mieszkaniowe: ormiańska, chrześcijańska, muzułmańska i żydowska.

Eliasz - prorok, cudotwórca i sługa Boży (2 Księga Królewska 1,3); zapowiadający i poprzedzający przyście Mesjasza; zbawca i pocieszyciel w trudnych chwilach, którego obecności oczekuje się w czasie wieczerzy sederowej rozpoczynającej święto Pesach.

Erec Izrael - hebr. „Ziemia Izraela“, „Kraina Ojców“; znana także jako „Syjon“.⁸⁰

Fez - tur. płasko zwieńczone, stożkowe, filcowe nakrycie głowy noszone w krajach muzułmańskich.

Gemara - hebr. „dokończenie“; tekst oparty na rabinicznych dysputach dotyczących Miszny; na Talmud składają się razem Miszna i Gemara’.

Goj, gojka - z hebr. goj, goja (l.mn. gojim); termin odnoszący się do przedstawicieli wszystkich ludów z wyłączeniem ludności żydowskiej; także na oznaczenie nie-Żyda.

Groby Królewskie - jedno z najbardziej interesujących miejsc pochówku w Palestynie/Izraelu, przez długi czas uważane za grobowce królów żydowskich; faktycznie te grobowce zostały zbudowane przez królową Adiabeny (Mezopotamia), Helenę.

Hachszara - hebr. „przygotowanie“; szkolenie, głównie dla młodych ludzi, którzy potrzebowali praktycznego przygotowania do emigracji do Erec Izrael; Hachszara zyskiwała coraz większą popularność w żydowskich ruchach młodzieżowych w Europie od początku XX w. i później, ale w Niemczech dopiero od momentu dojścia Hitlera do władzy; grupy młodzieży zwykle dzierżawiły gospodarstwa, szkółki ogrodnicze i tym podobne obiekty, w których młodzi ludzie kształcili się nie tylko jako rolnicy, hodowcy bydła, służba domowa czy zarządcy, lecz także jako kowale, szewcy itd.

Halacha - religijny kodeks prawny.

Jekes - jid. (l.poj. Jeke); żartobliwe określenie imigrantów z Niemiec, które rzekomo wywodzi się z tego, że mimo iż w Palestynie jest gorący klimat, nie zdejmowali oni marynarek (niem. Jacke - kurtka, marynarka).

Jeruzalajim - hebr. Jerozolima.

Jiszuw - hebr. termin na określenie osadnictwa żydowskiego w Erec Izrael; wyróżnia się stary jiszuw - przedsyjonistyczne osadnictwo - i nowy, będący zaczątkiem Państwa Izrael.

Jontef - wersja jidysz hebrajskiego terminu Jom Tow, oznaczającego „święto religijne“.

Judaizm konserwatywny - powstał on dla odróżnienia od judaizmu reformowanego, który zdaniem niektórych rabinów posunął się zbyt daleko; wyznawcy, mimo iż cenili sobie

⁸⁰ Erec Izrael używa się także jako geograf. określenia Palestyny.

zmianę stosunku do rytuału i przestrzegania niektórych praw, chcieli jednak pozostać wierni tradycji żydowskiej; inaczej niż w judaizmie reformowanym, zwolennicy judaizmu konserwatywnego od początku popierali syjonizm.

Judaizm ortodoksyjny - termin ten został po raz pierwszy użyty w 1795 r. i przyjął się powszechnie w XIX w, dla odróżnienia od judaizmu reformowanego; ortodoksi uważają się za strażników autentycznej religii żydowskiej; przestrzegają oni wszystkich spisanych i niepisanych praw, przywiązując szczególną wagę do Halachy i Szulchan Aruch.

Judaizm reformowany - w połowie XIX w. emancypacja spowodowała zakwestionowanie religijnych tradycji, szczególnie w krajach niemieckojęzycznych; wybitną osobistością w tym ruchu był rabin Abraham Geiger, uważany do dziś za faktycznego założyciela ruchu; odrzucił on ideę objawienia z naukowego punktu widzenia, ogłosił, że powrót do Erec Izrael jest bezcelowy, i zredukował Torę do „źródła etyki“; konsekwentnie Talmud i Szulchan Aruch przestały być uważane za wiążące, a wraz z emancypacją nadzieje mesjańskie zostały uznane za spełnione; judaizm reformowany znalazł później silny punkt oparcia w Stanach Zjednoczonych.

Kabała - z hebr. kabała „tradycja“; nauki i teksty żydowskiego mistycyzmu średniowiecznego, zajmujące się rzekomym tajemnym mistycznym znaczeniem Starego Testamentu i talmudycznych praw religijnych; wypędzenie Żydów z Hiszpanii i Portugalii (1492 r.) zmieniło kabałę w popularny ruch; późniejsza, szesnastowieczna forma kabały przyczyniła się do powstania chasydyzmu.

Kadisz (kadysz) - hebr. „święty“; kadisz jest modlitwą wychwalającą Boga, odmawianą podczas nabożeństw religijnych przez żałobników; nie jest to jednak, jak to się często błędnie przyjmuje, modlitwa za dusze zmarłych.

Kalendarz żydowski - kalendarz żydowski jest kalendarzem księżycowym, w związku z tym nowy dzień rozpoczyna się o zmierzchu, a miesiące są obliczane według faz księżyca. Z zasady jeden rok ma 12 miesięcy, czyli 354 dni. Rok żydowski jest wobec tego średnio o 12 dni krótszy od roku słonecznego. Jest siedem żydowskich lat przestępnych w cyklu dziewiętnastoletnim. Obliczanie żydowskiego kalendarza rozpoczyna się od przyjętej daty Stworzenia w 3760 r. p.n.e. Według tej rachuby chrześcijański rok 2007 jest odpowiednikiem żydowskiego roku 5767/8. Miesiące (począwszy od Nowego Roku) są następujące: Elul/Tiszri - wrzesień, Tiszri/Cheszwan - październik, Cheszwan/Kislew - listopad, Kislew/Tewet - grudzień, Tewet/Szewat - styczeń, Szewat/Adar - luty, Adar/Adar Szeni/Nisan - marzec, Nisan/Ijar - kwiecień, Ijar/Siwan - maj, Siwan/Tamuz - czerwiec, Tamuz/Aw - lipiec, Aw/ Elul - sierpień.

Kantor - znany także pod hebr. terminem: chazan; osoba, która przewodzi wiernym podczas modlitwy w synagodze; powinien mieć silne przekonania religijne, aby być wzorem do naśladowania dla społeczności.

Kaszrut - hebr. żydowskie prawa żywieniowe określające dozwolone pokarmy i te, które są zakazane, ale także przedstawiające metody przygotowania żywności; przestrzeganie kaszrutu wymaga posiadania dwóch zastaw stołowych i dwóch kompletów naczyń kuchennych, jednej dla mlecznych, a drugiej dla mięsnych potraw; do kaszrutu należą także zasady uboju rytualnego.

Kibuc (1. mn. kibucim) - hebr. „zgromadzenie“; ochotniczy kolektyw rolniczy w Palestynie/Izraelu; praca w nim jest bezpłatna, w zamian otrzymuje się zaopatrzenie dla członków rodziny.⁸¹

Kolel - hebr. (1. mn. kolelim); (1) gmina Żydów w starym jiszuwie w Palestynie, pochodzących z tego samego kraju (lub miejscowości); (2) seminarium rabinackie dla żonatyh mężczyzn.

⁸¹ Obecnie coraz więcej kibuców rezygnuje z tej formuły, ponieważ w ruchu kibucowym obserwuje się postępującą prywatyzację.

Kolonia Niemiecka (hebr. Moszawa Germanit) - nazwa wciąż używana na oznaczenie dzielnic mieszkaniowych założonych w połowie XIX w. przez członków ruchu Tempelgesellschaft w Jerozolimie, Hajfie i innych miastach.

Koszerny - od hebr. kaszer - „właściwy“, „prawidłowy“; zgodny z rytualnymi prawami dietetycznymi.

Megila - hebr. „zwój“; Księga Estery, jedna z biblijnych ksiąg apokryficznych, czytana na głos w święto Purim; opowiada ona historię uratowania Żydów przez królową Esterę przed imperium perskim.

Meir Baal Hanes - Wunderrabbi, „rabin-cudotwórca“; począwszy od XVI w. puszkę na jałmużnę, upamiętniającą tego rabina, były ważną i wysoce skuteczną metodą zbierania pieniędzy dla żydowskiej społeczności w Palestynie.

Mędrzec Syjonu - odniesienie do rzekomych Protokołów Mędrców Syjonu, zdemaskowanych jako fałszerstwo dawno przed 1933 r., ale wykorzystywanych do dnia dzisiejszego w celach antysemitycznych.

Meszuge - jid. „szalony“, „upośledzony psychicznie“.

Micwa - hebr. (1. mn. micwot); termin używany w odniesieniu do praw i przykazań w judaizmie, łącznie 613 artykułów wiary, w tym 365 zakazów i 248 nakazów.

Minjan - z hebr. kworum modlitewne, składające się z dziesięciu dorosłych mężczyzn. -

Miszna - hebr. „powtórzenie“. Interpretacja Tory przekazywana ustnie, spisana ok. 200 r. n.e. Miszna i Gemara tworzą razem Talmud. Miszna jest podzielona na sześć porządków; wszystkie porządki łącznie liczą 63 traktaty; każdy traktat składa się z rozdziałów, które z kolei zawierają grupy indywidualnych nauk.

Mohel - hebr. „osoba, która dokonuje rytualnego obrzezania“; bogobojny mężczyzna, który przeprowadza ceremonię obrzezania chłopca, osiem dni po jego narodzinach, jako symbol jego przyjęcia do przymierza z Bogiem.

Modlitwa poranna - żydowskie prawo nakazuje odmawianie codziennie trzech modlitw, są to: Szacharit - modlitwa poranna, Mincha - modlitwa popołudniowa i Maariw - modlitwa wieczorna; istnieją także dodatkowe modlitwy na Szabat i uroczystości religijne.

Mury miejskie - od okresu gdy Jerozolimę zamieszkiwali Jebusyci i następnie od jej podboju przez króla Dawida, była ona wielokrotnie fortyfikowana na przestrzeni dziejów, w zależności od warunków geograficznych i gęstości populacji; mury miejskie, stojące obecnie, zostały zbudowane przez sułtana Sulejmana Wspaniałego podczas jego panowania nad miastem (1520-1566); wraz z rozrostem Jerozolimy w XIX w. termin „mury miejskie“ został zmieniony na „mury Starego Miasta“.

Organizacja Syjonistyczna w Niemczech (Zionistische Vereinigung in Deutschland) - organizacja patronacka wszystkich syjonistów w Niemczech, założona w październiku 1897 r.; w 1902 r. syjoniści w Niemczech założyli tygodnik „Jüdische Rundschau“, który stał się ich trybuną; w czasach Republiki Weimarskiej liczba członków organizacji osiągnęła 35 tysięcy; od momentu dojścia nazistów do władzy organizacja zajmowała się głównie pomocą przy emigracji i programem Hachsza; po wprowadzeniu tzw. ustaw norymberskich w 1935 r. poddana wielu restrykcjom; w 1938 r. zlikwidowana przez nazistów.

ORT - ros. skrót od Obszczestwo Rasprostranienija Truda Sriedi Jewriejew, Żydowski Związek Rzemiosła i Rolnictwa, powstał jako prywatna inicjatywa mająca na celu poprawę sytuacji rosyjskich Żydów pod panowaniem cara Aleksandra II; obecnie placówki ORT i jego centra szkoleniowe istnieją na całym świecie; pierwsza międzynarodowa organizacja ORT została założona w Berlinie w 1921 r.

Pesach - siedmiodniowy festiwal upamiętniający wyzwolenie Żydów z niewoli egipskiej; Hagada, opowiadająca o wyjściu z Egiptu, jest czytana w czasie pierwszego wieczoru - sederu; przygotowuje się specjalny posiłek; na stole stawia się kielich wina dla proroka Eliasza, a dla niego samego przygotowuje wolne miejsce, ponieważ, według powszechnego

wierzenia, zwiastun Mesjasza może pojawić się w ten szczególny wieczór, kiedy rozproszony lud Izraela jest zebrany razem.

Pismo Święte - wszystkie teksty opisujące historię narodu żydowskiego i zawierające religijne nakazy, przepisy postępowania i ich interpretacje; sama Tora jest nazywana Pismem Świętym.

Purim - „święto losów“, wspomina królową Esterę, która udaremniła planowany masowy mord na Żydach w imperium perskim przez ujawnienie królowi Achaszweroszowi, że ona sama jest Żydówką; Purim to radosne święto z tradycją przebierania się w kostiumy.

Purimszpil - podczas święta Purim przebierańcy wystawiali scenki biblijne; była to jedyna forma teatralna akceptowana przez ortodoksyjnych Żydów.

Reichsvertretung der Deutschen Juden - Przedstawicielstwo Żydów Niemieckich w Rzeszy, później: Reichsvereinigung der Juden in Deutschland (Zrzeszenie Żydów Rzeszy w Niemczech); organizacja patronacka głównych żydowskich organizacji i społeczności, począwszy od 1933 r., na której czele stał wysoce poważany rabin Leo Baeck; praca Przedstawicielstwa polegała głównie na koordynowaniu działań organizacji żydowskich związanych z pomocą socjalną: przygotowaniem i realizowaniem emigracji, pomocą w ewentualnej zmianie zawodu, edukacją i szkoleniem, pomocą finansową, opieką socjalną; organizacja ta nie miała politycznego wpływu; w 1939 r. narodowosocjalistyczne władze zmieniły nazwę na Reichsvereinigung der Juden in Deutschland; od tej pory Żydzi zostali zaklasyfikowani przez nazistów jako poddani Rzeszy; od tego momentu organizacja podlegała narodowosocjalistycznym władzom i była przez nie kontrolowana; jej praktyczna działalność została wykorzystana do służenia celom Rzeszy.

Rosz Chodesz - hebr. „początek miesiąca“; z jego okazji są odmawiane szczególne modlitwy.

Rozwód - rozwód jest nie tylko dopuszczalny przez prawo żydowskie, ale nawet wskazany, kiedy małżeństwo jest uznane za nieodwracalnie rozbite; jeśli kobieta nie może rodzić dzieci, ortodoksyjni rabini będą nawet doradzać rozwód.

Rytuał pogrzebowy - w judaizmie pochówek musi się odbyć w czasie dwudziestu czterech godzin od śmierci; pogrzeb może być nieznacznie opóźniony, aby umożliwić przybycie bliskim członkom rodziny.

Sanhedryn - hebr. (grec. synedñori) „zgromadzenie“, najwyższa sądowa rada żydowska w czasach greckich i rzymskich.

Saraceni - termin używany w starożytności na określenie Arabów w północno-zachodniej Arabii i na półwyspie Synaj; używany w średniowieczu w odniesieniu do wszystkich Arabów, a następnie wszystkich muzułmanów w rejonie śródziemnomorskim, zwłaszcza tych, którzy walczyli z krzyżowcami.

Sederowy wieczór - patrz: Pesach

Sefardyjczycy - Żydzi z Półwyspu Iberyjskiego i ich potomkowie, którzy po wygnaniu z Hiszpanii i Portugalii w 1492 r. rozproszyli się po całym obszarze śródziemnomorskim i Oriencie, aż do krajów Dalekiego Wschodu. W języku współczesnym określenie „sefardyjczycy“ odnosi się do Żydów z krajów Orientu, w odróżnieniu od „aszkenazyjczyków“.

Sziduch - dobranie przez swata przyszłych małżonków.

Sziwa - hebr. „siedem“; siedmiodniowy okres żałoby po śmierci bliskiej osoby.

Syjonizm - idea politycznego syjonizmu została sformułowana przez Teodora Herzla pod koniec XIX w. w pracy Państwo żydowskie; było to pierwsze wezwanie do utworzenia państwa żydowskiego w Palestynie.

Szabat - wyznaczony dzień odpoczynku w judaizmie, jest to również dzień duchowej refleksji; religijni Żydzi nie pracują w Szabat, definicja „pracy“ jest jednakże w rozmaity sposób interpretowana; nie wolno zapalać ognia i można przejść tylko określony odcinek; tak

więc w naszych czasach religijni Żydzi w Szabat nie używają elektrycznych sprzętów, łącznie z elektrycznym światłem i transportem.

Szulchan Aruch - hebr. „nakryty stół“; kodeks prawny sporządzony przez Józefa Karo w XVI w., przestrzegany przez religijnych Żydów aż do dnia dzisiejszego.

Ściana Płaczu - Mur Zachodni, najświętsze miejsce judaizmu; jedyna pozostała część Świątyni zniszczonej przez Rzymian w 70 r. n.e., gdzie do dnia dzisiejszego Żydzi modlą się i płaczą, a także wtykają karteczki z zapisanymi prośbami do Boga w szczeliny pomiędzy kamieniami w Ścianie.

Światowa Organizacja Syjonistyczna - założona w 1897 r. podczas Pierwszego Kongresu Syjonistycznego w Bazylei jako organizacja patronacka dla ruchu syjonistycznego; na przestrzeni lat dała początek stale wzrastającej liczbie komisji, organów i filii; zasadniczo reprezentuje ona wszelki rodzaj politycznej aktywności.

Świątynia - Pierwsza Świątynia Jerozolimska została zbudowana przez króla Salomona w 960 r. p.n.e., a następnie zniszczona przez Nabuchodonozora w 587 r. p.n.e., co poprzedziło niewolę babilońską; za panowania króla Cyrusa część Żydów powróciła do Jerozolimy i zaczęła budować Drugą Świątynię; „zburzenie Świątyni“ odnosi się do tych wydarzeń.

Świeca pamiątkowa - podczas tygodnia żałoby (hebr. sziva) następującego po śmierci bliskiego krewnego, zapala się świecę pamiątkową; jest ona zapalana ponownie trzydzieści dni później, jak również każdego dnia w rocznicę śmierci, znaną w judaizmie pod nazwą jarcajt.

Świece szabatowe - na początku Szabatu lub święta pani domu tradycyjnie zapala dwie świece i odmawia nad nimi błogosławieństwo.

Talmud - hebr. „nauka“; składa się z Miszny i Gemary; istnieją dwa Talmudy: Jerozolimski (skompilowany w Palestynie, ok. IV w. n.e.) i Babiloński (zredagowany w Babilonii, ok. VI w. n.e.); Talmud Jerozolimski ma inną strukturę, jest krótszy, bardziej zwięzły, a miejscami także bardziej zagadkowy, jak również koncentrujący się bardziej na kwestiach prawnych.

Tanach - hebr. skrót na oznaczenie Pisma Świętego, powstały z pierwszych liter trzech wyrazów: Tora, Newiim (księgi prorockie) i Ketuwim (korpus tekstów: Psalmi, Księga Hioba itd.).

Tempelgesellschaft - sekta niemiecka, wydalona z Kościoła luterańskiego w 1858 r.; jej członkowie w XIX i XX w. założyli wiele wspólnot w Palestynie, m.in. w Hajfie, Jerozolimie i Jaffie; Christoph Hoffmann, lider sekty, uważał, że Dzień Sądu Ostatecznego jest już blisko i że nie Żydzi, ale wyznawcy Jezusa przejmą Ziemię Świętą.

Tisza be-Aw - dziewiąty dzień miesiąca Aw; dzień postu dla uczczenia zburzenia Świątyni.

Tora - hebr. „prawo, nauka“, w węższym znaczeniu Zwój Pięcioksięgu, zawierający pięć ksiąg Mojżesza, który jest przechowywany w synagodze; w szerszym znaczeniu Tora oznacza naukę zawartą w Piśmie Świętym.

Trefny - od jid. treife; termin z kodeksu żydowskich praw dietetycznych (patrz: kaszrut), pierwotnie oznaczający zwierzę niezdatne do spożycia z powodu choroby lub zranienia, ale w szerszym sensie wszystko, co nie jest koszerne.

Wieża Dawida - cytadela znajdująca się obok Bramy Jafskiej na Starym Mieście w Jerozolimie; dawniej znajdował się tu pałac Heroda.

Wygnanie Żydów z Hiszpanii - w 1492 r. Żydzi, którzy odmówili konwersji na chrześcijaństwo, zostali wypędzeni z Hiszpanii i Portugalii; patrz: sefardyjczycy.

Żydowski Fundusz Narodowy - hebr. Keren Kajemet Le-israel, zwykle pisany w skrócie jako JNF (ang. Jewish National Fund); Żydowski Fundusz Narodowy Światowej Organizacji Syjonistycznej został założony na piątym Kongresie Syjonistycznym w Bazylei, w 1901 r., w celu finansowania zakupu ziemi i rozwoju osadnictwa.

Spis ilustracji

Na okładce wykorzystano zdjęcie będące własnością Susanny Stumpf.

- Fanny Levy z d. Benjamin i Ascher Levy (s. 38)
Główna ulica w Bad Polzin, 1935 r. (s. 40)
Dom rodzinny Levych i siedziba ich firmy przy Brunnenstrasse w Bad Polzin (s. 42)
Julius Levy (s. 74)
Therese Levy z d. Riess (s. 85)
Ascher Levy (s. 94)
Bernhard Levy (s. 134)
Henriette Levy z d. Cohen (s. 175)
Dom rodzinny Levych przy Promenadzie Bismarcka w Bad Polzin, 1930 r. (s. 179)
Ida Levy, Gdańsk 1902 r. (s. 188)
Käthe, Rudolf i Paul Levy, Gdańsk 1882 r. (s. 190)
Ernst Levy, Berlin 1931 r. (s. 194)
Lisbeth Levy z d. Naphtali i Siegfried Levy (s. 198)
Leo Levy, 1915 r. (s. 206)
Od lewej (w górnym rzędzie): brat i matka Lisbeth, Lisbeth, Siegfried, Rudolf i Käthe. Od lewej (w dolnym rzędzie): ojciec Lisbeth Naphtali, jej brat Oskar i Ernst Levy, Gdańsk 1902 r. (s. 246)
Siegfried Levy (siedzi po lewej) w atelier Rudolfa (s. 258)
Portret Siegfrieda namalowany w 1927 r. przez Rudolfa (s. 259)
Eugenie (Genia) Levy z d. Schindler, Monachium 1919 r. (s. 261)
Jules Pascin: Walter Bondy maluje Rudolfa Levy'ego, Paryż 1908 r. (s. 263)
Rudolf Levy obok Henri Matisse'a w jego atelier, Paryż 1909 r. (s. 266) Else Levy z d. Frensdorf i Leo Levy, 1926 r. (s. 296)
Pensjonat w Lugano, dom Lisbeth i Siegfrieda na wyganii (s. 317)
Zaświadczenie o nadaniu obywatelstwa amerykańskiego, należące do Siegfrieda Levy'ego. (s. 358)

Ilustracje są prywatną własnością Romana Fristera z wyjątkiem opublikowanych na s. 85, 190 (własność Susanny Stumpf); na s. 258, 259, 261, 263 (własność Gabi Bradmann); na s. 266 (własność Archiwum Purrmana, Starnberg).